

# KONFIDENT

SPOWIEDŹ KIBOLA

THRILLER



KRZYSZTOF  
DOMARADZKI

# KONFIDENT

SPOWIEDŹ KIBOLA

KRZYSZTOF  
DOMARADZKI

Wydawnictwo Literackie



# Spis treści

Karta redakcyjna

Od autora

Prolog

Część I. Idiota

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.

Część II. Chuligan

- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.

Część III. Gangster

- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.

## Część IV. Konfident

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

## Część V. Zabójca

26.

27.

28.

29.

## Część VI. Tchórz

30.

31.

32.

## Epilog

## Posłowie

## Przypisy

Opieka redakcyjna: EWELINA KOROSTYŃSKA  
Redakcja: PIOTR TOMZA  
Korekta: ANNA DOBOSZ, ANETA TKACZYK, JOLANTA STAL  
Projekt okładki: TOMASZ MAJEWSKI  
Zdjęcie na okładce: Fot. Chris Henry / Unsplash  
Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

© Copyright by Krzysztof Domaradzki  
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2023

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07852-5

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.  
ul. Długa 1, 31-147 Kraków  
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40  
księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)  
e-mail: [księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl)  
tel. (+48 12) 619 27 70

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Ta historia nie wydarzyła się naprawdę.  
Ale mogłaby.*

## PROLOG

– Miałem kiedyś psa. – Mężczyzna, który to powiedział, przeszedł obok mnie i ostrożnie wyjął z torby niewielkiego boomboksa. – Maltańczyka. Ojciec cierpiał na niedobór kreatywności, więc nazwał go Malta. Po prostu Malta. Było to białe, kudłate i wiecznie uśmiechnięte psiątko, które wpadało w depresję, gdy musiało zostać samo w domu. Starzy wykombinowali, że przed wyjściem do roboty będą podrzucać Malte sąsiadce, która ustrzeliła jakiegoś dzianego gacha, dzięki czemu całymi dniami mogła się opalać na balkonie, popijać wino i głądzić z innymi lafiryndami.

Patrzyłem na jego powolne ruchy. Na każdy krótki, jakby niepewny krok. Każdy ślamazarny gest. Każde ledwo zauważalne drgnienie mięśni na żylastej twarzy. Chłonałem jego obecność. A jednocześnie marzyłem o tym, żeby go nie było. Żeby nie istniał.

– Sąsiedzi mieli syna. Jurka. Jureczka. Młodszy ode mnie o rok, dosyć wysoki, gruby. Nosił piksy i białe adidas. Widywałem go na podwórku, ale jakoś się nie zakumplowaliśmy. Może dlatego, że wydawał mi się trochę przemądrzały, a może obaj czuliśmy, że coś nam w sobie nie gra. Jureczek zwykle kończył lekcje przede mną, a wtedy jego matka kazała mu wyprowadzać naszego psa. Myślała, że to lubi. Ale to nie była prawda. Któregoś dnia zobaczyłem, jak grubas trochę się na Malcie wyżywa. Ale nic z tym nie zrobiłem. Nie potrafiłem. Przynajmniej nie od razu.

Mężczyzna położył boomboksa na stole. Rozejrzał się. Przebiegł wzrokiem po tandetnych tapetach, przeszklonym regale zabrudzonym tłustymi paluchami, firankach pożółkłych od papierosów oraz nowoczesnym telewizorze, który do niczego tam nie pasował. Zatrzymał spojrzenie na mnie. Zastygł. Dopiero wtedy pojąłem, że jestem jedynym odbiorcą jego słów.

– Jakiś czas później Malta zmarkotniał. Zachowywał się tak, jakby stracił całą energię i chęć do życia. Mało jadł, całymi dniami spał. Musieliśmy go zmuszać do spacerów, bo nawet wysrać mu się nie chciało. Starzy łazili z nim po weterynarzach, ale z kolejnych wizyt nic nie wynikało. W końcu uznali, że pies się męczy. Postanowili go uśpić. – Mężczyzna zamilkł, a ciężar jego milczenia sparaliżował pomieszczenie. – Kilka tygodni później przypomniałem sobie, że widziałem, jak dzieciak sąsiadów ciągnie Malte po ulicy. Jakby chciał biedakowi urwać łeb. Nie dawało mi to spokoju.

Wyjął z kieszeni rękawiczki. Typowo żołnierskie: skórzane, grube, wzmacniane kevlarą albo jakimś metalowym cholerstwem. Włożył je, a następnie się



upewnił, czy może w nich swobodnie poruszać palcami.

– Potem sprawy potoczyły się szybko – kontynuował. – Pewnego dnia urwałem się z lekcji i zacząłem pod naszym blokiem. Kiedy pojawił się Jureczek, powiedziałem, że mam nową grę na pegasusa. Pomachałem mu przed nosem żółtym kartridżem, na który nakleiłem jakieś gówniane logo. Spytałem, czy nie chce pograć. Grubas strasznie się podjarał. Pewnie dlatego nie zapytał, dlaczego trzymam pegasusa w piwnicy.

Mężczyzna rozprostował starannie złożony kabel, podłączył boomboksa do prądu i ponownie zajrzał do torby. Wyjął nieopisane pudełko na płytę. Przejechał palcem po jego zakurzonej powierzchni.

– Zawsze zadawałem się ze starszymi od siebie. Często z chłopakami, którzy kiblowali. Jeden z nich kiedyś mi opowiedział, jak trzeba bić frajerów, żeby nie zostawić śladów. Dobrze to zapamiętałem. Dlatego gdy Jureczek zszedł ze mną do piwnicy, zamknąłem za nami drzwi, sięgnąłem po przygotowaną wcześniej nogę od stołu i zacząłem go lać: po brzuchu, po udach, po piętach, nawet po potylicy. Wszędzie z wyjątkiem jego tłustej mordy. I robiłem to tak długo, aż opadłem z sił.

Otworzył pudełko, wydobyl ze środka płytę i włożył ją do odtwarzacza.

– Odebrałem wtedy kilka cennych lekcji. Po pierwsze, przekonałem się, że nie mogę mieć żadnych zwierząt. Fatalnie zareagowałem na śmierć Malty i nie chciałem tego przerabiać ponownie. Po drugie, zrozumiałem, że nienawidzę donosicielstwa. Mógłbym nakablować starym, co ten przygłup zrobił naszemu psu, ale wolałem samodzielnie się z nim rozprawić. Wydawało mi się to bardziej honorowe. A po trzecie, odkryłem, że jeśli chcesz spuścić komuś wpierdol, musisz to zrobić tak, aby twój agresywny ojciec się o tym nie dowiedział. Wiedziałem, że Jureczek nikomu nic nie powie, bo będzie się mnie bał. Ale błędnie założyłem, że jeśli dojadę go w piwnicy, to nikt nie usłyszy, jak spaślak drze mordę.

Facet w końcu wcisnął „play”. Następnie odwrócił się do jednego z dwóch mężczyzn przywiązanych do krzesel. Uderzył go w twarz. Potem ponownie. I jeszcze raz. Po chwili tłukł go bez opamiętania. Z coraz większą mocą, z coraz większą gwałtownością, ni to tańcząc, ni to trzęsąc się do ryczącego z głośnika *Tańca z szablami* Arama Chacaturiana.

Tym razem nie zależało mu na tym, aby nikt się nie dowiedział. Tym razem miało być głośno.

Przerwał dopiero z końcem utworu. Podeszedł do boomboksa i przewinął kawałek do początku. Zatrzymał odtwarzanie, zanim na nowo rozpętała się wojna, zanim zgraja ormiańskich dzikusów ponownie skoczyła sobie do gardeł, i odwrócił się w moją stronę.

– Teraz twoja kolej – wysapał, wskazując brodą koleśki na krzesłach. – Masz wybrać jednego z nich i zatłuc go na śmierć. Jeśli tego nie zrobisz, umrą obaj. A ty

razem z nimi. – Spojrzał mi głęboko w oczy, po czym ponownie włączył Chaczaturiana. – Wybierz mądrze.

Zanim wam opowiem, jakiego dokonałem wyboru, zatrzymajmy się na chwilę...

Facet, który kazał mi zabić człowieka, nazywa się Demon. Jest szefem nabojski Widzewa Łódź. To nieformalny władca kryminalnej strony miasta i jeden z najbardziej niebezpiecznych ludzi w tej części Polski. Kompletny świr. Wcielenie zła i suma wszelkich potworności. I moja cicha obsesja. Przez długi czas chorobliwie starałem mu się przypodobać, jednocześnie za wszelką cenę próbując wsadzić go do więzienia. Ot, taki paradoks.

Był z nami jeszcze Rocco – prawa ręka Demona – który w swojej prawej dłoni ścisnął pistolet. Pozbawiony hamulców psychopata, narcyz i seksoholik. A przy okazji facet, który z jakiegoś powodu od początku za mną nie przepadał. Z pewnością nie zawahałby się użyć klamki, gdybym ośmielił się sprzeciwić Demonowi.

Tych dwóch kolesi na krzesłach również znałem. Choć nie tak dobrze, jak mi się zdawało.

To właśnie wtedy, w tym pełnym sprzeczności pokoju, na kilka sekund przed katastrofą, uświadomiłem sobie, że żyłem w kłamstwie. Ale nie w tym, które wykreowałem. W tym, w które dałem się wmanipulować. W którym byłem sterowany, obracany i notorycznie zdradzany. Także przez ludzi, których nigdy bym o to nie podejrzewał.

To właśnie wtedy, w tym pełnym sprzeczności pokoju, na kilka sekund przed katastrofą, dokonałem społecznej apostazji, pozbywając się resztek wiary w człowieczeństwo.

W jaki sposób wpłatałem się w takie gówno? Jakim cudem chłopak z tak zwanego dobrego domu znalazł się w sytuacji bez wyjścia? Dlaczego musiałem przysądzić o czymś istnieniu? I najważniejsze: jak mogłem wszystko tak spierdolić?

Chciałbym powiedzieć, że to przypadek. Chichot losu. Wyjątkowy niefart. Ale to nieprawda. To nie przypadek decyduje o naszym życiu, tylko wybory, jakich dokonujemy. Problem w tym, że nie umiemy przewidywać ich konsekwencji. Nawet jeśli z perspektywy czasu te wybory wydają się oczywiste, banalne, niemożliwe do spieprzenia. Nawet jeśli skutki kolejnych złych decyzji tak cholernie boją. Nawet jeśli jesteśmy gotowi zrobić wszystko, aby je odwrócić, włącznie z poświęceniem czyjegoś życia.

Ale pozwólcie, że najpierw opowiem wam o swoim.

**Część I**  
**IDIOTA**

## 1.

Doskonale pamiętam dzień, w którym po raz pierwszy dostałem w mordę.

Miałem wtedy jedenaście lat, pryszczate czoło i niewyparzoną gębę, przy pomocy której obrażałem matki swoich kolegów. Nie dlatego, że ich nie lubiłem – większości nawet nie znałem. Robiłem to, ponieważ odzywka „twoja stara” wydawała mi się uniwersalną ripostą na każdą zaczepkę. Lekką, czasem zabawną, a przede wszystkim niegroźną. I za taką uchodziła niemal w każdym zakątku mojej podstawówki na Marysinie, jednej z wielu niezbyt elitarnych bałuckich szkół na jednym z wielu niezbyt elitarnych bałuckich osiedli.

Ale w kręgu Jarka Świderskiego, krótko ostrzyżonego chłopaka z równoległej klasy, było inaczej. W jego kręgu „twoja stara” było najcięższą obelgą. Z gatunku tych, których nie da się zignorować. Dlatego gdy niechcący zderzyłem się z nim na korytarzu, a on nazwał mnie cwelem – wtedy nie wiedziałem nawet, co to znaczy – bez chwili wahania obraziłem jego matkę. A kiedy zagotował się ze złości i wyzwał mnie na solo po szkole, bez chwili wahania odpowiedziałem: „Czemu nie?”.

Wiele lat później natknąłem się na Jarka Świderskiego w internetowej bazie osób poszukiwanych przez policję, do której trafił za dilerkę i pobicie z użyciem niebezpiecznego przedmiotu. Nie byłem tym ani trochę zaskoczony. Ale jako jedenastolatek nie miałem pojęcia, że Świderski zrobił dla mnie wyjątek, zostając tego dnia do końca lekcji. Oczywiście nie musiał czekać na mnie w szkole. Potrzebował jednak trochę czasu, aby rozgłosić znajomkom, że zamierza skapisznować ryj jakiemuś frajerowi. I że byłoby mu miło, gdyby wpadli to obejrzyć.

Pamięć lubi zniekształcać wspomnienia, szczególnie te traumatyczne, ale wydaje mi się, że na betonowym placu, na którym rzucaliśmy palantówką, zebrali się z pięćdziesięciu największych zakapiorów w budzie. Przyszli dopingować swojego ziomka. Ja natomiast mogłem liczyć na mentalne wsparcie dwóch kolegów z klasy. Jeden po latach został hipisem, drugi otarł się o Oksford.

Świderski jak zapowiedział, tak zrobił – skapisznował mi mordę. Nawet nie wyprowadziłem ciosu. Ani jednego. Nie miałem jaj, aby przy tych wszystkich chamach, którzy otoczyli nas jak w *Podziemnym kręgu*, choćby spróbować wyrządzić Świderskiemu krzywdę.

W tamtym semestrze Jarek podobnie potraktował jeszcze co najmniej dwie osoby. W końcu dyrektorka zarządziła głosowanie w sprawie usunięcia go ze szkoły. Nauczyciele uznali, że warto dać Świderskiemu jeszcze jedną szansę. Bo chłopak pochodzi z trudnej rodziny, bo samotna matka, bo brat w poprawczaku.

Bo może z czasem odnajdzie właściwą drogę. Gdy już podjęli decyzję, wezwali Jarka do pokoju nauczycielskiego, aby podzielić się z nim dobrą nowiną. A on ich zaskoczył.

– Dziękuję tym, którzy głosowali za tym, żebym został – powiedział. – Pozostałym chuj w dupę i krzyżyk na drogę.

Jakie to uczucie dostać w mordę? W zasadzie nijakie. Trochę dziwne, trochę nieprzyjemne, trochę... jakieś. Nie towarzyszy mu ból. Raczej wstyd. Wściekłość. A także chwilowa, ale cholernie silna, nienawiść.

Doskonale pamiętam też dzień, w którym po raz pierwszy to ja dałem komuś w mordę.

Stało się to trzy tygodnie po zejściu ze Świderskim. Wygoiłem zadrapania, lima pod oczami zblakły. Zacząłem żyć. I bardzo, ale to bardzo chciałem się odkuć po tym, co mnie spotkało. Potrzebowałem tego, aby się przekonać, kim tak naprawdę jestem – szkolnym popychadłem czy materiałem na kozaka. Musiałem strzelić komuś w mordę, aby się jednoznacznie określić.

I dlatego gdy jeden gostek z klasy – fajtlapowaty drażal o fatalnym zgryzie – podczas szkolnego wyjścia do kina kazał mi spierdalać, nie obraziłem jego matki, tylko wyprowadziłem cios. Nieudolny i słaby, właściwie ledwo sięgnąłem jego gęby. Ale sama próba była dla chłopaka tak zaskakująca, że nie odważył się na nią odpowiedzieć.

Jakie to uczucie? Znajome. Nie towarzyszy mu ból. Raczej wstyd, wściekłość, a także chwilowa, ale cholernie silna, nienawiść.

\* \* \*

Zacząłem się od sportu. Już w latach dziewięćdziesiątych jarałem się piłką nożną, tenisem, kolarstwem, a nawet snookerem i łyżwiarstwem figurowym – wszystkim, co dało się obejrzeć w Eurosporcie. Godzinami siedziałem przed telewizorem, mimowolnie ucząc się angielskiego i poznając podstawy najróżniejszych dyscyplin. Dzięki podglądaniu w akcji Andre Agassiego, Lance'a Armstronga czy Remy'ego Bonjasky'ego i ogólnemu drygowi do fikołków byłem jednym z najlepszych sportowców w szkole. Choć nie najlepszym.

Piłka nożna? Odkąd pamiętam, występowałem w pierwszej drużynie, w podstawówce i gimnazjum nie opuściłem żadnego międzyszkolnego turnieju. Bieg na kilometr? Drugi wynik w szkole. Setka? Podobnie. Rzut palantówką? W pierwszej piątce. Siatkówka? Koszykówka? Ping-pong? Dlaczego nie. Z każdą dyscypliną dawałem sobie radę na tyle dobrze, że wuefści z automatu wybierali mnie do wszystkich szkolnych reprezentacji. Zawody sportowe stały się moją metodą na unikanie lekcji, znacznie sprytniejszą niż wagary.

Choć nie miałem nic wspólnego ze skejtami, wciągnąłem się nawet w jazdę na desce. Doskonale pamiętam dzień, w którym po setkach nieudanych prób i dziesiątkach upadków wreszcie udało mi się skleić pierwszego kickflipa. A także ten, w którym po raz pierwszy uniosłem deskę nad głowę, strasząc sąsiada narzekającego na hałasy, że przypierdołę mu w łeb, jeśli tylko spróbuje się do mnie zbliżyć.

Ta sportowa zajawka – a w szczególności transmisje z gal K-1 w Eurosporcie – zaprowadziła mnie i moich kumpli do osiedlowej siłowni i na pierwszy trening sztuk walki. W salce, która naprzemiennie cuchnęła kwaśnym męskim potem i przesłodzonymi perfumami mamusiek skuteczniejszych fitness, jakiś facet utworzył sekcję kick-boxingu. Po kilku treningach wyszło na jaw, że to naciągacz. Pozwolił nam chodzić na zajęcia, tylko jeśli kupimy u niego sprzęt: spodenki, koszulki, rękawice, ochraniacze na piszczele, tarcze. Olaliśmy go. Koledzy zrazili się na tyle, że już nigdy nie wrócili do treningów. Ale ja zdążyłem złapać bakcyła.

Kiedy byłem w liceum, zapisałem się do jednego z centrów sztuk walki w Śródmieściu. Wybrałem muay thai, które ze względu na możliwość zadawania w nim ciosów łokciami i zakodowane w jego formule dążenie do nokautu uchodzi za jedną z najbrutalniejszych dyscyplin. Omal nie dostałem ataku paniki, gdy pod koniec pierwszego treningu, dosłownie slaniając się na nogach, miałem stoczyć sparing z kolesiem dwa razy większym ode mnie. Na szczęście rywal okazał się jeszcze bardziej styrony niż ja. Po dwuminutowej dreptaninie, w której trakcie żaden z nas nawet nie wyprowadził celnego ciosu, trener przerwał ten żenujący spektakl.

Początkowo chodziłem na zajęcia raz w tygodniu, ale szybko zwiększyłem ich częstotliwość. Po miesiącu miałem już trzy treningi tygodniowo. Po dwóch zacząłem uczestniczyć w punktowanych sparingach, przez co regularnie wracałem do domu z podbitym okiem albo krwawiącym nosem. Po pół roku wystąpiłem w debiutanckim turnieju. A po dziewięciu miesiącach wygrałem pierwsze zawody. Byłem niezły. Choć znów – nie najlepszy. Kilka razy boleśnie się o tym przekonałem.

Bójki weszły mi w nawyk. Często sam je prowokowałem. Zdarzało się, że kiedy szliśmy na miasto, moim priorytetem nie było wrywanie lasek, co zresztą nigdy nie przychodziło mi łatwo, tylko sprokurowanie bardachy. Zamiast się macać na parkiecie, szukałem wyzelowanych gogusiów, na których mógłbym przetestować sztuczki z treningów. Nie wszystkie się udawały, ale na ogół wychodziłem z potyczek zwycięsko, nawet gdy walczyłem z kolesiami wyższymi o głowę albo gdy przeciwnicy mieli przewagę liczebną. I tak tydzień w tydzień, impreza po imprezie, gong po gongu. Kilku silnoręki wręcz przywykło do wypieprzania mnie z klubów. Przynosili mi kurtkę z szatni, żebym nie marzył w oczekiwaniu na swoich ziomków.

Jak to w życiu bywa, zdarzyło mi się przegiąć pałę. Któregoś razu skopałem mordę jakiemuś lamusowi w parku Śledzia. Siedział na ławce z książką, wsuwał kanapkę, nie spodziewał się ataku – no bo skąd? Byłem święcie przekonany, że to gość z liceum, z którym moja szkoła ma kosę. Ale nazajutrz odkryłem, że chodzi do sąsiedniej klasy... Na szczęście chłopak był zbyt zawstydzony sytuacją, aby komukolwiek o niej powiedzieć. A ja byłem zbyt zawstydzony swoim zachowaniem, żeby za nie przeprosić.

Z czasem sport zszedł na dalszy plan. Paradoksalnie stało się to, gdy zacząłem jeździć na mecze Widzewa. Pierwszy raz wybrałem się na stadion, by się przekonąć, na jakim poziomie grają profesjonaliści. Chciałem sprawdzić, czy miałem szansę zostać jednym z nich, gdybym kilka lat wcześniej postawił wszystko na jedną kartę i zdecydował się na regularne treningi. Kumpel zabrał mnie pod Zegar, czyli na trybunę zarezerwowaną dla najbardziej fanatycznych kibiców. Tam gdzie za niewystarczające zaangażowanie w doping można dostać z liścia.

Początkowo byłem zażenowany tym, co ujrzałem: naprute grubasy w poplamionych bluzach, nafurane karki i osiedlowe szczury zamulone od jointów, agresywne blondyny, które chyba nie bardzo wiedziały, co tam robią. Krótko mówiąc: brud, smród i patologia. Ale potem zaczął się mecz. Ryk tysięcy gardeł poniósł się po stadionie. Gniazdowy, stojący na podwyższeniu, jakimś cudem koordynował cały ten motłoch, zmuszając ludzi do synchronicznego darcia japy. Zapaliły się race, a sektorówka, śmierdząca farbą i wilgocią płachta na pół trybuny, powędrowała nad naszymi głowami, na kilka minut przesłaniając boisko. Nastąpił kolektywny wyrzut energii. Nieprawdopodobny skok ekscytacji. Troglodyczny orgazm.

Kibicowanie jest jak wojna, tyle że prowadzona na niby. Ludzie do siebie nie strzelają (przeważnie), nie dźgają się bagnetami (na ogół) i nie giną (najczęściej). Ale jednocześnie wskazują na ekstremalnie wysokie fale adrenaliny. Takich odczuć nie da ci najbardziej zajebisty seans kinowy, koncert rockowy ani uliczna manifestacja. Takie emocje może ci dać tylko stadion.

Wsiąknęłam w to bagno bez reszty. Zakochałem się. Uzależniłem po pierwszej działce.

Był wrzesień 2008 roku.

Już nie chciałem być piłkarzem ani wojownikiem muay thai. Chciałem być kibolem.

\* \* \*

– Wyłaź!

Odwrociłem się przez prawe ramię. Zobaczyłem faceta, który chwilę wcześniej energicznym szarpnięciem otworzył drzwi toi toia, żeby się na mnie wydrzeć.

– Bo co? – odkrzyknąłem, próbując przebić się przez wystrzeliwane ze wszystkich stron wulgaryzmy.

– Jajco, chuju niemyty. Wyłaż, kurwa, bo polecisz razem z gównem. Wypierdajaj!

Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, ale brzmiał bardzo przekonująco. Zapiąłem rozpiętkę i wyszedłem. Sekundę później zgraja chamów poderwała przenośny kibelek do góry, ruszyła z nim po betonowych schodach na trybunę, a następnie z wysokości kilku metrów zrzuciła go na kordon policji.

Te dantejskie sceny rozegrały się w Bydgoszczy podczas słynnego meczu Widzewa z Zawiszą w Pucharze Polski w 2010 roku, jednego z moich najbardziej pamiętnych wyjazdów. Na szczęście byłem wtedy tylko biernym uczestnikiem kibolskiej fiesty: awaryjnego zatrzymywania pociągu, okradania sklepów, dewastowania przystanków, awantur z policją. To był także pierwszy wyjazd, podczas którego skupiałem się na czymś innym niż darcie japy. Kiedy koleś z Zawiszy zaczął się napięprzać z psami i demolować własny stadion, gniazdowy Widzewa zawiesił doping, żebyśmy mogli w spokoju obejrzeć chuligańskie show. Nawet piłkarze sprawiali wrażenie bardziej zainteresowanych stadionową bardachą niż meczem.

Ale nie wszystkie przygody na wyjazdach były zabawne.

Z podróży do Poznania nie zapamiętałem zbyt wiele, ponieważ urwał mi się film. Wiem tylko, że wszyscy w autokarze szcicali do butelek, jakiś koleś wypił trzydzieści browarów, a na tyłach siedziało dwóch gostków, którzy dzień wcześniej pobili policjanta. Nie wiem nawet, czy wszedłem na stadion. Relacje świadków nie są w tej kwestii jednoznaczne.

Jako że Widzew ma sztamę z Ruchem Chorzów, któregoś razu wybraliśmy się z kumplami na Wielkie Derby Śląska. W Zabrze namierzali nas chuligani Górników. Nie było to trudne – jechaliśmy furą na łódzkich blachach, w dodatku z szalikami wystawionymi przez okno. Staliśmy w korku, szykując się do zjazdu z drogi szybkiego ruchu, gdy zauważyłem we wstecznym lusterku, jak sunie na nas stado wściekłych zabrzańskich chamów. Kumpel w ostatniej chwili wyrwał się z gąszczu aut i omal nie spowodował wypadku.

Z każdym meczem robiło się coraz ostrzej. Raz załapałem się do grupy okradającej stację benzynową. Nie chciałem się tam pałętać bez celu, więc chwyciłem stojący przy wejściu czteropak piwa i wyszedłem. Innym razem obrzucałem policjantów kamieniami. Zdarzyło mi się też wyskoczyć przez wybitą szybę w autobusie miejskim i paradować przed stadionem z wyrwanym kasownikiem.

Kiedy myślę o tym po latach, nie mam najmniejszych wątpliwości, w jakim kierunku to zmierzało. Ale przecież nie tylko Polak mądry po szkodzie, co?

To był ponury grudniowy wieczór, jedna z ostatnich kolejek przed przerwą zimową. Do Łodzi przyjechała Arka Gdynia. Policja wiedziała, że to mecz podwyż-



szzonego ryzyka, choć właściwie każdy powinien mieć taki status. Funkcjonariusze starannie obstawili stadion i jego okolice. Osiedlowe karki musiały nieźle kombinować, aby przynajmniej złapać kontakt wzrokowy z gośćmi z Pomorza i wykrzyzczyć im z bliska, że są kurwami i świniami.

A my, zamiast jak zwykle trąbić browary między blokami obok stadionu, zapędziliśmy się do parku Baden-Powella. I to aż cztery godziny przed meczem. Ledwo zaczęliśmy ochleć, kiedy spomiędzy drzew wyłoniła się grupka chamów w szalikach Arki. Sześciu, może siedmiu kolesi. Wszyscy byliśmy w grubych kurtkach, ale oni wydawali się od nas poważniejsi, mężniejsi i straszniejsi. Wydawali się kolesiami, którzy bez trudu nam wpierdolą.

*Fright, fight and flight.* Strach, walka i ucieczka. Tym podobno jest adrenalina. Tak twierdzą chemicy, którzy rozumieją mechanizm działania hormonów. Może i mają rację, ale organizmy kibiców funkcjonują nieco inaczej. Zanim w sytuacji zagrożenia ich nadnercza zaczną wypluwać kortyzol i adrenalinę, aktywuje się hormon kibolski. Honor. Trudny do zdefiniowania, nielogiczny, niebezpieczny. Produkowany w absurdalnie dużych ilościach i w absurdalnie niewygodnych momentach. Stanowiący główny powód, dla którego wielu stadionowych chuliganów kończy bez zębów albo na wózku.

Nie wiem, w jakim stopniu na nasze zachowanie wpłynęła nagła aktywacja honoru, a w jakim strach przed konsekwencjami ewentualnej ucieczki, ale to my natarliśmy na kolesi z Arki, nie oni na nas. Wbrew instynktowi samozachowawczemu, wbrew logice. I szybko się przekonaaliśmy, że to był błąd. Koszmarny błąd.

Uliczne starcia przeważnie toczą się do pierwszego czystego pierdolnięcia. Nie ma mowy o taktyce, obronie, kalkulacji. Musisz wyprowadzić cios jako pierwszy. Jeśli nie trafisz, powinieneś natychmiast zadać kolejny. A potem jeszcze jeden, jeśli będzie trzeba. I tak do skutku. Aż z pełnym impetem wpakujesz pięść w szczękę przeciwnika. Jeżeli tego nie zrobisz, prawdopodobnie zrobi to twój rywal. Tobie.

Podczas pierwszej prawdziwej chuligańskiej konfrontacji nie zdążyłem wyprowadzić ciosu. To w zasadzie jedyna rzecz, jaką pamiętam.

Kiedy odzyskałem świadomość, leżałem w krzakach, nade mną stało kilku widzów, a w tle wyla syrena policyjna. Podniosłem się z drobną pomocą, otrzępałem kolana, a korzystając z tego, że już byłem pochylony, zwymiotowałem. Prawdopodobnie doznałem wstrząśnienia mózgu, gdy – jak usłyszałem od swoich kolegów – jakaś napakowana świnka z Gdyni stepowała mi na głowie.

Mogłem wtedy stracić zęby, czucie w nogach, a nawet życie. Ale nie straciłem. Zamiast tego stało się coś, czego się nie spodziewałem. Zyskałem szacunek. Kibolskie środowisko zinterpretowało nasz kretyński atak na kafarów z Gdyni jako akt odwagi. A że policjanci naprawdę skutecznie obstawiali mecz, był to jedyny godny uwagi chuligański incydent tamtego dnia.

Wieści szybko się rozchodzą. A wraz z nimi ksywki, plotki, półprawdy i zwykłe kłamstwa.

W tamten weekend przestałem być gnojkiem, który tankuje pod korek i drze papę na meczach. Stałem się chuliganem. Jednym z nich.

## 2.

– Ile świń?

– Siedem.

– Duże?

– Normalne.

– Czyli jakie, kurwa?

– Takie jak my.

Nogi nieprzyjemnie zarechotał, a potem splunął pod buty. Ławka, na której siedział, trzymając ubłocone adidas tam, gdzie emerycy sadzają umęczone dupska, a dupsko tam, gdzie nastoletni podrywacze opierają ręce, aby objąć swoje panny, była już cała ocharchana. Nogi miał paskudny zwyczaj nieustannego spluwania gdzie popadnie. Jakby jego zatoki produkowały flegmę dla całego miasta.

Siedzieliśmy na jednym z podwórek niedaleko skrzyżowania Wojska Polskiego ze Strykowską, pomiędzy cmentarzem żydowskim a Akademią Sztuk Pięknych. W miejscu, w którym co weekend zbierała się zgraja okolicznych łebków, aby uczestniczyć w przedmeczowych popijawach, planować wjazdy na osiedla ełkaesiaków czy dogadywać szemrane dyle. Nogi był głównym organizatorem tego bajzlu. I jednym z najważniejszych widzewiaków na Marysinie.

– Słyszałem co innego – powiedział Nogi. – Podobno rzuciliście się na koleśki dwa razy większych od siebie. I dostaliście srogi wpierdol. Gdyby chłopaki nie ruszyły wam z pomocą, skończyłbyś, ciągnąc lachę jakiejś świni z Arki. – Nie wiedziałem, jakiej reakcji oczekuje, więc tylko wzruszyłem ramionami. – Skąd jesteś?

– Stąd. Z Marysina.

– A dokładnie?

– Z Górniczej.

– Nowe bloki?

– Stare. Niedaleko Zagajnikowej.

– Znasz naszych chłopaków?

– Paru. Głównie z widzenia.

Zreflektowałem się w porę, bo wiedziałem, że Nogi kumpluje się z większością miejscowych chuliganów. Kilkoma telefonami mógłby zweryfikować, czy mnie kolarzą. A wydawało się mało prawdopodobne, aby tym nakokszowanym debilom

zapadł w pamięć niewyróżniający się niczym chłopaczek, który jeździł na mecze od niedawna. I który wcale nie chciał być dostrzeżony.

– Napierdalasz się trochę? – Nogi mocno odcharknął. Chyba zamierzał przejść do konkretów.

– Trochę. Chodzę do klubu na Jaracza.

– Co trenujesz?

– Muay thai.

– Mułaj sraj. Na stojąco to można konia zwalić. Walczyłeś kiedyś w parterze? BJJ? Sambo? – Potrząsnąłem głową. – Czyli się nie napierdalasz. Ściemnij mi jeszcze raz, to dostaniesz w mordę.

– Nie wiedziałem, że...

– Morda, kapciu!

Nogi zapalił szluga i wypuścił przed siebie dym. Przed siebie, czyli prosto we mnie, prosto w moją bladą ze strachu twarz. Następnie zmierzył mnie od stóp do głów.

– Ile bierzesz na cyce?

– Stówę.

Skłamałem. Kilka razy w tygodniu chodziłem na siłkę, robiłem regularne postępy, ale jeszcze ani razu nie udało mi się wycisnąć stu kilogramów. Właściwie dopiero niedawno poradziłem sobie z dziewięćdziesiątką. Ledwo. Ale przy stu osiemdziesięciu trzech centymetrach wzrostu i siedemdziesięciu pięciu kilogramach wagi wyglądałem na kolesia, który przy odrobinie talentu i samozaparciu mógłby sobie poradzić ze stową. Nic nie stało na przeszkodzie, aby trochę podkreślić rzeczywistość. Zwłaszcza że Nogi nie mógł tego zweryfikować.

Przynajmniej tak mi się zdawało.

– No to chodź, cwaniaczku. – Nogi zeskoczył z ławki, splunął do piaskownicy i ruszył w kierunku najbliższej klatki schodowej. A ja tuż za nim.

\* \* \*

Czteropiętrowy blok pomalowany na pastelowe kolory. Popsuty, pobrząkujący domofon, pęknięty klosz i niedziałająca żarówka. Drzwi do piwnicy zamazane rysunkami fiutów, wyznaniem miłości i antysemitkami. Powyginane poręcze i zasyfione schody. Skrzynka na listy przygnieciona toną gazetek promocyjnych i ulotek. Smród pleśni wymieszanej z trutką na szczury.

Klatka schodowa budynku, w którym mieszkał Nogi, niczym się nie różniła od mojej. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Bo kiedy zeszło się do podziemia, ukazywał się inny świat.

Nie mam pojęcia, jak sąsiedzi mogli się na to zgodzić – i przypuszczam, że się nie zgodzili – ale Nogi zaanektował całą przestrzeń wspólną między piwnicami. Na haku wkręconym do sufitu powiesił worek treningowy, kazał przytargać ławkę do ćwiczeń, ciężary oraz hantle, wstawić kilka krzeseł i stolik, przy którym jego przydupasy miksowały odżywki, skręcały jointy bądź ważyły i dzieliły amfetaminę, mefedron albo jakieś inne ścierwo. Wydawało się to mocno przypałowłe, ale Nogi zapewne tak sterroryzował sąsiadów, że żaden nie miałby odwagi zejść na minus jeden lub zadzwonić na policję.

Kiedy kilka dni wcześniej wypatrzył mnie w tłumie przed meczem i powiedział, że musimy pogadać, nie miałem pojęcia, czego chce. Teraz już wiedziałem, że przeprowadza test. Sprawdza, czy nadaję się do bycia jednym z nich. Małolatem, który będzie gonił towar i ścigał elkaesiaków. Nogi musiał zweryfikować, czy akcja z Arką była przypadkiem, czy też przez przypadek objawiła nowy chiliński talent.

– Załóż sto dwadzieścia – powiedział do jednego z dwóch łysych, napiętych przydupasów w koszulkach bez rękawów, którzy skutecznie trenowali w jego królestwie. A przy okazji rujnowali sąsiadom miłe sobotnie popołudnie, słuchając durnego rapu Firmy tak głośno, jakby organizowali podziemny koncert.

Nogi zdjął kurtkę i bluzę dresową, spod których wyloniły się wielkie wytatuowane łapska – na jednej ręce miał wydzarany herb Widzewa, na drugiej jakąś łacińską sentencję. Wykonał kilka wymachów rękoma, co chyba miało imitować rozgrzewkę, i położył się na ławce. A potem zaczął tłuc sztangą o klatkę piersiową, jakby chciał sobie złamać mostek, co z kolei miało chyba imitować wyciskanie.

Co nie zmienia faktu, że wycisnął ją dziesięć razy. Skurczybyk był silny jak koń.

– Teraz ty, młody – oznajmił, zwalniając ławeczkę.

– Ale tu jest sto dwadzieścia kilogramów – odparłem, celując palcem w wielkie żelbetonowe obciążniki samoróbki, przez które sztanga przypominała samochód Freda Flinstone’a.

– No i chuj?

– Nie dam rady tyle. – Przydupasy Nogiego zarżały co najmniej tak, jakbym wyznał, że nigdy nie spałem z kobietą. Co zresztą było prawdą. – Ktoś mnie chociaż zaasekuruje?

– Nie bądź pizda. Dawaj!

Nogi zajął kolejnego peta i pomieszczenie momentalnie wypełnił gryzący dym. Zerknąłem w stronę schodów. Może podświadomie liczyłem na to, że do piwnicy wparują psy. Albo chociaż wkurwiony sąsiad z tłuczkiem do mięsa. Ale nic takiego się nie stało. Nie mogło się stać. I dlatego położyłem się na tej cholerniej ławeczce.

Wiedziałem, że tyle nie podniosę, ale musiałem spróbować. Pozwolić, aby zmiażdżyła mnie sztanga. I mieć nadzieję, że gdy te głupki przestaną rzeć, ściągną ze mnie to cholerstwo.

Starannie objąłem gryf, wziąłem głęboki wdech, a następnie spróbowałem ściągnąć sztangę ze stojaków.

I zdarzył się cud.

Odbiłem żelastwo od klatki piersiowej i wycisnąłem je nad siebie. Tak, wycisnąłem. Do pełnego wyprostowania ramion. Bez niczyjego wsparcia. Wyłącznie siłą własnych mięśni. I głową.

Kiedy odłożyłem sztangę na miejsce, myślałem, że uniosę się ze szczęścia. Ale jednocześnie bardzo, ale to bardzo pragnąłem ukryć swoje podniecenie przed tymi troglodytami.

– A więc jednak nie jesteś pizdą – orzekł Nogi. Był to pierwszy i, jak się potem okazało, największy komplement, jaki od niego usłyszałem.

Gdy kilkanaście minut później wynurzyliśmy się na powierzchnię wyposażeni w pięćdziesiąt gramów haszu, trzydzieści pigułek ecstasy i kilka tytek z amfetaminą, które Nogi planował pogonić do wieczora, wciąż rozmyślałem o swoim wyczynie.

– To niemożliwe – powiedziałem. – Nierealne.

– Co?

– Sto dwadzieścia kilogramów. Nie wycisnąłbym tyle. Wasze ciężary muszą być grubo niedoważone.

Nogi uśmiechnął się pod nosem. Przez jego głowę przebiegło coś, co wydawało się pochodzić z innego, niechuligańskiego świata. Coś jak inteligencja.

– Naucz się, kurwa, liczyć – burknął i pożegnał mnie finałowym splunięciem.

Nigdy się nie dowiedziałem, ile tak naprawdę wziąłem na klatkę tamtego popołudnia, ale z czasem przestałem o tym myśleć. Zastanawiałem się za to, w jaki sposób Nogi to wszystko zaplanował. Wyraźnie słyszałem, jak kazał tym tłukom przygotować sto dwadzieścia kilogramów. To oznaczało, że musieli znać szczegóły tego zgrabnie zaplanowanego fortelu. A Nogi musiał wiedzieć o mnie więcej, niż mi się zdawało.

Nauczyłem się wtedy, że nie należy pochopnie oceniać ludzi tylko dlatego, że wyglądają jak mały i parają się bandyterką. Była to lekcja, która potem kilkakrotnie uratowała mi życie.

\* \* \*

Odkąd poznałem Nogiego, moje życie stało się jeszcze bardziej widzewskie. Bardziej nieokrzesane. Bardziej patologiczne. Po prostu dziwniejsze.

Ale i tak najbardziej zaskakującą rzeczą, z jaką zetknąłem się w tamtym czasie na stadionie lub w jego okolicy, była... książka. A konkretnie *Histologia zwierząt* Kuryszki i Zarzyckiego. Zauważyłem ją w rękach dwudziestoparolatka z fryzurą przypominającą hełm. Facet siedział naprzeciwko mnie na zimnej podłodze pociągu wiozącego nas z Gdańska do Łodzi, kilka godzin po meczu z Lechią. Być może odrobinę zbyt długo wpatrywałem się w okładkę, bo kiedy przeniosłem wzrok na chłopaka, zobaczyłem oczy wypełnione złością.

– *Histologia zwierząt?* – zagałem.

– To na studia – odparł. Jego głos brzmiał, jakby gość jeszcze nie w pełni uporał się z mutacją.

– Domyśliłem się, że nie czytasz dla przyjemności. Studiujesz w Łodzi?

– W Warszawie. SGGW. Wyżymają nas tam jak kurwy majtki po dyżurze. Dlatego każdą wolną chwilę przeznaczam na naukę.

– Ale że ci się chce... – rzuciłem. Nie byłem pewny, czy chodzi mi o czytanie, czy o wyjazdy na mecze.

– Nie mam wyboru – odparł. Być może miał ten sam dylemat.

Kiedy myślałem, że już dziwniej nie będzie, ktoś właśnie zaciągnął hamulec bezpieczeństwa i szarańcza chamów wylała się z pociągu, aby splądrować przydrożny sklep. A pośród tej nieokrzęsanej zgrai przyszedł weterynarz. Koleś obrał pechowo położoną budę z napojami z dwóch czteropaków piwa, którego nawet nie wypił, bo przecież przygotowywał się do kolokwium.

Ten człowiek nie był odosobnionym przypadkiem. Jeżdżąc na mecze, nagapiłem się na lekarzy, prawników, korporacyjnych menedżerów, przedsiębiorców. Na dziewczyny z bogatych przedmieść i ze świętojebliwych domów. Na doktorów habilitowanych, którzy w tygodniu rozprawiali o fizyce płynów, a w weekendy uprawiali wielofazowe odpinanie wrotek. Kiedy zbliżał się mecz, wszyscy ci ludzie zamieniali się w kibicowskie bestie. Znikały garniturki, krawaciki i aktóweczki, w ich miejsce pojawiały się dresy, szaliki i wypełnione browarami lodówki turystyczne. Oczywiście nie wszyscy od razu lali się po mordach, niektórym wystarczała sama obecność na meczu. Ale trafiali się i tacy, jak choćby ten niedoszły weterynarz, dla których bierny udział to było mało. Tacy, którzy chcieli być pełnoprawną częścią tego agresywnego motłochu: wyzywać innych szalikowców, rzucać kamieniami w policjantów, rabować sklepy, demolować stadiony. A kiedy trzeba, to i tłuc się z przeciwnikami. Kiedy przychodził weekend, doktorowie Jekyllowie przeistaczali się w panów Hyde'ów.

Często się zastanawiałem, skąd się to bierze. Dlaczego kibolstwo jest tak demokratyczne. Jakim cudem wciąga ludzi, którzy powinni się znajdować na jego przeciwległym biegunie. W wielu wypadkach pewnie decyduje o tym presja tłumu. Ludzie chcą pokibicować Widzewowi, ponieważ interesuje ich boiskowa kopanina, ale kiedy trafiają między wrony, nie mają wyboru. Muszą rozpiąć naj-

wyższy guzik swojej wykrochmalonej koszuli, poluzować krawat i przynajmniej wylać szambo z gardła, a najlepiej ubrudzić sobie rączki. Czasem pewnie wciąga ich poczucie wspólnoty, zupełnie jak w sekcje. Rajcują się tym, że są częścią równoległego świata, który potrafi zaskakiwać bardziej niż wszystko, z czym stykają się na co dzień. A czasem pewnie dają się porwać bezkarności, jaką oferuje życie meczowe. Uwalniają w sobie małych sadystów, którym stadionowa tłuszcza raz na jakiś czas pozwalała się wyżyć. A to „raz na jakiś czas” w końcu staje się nałogiem, takim samym jak kompulsywne objadanie się czy walenie po kablach.

W moim przypadku prawdopodobnie zadziałał każdy z tych czynników. Ale chodziło o coś jeszcze.

W czasie matur spotkałem chłopaka, którego dzień wcześniej widziałem na meczu. Tak jak ja stał w tłumie pod stadionem, wyzywając matki policjantów od dziwek. Miał na sobie ten sam strój co ja: koszulka Widzewa, krótkie spodenki, adidas. Tak jak ja był wściekle podekscytowany. A dzień później? Garniturek, krawacik, aktóweczka. Do tego okularki przeciwsłoneczne, za którymi ukrył podbite oko. Choć chwilę wcześniej razem szarpaliśmy kraty i wygrzebywaliśmy kamienie z nasypu kolejowego, w szkole udawaliśmy, że się nie znamy. Nie zamieniliśmy nawet pół słowa. Mijając się na korytarzu, podarowaliśmy sobie jedynie ledwo zauważalne uniesienia brwi. Znak, że jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Że wypełzliśmy z jednej króliczej nory. Normalnie, kurwa, jak w *Fight Clubie*.

Niesamowicie kręciła mnie ta rynsztokowa elitarność.

Cóż, jaki kraj, taki *Fight Club*.

Oczywiście wiedziałem, że kibolstwo ma również drugą stronę, znacznie mroczniejszą od tej, którą znałem z klatek na stadionach i pociągów. Przez jakiś czas próbowałem ignorować jej istnienie. Ale kiedy zadajesz się z ludźmi pokroju Nogiego, masz pewne jak w banku, że prędzej czy później się z nią zetkniesz. I na dziewięćdziesiąt dziewięć procent nie będziesz nią zachwycony.

\* \* \*

Wicie, czemu Nogi zawdzięczał swoją ksywę? Poza bladym, łysym, pełnym krost i zaczerwienień łbem, który w tym świecie nie był niczym szczególnym, cechował go koszmarny brak proporcji. Do rozrośniętego tułowia doklejone były cieniutkie nóżki, które wyglądały tak, jakby pochodziły z trefnego kompletu kończyn. Nogi najwyraźniej miał z nimi problem, ponieważ każdy trening w piwnicy kończył kilkoma seriami przysiadów i wspięciami na palce ze sztangą, mając nadzieję, że to coś zmieni. Nie zmieniło. Genetyka tak go uwarunkowała, że choćby zeżał tonę odżywek i ćwiczył nogi trzy razy dziennie, nie zdołałby obudować giczek masą mięśniową adekwatną do reszty rozrośniętego cielska.

Gapiłem się na te chude nóżki, wyrastające spod czerwonych, zapewne wuefowych spodenek, kiedy kilka miesięcy po naszym pierwszym spotkaniu Nogi za-



brał mnie na akcję.

Zbliżały się derby. A kiedy zbliżają się derby, w mieście robi się nerwowo. Wbrew powszechnemu przekonaniu niebezpieczny jest nie tylko dzień meczowy, ale również kilka dni przed nim. To wtedy chamy poprzyklejane do obu drużyn organizują wjazdy na osiedla. Po części po to, żeby nastraszyć rywala, po części po to, żeby się rozgrzać przed D-dayem, a po części z głupoty i nudów. To dlatego w dniach przedderbowych ograniczałem spotkania z kumplami, a większość spraw towarzyskich załatwiałem przez komunikator Gadu-Gadu.

Aż nagle, nie wiedzieć kiedy, sam stałem się chamem.

Od czasu spotkania w piwnicy przytyłem siedem kilogramów, zaliczyłem ze trzydzieści treningów brazylijskiego ju-jitsu i wycisnąłem prawdziwe sto dwadzieścia kilogramów. Nogi musiał być zadowolony z moich postępów, ponieważ zaprosił mnie do udziału w akcji, którą organizował ze swoją ekipą z Marysina. Byli w niej dwaj kolesie, których poznałem w piwnicy, oraz jeszcze pięciu innych facetów. Łącznie ośmiu typów wyglądających jak niestarannie wyciosani kultu ryści. Oraz ja.

Ledwo się załadowaliśmy do dwóch golfów trójek i pojechaliśmy na Teofilów – do jaskini lwa.

Przedderbowe akcje są podwójnie ryzykowne. Przede wszystkim wypakowane schabami samochody cholernie rzucają się w oczy, a osiedlowa poczta pantoflowa działa bez zarzutu. Dlatego, jeśli chce się komuś spuścić wpierdol, trzeba to zrobić szybko, najlepiej w ciągu kilku minut od pojawienia się na blokowisku. Co prawda w tak krótkim czasie można najwyżej skopać paru kolesi, nabazgrać jakieś głupoty na murze, zdemolować czyjś samochód albo klatkę schodową. Gra nie jest warta świeczki. Ale chuligani rzadko postępują racjonalnie.

Drugie ryzyko polega na tym, że skoro byle dzieciak potrafi zauważyć grupę karków w golfie (i poinformować o tym starszego brata), mogą to zrobić także psy, które przed derbami obszczekują większość miasta.

Tego dnia mieliśmy jednak szczęście. Nogi postawił na bezczelność, każąc swoim giermkom jechać głównymi arteriami dzielnicy: Aleksandrowską, Traktową, Rojną. W kilkanaście minut dotarliśmy na wysokość pływalni Wodny Raj. Obciążliśmy z daleka elkaesiaków, którzy grupowali się na tyłach basenu, a następnie schowaliśmy się między blokami.

Istnieje niepisana zasada, która mówi, że dzieci powinny się bić z dziećmi, a dorośli z dorosłymi. Problem w tym, że widząc kogoś przez ułamek sekundy – na dodatek po ciemku, z odległości kilkunastu metrów i z adrenaliną buzującą w żyłach – nie tak łatwo stwierdzić, z kim ma się do czynienia. Mimo to, kiedy grupka zakapturzonych dresiarzy weszła na podwórko, przy którym zaparkowaliśmy, Nogi był absolutnie pewien, że powinniśmy spuścić im wpierdol.

Wysiedliśmy z samochodów.

Gapiąc się na chude nóżki, które zadziwiająco sprawnie popychały do przodu nieforemne cielsko Nogiego, zastanawiałem się, co tam robię. W przededniu derbów. Pośród chamów. Z zamiarem wyrządzenia krzywdy ludziom, których nie znam. I którzy, nawet gdyby byli wstrętnymi ełkaesiakami, wyzywającymi widzewiaków od pedałów i żydującymi widzewskie graffiti, nie zasłużyli na glanowanie.

Sprawy działały się jednak strasznie szybko. Zanim się zorientowałem, chude nóżki już nie biegły, tylko kopały zwiniętego w kłębek chłopaka, który skamlał o litość. Dałbym sobie rękę uciąć, że kopany miał mniej niż osiemnaście lat.

– Napierdalaj go! – wrzasnął Nogi, nie przerywając swojej, że tak to ujmę, pracy. – Butuj cwela!

Byłem absolutnie przerażony sytuacją, w jakiej się znalazłem. Nie miałem najmniejszej ochoty kopać gościa, którego nie znałem, który wydawał się młodszy ode mnie, któremu z całą pewnością chodził po głowie inny pomysł na przedderbowy wieczór. Nie chciałem uczestniczyć w tym syfie. Ale gdybym wtedy wydygał, po powrocie na osiedle skończyłbym tak samo jak te dzieciaki. Na glebie. Zbutowany. Ośmieszony. Zhańbiony.

Sprawy działały się szybko. Za szybko...

Wiecie, jakie to uczucie kopać leżącego?

Wolelibyście nie wiedzieć.

### 3.

Słyszałem dziesiątki historii o dzieciakach, które wstąpiły na bandycką ścieżkę, bo rzekomo nie miały wyboru. Bo wychowały się w domach przesiąkniętych wódą, prostytutką lub przemocą. Bo wpadły w niewłaściwe towarzystwo. Bo doświadczyły jakiejś traumy, która sprawiła, że stały się wkurwionymi abnegatami, dla których liczy się tylko sianie strachu i zniszczenia.

Nie byłem jednym z tych dzieciaków. W żadnym wymiarze.

Moi starzy to typowi reprezentanci klasy średniej, którzy zawsze – a na pewno od upadku komuny – aspirowali do wyższej. Matka jest absolwentką anglistyki i ekonomii, pasjonatką Wielkiej Brytanii i dyrektorką łódzkiego oddziału jednej z ogólnopolskich sieci szkół językowych. To piekielnie bystra babka, która lubi stawiać na swoim, nawet jeśli nie ma racji. Z kolei ojciec przez całe życie coś naprawiał (drukarki, routery, modemy), instalował (systemy operacyjne, oprogramowanie), kalibrował (monitory, telewizory) albo formatował. Informatyk złota rączka. Pewnie mógł osiągnąć więcej w swojej specjalizacji, ale zawsze czuł się przydatny i nie sprawiał wrażenia sfrustrowanego życiem, tym bardziej że przesadnie wiele od niego nie oczekiwał.

W domu nie brakowało kasy. Starzy ciągle powtarzali, że gdy skończę studia i przestanę mieć fiu-bździu w głowie, kupią mi mieszkanie. Karolowi, mojemu młodszemu bratu, miał przyspaść lokal po dziadkach. Chcieli, abyśmy w razie ich nagłej śmierci mieli zagwarantowane przynajmniej dziesięć lat względnie spokojnego życia. Dlatego nie szastali hajsem, tylko mozolnie tkali dla nas pas do startu w dorosłe życie. A jeśli czasem zaszałeli, to wyłącznie wtedy, kiedy naprawdę nie mogli sobie odmówić przyjemności – na przykład fundując nam rodzinne wakacje w Szkocji albo kupując nowiutkiego rovera.

Jeżeli czegoś nam brakowało, to rozsądku.

Kilka moich wpadek już znacie. Wyliczankę grzeszków Karola powinienem zacząć od tego, że kiedyś, na początku gimnazjum, podłożył nauczycielce chemii pinezkę pod tyłek. Potem były podpalony śmietnik, handel ściąganyymi z netu pornosami, zatrucie alkoholem, które skończyło się wizytą w ośrodku toksykologicznym. Wreszcie, już w liceum, pojawiły się dopalacze.

Karol zadziwiająco łatwo wpięprzał się we wszystkie bliżej niezidentyfikowane ścierwa do palenia, wążchania czy polykania. Całymi dniami chował się z kumplami po piwnicach, gdzie walili bomby z wiader albo wciągali kreski. Sąsiedzi przeganiali ich z miejsca na miejsca, a oni mimo to wciąż znajdowali nowe

miejscówki. Jakby byli osiedlowymi deweloperami z nieograniczonym dostępem do wszystkiego, co znajduje się na poziomie minus jeden.

Któregoś wieczoru zadzwonił do mnie jeden z kolegów Karola. Poprosił, żebym zgarnął braciszka. Myślałem, że po zażyciu jakiegoś syfu zarzygał piwnicę albo zaległ nieprzytomny na starej wersalce. Ale było dokładnie odwrotnie. Siedemnastoletniego Karolka wystrzeliło z butów. Rozebrał się do naga i zaczął straszyć koleżków, że zleje ich pytą po twarzy. A kiedy na chwilę zostawili go samego, wyciągnął z szafek słoiki na przetwory, poodkręcał je, ustawił na podłodze niczym kręgle i do nich naszczał. Patologia w czystej postaci.

Rodzice nie byli zachwyceni postępowaniem Karola. Zwłaszcza matka, która często wracała z wywiadówek we łzach. Ale mimo to wierzyli, że to tylko tymczasowy problem. Że z czasem sam się rozwiąże. Że Karol wydorosłaje.

Ale ludzie rzadko zmieniają się w taki sposób, jakiego się od nich oczekuje.

Wiele wskazywało na to, że jeśli ktoś z naszej dwójki spierdoli sobie życie, to nie będę to ja. Poza tym, że od czasu do czasu dałem komuś w mordę, nie stwarzałem większych problemów. Uczyłem się całkiem nieźle, zachowywałem w miarę przyzwoicie, unikałem większych przypałów. Interesowałem się historią, polityką, sprawami międzynarodowymi, kinem. Chciałem – o ironio! – zostać prawnikiem. Najlepiej prokuratorem albo sędzią. Kimś, kto będzie wymierzał sprawiedliwość i wsadzał szumowiny do więzienia. Podskórnie czułem, że ze swoją wrodzoną zawziętością byłbym w tym niezły.

Ale potem życie mi uświadomiło, że marzenia są po to, aby złośliwy los miał na czym ćwiczyć glanowanie.

\* \* \*

Przez długi czas mogłem uchodzić za nieasertywnego idiotę, który nie tylko nie potrafił odmówić osiedlowemu patusowi, ale wręcz łaknie jego akceptacji i szacunku. Przyznaję: kręcił mnie ten świat. Ich świat. Świat tych, którzy zatrwają społeczeństwo. Chciałem – niczym Walter White z *Breaking Bad* – móc kiedyś powiedzieć, że *I'm the one who knocks*<sup>[1]</sup>. Skurwysynem, przed którym matki ostrzegają dzieci, faceci chowają swoje kobiety, a emerycy zamykają się na dodatkowy zamek i klepią pacierz.

Nie wiem, dlaczego tego pragnąłem. Nie wiem, czy to miało mi coś rekompensować. Naprawdę nie wiem, co sprawiło, że tak durny pomysł przez kilka miesięcy wydawał mi się zajębistym sposobem na życie.

Dopiero po tamtej akcji na Teofilowie zacząłem się wykręcać z towarzystwa. Liznąłem tę rzeczywistość, przeanalizowałem jej smak i podziękowałem. Oczywiście nie mogłem olać Nogiego ciepłym moczem i udawać, że się nie znamy. Musiałem być sprytny. Dlatego wykręcałem się stopniowo, ale metodycznie. Za-

cząłem odmawiać Nogiemu w błahych sprawach. Unikałem miejsc, w których mógłbym go spotkać. Odbierałem co drugi telefon. Na mecze jeździłem ciut później albo ciut wcześniej, a potem ustawiałem się ciut bardziej na prawo albo ciut bardziej na lewo względem gniazдового. Łatwizna.

Oczywiście istniało ryzyko, że w którymś momencie Nogi zaprosi mnie na rozmowę wychowawczą. Zauważy, że coś kręcę. Ale kiedy jeszcze się regularnie spotykaliśmy, widziałem, jakie ilości dragów goni na osiedlu i ile telefonów odbiera. Był cholernie zarobiony. Poza tym podejrzewałem, że ma kilku takich chłopczków jak ja – kandydatów na gangsterów. Nie był durniem. Nie obstawiłby tylko jednego konia.

Z tygodnia na tydzień miałem z nim coraz mniej do czynienia, a on zachowywał się tak, jakby to nie był problem. Być może miało znaczenie to, że jeszcze bardziej zmężniałem. Sto dwadzieścia kilogramów wyciskałem już w czteropowtórzeniowej serii, a podczas treningów BJJ regularnie spuszczałem łomot jednemu z przydupasów Nogiego, który mógł szepnąć szefowi do ucha, że zrobił się ze mnie kawał niebezpiecznego skurwysyna. Schlebiałem sobie, że facet, przed którym jeszcze do niedawna trząsałem portkami, może się bać konfrontacji z takim szczyłem jak ja.

Choć oczywiście bardziej prawdopodobny był scenariusz, że Nogi zwyczajnie ma mnie w dupie.

Nastał czerwiec 2011 roku. Byliśmy świeżo po maturach i nagraliśmy sobie z kumplami pracę wakacyjną. W lipcu mieliśmy wyrywać chwasty na polu pod Konstantynowem Łódzkim, a w sierpniu wyjechać do Mielna. Dwa tygodnie chłania w barakowozie, kąpieli w zimnym morzu, nieudolnych podrywów. Byliśmy tym wszystkim zdrowo podjarani. A ja chyba najbardziej, bo w ciągu kilku ostatnich tygodni udało mi się całkiem nieźle napisać maturę, zrobić prawko za pierwszym podejściem i przelizać z ładną dziewczyną na dyskotece.

Czułem się wolnym człowiekiem, przed którym świat stoi otworem. Normalny świat. Świat ludzi, którzy nie wywołują u innych przyspieszonego bicia serca. Świat z moich szczenięcych snów.

I właśnie wtedy, gdy opuściłem gardę, przyszedł wieczór, w który spieprzyłem sobie życie.

\* \* \*

Aleja Politechniki. Przejście nadziemne na wysokości akademików i hali sportowej. Stara jak świat pordzewiała kładka, którą każdego dnia tysiące łodzian przemyka nad torowiskiem tramwajowym. Parna czerwcową noc. Nagrzany asfalt, nagrzane głowy.

Mieliśmy już nieźle w czubie, kiedy kierując się do jednego z klubów studenckich, do którego najpewniej i tak by nas nie wpuszczono, postanowiliśmy zrobić

pit stop nad torowiskiem. Zamierzaliśmy wypić ostatnie biforowe piwa, wypalić kilka papierosów, pośmiać się, popluć na tramwaje. Nic wielce przypałowego. A na pewno nie bardziej, niż zdarzało nam się robić nieraz.

Czterech świeżo upieczonych maturzystów i mój brat – uczeń drugiej klasy liceum. Nie pamiętam dokładnie, o czym rozmawialiśmy. Pewnie o planowanych wakacjach w Mielnie, o studentkach, które łudziliśmy się poderwać w klubie, o dragach, bo był z nami Karol, i o piłce nożnej, bo ten temat w taki czy inny sposób zawsze powracał. Z całego półgodzinnego przystanku na kładce zapamiętałem tylko jeden dialog.

– Jeżeli kiedykolwiek zostanę kolesiem, któremu ludzie charkają na narzędzie pracy, to podetnę sobie żyły – powiedział Karol, spluwając na przednią szybę przejeżdżającego pod nami tramwaju.

– Robota jak każda inna, ważne, żeby hajs się zgadzał – odparł Czarek, chyba najtwardziej stąpający po ziemi członek naszej ekipy. – A ty co chcesz w życiu robić? Jeździć po świecie i jarać jointy jak Tony Halik?

– Pisać książki.

– O czym?

– O życiu.

– Swoim?

– Moim, waszym, wszystkich. Zwykłych ludzi.

– To już więcej zarobisz jako motorniczy. Albo zrywając z nami chwasty.

– Najlepsze książki są o życiu. – Karol zapatrzył się przed siebie, jakby próbował objąć wzrokiem całe miasto. – *Ślepe tory, Mechaniczna pomarańcza, Requiem dla snu.*

– To nie są książki o życiu, tylko o dragach – zauważyłem. – W sumie fajnie, że czytasz coś więcej niż wpisy ćpunów na Hyperrealu, ale mógłbyś trochę urozmaicić bazę. A przede wszystkim mógłbyś przestać ładować to gówno po piwnicach.

– To gówno rozszerza moją świadomość.

– Ostatnio rozszerzyłeś zimowe zapasy starej swojego kumpla.

Roześmialiśmy się. Nie, nie roześmialiśmy. Zarżeliśmy. Zarechotaliśmy. Zanieczyszczyliśmy powietrze świńskim, wstrętnym darcie japy, które musiało przestraszyć przechodniów. Ale wtedy nie zaprzętałem tym sobie głowy.

– Gdybyś otworzył się na nowe doznania – bronił się Karol – może nie musiałbyś jeździć po osiedlach i butować jakichś gówniarzy.

– Butować? – zdziwił się Czarek. – Komu znowu wpierdoliłeś?

Od akcji na Teofilowie upłynęło kilka miesięcy. Nikomu o tym nie powiedziałem, bo i nie było się czym chwalić. A skoro Karol nie usłyszał tego ode mnie ani od żadnego z naszych wspólnych znajomych, musiał mieć styczność z ludźmi Nogiego. Pewnie kupując od nich towar. Cóż, nie było w tym nic zaskakującego.

– Nikomu – zaprzeczyłem, nie spuszczać wzroku z brata. – Karolkowi coś się pojebało. Dopalury zryły mu beret.

Na szczęście chłopaki nie zamierzały ciągnąć wątku, więc nie musiałem się tłumaczyć. Kiedy pierwszy z nas opróżnił swój zapas browarów, zarządziliśmy koniec przerwy. Zgarnęliśmy niedopity alkohol i ruszyliśmy w stronę schodów. Za pięć minut mieliśmy płaszczyć się przed ochroniarzami, udając w miarę trzeźwych studentów.

Ale zanim zeszedliśmy na chodnik, na kładce pojawiło się czterech facetów ubranych w czarne bluzy dresowe. Ponurych, pewnych siebie, groźnych. Szli w naszą stronę. Gdybym był z widzewiakami, pewnie w pierwszym odruchu chciałbym się z nimi łąć. Ale w towarzystwie cherlawych ziomków z osiedla pomyślałem o ucieczce. Odwróciłem się. I struchlałem, bo z drugiej strony przejścia nacierała na nas bliźniacza grupa.

Mieliśmy absolutnie i nieodwołalnie przejebane.

Ale z innego powodu, niż się spodziewałem.

– Policja! Odłóż to, kurwa!

Zanim się zorientowałem, że nie grozi nam ciężki wpierdol, a co najwyżej niezbyt przyjemna pogawędka, mandat, a w najgorszym razie izba wytrzeźwień, stałem z rękoma wykręconymi do tyłu, a wkurwiona funkcjonariuszka machała mi przed twarzą legitymacją policyjną.

Jak się później dowiedziałem na komisariacie, jeden z przechodniów, który paręnaście minut wcześniej przemknął cichaczem obok naszej hałaśliwej grupy, przestraszył się i wezwał psy. Pech chciał, że kilka godzin wcześniej jacyś gówniarze pobili faceta w parku Poniatowskiego, ledwie kilkaset metrów stąd. Policjanci ruszyli w teren, żeby ich wyłapać. Byli wyjątkowo wyczuleni na wszelkie wzmianki o naprutyh dzieciakach.

– Co wy tu odpierdalacie? – spytał jeden z gliniarzy, kiedy już zapanowali nad sytuacją.

– Nic, tylko przechodziliśmy – skłamał Czarek.

– A ja słyszałem, że rzucacie butelkami w tramwaje.

– Jedna butelka spadła nam na tory, ale nie jechał wtedy żaden tramwaj. Przyśięgam.

– Zapytam jeszcze raz: co tu odpierdalacie?

Czarek chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Idziemy do klubu – wyjaśniłem. – Zrobiliśmy postój na piwo. Nic więcej.

Być może w to uwierzyli, ale i tak musieli się dowiedzieć, kim jesteśmy i czy możemy mieć coś wspólnego z tamtym pobiciem. Zebrali od nas dokumenty – cztery dowody osobiste i legitymację szkolną Karola – a potem zaczęli trzepać. Sprawdzali, co mamy w kieszeniach, portfelach i butach. Obmacywali nas wszę-

dzie tam, gdzie dało się coś wcisnąć. Tylko czekałem, aż każą nam rozebrać się do majtek, a potem zobaczą, czy nie skitraliśmy czegoś w dupie.

Tego dnia Karol przy nas nie ćpał. Wiedział, że tego nie lubię. Ale gdy spojrzałem na jego przerażoną twarz, zrozumiałem, że coś ze sobą ma. Że za chwilę psy znajdą u niego dopsy, fetę albo jakiś inny szajs. Że za momencik całe jego pokraczne życie pójdzie się jebać.

– Co to jest?

Przeniosłem wzrok na policjantkę. Zmrużyłem oczy, a potem rozdziawiłem usta. Nie wierzyłem w to, co widzę. Nie wierzyłem, że wygrzebała z mojej kieszeni tytkę z trawką. To nie było możliwe. Jak powiedziałyby moja matka: *no fucking way*.

– Nie mam pojęcia – odparłem zgodnie z prawdą. – To nie moje.

Funkcjonariuszka się uśmiechnęła.

– A jak złapią cię za rękę, mów, że to nie twoja ręka.

– Co?

– Gównno. – Kobieta odwróciła się do jednego z kolegów i klepnęła go w ramię. Facet spojrział na nią, potem na zawartość tytki, a na koniec na mnie. Wyglądał na szczerze rozbawionego.

– Masz przejebane, chłopczyku – powiedział.

Miał rację. Miałem przejebane.



#### 4.

Lekcja na całe życie. Jeżeli zdarza się wam mieć narkotyki, to nigdy, przenigdy sobie nie ufajcie. Sprawdzajcie kieszenie za każdym razem, kiedy wychodzicie z domu: na spacer z psem, pobiegać po lesie, na miasto. Musicie mieć pewność, że jeśli zrobicie coś głupiego lub nielegalnego, nawet jeśli miałyby to być tylko wysikanie się pod drzewem albo nieposprzątanie po jamniku, w najgorszym razie spotka was minimalny wymiar kary.

Jeżeli o tym zapomnicie, któregoś dnia możecie wylądować na obskurnym posterunku, gdzie sterty pożółkłych papierów piętrzą się na odrapanych biurkach, komputery pamiętają czasy Alana Turinga, a do tego niemożliwie śmierdzi potem. Gdzie przez kajdanki wrzynające się w nadgarstki nie możecie się nawet podrapać po tyłku. I gdzie lampi się na was stary wąsaty cham, któremu spędzanie piątkowego wieczoru w tym obsranym głównym chlewie jest ewidentnie nie w smak.

– Nie mam pojęcia, skąd się to wzięło – powiedziałem już chyba po raz piętnasty, po raz piętnasty wywołując uśmiech politowania na twarzy policjanta.

– A kto ma wiedzieć, kochasiu? – spytał wąsacz. – Twoja matka?

Była to całkiem niegłupia sugestia. Matka mogła się natknąć na torbę z palieniem, ponieważ zwykle sprawdzała kieszenie moich ciuchów przed wrzuceniem ich do pralki. Oczywiście nie miałem do niej pretensji, ale cholernie żałowałem, że zamiast zмагаć się z drobną domową awanturą, trafiłem do tej pierdolonej psiej meliny.

– Nie jestem ćpunem. Ani tym bardziej dilerem. Nie wystawię wam gościa, który dał mi towar, bo nie wiem, jak to się znalazło w mojej kieszeni. – Zaśmiałem się z własnych słów, z własnej bezradności. – To jakiś cholerny przypadek.

Oczywiście potem, kiedy emocje opadły, przypomniałem sobie tę domówkę. Byliśmy już niezłe zrobieni browarami i wódką, gdy jakiś koleś postanowił skrócić kilka gibbonów przed wyjściem do klubu. Sporządził je na skrawku zastawionego butelkami stołu, gdzie zmieściły się tylko bibułki, filtry i kilka mocno zbitych topów marihuany. Dla kilkugramowego worka nie starczyło już miejsca, a typ zamiast włożyć go z powrotem do portfela, w gacie czy gdziekolwiek indziej, podarował go mnie. Na przechowanie, na chwilę, wyłącznie na czas skręcania. A ja, przejęty tak odpowiedzialnym zadaniem, wcisnąłem tytkę do zapinanej kieszeni, do której prawie nigdy nie zaglądałem. I chwilę później o tym zapomniałem. Potem poniósł nas melanz, a ja już nigdy więcej nie spotkałem kolesia, który najwyraźniej także zapomniał o przypalowym pakunku.

Skończyło się tym, że chociaż paliłem jointy tylko od wielkiego dzwonu i w środowisku pełnym rekreacyjnych ćpunów uchodziłem wręcz za abstynenta, zostałem złapany na posiadaniu trawki. Chichot losu? Pech? A może karma?

– Widziałem już różne przypadki. – Pies zajarzał szluga, nawet nie siłąc się na uchylene okna. – Widziałem na przykład, jak jeden typ drugiemu typowi zwałił konia, a potem powiedział, że to był wypadek. Albo jak nawalony koleś przez wypadek wypadł z czwartego piętra. Widziałem nawet babę, która przez wypadek wzięła nie te leki, co trzeba, i tak się nimi porobiła, że nie poznała własnego syna. Ale jeszcze ani razu nie spotkałem się z tym, żeby gówniarz miał przy sobie towar i o tym nie wiedział. – Pokręcił głową. – To nie był wypadek, kochasiu.

Facetowi z dużą łatwością przychodziły te pasywno-agresywne gierki. Nie mogłem się jednak oprzeć wrażeniu, że wolałby to rozwiązać inaczej, w starym stylu. Że najchętniej przeciągnąłby mnie przez biurko, skuł mi mordę, a po wszystkim nabił sobie guza, aby móc powiedzieć przełożonym, że go napadłem. Znałem ten typ. Widywałem setki takich koleś na meczach. Trochę niezdrowo podjaranych, trochę niewyżytych, trochę niespełnionych, trochę durnych. Widząc, jak się zachowują, czasem myślałem, że stałaby się straszna tragedia, gdyby ktoś taki dostał odrobinę władzy.

– Gdzie jest mój brat? – spytałem.

– Braciszek diler?

– On nie jest dilerem.

– No jasne. On też przez wypadek miał przy sobie trawkę, amfę i jakieś niezidentyfikowane gówno.

Wąsacz nie powinien był mi tego mówić, ale widocznie nie mógł się powstrzymać.

– Co z nim zrobicie?

– Jest nieletni, więc pewnie wyląduje w poprawczaku. A jak już stamtąd wyjdzie, dołączy do ciebie. Tacy jak wy zawsze kończą w ten sam sposób. Pod butem takich jak ja.

Wstał zza biurka. Już myślałem, że rzuci mnie na podłogę i przygniecie policyjnym trepem, aby zademonstrować to, o czym właśnie wspomniał, ale on tylko postawił nogę na moim krześle. Co też nie było miłe, bo jego krocze znalazło się niepokojąco blisko mojej twarzy.

– Znasz dowcip o białasie schwytanym w dżungli przez dzikusów? – Moze i znałem, ale byłem zbyt przejęty okolicznościami, żeby go sobie przypomnieć. Pokręciłem głową. – Początkowo czarnuchy chciały go załatwić, ale po krótkiej naradzie dały mu wybór: bubu albo śmierć. Białas wybrał bubu, więc dzikusy zerznęły go w kakaowe oko i wypuściły. Po godzinie pałętania się po dżungli z obołałym dupskiem koleś spotkał kolejną grupę brudasów. Historia się powtórzyła.

Bubu albo śmierć. Wybrał bubu i znowu go wydupczyli. Po kolejnej godzinie facet jeszcze raz spotkał czarnuchów, a ci jeszcze raz dali mu wybór. Koleś miał już tak przeoraną dupę, że za nic w świecie nie chciał powtórzyć ruchania. Wybrał śmierć. Wódz tylko się uśmiechnął. „Dobrze – powiedział. – W takim razie śmierć przez bubu”. – Policjant wypchnął biodra do przodu, jakby chciał nakryć kroczem moją twarz. – W pierdłu nie będziesz miał wyboru, kochasiu. Tam na takich pięknych chłopców czeka wyłącznie bubu.

Wiedziałem, że straszenie gwałtem to jeden ze standardowych zabiegów stosowanych wobec zatrzymanych, od których chce się wyciągnąć informacje. Nie-wyszukany, wręcz prostacki. Tyle że nie miało to żadnego znaczenia. Byłem posrany jak cholera. A przez to bezbronny. I łatwy do zmanipulowania.

\* \* \*

Wąsaty kutasiarz maglował mnie przez bite dwie godziny, ciągle zadając te same pytania, żonglując bliźniaczymi groźbami i notorycznie nazywając kochasiem. Jego następcą natomiast zdawał się pochodzić z zupełnie innej bajki. Eleganckie okulary z grubymi oprawkami, krótkie włosy na żelu, koszulka w serek. Przypominał piłkarza Ekstraklasy albo żigolaka świadczącego usługi dla starszych pań.

– Ile wyciskasz? – zapytał, patrząc na moje ramiona.

– Sto czterdzieści – odparłem, ulicznym zwyczajem podrasowując rekord.

– Nieźle. Ja nigdy nie przepadałem za siłką. Wolę rower. Trenujesz coś?

– BJJ, a wcześniej muay thai.

– Z jakim skutkiem?

– Różnym. Ale częściej jestem na górze niż na dole.

Policjant się uśmiechnął.

Niepokoili mnie jego uprzejmość. Oczywiście mogło się zdarzyć, że facet źle odczytywał sygnały i napalił się na kontynuację naszej znajomości w mniej formalnych okolicznościach, ale bardziej prawdopodobne było, że razem z wąsaczem testują na mnie taktykę dobrego i złego policjanta. A skoro nakreślili jakiś plan na przesłuchanie, być może wcale nie byli takimi oferantami, za jakie ich uważałem.

– Wiesz, co ci grozi za posiadanie takiej ilości marihuany? – spytał.

– Od kilku miesięcy do półtora roku pozbawienia wolności. Oczywiście w zasłuchaniu. I oczywiście tylko wtedy, gdy udowodnicie, że posiadałem te narkotyki umyślnie. A tak nie było.

Facet zdjął okulary i przetarł oczy.

– Ciekawe, że nie znasz ćpuńskich procedur na wypadek podobnych akcji, ale kojarzysz podstawy prawa. Zwykle jest odwrotnie.

– Chodziłem do klasy prawniczej. Chcę zostać prokuratorem albo sędzią. – Zamim się roześmiał, dodałem: – Dlatego byłoby miło, gdybym mimo tego niefortunnego incydentu pozostał osobą niekaraną.

Policjant ponownie włożył okulary.

– Interesujesz się czymś oprócz prawa?

– Historią, filmem, sportem.

– Widzew czy ŁKS?

– A ma to jakieś znaczenie?

– Nie dla mnie. Mam w nosie piłkę. Cokolwiek powiesz, nie zmieni to twojego położenia.

– To po co pan pyta?

– Z ciekawości.

Kolejny irytująco uprzejmy uśmiech.

– Widzew.

– Jeździsz na mecze?

– Czasami.

– Z bratem?

– Nie. Karol, podobnie jak pan, nie interesuje się piłką.

– A czym?

– Sporo czyta. Chce pisać książki.

– Po spędzeniu kilkunastu miesięcy w poprawczaku będzie miał o czym.

– On ma problem. Nie jest dilerem, tylko ćpunem. Wpieprzył się w to bagno przez dopalacze. Jedyłą osobą, której wyrządza krzywdę, jest on sam.

– I może właśnie dlatego na jakiś czas powinien zmienić środowisko. O ile ciebie rzeczywiście czekają pewnie zawiąsy, o tyle twój brat wpakował się po uszy.

Nie pamiętam, skąd się wziął ten pomysł, za to doskonale zapamiętałem przyływ nadziei, który towarzyszył jego narodzinom. Był jak ład na horyzoncie podczas rejsu po wzburzonym oceanie. Jak ujemny wynik testu na HIV. Jak światełko na końcu wielkiego, pokręconego, smoliście czarnego tunelu, z którego miałem się nigdy nie wydostać.

– Proszę posłuchać. – Pochyliłem się do przodu. – Nie mam pojęcia o narkotykach, to nie mój świat. Nigdy nie dilałem i nie wciągałem żadnego syfu. Trawkę palę tylko wtedy, kiedy jestem pijany i nie potrafię odmówić. Nawet nie umiem skrócić jointa. Znam się natomiast na kibolach. – Policjant podniósł głowę znad notatek. – Kojarzę większość chuliganów z Marysina, Radogoszcza i ze Stoków. Wiem, w jaki sposób organizują wjazdy na osiedla elkaesiaków, jak robią hajs. Mogę pomóc.

– W czym?

– W rozpracowaniu tego środowiska. Opowiem wszystko, co wiem. Bez ściemniania.

– A co chcesz w zamian?

– Tylko to, żebyśmy nie mieli z bratem problemów.

Policjant ponownie zdjął okulary. Przekręcił się na krześle w moją stronę. Odniosłem wrażenie, że po raz pierwszy szczerze się mną zainteresował.

– No to opowiadaj.

Przez kolejne trzy godziny rozpruwalem się jak najgorsza szmata, dzieląc się z policjantami informacjami o ludziach, z którymi od trzech lat jeździłem na mecze. Sypałem nazwiskami, wspomnieniami, faktami. Nie ściemniałem, nie próbowałem się wybielić. Obiecałem im szczerść i z obietnicy się wywiązałem.

W nagrodę jeszcze przez godzinę musiałem siedzieć sam w śmierdzącym pokoju, wsłuchując się w wytłumione głosy dochodzące z sąsiedniego pomieszczenia i w rzadki stukot butów na schodach. W końcu do pokoju wszedł wąsacz, rozkuł mnie i kazał spieprzać do domu, zanim się rozmyślą. Okrągły ścienny zegar wskazywał szóstą rano.

Nigdy więcej ich nie spotkałem, choć myślami wielokrotnie wracałem do tej nocy na posterunku. Nie mogłem przestać się zastanawiać, czy zrobienie z siebie policyjnej szmaty było jedynym wyjściem z sytuacji. I niepokojąco często dochodziłem do wniosku, że nie. Że mogłem to rozwiązać na wiele innych sposobów. Że spanikowałem, a przez to poszedłem na łatwiznę. Wybrałem szeroką, prostą, idealnie gładką drogę. Z zajebicie położonym, ślicznym asfaltem. I może właśnie dlatego diabli mnie wzięli.

\* \* \*

Ani razu nie rozmawiałem z bratem o tym, co się stało. Zachowywaliśmy się jak dwaj bliscy sobie ludzie, którzy wzięli udział w czymś zbyt wstydlwym, żeby do tego wracać. Nie mam pojęcia, czy Karol sprzedał swojego diler, ale podejrzewałem, że tak, bo na jego miejscu właśnie tak bym postąpił. On natomiast nie mógł wiedzieć, że wyśpiewałem swoje chuligańskie opowieści. Może się domyślał, że w jakiś sposób pomogłem w naszym uwolnieniu, a może nie. Może uznał, że wystawienie jakiegoś osiedlowego obszczymura wystarczyło, aby nas puścili. A może naiwnie sądził, że się nad nami zlitowali. Cholera wie.

W obecności Karola powiedziałem naszym ziomkom, że policjanci dali nam spokój, gdy usłyszeli, że kupiliśmy dragi od przypadkowego faceta na imprezie w klubie. Ta wymówka brzmi niesamowicie durnie, ale podobno wszyscy przyłapani na posiadaniu ją powtarzają – jeśli w porę sobie o niej przypomną. W końcu nieznanego diler nie da się wsypać. Koledzy trochę sobie podworowali, powiedzieli, że mieliśmy zajebicie dużo szczęścia, a potem zapomnieli o temacie.

Minął miesiąc od naszego przypału. Kilka dni po wizycie na posterunku zacząłem jeździć z kumplami na pole pod Konstantynowem. Okazaliśmy się tak beznadziejni w pieleniu grządek, że po tygodniu harowy w pełnym słońcu kierownik oddelegował mnie i Czarka do sadzenia roślin. Byliśmy jedynymi mężczyznami w dwudziestoosobowym zespole, w którym średnia wieku przekraczała pięćdziesiątkę. Nie mogliśmy narzekać. Po pracy starałem się regularnie chodzić na treningi, pomagałem starym na działce, zacząłem się rozglądać za pierwszym autem, od czasu do czasu wyskoczyłem na imprezę. Miałem najdłuższe wakacje w życiu i chciałem się nimi maksymalnie nacieszyć.

Kilka dni przed wyjazdem nad morze pojechałem do Manufaktury. Nie znoszę łaźnic po sklepach, więc wakacyjny zestaw pasiastych T-shirtów, które wszyscy wtedy nosili, skompletowałem po wizycie w trzech pierwszych z brzegu butikach i poszedłem coś zjeść. Wjechałem ruchomymi schodami na pierwsze piętro i ustawiłem się w kolejce do McDonalda, jak zawsze najdłuższej w całym food courcie. Zastanawiając się nad wyborem między skapcaniałą bułką z kawałkiem kurczaka a skapcaniałą bułką z kawałkiem wołowiny, usłyszałem słowa, które zabrzmiały jak przedłużenie moich myśli.

– Nie żryj tego.

Facet, który to powiedział, stał tuż za mną. Jakby chciał szepnąć mi coś do ucha.

– Do mnie pan mówi? – zdziwiłem się.

– To trucizna. Chemikalia, trociny, tłuszcz. Poza tym to bomby kaloryczne. Kilka takich bułeczek i cały wysokojakościowy trening idzie w pizdu. Już lepiej wylizać dupę psu.

Odsunąłem się o krok i przyjrzałem się facetowi. Metr osiemdziesiąt, żyłasty, zakolasty, tatuaże na przedramionach, sprane dżinsy. Chyba koło czterdziestki, ale przez szczupłą sylwetkę, ślady po trądziku i dziary wydawał się młodszy. *Baby face killer.*

– Przecież sam pan stoi w tej kolejce – zauważyłem.

– Wyłącznie po to, żeby się z ciebie pośmiać, kochasiu.

„Kochasiu”. Ostatni raz słyszałem to miesiąc temu. W bardzo, ale to bardzo nieprzyjemnych okolicznościach. Nogi lekko się pode mną ugięły.

– Chcesz w ryj? – zapytałem, posiłkując się najbardziej prymitywną odżywką, jaką znałem, przeważnie skutecznie odstrasżającą upierdliwców.

– Uważaj, z kim tańczysz, kochasiu.

Posłał mi uśmiech, w którym nie było ani krzty lęku, za to od cholery pewności siebie, złośliwości i drwiny. Uśmiech, który jednoznacznie wskazywał, że ma nade mną niepodważalną przewagę.

Kurwa jego mać.

Mężczyzna obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i wskazał palcem kolorowy stolik. Siedział przy nim ponury spaślak, który niezbyt skutecznie udawał, że się nami nie interesuje.

– Zamów ścierwo, po które tu przyszedłeś, a potem dołącz do mnie i do mojego kolegi. Pogadamy.

Kiedy odszedł, odwróciłem się w stronę kasy. Znudzony chłopak oznajmił, że może przyjąć moje zamówienie. A ja po kilku sekundach tępego gapienia się na jego twarz zrozumiałem, co się stało.

Przeszłość upomniała się o swoje.

\* \* \*

Smród leżących przede mną cheeseburgerów i frytek z McDonalda powodował, że chciało mi się rzygać. Choć może właściwą przyczyną tego stanu rzeczy nie był fast food. Może działo się tak przez dwóch policjantów wyglądających jak Flip i Flap, którzy nie spuszczaali mnie z oczu.

– Jak ci poszła matura? – zapytał niższy, ten z tatuażami.

– Nie wiem. Nie ma jeszcze wyników.

– Ale jak ci się wydaje?

– Polski i angielski całkiem nieźle, historia tak sobie.

– Dlaczego?

– Tematy rozprawki mi nie podeszły. – Nie miałem ochoty kontynuować tego wątku, ale wydziabany pies nie wyglądał na usatysfakcjonowanego odpowiedzią.

– Nie jestem fanem epoki Aleksandra Wielkiego, a do Piłsudskiego i Dmowskiego mam zbyt emocjonalny stosunek.

– No tak. Nacjonalizm to choroba wieku dziecięcego.

– Niekoniecznie. – Ciężko westchnąłem. – Czego chcecie?

Chudy uśmiechnął się do grubego.

– Ja na przykład chciałbym, żeby moja stara z większym entuzjazmem podchodziła do polerowania kolby, a mój kolega chciałby się częściej widywać z dziećmi, a rzadziej z ich matką i jej nowym gachem. Oprócz tego obaj chcielibyśmy wyskoczyć na porządne wakacje, najlepiej na jakąś egzotyczną wyspę.

– Pierdolę to. – Podniosłem się z krzesła.

– Siadaj. – Grubas wreszcie przemówił. Tubalnym, groźnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem.

– Chcemy pogadać – dodał chudy. – Poznać cię.

– Po co?

– Żeby zrozumieć, z kim mamy do czynienia.

Z każdą sekundą byłem coraz bardziej zdezorientowany.

– Powiedziałem waszym kolegom wszystko, co wiem.

– Wierzę ci. I doceniam, że byłeś gotów sprzedać paru chacharów, aby uratować siebie i brata. Niektórzy powiedzieliby, że to nielojalne i frajerskie, ale według nas zasłużyłeś na pochwałę. Prawda?

Chudzielec zwrócił się do grubasa, ale ten zamiast odpowiedzieć, wycelował palcem we frytki i zapytał:

– Będziesz to jadł?

Bez zastanowienia pokręciłem głową. Akurat tego byłem pewny.

– Co chcecie wiedzieć? – spytałem.

Chudy wyjął dłoń spod stołu. Zobaczyłem małą zapalniczkę marki Bic, która tańczyła między jego palcami niczym moneta.

– Różne rzeczy chcemy wiedzieć – odparł. – Na przykład, jak daleko jesteś w stanie się posunąć, żeby chronić siebie i bliskich.

– Nie rozumiem.

– Czy potrafiłbyś schować ambicje do kieszeni? Opuścić karierę prawniczą? Przestać zgrywać cwaniaczka?

– Żeby co?

– Żeby nie musieć się ukrywać do końca życia.

– O co wam, kurwa, chodzi?

– Jesteś bystrym chłopakiem. Rusz łepetyną.

Z rozdziawioną japą gapilem się to na chudego, to na grubasa, który wpięprzał frytkę za frytką. Po paru sekundach dotarło do mnie, co tu się właśnie dzieje.

– Chcecie, żebym dla was donosił. Żebym był waszą wtyką. Konfidentem.

– Chcemy, żebyś był jednym z nas. W pewnym sensie.

– Niby, kurwa, jak?

– Nie stawiaj się od razu w chujowej roli. Pomyśl o tym jak o szansie, żeby wyjść na prostą i zostać przykładnym obywatelem.

Zamurowało mnie. Siedząc pośród zgrai dzieciaków opychających się gównozarciem, jakiś dziwnie rozweselony facet oznajmił, że zamierza wyrzucić moje życie do góry nogami. Tylko dlatego, że w wyniku krótkiej inwazji młodzieńczej głupoty zbliżyłem się do środowiska, z którym oprócz darcia japy na stadionie nie miałem nic wspólnego. Było w tym coś groteskowego. I jednocześnie groteskowo przygnębiającego.

– Możecie mi wreszcie wytłumaczyć, o co wam chodzi?

– W grę wchodzi dwa scenariusze. – Chudy zastygł w bezruchu, by po chwili ponownie wprawić zapalniczkę w ruch. – Jeżeli nam pomożesz, to być może za jakiś czas pójdziesz na prawo, zostaniesz prokuratorem i któregoś dnia spotkamy się po tej samej stronie stołu. Wymienimy porozumiewawcze spojrzenia,



skiniemy sobie głowami, powędrujemy myślami do przeszłości. Zrobi nam się ciepło na serduszkach. Ale oczywiście możesz nam powiedzieć „nie”. Musisz tylko wiedzieć, że mój przełożony źle znosi odmowę. A to kawał mściwego chuja.

Kawał chuja czy nie, koleś chyba nie zniszczyłby mi życia za to, że miałem przy sobie trochę narkotyków, a mój brat trochę więcej. Tym dwóm nie mogło chodzić o taką pierdołę. Dalej nie kumałem, o czym oni właściwie mówią.

– Opowiedziałeś moim kolegom fajną historyjkę o wjeździe na osiedle elkaesiaków – kontynuował chudzielec. – Sprawdziliśmy ją. Rzeczywiście nie ściemniałeś. Tamtego dnia trafił do szpitala ciężko pobity szesnastolatek. Do dziś ma uszkodzony błędnik i problemy ze słuchem, z którymi prawdopodobnie będzie się zmagać do końca życia. Lekarz twierdzi, że ktoś skakał mu po głowie. Do tej pory śledczy nie potrafili rozgryźć tej sprawy. Nagrania z monitoringu nie są zbyt wyraźne, a koledzy tego dzieciaka mają uczulenie na stróża prawa i na wszelki wypadek wolą z nami nie rozmawiać. Krótko mówiąc, brakowało świadka, który potwierdziłby, co tam zaszło i kto w tym uczestniczył. Aż do teraz.

Miałem wrażenie, że policjant mówi coraz wolniej, a ja coraz szybciej zagłębiałem się w czarną dziurę. W końcu dotarłem do miejsca, z którego nie miałem już możliwości powrotu. Wreszcie zrozumiałem, że wcale nie chodziło o dragi. Że gnijąc na tym śmierdzącym posterunku, przereagowałem. Że powiedziałem policjantom więcej, niż wymagała tego sytuacja. Że wcale nie musiałem się tak odkrywać. A teraz, widząc rozweseloną gębę tego psa, pojąłem, że za chwilę zapłacę za swoją naiwność.

Kurwa jego mać.

A to jeszcze nie był koniec.

– Trwały uszczerbek na zdrowiu to trzy lata w górę. Wiek poszkodowanego też nie działa na twoją korzyść. I jeszcze te dragi... – Chudzielec parokrotnie zacmokał. – Nie ma opcji, żebyś nie wylądował na kilka sezonów w pierdлу. A mój szef kazał mi jeszcze wspomnieć, że zadba o to, aby wszyscy nasi starzy znajomi z ciupy dowiedzieli się, że masz długi jęzor. Jak już mówiłem, gość potrafi być mściwym chujem.

Facet spojrzał na uwalaną tłuszczem tacę, z której jego kumpel zdążył znieść wszystkie frytki. Schował zapalniczkę do kieszeni. Szturchnął spaślaka w ramię i poderwał się z miejsca.

– Na nas już czas – powiedział.

– Kim wy w ogóle jesteście? – Zabrzmiałem, jakbym desperacko próbował ich zatrzymać, choć marzyłem o czymś dokładnie przeciwnym. Aby zniknęli. I abym nigdy więcej ich nie zobaczył.

– Historia wcale nie poszła ci tak źle. – Chudy wyjął portfel. – Osiemdziesiąt jeden procent. Z palcem w dupie dostaniesz się na prawo. – Położył na stoliku wi-

zytówkę, danymi do dołu. – Przemyśl swoje opcje i zadzwoń. Najlepiej jeszcze przed wyjazdem do Mielna.

– Zakładam, że nie będziesz tego jadł. – Grubas, nie czekając na moją reakcję, ściągnął z tacy dwa cheeseburgery i wpakował je do głębokich kieszeni dresowych spodni.

Kiedy odeszli, drżącymi palcami podniosłem wizytówkę. Odwróciłem ją i przebiegłem wzrokiem po zapisanych na niej stopniu służbowym, personaliach i stanowisku. Zatrzymałem się na trzyliterowym skrótce. Zawierała się w nim cała groza sytuacji, w jakiej się znalazłem.

Tak mój pomysł na życie ostatecznie poszedł się jebać.

**Część II**  
**CHULIGAN**

## 5.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Normalnie. Będziesz robił to, co robiłeś do tej pory. Żył tak, jak żyłeś. Tyle że co jakiś czas umówimy się na potajemną schadzkę. Takie mało romantyczne. Nie będziemy się pierdolić, tylko rozmawiać o twoim życiu.

– Ale ja już z tym skończyłem. Z nimi skończyłem. Wycofałem się, zanim dobrze ich poznałem. To nie są moi koledzy.

– W takim razie będzie to jedyna rzecz, która się w twoim życiu znacząco zmieni.

Nazywał się Kajetan Brenner. Był komisarzem w łódzkim wydziale Centralnego Biura Śledczego Policji. Na jednym z naszych pierwszych spotkań wyznał, że pochodzi ze Śląska, ale jako kilkulatek przeniósł się z rodzicami do Łodzi. Nie znalazł lepszego pomysłu na siebie, więc został psem. Miał wydziarane przedramiona, klatkę piersiową i łydkę, a pewnie także kilka innych części ciała, ale nie próbowałem tego ustalić. Poza tym niewiele o nim wiedziałem. Właściwie tylko to, że jest wulgarny, złośliwy i kopci jak smok, choć jednocześnie ma fioła na punkcie zdrowego żarcia. No i to, że jest moim prześladowcą.

– Chcemy, żebyś dotarł do Demona.

– Szefa nabojski?

– A znasz jakiegoś innego?

– Przecież ten facet jest nieosiągalny. Podobno nikogo do siebie nie dopuszcza. Nikomu nie ufa. Nie rzuca się w oczy. Nawet na meczach rzadko się pojawia.

– Tyle to nawet moja stara wie, chociaż zwykle nie rozmawiam z nią o robocie.

– Pewnie wie także to, że koleś jest cholernie groźny i wszyscy się go boją. Łącznie z policją.

– Może i tak. W każdym razie musisz wejść w struktury jego organizacji. Poznać demonów. Ich zwyczaje, układy, grzeszki i grzechy śmiertelne. A potem wystawić nam to milutkie towarzystwo na tacy.

– Jak?

– Pomyśl.

– Przecież tego nie zrobi się z dnia na dzień. Taka infiltracja może trwać latami.

– To już od ciebie zależy.

Wyjazd do Mielnia był dla mnie niemal dwutygodniowym obozem upijania się na smutno. Kiedy moi koledzy taplali się w morzu, podziwiali przy piwku zachody słońca i próbowali wrywać laski, ja zaciskałem zęby i myślałem o tym, co czeka mnie po powrocie do Łodzi. Kiedy się dziwili, że jestem taki zmulony i podpieram ściany w klubach, ściemniałem, że mam ciężary na chacie. A kiedy pytali, dlaczego mimo to ruszyłem nad morze, odpowiadałem, że nie chciałem ich wystawić tuż przed wyjazdem, co zresztą było prawdą. Przynajmniej częściowo, bo Brenner zabronił mi zmieniać plany. Miałem się zachowywać tak, jakby nic się nie stało. Jakbym dalej rozkoszował się najdłuższymi wakacjami w życiu. Bo tylko wtedy, jak tłumaczył, nasz niewinny sekrecik będzie bezpieczny. Szczelnie zamknięty w mojej małej główce.

– Pamiętaj: jeśli wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one.

– Jak mam to rozumieć?

– Że nie jesteśmy palcem robieni i wiemy, że będziesz popełniał przestępstwa. Pewnie zaczniesz się od dilerki, wymuszeń i jakichś drobiazgów. Ale jeśli wejdiesz głębiej w struktury nabojski, to raczej się na tym nie skończy.

– Zagwarantujesz mi, że nie pójde za to siedzieć?

– Mogę ci obiecać, że przymkniemy oko na duperele. W razie poważniejszych tematów będziesz musiał się pilnować.

– Założmy, że coś pójdzie nie tak. Że znajdę się w sytuacji, w której będę musiał zrobić coś grubego. Co wtedy?

– To zależy.

– Od czego?

– Od ciebie. A konkretnie od tego, jak bardzo namieszasz i na ile cenne okażą się informacje, które nam dostarczysz. Prokurator potrafi sporo wybaczyć, jeśli uzna, że podejrzany znacząco ułatwił służbom robotę. Ale są rzeczy, których nie przepuści, bo nie może. Na przykład głowa.

– Zabójstwo?

– Jeśli kogoś odjebiesz, zapomnij o koronie. Teoretycznie mógłbyś wtedy dostać sześćdziesiątkę, czyli status małego świadka koronnego, ale bez pierdła się nie obejdziesz. Co najwyżej skrócisz go sobie z dwudziestu pięciu do ośmiu lat.

– Przecież to tylko kibole. Ostro się napierdalają, czasem jakiś debil wyciągnie kastet albo maczetę, ale nie próbują się powyrzynać. A jeśli nie chce się zabić człowieka, to się go chyba nie zabija, nie?

– Różnie z tym bywa.

\* \* \*

Brenner nie kłamał – matura naprawdę nieźle mi poszła. Przyjęli mnie na prawo na Uniwersytecie Łódzkim. Dowiedziałem się o tym tuż po powrocie z Mielnia

i natychmiast zabrałem się do planowania dalszego życia. Uznałem, że bez względu na to, co się wydarzy, muszę pójść na studia. Zbudować podwaliny pod bliżej nieokreśloną przyszłość. Zdobyć zawód. Zostać prawnikiem. Nawet jeśli wydawało się to absurdalne w obliczu ryzyka, że zostanę skazany za przestępstwa, które popełnię jako kibol. Musiałem spróbować względnie normalnie żyć. Na tyle normalnie, na ile się da, tkwiąc w permanentnym kłamstwie.

No i wynająłem mieszkanie. Dzięki pieniądzązom z osiemnastki stać mnie było na kawalerkę w bloku przy placu Słonecznym na Radogoszczu Wschodzie. Na tyle blisko Marysina, żeby w ciągu paru minut móc się spotkać z ekipą Nogiego, i na tyle daleko, żeby nie zaliczać przypadkowych spotkań ze starymi.

– Czy przejdę jakieś szkolenie?

– Z czego? Z obsługi power pointa?

– Nie wiem, kurwa. Ale skoro wyznaczacie mi jakieś zadania, macie jakieś oczekiwania, fajnie byłoby mnie do tej roli jakoś przygotować.

– Masz rację. Następnym razem przyniosę ci notatki ze studiów.

Nikomu nie powiedziałem o tym, co mnie spotkało. I to nie dlatego, że Brenner mi zabronił albo że mogłem w ten sposób kogoś narazić. Nie zrobiłem tego, bo się wstydziłem. Bo poniosłem porażkę. A ja lubiłem rywalizować. I choć nie zawsze wygrywałem, na ogół byłem niezły w tym, czym się zajmowałem – od sportu przez naukę po wybory życiowe. Pamiętacie – nie najlepszy, ale dobry. Nie popełniałem kretyńskich błędów. Tylko tego jednego cholernego dnia wszystko poszło nie tak. I za nic w świecie nie mogłem się z tym pogodzić, ani tego odkręcić.

– Jest jakaś strategia wyjścia?

– Jeszcze nie wszedłeś do nabojki, a już chcesz wyjść?

– Muszę wiedzieć, jak to się może skończyć.

– Będziemy układać plan na bieżąco.

– To nie brzmi dobrze.

– A co chciałbyś usłyszeć? Że będzie dobrze? Że wszystko się ułoży? Że sprzadasz nam paru typków, którzy się leją pod stadionem, a potem zostaniesz wziętym prokuratorem? Nie bądź naiwny i nie zmuszaj mnie, żebym robił cię w chuja. Nikt nie wie, co z tego wyjdzie. Ani ja, ani prokurator, ani tym bardziej ty.

– W takim razie mam prośbę.

– To nie jest koncert życzeń.

– Nie traktujcie mnie jak konfidenta.

– A jak kogo?

– Normalnego gościa, który popełnił głupi błąd. I który gotów jest zrobić wiele, aby to odkręcić. Jeśli ta cała akcja ma się udać, nie możecie widzieć we mnie jed-

nej z tych małp. Jesteś w stanie chociaż tyle dla mnie zrobić?

- Mogę obiecać, że to przemyślę. Tylko nie czuj się, kurwa, jednym z nas.
- Bez obaw. Nigdy nie chciałem być psem.

\* \* \*

– A więc wróciłeś, wywłoko pierdolona!

Nie dajcie się zwieść słownictwu i intonacji. Nogi był zachwycony moim widokiem, gdy po kilku miesiącach przerwy ponownie zawitałem do jego piwnicznej nory. Tym razem nie w trakcie treningu, lecz podczas mocno futrowanego bifora przed piątkową imprezą. On i jego pięciu kafarów robiło taki rozpiżdziel na poziomie minus jeden, jakby jutra miało nie być. Kto wie, czy nie mieli racji.

– Nie wróciłem, bo nigdzie nie wyjechałem – odparłem.

– A jednak dawno nie widziałem twojej mordy. Już myślałem, że wyjechałeś do Anglii. Albo że miałeś jakiś przypał.

– Nie miałem. Pracowałem.

– Gdzie?

– Na polu.

Nogi zaniósł się śmiechem, a jego zaćpana świta mu zawtórowała. Chwilę później spoważniał. Sepochmurniał. Zaszedł gniewem.

– I dlatego, kurwiu, że robiłeś na polu, zacząłeś mnie unikać na meczach? Odwracać wzrok? Uciekać na drugą stronę trybun?

– Co ty pierdolisz?!

Nie wiedziałem, czy Nogi rzeczywiście nabrał wobec mnie podejrzeń, czy jedynie popisывał się przed kumplami. Za to wiedziałem, że za takie słowa mogę dostać gonga. Odetchnąłem z ulgą, gdy Nogi ponownie się roześmiał, buchając mi w nos świeżo łykniętą wodą.

– Wyluzuj. Wyglądasz, jakbyś się zesrał w gacie.

Wskazałem palcem jednego z jego przydupasów.

– Dzień przed wyjazdem robicie gruby melanz?

– Mecz nie mecz, chlać się chce. I ćpać. I ruchać. Dzisiaj poruchamy w klubie, a jutro zerzniemy te szmaty z Kielc.

– A macie jakieś wolne kondomy?

Nogi ponownie zmienił nastrój. Tym razem wydawał się zdziwiony. Jakby nie zrozumiał, o co pytam. Jakby firewall w jego mózdzku nie chciał przepuścić informacji, że mogę chcieć zostać jednym z nich.

– Też chcesz poruchać? – spytał. – Spuścić się scyzorykom w kakaowe oko?

– Każdy lubi ruchać szmaty, nie?

Przez dłuższą chwilę patrzył mi w oczy, jakby dogłębnie analizował kolor moich tęczywek. Następnie podszedł do przydupasów. Kazał im rozlać wódkę. Chwilę później wrócił do mnie z dwoma kubeczkami.

– W takim razie poruchamy razem.

Napiłem się z nim. A potem rozsiadłem się pośród tych dzikusów, udając, że mam z tego frajdę. Że bardzo, ale to bardzo na to czekałem.

Musiałem kupić zaufanie Nogiego. Zakolegować się z nim. To był najszybszy sposób, żeby się dobrać do demonów. I, prawdę mówiąc, jedyny, jaki wymyśliłem.

\* \* \*

Ludzie pewnie różnie reagują, gdy uświadamiają sobie, że za chwilę przyjdzie im się po raz pierwszy w życiu tłuc z jakimiś koksami w lesie. Mnie się chciało po prostu spać. Albo rzygać. Spać i rzygać, na przemian. Problem w tym, że nie byłem w stanie określić, w jakim stopniu jest to reakcja na stres, a w jakim rezultat popijawy, która przeciągnęła się do rana. Byłem jedynym kolesiem w tej świńskiej zgrai, który nie walił po nosie ani w czasie melanżu, ani przed ustawką. W efekcie stu pięćdziesięciokilometrowa podróż do Kielc upłynęła mi pod znakiem starań o to, aby nie zapaskudzić samochodu koledze Nogiego i nie zbłaźnić się na oczach demonów, zanim na dobre zacząłem pracować na swojej pozycję.

W końcu Brenner, choć nie powiedział tego wprost, postawił sprawę jasno: albo pomogę policji rozpracować nabojkę, albo wyląduję w pierdlu – w dodatku z łatką konfidenta. Inne warianty nie wchodziły w grę.

– Wytrzymasz? – spytał Nogi, częstując mnie drwiącym uśmiechem.

– Tak – odparłem krótko. Króciutko. Najkrócej, jak umiałem.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Mamy jeszcze trochę do przejechania. Możemy się zatrzymać. Puścisz belta i po sprawie. Możesz też wałnąć węża.

– Nie walę wężów.

– Wiem. Wczoraj powtórzyłeś to z milion razy. Nawet, kurwa, gdy nikt ci nie proponował.

– Nie pamiętam.

– No jasne. Dupy, która się do ciebie przystawiała i której powiedziałeś, kretyne, że jesteś w pracy, pewnie też nie pamiętasz. – Nogi się zaśmiał, dwa pozostałe karki również. Jakby mieli to zapisane w umowie. – Przemyśl to. Lepiej, żebyś się zbeltał teraz, niż gdyby miało się to wydarzyć podczas akcji.



Przemyślałem. Po kilkudziesięciu sekundach poprosiłem rechoczącego Nogiego, żebyśmy się zatrzymali. A gdy wróciłem do auta, wytarłem wierzchem dłoni usta, spłynąłem na oparcie i niemal natychmiast zasnąłem.

Obudziłem się po kilkudziesięciu minutach, gdy ekscytacja moich współpasażerów urosła do tego stopnia, że nawet na gigantycznym kacu nie mogłem jej przeoczyć. Chwilę później przyjąłem dwie cenne lekcje. Po pierwsze, za namową Nogiego wpakowałem w siebie potrójną porcję aspiryny, która znacznie skuteczniej wypędziła ze mnie ból niż ibuprofen czy paracetamol. Po drugie, dowiedziałem się, że to nabojka rządzi wszystkim, co się dzieje na wyjazdach. To ona ustawia plan podróży. Ona decyduje o tym, co się wydarzy po drodze. Podporządkowuje sobie każdą furę i każdą osobę wybierającą się na mecz. I potrafi to wykorzystać, aby odciągnąć od siebie uwagę policji konwojującej wyjazd.

W pewnym momencie na trasie zaczęły się dziwne ruchy: nagle postoje, zaskakujące zjazdy na stacje benzynowe i do przydrożnych barów, zabawy z racami, blefowane awantury. Słowem – wszystko, co może ułatwić zrobienie prawdziwego zamieszania.

– Teraz – powiedział Nogi. – To ten zjazd.

Droga, którą wskazał, nie wyglądała na uczęszczaną, chyba że przez lokalnych grzybiarzy. Wpadliśmy na wąski szutrowy odcinek, który prowadził w głąb lasu. Po pokonaniu jakichś dwustu metrów zatrzymaliśmy się, żeby sprawdzić, czy nikt za nami nie jedzie. Nie jechał. To znaczy nie jechały psy. Bo na podobny manewr zdecydowały się jeszcze cztery fury, które zaparkowały obok nas. Wypełzła z nich zgraja chamów – jeśli dobrze policzyłem, szesnastu łysych i wydziabanych kolesi, ubranych jedynie w krótkie spodenki dresowe i adidasy, świecących spływającymi potem cycami, brzuchami i ramionami. Jedni wyglądali na kulturyistów, inni na ziomków z siłowni, a jeszcze inni na brzuchaczy, którzy dopiero co odstawili browar i zwlekli się z kanapy. Ale wszyscy, bez wyjątku, wydawali się maksymalnie wkurwieni.

Nie minęły dwie minuty, gdy po drugiej stronie niewielkiej polany, przypominającej wyrwę w ciągnącym się w nieskończoność lesie, pojawiły się kolejne samochody. Sześć albo siedem, w każdym razie więcej niż naszych. Zaraz potem wylazła z nich nowa zgraja napinaczy.

Korona Kielce. Scyzoryki. Nasi dzisiejsi rywale.

– Jest ich więcej niż nas – zauważyłem.

– Z tymi kurwiami nigdy nie da się dogadać – odparł Nogi. – Ale chuj. Trzeba brać, co jest. I mieć nadzieję, że Bóg będzie po naszej stronie.

Bóg, jasne. Bóg na pewno maczał w tym palce. Przez pięć dni robił sobie górki, rzeczki i kwiatki, a szóstego dnia zmaistrował typów, którzy jeżdżą przez pół kraju, aby się okładać po mordach. A gdy już ich zrobił, rozsiadł się wygodnie w fotelu, popatrzył na swoje dzieło i uznał, że jest zajebiste. Dokładnie takie, ja-

kie powinno być. I zamiast nanieść choćby drobne poprawki, wypuścił potworka w świat.

– Cyce na wierzch i wypierdalamy z fury! – rzucił Nogi.

Zdjęliśmy koszulki i wysiedliśmy. Dołączyliśmy do pozostałych widzewskich chuliganów, którzy oceniali na odległość gości z Korony. Tamci robili to samo z nami. I my, i oni próbowaliśmy wy badać, czy sprawy mają się z grubsza tak, jak ustalono. Czy nikt się nie wyłamał i nie zabrał sprzętu, czy różnica w składach nie jest na tyle znacząca, że któraś ze stron powinna kogoś wycofać, czy przez przypadek jakiś widzewiak nie chce się tłuc w koszulce, a scyzoryk – na gołą klatę. Ale wszystko musiało się mniej więcej zgadzać, bo po serii wulgarnych okrzyków ruszyliśmy na siebie.

Właściwie nie powinienem w tym uczestniczyć. Byłem za cienki w uszach. Zbyt smarkaty na takie akcje. Niezweryfikowany. Nie byłem ani pełnoprawnym członkiem nabojski, ani nie miałem opinii zabijaki. Ale pamiętacie, jak dostałem w trąbę od kiboli z Gdyni? Jak zostałem zbutowany? Poszła wtedy fama, że jestem cholernie odważny. Pojebanie odważny. I że lubię się napierdalać. W widzewskim środowisku kręcą się dziesiątki dzieciaków, o których można powiedzieć to samo, ale z jakiegoś powodu ludziom z nabojski to ja zapadłem w pamięć. Dlatego, gdy zgłosiłem się do Nogiego, nawet nie musiał z nikim konsultować mojego udziału w ustawce.

Padłem ofiarą własnej reputacji, zbudowanej na kłamstwie i przypadku.

Wtedy, podczas spotkania z kibolami Arki, nie zdołałem nawet wyprowadzić uderzenia. Dlatego teraz, biegnąc pośród kilkunastu chamów na kilkunastu innych chamów, nie myślałem ani o strategii, ani o tym, że jesteśmy w mniejszości, ani o konsekwencjach tego, co za chwilę się wydarzy. Myślałem wyłącznie o pierwszym ciosie. O inauguracyjnym pierdolnięciu. To ono miało mnie chulikańsko zdefiniować. A może nawet przesądzić o moim życiu.

Gdy od koleśki z Kielc dzieliło nas jakieś piętnaście metrów, przyspieszyłem. Wybiegłem na czoło grupy. Gdy odległość zmniejszyła się do kilku metrów, zacząłem drobić, jakbym się szykował do skoku w dal. A gdy już bardzo wyraźnie widziałem rozwrzeszczaną gębę faceta, który biegł prosto na mnie, wybiłem się z całej siły i wyciągnąłem przed siebie wyprostowaną nogę. Mój przeciwnik prawdopodobnie próbował zrobić to samo. Tyle że okazał się wolniejszy.

Trafiłem go w klatkę piersiową. Oczywiście nie mogłem go w ten sposób znokautować. Ale wylądował na glebie, a ja z pomocą grawitacji spadłem na niego i intuicyjnie wykonałem pełen dosiad.

Musiał go przytknąć po kopnięciu albo upadku, bo nie wyprowadził kontry ani nie próbował mnie z siebie zrzucić. Zamiast tego dość niefrasobliwie złożył gardę. Nie czekałem, aż wymyśli, co dalej. Wykorzystałem jego dezorientację i zacząłem go okładać. Łać po mordzie. Zapewniłem skurwielowi nieprzerwany

grad uderzeń. W większości niecelnych, ześlizgujących się z przedramion i czoła mokrego od potu. Ale kilka z nich wylądowało tam, gdzie powinno – na szczęce, nosie, skroniach. Kości zatrzeszczały, pięści zapiekły. Polała się krew. Po kilkunastu sekundach koleś, który wydawał się ode mnie jakieś dwadzieścia kilogramów cięższy, był zupełnie ugotowany. Gdy z nim skończyłem, wstałem i rozejrzałem się po polu walki.

Wszyscy dookoła się napierdalali.

W stojące, w parterze, nawet na siedząco. W parnym powietrzu niosły się przekleństwa, wrzaski, pełne bólu jęki, a przede wszystkim ciężkie, desperackie sapanięcia stukilogramowych typów. To była jatka. Wojna totalna. Taka, z której nawet zwycięzcy nie są w stanie wyjść bez szwanku.

W pewnym momencie zauważyłem, że jeden z chuliganów Korony podnosi się z ziemi, a dokładnie znad widzewiaka, którego właśnie oprawił. Spojrzał na mnie, a ja na niego. Splunął, a ja po chwili zrobiłem to samo. Prostował i zginał palce, badając, czy są całe, podczas gdy ja wymachiwałem nadwyrężoną prawą ręką, jakbym zrzucał z niej ślady mojej ofiary. Ruszył w moim kierunku. A ja w jego.

Wszystko, co wydarzyło się potem, pozostało jedynie krwawą fantasmagorią.

## 6.

– Chciałbym kiedyś poznać Demona – zdradziłem Nogiemu, który popatrzył na mnie w taki sposób, jakbym wyznał miłość diabłu. – Słyszałem o nim sporo opowieści dziwnej treści. Aż trudno uwierzyć, że ktoś taki w ogóle istnieje. I w dodatku trzęsie połową miasta.

– Więcej niż połową. – Nogi zapalił papierosa. – I nie, nie chciałbyś go poznać.

Roman „Demon” Bielecki. Szef nabojski Widzewa Łódź. Król, cesarz i imperator chuliganów w jednej osobie. Władca dusz, dzięki któremu tysiące łodzian raczą się kokainą, mefedronem i marihuaną. Jego ludzie parają się także napadami i drobną deweloperką, prowadzą lokale nocne i burdele, kręcą walki VAT-owskie. A do tego są nieformalnymi właścicielami klubu piłkarskiego z ponad stuletnią tradycją.

Kiedy spytałem Brennera, jak to możliwe, zaśmiał mi się w twarz. Ale zaraz potem wyjaśnił, że mamy w Polsce dyktaturę kiboli. Grupy chuligańskie stały się tak potężne, że praktycznie każdy klub mogą wyrzucić do góry nogami – demolując stadion, bijąc piłkarzy albo zastraszając właściciela. Oczywiście można z nimi pójść na wojnę, ale biznesmeni są od zarabiania pieniędzy, a nie od konfrontowania się z zorganizowanymi grupami przestępczymi. Dlatego albo starają się dobrze żyć z kibolami, albo udają, że problemu nie ma. Oczywiście za przedsiębiorcami powinno stać państwo, ale jego wsparcie – mimo antykibolskich haseł, którymi politycy żonglują w mediach – jest iluzoryczne. Organy ścigania nie mają odpowiednich narzędzi, zasobów, a często też chęci, żeby walczyć z chuliganami. Choć oczywiście zdarzają się wyjątki. I ja ze swoim zezowatym szczęściem musiałem się o jeden z nich potknąć.

Lider nabojski Widzew Demons szybko stał się moją obsesją. A jednocześnie był legendą, którą musiałem ucłowieczyć, zrozumieć, a na końcu pokonać.

Zakładałem, że aby zostać szefem grupy chuliganów, wystarczy być trochę mądrzejszym, trochę bardziej przedsiębiorczym albo trochę straszniejszym od zakompleksionych osiedlowych młotków. Demon podobno był i mądrzejszy, i bardziej przedsiębiorczy, i zdecydowanie straszniejszy od chłoptasiów kręcących się wokół klubu. Podobno pochodził z dość zamożnej inteligenckiej rodziny, skończył ekonomię na Uniwersytecie Łódzkim, na początku lat dziewięćdziesiątych pracował w jednej z amerykańskich korporacji, a potem krótko prowadził jakiś legalny interes. Podobno nie założył rodziny. Podobno żył skromnie, o czym miały świadczyć znoszone dresy i powyciągane koszulki, w których najczęściej

go widywano. I podobno nawet ludzie z jego najbliższego kręgu nie wiedzieli, kim tak naprawdę jest, co go napędza i dlaczego to wszystko robi.

– Widziałeś go kiedyś w akcji? – spytałem Nogiego.

– Raz.

– Dobrze się napierdala?

– Dziwnie.

– Czyli jak?

– Jakby lubił dostawać w mordę. Pozwala frajerowi zadać pierwszy cios. Daje mu szansę się znokautować. Ale jeśli frajer tego nie robi, to ma przejebane, bo potem Demon wyciąga sprzęt. Typ nie ma w zwyczaju tłuc się na gołe pięści.

– I nikomu to nie przeszkadza?

– To Demon. Jemu wolno wszystko.

Przez wiele lat uchodził za świra, który działając na własną rękę, a więc nie konsultując niczego z grupami rządzącymi Widzewem, napadał na osiedla elkaesiaków. Bez żadnej obstawy, bez planu, wyposażony w kastet, nóż albo maczetę. Podobno zdarzało mu się rzucać nawet na dziesięcioosobowe ekipy. Niektóre były tak zaskoczone jego atakiem, że spieprzały, aż się kurzyło. Inne spuszczały mu tylko lekki łomot, sądząc, że facet po prostu jest pierdolnięty. Całkiem możliwe, że dzięki temu Demon uniknął trwałego kalectwa lub śmierci.

Podobnie reagowali na niego policjanci. Wiedzieli, że Demon to wariat, z którym lepiej nie wchodzić w zwarcie, więc pozwalali mu swobodnie dryfować w chuligańskim świecie. Ale po jednym z incydentów to się zmieniło.

Pewnego wiosennego popołudnia funkcjonariusze dostali cynk, że jacyś mężczyźni imprezują na podwórku pod stadionem Widzewa. Na miejsce pojechał patrol pączkojadów. Kiedy się okazało, że ławkę okupują chuligani, policjanci gotowi byli odpuścić poważniejszą interwencję. Chcieli wlepić bydlakom kilka mandatów, udając, że żaden z nich nie wachał białego proszku. Ale wśród chuliganów był Demon. I podobno tak się wściekł przerwaniami melanżu, że razem ze swoimi przydupasami zaatakował funkcjonariuszy. Wspólnie pobili policjantów do nieprzytomności i wywieźli do lasu. A potem upokorzyli, między innymi okładając kutasami po twarzach. Uwiecznili swoje popisy kamerą i wysłali to arcydzieło soft porno na komendę.

Demon mógł w ten sposób wydać na siebie wyrok. Ale zamiast tego zyskał nieetykalność.

Przez pewien czas wydawało się, że zadowolony jest statusem naczelnego kibolskiego świra. Możliwością nieskrępowanego dewastowania rzeczywistości każdego człowieka, jaki wejdzie mu w paradę. Ale w pewnym momencie postanowił ustrukturyzować swoją anarchię. Zapragnął władzy.

– W jaki sposób Demon przejął kontrolę? – zapytałem.

– A co ty, kurwa, książkę piszesz?

– Hagiografię.

– Co?

– Nieważne. Po prostu jestem ciekawy. Słyszałem, że początkowo nie zamierzał kręcić żadnych lodów ani walczyć o władzę.

– Każdy tak myślał. Ale albo Demon zrobił ludzi w chuja, albo długo dojrzewał do decyzji, że chce mieć wszystko. – Nogi wyrzucił peta na ziemię. Nakrył niedopałek butem, jakby chciał zataić jego istnienie. – Początkowo jego ekipa liczyła tylko kilka osób. Nie dilała, nie werbowała dzieciaków, nie interesowała się ustawkami ani chuliganką. Miała wywalone na wszystko i na wszystkich. To była zgraja pojebów fruujących wokół klubu. Robiła szum, bo nikt nie miał odwagi, żeby zadrzeć z jej szefem. Ale któregoś dnia Demon przyszedł na spotkanie przywódców osiedlowych ekip i powiedział, że chce stworzyć potężną organizację. I że od tej pory każdy z liderów ma zostawiać u niego połowę zysków.

– Zgodzili się?

– No co ty! Zaraz po spotkaniu Demon obskoczył wpierdol. Dojechała go ekipa Grzywy, czyli Bulteriery. To była wtedy najmocniejsza grupa przy Widzewie. Mieli najwięcej do stracenia i ciągle musieli potwierdzać swoją pozycję. Ale już następnego dnia Demon przeprowadził odwet. Najgorszy z możliwych.

– Zajebał Grzywę?

– Nie wiadomo. Jeżeli tak, to dobrze ukrył ciało. Miał co chować, bo Grzywa to było ze sto czterdzieści kilogramów nasterydowanej świni.

I kto to mówi, pomyślałem.

– A pozostali liderzy?

– Grzecznie przystali na jego propozycję. Pewnie niektórzy dalej próbują kręcić jakieś dyle na boku, ale nikt nie jest na tyle głupi, żeby się otwarcie postawić Demonowi. – Nogi gwałtownie potrząsnął głową. – Aż mnie skręca na myśl o tym typie. To najbardziej chory pojeb, o jakim kiedykolwiek słyszałem.

Cudownie. Miałem sprawić, aby ten chory pojeb mnie zaakceptował, polubił i dopuścił do swoich biznesów. Aby zaufał mi na tyle, bym mógł go wydymać i sprzedać koleżkom z CBS.

\* \* \*

À propos koleżków z CBS.

Brenner mnie wyśmiał, kiedy zasugerowałem, że przydałoby mi się szkolenie z tego, co miałem robić dla policji. Ale jednak nie zostawił mnie na lodzie.

– Powinieneś kogoś poznać – powiedział, gdy wsiadłem do jego samochodu podczas jednego z naszych pierwszych spotkań.

– Z policji?

– Nie do końca.

– Jak to „nie do końca”? Albo ktoś jest z policji, albo nie.

– To ktoś taki jak ty. Tyle że z cyckami.

Brenner wywiózł mnie gdzieś na opłotki Zgierza, trzeciego największego miasta aglomeracji łódzkiej, kojarzonego głównie z przecinającą je najdłuższą linią tramwajową w Europie i McDonalda, a następnie wprowadził do dwupokojowego mieszkania w zaniedbanym czteropiętrowym bloku. Kazał mi wejść do salonu, po czym postawił krzesło pod krótką, jakby niedorobioną ścianą, która częściowo oddzielała pokój od otwartej kuchni.

– Siedź tu i się nie ruszaj – powiedział.

– Bo?

– Zorganizowałem ci randkę w ciemno. Zepsułyś zabawę.

Wyszedł z mieszkania. Wrócił po paru minutach, a z odgłosów dobiegających z sąsiedniego pokoju wywnioskowałem, że nie jest sam, tylko z kobietą w szpilkach. Ustawił kolejne krzesło po drugiej stronie ściany, a potem jeszcze jedno w korytarzu łączącym oba pomieszczenia. Usadawił się na nim, robiąc z oparcia podpórkę na łokcie. Popatrzył na mnie, popatrzył na kobietę, a potem zapalił papierosa.

– Opowiadaj – nakazał. – Tylko bez zbędnych szczegółów.

Z salonu dobiegło ciężkie, dygotliwe westchnienie. Cokolwiek kobieta miała powiedzieć nieznanemu zza ściany, nie przychodziło jej to łatwo.

– Kajetan chciał przeze mnie dotrzeć do Demona – zaczęła. – Miałam się do niego zbliżyć. Zdobyć zaufanie. Może nawet zostać jego kochanką. Znałam ludzi z tego środowiska, więc zainicjowanie kontaktu nie było takie trudne. A że wiem, jak uwodzić mężczyzn, potrafiłam wzbudzić jego ciekawość. Przez jakiś czas chodziłam na widzewskie imprezy, jeździłam na wyjazdy, kręciłam się przy zarządzie nabożki. Robiłam naprawdę dużo, żeby mnie zauważył, zaakceptował, polubił i, przynajmniej w myślach, spróbował zerznąć. Ale on wydawał się zupełnie niezainteresowany. Jakby był pedałem. Albo eunuchem.

– Do brzegu – rzucił Brenner. – Powiedz, co się stało.

– Po jednym z meczów poszłam na imprezę, na której bawił się cały zarząd. Myślałam, że znowu będę kręcić Demonowi dupą przed nosem, a on znowu mnie zleje. Ale nie tym razem. Nieoczekiwanie zaprosił mnie do swojej łóżki, poczęstował alkoholem, pogadał. Miałam wrażenie, że nawet zaczyna się przede mną otwierać. Ale zanim udało mi się z niego cokolwiek wyciągnąć, urwał mi się film.

Kobieta zamilkła. Słyszałem jej ciężki oddech.

– Powiedz o hotelu – powiedział Brenner.

– Ocknęłam się w jakimś pokoju. Byłam sama, a dookoła panował totalny syf. Wszystko mnie bolało. Wszystko, kurwa. I byłam cała we krwi... – Zamilkła, jakby musiała przeładować magazynek. – Przed telewizorem stał magnetowid, a na nim leżała kasetka VHS. Napisali na niej... napisali, żebym ją obejrzała. Dźwignęłam się z łóżka i włożyłam kasetę do magnetowidu. Włączyłam film. A potem zobaczyłam... zobaczyłam, jak mi to robią. Jeden po drugim... – Kobieta zupełnie się rozkleiła. – Nie mam pojęcia, kto mi to zrobił ani nawet ilu ich było. Mieli na sobie kominiarki. I koszulki Widzewa. A jeden z nich taką, którą podarowałam temu skurwielowi...

Nie wiem, czy miała coś jeszcze do powiedzenia, ale na więcej Brenner jej nie pozwolił. Począł, aż kobieta trochę się uspokoi, a potem wyprowadził ją z mieszkania. Kiedy wrócił, podszedł do okna w salonie i zapalił kolejnego szluga.

– To prostytutka i narkomanka, która obracała się w towarzystwie widzewiaków. Któregoś dnia wpadła z dużą ilością towaru. Mogliśmy ją posadzić albo spróbować zrobić z niej pożytek. Wybraliśmy to drugie. Zaczęła dla nas pracować. A teraz jest moim wyrzutem sumienia. – Brenner odwrócił się do mnie. Wyglądał na przybitego. – Na szczęście nie obejrzała całego nagrania. Zobaczyła tylko pierwsze kilkanaście minut. Potem pokazaliśmy jej jeszcze parę stop-klatek, mając nadzieję, że może rozpozna któregoś z gwałcicieli. Najgorsze rzeczy zaczęły się dziać wtedy, gdy kolesie znudzili się już ruchaniem nieprzytomnej dziwki. – Policjant zgasił peta w zlewie. – Na koniec wytatuowali jej na plecach słowo „suka”. Uznaliśmy, że to wiadomość dla nas.

Spędziliśmy w tym zgierskim mieszkaniu jeszcze kilka godzin, w których trakcie Brenner, najwyraźniej by uniknąć powtórki z historii, prowadził dla mnie policyjny wykład – na temat pracy pod przykrywką w grupie przestępczej, na temat struktury i układów panujących w Demon Warriors, na temat traktowania kobiet w świecie kiboli. Opowiedział mi także o szczegółach operacji z udziałem tamtej nieszczęśnicy. Z jego relacji wynikało, że Demon nie mógł jej tak do końca przejrzeć. Po prostu zrobił się podejrzliwy. A potem albo zaufał swojemu instynktowi, albo uznał, że trzeba zdusić potencjalny problem w zarodku. I nie wahał się zrobić tego w najbardziej odrażający sposób z możliwych.

Brenner raczej nie chciał mnie przestraszyć. Prędzej ostrzec. Uczulić. Umysłowić, że czeka mnie taniec na ostrzu noża. I że jeśli powinie mi się noga, wpadnę na niego całym ciałem.

– Tobie raczej coś takiego nie grozi – stwierdził w końcu. – Ciebie po prostu zajebią.

\* \* \*



Mój pierwszy raz z wierchuszką demonów był krótki i nieprzyjemny. Zapewne podobny do pierwszego razu każdego, kto miał kiedykolwiek styczność z tymi zwierzętami.

Nabojka miała kilka lokali w różnych częściach miasta. Zarząd demonów spotykał się w nich w trybie rotacyjnym, aby zmylić policję, utrudnić elkaesiakom robotę wywiadowczą i ogólnie wprowadzać zamęt – także we własnych szeregach. Ale jedno było pewne: w Mirażu, nocnym klubie przy Narutowicza, gdzie podobno najlepsze dupy w mieście tańczyły na rurze, można było spotkać Kacpra „Rocco” Woźniaka. Syna biznesmena i malarki, kulturoznawcę i historyka sztuki po Uniwersytecie Warszawskim, uczestnika *Wielkiej gry* na temat życia i twórczości Michała Anioła, a przede wszystkim – prawą rękę Demona.

Rocco balował w Mirażu od kilku dni. Miał co świętować, bo w ciągu tygodnia zdołał wyłgać się od więzienia za skatowanie jakiegoś chłopaka, odebrać spory transport narkotyków z Hiszpanii i wyrwać kobietę wysoko postawionemu chuliganowi ŁKS-u. Nogi uznał, że skoro Rocco jest w tak szampańskim nastroju, warto mu przedstawić bystrzaka, przyszłego studenta prawa, którego w przyplynie chuligańskiego geniuszu zwerbował do ekipy.

– Nie spałem od trzydziestu sześciu godzin – wyznał Rocco, pochylając się nad okrągłym czarnym stolikiem, z którego wprawnie ściągnął dwie kreski kokainy, mefedronu albo jakiegoś innego ścierwa. – Połączyłem prochy z viagrą. Kutas nie chce mi opaść, choćbym nie wiem, ile dup wyruchał. Już mi jajca spuchły. – Zasmiał się, parokrotnie pociągając nosem. – Może chcecie się zabawić? Mam tu czternastki, szesnastki, osiemnastki, co tylko chcecie. Dla fetyszystów nawet dwudziestoletnie prukwy się znajdują.

– Dzięki, ale przyszliśmy w interesach – wyjaśnił Nogi, który wydawał się równie zakłopotany takim powitaniem jak ja.

– Ruchanie jest jak aperitif do biznesu. Z pustym worem lepiej się myśli.

Rocco, który zawdzięczał swój pseudonim gwiazdorowi filmów porno, uwielbiał się przechwalać, ile panienek zaliczył i do czego je zmusił. Ponoć głównie przez niego ludzie pracujący dla demonów bali się zabierać na mecze swoje dziewczyny.

– Mimo wszystko zbastujemy. Może później. – Nogi zajarzał peta, wypełniając dymem kameralną salkę na piętrze. Następnie wycelował we mnie palcem. – Chciałbym, żebyś kogoś poznał. To nowy członek mojej ekipy. Prawnik.

– Niedoszły – dodałem. – Dopiero zaczynam studia.

– Nie bądź, kurwa, taki skromny. – Nogi uderzył mnie w ramię. Mocniej, niż gdyby miało to być jedynie koleżeńskie szturchnięcie. – Chłopak ma łeb jak sklep. Mógłby pisać podręczniki do historii.

Nie spuszczać ze mnie wzroku, Rocco rozwinął dwustuzłotowy banknot, zabrudzony koksem, flegmą i krwią, po czym ponownie zaczął go zwijać. Przez

niekontrolowane ruchy szczęki, zepsute zęby i pociągłą twarz skojarzył mi się z koniem żującym wędzidło.

Rocco. Rocky. Włoski ogier.

– Skoro jesteś taki mądry, to czego tu szukasz? – zapytał. – Na chuj z nami trzymasz?

– Bo kocham Widzew – odparłem, a po chwili się zreflektowałem: – I nienawidzę tych kurew z alei Unii.

– Do tego nie musisz należeć do nabojski.

– Ale chcę. Po prostu. Czasem serce podpowiada coś, na co rozum nigdy by nie wpadł.

Uznałem, że sadystyczny stręczyciel, który uważa się za lowelasa i miłośnika kobiet, powinien docenić odwołanie się do kwestii uczuciowych. I się nie pomyliłem.

– W takim razie witaj w moim królestwie. – Rocco rozłożył ręce i rozejrzał się dookoła, jakby jego speluniasta, cuchnąca fajkami i potem melina, w której za dnia robił interesy, a wieczorami panny kręciły dupami i namawiały klientów na numerek, przypominała Pałac Katarzyny w Carskim Siole. – A teraz wyjaśnij, pągu, dlaczego zawracasz mi dupę, kiedy zażywam relaksu.

– Chodzi o dopalacze – odezwał się Nogi. – Wróbelki ćwierkają, że mocno się interesujesz tematem.

– Umarł król, niech żyje król! – wrzasnął Rocco, niemal przewracając swój fajdany stolik. – Po zawinięciu tego luja od dopalurów zrobiła się na rynku luka, której nikt jeszcze nie wypełnił. Ze swoimi możliwościami i zasobami mógłbym to zrobić ot tak... – Pstryknął palcami i szeroko się uśmiechnął. – Nie chcę tylko, żeby mi psy wlażyły na łeb.

– Nikt tego nie chce – odparł Nogi, szybko kiwając głową, jak gdyby chciał potrójnie albo i poczwórnice przyznać gangsterowi rację. – Właśnie dlatego tu jesteśmy. – Spojrzał na mnie. – Powiedz mu, co o tym myślisz.

Kiedy skupili się na mnie, dłonie momentalnie zaczęły mi się pocić.

– Myślę, że to głupie.

– Co? – zdziwił się Nogi, bardziej zaskoczony moją arogancją niż oceną.

– Przykrywanie jednego nielegalnego biznesu innym nielegalnym biznesem, a w szczególności biznesem narkotykowym. To zły pomysł. Po znowelizowaniu ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii za środki zastępcze uznaje się produkty, które zawierają co najmniej jedną substancję psychoaktywną. Dopapalacze zostały praktycznie zrównane z dragami. Obowiązuje całkowity zakaz ich wytwarzania i wprowadzania do obrotu. – Nieśmiało przeniosłem wzrok na Rocco. – Równie dobrze mógłbyś otworzyć ekskluzywny butik z kokainą.

Albo mi się zdawało, albo szczeka Rocco zaczęła pracować jeszcze intensywniej. Jakby planował zmielić mnie swoimi przegniłymi zębiskami, zanim zrobi to za pomocą rąk.

– A jeśli będę je sprzedawał pod przykrywką? – spytał. – Jako produkty kolekcjonerskie, środki do ochrony roślin albo coś w tym stylu?

– Prędzej czy później ktoś na ciebie doniesie. Sanepid złoży ci wizytę. A inspektorat sanitarny blisko współpracuje z policją.

– Znam takie psy, które z przyjemnością ładowałyby mój towar, a potem z ręką na sercu by twierdziły, że nie mam z tym biznesem nic wspólnego.

– Może i tak. Ale nawet gdyby cię nie dojechali, dałbyś prokuraturze dostęp do informacji, którymi raczej wolałbyś się nie dzielić. Przeszukaliby twoje kluby, przesłuchaliby pracowników, posprawdzali wszystkie adresy, jakie widnieją na dokumentach złożonych do KRS-u. Poznaliby cię na wylot. I pewnie na jakiś czas związałyby ci ręce.

Rocco wgapił się we mnie zmęczonym, lepkim, zaćpanym wzrokiem. Wzrokiem bananowego dzieciaka, który pobłądził. Wzrokiem gościa, który nie potrafi zdecydować, czy należą mi się podziękowania, czy fanga w mordę. A ja, żeby nie gapić się na niego i nie narazić się na tę fangę, wyjrzałem przez ściankę z pleksi i zawiesiłem wzrok na samotnej lasce wywijającej tyłkiem na podeście. Sprawiała wrażenie równie zrobionej jak Rocco. Równie zagubionej.

– Gapisz się na moją dupę? – spytał niespodziewanie Rocco.

– Na jej dupie nie jest napisane, że to twoja dupa.

Roześmiał się.

– Powinieneś dostać w mordę za samą myśl, że mógłbym się spotykać z taką lampucera. – Przeniósł wzrok na Nogiego. – Niegłupi ten twój chłopaczek. Niegłupi i bezczelny. Tylko poczucia humoru mu brakuje. – Rocco złożył usta w podkowę, zapewne mnie przedrzeźniając. – Skąd go wytrzasnąłeś?

– Kiedyś rzucił się na gości z Arki – wyjaśnił Nogi. – Pokazał, że ma jaja i jest kumaty, więc wciągnąłem go do ekipy. A potem błysnął pod Kielcami.

– Przecież przejebaliście ze scyzorami.

– Ale chłopak dał radę. Nie spękał. A zanim nas rozjebali, zdążył poskładać dwóch skurwysynów większych od siebie.

Nogi solidnie podkreślił rzeczywistość. Temu pierwszemu rzeczywiście wklepałem, ale walcząc z kolejnym, po krótkiej wymianie ciosów w stojce potknąłem się i upadłem. Wtedy facet zaczął mnie butować. I tyle z tego zapamiętałem.

Rocco pochylił się nad stołem i wciągnął kolejną ścieżkę. Następnie zaczął lustrować parter swojego klubu, w którym wieczór miał się dopiero zacząć. Sprzątaczką szorowała parkiet i ustawiała fotele, aby laski mogły skutecznie łapać dance na kolanach zachlanych klientów. Barman opierał się o ladę i leniwie liczył

szlugi w paczce. Ochroniarze prężyli muskuły przed lustrem, a szatniarz wydzierał się na kogoś przez telefon. Dzień jak co dzień w życiu kibolskiego lokalu. Tylko półprzypadkowa panna burzyła obraz. A może nie?

Widząc, że Rocco stracił zainteresowanie dalszą rozmową, Nogi nieśmiało wychylił się do przodu. Odchrząknął.

– Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebował pomocy prawnej albo wpadniesz w jakieś kłopoty...

– A jakie ja mogę mieć kłopoty? – Rocco przeniósł na niego wzrok. – No jakie, kurwa?

– Nie wiem. Tak tylko powiedziałem.

– Moim problemem jest zbyt krótka doba. Bo nad stracony czas nic bardziej nie boli. Wiesz, kto to powiedział? – Nogi pokręcił głową. – To sobie, kurwa, wygoogluj. A teraz wynocha. – Rocky wycelował we mnie palcem. – A do ciebie, mądralo, może się jeszcze kiedyś odezwę.

Gdy wyszliśmy z lokalu, Nogi przez dobre pół godziny suszył mi głowę. Głównie za sposób, w jaki zwracałem się do drugiej najważniejszej osoby w nabojce. Według niego za moją butę Rocco mógłby kazać swoim gorylom skrócić mnie o głowę.

Może i tak.

Miałem jednak nieodparte wrażenie, że choć koleś mnie nie polubił, to zrobiłem na nim wrażenie. Tacy jak Rocco mają po dziurki w nosie włączających im w dupę klakierów. Nie szanują ich, nie wynagradzają, nie dopuszczają do stołu. Jeżeli kiedykolwiek miałem się zbliżyć do demonów, od początku musiałem jechać po bandzie. I głęboko wierzyć, że nie wypadnę z toru.

Po powrocie do domu przypomniałem sobie słowa Rocco o straconym czasie. Wpisałem je w Google. To był Michał Anioł. No tak, *Wielka gra*. Czulem, że właśnie poznałem jedną z najdziwniejszych osób, z jakimi kiedykolwiek będę miał do czynienia.

\* \* \*

Jakiś czas później dowiedziałem się, że Rocco zarządzał całym nocnym biznesem nabojki. Miał pod sobą burdel, klub ze striptizem, kameralne kasyno, prostytutki, a do tego sporą część obrotu dragami. Spekulowano, że nie był to wynik jego szczególnych predyspozycji, tylko nagroda za zasługi i lojalność. Podobno przed laty uchronił Demona przed pierdłem, biorąc na siebie wyrok za posiadanie narkotyków. Problem w tym, że Brenner nie potwierdził tej opowieści. Mogła to być zatem bajeczka, którą Demon sam kolportował. Być może po to, aby uzasadnić trzymanie u swojego boku zaćpanego gwałciciela.

Demon miał pod sobą także kilka innych osób, które pełniły podobne funkcje jak Rocco, choć już nie tak odpowiedzialne: zarządzały sprawami związanymi z Widzewem i obecnością na stadionie, rekrutowały młodych do ekipy, dbały o relacje z innymi nabojkami, wymyślały nowe sposoby zarabiania pieniędzy. Ci ludzie byli kimś w rodzaju szefów działów, które pracowały na sukces całej organizacji. Zupełnie jak w korporacji.

Nieformalny zarząd nabojki tworzyły cztery osoby: Demon, Rocco oraz dwaj dobrze zbudowani bruneci o idiotycznych pseudonimach Skorpion i Sub-Zero, które Piotr Wolski i Paweł Matecki wymyślili sobie sami. Szeregowi kibole nazywali ich Dużymi Misiami albo Tłuściochami. Ale wypowiadali się o nich z szacunkiem i lękiem. Traktowali ich jak przełożonych i pilnowali się, abym im nie podpaść. Nic dziwnego. W przeciwieństwie do normalnych pracodawców liderzy demonów nie wręczali wypowiedzeń ani odpraw, tylko katowali i upokarzali niepokornych, dbając o to, aby odejście z nabojki było najbardziej przykrym incydentem w życiu. Choć zdarzało się też, że po skatowaniu i upokorzeniu nie pozwalali delikwentowi odejść, bo nie było nikogo na jego miejsce. Tacy kibole mieli najgorzej. Zhańbieni i ośmieszeni musieli dalej tyrać na rzecz swoich oprawców.

Zarząd tworzyli ludzie, którzy albo od dawna znali się z Demonem (jak Rocco), albo zarządzali grupami chuligańskimi, zanim Demon skonsolidował je pod swoim przywództwem (jak Skorpion i Sub-Zero). Każdy członek zarządu miał pod sobą kilka osiedlowych ekip (jak ta Nogiego), które nie mogły podjąć żadnej strategicznej decyzji bez zgody któregoś z Dużych Misiów. W tych grupach też występowały wewnętrzne podziały, które zwykle wynikały ze stażu albo kompetencji członków. Tacy ludzie jak ja – którzy umieli się bić, a na dodatek byli niegłupi i dość pyskaci – trafiali pod skrzydła liderów formacji osiedlowych. Natomiast dno organizacji wyściełali nastolatki z patologicznych domów, dla których przynależność do jakiegokolwiek wspólnoty, choćby czcicieli diabła, była największą nagrodą, jaką mogli dostać od życia.

Korzystając z wiedzy, logiki i intuicji, Demon zbudował organizację liczącą łącznie kilkaset osób. Jej struktura była tak prosta, że mógłby nią wzbudzić zazdrość w niejednej zachodniej firmie. Wypracował tak jasne metody raportowania i komunikacji, że nawet notorycznie zaćpani, pijani i nafaszerowani sterydami durnie potrafili sobie z nimi poradzić. Skonstruował potężną sieć nieformalnych powiązań – z policjantami, prokuratorami, sędziami, politykami, biznesmenami czy szefami innych nabojek – która uczyniła go nie tylko nieformalnym właścicielem klubu, ale i najgroźniejszym przestępcą w mieście.

Ale najdziwniejsze w tym wszystkim okazało się to, że zrobił to praktycznie z ukrycia, po cichu, pozostając jedną wielką niewiadomą dla całego chuligańskiego środowiska. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka, gdzie się wychował ani gdzie zaczęła się jego kibolska opowieść. Za to niemal wszyscy snuli domysły na temat lidera nabojki, bezwiednie pracując na jego legendę. Demon był widziewia-

kiem. Był kibolem. Był szefem. Gadem obciągniętym ludzką skórą. Potworem. Zmorą. Zjawą. Uosobieniem strachu przed nieznanym, niezrozumianym, niewidzialnym. Był synonimem wszystkiego, co najgorsze i najstraszniejsze.

Demon był nierozwiązywalną zagadką.

I być może ze wszystkich stworzeń na świecie tylko ja mogłem ją rozwiązać.

## 7.

W pewnym sensie Demon okazał się cudotwórcą. Stworzył coś z niczego. W ciągu zaledwie paru dni z herszta grupy złożonej z kilku świrów przeobraził się w szefa poważnej organizacji przestępczej, wspieranej przez tysiące niczego nieświadomych baranów: kibiców. Łączących na oprawy i na koleśi w więzieniach, kupujących gadzety w sklepiku kontrolowanym przez nabojkę, obrzucających gównem inne ekipy kibicowskie na forach.

Aby zostać poważnie potraktowanym przez Demona, musiałem zbudować przynajmniej namiastkę tego, czym dysponował on. Stworzyć własne zaplecze. Wiedziałem, że mogę to zrobić wyłącznie organicznie, poprzez mozolne doczepianie kolejnych wagoników. Nie chciałem wpakować w to kibolskie szambo kumpli, których znałem ze stadionu – ani tym bardziej tych spoza. Potrzebowałem świeżej krwi. Młodych, łatwowiernych, durnych blockersów. Agresywnych, przebiegłych, zdesperowanych, chciwych. I najlepiej – choć nie był to warunek konieczny – przynajmniej trochę interesujących się piłką.

– Ile tam wyciągasz? – zapytałem Ażmiego, kiedy skręcał jointa.

– To zależy. – Przeciągnął językiem po wewnętrznej stronie bletki. – Nie zawsze jesteście potrzebni. Zdarza się, że jest tylko jakaś lajtowa fucha, na którą ojciec Antka zabiera wyłącznie starą gwardię. Ale przeważnie jedziemy na budowę razem z nimi, zapieprzamy non toper i dostajemy za to cztery dyszki.

– Cztery dychy za osiem godzin tyrki?

– Albo za dziesięć. Zależy, co jest do roboty i w jakim stanie jest ekipa. – Ażmi rozpałił gibona. Wziął kilka szybkich, niecierpliwych machów. Trzymając dym w płucach, jakby chciał go tam zachować na zawsze, dodał na bezdechu: – Czasem te stare zjeby są tak naprute, że wszystko musimy robić za nich.

– Słabo. Bardzo słabo.

– Lepsze to niż wojo. Tam dopiero jest chujoza. Przez bite jedenaście miesięcy służby kminiłem, czy mam zajebać siebie, czy swojego dowódcę.

– A gdybym powiedział, że mam robotę, w której nie trzeba się użerać z naprutyimi dziadami i można zarobić kilka razy więcej?

Kolejny mach. Tym razem głęboki, spokojny, refleksyjny. Analityczny.

– Wtedy zamieniłbym się w słuch.

Paweł „Ażmi” Jończyk zawdzięczał swoją ksywkę jednemu ze szkolnych lumków, który siedząc na osiedlowej ławce – być może na tej samej, na której wiele lat później sami się rozklapiliśmy – poprosił go o numer, a następnie zapisał

w telefonie pod hasłem „Aż mi go żal”. Potem, jak to w szkole, wieści ekspresowo się rozeszły i wkrótce wszyscy poznali, wyśmiali i utrwalili ten niecodzienny pseudonim. Aż mi go żal. Nie był szczególnie wygodny, przez co w toku osiedlowej ewolucji został skrócony do kompletnie niezrozumiałej, ale poręcznej formy – Ażmi.

Właściwie niewiele o nim wiedziałem. Pochodził z ubogiej rodziny i ubierał się jak menel. Był pyskаты, krnąbrny i uparty, co gwarantowało mu regularny oklep od starszych chłopaków. Do tego był wręcz niewiarygodnie brzydki: wystające zęby, wylupiaste oczy, rzadkie włosy. Miał na sumieniu kilka mniejszych i większych grzeszków, które popełniał najczęściej w rezultacie niekontrolowanych wybuchów agresji. I właśnie dlatego uznałem, że nadaje się do mojej ekipy.

Wskazałem palcem skręta, który zniknął w zawrotnym tempie.

– I jak?

– Git. – Ażmi ponownie przemówił na bezdechu. – Pachnie jak trzeba, pali się jak trzeba i pewnie tupie jak trzeba.

Chciał przekazać mi jointa, ale potrząsnąłem głową.

– Twoja robota polegałaby na gonieniu tego towaru po ośce.

Ażmi się roześmiał, rozdmuchując dym na wszystkie strony.

– Znam większość dilerów na Marysinie i Dołach. Nie byłiby zachwyceni, gdyby ich dobry klient nagle został konkurentem.

– Nie przejmuj się nimi. Ochrona i zaopatrzenie będą po mojej stronie. Ty miałbyś tylko dilować i dzielić się ze mną kasą. Twoje zarobki zależałyby wyłącznie od tego, jak dobry okażesz się w te klocki.

Ażmi pokiwał głową. Myślał.

– Wyjeżdżam do Anglii.

– Na długo?

– Kilka tygodni, potem zobaczymy.

– Mogę na ciebie zaczekać.

– A jeśli wrócę i nie będę chciał?

– To wtedy zrobi mi się przykro. – Uśmiechnąłem się. – Obiecuję, że jeśli się zgodzisz, nie będę cię namawiał do żadnych krzywych akcji. Choć byłoby miło, gdybyś od czasu do czasu coś dla mnie zrobił.

– Na przykład?

– Na przykład pojechał ze mną na mecz.

\* \* \*

Kilka tygodni później Ażmi powiedział „tak”. Kiedy do mnie dołączył, uformowało się coś na kształt grupy przestępczej. No dobrze, może grupki. Grupeczki.



Grupiątka.

Byłem jej nieformalnym szefem, choć oczywiście nade mną był jeszcze Nogi, który pełnił funkcję łącznika między moją grupką a demonami. Przede wszystkim zapewniał nam dostęp do dragów. Ale to ja organizowałem życie naszej ekipy, czyli rozdzielałem pracę i hajs.

Podę mną był Ażmi, który zajmował się dilerką. Jako prawa ręka miał prawo otwarcie kwestionować moje decyzje. Choć oczywiście nie powinien był tego prawa nadużywać.

Nasz gangsterski skład uzupełniali Tomek „Papa” Krajewski – ktoś kiedyś powiedział, że jest podobny do papieża – i Łukasz „Kojiro” Szulc, który kiedyś świetnie grał w piłkę. Papa pomagał Ażmiemu z dilerką. Poza tym pojawiał się wszędzie tam, gdzie chcieliśmy wzbudzać respekt – miał dwa metry wzrostu i ważył ze sto trzydzieści kilogramów. Mimo że był flegmatyczny i fajtlapowaty, sprawiał wrażenie kolesia, do którego lepiej się nie zbliżać. Z kolei Kojiro zajmował się wszystkim, co w jakiś sposób wiązało się ze sportem: przeczesał fora kibicowskie, żebyśmy mogli trzymać rękę na pulsie, rozklejał wlepki i malował tagi na murach, laził po podwórkach i namawiał małolotów, aby chodzili na Widzew i kupowali towar od Ażmiego.

Każdy miał swoje zadania, a oprócz tego wszyscy jeździliśmy na mecze, budowaliśmy znajomości i robiliśmy to, czego Nogi akurat od nas oczekiwał. Ponadto w miarę regularnie spuszczaaliśmy komuś wpierdol. Trochę dla sportu, trochę w ramach praktyk, ale przede wszystkim po to, aby się przypodobać chuligańskim wiarusom. Myślałem, że będzie mi ciężko namówić na to chłopaków, którzy nie trenowali sportów walki i tylko sporadycznie uczestniczyli w osiedlowych bójkach, ale zaskakująco szybko połapali się w mechanizmach rządzących tym światem. I co ważniejsze, w pełni je zaakceptowali.

W pewnym sensie próbowałem odtworzyć imperium Demona – oczywiście w wersji mini. On rozprawdzał po mieście tony narkotyków, prowadził dziesiątki nielegalnych interesów i brutalnie karał swoich wrogów. Ja sprzedawałem towar na gramy, wymyślałem efemeryczne biznesiki i raz na jakiś czas serwowałem oklep jakimś gamoniom z osiedla. Choć brzmi to dość idiotycznie, dzięki temu chyba ciut lepiej rozumiałem Demona. Wczułem się w jego sposób myślenia, w jego świat. Rozsmakowałem się w nim. Zatopiłem. Przepadłem.

Kiedy zacząłem infiltrować środowisko kiboli, obiecałem sobie, że nie będę się wdawał w żadne bardziej zażyłe znajomości. Miałem nadzieję, że trzymając dystans, do żadnego kibola nie zbliżę się na tyle, by mieć moralne opory przed wydaniem go policji. Chciałem być zimny, wyrafinowany, skuteczny. Tyle że to nie takie proste.

Szybko polubiłem przygłupów, których wciągnąłem do ekipy. Odkryłem, że pod warstwą lęków, traum i często wymuszonej opryskliwości kryją się normalni

kolesie. Tacy, którzy w nieco bardziej sprzyjających okolicznościach wyrosliby na urzędasów, strażaków, przedsiębiorców albo korpolutdków. Którzy robią tylko to, co muszą, aby przetrwać. Którzy w gruncie rzeczy niczym się ode mnie nie różnią. W końcu nikt nie rodzi się kibolem, gangusem ani mordercą.

Na przykład Ażmi mógłby zostać bardzo dobrym przedstawicielem handlowym. Facetem zgarniającym kupę hajsu za wciskanie nam AGD, wyrobów medycznych, garnków czy innego szajsu. Przez cały tydzień jeździłby po Polsce, a potem, niczym marynarz strudzony wyprawą dookoła świata, zawijałby do łódzkiego portu, aby być królem nocnego życia. Miałby ze trzy niezbyt urodziwe żony, pięcioro dzieci i stado wnuków, którym na starość opowiadałby sprośne historie z młodości.

Papa mógłby pracować dla jakiejś nudnej korporacji. Wieczorami ciąłby w erpegi i objadałby się czipsami, a w ramach postanowień noworocznych co sylwestra deklarowałby, że wreszcie znajdzie sobie żonę. Miał naturę jowialnego grubaska. Uprzejmego, pociesznego, nieszkodliwego. Coś jednak sprawiło – może niewłaściwe towarzystwo, może jakiś przypał z dzieciństwa, a najpewniej chlejący i agresywny ojciec – że przeistoczył się w kwadratowego chama, który siał postrach na ośce.

Z kolei Kojiro mógł zostać prawdziwą gwiazdą piłki. Oklaskiwalibyśmy go z trybun albo wyzywalibyśmy od kurew – jedno i drugie jest nobilitacją. Miał niezłą technikę, szybkość i niespożyte siły, a do tego potrafił być boiskowym zawałką. Problem w tym, że podczas podwórkowej kopaniny zerwał więzadła krzyżowe w kolanie i już nigdy nie wrócił do formy sprzed kontuzji. Zawalił rok w szkole, zaczął palić fajki i chlać tanie wina, a po tym, jak naćpany fetą skakał po samochodach na parkingu, cudem uniknął poprawczaka. Mimo to wciąż kochał piłkę. Nie opuszczał meczów i nawet poważnie upodlony potrafił wyrecytować skład reprezentacji Senegalu z mistrzostw świata w 2002 roku.

Cóż, los bywa okrutny. Coś o tym wiem.

\* \* \*

Któregoś razu pojechaliśmy we czterech do McDonalda. Ażmi prowadził zdezelowaną astrę. W pewnym momencie zamiast na drogę, zaczął się gapić na mnie. Tak długo, tak intensywnie i z tak durną miną, że w końcu wymusił moją reakcję.

– Co? – warknąłem.

– Nic – odparł. – Po prostu jestem ciekawy, czy idziesz na zawody.

– Jakie zawody?

– W wyciąganiu chuja z wody!

Wszyscy w samochodzie ryknęli śmiechem. Rozrehotany Ażmi niemal wypuścił kierownicę z rąk, wielkie cielsko Papy wpadło w konwulsje, potrząsając całą

gablotą, a Kojiro wylał piwo na siedzenie. Po paru sekundach sam zacząłem się śmiać. Wściekle. Dziko. Bez opamiętania.

Wiem, wiem. To nie jest poczucie humoru z górnej półki. W naszej grupie wyszukane dowcipy należały do rzadkości. Nie toczyliśmy filozoficznych dysput i nie zastanawialiśmy się nad wyższością Różewicza nad Herbertem. Ale za to przeważnie dobrze się czuliśmy w swoim towarzystwie. Bywało miło, wesoło i mimo wszystko beztrąsko.

Kiedy masz dziewiętnaście albo dwadzieścia lat, zwykle zachowujesz się tak, jakbyś miał dziewiętnaście albo dwadzieścia lat. Nawet jeśli jesteś chamem, dilerem albo cwaniakiem współpracującym z CBS. Nic ani nikt tego nie zmieni.

W wolnych chwilach chodziliśmy do Kojiro, aby razem z jego starym oglądać Ekstraklasę na Canal+, snuliśmy się po osiedlu, piliśmy piwka, a niektórzy kopcili jointy. Spotykaliśmy się na siłce, gdzie ćwiczyliśmy albo rozmawialiśmy o dupach, które się nami nie interesowały. Imprezowaliśmy. Od czasu do czasu wyskoczyliśmy gdzieś na weekend. Oczywiście trochę żałowałem, że bujam się z osiedlowymi gamoniami, zamiast się integrować z kolegami z uczelni, ale od samego początku na studia miałem cholernie mało czasu. I wziąwszy pod uwagę, jak niefortunnie potoczyły się moje losy, byłem w stanie to przełknąć.

Przeważnie.

Byliśmy mniej więcej w połowie drogi na cheeseburgery, kiedy Ażmi przestał się chichrać i gwałtownie wcisnął hamulec.

– Kurwa! – zaklął. – Co, do chuja?!

Na środku skrzyżowania zatrzymał się czarny lexus, w którym siedział ostro gestykulujący facet mniej więcej w naszym wieku, wspierany przez równie energicznie wymachującą łapami laskę. Zerknąłem na znak: ustęp pierwszeństwa przejazdu. Ażmi najwyraźniej go nie zauważył. Albo nie zrozumiał. Albo zrozumiał, ale zignorował, bo uważał się za króla szos.

Po chwili konsternacji Ażmi opuścił szybę.

– Jak jeździsz, pedale!? – wrzasnął.

Koleś w lexusie również otworzył okno. Chciał coś powiedzieć. Ale zanim to zrobił, omiół wzrokiem wnętrze naszej fury i zrezygnował. Roztropny wybór roztropnego faceta.

Na skrzyżowaniu zrobiło się tłoczno i nerwowo, więc lexus ponownie włączył się do ruchu. Ażmi odczekał jeszcze kilka sekund, kompletnie ignorując trąbiących kierowców, i ruszył za nim. W kierunku przeciwnym do McDonalda.

– Co robisz? – spytałem.

– Skurwiel zajechał mi drogę.

– Facet miał pierwszeństwo. Powinieneś go przepuścić, zamiast ładować się na skrzyżowanie. Dałeś ciała. Opuść.

Ażmi pokręcił głową.

– Widziałeś jego dupę? – zapytał, ignorując mój wywód.

– Widziałem tylko, że nie jest sam.

– Dziwka poleciała na furę. Na hajs. I to pewnie nawet nie tego klauna, tylko jego starego.

– Przecież nic o niej nie wiesz. Ani o tym kolesiu. Chyba że jesteś wróżką ze Zgierza.

– Wiem, że takie dupy lecą na kasiastych chłopców, którzy lubią się bujać furami starych. Szmaty. Blachary jebane. Lachociągi.

Z każdą wyrzucaną w powietrze obelgą Ażmi coraz mocniej wciskał pedał gazu. A ja coraz mniej rozumiałem z tego, co się właściwie dzieje.

– Co ty pierdolisz? – powiedziałem, wycierając spocone dłonie w spodnie. – Może ten chłopak całe lato tyrał w fabryce pod Manchesterem, żeby zarobić parę funtów. Wrócił na chwilę do kraju i wynajął furę, żeby się zabawić. A ta dupa to nie jego panna, tylko siostra, którą zabrał do kina.

– Jebie mnie to. Kompletnie mnie to jebie.

Ażmi ponownie przyspieszył.

Gotując się ze złości, usiadł facetowi na zderzaku, a następnie odprowadził go aż pod Komendę Wojewódzką Policji przy Lutomierskiej – kierowca lexusa po raz kolejny wykazał się przytomnością umysłu. Myślałem, że przynajmniej wtedy Ażmi odpuści, ale on przyczaił się na jednej z bocznych uliczek i poczekał, aż parka ponownie załaduje się do fury. Od tamtego momentu, trzymając się na dystans dwóch samochodów i jednocześnie z uporem maniaka olewając nasze prośby, sugestie i narzekania, śledził ich aż pod dom.

O ile mi wiadomo, Ażmi nigdy nie tknął palcem tego kolesia. Nie nasłał na niego zbirów. Nawet z nim nie pogadał. Za to co jakiś czas podjeżdżał pod jego blok, parkował furę niedaleko klatki schodowej i zajmował się swoimi tematami – dzwonił po znajomkach, kręcił dyle, palił jednego peta za drugim. Doskonale wiedział, że znacznie dotkliwiej ukarze typa chroniczną niepewnością niż jednorazowym wpierdołem. Zatrul jego rzeczywistość. Zainfekował organizm. Sprawił, że facet prawdopodobnie stał się kłębkiem nerwów.

Tego dnia Ażmi przeraził mnie po raz pierwszy. I potwierdził, że znalazłem właściwą osobę.

## 8.

W ciągu pierwszych czterech lat widzewskiej fascynacji byłem chyba na stu meczach. Widziałem kilkadziesiąt mniejszych i większych zadym. Słyszałem dziesiątki wyzwick, po których kąciki moich ust delikatnie wędrowały w górę, a także setki takich, po których miałem ochotę zapaść się pod ziemię. Zdarzało mi się drżeć z ekscytacji, kiedy rozryczany stadion próbował podnieść kopaczy na duchu. I nawet kilka razy widziałem, jak te patałachy zamieniają się w Messich, dając popis ewidentnie przewyższający ich umiejętności.

Krótko mówiąc, widziałem wszystko. I z takim przeświadczeniem wybrałem się na mecz z Lechem Poznań pod koniec rundy wiosennej w 2012 roku.

Wtedy poznałem Demona.

Miałem już całkiem silną ekipę, do której oprócz Azmiego, Papy i Kojiro należało kilka dzieciaków z Marysina i Dołów. Byłem ulubieńcem Nogiego – doceniał, że nie jestem głąbem i potrafię robić hajs. Zacząłem być kojarzony przez gości z nabojki, w tym przez paru szefów osiedlowych grup. No i parę miesięcy wcześniej poznałem Rocco. Wprawdzie nie złożyłem mu propozycji biznesowej wymyślonej przez Nogiego, bo nawet sześciolatek skumałby, że wejście w dopalacze zaraz po zatrzymaniu „króla dopalaczy” jest kompletną głupotą, ale dałem się zapamiętać jako odważny typ z otwartą głową. A przynajmniej taką miałem nadzieję.

Problem w tym, że wciąż byłem bardzo daleko od zarządu demonów. Dlatego musiałem zaryzykować. Spojrzeć w paszczę lwa.

Wśród widzowiaków z Marysina krążyła fama, że nasza nabojka przygotowała jakąś niespodziankę dla gości z Lecha. Nikt nie wiedział, o co chodzi, ale wypatrzyłem sporo napakowanych kolesi z charakterystycznymi dziarami na łydkach – przedstawiającymi bliżej nieokreśloną kreaturę; powiedzmy, że był to demon – kierujących się na trybunę C, którą od sektora gości oddzielała jedynie strefa buforowa. Dlatego zamiast jak zwykle stanąć pod Zegarem, poszedłem za nimi.

Nie potrafiłem zlokalizować Demona, za to jego prawa ręka mocno rzuciła się w oczy. Rocco przyłgnął do ogrodzenia, opuścił spodnie do kostek i wyciągnął fujażę. Początkowo nie bardzo wiedziałem, co próbuje zamanifestować. Podejrzałem, że od nadmiaru dragów i alkoholu stracił kontakt z rzeczywistością. Ale potem zauważyłem grupę kibicek Lecha. Niby wyzywały Rocco od kastrata, impotentą oraz – eufemistycznie mówiąc – posiadacza najmniejszego przyrodzenia na świecie, ale z jakiegoś powodu sterczały przy ogrodzeniu, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

Cóż, dziwny jest ten świat.

Kiedy Rocco znudziło się wymachiwanie pałą i składanie wyuzdanych obietnic nieznajomym kobietom, podciągnął spodnie i odwrócił się w moją stronę. Wyjątkowo wolno chował sprzęt. Przez chwilę miałem wrażenie, że zamierza przenieść swoje pragnienia z lechitek na mnie.

– Papuga – powiedział.

– Jeszcze nie – odparłem, uspokojony tym, że mnie rozpoznał. I że nie planuje podać mi ręki, którą chwilę wcześniej miętosił jaja.

– Widzisz je? – Skinął brodą w stronę lechitek. – Rzygać mi się chce na myśl o tym, z kim się puszczają. Że im obciążają i pozwalają się w sobie spuszczać. I że potem rodzą bachory, z których wyrastają kolejne poznańskie kurwizony. Pociąłbym im te plastikowe ryje. Albo wyjechał tak, żeby nie mogły chodzić. Kumasz?

Nie, nie kumałem. Nie pojmowałem, jak można wpakować taki ładunek agresji do jednego worka z poządaniem. Ale oczywiście pokiwałem głową.

– Czego chcesz? – spytał Rocco.

– Mam pomysł na biznes – odparłem. – Chciałbym o tym z wami porozmawiać.

– Z nami?

– Z tobą i Demonem.

– Najpierw pogadaj z Nogim.

– On tego nie skuma.

Rocco długo mi się przyglądał. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że dostrzegł u mnie coś niewłaściwego. Coś nieszczerego. Coś konfidenckiego.

– Co to za pomysł?

– W zasadzie jest ich kilka i są dość skomplikowane. – Zerknąłem na dwóch nafuranych goryli, którzy doskoczyli do swojego szefa, aby wręczyć mu puszkę piwa i fajkę. – To chyba nie jest dobre miejsce, żeby o tym rozmawiać.

– Wręcz przeciwnie. Miejsce jest doskonałe. Tylko moment wybrałeś chujowy. – Rocco ponownie odwrócił się w kierunku sektora Lecha. – Teraz jest czas na show.

Chwilę później trybuny przestały się interesować wydarzeniami na boisku, a skupiły na tym, co działo się w strefie buforowej. A w niej jak spod ziemi wyrósł Demon. Stał ledwie kilka metrów od kiboli Lecha, którzy bez najmniejszego problemu mogliby obrzucić go kamieniami, racami, zapalniczkami i właściwie wszystkim, co by im wpadło w ręce. Ale nikt się na to nie odważył, ponieważ Demon przyszedł do nich z przesłaniem. Przytargał za sobą drewnianą sztalugę, do której przymocowane było wielkoformatowe zdjęcie przedstawiające dwóch ca-

lujących się facetów. Nad nim widniało wypisane krwistoczerwonym kolorem hasło: „WIECIE, CO Z NIM ZROBIĆ”.

– Kto to jest? – spytał któryś z goryli.

– Koziół, jeden z liderów nabożki Lecha – wyjaśnił Rocco. – Na jakiejś chuligańskiej imprezie wygadał się, że zdarza mu się jeździć do klubu dla swingersów pod Warszawą. Demon uznał, że to dziwne, więc zamontował tam jednego z naszych. No i miał rację. Tydzień temu Koziół wparował do klubu ze swoją dupą. Ale zamiast wygrzmocić inną panienkę, zabrał się do typa ze zdjęcia. – Rocco wystrzelił peta za ogrodzenie, a następnie zaczął się drzeć razem z kibolami spod Zegara: – Koziół? Co! Chu-jów sto!

Kilka minut później, po spaleniu zdjęcia i sztalugi w strefie buforowej, Demon wszedł na trybunę C. Przywitał się z paroma włazidupami, którzy zaczęli mu składać hołdy, po czym zbliżył się do nas. Nie wyglądał na faceta łaknącego pochwał, więc nic nie powiedziałem. Za to nie mogłem oderwać od niego wzroku. Od jego wytatuowanych od góry do dołu łąp. Od patykowatych nóg ukrytych pod poliestrowym dressem. Od zmęczonej twarzy z zapadniętymi policzkami. Od bladej, wampirzej cery. Od króciutkich siwych włosków wyrastających z niekształtnej, nieco spłaszczonej czaszki. Miał w sobie jednocześnie coś ze starca i coś z dziecka, coś z poukładanego chłopczyka i coś ze świra. I chyba właśnie to niedookreślenie było w nim najbardziej przerażające.

– Wszystko w porządku? – spytał Rocco.

Demon powąchał palce.

– Sztaluga wolno się rozpałała. – Brzmiał zadziwiająco spokojnie jak na kogoś, kto chwilę wcześniej dał pirotechniczny występ przed rozwścieczonym tłumem.

– Była niedostatecznie nasączona benzyną.

– Dowiem się, który cymbał za to odpowiada, i najebię mu sęków.

– Nie. Po prostu się dowiedz. I daj mi znać. – Demon ponownie przystawił dłoń do twarzy. Wciągając zapach benzyny w nozdrza, przymknął oczy. Kiedy je ponownie otworzył, utkwiał wzrok we mnie. – Kto to?

– Małolat od Nogiego. Prawnik. Ma do nas jakiś biznes.

– Nie znam cię – stwierdził Demon.

– Ani ja ciebie, więc najwyższy czas to zmienić – odparłem, zbierając się na odwęę, której się po sobie nie spodziewałem.

Demon lekko przekrzywił głowę. Sposepniał. Jego spojrzenie stało się ciężkie, ołowiane, podłe. Niemal wywoływało fizyczny ból. Czekałem na cios albo na reprimendę, ale on zrobił coś znacznie gorszego – ruszył na drugą stronę sektora. Zignorował mnie. Olał. Potraktował jak bezzapachowe pierdnięcie.

Chwilę później zostałem sam. Przez kolejne pół godziny przyglądałem się kibolom Lecha. Nie mogli wyjść z szoku po tym, co zobaczyli. Zawiesili doping. Za-

milki. Praktycznie oddali wyjazd walkowerem.

Nigdy bym nie przypuszczał, że jeden człowiek może uciszyć tysiąc rozwrzeszczanych gardeł.

\* \* \*

Jak to możliwe, że Demonowi udało się wejść do strefy buforowej? Że ani policja, ani ochrona go nie zatrzymały? Że po zejściu nie poniósł żadnych konsekwencji – nie wlepiono mu zakazu stadionowego, nie oskarżono o podżeganie do pobicia, nawet nie poproszono o złożenie wyjaśnień? Że nie licząc kilku zawołanych wzmianek w serwisach kibicowskich, nikt nawet nie zająknął się na temat tego, co zrobił?

– To proste. – Brenner wyjął z kieszeni swoją małą zapalniczkę, zapalił fajkę, a następnie wskazał wytatuowaną ręką leśną drogę, którą mieliśmy się przespacerować. – Demon trzęsie tym klubem jak jeszcze żaden kibol w historii. Na swój sposób go sprywatyzował. Dlatego robi na stadionie, co mu się żywnie podoba. Mógłby nawet wleźć na łóżkę VIP i nasrać prezesowi na jego wyglancowane mokasyny.

Zadzwoiłem do Brennera kilka dni po meczu z Lechem. Umówiliśmy się w lesie na styku Łodzi i Zgierza, z dala od najważniejszych stref wpływu kiboli. Staralem się z nim widywać jak najrzadziej, aby nie narażać się na demaskację. I żeby zbyt często sobie nie przypominać, jak dramatycznie zakłamanie jest moje życie. Ale czasem musiałem to zrobić.

– Demon nie ma udziałów w klubie i nie pełni w nim żadnej oficjalnej funkcji, ale jest jego nieformalnym właścicielem – kontynuował policjant. – Żadna znacząca decyzja nie zostanie podjęta bez jego wiedzy. Nawet takie pierdoły, jak wybór dostawcy cateringu czy firmy sprzątającej, mogą stanowić powód do awantury. Czasem chodzi o pieniądze, na których gangsterzy chcą położyć łapę, a czasem o pryncypia. Demon musi nieustannie udowadniać, że to on jest panem i władcą Widzewa. I że wszystko zależy wyłącznie od jego woli.

– Myślałem, że klub to tylko przykrywka – powiedziałem. – Że kasę trzepie gdzie indziej.

– To nie jest jego podstawowe źródło dochodu, ale na pewno główne źródło sukcesu. Dzięki władzy w klubie sprawuje rząd dusz w mieście. To legenda z Widzewa daje mu realne przełożenie na zachowania tysięcy chłopaczków, którzy przyłożą na mecze, żeby pokrzyczeć na Murzynów.

– I prawowici właściciele klubu się na to godzą?

– Muszą.

– Dlaczego?

– Pomyśl.



– Nie kupuję tej całej dyktatury kiboli. Jeżeli jakiś koleś, kibol czy nie, terroryzuje biznesmena, to ten powinien to zgłosić odpowiednim służbom. Artykuł sto dziewięćdziesiąty Kodeksu karnego. Kto grozi innej osobie popełnieniem przestępstwa na jej szkodę lub szkodę osoby najbliższej... – Uciałem, ponieważ Brenner zaczął się śmiać. – Co?

– Demon ma w dupie twoje paragrafy. To mistrz zarządzania poprzez strach. Najpierw usadził największych chamów w mieście, a potem rozmontował gogusiów w gajerach. Zresztą to nie jest *rocket science*. W jaki sposób zamknął usta ludziom ze stadionu?

– Gniazdowy powiedział, że jeśli jakaś kurwa upubliczni filmik albo zdjęcie z akcji Demona, to zostanie połamana.

– Sam widzisz. Każdego da się zastraszyć. Trzeba tylko użyć właściwych narzędzi.

– Policję też?

– Każdego – powtórzył Brenner głośniejszym, ostrzejszym, z naciskiem.

– Wiecie o jego akcji i nie próbujecie nic z tym zrobić?

– Nie mamy dowodów.

– A dziesięć tysięcy świadków?

– Gdybyśmy zaczęli wypytywać zwykłych kibiców, ktoś nieopatrznie mógłby nam pomóc. Ale wtedy wystawiłby się demonom. To zbyt błaha sprawa, żeby ryzykować czyjeś zdrowie. Dlatego musieliśmy się zgłosić do klubu z prośbą o udostępnienie nagrań z monitoringu.

– I co?

– Gówno. Wysłali nam jakiś szajs. Twierdzą, że monitoring nie obejmuje strefy buforowej, ponieważ... to strefa buforowa. Co do zasady nie powinno się tam dziać nic szczególnego.

– Bzdura – parsknąłem. – Czyli Demon trzyma za jaja ludzi odpowiadających za bezpieczeństwo w klubie?

– Cholera wie. Równie dobrze jakiś przychlast mógł dojść do wniosku, że nie przekaże nam nagrania, aby nie narazić klubu na kary. Jakbyśmy byli, kurwa, z PZPN-u. W tym właśnie tkwi problem. Nie wiemy, kto dokładnie trzyma z Demonem i z jakiego powodu. Właśnie dlatego musisz się z nim zaprzyjaźnić.

– To chyba nie jest możliwe.

Zastanawiając się nad tym, doszedłem do wniosku, że Demon musi być niesamowicie samotnym człowiekiem. Żadnych przyjaciół, żadnej rodziny. Ani jednej osoby, której mógłby zaufać. Wszędzie tylko fałszywi koledzy, prawdziwi wrogowie i ludzie, którzy przeraźliwie się go boją.

– A właściwie skąd o tym wszystkim wiesz? – spytałem.

Brenner odpowiedział mi tajemniczym uśmiechem.

– Wracajmy. Za dwadzieścia minut powinienem być w centrum, a o tej porze jedzie się przez miasto jak przez jebany Bombaj.

Wychodząc z lasu, jeszcze raz spróbowałem wrócić do tego wątku, ale Brenner najwyraźniej postanowił zostawić mnie z kolejną zagadką do rozwiązania.

– Czuję, że jest wiele istotnych rzeczy, o których mi nie mówisz – stwierdziłem.

Policjant wolno pokiwał głową.

– Robię to wyłącznie dla twojego dobra.

\* \* \*

Jakiś czas później miałem okazję przekonać się na własne oczy, w jaki sposób Demon prywatyzuje klub.

W trakcie spotkania z Lechem nabojka najpierw zadrwiła ze stadionowych zabezpieczeń, a następnie, w przyprawionej euforii wywołanej upokorzeniem herszta konkurencyjnej ekipy, urządziła ognisko ze skradzionych koszulek i szalików poznaniaków. I choć Demonowi uszło to na sucho, wojewoda łódzki zdecydował się zamknąć na jeden mecz trybunę pod Zegarem. Z kolei władze klubu, zamiast podkulić ogon i pogodzić się z tą decyzją, postanowiły ukarać chuliganów, wstrzymując im pieniądze na organizację wyjazdów i opraw meczowych. Nie chodziło o duże sumy, chodziło o gest. Prawdziwa kasa pojawiła się w grze dopiero wtedy, gdy do głosu ponownie doszedł Demon. Przed kolejnym domowym spotkaniem zarządził bojkot całego stadionu – także dla pikników, czyli kibiców, którzy przychodzili na Widzew z dziećmi albo żeby popogłębiać kopaczki.

Przez kilka dni żadna ze stron nie chciała ustąpić. Zanosilo się na to, że najbliższy mecz Widzewa w Łodzi odbędzie się bez udziału publiczności. Ale zarząd klubu nie mógł sobie pozwolić na impas, ponieważ puste trybuny oznaczały poważne straty finansowe. Zaprosił demonów do negocjacji. Oczywiście na stadionie. Oczywiście na warunkach narzuconych przez kiboli.

Wkręciłem się na to spotkanie, aby lepiej zrozumieć dynamikę relacji między nabojką a właścicielami klubu. I natychmiast tego pożałowałem, ponieważ wizyta na stadionie wywołała bolesne wspomnienie mojej pierwszej, jakże nieudolnej, bójki w życiu – tej z Jarkiem Świdorskim. Mną sprzed lat był Krystian Zieliński, syn właściciela i wiceprezes klubu. Chłopak wydawał się niewiele starszy ode mnie i wyglądał jak student jakiejś renomowanej zachodniej uczelni: dopasowany garnitur, wypastowane buty, modna fryzura. Prawdopodobnie nigdy nie miał do czynienia z kibolami, bo kiedy pojawił się na płycie stadionu, wyglądał tak, jakby się zesrał w gacie. Zresztą, kto by się nie zesrał, gdyby w towarzystwie dwóch pracowników klubu, którzy wcale nie wyglądali na kulturystów, stanął naprzeciwko zgrai kilkudziesięciu chamów. I gdyby każdy z tych dzikusów – może

z wyjątkiem mnie – patrzył na niego w taki sposób, jakby chciał wyczyścić jego twarzą rowki w swoich adidasach.

Reprezentantem demonów był Rocco. Włożył swój najlepszy dres i przykleił na głowę najbardziej złośliwy uśmiech, jaki miał w repertuarze. Myślałem, że na takie spotkanie Demon stawi się osobiście, ale widocznie uznał, że doszłoby do asymetrii, gdyby to on, pierwszy człowiek w naboju, pertraktował z synem Zielińskiego, czyli drugim człowiekiem w klubie. Facet doskonale wiedział, jak rozgrywać takie sytuacje.

– Wszyscy jesteście zgodni, że obecna sytuacja nie może dłużej trwać – zaczął Zieliński drżącym głosem, wygłaszając formułkę, której chyba nauczył się na pamięć. – My nie chcemy, żeby stadion był pusty. Wy lubicie jeździć po Polsce za swoją ukochaną drużyną i rywalizować na oprawy z innymi klubami. I nam, i wam zależy na dobru Widzewa. Dlatego mamy propozycję. Rozmawialiśmy z wojewodą. Powiedział, że cofnie karę, jeżeli uzyskamy od was zapewnienie, że sytuacja z meczu z Lechem się nie powtórzy. My natomiast możemy obiecać, że jeśli nie będziecie odwalać numerów z pirotechniką i stwarzać zagrożenia na stadionie, przywrócimy dotychczasowe finansowanie waszych aktywności i dodatkowo dołożymy się do najbliższej oprawy, żeby powrót na stadion wyglądał efektownie. Krótko mówiąc, możemy wrócić do tego, co było. Wymazać ostatnie dni i obiecać obustronną poprawę. Co wy na to?

Rocco odwrócił się do swojej zgrai, szczerząc do wszystkich kły jak podczas wizyty u dentysty. A potem przeniósł to rozbawienie na Zielińskiego.

– Nie – powiedział.

– Dlaczego? – spytał Zieliński.

– Bo nie. Bo nie układamy się z frajerami.

Zieliński spojrzał na swoich pomagierów, ale ci zdawali się równie zdezorientowani jak on. Nie dostał od nich żadnej pomocy, żadnej podpowiedzi.

– Spotkaliśmy się po to, żeby pogadać – stwierdził w końcu. – Poszukać rozwiązania. Zapropnujcie coś.

– Mamy pomysł.

– Bardzo dobrze. Słuchamy.

– Wy zwróćcie nam pieniądze i dogadacie się z wojewodą, a my dalej będziemy robić na stadionie to, na co mamy ochotę.

Zieliński parsknął pod nosem.

– Przecież...

– Jakś sobie poradzimy bez meczów. Możemy przez kilka tygodni spotykać się pod stadionem albo w pubie. Ale wy nie poradzicie sobie bez nas.

– To nie są negocjacje, tylko szantaż.

– No.

Zieliński zdurniał. Wpatrując się w rozweseloną gębę Rocco, musiał się czuć jak podczas rozmowy z wariatem. Albo gorzej: z reprezentantem stada wariatów. I to wcale nie najbardziej szurniętym ze wszystkich.

– Przekaż wojewodzie, że się dogadaliśmy. – Rocco zrobił krok w stronę Zielińskiego. – I raz na zawsze zapamiętaj: to nie jest twoje miejsce, to nie jest twój stadion.

Następnego dnia klub wydał oświadczenie, że władze Widzewa porozumiały się z kibicami, dochodząc do wniosku, że bezpieczeństwo osób przebywających na stadionie jest wspólnym priorytetem obu stron. Podpisali się pod nim Zieliński, jego ojciec i szef Stowarzyszenia Kibiców Widzewa Łódź, który był słupem podstawionym przez demonów. Chwilę później wojewoda cofnął zakaz. Wszystko wróciło do normy.

Ale Demonowi to nie wystarczyło.

Stary Zieliński miał jeszcze jedno dziecko – dziewięcioletnią córkę. W dniu, w którym zarząd ogłosił, że dogadał się z kibolami, dziewczynka nie wróciła ze szkoły. Żona Zielińskiego spanikowała. W szkole powiedzieli jej, że ze świetlicy odebrał ją facet, który podał się za pracownika jej ojca. Miał na sobie bluzę Widzewa, był niezłe zorientowany w tym, czym zajmuje się Zieliński, i sporo wiedział o jego rodzinie. Przerażona matka zdążyła już wezwać znanego łódzkiego detektywa, ale zanim ten wyszedł od niej z domu i rozpoczął poszukiwania, młoda wróciła. Cała i zdrowa. Jej opis nie był na tyle precyzyjny, aby dało się jednoznacznie zidentyfikować jegomościa, który ją odprowadził, ale facet podobno parokrotnie wspomniął dziewczynce o Michale Aniele.

W pierwszym odruchu Zieliński się wściekł. Chciał postawić całą łódzką policję na nogi i zrobić bajzel, jakiego to miasto jeszcze nie widziało. Ale potem zrozumiał, że w ten sposób mógłby przynieść sobie – a zwłaszcza swojej rodzinie – więcej szkody niż pożytku. Od tego momentu nie słyszałem, żeby władze klubu zrobiły coś wbrew woli jego samozwańczego i rzeczywistego właściciela – Demona.

Dowiedziawszy się, jak to wygląda w Widzewie, próbowałem zrozumieć esencję futbolowego biznesu w Polsce. Pojąć, dlaczego poważni przedsiębiorcy, często najbogatsi ludzie w kraju, biznesmeni z niekwestionowaną smykałą do robienia pieniędzy, kupują organizacje będące wylęgarniami patologii. Powodów było sporo. Niektórzy śnili sny o potędze, wierząc, że dzięki ich geniuszowi zarządzenia na polskie stadiony zaczną się zjeżdżać Reale, Juventusy i Bayerny tego świata, a oni zostaną lokalnymi bohaterami. Inni nie wiedzieli, co zrobić z kasą. Jeszcze inni inwestowali w futbol, bo uważali, że taka jest moda, że klub to fajniejsza zabawka niż posiadłość na Mazurach czy jacht za kilkanaście baniek. Kupowali kluby, bo ich koledzy multimilionerzy też kupowali kluby. Byli i tacy, którzy wchodzili w piłkę z nudów, żeby podkręcić sobie emocje – w myśl zasady, że jeśli masz ochotę na piwo, najlepiej kupić cały browar. Trafiali się również przed-

siębiorcy, którzy robili to z sentymentu albo – jak Zieliński – żeby spełnić kaprys dziecka.

Prędzej czy później większość przedsiębiorców się orientuje, że nie są realnymi właścicielami swoich klubów. Że losy ich biznesów spoczywają w rękach kilku chamów, którzy dyrygują całym stadionowym motłochem. I że to nie są ludzie, których znają ze świata biznesu. Z nimi nie da się negocjować. Ich trzeba słuchać. W przeciwnym razie można stracić nie tylko ciężko zarobione pieniądze, ale także coś znacznie cenniejszego.

Prędzej czy później większość piłkarskich przedsiębiorców staje przed wyborem: albo sprzedają swoje kluby, znajdując kolejnych frajerów gotowych spróbować tańca w bagnie, albo zamykają oczy – dystansują się od chuliganów i udają, że to nie ich problem. Drugi scenariusz jest znacznie gorszy, ponieważ w praktyce oznacza danie cichego przyzwolenia na bandyterkę. Wówczas cenę za komfort właścicieli klubów płać kibice. A także ich rodzice, ukochani, dzieci. Koszt społeczny oddania stadionu chuliganom i pozostawienia problemu na wątyłch barkach policji, niedofinansowanej i często nieudolnej, jest kolosalny.

Tylko czy ktokolwiek się tym przejmuje, kiedy na szali leży bezpieczeństwo jego rodziny? Przypuszczam, że wątpię.

\* \* \*

– Boimy się nieprzyjaciół, kiedy są daleko, aby nie bać się ich, kiedy są blisko – oznajmił Brenner podczas jednego z naszych spotkań.

– Kto to powiedział? – spytałem.

– Podobno jakiś francuski klecha.

– I francuski klecha ma mnie nauczyć, jak się obchodzić z gangusami?

– Nie, to akurat zrobi polski pies. Ale taki, który umie i lubi wyciągać wnioski z historii. Przygotuj na jutro swoją najładniejszą kieckę. Zabiorę cię na bal.

Przez dwadzieścia godzin głowiłem się nad tym, o co mu chodzi. A potem mój mózg niemal eksplodował. Bo następnego dnia, gdy zapakowałem się do fury Brennera, on zawiózł nas pod stadion ŁKS-u. I to na godzinę przed ligowym meczem.

– Chyba cię popierdoliło – wypaliłem, zanim wysiedliśmy z auta.

– A co, jesteś już tak znanym chuliganem, że elkaesiacy wysyłają sobie twoje fotki? Może jeszcze walą do nich konia?

– Znam kilka osób z tego środowiska. Będzie przypał, jeśli je spotkamy.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że do tego dojdzie?

– Niewielkie, ale jest.

– Nie sraj żarem. Będziesz robił jeszcze głupsze rzeczy.

To, że Brenner zaciągnął mnie na stadion Elksy, było ryzykanctwem. Ale to, że znalazł dla nas miejsce z boku Galery, najbardziej żywiołowej trybuny, na której zasiadają największe koksy, i kazał mi się gapić na liderów nabojski ŁKS Warriors, było już czystym wariactwem. Choć może w tym szaleństwie była metoda? W końcu jeszcze zanim rozpoczęło się meczowe zamieszanie, zdążyłem przyrzeć się głównym konkurentom Demona. A właśnie to było celem naszej wizyty.

Na szczycie hierarchii stał u nich Marcin „Śledziu” Gawroński. Urodził się w Gdyni i temu zawdzięczał swoją ksywę. Przez pewien czas był nieźle zapowiadającym się zawodnikiem MMA. Ale gdy przykleiły się do niego problemy z prawem, porzucił karierę i skupił się na swoim prawdziwym powołaniu. Od kilku lat szefował nabojsce ŁKS Warriors. Trudno było w nim dojrzeć dawnego mistrza mieszanych sztuk walki, ponieważ aktualnie miał ze trzydzieści kilogramów nadwagi. Mimo to nikt o zdrowych zmysłach nie próbował weryfikować jego sprawności fizycznej.

Śledziowi towarzyszyła na stadionie żona Kaśka. Prawdopodobnie najbardziej zagadkowa postać w całej nabojsce. Jedni uważali, że jest tylko zgrabną, blondwłosą i solidnie podrasowaną chirurgicznie ozdobą Śledzia, która lubi jeździć na mecze, a przy okazji ogarnia warriorsom księgowość i sprawy administracyjne. Ale inni nazywali ją Carycą i twierdzili, że tak naprawdę to ona kieruje grupą. Przed dołączeniem do nabojski pracowała jako pielęgniarka w jednym z łódzkich szpitali. Poznała tam Gawrońskiego, który trafił na jej oddział po którejś z walk. Zaraził ją sobą i swoim stylem życia, a przede wszystkim perspektywą nowych możliwości zawodowych.

– Niektórzy uważają, że Caryca jest przekleństwem Śledzia – powiedział Brenner, zionąc mi w twarz papierosowym oddechem.

– Dlaczego?

– Bo przez nią część chuliganów nigdy nie będzie traktowała go jak stuprocentowego faceta, a co dopiero stuprocentowego szefa nabojski. Wielu podejrzewa, że to ona pociąga za sznurki, podczas gdy jej spasiony i szybko degenerujący się facio jest tylko twarzą i zbrojnym ramieniem grupy.

– A tak jest?

– Tylko na nich popatrz.

Rzeczywiście. Bambaryła nie wyglądał zbyt imponująco. Nawet jeżeli Śledziu dalej miał dość umiejętności, siły, a od jakiegoś czasu także masy, aby wklepać dziewięćdziesięciu dziewięciu procentom ludzi w tym mieście, nie sprawiał wrażenia kolesia, który mógłby porwać za sobą zgraję chuliganów. Co innego Caryca. Choć przyglądałem się jej z odległości kilkunastu metrów, byłem w stanie wyczuć jej energię. Emanowała nią w swoich dynamicznych gestach, w drobnych ruchach, w interakcjach z koksami, których gromiła albo wynagradzała. O sile Carycy mówiło także zachowanie samych warriorsów, którzy nieustannie na nią

spoglądali. Niektórzy, rzecz jasna, głównie na jej cyci. Ale inni robili to w taki sposób, jakby się bali, że ukarze ich za coś, o czym nawet nie zdążyli jeszcze pomyśleć.

– Może to ona tak naprawdę stoi na czele warriorsów – zasugerowałem, nachylając się do Brennera.

– Byłoby to bardzo logiczne – odparł. – Jest tylko jeden problem.

– Jaki?

– Kutas. A w zasadzie brak kutasa.

No tak, kobieta szefowa naboiki – coś takiego znajdowało się poza horyzontem wyobraźni troglodytów. Ale jeśli ktoś miał ustanowić precedens, to właśnie Caryca.

– Jak myślisz – zagał Brenner – który z nas miałby bardziej przejebane, gdyby się dowiedzieli, kim jesteśmy? Ja czy ty? Pies czy widzewiak?

– Ciszej – syknąłem.

– Zastanów się nad tym przez chwilę. Kogo kibol nienawidzi bardziej? Bezpośredniego rywala, z którym walczy o wpływy w mieście, czy wroga wszystkich przedstawicieli jego gatunku?

– Nie mam pojęcia.

– Podobno fanatycy religijni bardziej nie znoszą ateistów niż innowierców.

– W tym przypadku może być podobnie.

– Ale pewności nie ma. Może to sprawdzimy?

– Jak?

– Organoleptycznie. – Policjant wbił we mnie szkliste spojrzenie. – Wystarczy jeden okrzyk.

Brenner mówił o tym tak głośno, jakby naprawdę chciał się przekonać, w jaki sposób zachowałby się kibolski motłoch. Czy on był samobójcą? A może tylko mnie testował? Weryfikował moją odporność psychiczną. Sprawdzał, czy nie wydygam, gdy zrobi się dziwnie.

Nie wydygałem. Ale uciekłem wzrokiem i zupełnie przez przypadek natknąłem się na Carycę, która akurat spoglądała w naszą stronę. Nie wiem, czy bezpośrednio na mnie, czy gdzieś obok, ale poczułem się jak w potrzasku: z jednej strony ona, królowa chuliganów z przeciwnego plemienia, a z drugiej on, policjant manipulant. Nie było to komfortowe. Nie mogło być. Ale wiedziałem, że powinienem się przyzwyczaić do skrajnej psychicznej niewygody. I coś mi podpowiadało, że do tej pary szaleńców również.

Gierki Brennera uświadomiły mi, że jeśli chcę zrozumieć, jak daleko sięgają macki demonów i z czego dokładnie wynika bezkresna władza ich przywódcy, muszę skompletować informacje na temat klubu, jego pracowników oraz firm, z którymi współpracuje Widzew. Poznać widzewskie struktury, zorientować się w zasadach organizacji meczów i biznesie piłkarskim, prześledzić dziesiątki życiorysów: od działaczy piłkarskich przez zawodników zblatowanych z kibolami po sprzątaczkę i koleśki sprzedających kiełbasę na meczach. Krótko mówiąc, czekało mnie mnóstwo pracy.

Podejrzewam, że kompetentnemu zespołowi analityków, mającemu jako takie pojęcie o funkcjonowaniu klubu piłkarskiego i organizacji Demona, zajęłoby to parę miesięcy. A ja byłem sam. W dodatku miałem na głowie studia prawnicze, pracę na rzecz Nogiego, współpracę z psami i treningi MMA. Harowałem po szesnaście godzin na dobę, byłem permanentnie zmęczony i tłamsiło mnie poczucie, że niczego nie robię, jak należy. Dlatego musiałem znaleźć drogę na skróty.

A także kogoś, kto podąży nią razem ze mną.

Umówiłem się z Ażmim w jednej z osiedlowych mordowni przy Wojska Polskiego. Rozsiadliśmy się na barowych stołkach między dwiema grupkami wąsatych chlorów. Zamówiliśmy po piwie. Gapiąc się w telewizor, który wypluwał skróty meczów ostatniej kolejki Premier League, w wąchując się w gryzący smród tanich fajek i mimowolnie wsłuchując się w bezmyślne dialogi podstarzałych pijusów, zacząłem przedstawiać Ażmiemu swój plan.

– Za słabo znam Widzew. To znaczy z grubsza wiem, co się dzieje w drużynie, ale nie mam pojęcia, jak wygląda klub od środka. Kto za co odpowiada, kto kogo zna, kto pociąga za sznurki.

– No i co z tego? – Ażmi niezbyt udanie stłumił beknięcie. – Ja też nie mam pojęcia, co tam się dzieje, i jakoś żyję.

– Trzeba znać klub, żeby wiedzieć, na co możemy sobie pozwolić. A najlepiej w ogóle byłoby się z nim związać w jakiś formalny sposób.

– Po co?

– Dla bezpieczeństwa. Gdyby kiedyś trafił nam się przypał, dobrze byłoby mieć coś wspólnego z Widzewem. Taka relacja mogłaby złagodzić konsekwencje.

– Kim chciałbyś tam być? Cieciami? Ogrodnikiem? Chłopakiem do towarzysstwa? Przecież piłkarzem już nie zostaniesz.

– I tu możesz się mylić. – Uśmiechnąłem się. – Widzew co roku występuje w turnieju kibicowskim. Nabójki z całej Polski wystawiają do gry swoich ludzi, bo to zajebista okazja do nawiązania znajomości i skręcenia paru dila. Nigdy nie wiadomo, kto może się przydać w interesach. W tym roku impreza odbędzie się u nas. Mogę się założyć, że działacze przyjmą z pocałowaniem ręki każdego wolontariusza, który się zgłosi do pomocy.



– Może i tak, ale dlaczego gadasz o tym ze mną, a nie z Kojiro? Klub to jego brocha.

– W tym przypadku bardziej potrzebuję ciebie. Masz lepsze oko do ludzi. No i nie chlejesz tyle co on.

– To akurat prawda. – Ażmi wyjął papierosy. Zapalił, zerkając kątem oka, jak Luis Suárez strzela swoją drugą bramkę w meczu Liverpoolu z Norwich. – Czego konkretnie potrzebujesz?

– Wkręc się ze mną do organizacji turnieju. Znajdziemy jakichś lamerów, którzy wykonają za nas robotę, a my się zwąchamy z ludźmi trzymającymi władzę.

Ażmi pił szybko, nawet bardzo szybko. Podczas gdy ja ledwo zamoczyłem usta w piwie, on wyzerował swój kufel i odstawił go z hukiem na stół, ściągając na nas spojrzenia rozgadanych wąsaczy.

– Zapytam jeszcze raz, ale tym razem odpowiedz szczerze, bo nie lubię, kiedy ktoś robi mnie w chuja. – Mocno się zaciągnął. Nie spuszczał mnie z oczu, wypuścił nosem dym. – Po co ci to?

Liczyłem się z tym, że Ażmi nie łyknie mojego tłumaczenia. I nawet się ucieszyłem, że tak się stało. Dobrze go oceniłem. Był znacznie sprytniejszy, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka.

– Chciałbym przeskoczyć kilka szczebli w organizacji – wyjaśniłem.

– Planujesz wygryźć Nogiego?

– Nie wygryźć. Obejść. Trochę przyspieszyć na ścieżce rozwoju. Zdobyć znajomości, nauczyć się czegoś, znaleźć nowe sposoby robienia kasy. Przy odrobinie szczęścia może uda nam się dostać do Tłusćciochów.

Ażmi gwizdnął pod nosem.

– Wysoko mierzysz. Obyś się, kurwa, nie przeliczył.

– Przyszedłem do ciebie, bo jesteś jedynym gościem w naszej ekipie, który może to skumać. Chyba nie zamierzasz całe życie ganiać z towarem. Musisz mieć jakieś marzenia.

Ażmi się zasępił. Po chwili konsternacji przywołał barmana i zamówił następne piwo. W końcu przekreślił się na hokerze w moją stronę.

– Marzę o wielu rzeczach – powiedział. – Chciałbym mieć tyle hajsu, żeby móc sobie kupić każdą dupę w mieście. Chciałbym się wozić furami z najnowszego *Gran Turismo*. Chciałbym też mieć taką pozycję, żeby żaden frajer nie miał odwagi podnieść na mnie głos. – Kiedy barman postawił przed nim piwo, Ażmi momentalnie chwycił za szkło. Stuknęliśmy się kufkami. – Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana.

– Albo przegrywa dwa razy.

Ażmi chyba mnie nie usłyszał, bo jeden z pijusów wydarł mordę, kiedy Suárez pięknym lobem z połowy boiska skompletował swojego pierwszego hattricka dla

Liverpoolu.

– Jebaniutki – powiedział Ażmi. – Gdyby u nas tak grali, tobyśmy się nie musieli okładać po mordach.

Nie wiem, czy to prawda. Ale słysząc wiwatujących kibiców The Reds na stadionie w Norwich, pozwoliłem sobie w to uwierzyć.

## 9.

Spotkałem na boiskach trzy rodzaje piłkarzy amatorów.

Rodzaj pierwszy – niespełnieni. Wyposażeni w drogi sprzęt, punktualni, przyzycykowani. Przeważnie nieźle wyszkoleni technicznie, wydolni, zawzięci. Gotowi obrazić się o byle gównno. Traktujący podwórkową kopaninę jakby to był co najmniej mundial. Raczej nielubiani. Ale że to oni zwykle organizują grę, trudno się ich pozbyć.

Rodzaj drugi – luzacy. Nie ma dla nich znaczenia, czy grają w piłkę, czy w pici-polo – byleby przed meczem i po meczu nie zabrakło jointów. Traktują sport jak spotkanie towarzyskie i z reguły nieźle się przy tym bawią, nawet jeśli nie nadążają za akcjami i dają się ogrywać jak dzieci. Choć czasem, jeżeli mają talent, do którego nigdy nie dorosły ich ambicje, potrafią być najlepsi na boisku. Nawet gdy w ogóle im na tym nie zależy – a przynajmniej nie na tyle, żeby to w jakikolwiek sposób manifestować.

Rodzaj trzeci – bydło. To te wszystkie głąby ze świata kibolsko-chuligańskiego. Napinacze, którzy przez cały mecz obrzucają się gównem i przechwałkami, a największą frajdę czerpią z przepychanek przy stałych fragmentach gry. Prymiytywy, brutale, patusy, sterydciarze, czasem kryptogeje.

A ja? Jak zawsze byłem gdzieś pomiędzy. Kiedyś marzyłem o zawodowstwie, ale zabrakło mi zdecydowania i odwagi. Starłem się bawić i nie spinać podczas meczów, choć nie potrafiłem odpuścić walki o wynik. Na co dzień prawie nie tykałem jointów, a mimo to zdarzało mi się grać upalonym i wywijać nogami, jakbym się wychował na ulicach Rio. A jednocześnie, jeśli czułem, że sytuacja tego wymaga, potrafiłem się zachować jak ostatni prostak.

– Powrót, kurwa! – wydarłem się, gdy przeciwnicy zaczęli wychodzić z kontrą.  
– Powrót!

Była końcówka meczu. Przegrywaliśmy z Cracovią dwa do trzech. Musieliśmy atakować, aby uratować remis i jakimś cudem nie odpaść z turnieju, który ewidentnie przerastał nasze możliwości. Nasi dwaj obrońcy – dwumetrowe kafary, które przez swoją powolność zawałyły nam mecz – zapędzili się pod pole karne przeciwnika. Podobnie jak reszta drużyny. W efekcie jako jedyny musiałem zapierać się za trójką szybkonogich, niezmordowanych kolesi, na pewno mających za sobą treningi w jakiejś krakowskiej szkółce piłkarskiej.

– Wracać, do kurwy nędzy!

Dobiegając do własnego pola karnego, rozumiałem, że to na nic. Nikt oprócz mnie nie wrócił. Próbowiałem jeszcze ratować sytuację, ale kolesie z Cracovii zbyt

dobrze kontrolowali piłkę, aby mi na to pozwolić. Szybko wymienili trzy podania, wycykali mnie i naszego otylego bramkarza, po czym wjechali z piłką między słupki. Chwilę później sędzia zakończył mecz. Dwa do czterech. Odpadliśmy z turnieju, zanim ten się rozkręcił na dobre.

Kiedy siedziałem na murawie, myśląc, że wypluję płuca, podszedł do mnie jeden z naszych klockowatych obrońców. Położył mi rękę na ramieniu.

– Brawo, młody – powiedział tubalnym głosem. – Dwadzieścia kilogramów i dwie artroskopie temu też bym za nimi pobiegł.

– Chuja to dało – odparłem, wciąż dysząc.

– Liczy się ambicja. Serducho. *Cojones*. Skurwysyny może i szybko biegają, ale zawsze można im poprzetrzącać kulasy. Niech się tylko, kurwa, nadarzy okazja.

Facet, który chwilę później podał mi grabę i pomógł wstać, był moim nowym przewodnikiem po świecie skorumpowanej piłki nożnej. Nazywał się Kamil Wencel, ale wszyscy mówili na niego Szejek. Podobno przez trądzik – ktoś kiedyś powiedział, że jego ryj produkuje więcej ropy niż Arabia Saudyjska. Miał trzydzieści kilka lat, żonę i dwie córki. Mieszkał w starym dziesięciopiętrowcu na Chojnach, balkon w balkon z teściami, tylko parę ulic od swoich starych. Miał dwa zadbane shih tzu, które nie tylko wyglądały kreskówkowo, ale i nazywały się jak postaci z bajek – Julian i Mort. Skończył stosunki międzynarodowe, przepracował kilka lat w korpo, zrobił kurs grafiki komputerowej. Trochę się tułał po rynku pracy, aż wreszcie znalazł dla siebie wymarzone miejsce – dział marketingu Widzewa Łódź. Przez jakiś czas zajmował się nagrywaniem filmików z piłkarzami, tworzeniem grafik na media społecznościowe czy wpuszczaniem postów na Facebooka. Potem został szefem i rzucił wszystko na barki dwóch stremowanych chłopaczków. Ostatnio już tylko zbijał bąki, od wielkiego dzwonu biorąc na siebie akcje specjalne, takie jak organizacja turnieju dla kibiców.

Aha, zapomniałbym dodać: uwielbiał się bić. Bardziej lubił chyba tylko zapach hajsu.

Szejek przeszedł modelową ścieżkę kibicowską. Jako dziecko jeździł na mecze z ojcem i oglądał, jak jego stary tankuje z ziomalami z ośki. Później, będąc nastolatkiem, został ultrasem: pomagał przygotowywać oprawy, wnosił race na stadion, angażował się w rozmaite akcje kibicowskie. Wreszcie, już jako dorosły człowiek, postanowił zostać hoolsem. Nabral masy mięśniowej, zapisał się na boks. Był niezły w te klocki, a do tego wielki jak szafa, dzięki czemu z łatwością wkręcił się w środowisko chuliganów. Przez jakiś czas wiódł podwójne życie: z jednej strony starał się być przykładnym mężem, ojcem i dostarczycielem kasy dla rodziny, z drugiej spędzał weekendy na bardachach, imprezach i łamaniu prawa. A potem te dwa światy zlały mu się w jeden: pełen lewych interesów, bólek i piłki nożnej. Dokładnie w takiej kolejności.

Nie wiem, jak to się stało, że Szejek związał się z demonami, ale w którymś momencie został znaczącym członkiem nabożki. Umocowanym w strukturach klubu, zorientowanym w przepływach finansowych, znającym ludzi kręcących się wokół drużyny. Był wtyką, która ułatwiała gangsterom dojenie widzewskiej kasy.

– Chodź. – Szejek klepnął mnie swoim wielkim łapskiem w plecy, jakby chciał mi odkleić kręgosłup od żeber. – Pierdolniemy po browarze, pogadamy z naszymi szmaciarzami, a potem poznam cię z kilkoma mordami z innych klubów.

– Nie musisz tego jakoś koordynować? – Wycelowałem palcem w jedno z bocznych boisk, na które spiker właśnie zaprosił dwie drużyny.

– Koordynować?

– Nie wiem. Pogadać z kapitanami drużyn, ogarnąć wolontariuszy, załatwić jakieś formalności.

Szejek zaśmiał się pod nosem.

– A czy ja wyglądam na kogoś, kto przyszedł tu zapierdalać?

Zamieniliśmy parę słów z chłopakami z drużyny, którzy podobnie jak my nie mieli ochoty rozpamiętywać meczu, i ruszyliśmy w stronę trybun. Tam czekał na nas Ażmi. Wystrojony w dres, rozweselony, lekko pijany. Schylił się do niewielkiej lodówki turystycznej i wręczył nam po piwie.

– Wyglądało to dramatycznie – ocenił. – Jakbym oglądał najebanych wujasów kąpiących gumową piłkę przy grillu.

– Zamknij mordę. – Szejek otworzył puszkę tak, aby ochlapać Ażmiego. – Pelé się, kurwa, znalazł.

– Edson Arantes do Ażmimento – rzuciłem.

– Po prostu mam wysoko ustawiony próg godności. – Ażmi uniósł dłoń na wysokość czoła, jak gdyby chciał osłonić oczy przed słońcem. – Mój jest tutaj. A wasz gdzieś tu.

Kiedy się schylił, aby zaprezentować, jak bardzo skompromitowaliśmy się na murawie, Szejek zrobił krok w jego stronę. Położył mu dłoń na karku.

– To może się szybko zmienić.

Przez kilka sekund udawał, że kopuluje z głową Ażmiego, czym wprowadził w dzieki rozbawienie wszystkich, którzy widzieli tę scenkę. No, prawie wszystkich. Z wyjątkiem mnie.

Może byłem trochę rozczarowany porażką z koleśkami, którzy wcale nie byli wirtuozami futbolu. Może to nie był mój ulubiony typ poczucia humoru. A może zamiast dać się pochłonać tej stadnej głupocie, po raz kolejny wpadłem w dziurę, w której czyhał na mnie potwór. Ten, którego nie potrafiłem poskromić. Ten, na którego niektórzy mówili „rzeczywistość”.

Polubiliśmy się z Szejkiem od pierwszego razu. Kiedy przyszlismy do niego z Ażmim, wymieniliśmy się wrażeniami po ostatnim meczu Widzewa, a potem od słowa do słowa zeszlismy na tematy kibicowskie. Szejk sam zaproponował, żebyśmy się zaangażowali w organizację turnieju. Wpadliśmy więc na kilka godzin do klubu, obdzwoniliśmy parę drużyn i pomogliśmy mu z jakimś duperelami, a on uznał, że jesteśmy na tyle ogarnięci, że warto wessać nas w wewnętrzny widzowski świat. Nie pytał, czy mamy na to ochotę. Po prostu to zrobił.

Nie pytał też, czy mamy ochotę przyjść do Bezsensowności, popularnego widzewskiego lokalu przy Piotrkowskiej, w którym zorganizował imprezę dla kiboli z całej Polski. Po prostu nas tam zabrał. A potem zaczął wlewać w siebie i w nas wódkę. Zanim się zorientowałem, byłem niezłe zrobiony.

– Posiedzę z wami jeszcze z godzinę, wypiję parę kielichów i muszę lecieć – powiedział Szejk, przesuwając się na skraj kanapy i sięgając po zanurzoną w kubkę z lodem butelkę czystej. – Obowiązki wzywają.

Wykonał gest kopulacji. Ten sam, który kilka godzin wcześniej zaprezentował na stadionie, tylko teraz nie skorzystał już z głowy Ażmiego. Jego repertuar znaków niewerbalnych był mocno ograniczony.

– Umówiłeś się na ruchanie? – spytałem.

– W końcu jest sobota. Dzień loda. – Szejk zarechotał, po czym wyjął z kieszeni telefon. Pochylił się do mnie i do Ażmiego, aby pokazać nam zdjęcie. – To Jowita. Dziewiętnaście lat, metr osiemdziesiąt, przyzwoite cycki. Typ modeleczki. Kumpel wyhaczył ją w jakimś amatorskim pornolu, a potem odkrył, że panna przyjmuje prywatne zlecenia. Typiara potrafi wziąć całego do gęby. Aż po pampuchy.

– A ty nie masz przypadkiem żony?

– Mam. I to nie przypadkiem. – Szejk uśmiechnął się od ucha do ucha, po czym schował telefon i rozlał do kieliszków wódkę. – Mam też potrzeby, których wolalbym nie załatwiać z żoną.

– Daj mu spokój, po prostu lubi inne laski – włączył się Ażmi. – Takie z siusiakami.

Szejk odstawił butelkę i przygniół Ażmiego swoim cielskiem, jednocześnie dźgając go kciukiem pod żebra. Niczym starszy brat młodszego brata. Niczym przyjaciele o ponadprzeciętnej zażyłości. Ażmi zadziwiająco skutecznie zjednywał sobie ludzi swoją naturalnością, szczerością i stroniem od wazeliniarstwa.

– Często się spotykacie? – zapytałem, kiedy Szejk zszedł z Ażmiego i sięgnął po kieliszek.

– Mniej więcej raz w miesiącu. Czasem częściej, jeśli najdzie mnie ochota.

– A jak taka laska z pornola bierze ci po pampuchy, to masz potem jeszcze ochotę na zwykłe numery z żoną?

Kiedy Szejek zastygł z kieliszkiem w dłoni i wbił we mnie lodowaty wzrok, pomyślałem, że przekroczyłem jakąś niewidzialną granicę. Ale zaraz potem wypił wódkę, chrząknął i wypogodniał.

– Taka laska jest jak załadowanie koksu do nocha. Raz na jakiś czas możesz sobie na to pozwolić. I raczej nie odmawiasz, kiedy nadarza się okazja. Ale na większości melanży grzecznie sączysz łychę i nie marudzisz. Rozumiesz? – Rozumiałem, choć było to dość absurdałne porównanie. I wyjątkowo podle usprawiedliwienie zdrady. – Młody, skoczysz po flaszkę? – Zwracając się do Aźmiego, Szejek potrząsnął kubłem z lodem.

– Przecież jeszcze mamy z pół butelki. Nawet nie...

– Skocz, kurwa. Nie kaź się prosić.

Aźmi wyglądał na zdezorientowanego. W pierwszej chwili pewnie chciał odburknąć w swoim stylu, ale potem się rozmyślił. W spojrzeniu Szejka musiał dostrzec coś, co wystarczająco go zmotywowało, żeby zwlec dupę z kanapy i ruszyć do baru.

– Co tutaj widzisz? – zapytał Szejek, kiedy zostaliśmy sami.

Rozejrzałem się. Siedzieliśmy na półpiętrze, oddzielnym krótkimi schodkami od parkietu. Roztaczał się stąd widok na cały lokal. Na zgraję bydlaków udających, że potrafią tańczyć. Spoconych, zasapanych, pijanych, naćpanych. Jedni byli w dresach i klubowych barwach, inni topless, niektórzy wymachiwali koszulkami nad łysymi łbami. Wszyscy wyglądali żałośnie. Tępo. Troglodycko.

– *Saussage party* – odparłem.

– Co?

– Gdyby nie kilka lasek, które wyglądają jak uprowadzone z solarium, na parkiecie byłyby same typy.

– Nie o to pytałem. – Szejek zatoczył półokrąg swoim ciężkim łapskiem. – Chodzi mi o lokal. Lo-kał. Co widzisz?

Zdurniałem. Przez dobrą chwilę zastanawiałem się, o co może mu chodzić.

– Klub, pub, mordownię, nie wiem, kurwa. – Wzruszyłem ramionami. – Do czego zmierzasz?

Szejek zerknął w stronę Aźmiego, który wciąż czekał na barmana. Chwilę później poderwał się na równe nogi.

– Chodź. Coś ci pokażę.

Ruszyliśmy w głąb klubu. Obeszliśmy dookoła parkiet, minęliśmy kible i skręciliśmy w oświetlony jaskrawoczerwonymi lampami korytarz. Myślałem, że Szejek prowadzi mnie na zaplecze, ale on wciągnął mnie do jakiegoś innego świata. Korytarz łamał się niczym w labiryncie, bas łomotał w wyłożone kafel-

kami ściany, a z kolejnych zakamarków wylaniały się klaustrofobiczne salki. Czulem się jak w filmie *Nieodwracalne* Gaspara Noé. Tyle że w Bezsensowności zamiast typów posuwających się po kątach byli nagrzeni kibole, którzy wciągali biały proszek, pukali lalki z solarium albo prowadzili głębokie rozmowy na temat życia. Czasem wszystko to naraz.

Nie zamieniając po drodze ani słowa, dotarliśmy na koniec korytarza. Stanęliśmy przed metalowymi drzwiami. Szejk włożył rękę do kieszeni, chwilę w niej pogmerał i wyjął podłużny klucz z brelokiem w kształcie pitbulla. Pokazał mi go, jakby było w nim coś nadzwyczajnego.

– Ty widzisz tutaj tylko klub – powiedział, wkładając klucz do zamka. – A ja widzę ocean możliwości.

Za ciężkimi wrotami kryło się pomieszczenie, które zgodnie z wizją architekta prawdopodobnie miało służyć jako kantorek. I być może rzeczywiście było kantorkiem, ale z całą pewnością nie klubu nocnego. Brakowało w nim zapasowych hokerów, rezerwowej zastawy stołowej czy skitranego na czarną godzinę alkoholu. Były za to maczety, kastety, noże, pałki, gaz łzawiący i mnóstwo innej broni, której nawet nie potrafiłem nazwać. Były też koszulki klubowe drużyn z całej Polski, szaliki, kominiarki, spreje i race. Były stroje służbowe najróżniejszych formacji mundurowych, w tym Policji, Służby Więziennej i Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Były także telefony komórkowe, laptopy, krótkofalówki, kamery. Było tam, kurwa, wszystko.

Przez kilka długich sekund zastanawiałem się, gdzie on mnie przyprowadził. Do schronu? Zbrojowni? Centrum dowodzenia organizacji terrorystycznej?

– Faktycznie, to chyba nie jest klub... – wydukałem.

Szejk się roześmiał, po czym zamknął za nami drzwi.

– Nazywam to placem zabaw. Rzadko tu zaglądam, żeby nie generować przypału, ale od czasu do czasu lubię sobie przypomnieć, że mamy coś takiego.

– Jesteś właścicielem tego... – Rozejrzałem się dookoła. – ...miejsca?

– Nieformalnym. Oficjalnie Bezsensowność należy do jednego z pracowników Wdzewa, ale on nawet o tym nie wie, a ja nigdy go tutaj nie widziałem. I raczej nie zobaczę.

Kiedy wreszcie odciągnąłem wzrok od sprzętu, za pomocą którego dałoby się przeorać każdy stadion na świecie, zacząłem się gapić na Szejka. Bezmyślnie, intensywnie w swojej bezmyślności. Chciałem go o coś zapytać, ale pytanie utknęło mi na końcu języka. W końcu jakoś je wypchnąłem z gardła.

– Dla kogo ty właściwie pracujesz?

– Dla siebie.

– Pytam poważnie.



– A ja poważnie odpowiadam. Czuję się w pełni uwłaszczony na tym, co robię. Klub zatrudnia mnie w dziale marketingu i wypłaca comiesięczną pensję, ale prawdziwą robotę zleca mi ktoś inny.

– Demon.

Pokiwał głową.

– Jak to się teraz modnie mówi, outsourcuje na mnie niektóre tematy. Większość jest jakoś związana z Widzewem i piłką nożną, ale czasem chodzi o coś takiego. – Szejek sięgnął po pierwszą z brzegu maczetę. Zaczął markować, że uprawia szermierkę. – Muszę tylko wydawać chłopakom sprzęt, kiedy go potrzebują. No i pilnować, aby nikt niepowołany tutaj nie wszedł.

Kiedy to wielkie napakowane dziecko zaczęło wymachiwać maczetą niczym mieczem świetlnym, pomyślałem, że Demon musi być jednak kompletnym kretynem, skoro powierzył dogłądanie tego miejsca takiemu facetowi. A potem uświadomiłem sobie, że jeszcze większym kretynem musi być ktoś, kto bezwzględnie pozwolił się tam zaprowadzić.

– Dlaczego mi to pokazałeś? I dlaczego tylko mnie?

Szejek przestał wymachiwać maczetą. Zbliżył się do mnie, uniósł broń na wysokość głowy i w zwolnionym tempie przystawił mi ostrze do szyi.

– Lubię Ażmiego, ale chłopak ma gorącą głowę i długi jęzor. Mógłby niechcący chlapnąć coś, czego obaj byśmy żalowali. Natomiast ty wydajesz się bystrym gościem, który rozumie, że puszczając parę z ust, podpisałbyś na sobie wyrok. – Odłożył maczetę i strzepnął drobiny kurzu z munduru policyjnego. – Poza tym podobno bardzo chcesz poznać Demona. Skoro tak, powinienesz wiedzieć, czego właściwie pragniesz.

\* \* \*

Po zaledwie dwóch tygodniach znajomości Szejek wciągnął mnie do drużyny turniejowej, ugościł jak króla w dziale marketingu i pokazał zatrważający arsenał demonów, którego rzekomo strzegł jak oka w głowie. Po kilku następnych wdrożył mnie w największe tajemnice swojej dwutorowej działalności, opowiadając ze szczegółami, w jaki sposób pomaga nabojsce panoszyć się na Widzewie – umożliwiając jej członkom swobodne poruszanie się po stadionie, pośrednicząc w zatrudnianiu gangsterów czy ułatwiając zastraszanie ludzi i firm współpracujących z klubem.

Szejek potwierdził to, o czym mówił Brenner. Demon był cholernie cwany. Wiedział, że jeśli spróbuje położyć łapę na najważniejszych źródłach przychodów Widzewa, czyli wpływach ze sprzedaży praw do transmisji telewizyjnych, umowach sponsorskich czy transferach, wejdzie na kurs kolizyjny z Zielińskimi, którego nawet zastraszeni i sflamszeni właściciele klubu nie będą w stanie zaakcep-

tować. Dlatego zajął się całą resztą. Zadbał o to, aby Widzew miał podpisane umowy z takimi firmami cateringowymi, sprzątającymi, ochroniarskimi, a nawet prawnymi, które bezpośrednio lub pośrednio należały do demonów. Jego ludzie przejęli klubowy sklep z gadżetami, przystadionowy pub i szkołę sportów walki. Częściowo kontrolowali też sprzedaż wejściówek i karnetów, dzięki czemu chuligani nie musieli ani płacić za bilety, ani przejmować się zakazami stadionowymi. Ale przede wszystkim traktowali klub i całą jego społeczność jak wielki nielegalny bazar, do którego mają wyłączne prawo. Gdzie mogą handlować, czym tylko im się podoba.

Słuchałem historii Szejka z coraz większym zdumieniem. Nie mogłem się naziwić zwłaszcza temu, że tak swobodnie o tym opowiada. Zupełnie jakby ktoś mu kazał. Po naszych spotkaniach zaczęły mnie dopadać małe ataki paniki. Czuliem, że ktoś mnie rozgrywa. Że Demon i jego ludzie tylko czekają, aż pobiegnę z tymi informacjami do koleżków z CBS. I że kiedy to się stanie, ubiją mnie jak psa.

Jedno nie ulegało wątpliwości: Szejk nie był dość bystry, aby to wszystko zmyślić. Dzięki jego paplaninie coraz lepiej poznawałem świat chuliganów. Ale wciąż brakowało mi odpowiedzi na najważniejsze pytanie: jak, do cholery, mam się dobrać Demonowi do dupy?

Zastanawiałem się nad tym w pewien czwartkowy wieczór, wracając do domu po kolejnym wyniszczającym dniu: trzy godziny nauki, sześć godzin na uczelni, dwie godziny ogarniania kibolskich tematów, a na deser półtoragodzinny wpierdol na macie, po którym ledwo doczłapałem na róg Kilińskiego i Rewolucji 1905 roku. Kiedy podjechał tramwaj, wsiałem do drugiego wagonu, który był prawie pusty. Położyłem torbę na kolanach, przykleiłem skroń do szyby i zapatrzyłem się w unurzane we wszystkich odcieniach szarości śródmiejskie kamienice, znacznie atrakcyjniejsze po dwudziestej drugiej niż w ciągu dnia. Przymknąłem oczy. Zawiesiłem zmartwienia. Zluzowałem mózg. Poczuliem, że za moment odpłynę.

Ale nie zasnąłem.

Otworzyłem oczy po mniej więcej minucie, gdy do tramwaju wsiałło trzech kolesi w dresach. Być może nie zwróciłbym na nich uwagi, gdyby nie fakt, że dwóch z nich usiadło obok mnie. Z kolei trzeci podszedł do dwojga nastolatków, którzy obściskiwali się z przodu wagonu, i powiedział im coś, po czym niemal wybiegli z tramwaju.

Serce podskoczyło mi do gardła. Wiedziałem, że jest źle. Bardzo źle. Fatalnie.

– Macie z czymś problem? – zapytałem, próbując grać na czas.

– Nie – odparł dresiarz siedzący przede mną. – Ale za to ty masz przejebane.

Zanurkowałem do zewnętrznej kieszeni torby, w której nosiłem gaz pieprzowy – właśnie na takie okoliczności jak ta. Ale nie zdążyłem go wyjąć. Facet

siedzący z tyłu chwycił mnie za głowę, jakby chciał mi ukręcić łeb. Ten z przodu wstał i spróbował złapać mnie za nogi. Trafiłem go kilkoma kopnięciami, ale w końcu przywarł do moich ud, jak gdyby ścisnął zrolowany dywan. Chwilę później podszedł trzeci typ. Szamocąc się i wierzgając, nie przyjrzałem mu się dokładnie, ale zdołałem odnotować, że jest nakręcony i wściekły. I że w prawej ręce ścisną coś, co niepokojąco przypomina kastet.

Zadał cios. Potem kolejny. A później wiele następnych, choć żadnego z nich już nie poczułem.

\* \* \*

Błogość. Nieświadomość. Odpoczynek. Relaksujący sen, który rozgrywał się jakby poza moim ciałem. W krainie niepamięci i spokoju, płynącej mlekiem, miodem i przyjemnością.

– Boże drogi! Chłopak jest cały we krwi! Trzeba zadzwonić na pogotowie, na policję.

– Nigdzie, kurwa, nie dzwoń. A już na pewno nie na psy.

Reset. A przynajmniej małeńki reset. Reseciątko. Nieoczekiwana przerwa w znojnym życiu. Było mi dobrze. Za dobrze. Bo oczywiście wiedziałem, że to nie będzie trwało wiecznie. Że za chwilę dojdę do siebie. Wrócę do normalności. Do krainy stukotu, rżących silników, wrzasku. Do krainy, w której spokój jest najcenniejszym i najbardziej niedocenianym surowcem. Dla jednych nieznanym, dla innych nieosiągalnym.

– Co robisz?!

– Kładę jego nogi na krześle. W szkole tak nas uczyli.

– Przecież on nie zemdłał, tylko go pobili! Skatowali!

– Zamknij się! A tak w ogóle to wyjdź stąd, bo mnie wkurwiasz.

Błogość zaczęła mijać. Najpierw powoli, po chwili coraz szybciej. W końcu nabrała entropicznego przyspieszenia, zasypując umysł bodźcami nadlatującymi ze wszystkich stron. W ułamku sekundy zostałem bezlitośnie wessany do rzeczywistości.

Otworzyłem oczy. I natychmiast tego pożałowałem.

– Nareszcie. – W głosie Ażmiego usłyszałem ulgę. – Żyjesz?

– Dojebali mi – wymamrotałem, czując, jak moja rozgrzana do czerwoności twarz pulsuje.

– Co ty nie powiesz. Twoja morda wygląda jak płot po wiejskiej potupai.

Wymacałem językiem zęby. Komplet, choć siekacze były postrzępione, a w ustach czułem krew. Nos? Bez wątpienia złamany. Żebra? Co najmniej stłu-

czone. Do tego przeorane usta, rozwalone łuki brwiowe, dziesiątki siniaków i rozcięć. W tym to największe – na psychice.

– Kto ci to zrobił? Żydzi?

– Nie wiem. Zaatakowali mnie w tramwaju.

– W tramwaju? Najbliższy przystanek jest jakieś pół kilometra stąd.

– A gdzie jesteśmy?

– U mnie na chacie.

Niepewnie poruszyłem głowę. Omiotłem wzrokiem pokój, w którym byłem wcześniej może ze trzy razy i nie zapamiętałem z niego niczego charakterystycznego. Zatrzymałem wzrok na matce Ażmiego, która stała w progu z twarzą zdjętą współczuciem i strachem.

– Jak mnie znalazłeś?

– Wcale nie musiałem szukać. Wyszedłem do nocnego po pety, a ty leżałeś pod klatką. Przez chwilę myślałem, że się naprułeś, ale potem zobaczyłem juchę. – Zamilkł, po czym odwrócił się w stronę matki. – Co tak stoisz jak widły w gnoju? Przynieś coś.

– Co?

– Apteczkę, bandaż, wodę utlenioną. Cokolwiek, kurwa. Trzeba doprowadzić go do ładu.

– Tu potrzebny jest lekarz – burknęła kobieta, po czym zniknęła w przedpokoju.

– Pomóż mi wstać – powiedziałem.

Ażmi zrobił to, o co prosiłem. Wciąż lekko zdezorientowany usiadłem na krześle, na którym wcześniej z jakiegoś powodu leżały moje nogi. Oparłem się na łokciach i wróciłem do analizy szkód. Szramy, zadrapania, guzy, ból. Przypomniałem sobie, jak mnie otoczyli, jak mnie krępowali, jak zaczęli mnie lać, i pomyślałem, że to wręcz niemożliwe, że skończyło się tak łagodnie.

To musiało być kontrolowane pobicie. Nieźle zaplanowane i na swój bandycki sposób wyrafinowane. Miało mnie ośmieszyć, upokorzyć, przestraszyć i oszpecić, ale nie trwale uszkodzić, nie uczynić kaleką i przede wszystkim nie zabić. To pobicie, z którego powinienem wyciągnąć jakąś lekcję.

Ponownie rozejrzałem się po pokoju. Przebiegłem wzrokiem po półkach uginających się od płyt, po zagraconym biurku ze starym monitorem, po ciuchach niedbale rzuconych na fotel. Potem skupiłem się na Ażmim, który gapił się na mnie jak na eksponat muzealny. Roześmiałem się.

– Czego rżysz? – spytał.

– Wiem, kto to zrobił.

– Przypomniałeś sobie? Rozpoznasz tych typów?

– Nie. – Opuściłem głowę, która nagle zaczęła jeszcze mocniej pulsować. – Zaczęło się.

– Co?

– Wojna domowa. Tutsi kontra Hutu.

– Co ty pierdolisz?!

Wiedziałem, że jestem mu winny wyjaśnienie i zamierzałem go wtajemniczyć. Ale najpierw chciałem to wszystko jeszcze raz przemyśleć. I ułożyć choćby zręby planu, któremu miałem podporządkować kilka następnych miesięcy swojego życia.

Oprócz dojmującego bólu, wstydu i wściekłości poczułem coś jeszcze – że właśnie nadarzyła się okazja, na którą czekałem.

## 10.

– Dawno cię nie było – zauważył Rafał „Granat” Badowski, mój trener MMA.

– Jakoś nie miałem flow – odparłem, wkładając rękawice grapplingowe. – Poza tym złapałem lekką kontuzję. – Poglądziłem garbaty nos, który przypominał mi o napaści sprzed kilku tygodni.

Granat bardzo wnikliwie mi się przyglądał. Zupełne jak ja jemu, kiedy widziałem go po raz pierwszy. Myślałem wtedy, że jest mistrzem świata. Facetem, który potrafiłby wklepać każdemu, nawet gościom znacznie cięższym od siebie. Był przy tym zaskakująco niepozorny. Odstające uszy, słaby zarost, zakola na pół głowy. Drobny. Ważył może z siedemdziesiąt kilogramów, ale nadrabiał szybkością i zwinnością. Wymachując nogami jak Van Damme albo zakładając dźwignie w stylu braci Gracie, umiał zaczarować podjaranych sztukami walki lębków, którzy przyjeżdżali do niego z różnych zakątków miasta.

Problem w tym, że im dłużej z nim ćwiczyłem, tym mocniejszego nabierałem przekonania, że to zwykle efekciarstwo. Sztuka dla sztuki. Lep na niewtajemniczonych naiwniaków. Gdy nauczyłem się odróżniać pozerów od ludzi, którzy naprawdę potrafili się bić, Granat zaczął się kurczyć w moich oczach. Karleć. Aż wreszcie osiągnął rozmiar, przy którym zupełnie straciłem do niego szacunek.

– Kontuzję – powtórzył Granat, jak gdyby mówił do siebie. – Niech będzie, że to kontuzja. W każdym razie rozumiem, dlaczego chciałeś indywidualny trening.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

Nie odpowiedziałem. Zapiąłem rękawice i odszedłem w kąt sali. Sięgnąłem po tarcze, a następnie rzuciłem je Granatowi pod nogi.

– Dzisiaj wyjątkowo jesteśmy sami, więc zaczniemy od czegoś lajtowego – powiedział.

– Nie. Chcę, żebyś spuścił mi pierdol. Taki jak sześć tygodni temu. Pamiętasz?

Granat niewyraźnie się uśmiechnął.

– Pamiętam. To był...

– Nasz ostatni trening. – Zanim opuścił głowę, zdążyłem uchwycić jego zakłopotany, speszony wzrok. – Dość pierdolenia. Lećmy z koksem.

Złamanie nosa bez przemieszczenia, zniekształcenia i upośledzenia jego drożności. Taką diagnozę postawił starszy brat mojego kumpla z roku, właśnie kończący medycynę na Uniwersytecie Medycznym w Łodzi. Poznałem go na jednej

z niezliczonych studenckich imprez, na które znalazłem czas. Żeby go ściągnąć do mieszkania Aźmiego, musiałem zastosować fortel – zaferowałem mu dziesięć gramów palenia w przystępnej cenie. To on mnie pozszywał i podreperował na tyle, żebym nie musiał jechać do szpitala i tłumaczyć się przed jakimś krawężnikiem ze swojej skapiszonowanej mordy. Teoretycznie mogłem zadzwonić do Brennera, który pewnie byłby w stanie zorganizować mi fachową pomoc, ale wtedy musiałbym wywalić Aźmiego z jego własnej chaty. Łatwiej było zwabić niedoszłego konowała nagrzanego na tanie palenie.

Pierwsze dni po pobiciu były bardzo ciężkie. Nawet nie z powodu nieustającej migreny, przez którą wpięprzałem apap jak tic taki, ale przez ogrom pracy, jaki mnie czekał. Musiałem zaplanować zemstę. Wyrafinowaną, precyzyjną, dotkliwą. Obejmującą wszystkich, którzy zaleźli mi za skórę. I wystarczająco spektakularną, aby dowiedziało się o niej całe miasto.

Kiedy już to zrobiłem, zacząłem się do niej przygotowywać. Teraz potrzebowałem zebrać ludzi, dyskretnie wprowadzić ich w sytuację, zaleczyć rany i odbudować się fizycznie. Regularnie biegałem, chodziłem na siłkę, dobrze się odżywiałem i suplementowałem. Żyłem jak mnich z klasztoru Shaolin. Brakowało mi tylko buddyjskiego spokoju.

Do Granata zadzwoniłem, kiedy poczułem, że jestem gotowy.

– I jak? – zapytał po kolejnej wyczerpującej serii uderzeń w tarczę. – Masz dość?

Oparty o kolana desperacko łapałem powietrze. Czułem, że albo zwymiotuję, albo dostanę zawału. A najpewniej jedno i drugie. Mimo to uniosłem głowę i spojrzałem na przymocowany do kolumny zegar.

– Jeszcze pół godziny – wysapałem.

– Serio? Mówiłeś, że...

– Pół godziny.

Granat wzruszył ramionami.

– Jak sobie panicz życzy.

Przez kolejne trzydzieści minut żałowałem tej decyzji. Mimo kilku tygodni intensywnych przygotowań wypadłem z rytmu treningowego, a Granat wziął sobie do serca prośbę, aby przepuścić mnie przez niszczarkę. Ale może to i dobrze. Dzięki tak skrajnemu wysiłkowi nie myślałem o tym, co miało się wydarzyć później.

Kiedy skończyliśmy, byłem ledwo żywy. Moje uda płonęły, płuca z trudem łapały dech, a koszulka wyglądała tak, jakbym się w niej władował pod prysznic. Popatrzyłem na Granata, który wydawał się bardzo zadowolony z siebie. A potem ponownie zerknąłem na zegar. Dwudziesta druga. Idealnie. Usiadłem na macie, opuściłem głowę, zacząłem regulować oddech.

– Dzisiaj już nikt nie przyjdzie, więc jak dojdiesz do siebie, to schowaj sprzęt – powiedział Granat. – Ja idę do biura.

– Zaczekaj. – Wyjąłem głowę spomiędzy kolan. Otarłem pot ze skroni. – Mogę cię o coś zapytać?

Granat stanął na szeroko rozstawionych nogach i zaczął się bawić ściągaczami w spodenkach.

– O ile to nic intymnego.

– To twój lokal, prawda?

Granat wycelował palcem w przyciemnianą szybę, zaklejoną od góry do dołu koślawymi logotypami z napisem MMA Grenade.

– A myślałeś, że czyj?

– Ale nie jesteś właścicielem?

Granat wyglądał na zdezorientowanego.

– To lokal mojego brata. Ma kilka małych biznesów, w tym pośrednictwo nieruchomości. Wynajmuje mi tę miejscówkę za psie pieniądze. Dlaczego pytasz?

– Z ciekawości. Ostatnio myślałem, żeby otworzyć podobny lokal na Marysinie. Ile kosztuje ubezpieczenie takiego miejsca?

– Cholera wie.

Uniosłem powieki.

– Nie masz ubezpieczenia?

– Zbędny wydatek. Instalacja elektryczna jest bezpieczna, mój stary ją sprawdził. Hydraulika raczej nie powinna się zesrać. No i nikt nie będzie na tyle głupi, żeby się włamywać do klubu MMA.

– Może nie chodzić o głupotę.

– A co?

– O odpowiednią motywację.

Na tyle energicznie, na ile pozwalały mi zakwaszone mięśnie, wstałem. Przeszedłem obok Granata, trącając go ramieniem. Stał jak wryty, wodząc za mną wzrokiem. Wreszcie dotarło do niego, co się dzieje.

– Kurwa mać! – zaklął. – Chyba nie myślisz, że mam z tym coś wspólnego.

Zatrzymałem się obok drzwi wejściowych. Wyjrzałem przez okno. Kiwnąłem głową do Aźmiego, który stał w towarzystwie łebków z osiedla i szczyrzył do mnie kły, uderzając kijem bejsbolowym w otwartą dłoń.

– Wcale nie muszę o tym myśleć. – Spojrzałem po raz ostatni na Granata, a następnie otworzyłem drzwi.



Granat siedział na skraju maty – przywiązany gumową liną do betonowego słupa – i spoglądał na mnie wzrokiem żebraka. Szlochał. Z każdym odgłosem kolejnego roztrzaskiwanego przedmiotu coraz głośniejsze. Coraz żałośniejsze. Coraz bardziej frajersko.

– Powiedziałem chłopakom, żeby się nie spieszyli z rozpierzdalaniem lokalu, bo przecież nikt im nie przeszkodzi. Ale oni nie są szczególnie cierpliwi. – Ukucnąłem przed Granatem. – Poza tym podjarali się, że jest nieubezpieczony. Chyba mają skłonność do destrukcji.

– Ale ja nic nie wiem – wymamrotał Granat, cały się opluwając. – Gdybym ich nie posłuchał, lokal już dawno byłby rozpierzdolony, a ja leżałbym w szpitalu.

– Może tak, może nie. Tego się już nie dowiemy. I nie zmienimy przeszłości. Ale na szczęście wciąż możemy wpłynąć na przyszłość. A ta w dużej mierze zależy od tego, czy mi opowiesz, dlaczego mnie sprzedałeś.

Granat na chwilę zapanował nad łkaniem. Myślał.

– Jeśli to zrobię, powiesz im, żeby przestali?

– To pierwszy z dwóch warunków, jakie musisz spełnić.

– A drugi?

– Dowiesz się w swoim czasie.

Facet był przerażony. Bał się strat finansowych. Bał się gniewu brata. Bał się moich niezrównoważonych kumpli. Bał się również tego, co mogą zrobić mu ludzie, którym mnie wystawił. Ale ostatecznie troska o terażniejszość wygrała z lękiem przed konsekwencjami.

– Przyszli do mnie po jednym z treningów. Czterech wytatuowanych chamów w dresach Widzewa. Już na wstępie zaznaczyli, że jeśli nie będę współpracował albo im naściemniam, to mnie dojadą. Wypytywali o ciebie. Chcieli wiedzieć, kiedy tu przychodzisz i co robisz po treningu. Nie miałem pojęcia, więc kazali mi to sprawdzić. I tak przez dwa tygodnie za tobą łąziłem. Dowiedziałem się, z jakiego przystanku odjeżdżasz, którą linią, i tak dalej. Kiedy im o tym powiedziałem, stwierdzili, że na następnym treningu mam cię tak przetyrać, żebyś nie mógł po nim chodzić. No więc tak zrobiłem.

To miłe, że chcieli mnie zmęczyć, zanim spuszczą mi wpierdol. Uznałem to za dowód szacunku.

– I pewnie nie masz pojęcia, kto to był.

– Nie, przysięgam na Boga. Wiesz, że nie chodzę na mecze. Kojarzę tylko chłopaków, którzy u mnie trenują, ale to nie był żaden z nich.

– Gadałeś ze wszystkimi czterema czy tylko z jednym?

– Z jednym.

– Jak wyglądał?

– Jak oni wszyscy. Nasterydowana świnia. Wielki tułów, chude gicze. Rozmawialiśmy na sali, a ten debil ciągle charchał na matę.

Nogi.

Byłem przekonany, że to on, a mimo to poczułem się dziwnie, kiedy zyskałem pewność. Jakby ktoś wbił mi nóż w plecy i parokrotnie go przekręcił.

To, że to Nogi, zrozumiałem, już kiedy wylądowałem u Aźmiego. U faceta, który ma fioła na punkcie prywatności albo po prostu wstydzi się tego, jak mieszka. W każdym razie Aźmi nikomu nie podaje swojego adresu i nigdy nie umawia się u siebie. Kilka razy zawitałem w jego progi, ale już Papa i Kojiro nie dostąpili tego zaszczytu. Za to raz zdarzyło mi się odwiedzić Aźmiego w towarzystwie Nogiego. Najwyraźniej o jeden raz za dużo.

Nogi rozumiał, że mam większe ambicje niż bycie jego przydupasem. Chciał ukrócić moje zapędy. Ale jednocześnie był zbyt chciwy, aby się pozbyć swojego najlepszego pracownika. Wymyślił więc, że każe mnie pobić, aby przywrócić status quo. Nie potrafił jednak ukryć swojego udziału w akcji. Był na to zbyt dumny.

– Powiesz im, żeby przestali? – spytał błagalnie Granat.

– Jeszcze nie. – Wstałem, przeszedłem na skraj maty i podniosłem z podłogi kij bejsbolowy. – Musisz spełnić jeszcze drugi warunek. – Widziałem, jak mięśnie na twarzy Granata drętwieją. – Za chwilę zawołam chłopaków i poproszę, żeby cię lekko obili. Mam nadzieję, że nie przeholują. Ale zanim to się stanie, rozwiążę cię, a ty położysz się na brzuchu, zsuniesz spodnie i zaczniesz drzeć mordę.

– Co?!

Pomachałem pałką.

– Muszę rozpuścić na mieście famę, że w ramach zemsty wpakowałem ci to w dupę.

– Pojebało cię?

– Wręcz przeciwnie. Przejrzałem na oczy.

– Człowieku, ja mam brata, dziewczynę, znajomych, zawodników. Jeśli ludzie usłyszą o czymś takim, będę skończony.

– To nie są negocjacje. Choć zostawiam ci wybór. Możemy albo rozpuścić plotkę, że wsadziliśmy ci pałkę w dupę, albo naprawdę to zrobić. – Uśmiechnąłem się najszerzej, jak potrafiłem. – To jak?

Granat nie odpowiedział. Nie musiał.

\* \* \*

Tak rozpocząłem polowanie.

Nogi nie należał do tytanów intelektu. Był jednak wystarczająco perfidny, że bym musiał chwilę pogłówkować, kogo na mnie nasłał. Sporządziłem listę

wszystkich bliskich mu osób, jakie kojarzyłem, a następnie zacząłem szukać w zupełnie innym miejscu. Jak najdalej od Widzewa.

Nie miałem pełnej wiedzy na temat interesów Nogiego, ponieważ nie we wszystko mnie wdrażał. Ale wiedziałem, że kombinuje coś na boku z paroma łódzkimi deweloperami. Trochę o nich poczytałem, ponieważ goście mieli parcie na szkło i uwielbiali opowiadać w mediach o swoich nierealnych planach. Nie podejrzewałem, żeby kilku wypacykowanych chudzielców po zarządzaniu i sprzątaniu mogło uczestniczyć w zasadzce, więc spytałem o nich Brennera. I miałam rację. Goście byli zwykłymi cwaniaczkami, którzy próbowali się dorobić w stylu Ferdka Kiepskiego – szybko i bezwysiłkowo. Miało im w tym pomóc między innymi kilku chuliganów, którzy nie wkładali do ich projektu nieruchomościowej żadnej wartości intelektualnej, ale oferowali trochę kasy, kontakty i ochronę. Wszyscy, z wyjątkiem Nogiego, byli związani z ŁKS-em.

Sprytnie. Gdybym chciał potajemnie wklepać facetowi, który wywodzi się z tego samego środowiska, prawdopodobnie też zwróciłbym się po pomoc do swoich wrogów.

Założyłem, że z trzech dresiarzy, którzy mnie napadli, Nogi znał tylko jednego – faceta z kastetem, herszta tej bandy. Poszperałem trochę po elkaesiackich forach, popytałem swoich chłopaków i w końcu go znalazłem. Tak jak podejrzewałem, należał do nabojski. Mówili na niego Gryzoń. Namierzyłem go, poznałem jego rozkład dnia i zwyczaje, wreszcie postanowiłem złożyć mu z kumplami wizytę. Mieszkał na Retkini, w jednym z wielu klockowatych wieżowców przy Wyszyńskiego. Kiedy wysiadł z windy na szóstym piętrze, pewnie natychmiast pożałował, że nie wybrał schodów. Już tam na niego czekaliśmy. Zwarci, gotowi, wyposażeni w sprzęt, wkurwieni. Nawet gdyby się tłukł jak Fiodor Jemieljanienko, nie miałby z nami szans.

Zaskakująco łatwo wydebiliśmy informacje na temat jego przydupasów oraz zażyłości z Nogim. Byłem szczerze zdumiony, kiedy się okazało, że znają się niemal trzydzieści lat – jeszcze z czasów piaskownicy – i są sobie bardzo bliscy. Do tego stopnia, że choć postanowili walczyć na odrębnych frontach, nie zerwali kontaktu. Razem imprezowali, razem wyjeżdżali na wakacje, razem robili interesy. I wzajemnie sobie pomagali, jeżeli któryś z nich znalazł się w tarapatkach.

Ta przyjaźń ponad podziałami średnio mnie jednak wzruszyła, więc gdy tylko ukaraliśmy elkaesiaków, zacząłem szukać Nogiego.

W środowisku kibolskim wieści rozchodzą się zadziwiająco szybko. Nogi musiał się dowiedzieć o mojej wendecie, a także o tym, co niby zrobiłem Granatowi, ponieważ zaczął mnie unikać. Nie pojechał na mecz. Nie pokazywał się pod domem. Nie spotykał się ze swoimi giermkami. Nie odbierał telefonu. Zapadł się pod ziemię. Chciał albo przeczekać mój gniew, w co wątpię, albo kombinował, jak mnie załatwić. Najlepiej, zanim po mieście rozejdzie się fama, że ukrywa się

przed chłopakiem, którego sam zwerbował do ekipy, a potem z niejasnych powodów wystawił na odstrzał naszym wrogom.

Miałem nad Nogim niekwestionowaną przewagę, a mimo to z każdym dniem mój niepokój narastał, a entuzjazm malał pod naporem piętrzących się wątpliwości. W końcu byłem tylko dwudziestoletnim chłopaczkiem z osiedla. Może tylko mi się zdawało, że potrafię się bić. Może wcale nie byłem sprytniejszy od kibolskich głabów. Może Ażmi i reszta pomagali mi jedynie w akcie głupiej lojalności, a nie dlatego, że wierzyli w słuszność mojej zemsty. Może, może, może... Niczego w tym cholernym życiu nie mogłem być pewny w stu procentach.

Kiedy po którejś z kolei nieprzespanej nocy wszedłem do kuchni i zacząłem przygotowywać śniadanie – owsiankę z orzechami i bananem, obowiązkową porcję białka i mocną kawę – zadzwonił telefon. Szejk. Rzadko się odzywał o takiej porze, więc pomyślałem, że musi chodzić o coś ważnego.

Miałem rację.

– Wybierasz się jutro? – spytał.

– Gdzie?

– No na ślub Rocco.

– Rocco się żeni? – zdziwiłem się. – Ten Rocco?

– Po raz trzeci. Z jakąś siksą, która tańczy w jego klubie. Myślałem, że wiesz.

Może i bym wiedział, gdybym skupił się na infiltrowaniu demonów, zamiast ścigać Nogiego, co rzekomo miało mnie przybliżyć do głębszego wejścia w strukturę gangu. Coraz częściej wydawało mi się, że próbuję sięgnąć prawą ręką do lewego ucha.

– Gdzie ten ślub?

– W sali weselnej pod Strykowem. Rocco ma dom w okolicy.

– Nie zostałem zaproszony.

Szejk się roześmiał.

– Może jeszcze trzeba po ciebie karocę wysłać? Stary, Rocco zaprosił tylko garstkę najbliższych przyjaciół, żeby nie robić z tego wielkiego zamieszania. Ale jednocześnie zwerbował całą bandę klakierów do pomocy przy weselu, bo wie, że zjedzie się pół miasta. Każdy będzie próbował zająć mu w dupę.

– Rozumiem, że ty też.

– No raczej. Załatwiłem sobie kierowcę. Mam jedno wolne miejsce w furze, gdybyś chciał się zabrać.

– Pomyślę.

– To myśl szybko. Jeśli się nie zdecydujesz w ciągu godziny, zadzwonię do kumpla z klubu.

– Dam znać.

- Tylko nie mów o tym swoim gamoniom.
- Mówiłeś, że zjedzie się pół miasta.
- Właściwie pół miasta. Co za dużo, to i świnia nie zeżre.

Szejk przedstawił to tak, że właściwie nie pozostawił mi wyboru. Musiałem pojechać na ślub Rocco, aby udowodnić, że traktuję demonów poważnie.

Nagle mnie olśniło. Skoro nawet ode mnie oczekiwano obecności na ślubie Rocco, to tym bardziej powinien się tam pojawić Nogi. Bez względu na to, jak głęboko tkwił w gównie. A to oznaczało, że skonfrontujemy się w najdziwniejszych okolicznościach, jakie potrafiłem sobie wyobrazić.

Mogłem to albo spektakularnie wygrać, albo spektakularnie spieprzyć.

\* \* \*

Rozweselone gęby podchmielonych państwa młodych, goście w strojach raczej sylwestrowych niż ślubnych, durnowate okrzyki nieustannie burzące podniosły nastrój. Nigdy nie byłem fanem uroczystości kościelnych ani niczego, co wiązało się z chrześcijaństwem, ale przykro było patrzeć na tę farsę. Podstarzały klecha zupełnie sobie nie radził z prowadzeniem mszy na ślubie seksoholika i chuligana Kacpra Woźniaka oraz wybranki jego serca Kamili Zalewskiej, która parę miesięcy wcześniej zauroczyła przyszłego męża brawurowym występem na rurze.

Zająłem miejsce w przedostatnim rzędzie – między kolesiem w krótkich spodenkach, który nieustannie lustrował kościelne zdobienia, jakby szacował, za ile mógłby je opchnąć w lombardzie, oraz pakerem przez całą uroczystość siorbiącym z bidonu biało. Nie było to wymarzone towarzystwo, ale miałem stamtąd dobry widok na wejście do budynku. Gdybym usiadł razem z Szejkiem, który tego dnia postawił na podlizywanie się Rocco i wyrwał na przód kościoła, znacząco zwiększyłbym ryzyko, że Nogi mnie zauważy. A wtedy straciłbym nad nim przewagę, którą miał mi dać efekt zaskoczenia.

W trakcie niespełna półgodzinnej ceremonii zabrakło kilku typowych mszalnych elementów, takich jak homilia, Eucharystia czy zbieranie na tacę. Rocco nie należał do szczególnie cierpliwych facetów, więc zapewne wykorzystał swoje ulubione narzędzia perswazji – przemoc i pieniądze – i kazał księdzu się streszczać. Kiedy czarny dał sygnał do zakończenia mszy, chuligani wzniesli kilka kibolskich okrzyków, mocno ocenzonego ze względu na okoliczności, i ruszyli na zewnątrz. Przyciąłem się za szerokimi plecami kolesia, który wpięprzał biało, i uważnie lustrowałem wychodzących gości.

Kościół pustoszał w takim tempie, jakby chuligani się obawiali, że za chwilę zaczną śmierdzieć siarką. W pewnym momencie uznałem, że Nogi wydygał. Że jakoś przewidział, co zrobię i jakie mogą być tego konsekwencje. I właśnie wtedy go zobaczyłem. Wciśniętego w czarną koszulę, ogolonego, czujnego, lypiącego

na boki. Musiał się pojawić w kościele na długo przede mną i zająć miejsce w jednej z pierwszych ławek. W ten sposób mógł się podlizać Rocco, a potem zwiąć z imprezy, zanim zrobi się nieprzyjemnie. A sądząc po tym, że nie zabrał żadnego ze swoich chłoptasiów, taki właśnie miał plan.

Ruszyłem za nim.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, zobaczyłem, że Nogi nerwowo oddala się od grupy. Nie zamierzał składać życzeń parze młodej, laścić się do Rocco ani rozmawiać z kumplami. Gdy zniknął za rogiem, domyśliłem się, że pędzi na znajdujący się na tyłach parafii szutrowy parking, słabo widoczny z głównej drogi i pewnie rzadko wykorzystywany przez wiernych. Sprytnie, zwłaszcza jak na niego. Przepchnąłem się przez tłum i po wyłożonej kamieniami ścieżce ruszyłem na tyły kościoła.

Ale gdy tylko wychyliłem się zza muru, poczułem strzał. Zamroczony runąłem na ziemię.

Nogi był gotowy na to spotkanie. Czekał na mnie. A razem z nim dwóch facetów, z którymi zamierzał mnie zgnoić, upokorzyć i zniszczyć.

To ja wpadłem w jego zasadzkę.

Facet, który mnie uderzył, zamierzał pójść za ciosem, ale szybko się zebrałem, podniosłem i odskoczyłem na bok, pamiętając o najważniejszej lekcji wyciągniętej z treningów MMA: nie pozwól się dosiąść. Nie zmieniło to jednak znacząco mojego położenia, ponieważ trzech kolesi nadal chciało wyrządzić mi krzywdę.

– Masz przejebane, kurwio – burknął Nogi.

Gangsterska etyka nie pozwalała mi uciec – wyszedłbym na większego frajera niż trzej wyrośnięci faceci, którzy rzucili się pod kościołem na osamotnionego dwudziestolatka. Musiałem podjąć walkę. Tylko jak miałem sobie poradzić z trzema typami, z których każdy ważył grubo ponad stówę i ewidentnie miał spore doświadczenie w ulicznych szarpaninach? Jak, do cholery?

Kiedy już nawet frajerska ucieczka nie wchodziła w grę, ponieważ mnie otoczyli, nieoczekiwanie pojawiło się światelko w tunelu. Między Nogim a jednym z jego goryli ujrzałem człowieka, którego nie widziałem w kościele. Człowieka, który był moją zmurą i sensem życia. Człowieka, w którym po raz pierwszy dostrzegłem wybawcę.

– Co tu się dzieje, dziewczynki?

Demon, ubrany w najzwyczajniejszy dres, zbliżał się do nas niespiesznym krokiem. W jednej ręce trzymał okulary, a w drugiej książkę. Nie wyglądał ani na chuligana, ani na gościa weselnego, ani tym bardziej na człowieka, który trząsał siedmiusetysięcznym miastem. Raczej na zbłąkanego wioskowego głupka. Tylko książka nie pasowała.

– Drobne spięcie – wycedził Nogi przez zęby, po czym zawiesił na mnie wzrok.  
– Prawda?

Wzięłem głęboki oddech. Kiwnąłem głową.

– Musimy sobie coś wyjaśnić – wydukałem.

– To zróbcie to w sposób cywilizowany – odparł Demon. – Po męsku i z godnością.

Nogi dał przydupasom znak, żeby się wycofali.

– Wyskakuj na solo, cwelu – warknął.

Poczułem ulgę, widząc, że jego goryle się oddalają. Ale zaraz potem skupiłem się już tylko na Nogim, który wydawał się niewzruszony tą sytuacją. Ponownie obleciał mnie strach. Mimo to złożyłem gardę.

– Nie w ten sposób. Nie tutaj. – Demon z dezaprobatą potrząsnął głową. – Idźcie przed kościół, żeby chłopaki was widziały. Po półgodzinie pierdolenia starego klechy każdy chce się trochę rozerwać.

Demon podszedł do mnie i spojrzał prosto w moje przestraszone oczy. Niemal fizycznie czułem, jak bardzo pragnie, aby stała mi się krzywda. A jednocześnie uznałem, że w jego pragnieniu nie ma nic osobistego. Że on po prostu uwielbia obcować z cierpieniem. W taki czy inny sposób. Tego czy innego człowieka. Byle jak najczęściej, jak najintensywniej, najmocniej.

\* \* \*

Gdy tu jechałem, zamierzałem dopaść Nogiego pod kościołem, wyzwąć go na solo, zanim pojawią się jego przydupasy, a następnie obić mu głębę przy całej widzowskiej świcie, ogłaszając, że to współpracujący z żydami frajer. W ten sposób z automatu zostałbym koronowany na nowego szefa osiedla. Przejąłbym ludzi Nogiego, a także jego strefy wpływu, zadania i pieniądze. Znalazłbym się o krok od tego, aby najgorsi gangsterzy w mieście dopuścili mnie do swoich interesów. A tym samym do Demona. Przy odrobinie szczęścia, którego tak bardzo potrzebowałem, w ciągu kilku miesięcy mógłbym zakończyć tę pojebaną misję i zacząć nowe życie.

Tymczasem to Nogi dorwał mnie. Wyzwał na solo i szczerząc kły do wspierających go koleżków, właśnie szykował się do obicia mi głęby.

Wielokrotnie wyobrażałem sobie tę walkę. Zaplanowałem ją w najdrobniejszych szczegółach. Analizowałem dziesiątki scenariuszy. Ale gdy przyszło co do czego, o wszystkim zapomniałem. Jakby okoliczności – kościół, ślub, kilkudziesięciu spoconych chamów niewybrednie zachęcającego Nogiego, aby mnie zniszczył – sparaliżowały mój umysł.

Wiedziałem Nogiego w akcji. Wiedziałem, że walczy jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent chuliganów. Nie myśli o obronie ani taktyce, tylko o tym, aby położyć rywala pierwszym ciosem. A jeśli nie pierwszym, to drugim. Jeżeli nie drugim, to trzecim, czwartym albo piątym – byle jak najszybciej. I choć miałem świa-

domość, co robi, to i tak dałem się zaskoczyć. Był szybszy, niż się spodziewałem. A do tego cholernie agresywny. Jego pierwszy cios przeszył powietrze, ale zaraz potem zaczął wyprowadzać kolejne, każdy z maksymalną mocą. Wyłącznie silniejszą prawą ręką, ponieważ lewą przytrzymywał mnie za koszulę. I najczęściej z góry, jak gdyby uderzał pałką albo młotkiem. Bezmyślnie, wściekle, bestialsko. I niestety przeważnie skutecznie.

Zasłaniałem się rękoma, wyrywałem, próbowałem robić uniki, aby nie dać się znokautować, ale mimo to przyjąłem całą furmankę uderzeń. Nawet jeżeli większość z nich wyłapałem na gardę, to i tak je poczułem: na skroniach, na wargach, na nosie. Świszczało mi w uszach, głowa pulsowała, a wzrok zamiast nabrać ostrości, zamglilił się jak po srogim melanzu.

Ale jakoś przetrwałem tę nawałnicę. Nie dałem się powalić.

Gdyby nie gówniana kondycja Nogiego, prawdopodobnie byłoby już po mnie. Ale na szczęście po wyprowadzeniu kilkunastu ciosów to studwudziesięciokilogramowe bydlę musiało sobie zrobić przerwę, odsapnąć przed kolejnym natarciem. Stał jakieś dwa metry ode mnie, bujając się na tych cieniutkich nóżkach, jakby dudnił mu w bani jakiś hiphopowy bit, i przytakiwał pajacom, którzy gorąco go zachęcali, aby ze mną skończył. A ja dalej zachodziłem w głowę, jak mogę zapobiec upokorzeniu. Jak nie doprowadzić do powtórki sprzed lat, gdy Jarek Świderski uczynił mnie szkolnym pośmiewiskiem. Jak się odblokować. Jak zrobić to, o czym całymi dniami rozmyślałem.

I wreszcie znalazłem na to sposób. Po prostu wyłączyłem mózg.

Kiedy Nogi ponownie zaatakował, wyprowadziłem cios.

Nogi musiał być nieźle zaskoczony moim kontrującym prawym prostym, ponieważ nawet nie udawał, że trzyma gardę. Dzięki temu trafiłem go w ryj. Prosto w ten wielki, roześmiany ryj, który wreszcie udało mi się zamknąć.

Wytrąciłem go z równowagi. Dosłownie, bo po moim ciosie osunął się na ziemię. Przyklęknął na jedno kolano i potrząsnął głową, chyba nie bardzo rozumiejąc, co się właściwie stało. Gdyby to był boks, podszedłby do niego sędzia i zaczął go liczyć. Ale że to, co skutecznialiśmy, nawet koło boksu nie stało, po paru sekundach Nogi wstał i ruszył na frajera, który nie skorzystał z okazji, aby go wykończyć. Tym razem zrobił to z jeszcze większą mocą, jeszcze większą wściekłością i jeszcze większą ochotą na wyrządzenie mi krzywdy.

Ale po wyprowadzeniu tego dziewiczego uderzenia coś się we mnie zmieniło. Rozluźniłem się i nabrałem lekkości, zupełnie jakbym się wyswobodził z łańcuchów. Dzięki temu zdołałem właściwie zareagować na atak Nogiego. Nie pozwoliłem się chwycić za koszulę. Nie dałem mu już kolejnej szansy na mechaniczne spuszczenie bomb na moją głowę. Nie ograniczałem się jedynie do desperackich uników, tylko co jakiś czas odpowiadałem ciosami, które dochodziły do celu. Ale najważniejsze było to, że tańcząc z tym przygłupem na naszej prowizorycznej



przykościelnej arenie, skutecznie pożerałem czas. Pozwalałem Nogiemu tracić siły. Bezproduktywnie spalać tlen, którego potrzebowały jego wielkie mięśnie. I bardzo wyraźnie widziałem, jak z każdą sekundą markotnieje, jak jego wzrok staje się mętny, jak nóżki miękną, a uderzenia tracą parę.

Był mój.

W końcu przejąłem inicjatywę. Ustawiałem go sobie szybkimi lewymi prostymi, a potem, wykonując pełen skręt tułowia, dokładałem prawe sierpowe. Jeżeli podnosił wysoko łapy, atakowałem korpus. A gdy zwiększał dzielący nas dystans, paraliżowałem jego golenie niskimi kopnięciami. Całkowicie go stłamsiłem. Upokorzyłem. Niczym świeżaka na sparingu.

Po mniej więcej dwóch minutach walki Nogi był skończony. Czas, w którym był w stanie mnie pokonać, bezpowrotnie minął. Teraz mógł jedynie przyjmować kolejne uderzenia, z których każde wzmagało coraz głośniejszy rechot otaczających nas karków. Nogi wiedział, że jest w dupie. A ja wiedziałem, że on wie.

Po przyjęciu kilkunastu ciosów bez odpowiedzi Nogi po raz ostatni zebrał się w sobie. Zamarkował uderzenie, a następnie pochylił się i ruszył przed siebie. Chciał mnie obalić. I choć spodziewałem się tego ruchu, zrobił to na tyle dynamicznie, że wylądowaliśmy na glebie.

Kiedy uwalnił się na mnie, spanikowałem. Przestraszyłem się, że Nogi odzyskał przewagę. Że za chwilę przytrzyma mnie lewym łapskiem, aby prawe mogło wbić moją czaszkę w ziemię. Ale nic takiego się nie stało. Jego cielsko było bezwładne. Nieruchome. Jakby martwe.

Wysuwając się spod spaślaka, zobaczyłem, że cała moja koszula jest we krwi.

Kiedy Nogi się pochylił i ruszył do przodu, zdążyłem wyprowadzić desperackie kopnięcie kolanem. Myślałem, że dostał w czoło, że przyjął mój cios na pancerz. Ale to nie było czoło, tylko coś znacznie delikatniejszego. Coś umiejscowionego kilka centymetrów niżej. Coś, co po ataku w tramwaju sam musiałem sobie podreperować.

Łamiąc Nogiemu nos, ostatecznie go zneutralizowałem.

\* \* \*

Wszystko, co wydarzyło się potem, kojarzę jak przez mgłę.

Pamiętam, że zebrałem gratulacje od kilku chuliganów. Byli pod wrażeniem tego, że dałem radę facetowi chodzącemu w innej wadze. Przy okazji nabijali się z mojego stylu walki (nie ulicznego, tylko wyuczonego w klubie, a przez to w ich mniemaniu strasznie pizdowatego), z mojej zakrwawionej koszuli („jakbyś wyruchał miesięczkującą świnię”), z tego, że nie bardzo wiedziałem, jak z nimi rozmawiać, bo jeszcze nie opanowałem ich knajacko-knurowatego humoru.

Pamiętam, że Szejek był mną absolutnie zachwycony. Przedstawiał mnie kolejnym gościom, opowiadając bajki na temat naszej niezwyklej zażyłości. Czulem się trochę jak cudowne dziecko, a trochę jak panna z trzema cyckami wciągnięta wbrew woli do trupy cyrkowej.

Pamiętam, że gdy adrenalina puściła, wszystko zaczęło mnie boleć. Nogi musiał uderzać silniej, niż mi się zdawało, albo moja garda nie była tak zwarta, jak sądziłem. W każdym razie miałem solidnie posiniaczony ryj, niezliczone guzy na głowie, naderwane ucho i pokiereszowane palce. Moja twarz zmieniała kolory jak w kalejdoskopie, a zawroty głowy narastały z każdą godziną.

Pamiętam, że wypilem kilka kolejek wódki i zapaliłem z kimś jointa. Jakiś czas potem wyszedłem przed salę weselną i zwymiotowałem. Choć nie potrafię powiedzieć, czy to przez używki, czy z nadmiaru wrażeń.

Pamiętam, że nie spotkałem już Demona ani Nogiego. Szef nabojki razem ze swoją świtą bawił się w odrębnej sali, niedostępnej dla chuligańskiego plebsu. Nogi po kompromitującej porażce musiał jeszcze zaliczyć kompromitujący powrót do domu. W końcu nikomu nie powiedziałem, dlaczego się biliśmy, ale też – mam wrażenie – nikogo to nie obchodziło. Po prostu Nogi dostał od dzieciaka w cymbał i wypadł z obiegu. Tyle.

Pamiętam wreszcie, że gdy znalazłem chwilę spokoju, zadzwoniłem do Ażmiego. Wybłagałem, aby po mnie przyjechał. Jakiś czas później wyszedłem z wesela po angielsku, nie żegnając się ani z młodą parą, ani z Szejkiem, ani z dzieśiątkami nowo poznanych kolegów. Minąłem stojących przed wejściem na salę schabów, których Rocco najął do ochrony wesela, i jakoś doczłapałem do głównej drogi. Ażmi już na mnie czekał. Władowałem się na tylne siedzenie astry. Wyběkotałem skróconą relację z ostatnich kilku godzin. Zamknąłem oczy. Zasnąłem.

Nie pamiętam, jak wróciłem do domu. Odzyskałem przytomność dopiero nazajutrz, po kilkunastu godzinach niespokojnego snu. Ocknąłem się z opuchniętą twarzą, bólem głowy jak po najgorszej popijawie oraz z potężnym kacem moralnym. I bez choćby krzty przekonania, że minionej nocy zrobiłem coś pożytecznego.

– Żebym cię dobrze zrozumiał. – Usłyszałem w słuchawce, jak Kajetan Brenner nabiera powietrza w płuca, robiąc irytująco długą pauzę. – Gdy dostałeś w cymbał od jakiegoś ełkaesiaka, uznałeś, że stoi za tym twój szef. Postanowiłeś więc zemścić się na nim i na każdej osobie, która mogła mieć z tym coś wspólnego. Do ostatecznej konfrontacji doszło przed kościołem w jakiejś pipidowie, w dniu ślubu jednego z członków zarządu demonów. Szczęśliwym trafem udało ci się wygrać i nawet miałeś swoje pięć minut sławy, ale od tego czasu żaden z wysoko postawionych gangusów się do ciebie nie odezwał. A na koniec postanowiłeś zadzwonić na mój służbowy numer, żeby mi o tym opowiedzieć. – Kolejna pauza. Znów bardzo wymowna, znów bardzo irytująca. – W zasadzie mam tylko jedno pytanie: czy już do reszty cię popierdoliło?

Rzeczywiście w ustach Brennera nie brzmiało to najlepiej. Jakbym zupełnie stracił panowanie nad swoim życiem. A przecież wszystko tak starannie zaplanowałem. Tyle czasu nad tym główkowałem. Kombinowałem jak koń pod górę, aby wydostać się z tego bagna. I nagle się okazało, że mimo tych wszystkich prób dalej jestem w nim zanurzony po uszy.

– Skoro odebrałeś i mnie wysłuchałeś, to chyba nie jest to aż taki przypał – odparłem buńczucznie. – Chciałem być transparentny.

– Nie obchodzi mnie, czy będziesz mnie o wszystkim na bieżąco informował. Nie jestem twoim szefem. Nie musisz składać mi raportyków. Ważne, żebyś robił to, na co się umówiliśmy. Tu nie ma, kurwa, żadnej wielkiej filozofii.

– Nie wiem, czy dam radę. – Westchnąłem. Zasepiłem się. Zamyśliłem. – Zapieprzam po szesnaście godzin dziennie. Kombinuję na wszystkie możliwe sposoby, żeby jakoś spiąć swoje życie i nie zwariować. A mimo to i tak nie jestem w stanie zrobić tego, czego ode mnie oczekujesz.

Brenner parsknął.

– Nie musisz. Każdy jest kowalem własnego losu.

– Jak mam to rozumieć?

– Zajrzyj, kurwa, do słownika.

Rozłączył się, nie dając mi szansy na ripostę, choć właściwie nie wiem, co miałbym mu odpowiedzieć. Brenner miał rację. To mnie powinno najbardziej zależeć na tym, żeby udupić Demona. Nie mogłem liczyć na to, że ktoś zrobi to za mnie albo odpuści mi z litości. Nie powinienem się mazgaić, tylko zakasać rękawy i zapierdalać. Tyle że w tym wypadku nie wiedziałem nawet, co robić. Nie

miałem podejścia do Demona. Nie wiedziałem, jak się do niego zbliżyć. Nie umiałem przeskoczyć niewidzialnej bariery, która skutecznie oddzielała mnie od jego świata.

Po rozmowie z Brennerem wróciłem do tego, czym zajmowałem się przez ostatnie dni: naprzemiennego umartwiania się i nauki. Przez zamieszanie z Nogim zawałem egzaminy i czekała mnie ciężka sesja poprawkowa. Na szczęście w świecie chuliganów nastał sezon ogórkowy. Zakończyły się rozgrywki piłkarskie, liderzy bojówek porozjeżdżali się po Ibiza, Tajlandiach i Dominikanach, a szeregowi chuligani ganiali po spalonym słońcem mieście, opychając towar, komu się tylko da. Pojawiła się okazja, aby zająć się rzeczami, na które w wirze codziennej orki nie było czasu.

Naściemniałem Brennerowi, mówiąc, że haruję całymi dniami. Prawda była nieco inna. No dobra, zupełnie inna. Od czasu bójki z Nogim popuściłem lejce. Potrafiłem godzinami siedzieć w domu, dłubać w nosie, oglądać jakiś szajs na YouTube albo uskarżać się na marność swojego losu. Opuściłem się w treningach, porzuciłem dietę, wróciłem do alkoholu. Właśnie odpałem drugie tego wieczoru piwo, które miało mi towarzyszyć przy capriciosie z podwójnym serem i ściągniętym z torrentów *Wielkim Mike'u*. Opowieść o chłopaku, który dzięki pomocy Sandry Bullock wyszedł z głębokiej biedy i został gwiazdą futbolu amerykańskiego, była tym, czego potrzebowałem.

Przy trzecim kawałku pizzy i w siódmej minucie filmu usłyszałem dzwonek do drzwi. Ściągnąłem nogi z biurka i wyszedłem do przedpokoju. Wyrząłem przez wizjer. Zobaczyłem rudowłosego faceta w okularach, z wąską twarzą i skupionym wzrokiem, którym skakał pomiędzy oplatającym jego nadgarstek zegarkiem a judaszem. Miał na sobie cienką skórzaną kurtkę, dzinsy i adidas. Wyglądał jak połączenie policjanta z obwoźnym sprzedawcą ziemniaków.

Otworzyłem.

Facet nie przedstawił się, nie uklonił, nie powiedział „dzień dobry” ani „pocałuj mnie w dupę”. Nie pokazał odznaki i nie próbował niczego sprzedać. Za to bacznie mi się przyglądał. Jakby porównywał mój wygląd ze swoim wyobrażeniem.

– Jestem znajomym twojego znajomego – oznajmił wreszcie. – To od niego dostałem twój adres. Mogę wejść?

Dziwne. Gość nie raczył powiedzieć nic o sobie, ale oczekiwał, że wpuszczę go do chaty, jakby to było coś najoczywistszego pod słońcem.

– Po co? – spytałem.

– Musimy pogadać. O demonach. – Rozejrzał się po klatce. – Wolalbym nie robić tego tutaj.

Z tym nie mogłem polemizować.

Po przekroczeniu progu mężczyzna dalej zachowywał się butnie. Nie pytając o pozwolenie, obszedł wszystkie pomieszczenia – mój pokój, kuchnię i łazienkę – jakby upewniał się, że jesteśmy sami. Potem obejrzał cały ten bajzel, który udało mi się przez ostatnie dni wygenerować. Przez moment się zastanawiałem, czy nie zostawiłem na widoku czegoś, co mogłoby świadczyć o współpracy z policją, ale na szczęście nie byłem na tyle głupi, aby do tego dopuścić. Jedyne dowody mogłem znaleźć w laptopie, ale on akurat wyświetlał kadr z *Wielkiego Mike'a*.

– Nie zapytasz? – Zatrzymał się na środku pokoju i popatrzył na mnie jak na kosmitę.

– O co?

– Czy jestem psem.

Tym razem to ja popatrzyłem na niego jak na kosmitę.

– Powiedziałeś, że jesteś znajomym mojego znajomego, a ja nie mam kumpli w policji.

– To jeszcze o niczym nie świadczy.

Westchnąłem.

– Jesteś?

Nie odpowiedział. Zamiast tego wyjął papierosy i włożył jednego do ust.

– Chcą z tobą pogadać o interesach – oznajmił, zapalając szluga.

– Kto?

– Zarząd. Zaintrygowaleś ich. Trochę tym rozpierdołem na ślubie, a trochę swoją determinacją. Niewielu ma jaja, żeby podejść na stadionie do jednego z najgroźniejszych ludzi w mieście i zaproponować mu biznes.

– To było...

– Kilka miesięcy temu, wiem. Rocco nigdy nie reaguje zbyt entuzjastycznie na takie propozycje. Ale ma dobrą pamięć. Jak słoń.

Rudzielec przez chwilę obserwował moją reakcję, po czym wrócił do swojego ulubionego zajęcia: analizy mieszkania.

– Przyszedłeś, żeby mnie sprawdzić?

– Gdybym chciał cię tylko poinformować, to bym zadzwonił. Masz z tym jakiś problem?

– Nie. Na miejscu Rocco zrobiłbym to samo.

– Raczej nigdy się o tym nie przekonasz.

Chciałem jakoś odburknąć, ale ostatecznie zamilkłem, pozwalając facetowi robić swoje. Kiedy już przejrzał moje książki, notatki ze studiów, dawno nieprane ciuchy, płyty z grammi oraz muzyką, podszedł do biurka i zgaślił peta na talerzu z pizzą. Cudnie.

– I co, zdałem test?

– Nie wiem. Ja tylko zbieram dane, które ktoś inny będzie oceniał. Ale jeżeli zdasz, to do ciebie zadzwonię. Z tego numeru.

Rudzielec wręczył mi kawałek wyrwanej z zeszytu kartki z nabazgrołonymi dziewięcioma cyframi.

– Jak mam cię zapisać?

– Jak chcesz. Większość ludzi mówi na mnie Wiewiór.

Mimowolnie zerknąłem na jego rudą czuprynę. On natomiast wycelował palcem w monitor.

– Na twoim miejscu bym odpuścił.

– Bo?

– Strasznie cukierkowa historia.

– Przecież to film na faktach. Ten gruby dzieciak naprawdę został gwiazdą sportu.

– No właśnie. „Nie pozwól, żeby prawda zepsuła ci dobrą historię”.

– Mark Twain? – spytałem, a Wiewiór pokiwał głową. – Przecież to dobra historia.

– Ale zbyt cukierkowa. W życiu zwykle nie ma happy endów.

Wyszedł z mieszkania, a ja jeszcze długo myślałem o jego słowach. Nie byłem pewien, czy mówił o filmie, czy może próbował mnie przed czymś ostrzec.

\* \* \*

Przez dwa dni jarałem się perspektywą spotkania z wierchuszką gangu. Ale kiedy przyszedł weekend i zadzwonił Wiewiór, informując, że za dwie godziny mam się stawić u Rocco, ogarnęło mnie przerażenie.

Towarzyszyło mi także wtedy, gdy odstawiony jak na randkę z przyszłą żoną stałem przed domem gangstera, ściskając w rękach butelkę najdroższej whisky, jaką znalazłem w osiedlowym sklepie. Posiadłość Rocco – o ile rzeczywiście należała do niego – prezentowała się spektakularnie. Dwa piętra, efektowny ogród, spory kamienisty parking, na którym stały trzy sportowe fury, zapewne należące do gości. Czułem się, jakbym się dobijał do mieszkania Vita Corleone, a nie koleś, który zawiaduje burdelami i pali szaliki na stadionie. Cóż, jaki kraj, taki don.

Zadzwoniłem do drzwi.

Za odzwiernego robił drechol wystrojony w przyciasny gajer. Wyjaśniłem, kim jestem i że przyszedłem na spotkanie z zarządem. Po całej serii oceniających spojrzeń silnoręki wykonał szybki telefon, po czym wpuścił mnie do środka i zaprowadził do jednego z pustych pokoi na piętrze. Zanim tam dotarliśmy, zdążyłem zauważyć dziesiątki półnagich dziewczyn, kilku pokracznie tańczących koleś, parkę stukającą się w kącie oraz stojący pod schodami stolik, na którym

oprócz butelek wódki i szkła leżała srebrna taca z kilkoma okazałymi grudami białego proszku, kartą kredytową i zestawem szklanych fitek. Wiadomo, higiena musi być.

Ochroniarz zamknął za mną drzwi. Dopiero po paru sekundach zorientowałem się, że wylądowałem w dziecięcej sypialni. Wąskie łóżko, biurko z przyborami szkolnymi, tornister rzucony w kąt. Usiadłem w skórzanym fotelu, do którego moja spocona ze stresu dupa momentalnie się przykleiła, i zapatrzyłem się w wyciszony telewizor, w którym leciała VIVA i jeden z odcinków *Rap kanciapy*. Wujek Samo Zło i CNE freestyle'owali z jakimś łysym typem. Efekt był komiczny, wzięwszy pod uwagę, że naparząca z parteru techniawka niemal rozsadała ściany.

Po mniej więcej dwóch minutach nerwowego oczekiwania drzwi się otworzyły. Moje usztywnienie momentalnie się wzmogło, bo do pokoju wszedł Demon. Sam. Bez obstawy, bez Rocco. Ubrany identycznie jak podczas wesela, czyli w najzwyklejszy w świecie dres. Nie wiedząc za bardzo, jak na niego zareagować, wstałem i wręczyłem mu whisky. Ale on zamiast przyjąć podarunek, popatrzył na mnie jak na wariata.

– Co to? – zapytał.

Spojrzałem na butelkę, jakbym musiał sobie przypomnieć, co kupiłem.

– Whisky. Nie znam się na alkoholach, ale facet w sklepie powiedział, że jest dobra. To prezent.

– Z okazji?

– W podziękowaniu za to, że zgodziliście się ze mną spotkać.

Demon długo się wahał, co zrobić z butelką, i chyba równie mocno główkował, jak postąpić ze mną. W końcu kazał mi postawić lychę na biurku, a ja znalazłem dla niej miejsce między różowym piórnikiem a podkładką na mysz z podobizną Myszkki Miki. Kiedy myślałem o tym, że to nie może być mieszkanie Rocco, bo przecież on nie ma dzieci, a na pewno nie takie, o których miałby pojęcie, Demon usiadł na obrotowym krześle. Wyciągnął przed siebie nogi i splótł dłonie na brzuchu. Lekko przekrzywił głowę, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Czekamy na Rocco? – zapytałem, nie bardzo wiedząc, jak zacząć rozmowę.

– On jest zajęty zdradzaniem żony i wążaniem koksu – odparł Demon tak cicho, że przez łomot z dołu ledwo go usłyszałem. – Podobno chciałbyś zrobić z nami jakiś biznes.

– Mam kilka pomysłów. Jestem ciekaw, co o nich sądzicie.

– No to opowiadaj.

Demon odchylił się mocniej na krześle i położył nogi na skraju łóżka. Przytknął oczy. Wyglądało to tak, jakbym go znudził, zanim w ogóle otworzyłem gębę. A kiedy wreszcie to zrobiłem, niewiele się zmieniło.

Byłem dobrze przygotowany do tego spotkania. Od kilku miesięcy nosiłem w głowie pomysły biznesowe, które pomógł mi opracować Brenner: zarządzanie nieruchomościami, firma windykacyjna, start-up żerujący na unijnych dotacjach. Każdy z nich był realizowalny. Na każdym dałoby się zarobić. A zarazem każdy był na tyle skomplikowany, że Demon i jego ludzie raczej by się na niego nie porwali, więc nie ryzykowałem żadną nową kryminogenną aktywnością. Za to herszt nabojki mógłby docenić moją pomysłowość. O ile by mnie wysłuchał. Problem w tym, że swoim zachowaniem – zamknięte oczy, żadnych uwag, pytań czy choćby, kurwa, chrząknięć – nie zdradzał nawet szczątkowego zainteresowania moimi propozycjami.

W trakcie monologu pocieszałem się słowami Szejka, który kiedyś mi powiedział, że Demon jest jak Sfinks. Mówi niewiele i najczęściej niezrozumiale. Nikt nie potrafi odgadnąć, o czym myśli, czego pragnie ani dokąd zmierza. I właśnie dlatego każdy tak cholernie się go boi.

– Mam jeszcze kilka innych pomysłów: chwilówki, agencja ochroniarska...

– Znasz się na tym? – Nie otwierając oczu, Demon nieoczekiwanie się odezwał.

– Trochę.

– Skąd?

– Sporo czytam.

Oczywiście kłamałem. Ledwo pojmowałem mechanizmy tych wszystkich biznesów. I miałem szczerą nadzieję, że Demon nie zechce tego sprawdzić.

– Każda z tych działalności wiąże się z jakąś aktywnością publiczną. – Demon otworzył oczy i ściągnął nogi na podłogę. Przekreślił się w moją stronę. – A to coś, czego staram się unikać.

– Nie musiałbyś się nigdzie pokazywać. Wystarczy, że...

– Nie skończyłem. – Zgromił mnie wzrokiem. – Bardziej niż wystawienie się na strzał martwi mnie to, że sprawiasz wrażenie faceta, któremu strasznie zależy na współpracy ze mną. A to oznacza, że albo jesteś desperatem, albo psem.

Uśmiechnąłem się. Inaczej, niż zamierzałem. Inaczej, niż nakazywał rozsądek.

– Gdybym był psem, nie zaproponowałbym ci nielegalnej działalności. Policjantom nie wolno przekraczać bariery przestępczości.

– Martwi mnie, że o tym wiesz.

– Studiuję prawo.

Demon przez dłuższy czas nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia.

Wydawał się zaskoczony, choć raczej nie dlatego, że nie wyglądałem na swój wiek. Po prostu ta informacja nie pasowała mu do całości. Szejk wspominał, że



Demon jest chorobliwie nieufny. Nikogo nie dopuszcza do swoich sekretów, nawet Rocco. A interesy robi wyłącznie ze sprawdzonymi ludźmi. Jeżeli więc miał dopuścić do koryta takiego szczyła jak ja, musiałem być dla niego stuprocentowo wiarygodny. Powinien dostrzec we mnie ekscentrycznego i ambitnego dzieciaka. Zainteresować się mną. Zaufać mi. Może nawet poczuć wobec mnie coś w rodzaju ojcowskiej troski. O ile takie uczucia w ogóle były w jego zasięgu.

Nie dowiedziałem się tego na tym spotkaniu, ponieważ Demon wstał i bez słowa wyszedł z pokoju.

Siedziałem w bezruchu przez kilka następnych minut, czekając na rozwój wypadków. Nic się jednak nie wydarzyło. Nikt po mnie nie przyszedł, nikt się o mnie nie upomniał. Demon i jego kolesie olali mnie ciepłym moczem. Kiedy nabrałem co do tego pewności, odkleilem się od fotela i zszedłem na parter. Żeby nie wyjść na dziwaka, spróbowałem się przyłączyć do imprezującej zgrai. Niestety skala pijaństwa, zaćpania i zepsucia była zbyt tłamsząca dla mojego lekko spanikowanego umysłu, więc odstawiłem na parapet niedopite piwo i wyszedłem z willi.

Wracając do domu, miałem w głowie więcej pytań niż odpowiedzi. W tym jedno, które nie dawało mi spokoju: czy właśnie załatwiłem sobie bilet wstępu do świata demonów, czy raczej podpisałem na siebie wyrok?

\* \* \*

– Kupiłeś mu łychę? – Przez histeryczny wybuch śmiechu Szejka musiałem odsunąć telefon od ucha.

– A co, kurwa, miałem przynieść kwiaty?

– łychę? Demonowi? Pojebało cię? To tak, jakbyś podstawił dziwkę seksoholikowi.

– Nie wiedziałem, że ma problem.

– Podobno kiedyś odstawiał straszne cyrki po wódzie, ale od lat jest suchy. Co nie zmienia faktu, że musiałeś go tym nieźle podkurwić.

Cudownie. Łycha miała być подарunkiem dla Rocco, który pewnie doceniłby ten gest. Nie spodziewałem się solowej audiencji u Demona. Nie mogłem się spodziewać. To była gwiazdka z nieba, która spadła centralnie na mój pusty łeb.

– Choć na pewno się tobą zainteresował – dodał Szejk.

– Jak to?

– Wypytywał o ciebie. Oczywiście nie on, tylko jego ludzie.

– Co chcieli wiedzieć?

– Dopytywali o twoją widzewską przeszłość, o konflikt z Nogim, o studia. No i byli ciekawi, czy na pewno jesteś legitny i nie pracujesz dla chujozoy.

– Kiedy to było?

– Parę dni temu.

– I dopiero teraz mi mówisz?

– Zarobiony byłem. Posłuchaj. – W słuchawce rozległy się kobiece jęki. Brzmiało to tak, jakby Szejka włączył porno. – Twoje sapanie przypomniało mi, że właśnie miałem zwalić konia. Starej i młodych nie ma w domu, a ja muszę się trochę wyluzować, bo wieczorem ustawiłem się z Jowitą. Skoro jej płacę, nie chcę strzelić po minucie.

– Ale ja nie walę konia, tylko biegam – odparłem, mimo wszystko zwalniając, a potem przechodząc w marsz.

– Nazywaj to, jak chcesz, bylebyś nigdy tego nie robił przy mnie. Nara!

Zawróciłem do domu. Rozmowa odebrała mi ochotę na dalszy trening. Pogodziłem się z tym, że na powrót do formy będę musiał jeszcze poczekać. Jeżeli to, co powiedział Szejka, było prawdą, w każdej chwili mogli się do mnie zgłosić ludzie Demona. I zafundować mi coś bardzo miłego albo bardzo niemiłego.

Kiedy zbliżałem się do klatki schodowej, zobaczyłem stojące przed nią bmw. Przyciemniane szyby, uszkodzony zderzak, włączony silnik. Struchlałem. Przez chwilę się zastanawiałem, czy nie rzucić się do ucieczki, ale wtedy usłyszałem w sobą głos.

– Spociałeś się?

Odwróciłem się. To był Wiewiór. W rękach trzymał dwa lody na patyku.

– Nie bardzo – odparłem.

– To dobrze. Wsiadaj.

Zawahałem się. Ale skoro rudzielec przylazł z lodami, to chyba nie zamierzali mnie odjechać.

Za kółkiem siedział ogorzały koleś, który wyglądał jak złotowa i przedstawił się jako Złotowa. Wiewiór usiadł obok, wręczył mu loda i kilka złotych reszty. Chwilę później ruszyliśmy.

– Gdzie jedziemy? – zapytałem.

– Do firmy. Poznasz ekipę. Wdrożysz się.

– Czyj to pomysł?

– Na pewno nie mój. – Wiewiór odwrócił się do mnie. Spróbował się uśmiechnąć. – Polubił cię, a to się bardzo rzadko zdarza. Nie spierdol tego.

Właśnie wtedy, siedząc z tyłu śmierzdzącej fastfoodowym żarciem bety i patrząc na koleśki nieelegancko ciuńkających lody, zrozumiałem, że stałem się członkiem gangu.

**Część III**

**GANGSTER**

## 12.

– Czym ty się właściwie ostatnio zajmujesz, synku?

Było to jedno z wielu pytań, jakie spodziewałem się usłyszeć od matki. Niedzielne obiady w naszym domu zwykle wyglądały tak, że choć zasiadaliśmy do stołu wspólnie, to tylko ja i Karol coś pałaszowaliśmy. Starzy przezornie jedli wcześniej, żeby móc bombardować nas pytaniami, kiedy będziemy mieć gęby wypchane prażuchami i kapuśniakiem.

– Pracuję w klubie nocnym – odparłem, nie podrywając głowy znad jedzenia. Nie potrafiłem kłamać matce w żywe oczy.

– Jako *bartender*?

– Menedżer.

– A co robi taki menedżer?

– Różne rzeczy. Ogarnia dostawę towaru i rozliczenia, zatrudnia ludzi, organizuje im pracę, zajmuje się marketingiem i papierologią. Ale najczęściej po prostu gasi różne pożary.

– I długo zamierzasz to robić?

– Miesiąc, góra dwa. Potem będę musiał się wziąć do nauki.

– To dobrze. Nie lubię, gdy się przepracowujesz.

Po drugiej stronie stołu siedział Karol. Nie jadł. Nie pił. Nie mówił. Był błydy, chudy i zaniedbany. Bardziej niż dwa miesiące temu, kiedy widziałem go po raz ostatni. Bardziej niż kiedykolwiek. Patrzył na nas z mieszkanką zażenowania i złości.

– Nie smakuje ci? – spytała matka, która zwykle okazywała Karolowi trzy razy mniejsze zainteresowanie niż mnie, co nas obu jednakowo irytowało.

– Jest pyszne – odparł.

– To dlaczego nie jesz? – odezwał się ojciec. – Wyglądasz, jakbyś był na diecie MŻ. Mniej zreć.

Ojciec rozejrzał się po domownikach, szukając na naszych twarzach aprobaty dla swojego drętwego, wielokrotnie powtarzanego dowcipu. Zawsze tak robił. I zawsze dawałem mu swoją sztucznie rozbawioną gębą odrobinę satysfakcji, choć za każdym razem przychodziło mi to coraz trudniej.

– Może jestem – odparł Karol. – A może mam anoreksję.

Wstał, spojrział z góry na talerz. Następnie wyjął z kieszeni papierosy i skierował się na balkon.

– *I'm worried about him* – szepnęła matka tym swoim wystudiowanym, denerwująco idealnym angielskim, kiedy tylko Karol zamknął za sobą drzwi.

– Zawsze się martwisz – zauważyłem. – Matki tak mają.

– Karol ma depresję.

– Po prostu jest markotny. Nic nowego.

– Od miesiący mnie unika. Nie odbiera telefonu. Nie odpisuje na esemesy. Nawet nie wiedziałam, że dzisiaj przyjdzie. Do tego wygląda jak siedem nieszczęść i chyba wszyscy dobrze wiemy, z czego to wynika. Kiedy po raz ostatni szczerze z nim rozmawiałeś?

Prawdopodobnie nigdy, pomyślałem. A na pewno nie od czasu naszego wspólnego wyglupu, który zniszczył mi życie, a jemu solidnie przeorał głowę.

– Jakiś czas temu – odparłem, nie patrząc na matkę. – Pogadam z nim.

Gdy próbowałem odsunąć się od stołu, matka chwyciła mnie za przedramię.

– *First things first* – powiedziała. – Najpierw zjedz. Z pełnym brzuchem lepiej się rozmawia.

– Już nie mogę. Ale chętnie wezmę na wynos.

Chwilę później dołączyłem do Karola. Stał na końcu zastawionego kwiatkami balkonu. Opierając się o barierkę, palił papierosa i spoglądał na betonowe podwórko. Sprawiał wrażenie niezainteresowanego moją obecnością. Ale kiedy wypalił, podszedł do niewielkiego kwadratowego stolika, zgasił peta w słoiku, a następnie włożył dłoń do kieszeni i zmierzył mnie wzrokiem. Oświetlony wczesnopopołudniowym słońcem wyglądał jeszcze upiorniej. Przetłuszczone włosy opadające na twarz, wklęsłe policzki, popękane wargi. Z jego podkrążonych oczu wyzierało dojmujące przygnębienie. Był na ewidentnym zjeździe, choć nie potrafiłem stwierdzić, po czym konkretnie. I podejrzewałem, że on też nie jest w stanie.

– Wyglądasz jak Harry Goldfarb – powiedziałem.

– Kto?

– Jared Leto z *Requiem dla snu*.

– Chujowy film. Najgorszy Aronofsky'ego.

Pokiwałem głową, choć kompletnie się z tym nie zgadzałem. Według mnie *Requiem* było genialne. Oglądałem je trzy albo cztery razy i zawsze robiło na mnie wrażenie. Ale to Karol znał się na literaturze, filmie, muzyce i wszystkim, co jakoś wiązało się z kulturą. Nie wypadało z nim polemizować.

– Jak życie? – zapytałem.

– Powoli.

– Studia?

– Rzuciłem.

– Po dwóch tygodniach?

– Polonistyka to kierunek dla nieudaczników w przydługich swetrach. Żeby być bezrobotnym, nie trzeba znać młodopolskich pisarzy.

Karol był ode mnie o dwa lata młodszy, ale poszedł do szkoły rok wcześniej niż jego rówieśnicy. Mimo to nawet pośród starszych dzieciaków się nudził, uważając – i słusznie – że przewyższa je intelektualnie. Dlatego nie byłem ani trochę zaskoczony tym, że studia go nie wciągnęły.

– To co robisz od poniedziałku do piątku?

– Różne rzeczy. Głównie piszę.

– To chyba dobrze. Zawsze chciałeś to robić.

– Dobrze to będzie, jeżeli zaczną mnie wydawać. A to może się nigdy nie wydarzyć.

– Dlaczego?

– Bo jeszcze nic nie napisałem.

Czytałem jedno z licealnych opowiadań Karola. Było niezłe. Może trochę zbyt przeintelektualizowane i zdecydowanie zbyt ponure, ale niezłe. Z całą pewnością miał talent. I pewnie milion pomysłów na to, jak go spektakularnie zmarnować.

– Nie potrzebujesz pieniędzy?

Smętnie pokręcił głową.

– Mam hajs.

– A pomocy?

– W czym?

– Nie wiem. – Westchnąłem. – W tym, z czym sobie nie radzisz.

Przeciągnąłem palcem pod nosem, jakbym gładził się po wąsach, żeby Karol zrozumiał aluzję.

– Pierdol się.

Czyli zrozumiał.

– Chcę ci tylko pomóc. Jakkolwiek. To chyba lepsze rozwiązanie, niż gdybym tylko pieprzył, że musisz się ogarnąć.

– Od ciebie nie przyjąłbym żadnej pomocy.

– Bo co? Bo jesteś zbyt dumny?

– Bo wiem, czym się zajmujesz. „Pracuję w klubie nocnym”.

Trzeba przyznać, że Karol całkiem udanie mnie przedrzczał.

– Musiałem matce coś powiedzieć.

– Wiesz, że ludzie się ciebie boją?

– Jacy ludzie?

– Normalni. Moi znajomi. Twoi dawni znajomi. Nieznajomi. Budzisz postrach na osiedlu.

– Bzdura. Od ćpania wpadasz w paranoję.

– Ale słuch mam dobry. Wzrok też. Słyszę i widzę, jak ludzie na Ciebie reagują. I jak na mnie reagują, wiedząc, że jestem twoim bratem. – Gniew, który zobaczyłem w oczach Karola, był coraz silniejszy. Zgęstniał. – Tak to sobie wyobrażałeś? Tego chciałeś?

Spojrzałem przez okno na matkę. Cierpko się uśmiechnęła. Nie słyszała naszych słów, bo w pokoju głośno brzęczał telewizor, ale wyglądała tak, jakby doskonale wiedziała, o czym rozmawiamy.

– Na pewno zawsze chciałem być szanowany – powiedziałem. – Strach jest tylko efektem ubocznym.

Nie czułem, żebym brzmiał szczególnie przekonująco. I Karol też tego nie czuł.

– Szanuje się tych, którzy mówią najbliższym prawdę. A ty jesteś kłamliwym skurwysynem.

Szturchnął mnie swoim wątłym barkiem i wrócił do mieszkania. Usłyszałem, jak oschle żegna rodziców, zakłada w pośpiechu buty, wychodzi.

Karol był w kropce. Bezrobotny, opleciony nałogami, rozbity, samotny. Nawet jeśli miał mnie w dupie, powinienem mu jakoś pomóc. Nie dlatego, że był moim bratem. Nie ze względu na rodziców. Powinienem to zrobić, ponieważ niezrównoważony członek rodziny, który zbyt dużo o Tobie wie, może wygenerować niejeden przypał. A wszystkie potencjalne zagrożenia należy bezwzględnie neutralizować.

Ale wtedy, stojąc na balkonie, zupełnie o tym nie myślałem. Wtedy spoglądałem z czwartego piętra na osiedle, na którym byłem nowo koronowanym królem.

\* \* \*

Zanim wyszedłem od starych, zadzwoniłem do Ażmiego, który obiecał, że zawiezie nas do centrum. Pięć minut później z piskiem opon wjechał na podwórko. Już nie woził się ledwo zipiącym oplem, tylko czarną, warkliwą, stuningowaną betą, w której wyglądaliśmy jak dresiarze w drodze na wiejski podryw. Ażmi zadbał o to, aby nacierającej z głośników drumandbassowej nawalanki musieli słuchać razem z nami wszyscy użytkownicy ulic i chodników w promieniu kilkudziesięciu metrów. Odkąd awansowaliśmy w chuligańskiej hierarchii, miał więcej hajsu, niż jego rozsądek był w stanie udźwignąć.

Oczywiście jako szef naszej grupy też nie narzekałem na brak kasy. W ciągu paru dni potrafiłem zarobić więcej niż moi starzy wspólnie w miesiąc. Nakupowałem sobie ciuchów, kilka gadżetów elektronicznych, jakieś duperele do miesz-

kania. No i samochód. Wprawdzie nie znosiłem prowadzić i kiedy tylko mogłem, starałem się tego unikać, ale historia z Nogim i jego kumplami z Elksy dobitnie pokazała, że jeżdżenie tramwajem mi nie służy. Musiałem mieć alternatywę.

Kiedyś dziwiłem się ludziom, którzy zmieniają się pod wpływem hajsu. Teraz ich rozumiałem. Pieniądze czynią cię próżnym. Nadmuchują ego. Deprawują. Zaskakująco szybko przyzwyczajają do życia na poziomie, który jeszcze chwilę temu nie był dla ciebie dostępny. I zaskakująco mocno warunkują twoje wybory życiowe.

Chyba że ktoś trzyma nad tobą bat, którym cię dyscyplinuje. Na przykład wiecznie wkurwiony i irytujący policjant.

Pojechaliśmy z Ażmim w pobliże skrzyżowania Kilińskiego z Piłsudskiego. Zaparkowaliśmy niedaleko dawnej resursy rzemieślniczej, w której jeszcze kilka lat wcześniej mieścił się Cube, jedna z popularniejszych łódzkich imprezowni, i weszliśmy do sąsiadującej z nią kamienicy. Z zewnątrz wyglądała upiornie, niczym pamiątka po mieście, które nie otrząsnęło się z transformacji po komunie. Ale w środku, oprócz kilku meliniarskich miejscówek, był także niemal stumetrowy, całkiem elegancki lokal, który od paru lat wykorzystywali członkowie nabojski Widzew Demons. Traktowali to mieszkanie jak centrum dowodzenia albo drugi dom, zamieszkały przez wielką dysfunkcyjną rodzinę. Ktoś pił wódkę, ktoś wciągał koks, ktoś grał na konsoli, ktoś czytał książkę. Czasem ktoś zamykał się w pokoju, aby zadzwonić do dziewczyny albo zwalić konia.

Ażmi chyba lubił to miejsce. A na pewno lubił, że może w nim być. Podczas gdy Papa i Kojiro zostali na Marysinie, zajmując się z grubsza tym, czym wcześniej, tyle że na większą skalę, Ażmi wspinał się w gangsterskich strukturach jako mój przyboczny. Świetnie się odnajdywał w towarzystwie demonów. Pił z nimi, ćpał, ruchał. A jeżeli któryś z chłopaków mówił, że trzeba obić jakiegoś frajera, Ażmi pierwszy wstawał z fotela. Zresztą to samo robił dla mnie. Nawet nie musiałem go o to prosić.

W mieszkaniu czekał na nas Rocco. Jako jedyny z zarządu nabojski regularnie odwiedzał ten przybytek. Być może chciał oszczędzić swojej świeżo upieczonej żonce widoku wiecznie zaćpanego i uganianego się za dupami męża. A może to ona nie chciała go widzieć. W każdym razie zastaliśmy go z padem w rękach, napoczętym drinkiem i wzrokiem skupionym na ekranie. Obok niego siedział jakiś chłopak w koszulce Widzewa. Wyglądał na trzynaście, czternaście lat. Nie miałem pojęcia, kim jest. Nie chciałem tego wiedzieć. Przez to mieszkanie przewijały się tabuny dziwnych ludzi, a ja wolałem nie zaśmiecać sobie głowy bezwartościowymi informacjami. I tak niebezpiecznie zbliżałem się do granic jej pojemności.

– Jest sprawa – powiedział Rocco, nie przerywając partyjki w *Pro Evolution Soccer*. – Pewien fagas wisi nam kasę i od tygodnia zwleka z płatnością. Mówią na niego Monet. Nie wiem, czy ma jakiś związek z malarstwem, ale moglibyście go o to zapytać, gdy będziecie spuszczać mu wpierdol.



– Dużo nam wisi? – zapytałem.

– Stowę. Problem w tym, że to już trzeci raz, kiedy musimy się przypominać. Gość powoduje zatory i dokłada nam roboty. Demon tego nie znosi.

– Rozumiem. Adres?

– Sebciu was pokieruje.

– Sebciu?

Rocco wskazał brodą chłopaka.

– Monet to jego brat. Sebciu wam opowie o szczegółach i pomoże wejść na górę. Ale najpierw złoję mu dupsko.

Dzieciak odwrócił się w naszą stronę. Był łysy, chudy, nabuzowany. Na swój sposób wściekły. Ale pod tą wściekłością kryła się twarz zdezorientowanego górniarza, który porwał się na życie, na jakie z pewnością nie miał ochoty. Problem w tym, że jeszcze tego nie wiedział.

Kwadrans później siedzieliśmy z powrotem w furze: ja, Ażmi, Gabon, czyli dwumetrowy przydupas Rocco, którego czasem zabieraliśmy do pomocy, oraz Sebciu. W drodze na Górniak, gdzie mieliśmy się spotkać z Monetem czy Monet albo Monetą, w każdym razie z kolesiem, któremu zamierzaliśmy spuścić wpierdol, zastanawiałem się, czy mógłbym temu dzieciakowi powiedzieć coś sensownego. Jakoś doradzić. Ostrzec przed konsekwencjami wejścia na ścieżkę, którą wybrał. Zamiast tego odezwałem się do Gabona.

– Rocco nieźle się trzyma – zagailem, odwracając się do wielkoluda, który ledwo się za mną zmieścił. – Odstawił nosy?

– Taaa... – Gabon parsknął, opluwając wszystko wokół, włącznie ze mną. – Po prostu ma grubą rozkminę.

– Nad czym?

– Po miesiącu miodowym przez tydzień leciała mu krew z kinola. Dzień w dzień. W końcu poszedł z tym do lekarza, a ten mu powiedział, że jeśli dalej będzie ciągnął tyle koksu, to rozwali sobie przegrodę.

– Myśli, żeby rzucić?

– A skąd! Zastanawia się, czy nie wstawić do klupy ceramicznych rurek. Ponoć Krzysiu Krawczyk chciał sobie zrobić coś takiego. Na razie Rocco zmienił formę aplikacji.

– Czyli w tym drinku była nie tylko whisky?

– Stary, chyba łatwiej powiedzieć, czego tam nie było.

Dojechaliśmy na Górniak. Zaparkowaliśmy pod dziesięciopiętrowym budynkiem z wielkiej płyty. Sebciu zadzwonił domofonem. Niczego nieświadomy Monet wpuścił nas na górę. Wgramoliliśmy się po schodach na drugie piętro i przyczailiśmy się wzdłuż ściany. Dzieciak zapukał do drzwi. Kiedy się otworzyły, Sebciu zrobił dwa kroki w tył, a my władowaliśmy się do środka, taranując Moneta.

A potem zafundowaliśmy mu powitalny wpierdol, który był nieodzownym aperitifem naszych negocjacji biznesowych.

Mieliśmy wypracowany schemat działania, ponieważ przerobiliśmy już kilka podobnych akcji. Niczego nie musieliśmy sobie wyjaśniać. Zresztą co tu tłumaczyć? Średnio rozgarnięta mała poradziłaby sobie z tym zadaniem.

– Wiesz, jak to działa – zacząłem, siadając na plastikowym krześle przed przestraszonym Monetem, łysiejącym chłopakiem w bluzie z kapturem, szarych dresowych portkach i kubotach, który przyciskał kawałek szarej srajtaśmy do rozkwaszonego nosa. – Kiedy bierzesz towar za dwie stowy, a w momencie przejęcia materiału masz tylko stowę, tworzysz zobowiązanie, które trzeba czym prędzej spłacić. Każdy dzień zwłoki gra na twoją niekorzyść.

– Dajcie mi jeszcze tydzień – wymamrotał Monet, skacząc wzrokiem między mną, Ażmim i Gabonem, którzy przetrząsali jego mieszkanie, oraz stojącym obok Sebciem, wpatrującym się w brata tym swoim gówniarsko-agresywnym wzrokiem. – Będę miał kilka dużych zamówień. Dwie znajome ekipy jadą na wakacje do Skorzęcina albo jakiejś innej ćpalni. Zawsze robią u mnie zapasy. Dajcie mi jeszcze trochę czasu, a przyniosę wam hajs w zębach.

– Jest to jedna z opcji, które na pewno warto rozważyć. Problem w tym, że Demon bardzo nie lubi, gdy jego ludzie pobbająają osobom, które nie dotrzymują umów. Dlatego skłaniam się ku opcji numer dwa.

– To znaczy?

Spojrzałem na chłopaków. Ażmi potrząsnął głową.

– Powiedz, gdzie trzymasz dragi. Zobaczymy, ile zostało.

– Ale ja naprawdę będę miał duże zamówienia. W kilka dni upłynięcie towar.

Zanim zdążyłem zaprotestować, Ażmi podszedł do Moneta i sprzedał mu liścia. Tak soczystego, że nawet mi zabręczało w głowie.

– Gdzie to, kurwa, jest? – zapytał.

Monet wyciągnął przed siebie palec.

– Szafka w korytarzu. Pudełko po butach.

Prychnąłem.

– Najbardziej przypałowe miejsce w całym mieszkaniu. Pierwsze, które sprawdziłyby psy.

– Miałem to sobie na ścianie powiesić?

Ażmi ponownie był ode mnie szybszy. Tym razem przyłożył Monetowi pięścią, a ten ponownie zalał się krwią.

– Jest – zawołał Gabon, po czym podszedł do nas z pudełkiem wypchanym marihuaną, kokainą i extasy.

– Dużo zostało? – zapytałem.

– Na oko jedna czwarta.

– Policzcie piguły i zważcie towar. – Widziałem, jak Monet podąża chciwym wzrokiem za dragami, jakby ich utrata była w tym momencie jego największym zmartwieniem. – Skoro została ci jedna czwarta, powinieneś mieć dla nas hajs. A jeżeli sprzedawałeś niedoważony towar, dosypywałeś jakieś gównno do koksu albo opychałeś dragi w detalu, a mogę się założyć, że robiłeś przynajmniej jedną z tych rzeczy, już dawno powinieneś być na plusie. Chyba że wszystko przepuściłeś na pierdoły.

– Musiałem oddać papę.

– Komu?

– Matce.

– Ściemnia, skurwol! – jęknął jednocześnie piskliwym i chropowatym głosem Sebciu. – Od miesiący nie było go w domu. Stara ciągle pruje mordę, że wisi jej hajs.

– Już nie. Dałem jej wszystko, co miałem.

– Jasne. Taki chuj!

– Morda! – wrzasnąłem, uciszając obu braci. – Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś z tymi pieniędzmi. Obchodzi mnie to, że ich nie masz. – Rozejrzałem się po mieszkaniu. Wyglądało schludniej i bardziej elegancko niż typowy lokal zadłużonego dilerka. – Odbijemy sobie z twojego ciepłego kurwidolka. I może potrącimy drobną karę umowną. Ku przestrodze.

Nie wspomniałem, że chłopaki oprawią go na odchodne, aby unaocznić jego ziomkom, że z demonami nie wolno lecieć w kulki. Ale sądząc po minie Moneta, nie musiałem nic mówić.

– Chodź, Sebciu – powiedziałem. – Chłopcy zajmą się resztą.

– Zostaję – burknął dzieciak.

– Lepiej, żebyś...

– Powiedziałem, kurwa, że zostaję.

Sebciu zgromił mnie wzrokiem. Nie mam pojęcia, czym brat mu podpadł, ani skąd w tak młodym człowieku wzięło się tyle agresji, ale ktoś, kto go znalazł i zrekrutował do demonów, wykonał cholernie dobrą robotę. Gówniarz wprost idealnie pasował do nabojski.

Wstałem, pożegnałem zrozpaczonego Moneta klepinięciem w ramię, odebrałem od Gabona pudełko z dragami, wyjąłem jego zawartość i ruszyłem do wyjścia. Chyba nie muszę wam tłumaczyć, co się wydarzyło później. Zresztą wolałem za dużo o tym nie myśleć. Jak już mówiłem, pojemność mojej głowy była ograniczona. Nie musiała jej zajmować lista ubytków zdrowotnych jakiegoś podrzędnego dilerka.

Od czasu domówki, na której po raz pierwszy mieliśmy okazję porozmawiać, tylko raz spotkałem Demona – podczas pierwszego meczu w sezonie. Dalej wydawał się wobec mnie nieufny, ale nie na tyle, aby się ze mną nie przywitać. Jego to nic nie kosztowało, a dla ludzi, którzy nas widzieli, było ostatecznym dowodem, że zostałem przyjęty do ekipy. Że jestem kimś. Typem z miasta. Gościem pełniącym jakąś ważną funkcję w organizacji przestępczej. Może jeszcze nie drugim po królu, ale umocowanym w strukturze władzy.

Karol miał rację. Tyle wystarczyło, żebym zaczął budzić postrach.

Zanim dostałem niewypowiedziane błogosławieństwo od Demona, na Marysynie działało kilkunastu dilerów, a przynajmniej o tylu wiedziałem. Każdy z nich miał paru pomagierów, więc handlem narkotykami zajmowało się łącznie kilkudziesięciu niezbyt rozgarniętych łebków. Kiedy poszła fama, że nie tylko wyeliminowałem Nogiego, ale i zakręciłem się koło zarządu nabojki, część z tych chłopczków przeniosła się na inną ośkę, część zrezygnowała ze swojej profesji, a część przyłączyła się do nas. Bardzo szybko zaczęliśmy zarabiać poważne pieniądze – stąd ta nafaszerowana bajerami beta Aźmiego, w którą wpompował grubo ponad sto patyków. W pewnym momencie – trochę z braku czasu, a trochę żeby mimo wszystko trzymać się jak najdalej od tak oczywiście penalizującej działalności – zostawiłem ten cały dilerski szajs na barkach Aźmiego, Kojiro i Papy. Sam natomiast skupiłem się na wytuptywaniu pozycji w świecie chuliganów.

A oprócz strachu zacząłem także budzić ciekawość. Również wśród ludzi, których zainteresowanie nie było mi potrzebne.

Przekonałem się o tym pewnego październikowego popołudnia, które spędzałem na osiedlowej ławce w towarzystwie Kojiro i Papy. Oni się przekomarzali na temat jakiejś piłkarskiej głupoty, podczas gdy ja garbiłem się nad pierwszym w życiu smartfonem, z fascynacją odkrywając jego kolejne funkcje. Jak na jesienny dzień było wyjątkowo ciepło, krótkie spodenki kleiły nam się do tyłków, a impulsy nerwowe wolno krążyły między neuronami. Pewnie dlatego nie wyczuliśmy, że coś dziwnego wisi w powietrzu.

– Ale duperka – rzucił Kojiro.

– Z gówna i plastiku – odparł Papa.

– Ruchałbyś.

– No pewnie, że bym ruchał. Uda ma jak modeleczka. Worek na głowę i jazda.

– Ty, ona idzie do nas.

Podniosłem głowę. I choć tego dnia przez Marysin zdążyło się przewinać wiele efektownych kobiet, to dopiero ta zwróciła moją uwagę. Ta, którą już kiedyś wi-

działem. Ta, której nigdy, ale to, kurwa, przenigdy nie spodziewałbym się spotkać na swojej ośce.

Caryca.

– Możemy w czymś pomóc? – zagaił Kojiro, który nie miał bladego pojęcia, z kim ma do czynienia.

– A w czym taki mały chujek jak ty miałby mi pomóc? – spytała.

Papa ni to zawył, ni to zabuczał, wyrażając podziw dla bezczelności Carycy. On też nie miał pojęcia, że stąpa po kruchym lodzie.

– Powiem ci, co taki mały chujek mógłby zrobić. – Kojiro zszedł z ławki i przybrał pozycję, jakby się sposobił do wyprowadzenia liścia. – Mógłby na przykład swoim wcale niemającym chujkiem pokazać takiej jednej piździe, co znaczy prawdziwy mężczyzna.

Caryca obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem. A potem, nie spuszczając z niego wzroku, otworzyła swoją maleńką białą torebkę, wyjęła z paczki cienkiego papierosa, zapaliła i wydmuchnęła dym prosto w twarz Kojiro.

– Zejdź mi z oczu, zanim się spuścisz w spodnie.

– Ty kurwo...

– Wystarczy – burknąłem. – Panowie, zostawcie nas na chwilę.

Kojiro i Papa wyglądali na zaskoczonych. Z pewnością mieli mnóstwo pytań. Ale uszanowali hierarchię w grupie i odeszli.

– Ładna smyczka. – Wskazałem palcem przewieszoną przez szyję Carycy biało-czerwono-białą smycz, zwieńczoną charakterystyczną elkaesiacką przeplataną, która zagłębiała jej w głęboki dekolt. – Na tym osiedlu można przez nią stracić zęby.

– Dziewczyny mają specjalne prawa – odparła. – Choć wcale ich nie potrzebujemy. Podobnie jak facetów. Oni przydadzą nam się wtedy, kiedy trzeba umyć kibel albo gdy złamie się dildo.

– Ale musisz być odważna, skoro tu przyszedłaś.

– A ty musisz wiedzieć, kim jestem, skoro kazałeś tym przymułom spierdalać. I pewnie domyślasz się, co tu robię.

– Ani trochę.

– Wieści szybko się rozchodzą. Z informacji rodzi się ciekawość, którą trzeba zaspokoić. A ja lubię się czuć zaspokojoną.

– Wydaje mi się, że zaliczasz się do kobiet, które trudno usatysfakcjonować. Ale spróbuję.

Caryca się uśmiechnęła, a ja zrobiłem to samo. Byłem zdumiony tym, z jaką swobodą udaje mi się z nią rozmawiać, mimo że wiem, kim jest i na co ją stać. Być może kobiety naprawdę łagodzą obyczaje. Nawet takie jak ona – brutalne, butne i pełne gniewu.

– Podobno wsadziłeś swojemu oprawcy pałkę w dupę, potem dorwałeś kilku naszych chłopaków, a na koniec sklepałeś chuligana o dwadzieścia kilogramów cięższego od siebie.

– Według mnie o ponad trzydzieści.

– Nieistotne. Z tego wszystkiego interesuje mnie tylko jedna rzecz.

– Dawaj.

– Jakie to uczucie wsadzić facetowi pałkę w dupę?

Spojrzałem Carycy głęboko w oczy, prosto w te rozweselone i nienawistne czarne guziczki. Zrozumiałem, że nie pyta, aby się dowiedzieć, jak to jest. Pyta, żeby skonfrontować moje odczucia ze swoimi. Pyta, bo ma punkt odniesienia, bo już była w tej rzece – i to być może więcej niż raz. Bo kręci ją ludzka krzywda.

I nagle cała ta łagodność, którą błędnie jej przypisałem, prysnęła.

– Wyzwalające – odparłem.

– Wyzwalające – powtórzyła, jakby chciała samodzielnie zważyć to słowo, zdeżyć je ze swoimi wspomnieniami. – Niech będzie, że wyzwalające. A wiesz, co jeszcze powinno człowieka wyzwolić? Możliwość wyboru, którą właśnie ci oferuję.

– Chyba nie bardzo rozumiem.

– Przyłącz się do nas.

Prychnąłem.

– Do warriorsów?

– Do mnie i do Śledzia. Będzie ci u nas dobrze.

– Nigdy, kurwa, w życiu.

– Bo niby taki jesteś lojalny?

– Bo jestem widzewiakiem.

– Masz to zapisane w dowodzie osobistym? Odziedziczyłeś w genach? Wyssałeś matkę z cycka?

– Po prostu pochodzimy z innych światów.

Tym razem to ona prychnęła.

– Tu nie ma dwóch światów – powiedziała. – Wszyscy jesteśmy ulepieni z tego samego błota: ełkaesiacy, widzewiaci, policjanci, prokuratorzy, biznesmeni. Nie ma znaczenia, jak nas nazywają ani kim się czujemy, bo tworzymy jeden gatunek. Jesteśmy przedsiębiorcami. Ludźmi, którzy mają odwagę kreować własny los.

Być może w ustach kogoś innego takie słowa brzmiałyby jak tani coaching. Ale nie w jej. Caryca chwyciła swój los za mordę, przekształcając się ze zwykłej pielęgniarki w jedną z najgroźniejszych osób w mieście. Oplotła sobie wokół palca ulicznego zabijakę i zdobyła władzę w nabojce. Miała długie włosy, cycki i cipkę,

a mimo to nieformalnie kierowała zorganizowaną grupą przestępczą pełną napakowanych świń. Gdyby hobbystycznie nie wkładała mężczyznom różnych przedmiotów w odbyty, mogłaby być wzorem do naśladowania dla tysięcy kobiet.

– Masz rację – powiedziałem. – Podobnie jak ty kreuję własny los. I dlatego grzecznie podziękuję za twoją ofertę.

Nic nie odpowiedziała, ale wyśmiała mnie wzrokiem. Tak rechotliwie i głośno, jak tylko się da. Tak dotkliwie, jak tylko może zranić śmiech.

– Pamiętaj, że w życiu nigdy nie jest za późno na zmiany. – Caryca upuściła papierosa i wkręciła go obcasem w ziemię. – Czasem nawet największe pizdy zostają bohaterami.

Mimo strachu czułem, że muszę się jakoś odszczeknąć. Że nie mogę pozwolić jej tak po prostu odejść. Że moja męska, kibolska czy cholera wie jaka duma została by wtedy ostatecznie zgnieciona.

– Lepiej schowaj tę smycę – rzuciłem. – Nie chciałbym, żeby po spotkaniu ze mną ktoś cię tutaj pobił. Albo zgwałcił. Mam wielu ziomków, którzy nawet przez chwilę by się nie wahali.

– No i chuj? – Caryca rozejrzała się dookoła, jakby chciała wykrzyzczyć to w twarz całemu osiedlu. – Wpierdol i gwałt to tylko ból. Są w życiu znacznie gorsze rzeczy.

Nie dopytałem, co ma na myśli. Wołałem tego nie wiedzieć.

\* \* \*

Caryca zrobiła na mnie piorunujące wrażenie, ale nie rozmyślałem zbyt długo o jej propozycji. Nawet nie wspominałem o naszej rozmowie Brennerowi, żeby przypadkiem nie wpadł na pomysł, aby uczynić mnie podwójnym konfidentem. Nie miałem czasu na roztrząsanie spotkania z Carycą, ponieważ moja przestępcza kariera zaczęła nabierać tempa.

Dowiedziałem się od Rocco, że Demon ma na mnie plan. Podobno nazywał go programem menedżerskim. Chodziło o to, abym dobrze poznał organizację, wykonując różne gówniane fuchy, takie jak odzyskiwanie hajsu od niesłownych dilerów czy organizowanie logistyki podczas meczów wyjazdowych. Rocco powiedział, że jeśli się sprawdzę, zaczną dawać mi poważniejsze tematy. Nie zdradził szczegółów, ale domyślałem się, że chodzi o przemyt narkotyków, walkę o wpływy z innymi nabojkami, interesy z klubem czy przekręty gospodarcze. Zapewne wiązało się z tym kilka innych atrakcji: ciężkie pobicia, szantaże i wymuszenia, okaleczenia ciała, użycie broni.

Nie potrafię powiedzieć, co w związku z tym czułem. Satysfakcję, że moje starania wreszcie przyniosły efekt? Przerażenie? W końcu istniało spore prawdopo-

dobieństwo, że będę krzywdził ludzi. Nadzieję, bo przynajmniej teoretycznie zbliżyłem się do wyjścia z bagna?

Na pewno czułem potworne zmęczenie. Z powodu natłoku zajęć, nieustannych kłamstw, konieczności współpracy z tymi cholernymi troglodytami. I na pewno czułem strach. Przerażała mnie myśl, że nawet najdrobniejszy błąd może mnie kosztować życie.

A skoro istniało uzasadnione ryzyko, że niewiele mi go zostało, postanowiłem wykorzystać ten czas najlepiej, jak potrafię.



### 13.

*Mundur niebieski, orzeł żelazny,  
zabiłeś dziecko, jesteś odważny.  
Jesteś odważny, jesteś szczęśliwy,  
polska policja to skurwysyny!  
Polska policja jebana jest,  
a w naszych sercach RTS!*

Owszem, może i nie byłem fanem swojego nowego gangsterskiego życia, ale to nie znaczy, że darcie mordy przestało sprawiać mi przyjemność. Zwłaszcza w towarzystwie zgrai kiboli, niesionych kolektywną euforią wypełniającą widzewski bar. Zwłaszcza będąc już nieźle podpitym i zaczynając następny browar. Zwłaszcza wtedy, gdy darcie ryja, a więc w najbardziej prymitywny sposób z możliwych, mogłem zaimponować kobiecie.

– Nie kumam cię. – Pochyliłem się w stronę niższej o głowę brunetki. Trochę za mocno wymalowanej i trochę zbyt chętnie pokazującej cycki, aby dało się w niej dostrzec materiał na żonę. Ale za to doskonałej jako materiał na jeden wieczór. – Chodzisz na mecze, żeby się pogapić na piłkarzy? Na tych wypacykowanych fajfusów?

Zaśmiała się, mimo że nie powiedziałem nic śmiesznego.

– Nie są tacy źli. Przynajmniej nie wiszą im bebzony od piwska. – Przejechała dłonią po moim brzuchu, jakby chciała sprawdzić jego twardość. Po badaniu załotnie się uśmiechnęła. – Poza tym mój były wciągnął mnie w te klimaty. On chodził na mecze głównie po to, żeby się najebać. A ty?

– Ja? – Zastanowiłem się. – Aby ciągle udowodniać, że nikt w tym kraju nie nie nawidzi Legii i policji tak bardzo jak my.

– I jak to robisz?

– Werbalnie.

*Zaaaawsze i wszędzie,  
policja jebana będzie!  
Zaaaawsze i wszęęędzie,  
policja jebana będzie!*

Dziunia przedstawiła się jako Kamila. Piła piwo z sokiem, praktycznie nie wypuszczając słomki z ust. Nie mam pojęcia, co robiła pośród stada chamów, ani jak to się stało, że stanęła obok mnie, Aźmiego i Szejka, a następnie zaczęła z nami rozmawiać, ale nie miałem nic przeciwko temu. Jej obecność była kolejnym niespodziewanym miłym elementem tego dnia. Rzadko się zdarzało, żebyśmy świętowali po meczach, lecz domowego zwycięstwa nad Legią trudno było nie celebrować. Tym bardziej że na co najmniej dwanaście godzin Widzew został liderem ligi, po raz pierwszy od bardzo dawna. W takich okolicznościach każdy miał prawo odpiąć wrotki.

– Sama poszłaś na mecz? – zapytałem.

– Z koleżanką – odparła Kamila. – Zawsze mi odmawiała, ale tym razem dała się wyciągnąć. To był jej pierwszy raz. Rozdziewiczyłam ją. – Znów ten uśmiech. – Chcesz ją poznać?

– Niekonie...

Nie dokończyłem, ponieważ Kamila wbiła się w tłum. Ku mojemu zaskoczeniu błyskawicznie wyłowiła z niego swoją znajomą.

– Chłopaki, to jest Asia. Asiu, to są chłopaki.

Spodziewałem się zobaczyć dziewczynę podobną do Kamili. I do pewnego stopnia Asia była do niej podobna: brunetka, drobna, zgrabna. Ale na tym cechy wspólne się kończyły. Asia była mniej ordynarna, bardziej elegancka, oryginalniejsza. Zupełnie nie pasowała do tego miejsca. Nie wyglądała na laskę, która przyszła na łowy albo żeby towarzyszyć swojemu zachlanemu macho. Raczej na taką, która znalazła się tu za karę.

No i nie męczyła piwa z sokiem, tylko zwykłego goryczkowego sikacza prosto z kega. Od razu ją polubiłem.

– Podobno to twój debiut meczowy – powiedziałem, kiedy się ze wszystkimi przywitała.

– Debiut i zarazem finał – odparła. – Nie moje klimaty.

– Za dużo testosteronu?

– Za dużo głupoty.

Uśmiechnąłem się, choć byłem absolutnie pewien, że Asia powiedziała to, by mi dogryźć. Długo się w nią wpatrywałem, licząc na to, iż wyczyta z mojej gęby, że nie jestem jednym z nich. Że wyrosłem z tej głupoty. Że nie musi się mnie wstydzić ani bać. Ale gapiłem się także dlatego, że cholernie mi się podobała, a po pijaku nie potrafiłem tego ukryć.

Kilkanaście minut później wyszedłem do toalety. Czekaając na swoją kolej, myślałem o Asi. O jej intensywnym spojrzeniu, ironicznym uśmiechu, delikatności. O inteligentnych złośliwościach, którymi gasiła rozgadane Szejka. O tym

wszystkim, co moglibyśmy razem zrobić, gdybyśmy się poznali w innych okolicznościach.

W końcu równocześnie zwolniły się dwa pisuary. Zająłem ten po lewej. Rozpiąłem rozporek, wyjąłem sprzęt. Miałem już zacząć sikać, gdy mimowolnie zerknąłem w prawo. I odniosłem wrażenie, że ktoś brutalnie przykręcił mi kurek.

– Mój dawny znajomy założył kiedyś biznes – powiedział Demon, zajmąwszy sąsiedni pisuar. – Zbierał polskie banknoty o najróżniejszych nominałach, a potem sprzedawał je przez internet. Oczywiście nie innym Polakom, tylko Nigeryjczykom, Kanadyjczykom albo Gruzinom. Każdemu kolekcjonerowi lub dziwakowi, który gotów był kupić dziesięć złotych za więcej niż dziesięć złotych. Koszty dostawy i prowizji dla serwisu przerzucał na zamawiającego, dzięki czemu całkowicie zdejmował z siebie ryzyko finansowe. Jedyne, co musiał robić, to zamieszczać kolejne oferty i wysłać towar. – Zerknął na mnie, a ja nerwowo pokiwałem głową na potwierdzenie, że go słucham. Zdałem sobie sprawę, że wciąż nie urońiłem ani kropli. – Przez kilka tygodni próbował mnie przekonać, że wymyślił biznes idealny. Zachwycał się tym, ilu debili kupuje od niego pieniądze, płacąc za nie więcej, niż są warte. Problem w tym, że mój kolega nie był dobry z matmy ani szczególnie bystry. Wymyślając ten biznes, zapomniał, że kursy walut nieustannie się zmieniają. I że robiąc coś takiego, musi ciągle śledzić cenę złotego i dolara. Kiedy po miesiącu zrobił podsumowanie, okazało się, że na zdecydowanej większości transakcji był stratny.

Demon skończył sikać, ale nie oddalił się od pisuaru. Stał i pastwił się nade mną. Z tą moją żenującą niemocą. Miałem wrażenie, że mój pindol nie tylko przestał działać, ale wręcz się skurczył. Wsiąkł w ciało. Że zamiast pały mam męską cipkę niczym Buffalo Bill z *Milczenia owiec*. Nie musiałem patrzeć na Demona, aby wyczuć jego drwinę.

– Wiesz, jaki z tego morał? – zapytał.

– Trzeba umieć liczyć koszty? – wydukałem.

– Że biznes może być prosty, ale nie powinni zabierać się do niego ludzie, którzy nie mają o tym pojęcia. – Przysunął się, jakby chciał mi szepnąć do ucha. – Nie przychodź do mnie więcej ze swoimi propozycjami. To nie jest twój świat. Ale niewykluczone, że kiedyś sam zgłoszę się do ciebie z jakimś pomysłem. Wtedy nie waz mi się odmówić. – Demon zerknął za siebie, a potem ponownie odwrócił się do mnie. Spuścił wzrok. – I nie stresuj się tak, bo kolejka się wydłuża.

Gdy tylko wyszedł z kibla, wszystkie blokady puściły. Szczałem, jakbym chciał rozsądzić pisuar.

*Policja tu, policja tam,  
policja chuja zrobi nam!*

*Lalala lala lalala,  
lalalala lala lala.*

Kiedy wróciłem do baru, zastałem tylko Szejka.

– Gdzie pozostali? – spytałem.

– Chuj wie. Gdzieś poszli. Twoja dziewczyna zaczęła się przystawiać do Ażmięgo.

– Moja dziewczyna? Która?

– Jak to która? Błachara. Wygląda na to, że wszystko jej jedno, czyjego wała ob-skoczy.

Szejk trochę się ze mnie śmiał, a trochę pocieszał. Wcisnął mi w ręce kolejne piwo, do którego łapczywie się przyssałem. Dopiero po kilku dużych łykach zacząłem się uspokajać. Powinienem być już przywyknąć do emocjonalnych roller-coasterów w swoim życiu. Ale ten był inny od dotychczasowych.

\* \* \*

– Zamoczyłeś?

Zadałem to pytanie, ponieważ Ażmi wydawał się weselszy niż zazwyczaj, prowadził swoją charczącą betę spokojniej niż zazwyczaj i mówił wolniej niż zazwyczaj. W dodatku prawie nie wyzywał kierowców, pieszych ani rowerzystów, a zamiast drumandbassowego łomotu włączył jakąś popową stację radiową. Normalnie inny człowiek.

– Więcej – odparł.

– Więcej niż raz?

Ażmi potrząsnął głową.

– Spotykamy się. To fajna dupa. Może będzie z tego coś WIĘCEJ.

– No proszę.

– Zatkanło kakao, co? Pewnie nie podejrzewałeś, że stać mnie na stały związek.

– Nie sądziłem, że stać cię na jakikolwiek związek. Nawet z pięknym kawale-rem.

– A weź spierdalaj! – Ażmi nieznacznie przyspieszył, jakby chciał mnie ukarać za ten komentarz. – Mam nadzieję, że nie masz wątpliwości. Na początku trochę do niej świrowałeś.

– Luz. To nie mój typ. – Nie wiedziałem, czy mam jakiś typ. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Aż do teraz. I nagle mój typ jasno się wyklarował. – Wiesz coś więcej o jej koleżance?

– O Aśce? Niewiele. Do niedawna spotykała się z jakimś gogusiem, ale ją zdradził, więc go pogoniła. Kończy studia. Psychologię albo pedagogikę, nie pamiętam. – Przekręcił głowę w moją stronę. Przytrzymał na mnie wzrok. – Nie napalaj się. Tylko byś się umęczył z taką dupą.

– Dlaczego?

– Jest pyskata, złośliwa i wredna. Nic jej nie zrobiłem, a mam wrażenie, że mnie nie trawi. Kto chciałby się ruchać z taką larwą?

Na przykład ja, pomyślałem.

Asia miała w sobie coś, co mnie przyciągało. Nie wiem, czy chodziło o jej wygląd, o charakter czy raczej o zarys charakteru, bo przecież w czasie piętnastominutowej pogawędki w pubie trudno kogoś dokładnie poznać, czy może o coś, czego nie dało się wyłapać za pomocą zmysłów. W każdym razie nieustannie wracałem do niej myślami.

Nie musiałem natomiast wracać pamięcią do spotkania z Demonem. Szybko przeszedł od słów do czynów. Kilka dni po meczu z Legią przysłał do mnie Wiwióra. Usłyszałem, że jest robota do wykonania. Niezbyt skomplikowana, ale ważna. Padło na mnie i na Ażmiego, ponieważ Demon nie chciał obarczać nią żadnego z wysoko postawionych członków nabożki. Mogło to oznaczać, że albo nie ufa swoim najbliższym ludziom, albo nie chce ich wpakować w bagno, a nas mógł bez większego żalu poświęcić.

– Mamy z tym gościem tylko pogadać? – zapytał Ażmi, kiedy zaparkowaliśmy przy Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym, niedaleko skrzyżowania Żeromskiego z Mickiewicza. – Nic więcej?

– Nie mamy z nim gadać, tylko go wysłuchać. Facet ma nam coś przekazać.

– Nie mógł do niego zadzwonić, napisać albo, nie wiem, kurwa, wysłać gołębia pocztowego?

– Demon jest cholernie ostrożny. Prawie nie używa telefonu. Nie dyskutuje o biznesie z byle kim. Nigdy nie ma przy sobie narkotyków. No i pilnuje, aby w grupie nie powstawały żadne dowody przypałowych działań. Zero esemesów, dokumentów, zdjęć. Chyba że jest to absolutnie konieczne.

– Skoro jest taki boidupa, to dlaczego wysłał nas we dwóch?

– Nie mam pojęcia.

Też się nad tym zastanawiałem. Nie wymyśliłem żadnego dobrego wytłumaczenia.

Po wyjściu z auta wpadliśmy w gwar miasta. Przeszliśmy na drugą stronę Mickiewicza i zatrzymaliśmy się na wysokości ścieżki prowadzącej w głąb parku Poniatowskiego. Mieliśmy tam czekać na „faceta, który będzie wyglądał jak biznesmen”. Nie była to zbyt szczegółowa charakterystyka, zwłaszcza że niedaleko znajdowały się trzygwiazdkowy Qubus Hotel i niedawno otwarty czterogwiazd-

kowy DoubleTree by Hilton, ale nic lepszego nie dostaliśmy. Musieliśmy czekać w umówionym miejscu, licząc na to, że gość, który miał się z nami spotkać, skojarzy, że my to my.

Po mniej więcej dziesięciu minutach zobaczyliśmy zmierzającego w naszą stronę mężczyznę w białej koszuli i z telefonem przyciśniętym do ucha. Elegancki, wysportowany, szpakowaty, choć mógł mieć nie więcej niż czterdzieści parę lat. Nie patrzył na nas. Ale kiedy przechodził obok, dyskretnie wskazał palcem park, po czym zagłębił się w alejkę. Niedługo później ruszyliśmy za nim.

Facet zatrzymał się przy pierwszej ławce, której nie dało się dostrzec z ulicy. Kiedy tam podeszliśmy, zakończył rozmowę telefoniczną i uważnie nam się przyjrzał.

– Wasz szef ma niezłe nasrane w bani – powiedział lekko chropowatym głosem, po czym wyjął papierosa i zapalił. – Z dziećmi też spotyka się przez pośredników?

– Nie wiem, czy ma dzieci – odparłem. – Może to nieco ekscentryczne, ale bezpieczne.

– Dla niego. Nie dla was. I nie dla mnie.

– Dlatego nie przedłużajmy tego spotkania. Powiedz, co masz powiedzieć.

Mężczyzna mocno się zaciągnął, po czym wycelował we mnie palcem.

– Jesteś konkretny. Pewnie dlatego cię lubi.

– Tego akurat nie wiem, ale na pewno chciał, żebyśmy załatwili to szybko i bez pierdolenia.

Facet wziął kilka szybkich machów. Wyrzucił peta pod nogi i rozejrzał się na boki.

– Przekaż mu, że jestem po słowie z gościem, który pracuje w firmie zaopatrującej w banany największe sieci handlowe w tym kraju. Kilka miesięcy w roku spędza w Ameryce Południowej, głównie w Ekwadorze i Kolumbii. Jest mi winien grubą przysługę, więc może uruchomić dla nas nowy kanał przerzutowy. Jego szef o niczym nie wie, więc nie trzeba będzie mu nic odpalać. Facet już gałdł z Indiańcami. Pierwszy transport mógłby dotrzeć za dwa tygodnie.

– Gdzie?

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Nie powiedział ci, że masz nie zadawać pytań? Przekaż mu to, co usłyszałeś.

Facet ruszył w kierunku, z którego przyszedł. Kiedy trochę się oddalił, ruszyliśmy za nim. Odprowadziliśmy go wzrokiem aż do Hiltona, a następnie wróciliśmy do samochodu.

– Skądś kojarzę tego typu – powiedziałem.

– Wygląda jak model – zauważył Ażmi. – Może widziałeś go w jakiejś gazecie dla pedałów?

– Zamknij się. – Wyjąłem telefon i zacząłem goglować. Wodziłem palcem po ekranie, przeglądając stronę, którą całkiem nieźle poznałem, gdy robiłem research na temat Widzewa i polskich klubów piłkarskich. – O kurwa. Tak podejrzewałem.

– Grał w pornosach?

– To Marek Cypel. Wiceprezes ŁKS-u. Kiedyś był łódzkim radnym.

I kiedyś, z czego właśnie zdałem sobie sprawę, widziałem go na stadionie Elksy, obściskującego się w tym swoim eleganckim wdzianku z dresiarzami z warriorsów. Ale o tym akurat nie mogłem nikomu wspomnieć.

– Żyd? – zdziwił się Ażmi. – Skoro jest stąd, to po cholere wynajął hotel?

– Może dla lipy, a może z kimś się tam umówił.

– I Demon mu ufa?

– Nie sądzę. Ale najwyraźniej nie ma nic przeciwko temu, żeby robić z nim interesy.

Ażmi przez dłuższą chwilę myślał nad tym odkryciem, a następnie wzruszył ramionami i uruchomił silnik.

– Pieniądze nie śmierdzą. *Business is business.*

\* \* \*

Przeczytałem na temat Marka Cypla wszystko, co wiedział o nim internet. Biznesmen, samorządowiec, ojciec czworga dzieci, katolik, zagorzały fan ŁKS-u. Dziesięć lat temu założył z dwoma kolegami firmę CKN Development, która stawiała osiedla i biurowce w aglomeracji łódzkiej. Jako radny zajmował się głównie tematami związanymi z planowaniem przestrzennym, użytkowaniem gruntów i pozyskiwaniem inwestycji dla miasta. Jako przedsiębiorca zarabiał przyzwoite pieniądze, choć nie na tyle duże, aby o jego działalności rozpisywały się media. Nie wspominały także o tym, aby w jakikolwiek sposób był powiązany z gangsterami. Tym bardziej z tymi po drugiej stronie barykady.

Zebrawszy komplet informacji, zadzwoniłem do Wiewióra. Chciał, żebym się spotkał z nim pod stadionem Widzewa. Sam, bez Ażmiego. Podobno taka była wola Demona. Do Cypla mieliśmy pojechać we dwóch, ale zdobyte na spotkaniu informacje musiałem przekazać mu samodzielnie.

– Jedź pod ten adres. – Wiewiór wręczył mi kawałek kartki. – Potrafisz to rozczytać?

Przyjrzałem się jego bazgrołom. Kiwnąłem głową.

– Kiedy?

– Teraz.

– A potem co?

– Potem zrobisz to, co ci rozkaże.

Próbowałem pociągnąć Wiewióra za język, ale nic więcej nie zdradził. Najwidoczniej Demon mu na to nie pozwolił.

Wiewiór wysłał mnie na Retkinię. Do jednego z niekończących się bloków przy Kusocińskiego, który stał naprzeciwko niekończących się garaży. Prosto w paszczę lwa, bo nie było chyba bardziej elkaesiackiego osiedla. Pojechałem taksówką, wysiadłem pod wskazanym blokiem i szybkim krokiem podszedłem do klatki, jakbym w każdej sekundzie spędzonej w tym miejscu bezpowrotnie tracił ułamek życia. Wcisnąłem przycisk na domofonie. Czekałem. Po parunastu sekundach pojawił się przeciągły pisk. Wszedłem do budynku.

Kilkoma dynamicznymi susami dostałem się na czwarte piętro. Zapukałem w drzwi. Cisza. Zapukałem jeszcze raz. Znow to samo. Kiedy miałem ponowić próbę, usłyszałem charakterystyczny pisk domofonu. Potem rozległy się młode męskie głosy i stukot buciorów uderzających w beton. Grupa facetów wbiegła na pierwsze piętro. Potem na drugie. Trzecie. W końcu pojawili się na półpiętrze, kilka metrów ode mnie. Było ich trzech. Wyszczurzeni, łysi, gotowi do bitki. Popatrzyli na mnie, a potem na siebie, dokonując bezdzwięcznej narady. Chwilę później ruszyli w górę.

Wtedy otworzyły się drzwi.

Kiedy dresiarze zobaczyli Demona, stanęli jak wryci. Potrzebowali kilku sekund na rozeznanie się w sytuacji. W końcu jeden z nich dał sygnał do odwrotu. Zaczęli schodzić.

– Wejdz – powiedział Demon, zupełnie nie zwracając uwagi na maślaków. – I zdejmij buty. Odkurzałem.

Zamknąłem za sobą drzwi, a następnie zgodnie z instrukcją ściągnąłem adidasy. Minąłem krótki, wyłożony boazerią korytarz i wylądowałem w pokoju, do którego chwilę wcześniej udał się Demon. Zostałem go siedzącego w wysłużonym fotelu, w szarym dresie i białej koszulce, siorbiącego herbatę ze szklanki w srebrnym koszyczku. Gapił się na jakiś durnowaty serial, który wypluwał dupiasty telewizor z zajeżdżeniem jaskrawymi kolorami. Wyglądał dość... osobliwie. Na pewno nie jak szef zorganizowanej grupy przestępczej.

– Mów – rozkazał, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Twój kontakt rozmawiał z facetem, który...

– Nie to. – Demon sięgnął po pilota i zmienił kanał. Przerzucił się z jednego tandetnego serialu na inny. – Powiedz, jak się ten facet zachowywał. Był spięty? Spocony? Spieszył się? Zgrywał wała?

Bardzo się pilnowałem, aby nie wzruszyć ramionami, ponieważ uważałem, że to najgorsza reakcja z możliwych. Zdradzająca słabość, niewiedzę, intelektualne lenistwo. A mimo to oczywiście wzruszyłem ramionami.



– W miarę normalnie – powiedziałem. – Choć raczej nie czuł się komfortowo w naszym towarzystwie.

– Próbował was zagadywać?

– Tak.

– Pozwoliliście na to?

– Nie. Kazałem mu przejść do rzeczy.

Demon przeniósł na mnie wzrok.

– Wiesz, kto to był?

– Wiem.

– Skąd?

– Wyglądał znajomo, więc pogrzebałem w necie. Znalazłem jego fotkę z jakiegoś meczu, a potem połączyłem kropki.

– I co o tym sądzisz?

– Myślę, że Cypel nie ściemniał. Stwierdził, że...

– Nie o to pytałem. – Demon głośno westchnął. – Jak ci się uśmiecha robienie interesów z żydami?

I znów, kurwa, wzruszyłem ramionami.

– Pieniądz nie śmierdzi. *Business is business*. – Całkiem nieświadomie powtórzyłem formułkę, której użył Ażmi. I całkiem durnie się poczułem, wypowiadając te słowa.

– Możesz być ze mną szczerzy. Nawet byłoby miło, gdybyś przestał pierdolić kopyły. – Demon wskazał pilotem ekran. – Grasz na poziomie tych pajaców. Tyle że nikt ci za to nie płaci. I ja też nie zamierzam. – Wyłączył telewizor. Przejechał dłońmi po wymizerowanej, wiecznie zmęczonej twarzy. Pochylił się do przodu i parokrotnie zamrugał. – Mam dość otaczania się koleśkami, którzy wyłącznie mi przytakują. Zamiast kolejnego klakiera wolałbym sprawić sobie małą kapucynkę. Napraw z łaski swojej wizerunek bystrzaka, który tak zgrabnie podeptałeś.

Dziwne. Spotkanie z trzema dresiarzami na klatce schodowej powinno być bardziej traumatyczne niż pogawędka z facetem wyglądającym jak żywy trup, ale było dokładnie odwrotnie. Demon miał niewątpliwie dar. Wysysania energii i wiary, że jakoś to będzie. Że będzie jakieś jutro.

– Wizerunek – powiedziałem. – Cypłowi najbardziej zależy na wizerunku. Gdyby wyszło na jaw, że robi z tobą interesy, byłby skończony jako polityk. A że większość budynków stawia na gruntach od miasta, straciłby także biznesowo. Ty też byś oberwał, ale nie na tyle, żeby to zachwiało twoją pozycją. Cypel o tym wie i dlatego nie powinien wyciąć żadnego numeru. A to, że od trzydziestu lat chodzi na stadion kutasiarzy i finansuje ich śmieszny klub, nie ma żadnego znaczenia.

Demon długo milczał po moim wywodzie, wpatrując się w swoje znoszone kaptcie, które mogły pamiętać jeszcze czasy Peerelu. Wyglądał identycznie jak wtedy, kiedy opowiadałem mu o swoich pomysłach biznesowych. Najwyraźniej w taki sposób jego procesor przetwarzał dane.

– Okej. – Wyprostował się, sięgnął po pilota i ponownie odpalił serial. – Zaufam mu.

– Chcesz wiedzieć, co od niego usłyszałem?

– Nie. Tego się dowiem od twojego kumpla. Zakładam, że mnie nie przekreśli.

– Ażmi? W życiu!

– To dobrze.

Czekałem na jakąś kontynuację, ale Demon milczał. Popijając herbatę, gapił się w telewizor.

– Jeszcze tu jesteś – zauważył. – Nie poczęstuję cię mlekiem ani ciasteczkami. Ale jeśli chcesz, możesz o coś zapytać.

Miałem do niego milion pytań. Od miesiący układałem je w głowie i szukałem sposobności, aby je zadać. Nie mam bladego pojęcia, dlaczego wypaliłem akurat z tym:

– Czyje to mieszkanie?

Demon chyba też był zaskoczony. Popatrzył na mnie jak na debila.

– Moje.

– Mieszkasz tu?

– Nie. Ale moja matka tak. Namawiam ją, żeby się przeniosła, bo w budynku nie ma windy, a ona jest siedemdziesięciolatką po zawale. Ale to uparta kobieta. – Zamilkł. Zamyślił się. Zasepił. – Nawet nie życzy sobie, żeby ktoś obcy szwendał się po domu. Gdy wybiera się do kościoła, czasem przychodzi tu posprzątać. – Zerknął na mnie. – Dziwi cię to?

Potrząsnąłem głową. Szczerze. Bardziej dziwiło mnie, że widząc boazerię, koszyczki na szklanki, tandetny dywan i jaskrawe kolory w telewizji, nie pomyślałem, że może tu mieszkać stary człowiek. Przyjąłem za pewnik, że to mieszkanie Demona, szefa znienawidzonej na tym osiedlu nabożki, który bez problemu mógłby wykupić cały blok.

Czasem porażała mnie moja własna naiwność.

– Kolesie, których widziałem na klatce, to ełkaesiacy, prawda? – spytałem.

– To moja polisa ubezpieczeniowa.

– To znaczy?

– Pomyśl. – Demon się uśmiechnął. Minimalnie, ale jednak. – Wiedzą, że jeśli moja matka choćby skreśli kostkę przed blokiem, to wyłapię ich co do jednego i wykastruję. Dlatego na nią dmuchają i chuchają. Zapewnienie bezpieczeństwa

starej babie jest ich najważniejszą misją w życiu. A skoro już wiesz, gdzie ona mieszka, od teraz ten ciężar będzie ciążył także na tobie.

Spodziewałem się kolejnego uśmiechu. Choćby uśmiešku. Minimalnej sugestii, że Demon żartował.

Nie doczekałem się.

## 14.

Przyglądając się z góry półnagiemu facetowi, który wyzywając policjantów, robił z siebie pośmiewisko całego dwudziestego trzeciego sektora powoli wypełniającej się Paprikany, jak popularnie nazywano stadion Pogoni Szczecin, doznałem déjà vu. Poczulem, że już kiedyś byłem w takiej sytuacji. Może nie na tym stadionie, może nie w tej części Polski, ale z całą pewnością stałem na trybunach, gapiąc się na czyjś pijacki amok, i zastanawiałem się, co ja tam robię. Być może zdarzyło się to więcej niż raz. Być może nigdy nie znalazłem i już nie znajdę odpowiedzi na to pytanie. Być może mój mózg celowo wpłątywał mnie w spiralę wspomnień i skojarzeń, zamiast pomóc w przerwaniu albo przynajmniej zrozumieniu tej farsy.

Gdy przestałem się gapić na tego nachlanego ćwoka, zacząłem się rozglądać za facetem, z którym miałem się spotkać. Nie było to łatwe, ponieważ wiedziałem o nim tylko tyle, że ma ksywę Czarny i wygląda jak Cygan. Miałem nadzieję, że to on mnie zidentyfikuje po czerwono-niebieskim szaliku uszytym na cześć zgody Widzewa z Ruchem i podrabianej czapeczce z logo New York Yankees.

– Ładny szalik – usłyszałem za plecami. – Mama ci go zrobiła?

Mężczyzna był mniej więcej mojej postury. Czarna koszulka, czarne bojówki, czarne adidasy. A do tego ciemne włosy i śniada cera. Przypominał Meksykanina albo Cygana, w każdym razie południowca. Opis się zgadzał. Sposób komunikacji również.

– Twoja. Dzielnie dziergała, gdy zapinałem ją w dupę – odburknąłem zgodnie z ustaleniami. – Kopę lat.

Zrobiliśmy miśka, udając starych przyjaciół. A kiedy się wzajemnie poklepywaliśmy, Czarny pospiesznie mi wytłumaczył, co będę robił przez kolejne kilkanaście minut. W wyniku chorobliwej ostrożności Demona znałem tylko fragmenty planu. Całość miała się stać czytelna dopiero po akcji.

Czarny dyskretnie wręczył mi dwie rzeczy. Pierwszą z nich była smyczka Pogoni Szczecin, którą musiałem natychmiast schować, aby żaden z widzowiaków jej nie zobaczył. Miałem ją pokazać jednemu ze stewardów, który zgarnie mnie na bok i wyprowadzi ze stadionu – w taki sposób, abym nie spotkał po drodze żadnego kibola Pogoni, zdołał się przebrać w cywilne ciuchy i ominął monitoring. Drugą rzeczą były kluczyki do samochodu – czarnej hondy civic. Nierzucającej się w oczy, nieskomplikowanej, niezawodnej. Miałem ją znaleźć na jednej z osiedlowych uliczek na zachód od stadionu, a następnie pomknąć nią w kie-

runku Kostrzyna nad Odrą na spotkanie z przemytnikami, którzy przywieźli towar z Ameryki Południowej.

Byłoby o niebo prościej, gdybym zamiast się fatygować pociągami do Szczecina, a potem ukradkiem wychodzić z Paprikany, przebierać się i szukać fury, od razu pojechał na miejsce odbioru dragów. Ale mecz w oddalonym o ponad sto dwadzieścia kilometrów mieście był dla mnie doskonałym alibi. Musiałem tylko zadbać o to, aby nikt nie odnotował, jak ulatniam się ze stadionu. Troszcząc się o swoje bezpieczeństwo, Demon musiał się zaopiekować również ludźmi, którzy dla niego pracowali. Jego zapobiegliwość była godna podziwu.

Z planowaniem najwyraźniej też nie miał problemów, ponieważ wszystko szło jak z płatka. Bez większych trudności opuściłem Paprikanę, odnalazłem uliczkę, o której mówił Czarny, i usiadłem za kółkiem hondy. Czułem się w niej trochę jak za sterami statku kosmicznego – choć nie jestem pewien, czy ze względu na design wnętrza, czy przez okoliczności. Ustawiłem GPS w telefonie, zapiąłem pasy, odpaliłem silnik. Położyłem spocone dłonie na kierownicy. Ruszyłem. Czekala mnie półtoragodzinna podróż, po której moje życie mogło się istotnie zmienić. Na trochę lepsze albo zdecydowanie gorsze.

\* \* \*

Kiedy byłem w połowie drogi, zadzwonił telefon. Nie ten, na którym ustawiłem nawigację. Ten drugi. Ten, którego miałem użyć tylko ten jeden raz.

– I jak? – zapytał Brenner.

– Jadę. Jeszcze jakieś czterdzieści pięć minut.

– Wiesz, co dalej?

– Mam się spotkać z Cypem. Potem razem ogarniemy dostawę.

– Wiesz czy zgadujesz?

– Domyślam się. Mówiłem ci, że znam tylko co drugi krok.

– To od tej pory przestań się domyślać i informuj nas tylko wtedy, gdy będziesz coś wiedział. Nie będę już do ciebie dzwonił. Kiedy poznasz kolejny krok, napisz. I pamiętaj: jeżeli poczujesz, że coś idzie nie tak, zniszcz kartę SIM albo wyrzuć telefon. Powodzenia.

Plan Demona był prosty. Banany z kokainą wylądowały w porcie w Hamburgu. Polscy robole z terminalu załadowali je do ciężarówek. Przekupieni strażnicy graniczni mieli doprowadzić do tego, aby wjechały do kraju, z czym nie powinno być problemu, ponieważ transport realizowała legitna firma, która każdego miesiąca przepuszczała przez granicę tony towaru. Na koniec w cały ten przertzutowy proceder w jakiś sposób mieliśmy się zaangażować ja i Cypel. Tylko tyle wiedziałem.

A jaki był plan CBS? Nie mam pojęcia. Brenner chciał być informowany na bieżąco, więc podejrzewam, że zamierzali podążać za narkotykami. Może chcieli zlikwidować trasę przerzutową? Może liczyli na to, że po nitce do kłębka dojdą do Demona? A może planowali przy okazji zrealizować jakieś poboczne cele? Cholera wie. Z mojej perspektywy najważniejsze było to, że Brenner o wszystkim wiedział i zapewnił mnie, że nie trafię za to do pudła. Wprawdzie wołałbym coś bardziej namacalnego od jego ustnej gwarancji, ale nie mogłem być zbyt zachłanny.

Miałem się spotkać z Cyplem kilkanaście kilometrów na wschód od Kostrzyna, przy drodze na Gorzów Wielkopolski. Dotarłem tam nieznacznie spóźniony. Zgodnie z instrukcją skręciłem w niewielką szutrową drogę, prowadzącą tuż za ciągnącymi się wzdłuż asfaltu szklarniami, a następnie objechałem zajazd u podnóża lasu: kilka drewnianych budynków, prowizoryczny plac zabaw, parking. Zatrzymałem się przy drucianym ogrodzeniu, które w założeniu miało chyba chronić ludzi przed zwierzętami, a w praktyce zapewne było dokładnie odwrotnie. Wyłączyłem silnik. Chwilę później spod oddalonej o kilkadziesiąt metrów posiadłości wyjechał samochód. Z oddali i przy zapadającym zmroku słabo go widziałem, ale kiedy się zbliżył, okazało się, że to terenówka straży granicznej. Z łatwością przedarła się przez błotniste koleiny i zatrzymała na mojej wysokości. Drzwi od strony pasażera otworzył Cypel. Lekko kulejąc i uważając, aby nie zabrudzić mokasynów, podreptał w moim kierunku.

– W ostatniej chwili – burknął, z trudem gramoląc się na fotel. Pod nogami położył plecak.

– Szybciej się nie dało. Co ci jest?

– Zwichnięta rzepka. Pamiątka po tenisie.

Zerknąłem w lusterko na odjeżdżającą terenówkę.

– Twój ochroniarz?

– A co cię to obchodzi?

– Wołałbym wiedzieć, z kim się widziałem na chwilę przed popełnieniem przestępstwa.

– To bez znaczenia. – Cypel wskazał palcem budynek, pod którym na mnie czekał. – Za tą posiadłością jest jeszcze jedna droga, trochę równiejsza od tej, którą przyjechałeś. Można z niej łatwo wrócić do głównej. Podjedź tam.

– A potem?

Cypel otworzył plecak. Zobaczyłem w nim plik zafoliowanych banknotów. Skojarzył mi się z grubą belką wykonaną z euro. Jeśli dobrze widziałem, miał przynajmniej kilka takich belek.

– Potem będzie akcja.

Zatrzymaliśmy się pośrodku niczego, kilkadziesiąt metrów od głównej drogi. Cypel wyjął z plecaka lornetkę wyglądającą jak Batman z odciętą głową. Przyłożył ją do oczu, aby się przyjrzeć zajazdowi, który minąłem po drodze.

– Masz takie dwie? – spytałem.

Cypel, nie odsuwając przyrządu, podarował mi złośliwy uśmiech.

– Wiesz, ile kosztuje dobra lornetka noktowizyjna?

– Pewnie kilka stówek.

– Duże kilka stówek. Tyle to nie wydają nawet na swoje dzieci.

– Gdybym wiedział, że może być potrzebna, tobym sobie kupił.

– To już nie mój problem, że szef cię nie uprzedził. Gdybyś nie pracował dla świra, nie miałbyś takich problemów.

– Czy się różni praca dla Demona od robienia z nim interesów?

Cypel odsunął lornetkę od oczu. Westchnął.

– Dla mnie to jest jak *one night stand*. Wchodzę z nim do łóżka tylko raz. Może być fajnie, może być chujowo, nigdy nie wiadomo. Jeżeli będzie zajebiście, być może jeszcze to kiedyś powtórzymy. Jeśli nie, spróbujemy o tym szybko zapomnieć. A co najważniejsze, nikt się o nas nie dowie. Nadażasz? – Pokiwałem głową. – Ty natomiast ugrzązłeś z nim w toksycznym związku. Może cię bić, wykorzystywać, gwałcić. I tak się od niego nie uwolnisz. – Cypel zrobił ironiczno-cierpiętniczą minę. – Jesteś ofiarą przemocy w kraju przemocowców. Nawet gdybyś krzyczał, nikt by ci nie pomógł.

Facet miał rację. Ale tylko częściowo.

– Coś nas jednak łączy – powiedziałem.

– Nie sądzę.

– Dyma nas ten sam człowiek.

Cypel zacisnął wargi. Kombinował, jak mi się odszczeknąć. Ale nie zdążył, bo przy zajeździe zaczęło się zamieszanie. Bez lornetki nie widziałem szczegółów, ale dostrzegłem czterech facetów w strojach policjantów i strażników granicznych, zapewne pożyczonych ze zbrojowni Szejka, którzy zmierzali w kierunku głównej drogi. Chwilę później zza zakrętu wyłoniły się trzy ciężarówki.

– Jest – powiedział Cypel. – Mój bananowy hajs.

Chciałem zapytać, dlaczego powiedział „mój” zamiast „nasz”, ale zostawiłem to na później. Zamiast tego patrzyłem, jak przebierańcy zatrzymują ciężarówki. Kazali kierowcom zjechać na parking, a następnie zamienili z nimi po słowie i zebrali od nich dokumenty. Następnie poszli do terenówki, w której jeszcze chwilę wcześniej siedział Cypel.

Kiedy gangsterzy udawali, że sprawdzają papiery kierowców, ja udawałem, że się nie stresuję. Zwłaszcza gdy skrycie rzeźbiłem esemesy do Brennera, stukając na oślep w telefon trzymany między drzwiami a siedzeniem, jak najdalej od wzroku mojego „partnera”.

– Wszystko idzie zgodnie z planem – powiedział Cypel. – Teraz muszą tylko przetrzepać ciężarówkę i wyciągnąć towar. Najlepiej tak, żeby tirowcy się nie połapali.

– Myślałem, że to dla nich ta kasa.

– A skąd! Nie można zrzucać takiej odpowiedzialności na barki głupich ludzi. Poza tym w życiu bym im tyle nie zapłacił.

– Czyli twoi kolesie przekażą nam towar, damy im hajs, a potem wrócimy z dragami do Łodzi?

– Nie jesteś najostrzejszym ołówkiem w piórniku, co? – Cypel zachichotał. – Nie będę się włócił z kokainą przez pół Polski. Od tego mam murzynów. Jestem tu tylko w roli nadzorca. Kontrolera dla barachła, które sam musiałem naraić, bo Demon nie chciał narażać swoich giermków. Nie licząc ciebie. A teraz bądź tak uprzejmy i zamknij mordę.

Zamknąłem. I ponownie przywarłem do szyby, myśląc o słowach Cypla. Demon raczej nie miał problemów z wysyłaniem swoich ludzi do hardkorowych zadań. A jednak w przypadku tej akcji od początku postępował dziwnie. Jakby się jej wstydził. Albo obawiał. Albo jakby wcale nie chciał, żeby się powiodła.

– Coś jest nie tak – powiedział Cypel.

– Co?

Nie odpowiedział. Nadal wpatrywał się w dal przez lornetkę. Po chwili zrozumiałem, o co mu chodzi. Zza ciężarówek, w których grzebali przebierańcy, wyłoniło się kilka ciemnych postaci. Wyglądały identycznie jak dwaj kolesie od Cypla. Ale tylko jedna z tych grup to byli policjanci.

– Spierdalamy – rzucił Cypel. – Odpalaj furę. Szybko!

Chwilę trwało, zanim się połapałem w sytuacji. Kiedy wrzuciłem jedynekę i chwyciłem za kierownicę, gangsterzy leżeli już na ziemi, a zza zakrętu wyłaniał się zastęp rozświetlonych radiowozów.

Pieprzony Brenner. Zamiast wykorzystać tę okazję do rozpracowania metod Demona, postanowił zerwać nisko wiszący owoc, wylapując jego partnera biznesowego i pomagierów. W tym mnie.

– Jedź, kurwa!

W końcu ruszyliśmy. Po parunastu sekundach znaleźliśmy się na głównej drodze. A po kilku następnych rozpędziłem samochód do prędkości, jaką z perspektywy kierowcy po raz pierwszy widziałem na liczniku. Problem w tym, że byliśmy



na zadupiu, a ja władowałem się na asfalt niczym słoń do składu z porcelaną. Psy nie mogły tego przeoczyć.

I nie przeoczyły.

– Szybciej, do kurwy nędzy!

Próbowałem, ale ani civic nie jest bolidem Formuły 1, ani żaden ze mnie Kubica. Widziałem we wstecznym lusterku, jak dwie pędzące na bombach policyjne fury niebezpiecznie zmniejszają dzielący nas dystans. Nie mieliśmy szans na ucieczkę. Musiałem coś wykombinować.

Ostro zahamowałem, a następnie skręciłem w boczną dróżkę, kierując się w stronę lasu.

– Co ty robisz?!

Nie przejmowałem się ani wrzaskami Cypla, ani podwoziem hondy, którym raz po raz ryłem o nierówności. Gnałem najszybciej, jak potrafiłem, mając w głowie tylko jeden cel: dotrzeć na skraj lasu, zanim nas dopadną.

Przejechałem kilkaset metrów i zatrzymałem się tuż przed ogrodzeniem, które musiało się ciągnąć przez co najmniej kilka kilometrów. Wyłączyłem silnik, zgasilem światła. Coraz wyraźniej słyszałem syrenę policyjną i wiedziałem, że mam najwyżej kilkanaście sekund, aby zrobić to, co planowałem. Nawet jeśli był to najgłupszy pomysł na świecie.

– Co ty, kurwa, robisz?!

– To, czego chciałeś. – Spojrzałem spanikowanemu Cyplowi w oczy. – Spierdalam.

Wysiadłem. Doskoczyłem do ogrodzenia. Spojrzałem w górę. Miało najwyżej dwa i pół metra, może trzy. Nie było wysokie. Problem w tym, że wieńczył je drut kolczasty. Aby je sforsować, musiałbym pocierpieć.

I wydawało mi się, że jestem na to gotowy.

Kiedy zaciskałem zęby z bólu, czując, jak stalowe kolce przebijają skórę moich dłoni, ud i brzucha, Cypel wciskał się za kółko, aby podjąć jeszcze jedną próbę ucieczki. Kiedy spadałem z wysokości niemal trzech metrów na wystające z gleby korzenie, Cypel próbował się przedrzeć osobówką przez wertepy przypominające tor dla kolarzy górskich. A kiedy pędziłem przed siebie ile sił w nogach, Cypel padał na glebę, brutalnie głanowany przez rozwścieczonych antyterrorystów.

Nie mam pojęcia, jak długo biegłem, ale w pewnym momencie adrenalina zaczęła puszczać i ból stał się nieznośny. Zatrzymałem się. Byłem już niemal po drugiej stronie lasu. Spojrzałem za siebie. Nikt mnie nie gonił. Być może Brenner dał kolegom sygnał, że mają mnie odpuścić. A może w ogóle się nie zorientowali, że Cypel nie był sam.

Usiadłem na ziemi i obejrzałem swoje poharatane ciało. Wyglądałem jak Jezus zdjęty z krzyża. Brakowało tylko wystających żeber i szmatki zasłaniającej jaja,

choć jeśli mam być szczery, moje podarte portki trudno było sklasyfikować jako spodnie. Ale najważniejsze było to, że żyję. Że jestem cały. Że mnie nie dorwali.

Niedzielny poranek. Plac zabaw na terenie kompleksu wypoczynkowego Arturówek w sercu Lasu Łagiewnickiego. Dookoła drzewa, stawy, spacerujący staruszkowie i rodzice z dziećmi. Piskliwe śmiechy wdzierające się w stonowane rozmowy. Słońce i przyjemny letni wiaterek. Spokój. Relaks. Bez troska.

Doskonale rozumiałem, dlaczego Brenner chciał się spotkać właśnie tam, a nie na jakimś odludziu. Ale nie zamierzałem grać w jego grę. Nie po tym, co odwalił.

– Co to, kurwa, miało być?!

– Ciszej. – Brenner syknął pod nosem, rozglądając się na boki. – Nie rób trzody. Nie tutaj.

– Miałeś mi pomóc, a zamiast tego wjechałeś mnie na minę.

– Nie drzyj się. I przestań, kurwa, przeklinać. – Popatrzył na moją poharataną gębę, jakby szacował uszkodzenia towaru dostarczonego przez kuriera. Następnie włożył papierosa do ust i odpalił go tym swoim pierdzidełkiem. – Nic ci się nie stało?

– Wiszenie na drucie kolczastym nie należy do moich ulubionych rozrywek.

Wyciągnąłem przed siebie zabandażowane dłonie.

– Nie wiem. Nie próbowałem. Ważne, że żyjesz. A teraz posłuchaj. – Zaciągnął się, wypuścił przed siebie dym i pochylił się w moją stronę. – To nie my. To nie była nasza akcja. Czailiśmy się kilka kilometrów od miejsca zasadzki, jedna ekipa na drodze do Gorzowa, a druga bliżej Kostrzyna. Dostawaliśmy twoje wiadomości, więc wiedzieliśmy, jakich fur szukać. Zamierzaliśmy podążać za towarem. Ale ktoś nas uprzedził.

– Jak to... Jak to w ogóle możliwe?

– Kilka godzin przed akcją komenda w Gorzowie dostała anonimowy telefon. Jakiś facet powiedział, że coś się kroi na granicy w Kostrzynie. Stwierdził, że zna szczegóły, ale przekaże je w odpowiednim czasie. Wydawał się na tyle wiarygodny, że chłopcy z Gorzowa wezwali antyterrorystów i trzymali ich w gotowości. Kiedy dojechałeś na miejsce, anonim ponownie zadzwonił. Resztę historii znasz.

– I nic o tym nie wiedzieliście? Przecież to CBS obsługuje takie tematy.

– Goście z Wydziału do walki z Przestępczością Narkotykową są obcykami w akcjach przerzutowych. Podobnie jak lubuscy antyterrorysty. Jedni i drudzy uważają, że jesteśmy im potrzebni jak kurwie majtki. Z reguły mają rację. Poza

tym szefowie miejskich komend nie lubią nas tak samo jak służb specjalnych. Odzywają się tylko wtedy, gdy są głęboko w dupie z jakimś tematem.

– Nie lecisz ze mną w chuja?

– Nie lecę.

– I pewnie nie macie pojęcia, kto dał im cynk?

– Nie, ale nie zakładam, żeby to zrobił ktoś od Cypla. Któryś z twoich koleżków musiał się rozpruć.

– Prawie nikt o tym nie wiedział. Tylko ja, Demon i...

Ażmi, pomyślałem. On też musiał wiedzieć o akcji. Demon od początku z nami pogrywał, dostarczając każdemu tylko fragmenty planu, żeby żaden z nas nie miał pełnego obrazu sytuacji. Nie znaleźmy scenariusza, ale obaj mieliśmy jakieś role do odegrania. Do tej pory myślałem, że kiedy ogarniałem przerzut z Cyplem, Ażmi mnie zabezpieczał. Gdy wylazłem z tego pieprzonego lasu i do niego zadzwoniłem, przyjechał po niecałej godzinie. Ale równie dobrze mógł śledzić moje ruchy, żeby w kluczowym momencie mnie podpierdolić.

– Mamy jeszcze jeden problem – powiedział Brenner. – Zostawiłeś telefon w furze. Mówiłem, że jeśli będzie się działo coś przypałowego, masz go rozjechać albo wyrzucić.

– Nie miałem jak. Ledwo zdążyłem uciec przed AT. Kurwa. – Przejechałem za bandażowaną dłonią po twarzy. – Goście z Gorzowa mają moje odciski.

– Odciski to małe miki. Przejęliśmy tę sprawę, wciskając miejscowym kit, że to część grubszego śledztwa w sprawie działalności przestępczej łódzkich biznesmenów. Chyba to łyknęli. Problem w tym, że zdążyli trochę zagłębić się w temat. Wiedzą, że na miejscu przestępstwa znaleziono telefon z podejrzanymi wiadomościami, które ktoś – i z całą pewnością nie był to Cypel – prawdopodobnie wysłał do psów. Nawet jeżeli nie będą dalej gmerać w temacie, to takie wieści szybko się rozchodzą.

– Jestem spalony?

– Nie, bo nie wyglądasz na konfidenta. – Brenner się uśmiechnął. – Z oficjalnych dokumentów będzie można wyczytać, że telefon został znaleziony w jednej z ciężarówek. To zdjęcie z ciebie podejrzenia, gdy Demon się o tym dowie. A prędzej czy później tak się stanie.

Brenner miał rację. Demon zawsze był świetnie poinformowany. Musiał mieć informatorów w policji. Może nawet w samym CBS.

Przypomniałem sobie słowa Carycy i zrozumiałem, że mogła mieć rację. To był jeden wspólny świat. Świat powiązanych nitkami skurwysynów.

– Mam wrażenie, że działamy w systemie naczyń połączonych – powiedziałem. – Demon, warriorsi, psy, biznesmeni. Każdy jest od każdego jakoś zależny. Każdy z każdym może zrobić dil, jeśli uzna, że jest mu to na rękę.

– Brawo! Wreszcie zaczynasz łapać. A wiesz, co jeszcze powinieneś skumać? Że ta cała przynależność klubowa to lipa. Uluda. Lep na dzieciaki, którym łatwiej jest uwierzyć w barwy i bajki o honorze niż w magię pieniądza.

– I władzy.

Brenner pokiwał głową.

– A skąd wiesz, że twoi koledzy z psiarni grają po dobrej stronie?

– Nie wiem. To jest jak poker. Musisz umieć analizować sytuację, czytać ludziom z oczu i zarządzać kartami, które masz w ręku. Ale na końcu i tak może zdecydować przypadek.

Albo dobry blef, pomyślałem. I momentalnie sposepniałem, uświadamiając sobie, jak niewiele potrzeba, żebym stracił wszystko. Wystarczy jeden błąd. Jeden sprzedajny policjant. Jeden niefortunny zbieg okoliczności. Jedno zrobione z ukrycia zdjęcie. Nagle poczułem palącą potrzebę zakończenia spotkania z Brennerem.

– Co teraz? – zapytałem.

– Dowiedz się, kto cię wystawił.

– Jak?

– Zapytaj swojego zleceniodawcę. Na razie nie ma sensu szukać kwadratowych jaj. – Policjant wyrzucił peta pod nogi. Ale widząc zgorszone spojrzenie jednego z rodziców, schylił się po niedopałek, wstał i cisnął nim do najbliższego kosa. – No i pokaż mu się. Powinien wiedzieć, jak wyglądasz. Dostaniesz plus pięć do szacunku.

– Pierdol się.

– Mówię serio. Jak cię widzą, tak cię piszą.

Podarował mi drwiące spojrzenie i ruszył w kierunku parkingu.

\* \* \*

Miałem mętlik w głowie. Nie wierzyłem, że Ażmi mógł mnie wystawić. Nie chciałem w to wierzyć. Nie mogłem. Ale najprawdopodobniej tylko on, nie licząc mnie i Demona, wiedział o akcji. I tylko on, w przeciwieństwie do mnie i do Demona, mógł coś ugrać na dekonspiracji. Potrzebował zaledwie dwóch telefonów na komendę w Gorzowie, aby pozbyć się człowieka, który znajdował się bezpośrednio nad nim w strukturze nabojski. Ryzykowne, ale kuszące.

Próbowałem sobie przypomnieć, jak się zachowywał, gdy ściągnąłem go na to wygwizdowo pod Kostrzynem. Czy był przerażony? Zestresowany? Wściekły? Czy dopytywał o szczegóły akcji? Czy cokolwiek wskazywało na to, że to on mógł spowodować ten przypał? Niestety nie znalazłem odpowiedzi na żadne z tych pytań, ponieważ przez większość drogi powrotnej niespokojnie drzemałem, walcząc jednocześnie z bólem i ze zmęczeniem.

Po odpowiedzi mogłem się udać tylko w jedno miejsce. Do prażródła całego zamieszania.

\* \* \*

– Mówiłem, że nie poczęstuję cię mlekiem ani ciasteczkami – wypalił Demon, kiedy stawilem się w mieszkaniu jego matki w porze popołudniowej mszy, równo tydzień po tym, jak byłem tam po raz pierwszy.

– A herbatą?

Albo mi się zdawało, albo lekko się uśmiechnął.

– Masz szczęście. Właśnie zaparzyłem czaj.

Wszedłem do środka. Ominąłem leżący w przedpokoju odkurzacz i skierowałem się do salonu. Pokój wyglądał inaczej niż przed paroma dniami. Coś się w nim zmieniło. Ale nie potrafiłem powiedzieć co.

Demon przyniósł dwie szklanki herbaty i postawił je na niskiej, pokrytej ceratą ławie. Wskazał puf, na którym usiadłem, podczas gdy sam wbił się w fotel ustawiony centralnie przed terkoczącym telewizorem.

– To była zasadzka – oznajmiłem. – Psy o wszystkim wiedziały. Gdy tylko koleś Cypla weszli do ciężarówek, antyterrorysty wyskoczyli z krzaków i ich dojechali. A potem ruszyli na nas.

– Wiem. Widziałem.

Demon wskazał palcem telewizor, który tym razem wypluwał TVN24. Wyglądało to tak, jakby ustawił kanał specjalnie na moją wizytę. Ale to nie mogło być prawdą.

– Wiesz, kto nas wyruchał? – spytałem.

– Wiem.

– Kto?

– Ja.

Myślałem, że to żart. Ale Demon nie zwykł żartować.

– Dlaczego?

– Muszę mieć jakiś ważny powód? Nie mogłem tego zrobić dla draki? Albo żeby sprzedać pstryczka w nos żydowi, który chciał ubić ze mną interes?

– Nie wyglądasz na faceta, który robiłby sobie jaja z takich rzeczy.

– Nie znasz mnie. – Gangster zmierzył mnie pustym, wydrenowanym z emocji wzrokiem. – Ale masz rację. Nie zrobiłem tego dla jaj. Musiałem ukarać agregata. Cypel zaproponował mi bandyckie warunki współpracy: dwadzieścia procent za dystrybucję towaru i całe ryzyko, jakie się z tym wiąże. Chciał się obłowić na durnym kibolu. Zresztą jestem pewien, że i tak planował jakąś przewałkę i prędzej

czy później wystawiłby mnie psom. A tak może im tylko opowiadać o jakichś anonimowych chłystkach, którzy mieli rzekomo reprezentować bossa nabojki.

– A co z hajsem? Z dragami?

– Chuj z nimi.

Demon, wlepiając wzrok w ekran telewizora, sięgnął po herbatę. Siorbnął. Skrzywił się, jakby przelękał wódkę. Kiedy odstawił szklanekę, zrozumiałem dlaczego. Zaparzona z trzech torebek herbata była czarna jak heban. Pewnie kopała mocniej niż koks.

– Pewnie chciałbyś wiedzieć, dlaczego cię w to wmanewrowałem. – Demon najwyraźniej posiadał jeszcze jeden talent: czytania w myślach. – Musiałeś tam być, żeby Cypel nie wydygał. Nie zgodziłby się na taką akcję, gdybym nie zaferował mu do pomocy jednego ze swoich ludzi. Ale wysłałem cię tam z jeszcze jednego powodu. – Kolejny łyk, kolejny grymas. – Tak naprawdę jestem dobry tylko w dwóch rzeczach. Po pierwsze, nie narzekam na brak pomysłów. Dlatego żyję z wymyślania nowych sposobów zarabiania floty. I dlatego mnie nie boli, że umoczyliśmy ten hajs, bo wiem, że odzyskam go gdzie indziej. A po drugie, znam się na ludziach. Czytam w nich jak w otwartych księgach. Jednych dopasowuję do różnych przedsięwzięć, a innych eliminuję ze swojego życia. Ale czasem mam wątpliwości. – Posłał mi ukradkowe spojrzenie. – Tak było z tobą i twoim kumplem. On wydawał mi się lojalny, ale głupi, a ty... – Zawahał się. – Powiedzmy, że nie miałem pewności, czy jesteś po mojej stronie.

– Teraz już masz?

Demon westchnął, robiąc zatrważająco długą pauzę.

– Ciężko jest się przekonać do drugiego człowieka, jeżeli instynkt mówi ci coś innego. W takich sytuacjach trzeba się posiłkować faktami. A te są takie, że wykazałeś się nie lada sprytem. I udowodniłeś, że masz jaja.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. To fakt. A teraz wypij herbatę i obejrzyj ze mną wiadomości.

Nie miałem ochoty na herbatę. Ani tym bardziej na oglądanie telewizji z szefem nabojki. Mimo to spróbowałem rozsiaść się wygodnie na pufie, choć było to raczej trudne.

– A ty? – zapytał Demon.

– Co ja?

– Jesteś w czymś dobry?

Zaskoczył mnie tym pytaniem. Wyrzuciłem z siebie pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

– Jestem całkiem nieźle zorganizowany.

Parsknął.

– Za bycie dobrze zorganizowanym nikt ci nie zapłaci. Zastanów się.

Wpatrując się w ekran, krążyłem myślami wokół najważniejszych wydarzeń ostatnich miesięcy. Wszystkie w jakimś stopniu wiązały się z bólem i przygnębieniem. A mimo to ze wszystkich wyszedłem zwycięsko. Czasem obolały, czasem zdruzgotany, przeważnie wściekły, ale żywy.

– Zawsze dopinam swego – powiedziałem. – Bez względu na skalę trudności i przeciwności losu. Bez względu na to, ile muszę wycierpieć, aby osiągnąć cel.

Nie byłem pewien, czy to mój największy atut. Ale biorąc pod uwagę, że zbudowałem własną osiedlową grupę, wgrzyłem się w klubowe struktury, wyeliminowałem Nogiego, a teraz siedziałem z szefem nabojki w mieszkaniu jego matki i oglądałem z nim TVN, chyba nie skłamałem.

Demon długo mi się przyglądał. W końcu wycelował palcem w szklanke.

– Chciałeś herbatę, więc masz ją wypić. Bardzo nie lubię robić rzeczy, które nie mają sensu.

Sięgnąłem po napój i pociągnąłem łyk, który momentalnie wykręcił mi głowę. Herbata smakowała gorzej, niż sądziłem. Znacznie gorzej. A mimo to wychyliłem ją do dna.

Kiedy serwis informacyjny dobiegł końca, Demon bez słowa wstał, poszedł do przedpokoju i uruchomił odkurzacz. Przez dłuższą chwilę patrzyłem, jak jeden z najgroźniejszych ludzi w mieście szoruje metalową rurą po wykładzinie, a następnie po cichu wyszedłem z mieszkania.

Zasłony, pomyślałem, wracając do domu. Demon wymienił w mieszkaniu matki zasłony: z przygnębiająco ciemnych na zielone. Kolor nadziei.

\* \* \*

– Miałeś nie dzwonić w ten sposób, a najlepiej wcale – wypalił zirytowany Brenner.

– Demon siedział w pierdłu – odparłem, ignorując jego uwagę.

– To niemożliwe.

– Pije coś, co przypomina czaj, grypsuje, zachowuje się jak bandyta. Brakuje tylko tego, żeby łaził po domu w pasiaku.

– Niemożliwe – powtórzył policjant. – Pewnie się tak zachowuje, bo spędza dużo czasu z kryminalistami, a nie dlatego, że siedział w ciupie. Sprawdzaliśmy jego życiorys ze sto razy.

– To sprawdźcie po raz sto pierwszy.

Rozłączyłem się, ponieważ właśnie wchodziłem do Bezszenności. Zbliżała się dwudziesta pierwsza. Chwilę wcześniej rozpoczęło się spotkanie Ligi Mistrzów pomiędzy Galatasarayem Stambuł a Realem Madryt. Szejk od czasu do czasu organizował w swoim klubie wspólne oglądanie. Na tym meczu zależało mu szczególnie ze względu na stambulskich kibiców: żywiołowych, głośnych, agresyw-



nych. Uważał, że powinniśmy się uczyć od tych „ciapatych śmieci”, jak należy się zachowywać na stadionie.

Większość osób miała Ligę Mistrzów głęboko w dupie, przez co spotkanie rzeckomych miłośników piłki nożnej przerodziło się w regularną imprezę w środku tygodnia. Faceci pili wódkę i gadali o dupach, dupy tańczyły i gadały o typach, wszyscy się dobrze bawili albo przynajmniej udawali, że to robią. W lokalu panował taki chaos, że dopiero po zakończeniu pierwszej połowy miałem okazję pogadać z Szejkiem.

– Stary, nie mam pojęcia, co zrobiłeś, ale zarząd cię uwielbia – wypalił. – Demon tu był. Pytał o ciebie.

– Poważnie? – zdziwiłem się. – I co mu powiedziałeś?

– Że jak zawsze jesteś zarobiony i pewnie przyjdiesz na ostatnią chwilę.

– A co on na to?

– Nic. Pogadał chwilę z Rocco, a potem wyszedł. Ale wiesz, co to oznacza? Że stałeś się dla niego ważny. Zauważa cię. I to raczej nie jak ropień na dupie. Chyba że coś odjebałeś.

Szejk odsunął się ode mnie jak oparzony.

– Nic nie odjebałem. Gdzie jest Rocco?

– A gdzie może być?

Kogo jak kogo, ale Rocco z reguły łatwo było znaleźć na imprezie. Jeżeli nie wachał koks, najpewniej gził się w jednej z vipowskich salek albo robił coś tak idiotycznego, że nie dało się go nie zauważyć. Tym razem nawet nie musiałem szukać, ponieważ gdy tylko zbliżyłem się do stolika, przy którym chuligani ładowali dragi, Rocco zerwał się na równe nogi i doskoczył do mnie w kilku tanecznych krokach. Jego nosowe problemy musiały minąć. Albo – co bardziej prawdopodobne – postarał się o nich zapomnieć.

– Podobno Demon mnie szukał – powiedziałem, uprzedzając jego ruch.

– Tak? – Rocco wyglądał na zaskoczonego. – Może. Trzeba by jego zapytać. – Rozejrzał się po lokalu, strzelając wzrokiem w poszukiwaniu Demona, którego już dawno tam nie było. Uwaga Rocco była równie rozproszona jak jego szczeka, która nie zatrzymywała się nawet na chwilę. – Studiujesz prawo, nie?

– Studiowałem. Zawaliłem drugi rok. Nie wiem, czy warto to ciągnąć.

Rocco machnął ręką.

– Nieważne. Skoro studiowałeś, to pewnie coś tam wiesz. Znasz się na rozwo-  
dach?

– O tyle, o ile.

– To dobrze. Muszę się rozwieść z moją starą. Jak najszybciej i jak najtaniej.

– To twój pomysł czy jej?

– A skąd miałbym wziąć czas, żeby się zajmować takimi bzdurami? – Rocco szeroko się uśmiechnął. – Ostatnio wróciłem do domu zdrowo najebany. Władowałem się do wyra i od razu usnąłem. Starej zajeżdżało rybą, więc odchyliła kołdrę, obejrzała moją łyntę i porobiła zdjęcia. Poszła z nimi do jakiegoś konowala i teraz twierdzi, że od walenia kogo popadnie dostałem rzeżączki.

– A dostałeś?

– Nie wiem. Sam oceń.

Rocco miał na sobie luźne dresy. Wystarczył mu ułamek sekundy, aby wyciągnąć sprzęt.

– Nie znam się. Nie jestem lekarzem, więc...

– Spójrz, kurwa!

W klubie było ciemno, a ja nic nie wiedziałem o chorobach wenerycznych. Nie miałem pojęcia, czy Rocco coś dolegało. Może tak, może nie. Ale że nie chciałem się zbyt długo gapić na jego fiuta, którym i tak skupił na nas uwagę kilkunasu osób, pokiwałem głową.

– Rzeżączka? – zapytał.

– Tak mi się wydaje. Boli cię?

– Piecze jak skurwysyn. – Rocco wreszcie wciągnął spodnie. – Od dłuższego czasu nie pukam się ze starą. Nie staje mi na jej widok. Znudzila mi się. Czy na tej podstawie może zarzucić mi zdradę?

– Teoretycznie tak. Ale praktycznie to kiepski dowód. Zawsze możesz powiedzieć, że złapałeś bakterię w publicznym kiblu, a nie od...

– Walenia w dupę innych kobiet. – Uśmiechnął się. – To dobrze. Będziesz mnie bronił.

– Nie mam uprawnień.

– To znajdziesz kogoś, kto ma, i pokierujesz nim tak, żeby było dobrze. – Rocco klepnął mnie w ramię, a ja się poczułem, jakby ktoś mnie osrał. Jakbym zanurkował w cysternie z gównem. – Przypomniałem sobie, czego chciał od ciebie Demon. – Włożył rękę do kieszeni spodni. Po chwili wręczył mi telefon. Nokii 3310. – Masz z niego nigdzie nie dzwonić, ale zawsze noś go przy sobie. Demon ma dla ciebie nową rolę. Chce, żebyś był jego łącznikiem. Oczami, uszami i ustami. Prawą ręką. Ale taką, która otwiera drzwi i przytrzymuje fiuta przy szczaniu, a nie mówi, jak trzeba żyć. Kumasz? – Nie do końca kumałem, ale potwierdziłem. – I powiedział, że masz nie rzucać studiów.

– Skąd wie, że to rozważam?

– On różne rzeczy wie. – Rocco powiódł wzrokiem za kuso ubraną dziewczyną, która przemknęła obok nas. – A teraz pójde sprawdzic, czy moje pęto jeszcze działa.

Chwilę trwało, zanim pozbyłem się z głowy wizji dalszej części wieczoru w wykonaniu Rocco. A żeby to zrobić, musiałem się napić. Wychyliłem przy barze kilka kolejek, rozmawiając trochę z Szejkiem, a trochę z jakimiś przypadkowymi widzowiakami, którzy bredzili coś na temat argentyńskiej kultury kibicowskiej. Miałem już iść do domu, gdy natknąłem się na Aźmiego.

– Jak się masz? – zapytał.

– Dobrze – odparłem, odruchowo wymacując kciukiem blizny we wnętrzu dłoni. – Ale jestem zjebany po całym dniu, więc śmigam do chaty.

– Nie zostaniesz do końca meczu?

– Nawet nie wiem, jaki jest wynik. Pewnie jak większość osób w lokalu.

W krótkim śmiechu Aźmiego wychwyciłem nutę sztuczności. Coś się między nami zmieniło, odkąd dostaliśmy zadanie od Demona. Nasza więź się zerwała. Wiedziałem, że to nie Aźmi mnie wystawił, ale odkąd o tym pomyślałem, czułem podskórnie, że byłby w stanie to zrobić. Że tli się w nim pokusa, aby przeskoczyć mnie w hierarchii. W końcu kiedy budowaliśmy pozycję na osiedlu i pomagał mi w walce z Nogim, sam go przekonywałem, że żadna władza nie jest dana raz na zawsze. Nie mogłem oczekiwać, że będzie dożywotnio akceptował moje zwierzchnictwo. Zwłaszcza w takim świecie jak ten: bez jasno określonych reguł, bez norm etycznych, bez skrupułów.

– Rozmawiałem z Demonem – powiedziałem.

– I co?

– Długa historia. Musimy się ustawić, to ci opowiem.

– Jasne. Zadzwoń. Znajdziemy jakiś termin.

– A co u ciebie?

– Wszystko dobrze. Nawet lepiej niż dobrze.

Kiedy to powiedział, z damskiej toalety wyszła Kamila. Schowała błyszczący do torebki i podeszła do swojego faceta. Chwyliła go za twarz dłonią zakończoną kolorowymi tipsami, po czym złożyła na jego ustach mokry pocałunek. Dopiero wtedy zauważyłem, że Aźmi trzyma w rękach dwa kufle piwa. W tym jedno z so-kiem.

– Pamiętasz Kamilę? – spytał.

Oczywiście, że pamiętałem. Przyglądała mi się w identyczny sposób jak wtedy, kiedy do niej zarywałem, a ona nie miała nic przeciwko moim zalotom. Jednocześnie próbowała całym ciałem przylgnąć do Aźmiego. Jakby chciała wzbudzić we mnie zazdrość.

– No jasne. Nie zapominam osób, którym muszę tłumaczyć, jak bardzo nienawidzę Legii. – Roześmialiśmy się. Śmiech Aźmiego brzmiał jeszcze gorzej niż poprzednio. – Uciekam do domu. Bawcie się dobrze!

– Na pewno nie zostaniesz? – spytał kurtuazyjnie Aźmi.

– Na pewno. Na razie.

– Zaczekaj. – Kamila odkleiła się od Aźmiego, który ruszył w stronę bawiącej się ekipy, i zanurkowała do torebki. Wyjęła różowy długopis. – Daj rękę.

– Co?

– No daj.

Westchnąłem. Nie lubiłem takich gówniarskich gierek. Ale jeszcze bardziej nie znosiłem tracić czasu, więc spełniłem jej prośbę. Kamila chwyciła mnie za palce, a następnie odwróciła moją dłoń wnętrzem do góry. Ignorując blizny, naba-zgrała na niej dziewięć cyferek.

– Czyj to numer? – zapytałem.

– Zadzwoń, to się przekonasz.

Odprowadziłem ją wzrokiem, a potem po raz ostatni zerknąłem na telewizor. Galatasaray przerznął jeden do sześciu. Ale jakoś nie potrafiłem się wczuć w smutek jego kibiców.

## 16.

Bycie oczami, uszami i ustami Demona oznaczało po prostu załatwianie za niego spraw. Ogarnianie chuligańskich tematów, dogłądanie biznesów, spotykanie się z ludźmi. Jeżdżenie po mieście, sprawdzanie, analizowanie propozycji. Gadanie, gadanie i jeszcze raz gadanie. Z pracownikami Widzewa, menedżerami klubów nocnych, najważniejszymi dilerami oraz całą masą opłacanych przez nabojkę ludzi, którzy pomagali gangusom kręcić lody: od osiedlowych działaczy przez menedżerów pracujących w łódzkich korporacjach po drobnych przedsiębiorców.

Każdego dnia zbierałem dziesiątki informacji, które najpierw przekazywałem demonom, a niedługo potem Brennerowi, poszerzając policyjną wiedzę na temat najpotężniejszej grupy przestępczej w mieście. Ale cały czas brakowało mi najważniejszego. Dowodów. Jednoznacznych świadectw tego, że Demon i jego ludzie mają na koncie wiele ciężkich przestępstw. I nawet gdybym przez cały czas jeździł po mieście z pełnym okablowaniem, to z podsłuchów niewiele by wyniknęło. Dostaliśmy bowiem jasne wytyczne, w jaki sposób mamy rozmawiać z ludźmi o interesach. Obowiązywał zakaz wspomniania o czymkolwiek, co by kryminalizowało nabojkę. Nie wolno było otwarcie mówić o narkotykach, prostytucji ani ustawkach. A przede wszystkim nie należało wspominać o Demonie. Był jak cholerny Lord Voldemort.

Przez obsesyjną ostrożność Demona z niektórymi ciemniakami trudno było się dogadać. Nie rozumieli slangu, nie łapali aluzji, czasem byli tak skrupowani sytuacją, że nie mogli znaleźć języka w gębie. Na szczęście w razie problemów mogłem liczyć na pomoc nowego kolegi z pracy.

– Wiesz, dlaczego Demon to robi? – zapytałem.

Wiewiór odwrócił się w moją stronę. Przytrzymał mnie wzrokiem. Chwilę później nieco zbyt gwałtownie wyrwał ze światła swojego dwudziestoletniego sababa.

– To niekończący się sprawdzian – odparł. – On cały czas weryfikuje, czy nadajesz się do tej roboty. Ze mną robi to samo. I z pozostałymi chłopakami również. Dlatego nikt w pełni nie kuma, jak działa ta organizacja.

– Nawet zarząd?

– Nikt – podkreślił. – Demon uznał, że relacje wewnątrz organizacji powinny być tak zagmatwane, aby nawet najbystrzejszy śledczy nie był w stanie ich zrozumieć. Jak w węźle gordyjskim. Podobno wziął to z jakiejś teorii matematycznej.

– Węzeł zawsze można przeciąć.

– Ale do tego potrzebny jest Aleksander Wielki.

Pracowaliśmy razem od kilku tygodni, ale to była prawdopodobnie najdłuższa rozmowa, jaką odbyliśmy. Ponieważ musieliśmy się produkować w rozmowach z tymi wszystkimi matołami, których spotykaliśmy, nie przeszkadzało mi to, że Wiewiór przez większość czasu milczy. Pod wieloma względami byliśmy do siebie podobni. Introwertyczni, uparci, konkretni, nastawieni na cel. Być może Demon też to zauważył i właśnie dlatego nas sparował.

– Mogę o coś zapytać?

Wiewiór spojrział na mnie, jakbym zaproponował mu kolację przy świecach.

– I tak byś zapytał, prawda?

– Ale nie o to.

Zatrzymaliśmy się przed kolejnym skrzyżowaniem. Wiewiór wrzucił na luz.

– Teraz to mnie zaintrygowaleś. Wał.

– Byłeś kiedyś psem?

Przez kilka bardzo długich sekund Wiewiór milczał, patrząc przed siebie. W końcu ruszyliśmy. Jeszcze gwałtowniej niż poprzednio.

– Dawno temu – odparł w końcu, po czym opuścił do połowy szybę i zapalił papierosa. – Nie miałem wyboru.

– Zawsze ma się wybór.

Potrząsnął głową.

– Mój stary był esbekiem. I tak jak wielu esbeków chłał, nie radził sobie z władzą, miał ciężką rękę, szczególnie wobec słabszych. A potem zachorował. Kiedy zaczął go zżerać rak, spokorniał. Stał się bardzo religijny. Chodził do kościoła, słuchał Radia Maryja, ciągle głądził o Bogu. I oczywiście nieustannie się modlił. Najczęściej o to, żeby dzieci nie poszły w jego ślady i nie trafiły do psiarni. A ja marzyłem wyłącznie o tym, aby go jak najbardziej wkurwić. Ale potem, po kilku latach w drogówce, znalazłem na to jeszcze lepszy sposób. – Wiewiór uśmiechnął się na to wspomnienie. – Skąd wiedziałeś?

– Nie wiem. Chyba masz w sobie coś z psa.

– Zabawne.

– Co?

– To samo kiedyś pomyślałem o tobie.

Gdy czułem na sobie ciężkie spojrzenie Wiewióra, przyszło mi do głowy, że być może to on stanowi dla mnie największe zagrożenie. Facet, z którym od dłuższego czasu spędzam po kilkadziesiąt godzin tygodniowo. Znający mój rozkład dnia, nastroje, reakcje. Uważny, spostrzegawczy, niegłupi. A na dodatek posiadający policyjne doświadczenie.

Musiałem odepchnąć od siebie tę myśl. I jak najszybciej zmienić temat.

- Długo już to robisz? – zapytałem.
- Za długo. Można powiedzieć, że jestem z nim od początku. Odkąd Demon przejął władzę.
- I nie dostałeś się do zarządu?
- To nie takie proste.
- Dlaczego?
- A coś ty się nagle taki ciekawski zrobił?
- Zawsze byłem. Ale nie zawsze to okazuję.
- To albo bardzo dobrze, albo bardzo niedobrze.
- Ty mi powiedz.
- Ciężko westchnął.
- Żeby wejść wyżej, musisz się zasłużyć dla organizacji. I zrobić coś, czym jednoznacznie go zapewnisz, że może się z tobą dzielić najbardziej wrażliwymi informacjami. Coś, po czym nie będzie już odwrotu. – Ściągnął ostatniego macha i zgniół niedopałek w popielniczce. Zamknął okno. – Tylko od ciebie zależy, czy wejdiesz do tej rzeki. W końcu, jak sam powiedziałeś, każdy ma jakiś wybór.

\* \* \*

Nie mogłem przestać myśleć o słowach Wiewióra. Słyszałem plotki, że trzeba mieć na koncie głowę, aby wejść do zarządu nabojki, ale uważałem to za miejską legendę. Najpewniej wymyśloną przez samego Demona, mistrza manipulacji i budowania wizerunku. Ale kiedy usłyszałem o tym z ust człowieka znajomego i rozumiejącego nabojkę na wylot, jednego z najbliższych ludzi Demona, nie miałem prawa w to wątpić.

Zresztą było to do bólu logiczne. Demon zabezpieczał się w ten sposób przed zbliżeniem się do człowieka, który w każdej chwili mógłby go wystawić i pójść na układ z policją. Już samo usiłowanie zabójstwa wykluczało możliwość zostania świadkiem koronnym. Praktycznie gwarantowało przynajmniej kilka lat pierdła, nawet przy niezłym adwokacie, dupowatym prokuratorze i łagodnym sędzi. Ale Demon, człowiek absurdalnie przezorny, nie zadowoliliby się próbą pozbawienia życia albo współudziałem w zabójstwie. Interesowała go wyłącznie pełna pula.

W zarządzie nabojki były cztery osoby. Każda z nich – nie licząc Demona, o którym nic nie dało się stwierdzić ze stuprocentową pewnością – miała przynajmniej jedno życie na sumieniu. To także oznaczało, że jeśli chciałem się dostać naprawdę blisko Demona, musiałem...

– Idziesz? – spytał Wiewiór, widząc, że jeszcze nie odpiąłem pasów.

Rozejrzałem się, by zorientować się, gdzie jesteście. Róg Rojnej i Szczecińskiej, niedaleko zajezdni autobusowej. Kiwnąłem głową i po chwili wysiedliśmy

z auta.

Byliśmy przed czasem. Wiewiór wyciągnął fajki. Stałem obok i mimowolnie wdychając gryzący dym, patrzyłem na otaczającą nas niską zabudowę, którą wypełniały dwa sklepy spożywcze, gabinet lekarski, solarium i mało zachęcająca knajpa z polską kuchnią, w której umówiliśmy się na spotkanie. Pastelowe budynki obrastały brudem. Każdy z nich szpeciły elkaesiackie bazgroły widoczne na ścianach, roletach i drzwiach.

– Co jest? – spytał Wiewiór, wyczuwając moje zmieszanie.

– Nie podoba mi się tu.

– Mnie też nie. To teren żydów, więc nie ma się co dziwić.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– Jest tu... nie wiem. Za spokojnie. Za cicho. Wiem, że to zadupie Teofilowa, ale mimo wszystko nadal jesteście w mieście.

Wiewiór spojrział w kierunku oddalonego o kilkanaście metrów przystanku, na którym siedziała tylko jedna osoba: staruszka kurczowo ściskająca torbę i niecierpliwie spoglądająca w stronę, z której powinien nadejść autobus.

– Załatwmy to szybko. – Wyrzucił peta pod nogi i ruszyliśmy do knajpy.

Lokal prezentował się z grubsza tak, jak się spodziewałem. Kilka czteroosobowych stolików, fototapety ze zwierzętami gospodarskimi na tle sielskiego krajobrazu, krótki drewniany bar z dwoma nalewakami do piwa. Do tego dwudziestoletnia kelnerka bujająca się w rytm eskowego hitu. I jeszcze smród starego oleju, który skutecznie zabijał apetyt. Knajpa była pusta, więc usiedliśmy w rogu sali, jak najdalej od kuchni. Dziewczynie, która zapewne miała nadzieję na pierwsze od dłuższego czasu zamówienie, oznajmiliśmy, że wstrzymamy się z wyborem jedzenia do czasu przyjścia znajomych. Choć prawda była taka, że nawet gdyby nas łamali kołem, to nic byśmy tam nie zjedli.

Ledwo zdążyliśmy ściągnąć kurtki, gdy do lokalu weszli elkaesiacy. Najpierw zobaczyliśmy dwóch goryli, tak wielkich, że ledwo zmieścili się w drzwiach. Zaraz za nimi przydreptał Śledziu, spasiony lider nabożki ŁKS Warriors. A potem zjawiła się ona. Caryca. Odpicowana jak na wiejski festyn, nienaturalnie pobudzona, otoczona powłoką nietykalności i pewności siebie.

Wiedzieliśmy, że jedziemy pertraktować z wrogiem, ale nikt nas nie uprzedził, że spotkamy się z liderami warriorsów. Nie byliśmy na to gotowi. Nie mieliśmy pojęcia, na co możemy sobie z nimi pozwolić. Za to i ja, i Wiewiór byliśmy doskonale świadomi, że jeśli damy ciała, to spotka nas dotkliwa kara. Albo z jednej, albo z drugiej strony.

– Zamknij lokal – rzucił Śledziu do barmanki charakterystycznym rżącym głosem. – I przynieś nam po schabowym.



Przywitali się z nami wyłącznie wrogimi spojrzeniami, bo jako przedstawiciele chulikańskiej opozycji najwyraźniej nie zasługiwaliśmy na uścisk dłoni. Caryca w żaden sposób nie zasygnalizowała, że się znamy. Być może prowadziła dziesiątki rozmów z takimi ludźmi jak ja. A być może zapomniała napomknąć o naszym niewinnym rendez-vous swojemu tłustemu partnerowi.

– Rozbierzcie się – rozkazała Caryca. – Do majtek.

Liczyliśmy się z tym, więc choć nie było to przyjemne, bez marudzenia spełniliśmy jej polecenie. A potem pozwoliliśmy gorylom przetrzepać nasze ciuchy i zajrzeć nam w gacie – w końcu tam też mogliśmy ukryć urządzenia nagrywające. Kiedy orzekli, że jesteśmy czyści, ubraliśmy się i zajęliśmy miejsca przy stole. Wszyscy z wyjątkiem ochroniarzy, którzy swoimi wielkimi cielskami w znacznej mierze przysłonili jedyne okno w lokalu.

– Kilka miesięcy temu wydarzyło się coś zarazem bardzo dobrego i bardzo niedobrego – zaczęła Caryca. Między napompowane kwasem hialuronowym usta włożyła cienkiego papierosa, zapaliła go i rozparła się na krześle. – Cypel to kawał chuja, który od kilku lat wykorzystywał nas do kręcenia własnych lodów. Spotkała go za to zasłużona kara, do której wasz szef podobno się przyczynił. Problem w tym, że Cypel miał także sporo kontaktów, które pomagały nam w interesach. A teraz przepadły razem z nim. W efekcie rynek praktycznie wysychł i wszyscy na tym tracą. Również wy. Zresztą gdyby było inaczej, pewnie byśmy się dzisiaj nie spotykali. Mam rację?

– Powiedzmy – mruknąłem, po czym zerknąłem na Wiewióra. Miałem nadzieję, że mnie poprze. Że dorzuci coś od siebie. On jednak tylko zapalił kolejnego papierosa. Razem z Carycą jeszcze bardziej zasmrodzili lokal, choć nie sądziłem, że to możliwe.

– Skoro źródło wyschło, trzeba albo poczekać, aż się zregeneruje, co może chwilę potrwać, albo stworzyć nowe – kontynuowała Caryca. – Jako że nie jesteśmy zbyt cierpliwi, wybraliśmy to drugie rozwiązanie. Pojeździliśmy po kraju, popytaliśmy, rozpuściliśmy wici. I w końcu znaleźliśmy rozwiązanie naszego wspólnego problemu.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Na razie mogę zdradzić tylko tyle, że jeden z naszych ludzi znalazł źródło. Wystarczająco duże, żebyśmy mogli zaopatrzyć miasto na święta. Ale nie możemy go eksploatować samodzielnie, bo koszty byłyby niewspółmierne do korzyści. Dlatego potrzebujemy partnera. Najlepiej z drugiej strony barykady, żeby trudno go było z nami skojarzyć.

– Rozumiem. Czego oczekujecie?

– Skoro my oferujemy pomysł i kontakty, wy musicie dać swoich ludzi i sprzęt. Towarem dzielimy się fifty-fifty. Rozprowadzamy go tak jak zawsze: my osiedla, wy centrum i podmiejskie pipidowy. – Caryca zerknęła na Śledzia, który przez

większość czasu w trakcie jej wywodu tępo wpatrywał się w plastikowe menu. Gdy wreszcie podniósł łeb i przytaknął, ponownie skupiła się na nas. – Macie jakie pytania?

Czekałem na reakcję Wiewióra, który prowadził większość tego typu rozmów. Ale tym razem milczał, jakby mu sparaliżowało język. Widząc jego zestrachaną twarz, zrozumiałem, że on też musiał co nieco słyszeć o Carycy. I że muszę przejąć pałeczkę, jeżeli nie chcemy wyjść na kompletnych idiotów.

– Przedstawiłaś to tak, jakbyśmy mieli być waszymi podwykonawcami, a taka rola nie bardzo nam odpowiada – powiedziałem. – Poza tym skoro bierzemy na siebie koszty, wykonanie i ryzyko, a dodatkowo kładziemy na szali nasze relacje z innymi grupami, podział fifty-fifty nie wydaje się zbyt sprawiedliwy.

Caryca długo mi się przyglądała. Miała lekko rozbawiony wzrok. Jakby przez pogardę, którą żywiła wobec demonów, nie była w stanie potraktować nas zupełnie poważnie. Albo nie mogła się powstrzymać od drwiny ze mnie. W końcu gdybym kiedyś przyjął jej ofertę, dzisiaj siedziałbym z nią po jednej stronie stołu, zamiast robić pod siebie na myśl o tym, jak może się skończyć to spotkanie.

– Przekażcie szefowi, że jeśli chce uzyskać lepsze warunki, musi się zobaczyć z nami osobiście.

– On rzadko się spotyka z ludźmi.

– To już jego problem.

Kiedy kelnerka przyniosła żarcie, Caryca spojrzała na nią jak na śmiecia, a następnie na jej oczach zgasiła peta w mizerii. Najwyraźniej nie była głodna. Coś nas zatem łączyło.

– Niezależnie od tego musimy się rozliczyć za Cypla – powiedziała.

– Mówiłaś, że jego zniknięcie było wam na rękę.

– Wcale tego nie powiedziałam. – Caryca uśmiechnęła się pod nosem. – Powiedziałam, że Cypel nam bruździł. Dużo wiedział o naszej działalności. Za dużo. A teraz zaczął sypać. Psy zdążyły już zholować kilku naszych chłopaków.

– Kilku, kurwa, dobrych chłopaków – rzucił Śledziu, pochylając się w moją stronę ponad talerzem ze schabowym.

– Musimy sobie zrekompensować poniesione straty – dodała Caryca.

Nie zdążyłem zapytać, jak to sobie wyobraża. Bo zanim ja wydobyłem z siebie głos, zrobił to Wiewiór. Przeraził mnie zawył po tym, jak Śledziu sięgnął po widelec i zamiast nadziać na niego schabowego, wbił go w sam środek dłoni rudzielca.

– Co wy, do kurwy...

Nie dokończyłem. Na ramionach poczułem żelazny uścisk jednego z goryli. Wyciągnął mnie zza stołu niczym manekina, a następnie cisnął mną o ścianę. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, była przypominająca tarkę podeszwa buta, który zadziwiająco szybko zbliżał się do mojej twarzy.

Milczenie może być kojące. Może być długie, nużące, męczące. Może być kłopotliwe i krępujące. Może być zagadkowe. Może być także upokarzające i nasączone wstydem, bardziej niż jakiegokolwiek ze słów.

– Nikt nie może się o tym dowiedzieć – oznajmił Wiewiór. – Absolutnie nikt.

Zapatrzony w owiniętą papierowymi ręcznikami dłoń Wiewióra, która brzdziła krwią tapicerkę jego auta, pokiwałem głową.

– Co powiemy Demonowi?

– Nic. Tylko tyle, ile musi wiedzieć o ich ofercie.

– A jeśli zapyta cię o dłoń?

– Coś wymyślę.

Odniosłem wrażenie, że dziura w dłoni była najmniejszym zmartwieniem Wiewióra, tak jak i mnie umiarkowanie martwiły podbite oko, opuchnięta warga i potężny ból głowy. Nie wiem, co jeszcze mu zrobili, ale coś musieli. Kiedy siedziałem na podłodze, pilnowany przez wielkoluda, który na chwilę pozbawił mnie świadomości, Śledziu, Caryca i drugi z silnoręczkich oprawiali Wiewióra na zapleczu. A że nie miał na twarzy śladów walki, musieli zrobić mu coś, czego na pierwszy rzut oka nie widać. Coś, co prawdopodobnie zostaje w psychice znacznie dłużej niż zwykły wpierdol. Coś, co sprawiło, że wstydził się o tym mówić. Coś, co przywołało najmroczniejsze wspomnienia z zakamarków mojego umysłu.

Wiewiór nie był w stanie prowadzić, więc odwoziłem go na Olechów. Tam mówiłem taksówkę i wróciłem do siebie. Po drodze zahaczyłem o aptekę i kupiłem proszki przeciwbólowe, które w kolejnych dniach miały być podstawowym składnikiem mojej diety. Wysiadłem pod klatką i wdrapałem się na swoje piętro. Włożyłem klucz do zamka. Dopiero kiedy go przekręciłem, zorientowałem się, że ktoś czai się na półpiętrze powyżej.

– Spokojnie – powiedział Karol, wyłaniając się z mroku. – To tylko ja.

– Nie strasz mnie. – Odruchowo złapałem się za serce. Już dawno przekroczyłem dopuszczalną dzienną dawkę emocji. – Prawie się zesrałem w gacie.

– Na widok brata?

– Raczej zjawy.

Weszliśmy do środka. Zaproponowałem Karolowi herbatę, ale odmówił. Zamiast tego poprosił o popielniczkę. Kiedy wręczałem mu pustą butelkę po piwie, uważnie mi się przyjrzał, ale z jakiegoś powodu nie zapytał, dlaczego wyglądam, jakbym wpadł pod podciąg. Być może nie musiał.

– Nie mam twojego aktualnego numeru – powiedział. – To chyba dziwne, że bracia nie mogą do siebie zadzwonić.

– Zawsze możemy się złapać na Facebooku – odparłem.

– Ale tego też nie robimy.

– Uważasz, że to moja wina?

– Twoja, moja, nie wiem. Może żaden z nas nie jest winny. Może to biologia warunkuje nasze decyzje. Trudno żebyśmy mieli pretensje do informacji zapisanych w kodzie genetycznym.

Polknąłem dwie aspiryny, popiłem je wodą i z brzękiem odstawiłem butelkę na stół.

– Sorry, ale jeśli przyszedłeś filozofować, to wybrałeś wyjątkowo kiepski moment. – Wycelowałem palcem w swoją opuchniętą twarz. – Miałem niewielką awarię i najchętniej odstawiłbym się do zajezdni.

Karol ekspresowo wypalił szluga i wrzucił niedopałek do prowizorycznej spioły. Przez dłuższą chwilę nerwowo bębnił palcami w butelkę. Cokolwiek zamierzał powiedzieć, nie przychodziło mu to łatwo.

– Potrzebuję drobnej pomocy – wypalił w końcu. – Chodzi o twójego kumpla. Pawła Jończyka.

– Ażmięgo?

– On nie lubi, kiedy się tak na niego mówi.

– Nie zauważyłem. Pewnie już nawet nie pamięta, skąd się wzięła ta ksywka.

– Pamięta. Ale to nieistotne. Chodzi o to, że jakiś czas temu wzięłem od niego trochę dragów na kreskę. – Karol zamilkł, czekając na mój komentarz. Ale jego narkotykowe problemy chyba przestały robić na mnie wrażenie, ponieważ nie uraczyłem go nawet krytycznym spojrzeniem. – Nie dam rady oddać hajsu w terminie.

– Dużo mu wisisz?

– Nieważne. Zwrócę wszystko, co do złotówki, ale potrzebuję na to więcej czasu.

– Powiedz mu to.

– Wolalbym nie.

– Bo?

– Mój ziomek kiedyś wisiał mu hajs. W dniu, w którym miał go zwrócić, zadzwonił i powiedział, że nie da rady. Poprosił o dodatkowy tydzień. Ażmi się zgodził. Ale potem najwyraźniej się rozmyślił, bo dwa dni później jakieś chamy złamały chłopakowi nos. A że podobno najlepiej jest się uczyć na cudzych błędach, wołałbym nie powtórzyć tego scenariusza.

– Przecież Ażmi cię nie dojedzie. Znaie się od lat.

– Tamtego typu też dobrze znał.

– Ale ty jesteś moim bratem. – Zdziwiłem się, jak pompatycznie to zabrzmiało. Jak sztucznie. Jak obco. – Ureguluję twój dług.

– Nie chcę zapomogi, tylko żebyś z nim pogadał. Potrzebuję dodatkowego tygodnia na spłatę długu.

– Spokojnie, załatwię to.

Karol zaśmiał się pod nosem.

– Tak jak załatwiłeś sobie pozycję w nabojce? Napierdalając kolesia pod kościołem?

Nie byłem zaskoczony tym, że Karol wie. Przez pewien czas pół osiedla o tym trąbiło. Ale zdziwiłem się, że wyciągnął to przeciwko mnie.

– Jeżeli masz problem z tym, co robię, to po cholere tu przyłazłeś?

– Sam nie wiem. Może się przećpałem i doznałem chwilowej niepoczytalności.

– Najwyraźniej.

– Następnym razem przyjebię tak, żeby nie było czego zbierać.

– Śmiało. Matka będzie zachwycona.

Karol niemal wybiegł z mieszkania, a ja spokojnie podreptałem za nim, aby zamknąć drzwi. Nawet się nie zdenerwowałem. W końcu nie zrobił niczego, czego bym się po nim nie spodziewał. Właściwie sądziłem, że odstawi większą dramę: z tłuczeniem szkła, z trzaskaniem drzwiami, a przede wszystkim z wyzwiskami, które naprawdę bołą.

Tamtego dnia zdałem sobie sprawę, że go skreśliłem. Nie dawałem Karolowi żadnych szans na wyjście na prostą. Na rzucenie dragów i głównianego towarzystwa. Na zrobienie czegoś zgodnie z oczekiwaniami, a nie jak zawsze na przekór.

Być może postąpiłem nieco pochopnie. Ale gdy pęka ci głowa, a w ustach wciąż czujesz metalowy posmak krwi i strachu, trudno trafnie ocenić, jak głęboko drugi człowiek tkwi w główne. Nawet jeśli to ktoś, kto powinien ci być szczególnie bliski.

## 17.

– Cześć. – Bałem się, że numer, który przez kilka dni nosiłem zapisany na wnętrzu dłoni, zanim na dobre wrył mi się w pamięć, będzie nieaktywny. A kiedy pojawił się sygnał, bałem się, że osoba po drugiej stronie nigdy się nie odezwie. – Poznaliśmy się na meczu Widzewa z Legią. W pubie przy stadionie. Nazywam się...

– Pamiętam – przerwała mi Asia. – Skąd masz mój numer?

– Od Kamili. Dała mi go kilka tygodni temu.

– I dopiero teraz dzwonisz? Coś się stało?

– Nie. Po prostu... Co robisz w najbliższą sobotę?

Aby się nauczyć współpracy z Brennerem, o ile w ogóle było to możliwe, naczytałem się o pracy policyjnych przykrywkowców. Tak, wiem, nie byłem jednym z nich, ale lubiłem tak o sobie myśleć. Tym bardziej że w gruncie rzeczy wykonywaliśmy podobną pracę; z tą tylko różnicą, że za moją płacili gangsterzy, a na koniec dnia mogłem skończyć w pasiaku. W każdym razie dowiedziałem się, że na przykrywkowców najczęściej wyznacza się policjantów z dobrze poukładanym życiem osobistym. Mających żonę, dzieci, dom. Niepijących. Stabilnych emocjonalnie. Odpowiedzialnych. Krótko mówiąc: tych, którzy mają coś do stracenia. Dzięki temu wiedzą, na ile mogą sobie pozwolić w tej robocie. Potrafią we właściwym momencie powiedzieć „pas”.

Dla wielu przykrywkowców głównym motywatorem w pracy jest mityczny powrót do normalności. Tęsknota za domowym ciepłem. Za rosółem, ziemniakami i schabowym. Za wieczorami przy winie i pod kocem. Za weekendowymi spacerami po parku. Za wszystkim, co nie ma związku z gangusami, narkotykami, przestępstwami i policją. Świadomość, że jest gdzieś coś takiego, sprawia, że wykonują swoją robotę, a potem – na ile to możliwe – starają się o niej zapomnieć. To COŚ pozwala im toczyć dwa równoległe, rozdzielne życia, które nie mają ze sobą żadnych punktów styku. To COŚ często jest jedyną szalupą ratunkową dla ich poturbowanej psychiki.

– Sorry, ale nie dam się wyciągnąć na kolejny mecz – powiedziała Asia. – To było najgorzej spędzone sto osiemdziesiąt minut w moim życiu.

– Mecz trwa dziewięćdziesiąt.

– Doliczyłam dogrywkę w pubie. Czulałam się tam jak na spędzie barbarzyńców.

– Wierz mi lub nie, ale dobrze znam to uczucie. W każdym razie w lidze jest przerwa zimowa, więc z okołopiłkarskich rozrywek został tylko bar. Ale właści-

wie chciałem zaprosić cię na spacer.

A co, jeśli takiej szalupy nie ma? Jeśli policjant nie zdołał jej zbudować? Nie zdążył wykreować swojej normalności? W takiej sytuacji przede wszystkim powinien zostawać przykrywkowcem. Ale jeżeli już jakimś dziwnym zrządzeniem losu do tego doszło, musi jak najszybciej wypłatać się z tej roli. A jednocześnie zacząć konstruować łódź ratunkową.

– Spacerów też nie lubisz? – spytałem.

– Spacerory są w porządku. Ale mnie zaskoczyłeś. I tym telefonem, i tą propozycją.

– Chyba poznałaś mnie wyłącznie z gorszej strony. Ostatni raz niesłużbowo byłem na imprezie jeszcze w liceum.

– Chcesz powiedzieć, że śpiewanie wulgarnych piosenek o policji to część twojej pracy?

– W pewnym sensie. To długa i skomplikowana historia. Kiedyś ci ją opowiem.

Nie zbuduję normalności, opierając się na rodzicach. Oni należą do mojego przeszłego życia. Niezależnie od tego, jak bardzo ich kocham, zawsze będą stanowić element nieprzystający do normalności. Nie zbuduję jej także na gruzach relacji z bratem, który mnie nienawidzi i którego w ogóle nie rozumiem. Nie zrobię tego też na zrębach życia, które niefrasobliwie konstruowałem, zanim przytrafił mi się przypał. Mogę ją stworzyć jedynie na nowym gruncie. Niezabrudzonym. Nieskażonym mną. Dziewiczym.

– Dlaczego zadzwoniłeś akurat teraz, tydzień przed świętami?

– Pomyślałem, że będziesz miała trochę wolnego.

– Przecież nawet nie wiesz, czym się zajmuję.

– Coś tam wiem.

– No tak, Kamila ma długi jęzor. Wygląda na to, że twój kumpel również.

– Kamila nie opowiadałaby o tobie, gdyby Paweł jej o to nie poprosił. A on nie zawracałby swojej dziewczynie gitary, gdybym naprawdę nie chciał się czegoś o tobie dowiedzieć.

– Dlaczego tak ci na tym zależy?

– Nie wiem. Po prostu czuję, że gdybym się do ciebie nie odezwał, tobym tego bardzo żałował.

Normalność muszę zbudować szybko. Zanim to dziwne życie całkowicie mnie zdominuje. Zanim zatracę się w nim do tego stopnia, że przestanę dostrzegać alternatywy.

– Zastanowię się – powiedziała Asia.

– O nic więcej nie proszę.

– Niczego nie obiecuję. Nie nastawiaj się.

– Za późno.

Kiedy nasze śmiechy się splotły, tak że ciężko było je odróżnić, wiedziałem, że się spotkamy. Chwilę później byłem już tego pewien. Pomyślałem, że powinienem dobrze zapamiętać ten ponury grudniowy dzień. Być może będzie początkiem czegoś nowego.

Ale żeby tak się stało, najpierw musiałem uporządkować stare sprawy.

\* \* \*

Demon był ekscentrykiem. Ale jak każdy gangster potrafił liczyć pieniądze. I mimo że twierdził, że jest inaczej, musiało go boleć to, że na rynku narkotycznym panuje susza, nawet jeżeli w dużej mierze sam był za nią odpowiedzialny. Dlatego choć nie podobał mu się układ zaproponowany przez warriorsów, przystał na ich propozycję. I tym razem zamierzał doprowadzić akcję do skutku.

Żeby tak się stało, mieliśmy się spotkać z elkaesiakiem, który wymyślił całe przedsięwzięcie. Umówiliśmy się z nim w Sroczku, wiosce położonej jakieś trzydzieści kilometrów na południe od Łodzi. Facet stwierdził, że dopiero tam będzie się czuł stuprocentowo bezpiecznie. Początkowo miałem tam jechać z Wiewiórem, ale w ostatniej chwili Demon zmienił zdanie. Zwolnił blokadę maszyny losującej, a ta wypluła dobrze mi znaną kulkę.

– Oglądałeś *Chłopców z ferajny*? – zapytałem.

– Ze trzy razy – odparł Ażmi, biorąc spory łyk napoju energetycznego, po czym wetknął puszkę w plastikowy uchwyt.

– A pamiętasz scenę z imprezy świątecznej? Tę, w której Jimmy opieprza ludzi za afiszowanie się z kasą po skoku?

– No raczej. De Niro był tam zajebisty.

– Poszczęściło ci się ostatnio?

Wskazałem palcem efektowny czarny płaszcz Ażmiego.

– Ostatni raz poszczęściło mi się na domówce w gimnazjum, gdy jedna ze starszych dziewczyn bardzo chciała się pukać, a ja okazałem się jedynym kolegą, który jeszcze nie zezgonował. – Spojrzał na mnie tak, jakby chciał wydlubać mi oczy. – To prezent świąteczny, który sam sobie sprawiłem. Nie jestem dziwkusem. Nie zamierzam całe życie poginać w dresie.

– Tylko nie mów tego przy chłopakach.

– Mam ich w dupie. W przeciwieństwie do nich bywam w innych miejscach niż siłownia, klub czy stadion.

– Na przykład?

– Na przykład w restauracji.

– Bujasz się z Kamilą po knajpach?



Ażmi niemal popłuł się ze śmiechu.

– Jeszcze mnie nie pojechało, żeby płacić za dupę, którą już wyrwałem.

Zamierzałem trochę pomęczyć go o Kamilę, żeby przy okazji dowiedzieć się czegoś o Asi, ale tym komentarzem wybił mi ten pomysł z głowy. Zacząłem więc szukać tematu zastępczego. Czegoś neutralnego. Nieszkodliwego.

Ale chyba nie wybrałem najlepiej.

– Widziałem się ostatnio z Karolem.

Ażmi posłał mi długie, badawcze spojrzenie.

– Co u niego?

– Trudno powiedzieć. Na pewno dalej ćpa.

– Wspominał o mnie?

– Powiedział, że wisi ci kasę. I że nie da rady oddać w terminie. Chciał, żebym z tobą pogadał.

Ażmi zaśmiał się pod nosem.

– Zabawne, bo ja z kolei chciałem, żebyś to ty z nim pogadał.

– O czym?

– O nim. O jego odpierdalaniu. Z tego, co wiem, nie jestem jedyną osobą, której zalega z hajsem.

– Dużo ci wisi?

– Kilkanaście klocków.

– Sporo.

– To skumulowany dług z dwóch zakupów. Karol bierze towar w hurcie, a potem w magiczny sposób go przepuszcza. Mam tylko nadzieję, że na jakichś grubyh bibach, a nie w domowym zaciszu.

– On raczej nie jest typem imprezowicza.

– Tym bardziej powinienes z nim pogadać.

To nie jest tak, że miałem Karola zupełnie w dupie. Po prostu zmagalem się z tak wieloma własnymi problemami, że nie chciałem brać na siebie jeszcze jednego. Brenner miał rację: każdy jest kowalem swojego losu. Kilka lat wcześniej przeciwstawiłem się tej zasadzie, biorąc na siebie odpowiedzialność za głupotę brata. Ta decyzja zmieniła moje życie. Na gorsze. Zdecydowanie na gorsze. Nie chciałem ponownie popełnić tego błędu.

Jedyne, co mnie uwierało, to że to ja wkręciłem Ażmiego w świat dilerki. To ja mu przez dłuższy czas gwarantowałem dostęp do towaru. To na znajomości ze mną zbudował swoją pozycję na ośce. A skoro tak, w jakimś stopniu pomogłem w degrengoladzie Karola.

Ale czy gdybym nie miał z Ażmim nic wspólnego, Karol byłby czysty? Wątpię.

Dotarliśmy do Srocka chwilę przed trzynastą. Zaparkowaliśmy na betonowym placu przy remizie strażackiej. Mieliśmy stąd doskonały widok na kościół. Krótco po naszym przyjeździe rozpoczęła się msza. Przez kilka minut wsłuchiwaliśmy się w dobiegające ze świątyni śpiewy, a potem całą uwagę skupiliśmy na dziwnym chłopaku, który kierował się w naszą stronę. Pstrokata kurtka, hip-hopowe spodnie z krokiem na wysokości kolan, czapka jak zdjęta z garnka.

– Co to za pajac? – spytał Ażmi.

– Obawiam się, że to dla niego tu przyjechaliśmy.

Chłopak pozdrowił nas szerokim uśmiechem i jakimś niezrozumiałym gestem, po czym władował się do samochodu.

– Siema, mordy! – wypalił na powitanie, a następnie przywitał się z nami czymś pomiędzy uściskiem dłoni a wymachiwaniem różdżką. – Sorry, że musicie się tu wlec, ale nie mogłem ryzykować, że ktoś mnie z wami zobaczy. Wiacie, rozumiecie.

– W porządku – odparłem. – Choć nie kumam, dlaczego nie mogliśmy się umówić gdzieś pod miastem. Na przykład w Zgierzu.

– Bo w Łodzi i okolicy, mordo, jestem całkiem znany.

– Z czego?

– Z muzyki, mordo, z muzyki. Jestem raperem.

Facet nazywał się Rafał Pociśzewski, ale kazał na siebie mówić Pocisk. Jak się później dowiedziałem, rzeczywiście był raperem. A przynajmniej przydupasem snującym się za kilkoma całkiem znanymi łódzkimi muzykami. Czasem pozwalali mu wystąpić w jakiejś zwrotce, pobując się na klipie albo wejść na scenę w trakcie koncertu. Tworzył też swoje kawałki, ale sądząc po jakości nagrań, liczbie wyświetleń na YouTube i samej nawijce, ego zdecydowanie przerastało talent Pociska. Zapadająca w pamięć ksywka prawdopodobnie była jego jedynym artystycznym atutem.

– A teraz wyobraźcie sobie, mordy, że facet o imieniu Charlie bardzo chciał mieć własną fabrykę czekolady. – Pocisk snuł swoją opowieść, jednocześnie skřejając jointa. – Oczywiście Charlie nie miał pojęcia o cukiernictwie. Ale na szczęście był zaradnym i niegłupim facetem, który potrafił się w życiu ustawić. Dlatego znalazł sobie cukierników: czterech kitajców, których wypatrzył w jakiejś zapyziałej budzie z sajgonkami w Częstochowie. Oni wprawdzie nie marzyli o fabryce, ale też chcieli się dorobić. A że kurczak gong bao sprzedawał się tak sobie, postanowili pomóc Charliemu. Obiecali, że nauczą się robić czekoladę, jeśli on zbuduje im fabrykę. Szybko się dogadali. Po paru tygodniach Częstochowa stała się uboższa o jednego chinola, ale bogatsza o leżącą pod miastem fabrykę czekolady. A potem, drogie mordeczki, zaczęły dziać się cuda. – Pocisk zrobił przerwę, aby pieczołowicie naślinić bletkę. – Okazało się, że czekolada z tej fabryki smakuje wybornie, a zakład ma całkiem spore moce przerobowe. Dzięki temu Char-

lie był w stanie zaspokoić potrzeby najróżniejszych amatorów słodkości. Kilku z nich tak się rozsmakowało w tych wyrobach, że po jakimś czasie zaczął piec swoje specjalne wyłącznie dla nich. I tym oto sposobem Charlie i jego kitajce zniknęły z wolnego rynku. Chcecie?

Pocisk zaproponował nam skręta, ale odmówiłem. Ażmi po dłuższym namyśle również.

– Skoro Charlie zniknął z mapy, to jak się o nim dowiedziałeś? – zapytałem.

– Jestem fanem dobrej czekolady. Na jednym z meczów miałem okazję uczestniczyć w degustacji wyrobu Charliego. Zasmakował mi, więc spytałem o producenta. A częstujący wygadał się na temat swojego dostawcy.

– Co dokładnie wiesz o Charliem i jego fabryce?

– Wszystko, czego potrzebujecie.

Pałac skręta, Pocisk opowiedział nam o fabryce metamfetaminy pod Częstochową, w której kilku Wietnamczyków harowało dla jakiegoś cwaniaka opychającego dragi czterem grupom kibicowskim ze Śląska. Opowieść była mocno chaotyczna i komplikowała się z każdym buchem, ale chłopak był doskonale zorientowany w tym, w jaki sposób działało chałupnicze laboratorium, jaki ma przerób i jak do niego dojechać. Wiedział o nim tyle, że musiał tam przynajmniej raz wpaść z wizytą.

– Dlaczego mamy tam wbić akurat teraz? – spytałem. – Skąd pewność, że Charlie będzie miał zapasy?

– Bo to ostrożny człowiek. Nie lubi robić zamieszania wokół zakładu, więc cała czekolada wyjeżdża stamtąd raz w miesiącu. Wic polega na tym, aby zjawić się chwilę wcześniej. Tak się składa, że wiem, kiedy to się wydarzy, ponieważ złożyłem u Charliego większe zamówienie.

Pocisk wyglądał na zadowolonego z siebie. I trzeba mu oddać, że nieźle to wykombinował.

– Ta czekolada naprawdę taka smaczna? – spytał Ażmi.

– Zajebista.

– Skąd ci kitajce wiedzą, jak robić kryształ?

– Bo lepienie kulek ryżowych, mordo, nie jest ich wymarzonym zajęciem. Zanim tu przyjechali, pracowali na jakimś uniwersytecie. Dwóch z nich było chemikami.

– Jak w *Breaking Bad*.

– Powiedzmy. Tyle że w wydaniu częstochowskim: po bożemu i na ubogo.

Pocisk miał nam jeszcze wiele do powiedzenia, ale już nie na temat planowanej akcji. Przez dłuższy czas zanudzał nas opowieściami o swojej rzekomej karierze muzycznej, hiphopowych groupies i niekończących się imprezach, a my z bliziej nieokreślonego powodu nie potrafilśmy mu przerwać.

– Wracacie do Łodzi, mordeczki? – spytał, kiedy ludzie zaczęli wychodzić z kościoła.

– Taki jest plan – odparłem.

– Mogę się z wami zabrać?

Odwrociłem się w jego stronę.

– To już się nie boisz, że ktoś nas zobaczy?

– Jeśli to sprytnie rozegramy, nic się nie stanie. Poza tym jestem zbyt zbakany, żeby wracać ze starą.

– Przyjechałeś tu z matką?

– Namówiła mnie na odwiedzinę u babki. Polazły na mszę w intencji czegoś tam. Nienawidzę przyjeżdżać na wieś, ale dawno mnie nie było, więc głupio było odmówić. – Pocisk zapadł się w fotel, zamilkł. – Ale to nie dlatego chciałem, żebyście...

– Zamknij ryj! – warknął Ażmi.

Jego wściekłość skutecznie uciszyła Pociska, który odezwał się do nas dopiero w Łodzi. I bardzo dobrze. Dzięki temu mogłem w spokoju przemyśleć jego plan. I zastanowić się nad wszystkimi rzeczami, które mogą pójść nie tak.

\* \* \*

– Co to właściwie znaczy, że Karol odpierdala?

Wysoki blondyn z zapadniętymi policzkami zaciągnął się tak, jakby chciał się pozbyć papierosa w kilku machach, co zresztą w gówniarskich czasach było jego popisowym numerem. Miał na imię Jurek, ale wszyscy mówili na niego Piroman, ponieważ ciągle powtarzał, że chce zostać strażakiem. W końcu dopiął swego. W liceum był najbliższym kumplem Karola. Razem wagarowali, odstawiali numery, ćpali. A potem razem wzięli się do dilerki.

– Po prostu płynie za mocno – odparł, stawiając stopę na ławce.

– To akurat można powiedzieć o każdym z waszej ekipy. Zdradź mi coś, czego nie wiem.

Jeżeli Piroman poczuł się dotknięty moją uwagą, nie dał tego po sobie poznać.

– Wszyscy działamy w podobny sposób: bierzemy towar w hurcie, sprzedajemy mniej więcej połowę, a resztę zachowujemy dla siebie i ziomeków. Czasem wystarczy klepnąć kilka większych dili, żeby wyjść na czysto i mieć darmowe jaramię, kreski albo piguły. Wystarczy pilnować proporcji i nie przeginać. Ale Karolowi rzadko się to udaje. W efekcie ciągle jest w plecy.

– Wiem. Rozmawiałem z Ażmim.

– Z nim akurat idzie się dogadać. No chyba że ktoś zachowuje się jak Patryk z Jagielki, który przyciął go na hajs, a potem jeszcze kozaczył na osiedlu.

– O tym też słyszałem.

– Problem w tym, że Karol zadłuża się u każdego. Nie tylko u znajomków. Nie tylko u gości z Widzewa.

– Kręci z żydami?

– Nie wiem, czy kręci, ale na pewno się u nich zaopatruje. – Piroman zgasił peta na desce pokrytej luszczącą się zieloną farbą. – A skoro notorycznie brakuje mu hajsu, musi coś dla nich robić. Przecież nie dają mu towaru na piękne oczy.

– Długo to już trwa?

– Problemy z dragami?

– Ze wszystkim.

Blondyn wzruszył ramionami.

– Zawsze ćpał najwięcej z całej ekipy. To on przesiadywał na Hyperrealu i podrzucał coraz to nowe pomysły, jak się nawalić. Zeżarcie gałki muszkatolowej było śmieszne, ale w ładowaniu przez tydzień mefedronu nie ma nic zabawnego. Według mnie już parę lat temu stracił nad tym kontrolę. Tyle że dawniej nie zaciągał długów u dziwnych ludzi i nie miał takich jazd w bani.

– Co masz na myśli?

Piroman ponownie sięgnął po szlugi. Ale gdy się zorientował, że został mu tylko jeden, schował paczkę z powrotem.

– Depresja, paranoje, napady lęku. Tyle wiem. Ale powinieneś z nim szczerze pogadać, żeby zyskać pełny obraz.

– Gdzie go znajdę?

Nie wiem, dlaczego akurat teraz zainteresowałem się losem Karola, skoro od dawna wiedziałem, że nie jest z nim najlepiej. Być może chodziło o perspektywę pierwszej prawdziwej randki. Albo o majaczące na horyzoncie święta. Albo o nadciągający skok na laboratorium metamfetaminy. Albo jeszcze o coś innego, co spowodowało, że chciałem być pożyteczny. Wyciszyć wyrzuty sumienia. Powąchać normalności. A udzielenie pomocy czarnej owcy w rodzinie wydawało się czymś słusznym, naturalnym i w moim zasięgu.

Wiele rzeczy świadczyło o tym, że Karol jest na równi pochyłej. Jedną z nich było to, że wprowadził się do mieszkania przy Piwnej, zapyziałej ulicy sąsiadującej ze zdominowaną przez ełkaesiaków Limanką. Wprawdzie Karol miał w dupie sport, ale i tak wyglądało to jak proszenie się o guza. Są takie miejsca w Łodzi, w których czujesz się źle, niezależnie od tego, ile masz lat, kim jesteś lub za kim jesteś. Z bramami, do których strach zaglądać. Z pomazanymi murami, podejrzanymi parkingami, zdewastowanymi śmietnikami. Z zaszczanymi, zaśmierdłymi, zapomnianymi klatkami schodowymi. Tonące we wszechogarniającej szaryźnie, która wysysa nie tylko barwy, ale i energię – ze wszystkiego wokół.

Na róg Limanowskiego i Pivnej dojechałem taksówką. Przebiłem się przez zapuszczone podwórko. Minąłem samochód z powybijanymi szybami i bez powietrza w oponach. Mógł tam stać od dobrych kilku lat. Wcisnąłem się do budynku i wdrapałem na drugie piętro. Załomotałem w drzwi, zza których dobiegały ostre rockowe riffy. Nagle muzyka ucichła. Ktoś podszedł do wejścia. Długo się wahał, zanim otworzył.

– Szukam Karola – powiedziałem, ujrawszy w progu potarganego chłopaka w przykrótkiej czarnej koszulce z nadrukowanymi żebrami w kształcie gitary.

– Ja, czyli kto? – wychrypiął dawno nieużywanym głosem.

– Brat.

Spojrzenie kolesia wyraźnie sugerowało, że musiał coś o mnie słyszeć. I raczej nie było to nic dobrego. Chłopak bez słowa zniknął w środku. Usłyszałem, że z kimś rozmawia. Po minucie drzwi otworzyły się ponownie i na korytarz niemal wyskoczył Karol.

– Chodź na dwór – powiedział. Zbiegł po schodach.

Dopiero gdy znaleźliśmy się na podwórku, miałem okazję mu się przyjrzeć. Podkrążone oczy, spierzchnięte usta, chude ramiona wciśnięte w brudną kurtkę i równie chude nóżki przebierające w solidnie znoszonym dresie. Wyglądał gorzej niż wtedy, kiedy spotkaliśmy się na rodzinnym obiedzie. Gorzej niż podczas niezapowiedzianej wizyty w moim mieszkaniu, kiedy prosił o pomoc w sprawie Ażmiego. Gorzej, niż go sobie wyobrażałem. Znacznie gorzej.

Nie mogąc dłużej patrzeć na wymizerowaną gębę brata, opuściłem głowę i skupiłem się na jego stopach wciśniętych w za duże japonki. Wtedy nieoczekiwanie zaczął się śmiać.

– Co cię tak bawi? – spytałem.

– To, że pamiętasz o mojej niechęci do pobierania krwi – odparł. – Wiesz, że nie mógłbym załadować w żyłę, więc obczajasz, czy nie kłuję sobie stóp.

– Wbrew temu, co ci się wydaje, nie wiem zbyt wiele o dragach.

– Aha.

– Poważnie. – Wycelowałem palcem w okno jego meliny. – Co to za gość?

Karol wyjął papierosa. Włożył jednego do ust, a następnie oparł się o murek, przy którym leżał kłosz szczelnie wypełniony petami, zapewne dawniej wiszący nad wejściem do budynku.

– Mój chłopak.

– Serio?

– A co, masz coś do pedałów? Tacy jak ty zawsze mają z tym problem.

– „Tacy jak ja”?

– Gan-gu-sy.

– Nie jestem żadnym gangusem. To... skomplikowane.

– No jasne. Obijanie mordy jako akt hedonizmu cyrenajskiego. Dzieciaki będą się uczyć o was na etyce.

Czasem zapomniałem, jak bardzo Karol potrafi być irytujący. Ale tym razem wiedziałem, jak się zachowa i w jaki sposób powinienem zareagować.

– Przyjdzie taki dzień, w którym opowiem ci o wszystkim. Wierzę, a nawet jestem pewien, że wtedy zmienisz zdanie na mój temat. Przystaniesz widzieć we mnie bandytę.

– To może chociaż pokaż mi zwiastun tej swojej transformacji. Dasz jakiś ma-lutki spoiler?

Potrząsnąłem głową.

– Później. Najpierw musisz się postarać dożyć do tego momentu. – Zadarłem głowę, chwytając wzrokiem stojącego w oknie rockandrollowca. Potem zbliżyłem się do Karola. Położyłem mu dłoń na ramieniu. – Idź na górę do swojego nowego przyjaciela, spakujcie najważniejsze rzeczy i zjedźcie na dół. Znajdę wam inne mieszkanie i pomogę spłacić długi. Zdobędę dla ciebie jakieś normalne zajęcie, żebyś nie musiał gonić towaru. A jeżeli będziesz chciał, załatwię ci odwyk. Ale musimy zadziałać tu i teraz.

Karol poruszył ramieniem, żeby strząsnąć moją dłoń.

– Wcale się nie martwisz tym, że ćpam. Martwisz się tym, skąd biorę towar.

– Przejmuję się wieloma rzeczami, o których nie masz bladego pojęcia. Kiedyś ci o nich opowiem, ale teraz po prostu musisz mnie posłuchać.

Karol się roześmiał.

– Wiesz, że jesteś niesamowicie protekcyjnym bucem?

– Zaufaj mi. Daję ci szansę na wyjście z tego gówna. Przyjmij ją, bo to *one way ticket*.

Karol, jeszcze bardziej rozweselony, rozłożył ręce, rozchełstując swoją cienką kurtkę.

– *One way, or another, I'm gonna find ya, I'm gonna get ya get ya get ya get ya!*

– Kurwa mać! Choć raz mnie posłuchaj.

Kiedy skończył błaznować, wrzucił peta do przepelnionego klosza i ruszył w kierunku klatki. Zanim się schował w budynku, ponownie chwyciłem go za ramię. Tym razem mocniej.

– Pomogę wam. Obiecuję. Zaczekam piętnaście minut.

Karol wciąż nie wyglądał na przekonanego. Raczej na nieufnego. Zdradzonego. Wkurwionego. Wyrwał się z mojego uścisku i ruszył na górę.

Spojrzałem na zegarek. Dałbym mu nawet dwie godziny, gdyby była taka potrzeba. Ale Karol zawsze podejmował decyzje szybko. I najczęściej nie takie, jakie

powinien. Nie łudziłem się, że tym razem będzie inaczej. Czuł do mnie zbyt duży żal. Chciałem jednak, aby miał świadomość, że go nie wystawiłem. Dlatego wyszedłem na środek podwórka, aby być dobrze widocznym z okien budynku. Cze-kałem.

Po dziesięciu minutach po raz pierwszy zerknąłem w górę. Po piętnastu za-mówiłem taksówkę. Po dwudziestu pięciu spojrzałem w górę po raz ostatni.

Kiedy ponownie znalazłem się na Piwnej, zobaczyłem dwa samochody. Jeden z nich należał do korporacji taksówkarskiej, do której przed chwilą zadzwoni-łem. Ale to ten drugi wzbudził moją ciekawość. Kiedy podszedłem, kierowca uchylił szybę.

– Niech zgadnę: braciszek ma cię w dupie – powiedział Brenner, któremu to-warzyszyło dwóch facetów w okularach. – Nie przejmuj się. My chętnie spędzimy z tobą czas. Pogadamy, może się nawet pośmiejemy. Zapraszam.

\* \* \*

Brenner i jego koledzy zabrali mnie na wycieczkę krajoznawczą po terenach zdo-minowanych przez elkaesiaków. Srebrzyńska, Biegunowa, Krakowska, Krzemie-niecka, Kowieńska. Wreszcie zatrzymaliśmy się na niewielkiej osiedlowej uliczce, kilkaset metrów od stadionu. Jeden z policjantów wyjął spod nóg srebrną walizkę, w której było od cholery sprzętu elektronicznego: pendrive’y, mikro-fony, przewody, karty, czipy, ładowarki.

– Spotykanie się z zaćpanym braciszkiem dzień przed taką akcją nie jest naj-lepszym pomysłem – powiedział Brenner.

– Na to nie ma dobrego momentu – odparłem, nie odrywając wzroku od za-wartości walizki. – Co wiesz o moim bracie?

– Że odpierdala.

– Ciągle to słyszę. A konkretnie?

– Do zeszłego roku był zwykłym szczurem, który kilka razy w miesiącu zaopa-trywał się w niewielkie partie, a większość towaru sam ładował. Teraz zaopatruje się częściej i w potężniejsze partie, przez co więcej sprzedaje i jeszcze więcej ła-duje. Wskoczył na nasze radary jako potencjalne zagrożenie albo szansa.

– Co to znaczy?

– Zadłużonego ćpuna trudno się prowadzi, ale stosunkowo łatwo można go przekabacić i uczynić informatorem. To nasza szansa. A zagrożeniem jest głów-nie dla ciebie i twojej misji. – Brenner spojrzał na mnie, a potem na siedzących z tyłu okularników. – To nasi spece od sprzętu. Mamy dla ciebie pluskwę na jutro.

– W tych ciuchach będziesz jechał? – spytał jeden z techników, ten od walizki.

– Nie wiem, nie zastanawiałem się nad tym. Jeśli trzeba, to tak.

– Zdejmij kurtkę.



Zrobiłem, o co prosił, a on wywłócił moją parkę na drugą stronę i uważnie obejrzał ją od środka. Po konsultacji z kolegą wyznaczył miejsce na wszycie podstuchu – kilkucentymetrowego dyktafoniku.

– To konieczne? – spytałem.

– Jeszcze pytasz po ostatniej akcji? – zdziwił się Brenner.

– Demon jest paranoicznie ostrożny. Każda taka rzecz może skrócić mnie o głowę.

– Zaszycę to w taki sposób, że nawet jeśli będą cię trzepać, to tego nie znajdą – powiedział technik, zabawiając się z igłą i kawałkiem czarnego materiału. – Coś takiego mógłbyś sobie równie dobrze włożyć pod język.

– Albo pod napletek. – Brenner szyderczo się uśmiechnął. – Nie pękaj. Będzie dobrze.

Nie byłem tego pewien. Największą szansę dostrzegałem w tym, że Demon raczej nie weźmie udziału w akcji, a żaden z jego przydupasów nie jest tak skrupulatny jak on.

– Daj mi swój telefon – powiedział drugi z techników.

– Po co?

– Wgram na niego apkę, dzięki której będziemy mogli dokładnie śledzić twoje położenie. Nawet gdy wyłączysz aparat.

– A jeżeli...

– Jeśli ktoś postanowi przejrzeć twój telefon, to jej nie znajdzie. Chyba że znacznie naprawdę głęboko grzebać w programach. Ale nawet wtedy nazwa i opis aplikacji niewiele mu powiedzą.

– Nie sraj żarem – włączył się Brenner. – Jeżeli będziesz pewny siebie i skupiony na akcji, nawet nie przyjdzie im do głowy, że możesz być kretem. To nie są uczniowie Hannibala Lectera, tylko osiedlowe tłuki, które dały się zmanipulować jednemu facetowi wyrastającemu ponad średnią.

Technicy potrzebowali około piętnastu minut, aby wszyć pluskwę i zainstalować aplikację. Kiedy skończyli, założyłem kurtkę z powrotem, a oni naszykowali radiotelefon i antenę.

– Pluskwa będzie zbierała dźwięki przez pięćdziesiąt godzin od teraz – wyjaśnił Brenner. – To zajebicie drogi i zajebicie czuły sprzęt, więc nie powinno być problemu z jakością, ale na wszelki wypadek wróć do domu piechotą, a my sprawdzimy, czy wszystko hula. Zresztą spacer dobrze ci zrobi.

– Tutaj? – wycelowałem palcem w szybę. – Pod stadionem Elksy?

Przypomniała mi się nasza wizyta na Galerze. Dzień, w którym po raz pierwszy ujrzałem Carycę. I w którym się dowiedziałem, że Brenner prawdopodobnie ma skłonności samobójcze. Przeszył mnie lodowaty dreszcz.

– Gdybyś wdał się po drodze w bójkę, moglibyśmy przetestować sprzęt w warunkach bojowych. Ale nie będziemy naciskać. – Żarty Brennera nie działały na mnie rozluźniająco. Wręcz przeciwnie. – Myśl pozytywnie. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, już jutro może być po sprawie.

Bardzo chciałem w to wierzyć. A jednocześnie bardzo w to wątpiłem.

## 18.

Jedni rozbijają skarbonki albo wyciągają kasę ze skarpet. Inni zadłużają się u bliższych i dalszych znajomych, opowiadając łzawe historie o dawno niewidzianych matkach lub dzieciach, które mogą nie dostać prezentu. Jeszcze inni desperacko dorabiają, kradną albo robią rzeczy, o jakie sami się nie podejrzewali.

Wszystkich ćpunów łączy jedno: choćby skały srały, muszą kupić dragi przed świętami. A my zamierzaliśmy im to ułatwić.

Umówiliśmy się na tyłach Bezsensowności. W miejscu, gdzie zazwyczaj podjeżdżały dostawczaki wypełnione kegamami, skrzynkami wódki czy sprzętem barowym, stał biały ford transit. Kiedy podszedłem do otwartej przestrzeni ładunkowej, Gabon omal nie zeskoczył mi na głowę.

– Fajny, nie? – spytał.

– Nie znam się na samochodach.

– Mojego kumpla. Ma małą firmę kurierską, która współpracuje z Poczta Polska. Tak się zajębiście składa, że naprawdę musi przewieźć jakiś towar do Częstochowy. Mamy na to kwity.

– Nic nam po kwitach, jeśli psy zobaczą, że wieziemy broń.

– Jaką broń? – Gabon popukał się w wielkie pomarszczone czoło. – Jedziemy na czysto.

– To co tu robimy?

– Wywalamy graty.

Zerknąłem w głąb przestrzeni ładunkowej. Samochód był mniej więcej w połowie wypełniony tekturowymi pudłami, zafoliowanymi paczkami i kopertami.

– Twój kumpel zgodził się, żeby to wyrzucić?

– Pod warunkiem, że jutro wszystko zwrócę. Ale to nie jest mój ulubiony kolega. – Powiedziawszy to, Gabon upuścił na ziemię paczkę z białoczerwoną nalejką z symbolem kieliszka. Nieprzyjemny brzęk szkła poharatał nam uszy.

– Po co nam taka wielka fura, skoro niczego nie zabieramy?

– Nie wiem. Miałem tylko ją załatwić.

Typowe. Gabon nie był zbyt dociekliwym facetem. Raczej takim, który robi swoje, nie pyskuje i zadowala się trocinami, jakie podsuwa mu życie.

Swoją drogą, wiecie, dlaczego tak na niego mówiono? Ponieważ miał nieproporcjonalnie długie ręce. Kiedyś jakiś cymbał chciał mu z tego powodu dokuczyć,

ale pomylił nazwę charakterystycznego gatunku małpy z jednym z państw Afryki. I tak już zostało.

– Jeździłeś kiedyś czymś takim? – spytałem.

– Nie, ale to nie ja będę prowadził.

– A kto?

Nie zdążyłem się nad tym nawet zastanowić, gdy usłyszałem radosny gwizd. Ażmi wyszedł przez zaplecze, a następnie podjarany jak nastolatek, któremu ojciec po raz pierwszy pożyczył kluczyki, wskoczył na fotel kierowcy. Był w swoim żywiole. Zazdrościłem mu tego szczeniackiego entuzjazmu. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek czymś tak się jarałem.

Już kwadrans później byliśmy w drodze. Ażmi prowadził, Gabon wpieprzał chińskie żarcie, którym zasmrodził kabinę, a ja siedziałem między nimi, umartwiając się przewidywaniem dalszego przebiegu tego dnia.

\* \* \*

Spodziewałem się, że przeprowadzając akcję w obcym mieście, z udziałem swoich ludzi, na kilka samochodów i przy wysokim poziomie ryzyka, Demon zorganizuje coś w rodzaju odprawy. Nic z tego. Byliśmy w połowie drogi do Częstochowy, mniej więcej na wysokości Radomska, a ja nadal nie miałem choćby mglistego pojęcia, w jaki sposób przeprowadzimy skok na laboratorium metamfetaminy ani jaką mam w tym odegrać rolę. I nie sądzę, żeby którykolwiek z uczestników akcji był ode mnie mądrzejszy.

– Co to za smród? – spytał zniesmaczony Ażmi.

– Pewnie z pola – odparłem, zerkając na poboczne sfatygowanej gierkówki.

– To nie z pola – wycedził Gabon przez zaciśnięte zęby.

Wielkolud wiercił się, dyszał i pocił jak pedofil w sklepie z zabawkami. Chwilę później usłyszeliśmy powtórkę tego, co kilka sekund wcześniej poczuliśmy.

– Sorry. Niedawno zmieniłem odżywki. No i ten chinol.

– Chinol nie chinol, jebie, jakbyśmy przewozili Rumunów na kipie – wypalił Ażmi, ale jego irytacja szybko przeszła w śmiech. – Zgruzowałeś się w gacie?

– Nie – odburknął Gabon.

– Na pewno? Brzmiało, jakby poszło z farszem.

– Nie zesrałem się.

– Może powinienes włożyć łapę w majtki i oblizać paluchy? Jeden gość zrobił taki numer w sądzie. Tyle że wcześniej wysmarował dupę nutellą. Sędzia wlepił mu niepoczytalność, zamiast posłać go do ciupy. Ty też mógłbyś tak zrobić, tyle że bez nutelli.

Gabon nie zareagował. Nie wyglądał najlepiej.

– Dobrze się czujesz? – spytałem.

– Nie. – Gabon położył rękę na brzuchu. – Muszę do klopa.

Po kolejnej śmierzdzącej serenadzie przestało nam być do śmiechu. Na szczęście niedługo później zobaczyliśmy znak drogowy z symbolem dystrybutora.

– To twój szczęśliwy dzień – powiedział Ażmi.

Albo nasz, pomyślałem.

Wkrótce potem zjechaliśmy z gierkówki. Zatrzymaliśmy się na parkingu na tyłach stacji benzynowej. Gabon, trzymając się za brzuch, wysiadł z auta i pokiwał w stronę sklepu. Poruszał się jak po ciężkim pobiciu. Albo jak po wazektomii. Lub po prostu: jak nasterydowany cham z rozwaloną gastrijką.

– Skoczę po energola i na szluga – oznajmił Ażmi, wyjmując kluczyki ze stacyjki. – Chcesz coś?

Potrząsałem głową.

– Wyjdę się przewietrzyć.

– Całą furę należałoby przewietrzyć. Zostawmy uchylone okna.

Kiedy Ażmi robił zakupy, a Gabon wypędzał z jelit Lucyfera, ja spacerowałem wzdłuż parkingu. Gapiłem się na kierowców, obladowanych hot dogami, batonami albo czekoladowymi mikołajami. Smród spalin, szum pojazdów i szarobury krajobraz zamazywał magię świąt, ale ludzie ewidentnie czuli, że coś się zbliża. Że za kilka dni odetchną. Obeżrą się daleko poza granice rozsądku, tocząc jałowe dyskusje przy stole. Pokłócą się, powyzywają, podąsają. Popiją i pośpią. Poruchają. Podenerwują na dzieci i jednocześnie pozachwycają ich natarczywą obecnością.

Coraz częściej zdarzało mi się marzyć o normalności. I gdy ponownie to zrobiłem, wydarzyło się coś bardzo dziwnego.

Tuż obok mnie przemknął Demon.

Nie zagadał, nie posłał mi wymownego spojrzenia, właściwie nawet na mnie nie spojrział. Zachował się tak, jakbyśmy byli sobie obcy. A przy okazji tak, jakby zupełnie nie dziwiła go moja obecność w tym miejscu. Wsiadł od strony pasażera do zaparkowanego w rzędzie aut passata, zapiął pasy i po chwili zniknął ze stacji.

W tym momencie sam poczułem magię świąt.

– Mogłeś powiedzieć, że coś chcesz – rzucił Ażmi, kiedy mijaliśmy się przy wejściu do sklepu.

– Idę się wylać – odparłem. – Zaraz wrócę.

Stałem przed kibelem. Kiedy Gabon wyszedł z kabiny, na jego twarzy malowała się taka błogość, jakby ktoś właśnie zrobił mu łaskę.

– Nie polecam. – Zarechotał. – Bardzo, kurwa, nie polecam.

Mimo to wszedłem do kabiny. Przez chwilę myślałem, że się porzygam, ale po kilkudziesięciu sekundach przywykłem do smrodu. Następnie wyjąłem telefon i wybrałem numer, na który pod żadnym pozorem miałem nie dzwonić.

– Demon tu jest – powiedziałem. – Widziałem go na stacji benzynowej na wysokości Radomska. Na sto procent weźmie udział w akcji. Co mam robić?

Słuchając odpowiedzi Brennera, nie mogłem przestać myśleć o tym, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, czekają mnie naprawdę udane święta. Pierwsze od bardzo, bardzo dawna.

\* \* \*

Zatrzymaliśmy się kilka kilometrów przed Częstochową na skraju mocno przereźzonego lasu i z dala od uczęszczanych dróg. Zmrok dawno już zapadł.

– Co teraz? – spytałem, mając złudną nadzieję, że Ażmi ma jakieś pojęcie o dalszym przebiegu akcji.

– Nic – odparł, wisząc na kierownicy. – Czekamy.

Mimo nieplanowanego postoju dotarliśmy na miejsce o czasie. Zdążyliśmy się wysikać, zjeść po batonie i pogadać o pierdołach, zanim z naprzeciwnika nadjechał samochód. Kiedy się zbliżył, zauważyłem, że to ten sam passat, którego widziałem na stacji. Z Demonem przyjechał Wiewiór, który zaparkował auto obok transita, wysiadł i zapalił szluga. Zbliżył się do nas, dając znak, abyśmy opuścili szybę.

– Co jest? – zapytał Ażmi.

– Zamieniamy się. Wy dwaj zostajecie, a ja wskakuję na jego miejsce. – Wiewiór wskazał mnie palcem.

– Po co? – wyrwało mi się.

Nie wiem, czy Wiewiór nie mógł powiedzieć, nie chciał, czy tak jak my nie wiedział, co ma się wydarzyć, ale zupełnie zignorował moje pytanie. Podobnie jak kilka innych, które zadawałem mu przy różnych okazjach od czasu naszego feralnego spotkania z elkaesiakami na Teofilowie. Nie sądzę, żeby miał do mnie żal, ale niewątpliwie budziłem w nim niepożądane wspomnienia.

Gabon wypuścił mnie ze swojej strony. Bez słowa przeszedłem obok Wiewióra i przez chwilę zastanawiałem się, gdzie mam usiąść. Ale wtedy ujrzałem Demona, który wskazał mi miejsce za kierownicą. Sekundę później wylądowałem u jego boku.

– Ustaw sobie fotel, lusterka i wszystko, czego potrzebujesz do jazdy – powiedział Demon, patrząc, jak transit odjeżdża. – Od tej pory będziesz prowadził to auto. Zachowuj się tak, jakby było twoje.

Pokiwałem głową.

– Gdzie mam jechać? – zapytałem.

– Nigdzie. Na razie masz się nie odzywać.

Milczeliśmy dobrych kilkanaście minut, i był to chyba najdłuższy kwadrans w moim życiu. Staralem się siedzieć spokojnie, ale nie potrafiłem zapanować nad emocjami. Mój wzrok skakał po całym samochodzie. Próbowałem dostrzec coś, co mogłoby mi zdradzić choćby rąbek planu Demona. Znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Jakąś zakodowaną informację. Ale jedyną rzeczą, jaka odbiegała od normy, wydała mi się książka wciśnięta we wnękę za skrzynią biegów.

– To *Król szczurów* Clavella – wyjaśnił Demon, dostrzegając moje wścibskie spojrzenie. – Opowieść o cwaniactwie, moralności i walce o władzę w sytuacji ekstremalnej. Pożyczę ci, jak skończę.

– Dziękuję.

– Lubisz czytać?

– Wolę filmy. Ale książki też czytam. W ramach higieny umysłu.

Skłamałem. Odkąd dałem się wciągnąć w ten chuligański syf, czytywałem wyłącznie kodeksy prawnicze albo smutne opowieści o przykrywkowcach, jedne i drugie od wielkiego dzwonu i w ramach pracy domowej. Nie miałem czasu na literaturę. A nawet jeśli się trafiała wolna chwila, byłem zbyt wypruty intelektualnie, emocjonalnie i fizycznie, żeby się bawić w składanie literek.

– Jaka jest twoja ulubiona? – spytał Demon.

– *Grona gniewu* Steinbecka.

Znowu skłamałem. Zamiast podać tytuł, który znam, z jakiegoś powodu wymieniłem ulubioną powieść Karola. Musiałem czym prędzej zrobić porządek w głowie, bo zachowywałem się kurewsko irracjonalnie.

– Niezła – odparł Demon. – Bardzo przygnębiająca, a przez to bardzo życiowa.

Na szczęście nie pociągnął wątku literackiego, dzięki czemu nie musiałem brnąć w błagę. Zresztą i tak nie było na to czasu, ponieważ na horyzoncie pojawił się kolejny samochód. Nadciągał z tej samej strony, z której przyjechaliśmy. A to oznaczało, że zapewne miała do nas dołączyć kolejna łódzka delegacja.

Auto zatrzymało się kilkadziesiąt metrów przed passatem. Z tej odległości nie dało się odczytać tablic rejestracyjnych ani stwierdzić, kto jest w środku. Po chwili drzwiami od strony pasażera wysiadł facet. Pożegnał pozostałych machnięciem ręki i ruszył w naszą stronę. Kiedy się zbliżył, rozpoznałem charakterystyczny luzacki chód Pociska.

– Siemano, mordeczki – powiedział, wsiadając do samochodu, a następnie nader entuzjastycznie się z nami przywitał. A właściwie ze mną, ponieważ Demon nie podał mu ręki. – Co jest, mordo? Robimy razem grubą akcję, a ty nawet nie zbijesz ze mną piątki? – Demon nie odpowiedział. Wciąż wgąbiał się w samochód, który próbował wykręcić na wąskiej szutrowej drodze. – Jeśli nie chciałeś, żebym tutaj był, trzeba było to rozegrać inaczej, mordo.

Kiedy samochód zawrócił, Demon odwrócił się do Pociska. Wyglądał na rozsierdzonego.

– Nie mów, kurwo, do mnie „mordo”. – Pocisk, zaskoczony tym agresywnym ping-pongiem słownym, na wszelki wypadek zamilkł. – Wysiadaaj – rzucił Demon, po czym przeniósł na mnie wzrok. – Ty też.

Zrobiliśmy, co kazał. Demon wysiadł razem z nami i podszedł do bagażnika. Wyjął z niego obszerną niebieską torbę z Ikei i rzucił ją na ziemię.

– Rozbierzcie się do majtek, a potem załóżcie te ciuchy – nakazał. – Są tam spodnie, koszulki i bluzy. Kurtek nie ma, ale nie będą wam potrzebne. Nie jesteście z waty.

– To konieczne, mor... – Pocisk w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Gdyby nie było, tobyście tego nie robili.

Rozebraliśmy się, a potem wskoczyliśmy w czarne drelichowe szmaty. Wyglądałem w nich jak połączenie kominiarza z hydraulikiem.

– A teraz włóżcie swoje ciuchy do torby. A także telefony, klucze, portfele, noże, zdjęcia matek. Wszystko, co ze sobą zabraliście. Jak już to zrobicie, niech jeden z was zanieś torbę do lasu.

Chyba powinienem się zaniepokoić tym, że Demon traktował mnie na równi z jakimś pajacem, który współpracował ze zniechęconym przez niego klubem. Ale to nie był dobry czas, żeby to roztrząsać. Miałem ledwie kilka sekund na wykombinowanie, czy jestem w stanie uratować wszyty w kurtkę dyktafon oraz telefon z aplikacją śledzącą. Bez choćby jednego z tych urządzeń cała moja misja nie miałaby sensu. Byłaby tylko nieudokumentowanym udziałem w poważnym przestępstwie.

Niestety nic nie wymyśliłem. Nawet nie wyniosłem torby do lasu, ponieważ uprzedził mnie spanikowany Pocisk.

– A teraz do samochodu – burknął Demon. – Mamy robotę do wykonania.

Mój świat zaczął się walić. A ja, zamiast spróbować go ratować, zastanawiałem się, jak nie dać tego po sobie poznać.

\* \* \*

Myślałem, że Demon potrzebuje Pociska, aby pokierował nas do laboratorium. On jednak zdawał się doskonale wiedzieć, gdzie jechać, i pewnie prowadził mnie po wertepach u podnóża lasu. Gdy dotarliśmy do kapliczki, za którą droga zaczynała się wznosić, kazał mi się zatrzymać, wyłączyć silnik i zgasić światła.

– To za tym wzgórzem, najwyżej kilkaset metrów stąd – wyjaśnił Pocisk, chociaż najwyraźniej nie było to potrzebne.

Demon odwrócił się w jego stronę.



– Wysiadaj.

– Znowu? Po co?

– Żeby pooglądać passata od tyłu.

– Zlituj się, człowieku. Przecież jest mróz.

– Plus trzy. Przestań się mazgać i wypierdalaj. Nie lubię się powtarzać.

Zerknąłem w lusterko wsteczne na Pociska. Spotkaliśmy się wzrokiem. Ani ja, ani tym bardziej on nie rozumieliśmy, o co Demonowi chodzi. I chyba obaj nie mieliśmy ochoty wgryzać się w ten pokręcony umysł, a już na pewno nie w tym momencie. Pocisk więcej się nie odezwał. Ubrany w strój, który w najlepszym razie sprawdziłby się w ciepły jesienny wieczór, wyszedł na zewnątrz.

– Podobno kiedyś chciałeś zostać prokuratorem – wypalił Demon, kiedy zostaliśmy sami.

Nie mam pojęcia, jak się tego dowiedział, ale uznałem, że nie ma sensu zaprzeczać.

– Dawne dzieje – odparłem.

– Dlaczego?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Podejrzewam, że było to przedłużenie dziecięcych marzeń o byciu bohaterem. Człowiekiem walczącym o sprawiedliwość.

– Musiały się ciebie długo trzymać te gówniarskie marzenia, skoro poszedłeś na prawo.

– Zawsze byłem bardziej naiwny od rówieśników. A ty kim chciałeś zostać?

– Tym, kim jestem.

– Szefem nabojki?

– Mężczyznę, którego inni mężczyźni muszą słuchać. Nawet jeśli są wielcy, brutalni i przekonani o swojej zajebistości. – Demon zerknął na zegar w samochodzie. Dwudziesta pierwsza piętnaście. – Dlaczego już nie chcesz być prokuratorem?

– Pytasz poważnie?

– A wyglądam, jakbym robił sobie jaja?

– Nie. – Zamilkłem. Myślałem. Szukałem sposobu, aby zabrzmieć wiarygodnie. – Zrozumiałem, że jako prokurator nie rozliczałbym się ze złem, tylko reprezentowałbym aparat państwowy. A ten nie zawsze ma rację i nie zawsze stoi na straży praworządności. Za to zawsze wymaga od swoich reprezentantów bezwarunkowego posłuszeństwa. A ja jestem zbyt krnąbrny, żeby robić głupie rzeczy.

Nie mam pojęcia, czy przekonałem go tą odpowiedzią. Wyglądał, jakby wcale nie był nią zainteresowany. Ani mną. Ani sytuacją, w jakiej się znajdowaliśmy.

– Nie ma czegoś takiego jak dobro i zło. Są tylko okazje, które można wykorzystać albo przeoczyć. – Demon przeniósł na mnie wzrok. – I jest przyroda, która

wymaga równowagi. Jej zaburzenia nigdy nie są trwałe. Prędzej czy później sytuacja zawsze wraca do normy. Środkuje się.

– Masz na myśli zaburzenia na linii my–policja?

– Na każdej linii. Chuligani i policja, Widzew i ŁKS, my i ludzie wykonujący niewolniczą pracę, zamiast złapać życie za mordę. Słyszałeś kiedyś o *ophiocordyceps unilateralis*? – Demon wypowiedział tę nazwę bardzo wolno i bardzo dokładnie, ale i tak za Chiny ludowe bym jej nie powtórzył. Pokręciłem głową. – To grzyb drapieżny. Jego zarodniki od milionów lat atakują mrówki, przejmując kontrolę nad ich ciałami. Zamieniają je w zombie. Zmuszają do opuszczenia mrowiska, wejścia na drzewo i wczepiania się żuwaczkami w liść. Potem mrówki zaczynają obumierać, aby pasożytujące na nich grzyby mogły urosnąć. A kiedy już to się stanie, wiatr rozdmuchuje zarodniki grzybów po dżungli, infekując kolejne ofiary. Im większa populacja danego zwierzęcia, tym więcej osobników się zarazi. W ten sposób przyroda dba o równowagę w ekosystemie, zapobiegając nadmiernemu rozrostowi jednego gatunku. – Demon ponownie sprawdził czas. Dwudziesta pierwsza dwadzieścia. – Z nami będzie dokładnie tak samo. Jeśli staniemy się zbyt duzi i zbyt pazerni, w którymś momencie zaczną wyrastać z nas grzyby, a my nie będziemy mieli na to żadnego wpływu.

– W takim razie dlaczego to robimy, skoro prędzej czy później i tak przegramy?

– Bo tak jest weselej.

Demon po raz pierwszy szczerze i nieskrępowanie się do mnie uśmiechnął. Ale nawet wtedy nie doszukałem się na jego twarzy choćby ułamka radości.

Chwilę później rozbrzmiał charakterystyczny dzwonek nokii 3310. Demon wyjął telefon. Odebrał. Po krótkiej rozmowie, w trakcie której wypowiedział najwyżej cztery słowa, rozłączył się, opuścił szybę i wychylił głowę.

– Wsiadaj, kurwiu. – Kiedy Pocisk w pośpiechu wrócił do auta, Demon zwrócił się do mnie. – Jedziemy. Pora zamieszać w ekosystemie.

\* \* \*

Myślałem, że Demon będzie chciał okrążyć wzgórze, za którym miało się znajdować laboratorium, ale on kazał mi pojechać w przeciwnym kierunku. Po pokonaniu kilkuset metrów zatrzymaliśmy się w szczerym polu. W zasięgu wzroku nie było żadnych zabudowań, dróg, punktów charakterystycznych. Niczego.

– Możesz wyłączyć silnik, ale nie gaś świateł – powiedział.

Tak też zrobiłem. A kiedy niedługo później z ciemności wyłoniły się cztery bladeżółte smugi, wysiedliśmy i ruszyliśmy w stronę nadjeżdżających samochodów. Pierwszym z nich był dobrze mi znany transit, z którego zaraz po zaparkowaniu wyłonili się Ażmi, Gabon i Wiewiór.

– Jak poszło? – spytał Demon.

– Podręcznikowo – odparł Ażmi, który z podekscytowania nie potrafił ustać w miejscu. – Zaskoczyliśmy ich, więc potrzebowali trochę czasu, aby się rozeznąć w sytuacji. Ale potem zaczęli chodzić jak w zegarku.

– Wszyscy?

– Prawie.

Ażmi wskazał brodą drugi samochód, który zatrzymał się obok transita. Z auta wysiadło czterech facetów. Trzech z nich kojarzyłem. Pojawiali się na meczach i w lokalach należących do nabojki. Zawsze milczący, ponurzy, groźni, gotowi wpięprzyć każdemu, kto ośmielił się na nich spojrzeć. Czwartego z mężczyzn nie znałem. Ale po jego rozbitej wardze i zakrwawionym nosie domyśliłem się, kim jest.

Charlie. Król czekolady. A teraz już właściwie były król.

Demon zbliżył się do niego na wyciągnięcie ręki. Lekko przekrzywił głowę. Oglądał kolesia jak niewyraźny obraz. Z kolei Charlie, ze swoją kędzierzawą czupryną, lalusiowatą gębą i zmrużonymi oczkami, z pokaznym bebzonem wystającym spod wypuszczonej ze spodni koszuli, z ubabranymi błotem i krwią cwelkami, wyglądał jak królewicz z bajki, którego omyłkowo wepchnięto do horroru.

– Chodź, coś ci pokażę – powiedział Demon.

Szef nabojki spokojnym, niemal flegmatycznym krokiem przeszedł na tył transita. Kiedy pozostali do niego dołączyli, otworzył drzwi. Ażmi, Gabon i reszta przygłupów nie mogli przestać się śmiać, gdy w morzu beczek, kanistrów, butelek, fiolek, pipet i całej masy laboratoryjnego sprzętu zobaczyli czterech przerażonych Azjatów.

– Co to, kurwa, ma być? – zachnął się Charlie.

– Nie poznajesz? – Demon posłał mu zdziwione spojrzenie. – To twoja dawna własność, która teraz należy do mnie.

Charlie chyba nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Zresztą sam miałem z tym problem. Sądziłem, że Demon oskubie go z towaru, pobije, ośmieszy i nastraszy. Ale nie przypuszczałem, że oprócz tego ukradnie jego laboratorium i siłę roboczą.

– Czy potrzebujecie tego człowieka, aby produkować narkotyki? – zapytał Demon, odwracając się do Azjatów.

Splóseni mężczyźni, wciśnięci między beczki i kurczowo trzymający sprzęt, chyba żeby nic się nie potłukło, w pierwszym odruchu nie zareagowali na jego słowa. Ale potem jeden z nich – ten, w którego Demon najintensywniej się wpatrywał – potrząsnął głową.

– Widzisz? – Demon ponownie skupił się na Charliem. – Oni ciebie nie potrzebują. I my, prawdę mówiąc, też nie.

Szef nabojki skinął głową jednemu ze swoich bydlaków, a ten w odpowiedzi uderzył Charliego w brzuch. Chwilę później z pomocą pozostałych goryli powalił go na ziemię i przygwoździł cielskiem do gleby.

– Co z nim? – zapytał przez zaciśnięte zęby, wgniatając Charliemu kolano w plecy i wykręcając rękę.

Demon popatrzył na Azjatów, potem na ich niedawnego szefa, a na koniec na swoje świnię.

– Palec – zawyrokował. – Albo nie. Dwa palce. Kciuki.

Charlie nie poddał się bez walki. Szamotał się, wierzgał, przeklinał. Ale w starciu z trzema napakowanymi chamami był bez szans.

Łatwość, z jaką go obezwładnili, a potem za pomocą obcęgów pozbawili dwóch palców, wprawiła mnie w osłupienie. Podobnie jak to, że nie zrobiłem absolutnie nic, aby temu zapobiec. Nie odezwałem się. Nie zaprotestowałem. Nawet się nie poruszyłem. Stałem zdjęty strachem i bezmyślnie gapiłem się, jak jedni gangsterzy uszkadzają ciało innemu gangsterowi.

Charlie do samego końca próbował być twardy. Ale w końcu jego wściekle, wojownicze okrzyki zamieniły się w żalodne wycie.

Kiedy karki się z nim uporały, Demon podszedł do Pociska, który wyglądał tak, jakby się zesrał w portki. Zapewne podobnie jak ja.

– Podnieście jego łeb – nakazał swoim chłoptasiom, a ci natychmiast wykonali jego polecenie, chwytając Charliego za czuprynę i zmuszając, aby spojrzał na Demona. – Ten koleś każe na siebie mówić Pocisk. Pewnie już o tym wiesz. Nie wiesz natomiast tego, że jest tutaj z własnej woli. To on cię sprzedał. Nie nam, tylko koleżkom z ŁKS-u, którzy postanowili wyruchać swoich kumpli i wejść z nami w układ. Tyle że to my ich wyruchaliśmy. Tak jak i ciebie. Ale pamiętaj, że twoje kciuki idą na konto tego piździelca i jego żydowskiej świty. – Demon odwrócił się do jednego z karków. – Oddaj mu telefon, żeby mógł zadzwonić po pomoc. Nie może się wykrwawiać jakiemuś wieśniakowi na polu. – Przytrzymał Charliego wzrokiem, a potem spojrzał na mnie. – Jedziemy. W takiej samej konfiguracji.

– A co ja mam, kurwa, zrobić? – zapytał Pocisk, który w przeciwieństwie do Charliego nie wstydził się swoich łez.

– Co chcesz. Możesz zostać tutaj albo pojechać z nami. Możesz też po prostu stać spierdalać. Jesteś wolnym człowiekiem.

Pocisk wybrał ostatecznie rozwiązanie. Zniknął, zanim załadowaliśmy się do fur.

Kolejne dwie godziny spędziłem sam na sam z Demonem. Zapomniałem, że zostawiłem w krzakach telefon i kurtkę. Że współpracuję z policją. Że tego dnia wszystko miało się skończyć. I że za kilka dni będą święta. Wracając do Łodzi, pamiętałem jedynie o tym, że muszę grać. Udawać gita, gangusa, zbója. Jednego

z nich. Że muszę każdym słowem, chrząknięciem, każdym małym gestem przekonywać, że nie jestem przerażonym frajerem.

**Część IV**

**KONFIDENT**

To było moje najgorsze Boże Narodzenie w życiu. Później przyszedł najgorszy sylwester. A po nim najgorszy Nowy Rok.

Każde z tych świąt spędziłem w samotności, głównie ślęcząc przy oknie i wypatrując, czy pod blokiem nie czają się na mnie jacyś smutni panowie. Kiedy raz na kilka dni wychodziłem do sklepu, wkładałem nienoszoną od lat puchową kurtkę, obszerną wełnianą czapkę i okulary przeciwsłoneczne, w których wyglądałem jak Unabomber. Staralem się jak najrzadziej wyrzucać śmieci, przez co korytarz zagracały trzydziestolitrowe worki z odpadami, a na lodówce piętrzyły się pudełka po pizzach. Nie odbierałem telefonów. A jeżeli już, skracalem rozmowy do minimum, jakby od samego słuchania czyjegoś gędzenia miało mi się przydarzyć coś złego.

Byłem strauumatyzowany i ogłupiony. Wykończony emocjonalnie. Złęczniony. Zgnojonny. Przegrany.

Chciałem zrobić wyjątek dla Asi, ale ona nie raczyła się do mnie odezwać. Ignorowała kolejne telefony i wiadomości. W końcu odpuściłem, żeby nie wyjść na stalkera. Zresztą i tak bym się z nią nie spotkał. No bo gdzie? Jak? Po co? Żeby jej powiedzieć, że jestem frajerem? Ni to psem, ni gangsterem, który boi się wyjść z domu? Żeby się jeszcze bardziej zbłaźnić?

Moim problemem była nie tylko nieudana akcja podsłuchowa. Większy kłopot stanowił Pocisk. Kiedy na drugi dzień po przejęciu laboratorium metamfetaminy wróciłem na to podczęstochowskie zadupie, aby zabrać swoje fanty, o których sobie przypominałem, dopiero gdy zawinęliśmy się już po wszystkich do Łodzi, okazało się, że ich nie ma. Tylko Demon i Pocisk wiedzieli, gdzie ich szukać. Ale jedynie ten drugi mógł mieć interes w tym, aby po nie przyjechać. A teraz zapadł się pod ziemię.

Oczywiście potrafiłem sobie wyobrazić co najmniej kilka powodów, dla których Pocisk się ukrył. Naraził się elkaesiakom, Charliemu i kilku grupom kibicowskim ze Śląska. Na jego miejscu wyjechałbym z kraju albo zaszył się gdzieś, gdzie nawet najbardziej zdeterminowani gangsterzy by mnie nie dorwali. Nie mam pojęcia, czy Pocisk znalazł dyktafon, który miałem wszyty w kurtkę, albo aplikację namierzającą w smartfonie. Być może zgarnął moje ciuchy z rozpadu, w stresie, z wyłączonym myśleniem. Tylko nie bardzo potrafiłem sobie wytłumaczyć, dlaczego kilka godzin po akcji telefon przestał działać. Jakby ktoś się zorientował, że może zostać przez niego namierzony.

Musiałem założyć, że Pocisk żyje i stanowi dla mnie zagrożenie. Tak jak to zrobili elkaesiacy, chuligani ze Śląska, a także Brenner i jego ludzie, którzy byli na mnie niemiłosiernie wkurwieni.

Cóż, *shit happens*.

W końcu, 6 stycznia 2014 roku, odważyłem się wyjść z domu. A w zasadzie nie tyle się odważyłem, co wyczerpałem limit wymówek, jakimi od wielu dni karmiłem Ażmiego, Wiewióra i Szejka. Pojechałem do bazy demonów przy Kilińskiego. W środku jak zwykle panował rozgardiasz: ktoś oglądał konkurs skoków narciarskich w Bischofshofen, ktoś kłócił się przez telefon z dziewczyną, ktoś skręcał jointy. Ażmi, który popijał piwko i cisnął na konsoli w *Need for Speed*, oznajmił na wstępie, że Rocco mnie szuka. I że wydaje się podenerwowany. I że najrozsądniej byłoby, gdybym od razu się z nim zobaczył.

Rocco był w pokoju sam. Przyglądał się przez okno dwóm nastolatkom, które siedziały na pobliskim murku, paląc na spółkę papierosa. Obok stojącego na stole laptopa piętrzyła się sterta zakrwawionych chusteczek. Rocco wyglądał na przybitego. Jak każdy, kto po dwóch tygodniach walenia w nos doświadcza bolesnego odpływu dopaminy.

– Podobno mnie szukałeś – powiedziałem.

Rocco niechętnie na mnie spojrział, a następnie ponownie przykleił się do szyby.

– Nienawidzę stycznia – mruknął. – Wiesz, że czeka cię kolejny gówniany rok. Bite dwanaście miesięcy chujozy. I jeszcze zaczynasz go od tego zimowego gówna. – Pokręcił głową. – Powinniśmy olać te chrystusowe dyrdymały i przestawić kalendarz. Rok mógłby się zaczynać i kończyć w lipcu. W święta wpięprzali byśmy karpia z grilla. Pływali w morzu. Ruchali się na plaży. Jeśli lepić pierogi, to na molo, kurwa, w Sopocie. A jak zaczynać kolejne dwanaście miesięcy, to z pałą wystającą z kąpielówek. – Zawiesił tyradę i przejechał dłonią po skroniach. – Wyjeżdżam na wakacje.

– Dokąd?

– A czy to, kurwa, ważne? – Rocco wytrząsnął z paczki papierosa. Zapalił. – Na Dominikanę. Wszyscy jeżdżą do Tajlandii, ale mnie nie kręcą laski z kutasami. Wolę czarnulki. Z dużymi cycami i jeszcze większymi dupami. Miałeś kiedyś czarną? – Zaprzeczyłem. – A ja miałem. Nawet kilka. Wiesz, jak się posuwa nastoletnią Murzynkę? – Rocco, chyba nie do końca świadomie, złapał się za krocze. – Jakbyś wkładał pykę w dzieło sztuki. – Zaczął się masować przez spodnie. Tym razem jak najbardziej świadomie. – Nasze dupy nie mają takich ciał. Dlatego muszą nadrabiać czymś innym. Najczęściej dobrymi chęciami i talentem do ciągnięcia druta.

– Szukałeś mnie – przypomniałem.



Upłynęło kilka krępująco długich sekund, zanim Rocco przestał się obmacywać. W końcu odsunął się od okna i skupił na mnie.

– Nie ja. Demon.

– Po co?

– Chce, żebyś przyszedł na spotkanie zarządu.

– Poważnie? – zdziwiłem się. – Kiedy?

– Nie wiem.

– To skąd mam...

– Nie wiem, kurwa, czy to jest dobry pomysł. Nie zasługujesz, aby tam być. Nawet jako wolny słuchacz. Ale on coś w tobie widzi. Pierdolisz się z nim?

– Co?

– Pytam, czy jesteście pedałami.

– Z nikim się nie pierdołę.

Niechący wyznałem Rocco więcej, niż zamierzałem. Paradoksalnie zadziałało to na moją korzyść, ponieważ chyba zrobiło mu się mnie żal.

– Dzisiaj – powiedział. – Właściwie teraz. – Ponownie wyjrzał przez okno. Na stolatki wciąż tam były. – Poczekaj na mnie w salonie. Za kilka minut do ciebie dołączę. Zamknij drzwi i powiedz tym głąbom, żeby tu nie włązili.

Wychodząc, widziałem, jak Rocco jedną ręką otwiera laptopa, a drugą rozpina spodnie.

\* \* \*

Dwie rzeczy nie podlegały dyskusji. Po pierwsze, byłem w mentalnej rozsypce, przez co byle gównno mogło mnie przestraszyć, wytrącić z równowagi albo wpędzić w jeszcze większego doła. A po drugie, naoglądałem się zbyt wielu filmów gangsterskich, zaczynając od klasyków w typie *Chłopców z ferajny*, *Dawno temu w Ameryce* albo *Człowieka z blizną*, a kończąc na mniej oczywistych produkcjach, jak *Prawdziwy romans*, *Rzeczy, które robisz w Denver*, *będąc martwym* albo *Przekręt*. Pewnie dlatego nawet przez chwilę nie pomyślałem, że ze spotkania z Demonem i jego świtą może wyniknąć coś dobrego. Wręcz przeciwnie. Byłem absolutnie pewien, że mnie tam zajebią, okaleczą, a w najlepszym wypadku zgnoją.

Zebrawi się w siłowni na Widzewie, która była nieformalną kuźnią chuligańskich kadr i popularnym miejscem schadzek gangusów. Pierwszy raz w życiu ucieszył mnie widok kilkunastu spoconych kolesi wymachujących żelastwem. Bo gdyby Demon planował mnie wykończyć, przecież nie chciałby mieć tyłu świadków.

Nie wdając się w żadne rozmowy, udaliśmy się z Rocco na zaplecze. Demon już tam był. Podobnie jak pozostali członkowie zarządu, czyli Skorpcion i Sub-

Zero, którzy uważnie mnie przetrzepali i pozbawili telefonu na czas spotkania.

– Siadaj – powiedział szef nabojski, wskazując dłonią jedyne wolne krzesło przy niewielkim stole zastawionym plastikowymi opakowaniami po jedzeniu. – Jest sprawa.

– Chętnie pomogę – odparłem.

– Przecież nawet, kurwa, nie wiesz, na co się piszesz – zadrwił ze mnie Rocco.

– Ufam, że nie wrzucicie mnie na minę.

– Nie powinieneś ufać ani mnie, ani jemu, ani nawet sobie – stwierdził Demon. – Warto ufać jedynie zdrowemu rozsądkowi. – Wstał, obszedł stół i schylił się po stojącą pod ścianą foliówkę. Położył ją na stole. Tak, abym mógł zobaczyć, co jest w środku. A przede wszystkim, abym mógł to poczuć.

– Co to, kurwa, jest? – spytałem, dusząc się od smrodu.

– Łeb dwuletniego labradora – odparł Rocco. – Znaleźliśmy go wczoraj w jednym z lokali.

– Ktoś nieuważnie oglądał *Ojca chrzestnego* – rzucił Sub-Zero, uśmiechając się pod nosem.

– Właściciel tego psa jest jednym z naszych najlepszych dilerów. – Demon ściągnął torbę ze stołu i odłożył ją w kąt. – Nie wiem, czy tu chodzi o mafijną symbolikę, czy może o coś innego. Wiem natomiast, że od czasu naszej pielgrzymki do Częstochowy ciągle przytrafiają nam się przykre incydenty. Jeden chłopak został przyłapano na dilerce, drugi miał niezapowiedzianą kontrolę skarbowki, a trzeciemu zabili psa. Za dużo tego, aby mówić o przypadku. Kryształ podreperował nasze finanse, ale jednocześnie pokazał, że mamy w swoich szeregach kogoś wyjątkowo niezyczliwego. I ktoś musi go znaleźć.

– Ja? – zdziwiłem się.

– A dlaczego nie? – Demon oczekiwał odpowiedzi. Odpowiedziałem więc wzruszeniem ramion. – Wszystkie problemy zaczęły się pojawiać po Częstochowie. A ty jesteś jedną z dziewięciu osób, które tam były.

– Może to on jest konfidentem? – rzucił Rocco.

– Być może. – Demon przytrzymał mnie srogim, ołowianym, oceniającym wzrokiem, po czym odwrócił się do swoich ludzi. – Głosujmy. Czy ktoś jest przeciw?

Rocco jako jedyny podniósł rękę. Tylko on miał odwagę sprzeciwić się Demonowi.

– Czyli cztery do jednego. Przegłosowane. – Demon ponownie skupił się na mnie. – Układ jest następujący. Albo znajdziesz konfidenta i natychmiast mnie o tym poinformujesz, albo uznam, że to ty nim jesteś. A wtedy cię odjemy.

Nerwowo pokiwałem głową. Układ był przerażający, ale na swój sposób uczciwy.

– Ile mam czasu?

– Trzydzieści dziewięć dni. Czternastego lutego gramy pierwszy mecz rundy wiosennej. Nie chcę, żeby ten śmieć pojawił się na stadionie.

Niewiele brakowało, żebym się roześmiał. Czternasty lutego. Walentynki. Po najgorszych w życiu świątach, sylwestrze i Nowym Roku byłoby całkiem logiczne, gdyby w walentynki rozwalili mi łeb.

– Masz jakieś pytania?

Tylko jedno chodziło mi po głowie.

– Dlaczego cztery do jednego?

Demon minimalnie się uśmiechnął.

– Mój głos liczy się podwójnie. Przywilej szefa. Poza tym dzięki temu zawsze mamy nieparzysty wynik. To bardzo ułatwia życie, kiedy trzeba podjąć niepopularną decyzję.

\* \* \*

Brenner rzadko się cieszył na mój widok, ale tym razem wyglądał tak, jakby chciało mu się rzygać. I to raczej nie przez zapach smażeniny wypełniający osiedłową budę z wietnamskim żarciem, do której ściągnąłem go w trybie pilnym.

– Mógł cię tylko straszyć – stwierdził.

– Mógł, ale nie musiał – odparłem. – Powiedział wprost, że mnie odjebią, jeśli nie wystawię im typa, który ich sprzedaje. To nie jest koleś, który żartuje z takich rzeczy. Zresztą on w ogóle nie żartuje.

– Tak czy inaczej, nie mamy tego na taśmie. Równie dobrze mógłby ci powiedzieć, że zestrzelił z procy samolot w Smoleńsku.

Odchyliłem się na oparcie krzesła. Przez chwilę wgapiałem się w oblepione sosem menu, na którym stała szklanka z colą. Myślałem.

– Nie zdobędę na niego nic twardego, jeśli mi w pełni nie zaufa. Ale jeżeli wystawię mu kreta, to Demon go zabije. – Spojrzałem na Brennera. – Musicie mi powiedzieć, kto to jest, a potem wycofać tego człowieka.

Policjant parsknął pod nosem.

– Trochę zbyt optymistycznie przyjąłeś, że to nasz człowiek.

– Przecież dostajecie informacje z samego jądra nabojki.

– Tak, ale spływają do nas anonimowo. Nie mamy pojęcia, kto donosi, ale na pewno sporo wie. To może być jedna z osób, które masz przeświecić. Facet nie jest szczególnie subtelny, dzięki czemu mamy z niego większy pożytek niż z ciebie.

– Co to znaczy?

– To, co słyszałeś. – Brenner z wyraźnym obrzydzeniem położył ręce na stole. – Rozmawiałem z prokuratorem. Poważnie rozważamy zakończenie z tobą współpracę.

– Teraz, kurwa?! – podniosłem głos. – Pogrzało was?

– Zrobiło się niebezpiecznie i nieprzyjemnie. A ty właśnie potwierdziłeś, że mam rację.

– Zerwiecie współpracę i co?

– Pamiętasz, jak na początku pytałeś o strategię wyjścia?

– Pamiętam, że nic mi nie chciałeś powiedzieć.

– Bo nigdy nie wiadomo, jak taka relacja się ułoży. Ale teraz sprawa jest jasna. Nie zrobiliśmy tego, na co się umówiliśmy, więc nie możemy postawić na wyjście numer jeden, czyli na bezbolesne wyciągnięcie cię z tego szamba i obsypanie kwiatami. W grę wchodzi tylko wyjście numer dwa. Znacznie mniej przyjemne. – Brenner ciężko westchnął. – Zostaniesz sam. Zapomnimy o tym, że cokolwiek nas łączyło. Oczywiście nie ukarzymy cię za to, co robiłeś za naszym przyzwoleniem, ale zaczniemy występować w przeciwnych drużynach. Od tej pory każdy przewał, na jakim cię złapiemy, skończy się dla ciebie pierdłem. Przeistoczysz się z myśliwego w zwierzynę.

To ciekawe, bo nigdy nie czułem się jak myśliwy. I nigdy nie byłem tak wściekły jak teraz.

– Wcześniej myślałem, że to, co każecie mi robić, jest głupotą – powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem. – Ale teraz, kiedy wreszcie pojawiła się realna szansa, żeby się dobrać tym bydlakom do dupy, głupotą byłoby z tego zrezygnować.

Brenner uniósł wysoko brwi. Nie wyglądał na przekonanego. Sam nie byłem pewien, czy wierzę w to, co mówię.

– Skąd ta nagła zmiana? – zapytał.

– Bo mam, kurwa, instynkt samozachowawczy.

Brenner pokiwał głową. Chyba trudno było mu z tym polemizować.

– Pewnie tego nie dostrzegasz, bo wydaje ci się, że już głębiej w dupę nie da się wejść, ale tak naprawdę wszyscy na swój sposób walczymy o przetrwanie – powiedział.

– Dlatego byłoby miło, gdybyście mi w tym nie przeszkadzali.

– Muszę pomyśleć.

– Lepiej się zastanów, gdzie jest Pocisk.

– Wiele osób go szuka.

– To niech szukają szybciej.

Dopiłem colę i poderwałem się z krzesła.

– A ty dokąd? – zdziwił się Brenner.

– Do pracy. – Wskazałem palcem menu. – Zamów sobie gong bao. Podobno nie robią ich z gołębi.

– Wolałbym zeżreć własną rękę.

– Byle nie tę, którą całymi dniami drapiesz się po dupie.

Wyszedłem. Nie zamierzałem kończyć naszego spotkania w tak dramatyczny sposób, ale musiałem dać Brennerowi do zrozumienia, że decyzja nie należy wyłącznie do nich. Za daleko to już zaszło. Bez względu na konsekwencje musiałem dokończyć to, co zacząłem. Musiałem dorwać Demona.

Albo on, albo ja. Nie było nic pomiędzy.

## 20.

Trzydzieści dziewięć dni to mnóstwo czasu. W trzydzieści dziewięć dni można opłynąć świat, zbudować formę na maraton albo – jak przekonują hochsztaplerzy z internetu – nauczyć się języka obcego. W trzydzieści dziewięć dni można także przeświecić grupę przestępców i ustalić, który z nich sprzedaje tajemnice nabojski. Tak przynajmniej uważał pan i władca Widzew Demons.

Po odrzuceniu siebie i Demona, który może i jest szalony, ale chyba nie donosiłby na swoich ludzi, zostało mi siedem osób. Trzy z nich niemal od razu wykluczyłem. Nie podejrzewałem, aby któryś z napakowanych przydupasów Demona mógł go sprzedać. Byli mu bezwarunkowo oddani. Gdyby kazał im zjeść gówno, zjedliby gówno. A gdyby kazał roztrzaskać czaszkę jakiemuś lamusowi, zrobiliby to bez zająknięcia. To charakterniacy, którzy swoje odsiedzieli i wystarczająco dużo w życiu widzieli, aby rozumieć, czym mogłaby się skończyć dla nich zdrada. Poza tym byli zbyt głupi na wplątanie się w coś takiego.

Z pozostałą czwórką miałem problem.

Gabon wydawał się zwykłym kafarem, którego w pierwszym odruchu przyprowadziłem do tej samej grupy co przydupasów Demona. Coś mnie jednak tknęło. Jakieś przecucie, że stać go na więcej. Kiedy rozebrałem to przecucie na czynniki pierwsze, pomyślałem, że może chodzić o jego stosunkowo niski poziom agresji (nie pamiętałem, żeby uderzył kogoś dla przyjemności), stosunkowo dobre słownictwo (władał polszczyzną lepiej niż niejeden piłkarz) i względnie miłą aparycję (mimo odstraszącej postury). Może nie były to najmocniejsze argumenty, ale dla mnie wystarczyły, żeby wziąć go pod uwagę.

Choć oczywiście bardziej podejrzewałem Wiewióra. Po pierwsze: niewiele o nim wiedziałem, mimo że spędziłem z sobą mnóstwo czasu. Po drugie: kiedyś był psem. A po trzecie: wariorski zafundowali mu *life-changing experience*.

Był jeszcze Ażmi, którego dawniej wykluczylibym od razu, ale odkąd nasze drogi zaczęły się rozjeżdżać, musiałem uznać go za potencjalnego donosiiciela. Nauczony własnym doświadczeniem wiedziałem, że w ciągu kilku miesięcy w człowieku może się zmienić wszystko: percepcja rzeczywistości, priorytety, wartości, pomysł na przetrwanie. Należało się liczyć z tym, że to już może nie być ten sam Ażmi, którego wciągnąłem w to kibolskie gówno.

Do tego dochodził oczywiście Pocisk, którego wciąż nikt nie potrafił namierzyć. Wydawało mi się jednak mało prawdopodobne, aby to on kapował. Nie znał demonów na tyle, aby móc im bruzdzić. Poza tym widziałem, jak wstrząsnęło nim zajście pod Częstochową. Jak zżerało go przerażenie, gdy Demon krzywdził

Charliego. Ale dopóki nic nie wiedziałem o dalszych losach Pociska, dopóty facet był w grze.

Zacząłem rozbrajanie bomb od największej z nich. Przynajmniej gabarytowo.

Przez pewien czas śledziłem Gabona, skrupulatnie poznając jego zwyczaje. Większość dnia spędzał albo na siłowni, albo snując się po mieście z ziomkami z osiedla, albo obżerając fastfoodowym syfem, albo wykonując jakieś robótki dla demonów – najczęściej polegające na odzyskiwaniu należności. Żył nieskomplikowanie, by nie powiedzieć: prymitywnie. Powtarzalnie i nudno.

Już miałem mu odpuścić, gdy po jednej z akcji, zamiast wrócić do domu, pojechał w stronę Teofilowa. Lecz nie zawitał na żadne z osiedli, tylko pomknął Aleksandrowską na obrzeża miasta. Minął szpital psychiatryczny w Kochanówce, przejechał jeszcze kilkaset metrów i skręcił w prawo. Przez otwartą bramę dostał się na niewielki parking przed nowoczesnym parterowym budynkiem u podnóża lasu.

Gabon oczywiście nie wiedział, że pożyczyłem samochód, aby go śledzić, więc nie musiałem się martwić dekonspiracją. Zatrzymałem się przed bramą, poczekałem, aż wejdzie do budynku, a następnie wjechałem na parking. Okazało się, że wylądowałem pod gabinetem medycyny estetycznej. Dziwne, bo Gabon nie wyglądał na faceta, który mógłby chcieć się upiększyć.

Na tym skończył się mój plan śledzenia wielkoluda. Wymyśliłem naprędce, że poczekam, aż Gabon wyjdzie z budynku, a potem wparuję do kliniki i w niezbyt wysublimowany sposób wyciągnę od pracowników informację, co on tam robił. Obniżyłem więc pozycję na fotelu i czekałem.

Nie trwało to jednak długo, ponieważ po kilku minutach usłyszałem pukanie w szybę od strony pasażera. Kiedy się odwróciłem i zobaczyłem wielką gębę Gabona, zrozumiałem, że wcale nie byłem tak sprytny, jak mi się zdawało.

– Otwieraj – warknął.

Odblokowałem drzwi i niemal natychmiast tego pożałowałem. Bo kiedy Gabon wparował do środka, pochylił się nade mną i ścisnął za gardło, jakby zamierzał zmiażdżyć mi krtań.

– Ty cwelu pierdolony! Śledzisz mnie?! – Chciałem zaprzeczyć, ale zamiast tego wydałem z siebie charkot przypominający odgłos powolnego konania. Spróbowałem więc potrząsnąć głową. Również bez skutku. – Czemu mnie, kurwo, śledzisz?!

Myślałem, że już po mnie, ale nagle Gabon zerknął w stronę budynku, a następnie zwolnił uścisk. Opadł na fotel pasażera. Dyszał. Wyglądało na to, że próbuje się uspokoić. Albo zbiera siły do kolejnego ataku.

– Sorry – wychrypiałem, dotykając obolałego gardła. – Wszystko wyjaśnię.

– No ja myślę, kurwa. I lepiej, żebyś to zrobił szybko.

– Zrobię. Ale najpierw powiedz, co tu robisz.

– To ty, cwelu, masz się wypowiadać. Albo powiesz, czemu śledzisz mnie jakąś pedalską furą, albo rozkwaszę ci ryj.

Korciło mnie, by zapytać, co takiego pedalskiego widzi w fiacie panda, ale zostawiłem to na kiedy indziej. Dla własnego dobra.

– Zgoda, ale i tak będziesz musiał mi opowiedzieć swoją historię.

Spojrzałem na Gabona i zrozumiałem, że źle go oceniłem. On wbrew pozorom nie był na mnie zły. Wydawał się raczej przestraszony. Zawstydzony. Speszony. Jak dzieciak przyłapany na waleniu gruchy. Właśnie wtedy postanowiłem, że będę z nim szczerzy.

– Od czasu Częstochowy w organizacji dzieją się dziwne rzeczy. Przypał goni przypał. I to zarówno z psami, jak i z klaunami z alei Unii. Ktoś się pruje. A ja mam to rozgryźć.

Gabon wytrzeszczył oczy.

– I pomyślałeś, że to ja?

– Nic nie pomyślałem. Sprawdzam wszystkich, którzy uczestniczyli w akcji.

Gabon się zamyślił, spoważniał. Miałem rację co do niego. Nie był tylko górą mięcha z długimi łapami i głupią ksywką. Był kalkulującą, rozmyślającą, refleksyjną górą mięcha z długimi łapami i głupią ksywką.

– Może to ten szmaciarz z Elksy? – zasugerował. – Ten raperek, jak mu tam?

– Pocisk. Możliwe. Tyle że koleś się zapadł pod ziemię, więc szybko się tego nie dowiemy. Muszę weryfikować tych, którzy są pod ręką. – Gabon pokiwał głową. Zrozumiał, dlaczego to zrobiłem. Zaakceptował to. – Teraz twoja kolej. Co tu robisz? Chcesz sobie kuśkę powiększyć?

Wielkolud ponownie zerknął w stronę budynku, a potem obciął parking. Kiedy się upewnił, że nikt nas nie obserwuje, rozpiął kurtkę i podciągnął koszulkę pod szyję.

– To przez te jebane anabole – westchnął, pokazując mi największe piersi, jakie kiedykolwiek widziałem u mężczyzny. – Doktorka mówi, że to ginekomastia. Nie jestem gruby, a mam cyce jak krowa. Próbowalem to wyrzeźbić, ale to nie takie proste.

– I co chcesz z tym zrobić?

– Pójdę pod skalpel. Za kilka patyków mogę się pozbyć tego gówna. Potem trochę pochodzę w kamizelce uciskowej, zrobię sobie miesiąc przerwy od siłki i będzie git.

– W sam raz na początek rundy wiosennej.

– No właśnie. – Gabon opuścił koszulkę. – Tylko nie mów o tym chłopakom. Nie daliby mi żyć.

– Spoko. Nie mam żadnego interesu w tym, żeby cię ośmieszyć.



– Odwdzięczę się.

Byłem zbyt zszokowany tym, co się stało, aby naprędce wymyślić, jak mógłby to zrobić. Ale kiedy Gabon poszedł na ostatnią konsultację przed zabiegiem pomniejszania piersi, a ja obrałem kurs na dom, wykombinowałem doskonały sposób.

Zostały mi trzydzieści trzy dni. To wciąż mnóstwo czasu.

\* \* \*

– Kiepsko zaczęliśmy znajomość – oznajmiłem, uważnie przyglądając się Wiewiórowi, który włożył palec do ust i wygrzebał coś spomiędzy zębów. – Chciałbym to naprawić.

– Zaczęliśmy, jak zaczęliśmy, nie zmienimy tego. Nie musimy być kumplami, żeby razem pracować.

– To prawda. Ale gdybyśmy się polubili, byłoby milej. Dlatego mam pewien pomysł. – Zrobiłem pauzę, czekając, aż Wiewiór okaże mi pełne zainteresowanie. – Napijmy się.

– Teraz?

– No.

– Tutaj?

Przez chwilę wyglądał tak, jakby właśnie przechodził udar. Dopiero po paru sekundach zaczął analizować moją propozycję.

Siedzieliśmy w jednej z tureckich knajp przy Piotrkowskiej, gdzie chwilę wcześniej w pośpiechu zjedliśmy po kebabie. Za pół godziny mieliśmy się spotkać z gagatkiem, który bardzo chciał robić interesy z nabojką, ale Demon nie wiedział, czy chce robić interesy z nim. Wystarczyłby jeden telefon, aby wszystko odwołać. Bez straty dla nas, dla nabojki, a już na pewno dla gagatka.

– Tutaj? – spytał ponownie Wiewiór, lecz tym razem inaczej, jakby z mniejszym powątpiewaniem w głosie.

– Nie jestem fanem Tarkana i tureckich rytmów, ale browary wszędzie smakują tak samo. Olejmy tego typu i wyluzujmy trochę. Nie każ się prosić, bo nie zamierzam tego robić.

Wiewiór rozejrzał się po lokalu. Westchnął.

– Nie sądziłem, że jesteś tego typu gościem.

– Bo za mało o sobie wiemy.

Chwilę później Wiewiór zadzwonił do faceta, z którym byliśmy umówieni, i bez wdawania się w szczegóły odprawił go z kwitkiem. Ja w tym czasie poszedłem do baru po piwo. Jak się wkrótce okazało, pierwsze z wielu piw.

Zostało mi dwadzieścia jeden dni. Odkąd nabrałem przekonania graniczącego z pewnością, że Gabon nie jest sprzedawczykiem, zacząłem z nim współpracować. Poprosiłem go, aby zlustrował Ażmiego, którego ze względu na naszą dawną zażyłość trudno było mi potraktować obiektywnie. Sam natomiast skupiłem się na Wiewiórze. I tak spędzałem z nim mnóstwo czasu, odkąd parę miesięcy wcześniej Demon uczynił z nas swój świński duet.

Gabon już po paru dniach stwierdził, że Ażmi nie może być kretem. Według niego czerpał zbyt dużą frajdę z haraczowania i straszenia zaćpanych dzieciaków, żeby coś kombinować na boku. Właściwie potwierdził to, co podejrzewałem. Ale z Wiewiorem było trudniej. Niczego nie zdradzał swoim apatycznym zachowaniem, z naszych niemrawych rozmów niewiele wynikało, a po robocie zawsze jeździł do domu. Nie robił absolutnie nic podejrzanego. I chyba właśnie to było najdziwniejsze.

Długo nie mogłem wymyślić, jak się do niego dobrać. W końcu postawiłem na najbardziej prymitywne rozwiązanie, jakie przyszło mi do głowy. I o dziwo zadziałało.

– Nienawidzę tych smoluchów – wypalił nieoczekiwanie Wiewiór, wpatrując się w kogoś za moimi plecami.

– Kogo?

– Smoluchów. Brudasów. Turasów jebanych. Takich jak tamten.

Odwrociłem się. Zobaczyłem mniej więcej czterdziestoletniego Turka w poplamionej koszulce opinającej tatusiowy bebecz. Uwijał się z nożem przy potężnym opiekaczu do kebabu, a jednocześnie co rusz zagadywał do niezbyt urodziwej Polki, zapewne swojej żony lub dziewczyny, która przyjmowała zamówienia. Nie bardzo wiedziałem, za co można kogoś takiego nienawidzić. I nie posądzałem Wiewióra, że może skrywać pod kopułą tak prymitywne uprzedzenia. Ale do tej pory miałem do czynienia z zupełnie innym Wiewiorem. Skoncentrowanym na robocie, posepnym, a przede wszystkim trzeźwym. Teraz był natomiast facetem, który w dwie godziny załadował pięć browarów. Podobnie jak ja. Z tą drobną różnicą, że do każdego z jego piw Turek w poplamionej koszulce za moją dyskretną namową potajemnie dolewał odrobinę wódki.

Solidnie wzmocniłem głowę kibolskim trybem życia, ale musiałem zyskać absolutną pewność, że Wiewiór będzie bardziej zalany ode mnie. I to się udało. Nieuzasadniona agresja, nadmierna gestykulacja i zacerwieniona morda, która przezabawnie uwydatniała jego rudą czuprynę, dobitnie o tym świadczyły.

– A czym taki smoluch różni się od ciebie albo ode mnie? – spytałem, zerując kufel.

– Jak to czym? Wszystkim.

– Czyli? Co cię konkretnie w nim aż tak wkurwia?

– Nie mam na myśli tego konkretnego pajaca, tylko ich wszystkich. Każdego arabskiego, tureckiego czy pakolskiego kocmołucha, który przyjeżdża do naszego kraju, rucha nasze kobiety i zabiera naszą robotę.

– Chcesz powiedzieć, że gdyby nie ten grubasek, stałbyś teraz za barem, wkrajał baraninę do bułek i śmieszkował z tą babą?

– Chcę powiedzieć, że ten kozojebca mnie wkurwia, podobnie jak wszyscy jego bracia i dalecy krewni. A browar od tego szmaciarza smakuje jak szczochoy. – Mimo to Wiewiór ściągnął kolejny głęboki łyk. – A ty co tak go bronisz?

– Nie bronię. Pytam.

– To, kurwa, nie pytaj. – Wiewiór zacisnął pięść. – Nie kumasz jednej rzeczy. Myślisz, że istnieje coś takiego jak sprawiedliwość. Że ludzie są równi. Że każdy Turas ma prawo tu przyjechać i obracać mięso na patyku. – Wytknął palcem właściciela knajpy, a potem ponownie złożył pięść i zbliżył ją do mojej twarzy. – Tymczasem to jest sprawiedliwość. To, że mogę drzeć mordę w lokalu tego brudasa, a on nie ma jaj, żeby zwrócić mi uwagę. Sprawiedliwość to hierarchia. Każdy musi znać swoje miejsce w szeregu. I dlatego żaden ciapak, choćby kleiły się do niego całe stada takich lampucer, nigdy nie będzie nam równy. Tak już jest skonstruowany świat. – Wiewiór opadł na oparcie krzesła, jakby się zmęczył swoją tyradą. – Gówniarz jesteś. Z czasem przejdzie ci to lewackie pierdolenie.

Wiewiór opróżnił kufel i z hukiem odstawił go na stół. Długo się we mnie wpatrywał. A ja bardzo wyraźnie widziałem w jego oczach rozgoryczenie, złość, żółć. Te wszystkie traumy, wszystkie nowotwory, które przez lata przywierały mu do bebeczków i które teraz – za jednym zamachem, przy jednym nieplanowanym posiedzeniu – próbował przynajmniej na chwilę wypędzić.

– Co tam się stało? – zapytałem.

– Gdzie?

– Na Teofilowie.

Wiewiór odruchowo zerknął w kierunku blizny na dłoni. Chwilę później zapalił papierosa.

– Krzywa akcja i tyle. Nie ma sensu do tego wracać.

– Nie obchodzi mnie, co ci zrobili. Ale zakładałam, że skoro ta historia nie wpłynęła, musieli cię o coś poprosić. A ty się musiałeś zgodzić. I pewnie dotrzymałeś słowa. – Stąpałem po grząskim gruncie, ale nie mogłem inaczej. Wiewiór był w proszku. Tylko w takim stanie mógł się przede mną otworzyć. – Popytałem ludzi, którzy wyznają się na warriorsach. Mówią, że Śledziu to pikuś, ale Caryca...

– Nawet nie wspominaj o tej kurwie – przerwał mi Wiewiór. – Co się stało, to się nie odstanie. To nie twój problem, tylko mój, więc na chuj drażysz temat?

– Trochę jednak mój, bo dzieje się u nas dużo dziwnych rzeczy.

– Jakich rzeczy?

– Mamy szkodnika w ekipie. Ktoś sypie.

– Psom?

– Psom, warriorsom, komu tylko się da.

Wiewiór się roześmiał, rozdmuchując na boki dym.

– I myślisz, że to ja?

– Nie wiem. To ty?

Nie odpowiedział. Za to bardzo długo i bardzo intensywnie się we mnie wpa-trywał. Bardzo dziwnym i bardzo trudnym do rozszyfrowania wzrokiem.

– Przepraszam, ale tu nie wolno palić.

Nie wiedzieć kiedy, wyrósł obok nas Turek, który władał zaskakująco dobrą polszczyzną, znacznie lepszą niż większość sepleniąco-plujących matolów, jakich spotykałem na meczach. Wskazał palcem drobiny popiołu, który mój nawalony kompan strzepywał na stół.

– Bo co? – burknął Wiewiór.

– Nie wolno palić w miejscu, w którym ludzie jedzą. Klienci się skarżą.

– Kto się skarży? Pokaż mi te marudy. Pogadam z nimi.

Turek był w kropce. Liczył, że zwrócenie uwagi naprutemu klientowi zakończy sprawę. Niestety nie w tym kraju. Nie w tym mieście. Nie temu klientowi.

– Dobra. Jak mus, to mus. – Wiewiór bezradnie rozłożył ręce. – Tylko nie widzę popielniczki.

– Przyniosę panu.

– Zaczekaj. – Rudzielec wolno wstał od stołu. – Już znalazłem.

Czasem czujesz, że wydarzy się coś złego, a mimo to nie jesteś w stanie zareagować. Jakbyś nie mógł się pogodzić z tym, że sprawy obrały tak dziwny obrót. Jakbyś nie mógł zaakceptować, że jesteś częścią świata, w którym dzieją się takie rzeczy. Doświadczyłem tego, gdy Wiewiór, którego jeszcze parę godzin wcześniej nie podejrzewałem o ksenofobię i rasizm, ba, którego uważałem za jednego z najnormalniejszych członków poronionej rodziny demonów, zgasił kiepa na twarzy bogu ducha winnego faceta, a następnie powalił go prawym prostym i zaczął kopać w głowę. A kiedy wreszcie zareagowałem, to także inaczej, niż się spodziewałem, bo zamiast odciągnąć tego rudego cymbała od jego ofiary, rzuciłem się z pięściami na dwóch innych Turków, którzy ruszyli kumplowi z odsieczą.

Rozpętała się jatka.

Nie pamiętam dokładnego przebiegu awantury. Wiem tylko, że byliśmy w mniejszości i w końcu Turcy wyrzucili nas z knajpy. Przez dłuższą chwilę dochodziłem do siebie, jednocześnie powstrzymując rozwrzeszczanego Wiewióra przed wtargnięciem do lokalu i ponownym obskoczeniem wpierdolu. Kiedy wreszcie odpuścił, oznajmił, że musimy się napić. Nie oponowałem. Wstąpiliśmy do pierwszego monopolowego na trasie, kupiliśmy po dwusetce cytrynowki

i browarze. Zatrzymaliśmy się w bramie na Pietrynie, wypiliśmy niemal na hejnał nasze zapasy, a potem skoczyliśmy po doładowanie. Zafundowaliśmy sobie powtórkę z rozrywki: dwusetka cytrynowki plus browar.

Piwa już nie dopiłem. Wódki chyba też nie.

Pamiętam, że zanim urwał mi się film, gadaliśmy o jakichś pierdołach niezwiązanych z Widzewem, demonami ani warriorsami. I że nie mogłem się naziwić temu, jak dobrze Wiewiór trzyma się po wlaniu w siebie cysterny alkoholu. A to, co się wydarzyło później, po blackoucie, pozostało już jego słodką tajemnicą. Nie pierwszą. I zapewne nie ostatnią.

\* \* \*

Nazajutrz, gdy zostało mi dwadzieścia dni na wypełnienie zadania, obudził mnie uporczywie dzwoniący telefon. Kiedy już nie mogłem dłużej ignorować wibracji rozbrzmiewających w mojej głowie niczym młot pneumatyczny, podniosłem smartfon z dywanu, podstawiłem pod twarz i odebrałem, nawet nie patrząc na ekran.

– Halo?

– Możesz rozmawiać?

Kobięcy głos – tylko tyle potrafiłem stwierdzić. Odsunąłem telefon od twarzy i zmusiłem wzrok, aby wyostrzył mi wyświetlacz. Asia. Ta Asia. Moja Asia. Asia, która przez tyle dni mnie olewała, postanowiła się odezwać akurat wtedy, gdy z całego serca życzyłem sobie śmierci.

– Mogę – wymamrotałem. Było to chyba największe łgarstwo w moim życiu.

– Możesz się ze mną spotkać na placu Wolności?

– Kiedy?

– Za pół godziny.

– Jasne.

Jeszcze zanim się rozłączyła, zdałem sobie sprawę, że to niewykonalne. Nie wyobrażałem sobie, co musiałoby się stać, żebym zdołał się podnieść, umyć albo chociaż opłukać, pozbyć śmierdzących ciuchów i dotrzeć na spotkanie z Asią. Bardzo mnie kusiło, by olać temat. Zapomnieć, że dzwoniła. Wyrzygać się, łyknąć aspirynę i wrócić do łóżka. I spać tak długo, aż ponownie nabiorę choćby minimalnej chęci do życia.

Zamiast tego jakimś cudem zwlokłem się z wyra.

Równo pół godziny później, wciąż ledwo żywy i nie do końca świadomy, co robię, żując gumę, walcząc z nudnościami i powłócząc ołowianymi nogami, doczłapałem na plac Wolności. Asia czekała na mnie na betonowych schodkach pod pomnikiem Kościuszki. Już z daleka wyglądała na zniesmaczoną.

– Co ci się stało?

Dopiero kiedy zapytała, przypomniałem sobie awanturę u Turka.

– Drobne nieporozumienie z powodu różnic kulturowych.

Parsknęła.

– A ja się ludziłam, że rozmowa z tobą ma sens. – Podniosła się, zarzuciła torebkę na ramię i ruszyła przed siebie.

– Zaczekaj. – Kręciło mi się w głowie, więc usiadłem na schodkach i spuściłem wzrok. Nie miałem żadnego planu na to spotkanie. Żadnych oczekiwań. Żadnej nadziei. Postanowiłem więc być z Asią na tyle szczerzy, na ile to możliwe. – Mam najgorszego kaca w życiu, ponieważ nie umiem i nie lubię pić wódki, ale obracam się w takim środowisku, że czasem nie mogę odmówić. Wyglądam jak gówno, bo ludzie z mojego otoczenia są chodzącymi generatorami przypałów. Ale gdyby mi na tobie nie zależało, tobym tu nie przyszedł. – Uniosłem pulsującą głowę. Złapałem Asię wzrokiem. – Nie znęcaj się nade mną, tylko powiedz, o co chodzi.

Asia nie usiadła, ale i nie uciekła. Analizowała opcje.

– Nie zamierzałam się z tobą umawiać, więc czasem nie rób sobie nadziei. Zadzwoń mi, bo chcę pomóc Kamili. Pamiętasz ją? – Nieco zbyt energicznie kiwnąłem głową i natychmiast tego pożałowałem. – A pamiętasz, jak wygląda? Zresztą nieważne. Przypomnę ci.

Wyjęła telefon, odnalazła zdjęcie koleżanki i podstawiła mi je pod nos. Mimo wciąż zamglonego wzroku dostrzegłem, że Kamila wyglądała mniej więcej tak jak Wiewiór po awanturze z Turkami.

– Co się stało?

– Pawełek. Pawełek się, kurwa, stał. – Potrzebowałem kilku sekund, żeby skojarzyć, że Pawełek to Ażmi. A potem paru następnych, by załapać, że to on obił Kamilę. – Twój koleżka lubi podnosić łapy na słabszych od siebie. Ale najgorsze jest to, że ta kretynka nie potrafi od niego odejść.

– To nie był pierwszy raz?

– A jakie to ma znaczenie? Gdyby pobił Kamę tylko ten jeden raz, to coś by zmieniło?

– Nie. Nie dla mnie. Pogadam z nim.

– Możesz mu powiedzieć, że jeśli jeszcze raz ją skrzywdzi, któregoś dnia, kiedy nie będzie się niczego spodziewał, dorwę go i utnę mu fiuta. Potraktuj to jako szansę na uratowanie koleżki.

– To nie jest mój kolega.

– Jasne. Tylko od czasu do czasu razem chlejecie i bijecie się pod stadionem.

– Naprawdę nie jestem taki jak oni.

Asia patrzyła na mnie z góry. I chyba – podkreślam: chyba – chciała mi wierzyć.

– Udowodnij to i zrób coś pożytecznego.

Odeszła bez pożegnania, a ja chwilę później zadzwoniłem do Ażmiego. Powiedział, że może być na placu Wolności za godzinę. Zdażyłem w tym czasie pójść do sklepu, wypić energetyka i zjeść gotową kanapkę z szynką, a następnie wskoczyć do kibla w Cafe Wolność i zwrócić kanapkę z szynką. Miałem wrażenie, że już więcej tego dnia z siebie nie wykrzeszę, a czekała mnie jeszcze trudna rozmowa z Ażmim. Nie chodziło tylko o Kamilę. Chciałem się samodzielnie upewnić, że Ażmi nie jest szpiclem. Nie miałem powodu, by nie wierzyć Gabonowi, ale nie potrafiłem w pełni zaufać facetowi, który od nadmiaru anabolików musiał sobie zoperować cycki.

Ażmi zajechał na plac Wolności beta, która z każdym kolejnym tuningiem wydawała się coraz głośniejsza i coraz bardziej przypalowa – tym razem wzbogacił ją o ognistą strzałę na drzwiach. Zaparkował niedaleko Nowowiejskiej, wysiadł z fury i energicznym krokiem ruszył w stronę pomnika. Uśmiechał się do mnie spod lansiańskich ray-banów, które nijak nie pasowały do jego ulicznej mordy i dresów.

– Wyglądasz jak dziwka po gangbangu – wypalił na powitanie.

– Powinieneś zobaczyć tego drugiego.

– Widziałem cię kilka razy w akcji, więc potrafię go sobie wyobrazić. Co tam?

– Usiądź. – Przez dłuższą chwilę spoglądał na mnie spode łba. Następnie zdjął okulary i przysiadł na murku. – Podobno bijesz swoją dziewczynę.

– Kto ci tak powiedział?

– To prawda?

Ażmi pokręcił głową. Ale nie jak człowiek, który próbuje czemuś zaprzeczyć. Raczej jak ktoś, kto bardzo, bardzo by chciał, żeby coś nie było prawdą.

– Pokłóciliśmy się. Powiedzieliśmy sobie o kilka słów za dużo. Zrobiło się ostro. Nie chciałem tego, ale mnie sprowokowała. Trzepnąłem ją z plaskacza, nic więcej. – Wzruszył ramionami. – Proza życia.

– Widziałem jej zdjęcie. Nie wyglądała, jakby dostała z plaskacza. I wiem, że to nie był pierwszy raz.

– O co ci, kurwa, chodzi?

– O to, że bicie kobiet jest strasznie frajerskie. Równie frajerskie jak prucie się na psach albo współpraca z wrogiem.

Byłem ciekawy reakcji Ażmiego. Ale nie odniosłem wrażenia, aby moje porównanie go speszyło. Raczej rozbawiło, bo ponownie włożył okulary i wyszczerzył swoje wstrętne zębiska we wstrętym uśmiechu.

– Wiesz, co naprawdę jest frajerskie? Robienie kumplowi problemów z tego powodu, że jakaś pizda dostała w pizdę, podczas gdy samemu ma się burdel w domu.

– O czym ty mówisz?

– Fundacja Mefedron. Mówi ci to coś? – Skrzywiłem się, ponieważ tylko na taką reakcję było mnie stać. – No właśnie. Twój braciszek kręci lewe biznesy, a ty nawet o tym nie wiesz.

– Lewe biznesy? Fundacja? Co ty pierdolisz?

– Karolek jest cwańszy, niż się wszystkim wydaje. Pod płaszczykiem pomagania bezdomnym czy jakichś innych charytatywnych bzdetów ściąga od ludzi hajs. Potem wydaje go na dragi u warriorsów, które po zawyżonych cenach opycha menelom. Złoty interes.

Mieliłem jego słowa w głowie. Na gigantycznym kacu odbywało się to potwornie wolno.

– A skąd ci bezdomni mają na to papę?

– Nie wiem, kurwa, ale akurat to nie powinno cię martwić. Twój zjebany braciszek robi nam konkurencję. Demon mógł przymknąć oko na to, że bierze towar od żydów, ale tego mu nie odpuści. Tym bardziej że mefedron idzie jak woda, znacznie lepiej niż kryształ. Wszyscy chcą nim dilować. – Ażmi wstał, poprawił nogawki dresów, które wpuścił w białe skarpetki, i włożył ręce do kieszeni. – Zamiast robić mi wyrzuty, powinienes zająć się bratem, zanim ktoś skróci go o głowę.

Ażmi również się nie pożegnał. Zostawił mnie z jeszcze większym mętlikiem w głowie, niż miałem przed spotkaniem. I z nieustępującym kacem, który najwyraźniej postanowił zamienić mój dzień w niekończący się festiwal smutku.



## 21.

Zostało mi osiemnaście dni.

Mniej więcej tyle samo czasu potrzebował Karol, aby przeistoczyć się z ćpuna ledwo wiążącego koniec z końcem w prezesa prężnie działającej Fundacji Druga Szansa. To, że radziła sobie więcej niż nieźle, dało się oszacować już po jej siedzibie, zlokalizowanej w dwupiętrowym budynku na niewielkim osiedlu domków jednorodzinnych między Liściastą a 11 Listopada. Kiedy stanąłem przed bramą i wcisnąłem przycisk domofonu, w oknie na parterze mignęła mi lysa głaca. Chwilę później, razem z potężnym tułowiem, wydzieranymi łapami i masywnymi nogami ukrytymi w dresach adidasa, ta sama głaca pojawiła się przed wejściem.

– W czym mogę pomóc? – wymamrotał łysol z pełnymi ustami, jednocześnie wycierając dłonie w spodnie.

– Przyszedłem do Karola – odparłem. – Do prezesa.

– Był pan umówiony?

– Nie, ale to mój brat.

Facet gapił się na mnie, jakby szukał podobieństwa. I chyba w końcu je dostrzegł, bo położył dłoń na metalowym słupku i rozległ się pisk otwieranej furtki.

– Szef nie mówił, że ma brata – rzucił, kiedy podszedłem do drzwi.

– Bo ma kiepską pamięć. Mnie na przykład zapomniał wspomnieć, że prowadzi fundację. – Uśmiechnąłem się, aby nieco rozluźnić dresiarza. Nie zadziałało. – W każdym razie dobrze się składa, bo moje źródółko wyszło. No i oczywiście jestem ciekaw, jak się Karol urządził. Ucieszy się na mój widok.

Oczywiście wcale się nie ucieszył. Ani ja, choć Karol wyglądał o niebo lepiej niż poprzednio. Jakby wreszcie stanął na nogi. Choć mogło to być tylko złudzenie, na które wpływ miały żenująco niska baza, sportowa marynarka i efektowne wnętrze budynku, które bardziej przypominało dom rozmiłowanego w sztuce nowobogackiego klauna niż siedzibę organizacji charytatywnej.

– To prace studentów ASP, którzy w ostatnim roku zostali wyjebani ze studiów – wyjaśnił Karol, widząc, że zawiesiłem się na różnokolorowych portretach zdobiających korytarz. – Większość wykładowców to pozbawione gustu kmioty. Ich antyportfolio jest najlepszą podpowiedzią inwestycyjną. Za kilka lat te obrazy będą warte kupę siana. A poza tym są po prostu ładne.

Według mnie były paskudne. Ale skoro nie dyskutowałem z Karolem na temat filmów, tym bardziej nie powinienem podważać jego malarskich ocen.

– Myślałem, że pomagacie tu bezdomnym – powiedziałem, odwracając się do brata.

– Bo pomagamy. Na swój sposób.

Karol dał znać ochroniarzowi, że może nas zostawić samych, po czym zaprowadził mnie do gabinetu w głębi willi. Po drodze minęliśmy dwa pomieszczenia, w których siedzieli goście o posturach wykidajłów, przeliczając kasę albo porcjując towar, a także zastawioną opróżnionymi butelkami kuchnię, wyglądającą jak po weekendzie kawalerskim. Biuro Karola przypominało z kolei pokój, do którego w trakcie grubej wiksy można na chwilę wpaść z dziewczyną, w rogu stało nawet rozkładane łóżko. Najwyraźniej pan prezes nie zaprzętał sobie głowy stwarzaniem pozorów.

– Fundacja Mefedron – powiedziałem, stając za białym fotelem, w którym na wszelki wypadek wołałem nie siadać. – Tak na mieście mówią na twoją działalność.

– No i? – Karol zapalił cienkiego papierosa, wypuścił nad głowę dym i przycupnęła na krawędzi biurka. – Moim zdaniem wpada w ucho i łatwo zapamiętać. Nie podoba ci się?

– Nie mnie ma się podobać. – Rozejrzałem się. Westchnąłem. – Nie martwi cię, że wszyscy wiedzą, co tu wyprawiasz?

– Wręcz przeciwnie. Dzięki temu nie musimy inwestować w marketing. Właściwie jestem trochę zaskoczony, że wieści rozchodzą się aż tak szybko. Zdarzają się dni, że nie nadążamy z obsługą potrzebujących.

– Dlaczego fundacja?

– To najprostszy sposób, aby upłynnić kasę. Również ze zbiórek. Byłbyś w szoku, gdybyś się dowiedział, ile ludzie wydają na organizacje, o których nie mają pojęcia. Poza tym dzięki fundacji od razu zyskujesz *brand*. To ma ogromne znaczenie dla mefedronistów. Przychodząc do nas, czują się, jakby robili zakupy w Żabce.

– Wszyscy myślą, że to twój biznes.

– I dobrze, bo to ja go prowadzę.

Zaśmiałem się pod nosem i podszedłem do okna. Spojrzałem na ogródek, który również wyglądał jak po srogim balecie. Wszędzie walały się butelki po browarach, plastikowe sztucce, kiepy. W dodatku były równie dobrze widoczne z tego domu, jak i z kilku sąsiednich. Pan prezes wręcz ostentacyjnie nie dbał o pozory.

– Może i prowadzisz, ale tylko dlatego, że ktoś ci kazał. – Odwróciłem się do brata. – Pogrzebałem trochę w temacie. Fundacja została zarejestrowana na początku ubiegłego roku. Założył ją jakiś zagraniczny fundator, pewnie do dziś niemający pojęcia o swoim wielkopańskim geście. Przez kilka miesięcy prezesem

był koleś blisko związany z warriorsami. Dopiero gdy popadł w niełaskę, przejął jego obowiązki. W grudniu ubiegłego roku, tuż przed świętami.

– Do czego zmierzasz? – spytał Karol, unikając mojego wzroku.

– Widzieliśmy się wtedy. Nie wyglądałeś na faceta, któremu można by powierzyć prowadzenie takiego przybytku. Właściwie, jeśli mam być szczery, wyglądałeś jak gówno. A mimo to ktoś postanowił uczynić cię szefem organizacji dilującej mefedronem na niemałą skalę.

– Zazdrościsz?

Karol podniósł głowę i posłał mi głupkowaty uśmiech. Zupełnie nie w swoim stylu.

– Nie kryjcie się z tym, co tu robicie, więc musicie być zblatowani z policją. I wcale mnie to nie dziwi. Wiem, że warriorsi poukładali się z psami. Zastanawia mnie tylko, dlaczego Caryca wybrała akurat ciebie.

– Co ty pierdolisz, człowieku?

Zaryzykowałem. Nie wiedziałem, czy to był pomysł Carycy ani czy Karol w ogóle ją zna. Ale jego nerwowa reakcja dała mi jednoznaczną odpowiedź.

– Ona wie, kim jestem. I musi też wiedzieć, że jesteś moim bratem.

Karol wstał, przeszedł się po pokoju, ściągając kilka szybkich machów, po czym zawrócił i stanął ze mną twarzą w twarz.

– Nie wszystko kręci się wokół ciebie. Nie tylko ty możesz się wybić ponad przeciętność.

– To nazywasz wybiciem się? Zostałeś sługusem jednej z najgroźniejszych osób w mieście.

– Może to u nas rodzinne.

Nie mogłem powiedzieć mu prawdy o sobie, choć jeszcze nigdy tak bardzo mnie nie korciło, aby to zrobić. To by niesamowicie ułatwiło sprawę. Ale znając destrukcyjne skłonności Karola, prawdopodobnie zniweczyłbym całą akcję przeciwko demonom.

– W ten sposób możesz nas wykończyć – powiedziałem.

– Niby jak?

– Nie mogę ci tego powiedzieć. Ale musisz mi uwierzyć.

– I co miałbym zrobić?

– Zostawić to. Zerwać kontakty z tymi ludźmi. Zapomnieć, że miałeś z nimi coś wspólnego. Zacząć nowe życie, od zera. Tylko wtedy będę mógł ci pomóc.

Z każdym moim słowem Karol coraz wyraźniej się uśmiechał. Wpatrując się w jego rozszerzone źrenice i zaciśniętą szczękę, wreszcie pojąłem, że źle go oceniłem. Teraz też był naćpany. Tylko inaczej niż zwykle. Bardziej spidująco. Dre-

siarsko. Po kibolsku. Zadziwiająco szybko zaadaptował się do nowej rzeczywistości.

W końcu Karol podszedł do drzwi i otworzył je na oścież. Spojrzał na tysego, któremu towarzyszył facet wyglądający jak jego zły brat bliźniak. Silnoręcy opychali się pizzą, maczając zrolowane kawałki w sosie czosnkowym.

– Wypierdolcie tego delikwenta – powiedział Karol.

– To nie jest twój brat? – zdziwił się jeden z dresiarzy.

– Nie wiem, kurwa, co to za jeden.

Potrząsnąłem z niedowierzaniem głową.

– Spokojnie, już wychodzę.

– Nie chcę, żebyś wyszedł. Chcę, żeby cię wypierdolili.

Kiedy karki oderwały się od placka i ruszyły w moją stronę, bezbronnie uniosłem dłonie.

– Panowie, bez spiny. Wyjdę i zapomnimy o...

Nie dokończyłem. Po pierwszym uderzeniu zgąłem się wpół. Po kolejnych – spadających z góry, z boku, od dołu, właściwie z każdej możliwej strony – straciłem wiarę w sens życia. A na pewno w sens konceptu społecznego, jakim jest rodzina.

\* \* \*

Uznalibyście mnie za hipokrytę, gdybym nagle zaczął się użalać nad marnością swojej relacji z bratem, który w najlepszym razie był drugoplanowym bohaterem mojej życiowej opowieści. Ale skłamałbym, twierdząc, że to, co się stało, zupełnie mnie nie ruszyło. Ruszyło. I to mocniej, niż się spodziewałem. Przy każdym skręceniu tułowia czy poruszeniu szczęką, gdy przez moje zakończenia nerwowe przepływała fala bólu, budziła się świadomość, że nie zrobiłbym Karolowi czegoś podobnego. Bez względu na to, jak bardzo byłbym na niego wściekły. I to nie dlatego, że jestem najlepszym bratem pod słońcem. Ze względu na naszych starych. Nie mógłbym znieść ich spojrzeń, gdyby się dowiedzieli, że skrzywdziłem Karola. Mojego młodszego braciszka. Chłopczyka, którym nigdy nie chciało mi się zajmować, ale którego zawsze broniłem. Tę zagubioną istotkę, której oczekiwania wobec życia dramatycznie rozjechały się z rzeczywistością.

Cóż, widocznie ten naspidowany debil nie miał takich rozterek. Braterska nierównowaga była naszym wspólnym przekleństwem.

Pół godziny po tym, jak zostałem brutalnie wyrzucony z Fundacji Druga Szansa, wróciłem na osiedle. Zaparkowałem pod blokiem, wszedłem do klatki i wdrapałem się na górę. Miałem już włożyć klucz, kiedy dostrzegłem, że zamek jest uszkodzony, a drzwi do mieszkania minimalnie uchylone.

Kurwa.

Podobno w takich chwilach ludziom przetacza się przez głowę płatanina myśli, ale w mojej pojawiła się tylko jedna. Dotyczyła sceny z filmu *To nie jest kraj dla starych ludzi*, w której szeryf Bell wraca do motelu, gdzie zamordowano Mossa. Podchodzi do drzwi i widzi, że wybito w nich zamek. Wie, że zrobił to psychopata Chigurh. I wie, że facet może być w środku. A mimo to szeryf, który jest już jedną nogą na emeryturze i przez większość filmu psioczy na zepsucie odjeżdżającego mu świata, wbrew instynktowi przetrwania wyciąga z kabury kopyto i wchodzi do pokoju.

Z jakiegoś powodu postąpiłem identycznie. Tyle że nie miałem broni.

– Cześć. – Wiewiór za to miał broń. Trzymał ją wycelowaną prosto we mnie. – Wejdz. W końcu to twoje mieszkanie.

Uniosłem dłonie na wysokość głowy, choć nie kazał mi tego robić, i wolno ruszyłem przed siebie. Kiedy minąłem Wiewióra, zamknął za mną drzwi.

– Co ty wyprawiasz? – zapytałem, stając idealnie na środku pokoju, jakbym wyśmiał sobie jakieś wyzwanie geometryczne.

– To co ty. Zbieram informacje. – Wskazał pistoletem kanapę. – Usiądź. Nie wyglądasz najlepiej. – Kiedy spełniłem jego polecenie, poruszył myszką, aby wskrzesić wygaszony ekran. – Login i hasło – powiedział, a gdy się ociągałem z reakcją, powtórzył: – Podaj mi, kurwa, login i hasło albo cię zastrzele.

Podyktowałem mu dane. Wstukał je palcami jednej dłoni, w drugiej wciąż ścisnąc wycelowanego we mnie gnata. Jego ręka drżała. Był zestresowany. Ale kto by nie był w takich okolicznościach.

– Gdzie to jest? – spytał.

– Co?

– Twój psi folder.

– Co takiego?

– Wiem, kim jesteś. Choć muszę przyznać, że nieźle się ukrywałeś. Gdyby Demon mnie nie zmotywował, być może wcale bym cię nie zauważył. Nie sądziłem, że mogą złowić takiego szczyła. Kiedyś tak nie robili, ale widocznie obniżyli standardy. – Widząc moje zdziwienie, Wiewiór lekko przekrzywił głowę. – Co? Myślałeś, że tylko tobie kazał szukać kreta?

Właściwie to tak. Myślałem, że kopnął mnie nie lada zaszczyt. Nawet przez chwilę nie podejrzewałem, że Demon mógł wyznaczyć do tego zadania kogoś jeszcze. Dopiero teraz pojąłem, że postąpił dokładnie w swoim stylu. Zdezinformować. Namieszać w głowie. Nastraszyć. Wygrać. Bez względu na koszty.

– Pierdolisz głupoty – wypaliłem. – Masz paranoję.

– Przez chwilę też tak myślałem. Ale potem odgrzebałem kilka starych kontaktów i dowiedziałem się, że jakiś czas temu CBS rzeczywiście wstawiło swojego człowieka do naszej grupy. Oczywiście nikt w policji nie ma pojęcia, kto to jest,

ale mniej więcej wiadomo, kiedy to się stało. Musiałem tylko połączyć kropki. – Wiewiór postukał w monitor. – A teraz wyśpiewasz mi wszystko, co im powiedziałeś na mój temat.

Z jego łączenia kropek wyszło, że jestem przykrywkowcem, co było niemal prawdą. Z mojego łączenia kropek wyszło, że Wiewiór jest psem, co okazało się bzdurą. To oznaczało, że albo musiałem powiedzieć mu prawdę, odkrywając przed nim swój maleńki sekret, albo zanurkować w błagę. Pójść w zaparte. Zagrać w grę, której fabułę Wiewiór sam wymyślił. I mieć nadzieję, że wywabię jego zdrowy rozsądek spod grubej warstwy wkurwu.

– Jeśli mnie zabijesz, z miejsca staniesz się najbardziej poszukiwanym przestępcą w tym kraju – odparłem. – Dobrze wiesz, jak to działa.

– Nie pierdol, tylko wyskakuj z informacji.

– Jeśli chcesz, możesz pogrzebać w moim komputerze. Może coś znajdziesz, może nie. Może zdązysz to zrobić, zanim do drzwi zapuka mój oficer prowadzący, a może nie.

– Nie pierdol – powtórzył. Tym razem głośniej, bardziej nerwowo. – Pewnie chują wiesz, skoro tak wypytywałeś o tę akcję u żydów. Nie macie za co mnie zamknąć.

– Może tak, może nie. Nie dlatego pytałem. Po prostu nie byłem pewien, czy to ty się prujesz.

Wiewiór poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko mocniej je zacisnął. A więc trafiłem. Może nie donosił psom, jak mi się zdawało, ale z całą pewnością robił Demonowi koło pióra – na przykład informując o poczynaniach widzewskiej nabożki jego największego wroga. I zapewne zaczęło się to jeszcze przed akcją pod Częstochową. Po wizycie na Teofilowie. Po tym, jak Caryca go upokorzyła, stawiając w sytuacji bez wyjścia.

Nie zdążyłem się nacieszyć tym momentem małego triumfu, ponieważ gdy tylko pistolet znalazł się poniżej poziomu mojej twarzy, Wiewiór natychmiast uniósł rękę. Sprawiał wrażenie coraz bardziej zdesperowanego.

– Powiedz, co na mnie masz.

– Nie. – Zaryzykowałem. Wstałem. – Powiem ci, co się teraz stanie. – Zrobiłem pół kroku w jego stronę. Spojrzałem w mroczną otchłań lufy, która znajdowała się kilkanaście centymetrów od mojej twarzy. Gdyby Wiewiórowi omsknął się palec, nie byłoby co zbierać. – Wyjdiesz z mojego mieszkania i zapomnisz o tej rozmowie. Wrócisz do siebie, spakujesz najpotrzebniejsze rzeczy i kupisz sobie bilet na samolot. Wyjedziesz do Tajlandii, Argentyny albo do Dżibuti. Byle jak najdalej stąd. A ja powiem jutro o tobie Demonowi. Oczywiście spuści na ciebie psy. Ale kilka tysięcy kilometrów od domu nikt cię nie znajdzie. W końcu sprawa rozejdzie się po kościach, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, za jakiś czas będziesz mógł wrócić. Potraktuj to jak kartę „Wychodzisz wolny z więzienia”.

– Co?

– Nie grałeś nigdy w eurobusiness?

Z opóźnieniem skojarzył, o czym mówię. Pokiwał głową. Opuścił broń. Ale zaraz potem ponownie ją uniósł.

– Lecisz ze mną w chuja?!

– Nie lecę. Daję ci dzień zapasu. Ponieważ nie jesteś moim priorytetem, pomogę ci przeżyć. Idę o zakład, że jeszcze od nikogo nie dostałeś takiego prezentu.

Wiewiór wiódł samotne, niemal pustelnicze życie. Nie miał żony, dzieci ani bliskich. Nie pielęgnował żadnych pasji, a przynajmniej o żadnych nie wiedział. Nawet nie sprawiał wrażenia faceta, któremu jakoś wybitnie zależałoby na kasie. Po prostu dryfował w życiowej szarzyźnie, popychając czas. Godzina po godzinie, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu. Skoro nagle zaczął sprzedawać demonów, to po pierwsze, musiało go spotkać coś traumatycznego, a po drugie, mimo wszystko chciał przetrwać. Dlatego wierzyłem, że podejmie rozsądną decyzję.

– Daj mi czterdzieści osiem godzin – powiedział, opuszczając broń, tym razem na dobre. – Chcę się pożegnać z paroma osobami.

Zerknąłem na zegar w rogu ekranu. Czternasta.

– Masz dwadzieścia dwie godziny. Jutro w południe spotkam się z Demonem. Jeśli chcesz się z kimś pożegnać, zrób to dzisiaj. Ale na twoim miejscu wyjechałbym od razu.

Wiewiór wydawał się bliski płaczu. I chyba żeby się nie rozryczeć przy mnie, wetknął klamkę w podnie i w pośpiechu wyszedł z mieszkania.

Opadłem na kanapę. Spuściłem głowę. Oddychałem. Haust po haście, za każdym razem coraz głębiej, coraz spokojniej. Kiedy wreszcie napięcie puściło, poczułem, że jestem potwornie zmęczony. Obolały. Zakwaszony. Wydrenowany. Jakbym przebiegł maraton, w którym nagrodą za ukończenie było butowanie.

Ponownie stanął mi przed oczami szeryf Bell z filmu braci Coen, który po obchodzie pokoju w motelu z ciężkim westchnieniem usiadł na kanapie i przetrął oczy. Wcale nie sprawiał wrażenia faceta, któremu udało się uciec przeznaczeniu. I ja też tak się nie czułem.

\* \* \*

Dotrzymałem słowa. Nazajutrz w samo południe pojechałem na Retkinię. Wysiadłem pod klatką i poczłapałem na górę. Zapukałem do drzwi. Nie miałem pewności, czy Demon tam będzie, ale kiedy mi otworzył, nie byłem zaskoczony. On też nie wyglądał na zdziwionego.

– Domyśliłeś się czy ktoś ci powiedział? – zapytał, podając mi herbatę. Oczywiście mocną jak sam skurwysyn.

– Domyśliłem.

– Jak?

– Ze sposobu, w jaki zareagowały tamte łebki na klatce. Bali się ciebie, ale nie byli zaskoczeni twoim widokiem. Jakby się natknęli na sąsiada. Poza tym każdy, kto chce się z tobą spotkać, od razu uderza tutaj, a mimo to jeszcze nikt nie widział twojej matki.

Demon nieznacznie skinął głową.

– Byłoby to dosyć dziwne, bo ona nie żyje. Zakrzepica po udarze mózgu. Nie popierała mojego pomysłu na siebie, ale mnie nie odrzuciła. Lubię myśleć, że nadal jest obecna w moim życiu. – Demon siorbnął łyk herbaty, nieprzerwanie wpatrując się w program informacyjny w telewizji. – Po co przyszedłeś?

– Chodzi o Wiewióra. To on jest człowiekiem, którego szukasz.

Jeżeli ta wiadomość zrobiła na Demonie jakiegokolwiek wrażenie, to nie dał tego po sobie poznać. Wydawało się, że bardziej zajmuje go wiadomość o inflacji.

– Szukałem – mruknął pod nosem.

– Co?

– Już nie szukam. – Demon pociągnął kolejny głośny łyk. Dopiero wtedy skupił się na mnie. – Zostało ci siedemnaście dni. Całkiem nieźle. Byłeś tylko o kilkadziesiąt godzin wolniejszy ode mnie.

Potrzebowałem paru sekund, aby przeprocesować jego słowa. A potem kilku następnych, żeby uformować jakąś ripostę, komentarz, cokolwiek. Coś, co nie byłoby ciszą.

– Nie wiedziałem, że też się tym zajmujesz.

– Tylko debil mógłby zostawić coś tak ważnego w cudzych rękach. – Spojrzał na mnie. – Uważasz mnie za debila?

– Nie.

– Od początku obstawiałem ciebie i Wiewióra. Właśnie dlatego waszej dwójce powierzyłem to zadanie. A potem uważnie obserwowałem, jak się z nim mierzycie.

Zakląłem w myślach. Co to znaczy, że nas obserwował? Czy widział moje spotkanie z Brennerem? Czy wie o moim bracie? Czy splądrował mi mieszkanie pod moją nieobecność? Może już dawno mnie rozgryzł, a teraz tylko urządza sobie zgrzewę przed odstrzałem?

– Rzeczywiście – kontynuował Demon – jesteś upartym i zdeterminowanym kolesiem. Bardziej niż Wiewiór. Tyle że brakuje ci ręki do ludzi. Zabrałeś się do poszukiwań od niewłaściwej strony. Ale przynajmniej wiemy, czym się kończy



wpieprzanie anabolików. – Minimalnie się uśmiechnął. – To umiejętność, którą zwykle nabywa się z wiekiem. Choć odrobina talentu nie zaszkodzi.

– Jak odkryłeś, że to Wiewiór?

– A nie jesteś bardziej ciekawy, dlaczego obstawiałem ciebie?

Dziwne. Słyszac to pytanie z ust Demona i widzac, jak na mnie patrzy tym swoim ołowianym, wyprutym z emocji wzrokiem, byłem bardziej zestrany niż wtedy, kiedy Wiewiór celował do mnie z pistoletu. SzeF nabojki miał niebywałą łatwość we wprowadzaniu ludzi w stan *near-death experience*.

– Pewnie dlatego, że słabo mnie znasz – wychrypiałem głosem, który ledwo wypełził z gardła.

Demon napił się herbaty. Odchrząknął.

– Różnisz się od pozostałych. Masz inne podejście do roboty. Widać, że to, co robisz, nie sprawia ci przyjemności. Wiewiórowi też się to nie podobało. I to jeszcze zanim Caryca wsadziła mu kij w dupę. – Demon podrapał się po twarzy. – Na początku myślałem, że to ciebie spotkała ta przyjemność. Ale za bardzo chciało ci się wykonać moje zadanie, żeby to mogła być prawda.

– Wczoraj był u mnie Wiewiór – wypaliłem, by pokazać, że jestem z Demonem całkowicie szczerzy.

– Wiem.

– Zachowywał się dziwnie. Jakby coś podejrzewał.

– To też wiem. Zaraz po spotkaniu z tobą odwiedził siostrę, z którą nie widział się od kilku lat. Wtedy zrozumiałem, że będzie próbował się wywinąć.

– Co się teraz z nim stanie?

Demon spojrział na zegarek.

– Od pół godziny nie jest już ani twoim, ani moim zmartwieniem. – Sięgnął po pilota i przełączył kanał. Na kolejnej stacji informacyjnej zaczynał się jakiś program publicystyczny. Pogłodził. – Wkrótce się do ciebie odezwę, ale teraz musisz już iść. – Zauważywszy, że nie zareagowałem na jego słowa, przeniósł na mnie wzrok. – Wypierdalaj.

Zrobiłem, co kazał.

Miałem nadzieję, że po wyjściu od Demona trochę wyluzuję. Nabiorę dystansu. Odetchnę. Nic z tego. *Near-death experience* trzymało mnie jeszcze przez kilka irytująco długich godzin.

## 22.

W ciągu paru następnych dni potwierdziły się wszystkie rzeczy, o których rozmawiałem z Demonem.

Po pierwsze, Wiewiór rzeczywiście zniknął. W efekcie Brenner i jego ludzie, którzy wciąż jeszcze nie zlokalizowali Pociska, ba, nawet nie wymyślili choćby jednego dobrego wytłumaczenia, co mogło się z nim stać, mieli na głowie kolejne zmartwienie: jak znaleźć trupa byłego policjanta i pociągnąć kogoś do odpowiedzialności za jego śmierć.

Po drugie, Demon faktycznie dopuścił mnie bliżej jądra organizacji. Wprawdzie nie widywałem go częściej niż dotychczas, ale już nie zajmowałem się kibolskimi pierdołami, tylko dostawałem polecenia bezpośrednio od zarządu nabojki. W ten sposób mogłem skrupulatnie i bez niepotrzebnego ryzyka gromadzić dowody przeciwko tym gnojom, mając nadzieję, że kiedyś trafią dzięki nim do ciupy, a ja odzyskam wolność. Bo umówmy się: dźwigając ten cholerny garb, nawet nie przypominałem wolnego człowieka.

A po trzecie, Demon najwyraźniej uznał, że muszę się jeszcze trochę poduczyć, ponieważ dokleił mnie do swojego najbardziej zaufanego człowieka, kazał mi go obserwować i wyciągać wnioski. Nawet – jak podkreślił – jeśli nie bardzo rozumiem, do czego mogłoby mnie to doprowadzić.

– Zerznąłbyś mężczyznę? – spytał Rocco, wpatrując się w zagłówek niczym w prompter podrzucający głupie pomysły.

– Nie bardzo rozumiem – odparłem.

– Przez długi czas myślałem, że nie mógłbym nikogo przecwelić. Że gdybym w pierdłu musiał się zająć parową, mógłbym go poniżyć, klepać łolą i wkładać mu łeb do sracza, ale nie byłbym w stanie włożyć chuja w męską dupę. Że nawet gdybym bardzo chciał, gdyby frajer zasługiwał na najgorsze świństwo, toby mi przy nim nie stanął.

Dojeżdżaliśmy do Zabrze na pierwszy mecz rundy wiosennej. Był słoneczny, choć mroźny lutowy poranek. Na początku podróży Rocco wykonał kilka telefonów, umawiając się ze Ślązakami w sprawie interesów i na ustawkę. Później zamilkł i nie odzywał się przez dobrą godzinę. I nagle, ni z dupy, ni z pietruchy, zaczął się dzielić ze mną i dwoma towarzyszącymi nam goryłami swoimi przemyśleniami na temat etykiety więziennej, które – celowo lub nie – niebezpiecznie skreślały w kierunku tego, co spotkało Wiewióra.

– Ale potem pomyślałem, że może to wcale nie jest takie trudne – kontynuował. – No bo czym się różni walenie w dupę faceta od kobiety? Otwór ten sam.

Opór pewnie podobny. Męska dupa jest bardziej owłosiona, ale można przytknąć na to oko, jeśli cel jest szczytny. Jakby się nad tym dobrze zastanowić, cwelenie wielce się nie różni od walenia konia z użyciem wyobraźni. – Rocco zamilkł. Analizował swoją tezę. Potem odwrócił się do mnie. – A ty? Dałbyś radę koś przecwelić?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Spróbuj. Nie walnąć typa w dupę, tylko o tym pomyśleć. Mamy czas.

Rocco utkwiał we mnie zblazowany, przekrwiony wzrok. Najwyraźniej czekał, aż go zabawię, rozerwę jakąś niefrasobliwą odpowiedzią.

– Nie wiem, czy można na to odpowiedzieć, nie będąc postawionym w takiej sytuacji – odparłem. – Tak samo jak nie wiesz, czy zabiłbyś człowieka, dopóki nie pociągniesz za spust.

– Jebany dyplomata. Sprawdziłbyś się w sejmie.

Po krótkiej erupcji rehotu towarzyszących nam goryli w samochodzie ponownie zapadła cisza. Niedługo później przerwał ją beznamiętny głos w GPS-ie, który oznajmił, że za kilkaset metrów mamy skręcić. Zjechaliśmy na stację benzynową i zatrzymaliśmy się na końcu betonowego parkingu. Rocco kazał przydupasom iść po hot dogi i colę, a następnie zadzwonił do Ślązaków. Po lapidarnej wymianie zdań wysiadł z auta. Zapalił szluga, obszedł furę od tyłu i zapukał w szybę na wysokości mojej głowy. Chciał, żebym do niego dołączył.

Niespiesznym krokiem ruszył w stronę parkingu dla ciężarówek. Przyglądał się rejestracjom równolegle zaparkowanych tirów. Kiedy znalazł pojazd, którego szukał, nerwowo zerknął za siebie, potem na mnie, a następnie, jakby nigdy nic, wszedł do kilkunastotonowego volva. A ja razem z nim.

Rocco zajął miejsce pośrodku, zostawiając mi przestrzeń z prawej strony kabiny. Po kilkunastu sekundach otworzyły się drzwi i na fotel kierowcy wgramolił się jakiś facet. Wyglądał jak typowy tirowiec: dzinsy, koszula w kratę, łańcuszek z Jezusem. Spod czapki z daszkiem wyrastały siwe włosy i nalana twarz. Nie dojrzyłem się u niego choćby jednej cechy, która mogłaby świadczyć o tym, że ma coś wspólnego z kibolami.

– Kiedyś już ci mówiłem, że masz nie wchodzić z petem do kabiny – wypalił tirowiec.

– Zapomniałem – odparł Rocco, po czym naślinił palce i zgasił papierosa.

Kierowca pokręcił głową.

– Sam wylażę na tę pizgawicę, aby zajarać, a w międzyczasie jakiś koleś ładuje mi się do samochodu z fajką. Jak to wygląda?

– Powiedziałem, kurwa, że zapomniałem. – Widząc, że tirowiec zerka w moją stronę, Rocco wskazał mnie kciukiem. – To mój nowy giermek. Przyuczam go do zawodu.

– Gównu mnie obchodzi, co to za jeden. Ważne, czy się nie rozpruje.

– Jeżeli coś odjebie, będzie naszym zmartwieniem, a nie twoim.

Tirowiec nie wyglądał na przekonanego, ale nie chciał przeciągać tego spotkania, więc przeszedł do rzeczy. Pochylił się do środka, jakby zamierzał objąć Rocco ramieniem, po czym sięgnął ręką za fotel. Z niewielkiego plecaka wyjął srebrną puszkę.

– W tym to wozisz? – zdziwił się Rocco.

– Najciemniej pod latarnią.

Kierowca wyrzwał przez przednią szybę, a następnie otworzył puszkę. Poczuliśmy zapach zwiędzłej kawy.

– Dycha. Tak jak się umawialiśmy. – Wydobył spomiędzy zmielonych ziaren tytkę z białym proszkiem. Wręczył ją Rocco. – W sam raz, żeby sprawdzić jakość i zasięgnąć opinii. Nie tykam tego syfu, ale koleś, od którego to mam, twierdzi, że można go parokrotnie pożenić z byle czym, a i tak będzie kopać.

Rocco otworzył tytkę. Włożył trzy palce do środka i pogładził opuszkami kostkę kokainy. Czule, wręcz pieśczośliwie. A potem zaczął skrobać paznokciem po jej powierzchni.

– Chodzą słuchy, że macie burdel w tej Łodzi – powiedział tirowiec.

– To znaczy?

– Śledziu zrobił jakąś krzywą akcję i znalazł się na cenzurowanym. Musi wyjechać z kraju. Ponoć Caryca już przejęła władzę i chce zgarnąć dla siebie całe miasto.

– Skąd to wiesz?

– Nawet na Śląsku ptaszki ćwierkają.

Rocco wzruszył ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo. A myślę, że coś bym wiedział, gdyby u żydów nastąpił przewrót. Długo tu będziesz?

– Ze trzy godziny. Przekimam się, a potem jadę do Trójmiasta.

– To dobrze.

Rocco odwrócił torebkę do góry nogami. Wysypał do wnętrza dłoni to, co zdołał wyskrobać, a następnie wciągnął koks. Prosto z ręki, szybko i bezrefleksyjnie. Jakby wpięprzał nosem vibovit.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?

– To, czego chciałeś. Testuję.

– Ale nie tu. Mam teraz, kurwa, siedzieć trzy godziny w miejscu, z którego zrobiłeś ćpalnię?

– Może krócej. Jeżeli nie potupie mnie tak, jak twierdzisz, wrócę z reklamacją. Nie będę sam. I z całą pewnością nie będę taki uprzejmy.

Kiedy wróciliśmy do auta, karków jeszcze nie było. Rocco skorzystał z okazji, aby wciągnąć na drugą dziurkę, po czym wetknął torebkę z kokainą do schowka w drzwiach. Widocznie on też uważał, że najciemniej jest pod latarnią.

– Dycha na testy. Tyle to pójdzie, zanim wejdem na stadion – prychnął. – Właśnie dlatego uważam, że każdy sprzedawca powinien używać swoich produktów.

– Może bał się przypału – zasugerowałem, ale Rocco zignorował moją uwagę. – To prawda, co mówił o Carycy?

Rocco poczęstował mnie karcącym spojrzeniem, jakbym złamał zasady *savoir-vivre'u*. Następnie kilkukrotnie pociągnął nosem, nieznacznie uchylił okno i zapalił papierosa.

– Nie wiem. Zapytaj brata.

Nie powiedział tego ani ze złością, ani z drwiną, ani w sposób zaczepny. Powiedział to tak, jakby oznajmiał najoczywistszy fakt na świecie.

\* \* \*

Nie potrafiłem rozgryźć Rocco. Nie mogłem pojąć, jak koleś z bogatego domu, który mógł zostać, kim tylko chciał, od prezesa sporej firmy po obiboka żerującego na ustawionych starych, wylądował w nabojce. Nie rozumiałem, dlaczego wołał tanie dziwki od ekskluzywnych prostytutek, dresiarzski rynsztok od nowobogackiego luksusu, brudne pieniądze od czystej mamony. I nie wiedziałem, co takiego zrobiłem lub miałem w sobie, że traktował mnie jak śmiecia.

Jednakże przede wszystkim nie byłem w stanie pojąć, dlaczego ktoś, kto mógł rozegrać życie na dziesiątki sposobów, biegł na czele pochodu złożonego z kilkudziesięciu widzewskich chamów, który zamierzał się zetrzeć z kilkudziesięcioma chamami z Zabrza. Ani dlaczego biegłem razem z nim.

Myślicie, że uczestniczyłem w ustawkach tylko dlatego, że musiałem? Że cierpiałem przez nie katusze? Cóż, właściwie chciałbym, żeby tak było. Ale prawda jest taka, że to była chyba najfajniejsza rzecz, jaką musiałem robić dla demonów. Niesamowicie podniecająca. Wyzwalająca. Rozbrajająca zmartwienia. Powodująca, że na kilkanaście minut zapomniałem o bożym świecie, koncentrując się wyłącznie na tym, by przetrwać. A przy okazji wyrządzić obcym sobie ludziom jak największą krzywdę.

Gdy zaczynała się ustawka, zamieniałem się w innego człowieka. Czułem się jak doświadczony żołnierz na polu bitwy. Skupiony, szybki, dostrzegający każdy detal, każdy ślamazarny ruch przeciwnika, każdy moment nieuwagi. Czułem, że tańczę między tymi napakowanymi świniami. Jak Natalie Portman w *Czarnym labędziu*. Jak Neo między kulami w *Matriksie*. Jak Batman na ulicach Gotham. Jak...

Oczywiście czasem byłem zbyt wolny. Czasem to oni tańczyli.

– Widzisz coś przez tę pizdę?

Odciągnąłem zamrożony kawał mięsa od twarzy i odłożyłem go na stół. Spróbowałem otworzyć oko. Nie było to ani łatwe, ani przyjemne, zwłaszcza że pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, była kwadratowa morda chuligana w bluzie Ruchu Chorzów, który pochylał się nade mną, pospiesznie jarając szluga.

– Widzę ciebie – odparłem, po czym ostrożnie rozejrzałem się po pokoju. – Widzę też twojego koleżkę i twoją żonę. A także mojego kumpla, który chyba już średnio trybi, gdzie jesteśmy.

– Pierdol się! – warknął Rocco, który może i słuch wciąż miał niezły, ale kończyny zdecydowanie odmawiały mu posłuszeństwa. Chwilę później pochylał się nad żoną Ślązaka, niemal kładąc jej głowę na biuście. – Jeszcze będę dzisiaj ruchał! – odgrażał się. – Ruchał będę!

– A ruchaj – rzucił koleś z Chorzowa, który wciąż lustrował moje opuchlizny na twarzy. – Tylko nie licz na to, że weźmie do pysia. Od podstawówki ma odruch wymiotny. Ale jak będziesz dla niej miły, to może pozwoli się ukłuć w kakao.

Spojrzałem na kobietę, zastanawiając się, jak zareaguje na słowa troskliwego i jakże szarmanckiego męża. Ale ona nie zareagowała wcale. Milczała. Nie wyglądała ani na zachwyconą, ani na załamaną. Jakby się pogodziła z byciem żoną koleśka, który, aby przetrwać, handluje narkotykami, a żeby się zabawić, napierdala się z ludźmi po krzakach. Jakby już dawno zaakceptowała takie życie ze wszystkimi jego konsekwencjami.

– Chcesz coś na głowę? – spytał koleś z Ruchu. – Jakiś apap?

– Daj mu, kurwa, szczura! – Rocco nagle odsunął się od kobiety, na którą wdrapował się jak koala na eukaliptus, i doskoczył do zastawionego butelkami stołu. Ściągnął z niego książkę i położył ją centralnie przede mną. – Jebnij wąsa. Dobrze ci zrobi. Może przestaniesz być taką marudną cipą.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w białą kreskę usypaną na twarzy Adolfa Hitlera, który zerkał na mnie z okładki *Mein Kampf*. W uszach brzęczały mi słowa Rocco i wpierdol, który niedawno obskoczyłem. W głowie panował chaos i wciąż buzowały poustawkowe emocje. Wewnętrzny głos podpowiadał, że powinienem odmówić. Zawsze odmawiałem. Zawsze potrafiłem znaleźć jakiś powód, by powiedzieć „nie”.

Ale nie tym razem.

Kameralny melanż w mieszkaniu chuligana Ruchu, będący swoistym afterem po ustawce, w której walczyliśmy po tej samej stronie barykady, całkiem niespodziewanie rozwinął się w potężną imprezę z udziałem kilkudziesięciu osób, wlewających się niczym szarańcza do jednego z chorzowskich familoków. Dla mnie był to wieczór pierwszych razów. Pierwszy raz wahałem koks. Pierwszy raz przegadałem w kiblu dwie godziny z nieznanym facetem. Pierwszy raz tańczyłem do disco polo. Pierwszy raz obnażyłem się publicznie.

Wreszcie pierwszy raz uprawiałem seks.

Gdy w mieszkaniu się przerzedziło, a impreza zaczęła dobiegać końca, wylądowałem sam na sam z dziewczyną, która przedstawiła się jako Alina z Płocka. Nie mam pojęcia, jak wylądowała na Śląsku, a tym bardziej w domu kibola Ruchu, ale zarówno dla mnie, jak i dla niej było to bez znaczenia. Chciała się zabawić. Obojętne z kim. A ja akurat byłem pod ręką.

Alina okazała się bardzo wyrozumiała dla mojej debiutanckiej nieudolności. Szczerze wątpię, czy zaspokoiliem ją swoim kilkuminutowym występem, ale nie dała po sobie poznać rozczarowania. Kiedy skończyliśmy, wciągnęła na tyłek różowe majtki, włożyła wymiętą bluzkę, zapaliła szluga i po turecku usiadła na łóżku. Chwilę później schyliła się po leżący na podłodze telefon.

– Spójrz – powiedziała. – Dwie godziny temu twój kolezka wciągał kreski z sedesu.

Poderwałem się z pozycji leżącej do półleżącej i spojrzałem na ekran. Rzeczywiście Rocco usypał ścieżkę w miejscu, w którym ludzie sadzają dupę, i przyłożył do niej zwinięty w rulon stuzłotowy banknot.

– Skąd to masz? – zapytałem.

– To jego telefon. Sam sobie zrobił zdjęcie. Rzadko się zdarza, żeby ktoś przepił koks, ale temu typowi się udało.

Wziąłem od niej telefon. Obejrzałem zdjęcie. Pomyślałem o czymś bardzo, bardzo niebezpiecznym.

– Gdzie on teraz jest?

– Leży najebany w sąsiednim pokoju. Ponoć zasnął w trakcie ruchania.

Pomachałem do dziewczyny telefonem.

– Jak go odblokowałaś?

– Znam wzór.

– Podaś mi?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, co za to dostanę.

Nie myśląc długo, schyliłem się do leżących obok łóżka spodni. Wyjąłem z kieszeni portfel, a z niego całą gotówkę, jaką zabrałem na wyjazd. Mogło tego być z trzysta, może trzysta pięćdziesiąt złotych. Wszystko, co miałem, podałem Alinie. A ona popatrzyła na pieniądze i mnie wyśmiała.

– Nie jestem kurwą, gamoniu. Chciałam tylko buziaka.

– No tak. – Podniosłem się, aby ją pocałować, ale dziewczyna szybko się odsunęła.

– „W”. Jego wzór to „W”. Jak Widzew.

Gdy tylko Alina z Płocka wyszła z pokoju, zacząłem przeglądać telefon Rocco. I po raz pierwszy poczułem, że mogę z tego bałaganu wyjść na swoich warunkach.

\* \* \*

Rocco nie przestawał mnie zaskakiwać. W jego telefonie znalazłem masę nieroztropanych esemesów, zdjęć i kontaktów do ludzi, z którymi robił interesy. Żadnych szyfrów, żadnych zabezpieczeń, żadnej konspiracji. Wszystko wyłożone jak na tacy. Po drugim najważniejszym człowieku w potężnej organizacji przestępczej oczekiwałem czegoś więcej, ale najwyraźniej go przeceniłem. Albo nie doceniłem destrukcyjnej mocy jego uzależnienia.

Kiedy wróciliśmy z Chorzowa, przekazałem Brennerowi dane, jakie w trakcie długiej nieprzespanej nocy udało mi się wyciągnąć z telefonu Rocco, gdy zrobiłem setki zdjęć jego zawartości swoim smartfonem. Brenner odczekał zaś dwa tygodnie, aby nie dało się powiązać ze mną wycieku informacji, i zaczął wykonywać swoją robotę. Wypuścił ludzi w teren. Funkcjonariusze CBS śledzili i wyłapywali osoby współpracujące z nabojką: hurtowników, paserów, dilerów, gości odpowiedzialnych za transport dragów, broni czy kradzionych towarów, wszelkiej maści przewalaczy, którzy wikłali się z nimi w lewe biznesy. Policjanci zakładali podsłuchy, zastawiali pułapki, organizowali zakupy kontrolowane. Konsekwentnie zatrzymywali najróżniejszych cwaniaków i wyciągali z nich zeznania obciążające kolejnych członków nabojki. Włącznie z Rocco.

Wciąż nie mieliśmy dowodów przeciwko Demonowi, ale byłem przekonany, że uwalenie go jest tylko kwestią czasu. Niczego więcej.

W dodatku sprzyjały nam okoliczności. Tirowiec miał rację – Caryca przejęła władzę. I w przeciwieństwie do swojego nieudolnego facia wzięła się ostro do roboty. Według Brennera nie było dnia, w którym ktoś z warriorsów nie doniósłby na kogoś z demonów. Zdarzało się, że przyłazili z jakimiś głupotami, ale poważnie podrzucali całkiem poważne tropy, które pozwalały policji jeszcze mocniej nadepnąć gangusom na odcisk. Oczywiście gdyby się wydało, że warriorsi współpracują z psiarnią, Caryca byłaby skończona w świecie chuligańskim. Tyle że Demon nie miał nic poza podejrzeniami, a Brenner i spółka bardzo pilnowali, aby tak pozostało.

Nie mogę powiedzieć, że spłynął na mnie błogi spokój, ale na pewno poczułem coś w rodzaju ulgi. Nadal wykonywałem robotę dla nabojki, starając się zbliżyć do jej szefa, lecz wreszcie nie czułem noża na gardle. I nie było mi już tak bardzo wstyd. W końcu to dzięki mnie – i niekontrolowanemu ćpaniu Rocco – mury zaczęły pękać. Dzięki mnie szumowiny zniknęły z ulic. Dzięki mnie jedni gangsterzy wysypywali drugich. Stworzyłem pieprzone perpetuum mobile. Problemy demo-



nów rozprzestrzeniały się niczym zaraza, na którą nie da się wynaleźć remedium. Można jedynie czekać na unicestwienie całej populacji.

No więc czekałem, najcierpliwiej jak potrafię, aż wszystkie klocki wskoczą na swoje miejsce. Wybuchalem wewnętrznym szczęściem za każdym razem, gdy słyszałem o kolejnych zatrzymaniach czy wypadkach podczas przemytu narkotyków. Rozkoszowałem się upadkami obrzydliwych typów, którzy uważali mnie za kolegę. A gdy Brenner w końcu zawinął Rocco, wyciągając go w zimną marcową noc z burdelu, zaćpanego, schlanego i w samych gaciach, kupiłem najdroższe wino w swoim osiedlowym sklepiku i urządziłem w mieszkaniu jednoosobową imprezę. Momentami tak głośno rżałem ze szczęścia, że sąsiad zaczął walić miotłą w sufit.

Dopiąłem swego. Sprawilem, że nadszedł czas rozliczeń. Dzień sądu.

\* \* \*

– Za powolną i bolesną śmierć Demona. – Brenner stuknęła się ze mną kuflem. – I za niekończącą się jurność jego współlokatorów w kryminale.

– Chyba jeszcze za wcześnie na świętowanie.

– Później może nie być tak łatwo. Takie tematy potrafią się ciągnąć latami. Rozprawy, odroczenia, apelacje. Zeznania świadka incognito, świadka koronnego, świadka takiego, srakiego. Z doświadczenia wiem, że kiedy tylko nadarza się okazja do świętowania, trzeba z niej skorzystać.

Spotkaliśmy się w jakiejś zapuszczonej spelunie pod Pabianicami, niedaleko wylotówki na drogę S8. Brenner zawsze wybierał dziwne miejscówki, aby zminimalizować ryzyko, że zostaniemy zdemaskowani. A teraz, dodatkowo, sam był dziwny. Jakby szczęśliwy. Jakby otumaniony. Jakby nie dopuszczał do siebie myśli, że coś może pójść nie tak, choć obaj mieliśmy jeszcze masę roboty do wykonania.

– Co później? – zagaił Brenner.

– Później?

– Gdy będzie po wszystkim. Masz już jakiś plan?

– Na pewno chciałbym skończyć studia. Jeśli nie dla siebie, to dla matki.

– Prawo?

– Może. Nie wiem. Przez pierwszy rok jakoś się przeczołgałem, ale drugi to już był hardcore. Inna sprawa, że w ogóle nie miałem czasu na naukę.

– Prawo jest przereklamowane. Mnóstwo absolwentów nie pracuje w zawodzie, a wiedzę z kodeksów najczęściej można sobie wsadzić w dupę.

– A ty skąd to wiesz?

– Z opowieści. Nawet nie wiesz, ilu prawników wsadziłem do ciupy. – Brenner oszczędnie się uśmiechnął. – Myśleli, że znajomość prawa jest dla nich przepustką do bezprawia, ale to nie takie proste. Zresztą żadna robota nie jest prosta. Włącznie z bandyterką.

– Mam nadzieję, że nie będziesz mnie namawiał, żebym wstąpił do psiarni.

– A skąd! To taka robota, do której grzech namawiać. Poza tym nie bardzo się nadajesz.

– Czemu?

– Jesteś zbyt prawy. A przez to za miękki. Za delikatny. Kiedy cię werbowaliśmy, myślałem, że wyławiamy większego chuligana.

To chyba był komplement, ale czasem trudno było mi zrozumieć intencje Brennera.

– A ty jak zostałeś psem?

– Z głupoty i lenistwa. – Policjant ściągnął spory łyk piwa. – Rozważałem dwie drogi w życiu. W pierwszym wariacie miałem zostać lekarzem lub fizjoterapeutą, w każdym razie kimś związanym z medycyną. Ale gdy zacząłem się wgryzać w temat, odkryłem, że nie uśmiecha mi się wkuwanie na pamięć tych wszystkich anatomicznych bzdetów, a ze zdrowotnych tematów interesuje mnie jedynie dietetyka. A przecież nie mogłem zostać typem, który będzie doradzał grubasom, czego nie powinni żreć.

– A drugi wariant?

– Własny biznes. Jestem przedsiębiorczy i zawsze lubiłem liczyć kasę. Długo szukałem pomysłu na własną firmę. A gdy tak rozmyślałem i pierdziałem w stolek, kumpel ze Świętochłowic powiedział, że zostanie psem. Z braku laku uznałem, że zrobię to co on. Potem przenieśliem się do Łodzi, bo już miałem dość życia na Śląsku. A później zrekrutowałem się do CBS i z jakiegoś powodu mnie przyjęli.

– Sam wpadłeś na to, żeby grzebać w kibolskich tematach?

– Tak jak mówiłem, jestem przedsiębiorczy. Musiałem wymyślić siebie w biurze. Od zawsze uważałem, że największą patologią Łodzi jest piłka nożna. Działa jak wirus, który infekuje tysiące mieszkańców, a w przypadku zaskakująco wielu z nich przekształca się w śmiertelnie groźną chorobę. W CBS to był mocno niezagospodarowany temat, ponieważ kibolami zajmowali się głównie goście z Komendy Wojewódzkiej i Komendy Miejskiej. Ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, aby grubsze chuligańskie tematy rozgryzało CBS albo jakiś inny trzyliterowiec. Nie miałem emocjonalnego stosunku do tego miasta, a tym bardziej do jego klubów, więc uznałem, że spróbuję. Zdybałem paru chłopaków, którzy opowiedzieli mi, jak ten pierdołnik wygląda, a potem wykombinowałem, że wypłenię to dziadostwo.

– Kiedy to było?

– Z osiem, może dziewięć lat temu.

– I jak ci idzie rozmontowywanie pierdolnika?

– Gorzej, niżbym chciał, ale na tyle dobrze, że szefowie pozwalają mi się tym zajmować.

Brenner się nachmurzył. Widocznie tymi pytaniami obudziłem w nim jakieś nieprzyjemne wspomnienia. Albo świadomość, że wciąż jest daleko od zrealizowania swojej misji.

– Jednego nie rozumiem – powiedziałem. – Ten problem ciągnie się od dawna. Demon trzęsie miastem od lat, a przed nim na Widzewie byli inni. Po drugiej stronie miasta jest podobnie: zresztą ledwo upadł Śledziu, a władzę przejęła Caryca. W innych miastach pewnie dzieje się to samo.

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, że na świecie padają wielkie rodziny mafijne i baronowie, którzy dorobili się na dragach miliardowych fortun, a my nie umiemy sobie poradzić z jakimiś łysymi obszczymurami w szalikach. Przecież to się nie trzyma kupy.

– Właśnie dlatego powiedziałem, że największą patologią tego miasta jest piłka nożna. Sama w sobie nie jest problemem i trudno ją za cokolwiek winić, ale stanowi idealny pretekst do tego, żeby się wokół niej gromadzić. To dlatego nie wystarczy wykończyć jednego Demona, bo zaraz w jego buty wskoczy kolejny. Nie wystarczy rozwalić jedną nabojkę, bo na jej miejscu pojawi się nowa. Piłka niechcący kreuje ten dysfunkcyjny świat. Żeby go zniszczyć, trzeba by zorać oba łódzkie kluby i wyrzucić w pizdu sto lat tradycji.

– Czyli kibolstwo jest jak Hydra. Wyrzywasz głowę, a na jej miejsce powstają dwie następne.

– Tyle że mniejsze, słabsze i takie, które znasz od początku. A lepiej jest się mierzyć z rozpoznanym wrogiem niż z czymś, czego nie rozumiesz. Są też tacy, którzy uważają, że lepiej jest wrogiem mądrze zarządzać, zamiast próbować go wypłenić.

– No tak. Dzięki temu możecie się czuć zawsze potrzebni.

– Jedni czują się potrzebni, a inni wykorzystują to do bratania się z kibolami. Tworzą z nimi jeden symbiotyczny organizm. I czasem tak się wzajemnie uzupełniają, że nie potrafią bez siebie żyć.

Dziwne. Mniej więcej to samo usłyszałem kiedyś od Carycy. Być może to naprawdę był jeden wspólny świat. Świat oślizgłych i zaradnych gadów, które próbują podporządkować sobie rzeczywistość. A ja byłem jednym z nich. Nie mniejszym, nie większym. Ani gorszym, ani lepszym. Po prostu jednym z wielu prawdziwych łódzkich skurwysynów.

## 23.

Mówi się, że nieszczęścia chodzą parami, ale najwyraźniej to samo dotyczy uśmiechów losu. Bo gdy obserwowałem, jak kolejni gangsterzy trafiają za kratki, jak wsypują najlepszych ziomeków albo jak ze strachu robią pod siebie, zadzwoniła Asia. Podziękowała, że pomogłem Kamili – choć tak naprawdę nic w tej kwestii nie zrobiłem, po prostu Ażmi w którymś momencie znudził się dziewczyną – i zasugerowała, że kiedyś moglibyśmy wyskoczyć na kawę. Nie zmarnowałem okazji i skontrowałem ją zaproszeniem na obiad w centrum i na długi spacer do domu po nim. Żeby nie zawiązało nam się sadełko jak u Kubusia Puchatka. Naprawdę to powiedziałem. A ona naprawdę się roześmiała i przystała na moją propozycję.

– Byłeś tu kiedyś? – spytała, strzelając wzrokiem po sąsiednich stolikach. – Wygląda całkiem *fancy*.

– Kolega był – skłamałem. Prawda była taka, że znałem tylko te lokale, które należały do chuliganów, do których chadzali chuligani albo o których usłyszałem od chuliganów. Znalezienie miejsca, które nie ma nic wspólnego z widzewskim lub ełkaesiackim kibolstwem, okazało się nie lada wyzwaniem. Kiedy na siłowni usłyszałem o knajpie należącej do geja, pomyślałem, że to może być niezły trop. – Podobno mają tu świetne steki.

– Nie jem mięsa.

– I łososia.

– Ryb też nie.

– To co jesz?

– Coś, czego nie trzeba zabijać, żeby człowiek mógł władować w siebie kalorie.

– Rośliny też się w pewnym sensie zabija. Idąc tym tokiem rozumowania, umarlibyśmy z głodu.

– To by nie było takie głupie. Słyszałeś o antynatalizmie?

– Anty czym?

– To taka koncepcja filozoficzna, która sprzeciwia się prokreacji i uznaje przyrost naturalny za moralne zło. Antynataliści postrzegają to jako skazywanie niewinnych istot na niezасłużone cierpienie. Według nich jesteśmy wynaturzonym, egoistycznym gatunkiem, który nie powinien zabiegać o przetrwanie. A samoza-głada to najlepsza rzecz, na jaką możemy się zdecydować.

– Studiujesz filozofię?

– Wyłącznie hobbystycznie.

Potrzebowaliśmy trochę czasu, aby przełamać lody. Była to głównie moja wina. Odzwyczałem się od rozmów na poziomie. Musiałem się na nowo nauczyć koegzystować z ludźmi mającymi inne zainteresowania niż chłanie, ćpanie i okładanie się po pyskach. I choć nauka wiodła przez filozoficzną dysputę o planowym kresie ludzkości, niesamowicie mnie to kręciło.

- Czym się właściwie zajmujesz? – spytała.
- Jeszcze do niedawna studiowałem prawo.
- Do niedawna?
- Wyłożyłem się na drugim roku.
- A masz jakąś alternatywę?
- Tylko pracę.
- W Widzewie?
- Powiedzmy.

Nie chciałem jej okłamywać, ale nie miałem szczególnego wyboru. Liczyłem na to, że już niedługo będę mógł wszystko odkręcić, a Asia jakoś to zrozumie.

- A kibicowanie skąd ci się wzięło?
- Jak wszystko w życiu: z egoizmu i przypadku.
- Egoizm rozumiem, ale jak przez przypadek można wejść na stadion i zacząć wyzywać czyjeś matki od kurew albo udawać małpę? Poza tym co w tym fajnego?
- Chyba właśnie to. Plemienność. Pierwotność. Podczas meczu możesz na chwilę zapomnieć, że żyjesz w cywilizowanym świecie, w którym wszystko jest spętane regułami. Gdzie każdy, niezależnie od stopnia swojej niezależności, musi się trzymać konwenansów. Gdzie wszystkie zachowania odbiegające od normy są piętnowane. A pod Zegarem może cię spotkać kara tylko za to, że nie dość mocno angażujesz się w doping.

Asia uważnie mi się przyglądała. Przetwarzała moje słowa, próbując wydobyć z nich sens. Nie wiem, czy jej się udało, ale nie zwyzywała mnie od kretynów. A to już jakiś sukces.

Kiedy podeszła kelnerka, wybraliśmy jedzenie; w drodze kompromisu postawiłem na grillowanego łososa, a Asia na burgera z soczewicy. Potem przez kilka minut rozmawialiśmy o pierdołach. Obwąchiwaliśmy się. To znaczy Asia mnie obwąchiwała, a ja starałem się nie przytłoczyć jej swoją ekscytacją. W końcu było to nasze pierwsze prawdziwe spotkanie. Pierwsza szansa na zawiązanie znajomości. Pierwsza randka. Oczywiście Asia mogła uznać mnie za troglodytę, z którym nie ma ochoty więcej się widywać. Ale choć nie miałem żadnego doświadczenia z kobietami, coś w jej zachowaniu, mimice, sposobie mówienia, tonie głosu albo drobnych gestach sugerowało, że tak nie będzie.

- Pójdę zająć – oznajmiła.
- Przed jedzeniem?

– I przed, i po. Każdy ma jakieś grzeszki.

Myśląc o jej grzeszkach i figlarnym uśmiešku, z jakim o nich wspomniała, patrzyłem, jak wkłada kurtkę, wsuwa na czubek głowy szydełkową czapkę i przetrząsa torebkę w poszukiwaniu papierosów. Nie chciałem wyjść przed nią na krzesełko, więc gdy tylko ruszyła do wyjścia, przerzuciłem swoje zainteresowanie na menu. Skakałem wzrokiem między deserami, zastanawiając się, czym właściwie są brownie, panna cotta i tiramisu, gdy nagle kobieca torebka wylądowała na stole.

– Już?

Zdziwiony uniosłem głowę. A wtedy zdziwiłem się jeszcze bardziej.

– Jak to jest, że każdemu w twojej organizacji pali się grunt pod nogami, a ty świergoczesz sobie z dziewczyną w restauracji? – spytała Caryca. I nie czekając na moją odpowiedź, której pewnie i tak by nie usłyszała, podjęła: – Nie wygląda to dobrze. Ktoś przewrażliwiony na punkcie lojalności mógłby wyciągnąć z tego niewłaściwe wnioski.

– Czego chcesz?

– Wszystkiego. – Jej słowa zabrzmiały brutalnie prawdziwie. – Na początek spotkania z twoim szefem. Już dawno powinniśmy porozmawiać o interesach, a mam nieodparte wrażenie, że mnie unika. Co, jak wiemy, nie zawsze dobrze się kończy dla ludzi, którymi się wysługuje. Mam krótki lont. – Uśmiechnęła się, nienaturalnie wyginając nabrzmiałe usta. – Potem chciałabym pogadać z tobą. Jeśli byś mi się spodobał, być może złożyłabym ci pewną propozycję.

– Już ci mówiłem, że nie jestem przerzutem. Nie przekabacisz mnie.

Caryca pobłażliwie pokręciła głową.

– Nie muszę. Wiem, co z ciebie za ananas.

– Gównu wiesz.

Powiedziałem to głośniejszym głosem, niż zamierzałem. Wystarczająco głośno, aby skupić na nas uwagę połowy lokalu.

– Wystarczy, że znam twojego braciszka. I że wiem, co zrobiliście z tym rudym cwelem. – Kolejny sztuczny, jadowity uśmiešek. – Choć zupełnie nie rozumiem, dlaczego go zapierdoliliście. – Caryca wstała, otworzyła torebkę i wyjęła telefon. Popatrzyła na mnie z góry, a chwilę później podetknęła mi smartfon pod nos. – To na zachętę. Już nie musisz się o niego martwić.

Patrzyłem na ekran najwyżej przez trzy sekundy. Tyle jednak wystarczyło, abym rozpoznał na zdjęciu Pociska.

Caryca miała rację: już nie musiałem się o niego martwić.

– Pozdrów koleżankę.

Wychodząc z lokalu, szefowa warriorsów minęła się z Asią, która nieco skonsternowana stanęła obok krzesła.

- Kto to był? – zapytała.
- Znajoma.
- Z pracy?
- Z innego działu.

\* \* \*

Z niespodziewanego spotkania z Carycą wyniknęły dwie rzeczy: dobra i zła.

Przy całej upiorności losu, jaki spotkał Pociska, pocieszające było to, że przestał stanowić dla mnie zagrożenie. Oczywiście nie miałem pojęcia, co przekazał ludziom, którzy go dorwali, ale gdyby szefowa warriorsów wiedziała o moim policyjnym układzie, z pewnością próbowałaby to wykorzystać. Niewykluczone, że ten biedny raperek zabrał moją tajemnicę do grobu.

Zła wiadomość była taka, że Caryca wzięła mnie na celownik. Miała wobec mnie jakiś plan, w którym na dodatek zamierzała użyć Karola. Jak? Dlaczego? Co w ten sposób chciała ugrać? Tego nie wiedziałem. Ale cokolwiek planowała, nie mogłem nie potraktować jej poważnie. A to oznaczało, że musiałem poinformować o naszym spotkaniu człowieka, z którym nie miałem najmniejszej ochoty rozmawiać.

– Robi sobie silent disco. – Szejk uskoczył w tył, wykonując unik przed skapującą z kielbasy musztardą. Następnie ugryzł stadionowy specjał i wskazał łokciem siedzącego kilka rzędów dalej Demona. – Władynie akiwiksy obiły się megaopularne.

– Co?

Szejk w pośpiechu przeżuł to, co miał w ustach.

– Umyj uszy. Powiedziałem, że w Londynie takie wiksy zrobiły się megapopularne. Wbijasz do klubu, a tam zamiast nawalającej z głośników muzy dostajesz słuchawki, na które jeden z kilku DJ-ów zapuszcza ci kawałki. Wyobraź to sobie: podbijasz do typiary, słuchając rapsów, podczas gdy ona, totalnie nastukana, giba się do techniawki.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w Demona, próbując sobie wyobrazić, jak wywija na parkiecie. Była to niebywale abstrakcyjna wizja.

– Przecież jesteśmy na stadionie – powiedziałem.

– Tak mi się tylko skojarzyło. Chodzi o to, że Demon jest w swoim świecie, więc lepiej się nie wpierdalaj.

– Muszę.

Rozgrywaliśmy ósme spotkanie rundy wiosennej. Naszym rywalem była Wisła Kraków, z którą mieliśmy dziwną słodko-gorzka relację, przeplataną okresami sympatii, neutralności i nienawiści. Gniazdowy rozgrzał kibicowskie gardła

i podkreślił temperaturę pod szczelnie wypełnionym Zegarem. Z głośników rozpędział się *Taniec Eleny* Michała Lorenca, elektryzująca startówka meczowa, która przewyższała większość klubowych hymnów. Krótko mówiąc, emocje były takie, że niejedyn kibol pewnie popuścił w gacie. Tymczasem Demon, siedzący w bocznej części sektora, otoczony przez Skorpiona, Sub-Zero i kilku wściekle flugających dzieciaków, ze słuchawkami w uszach, wzrokiem wbitym w ziemię i z palcami stukającymi w kolano, wydawał się zupełnie niezainteresowany tym, co się dzieje na trybunach. Ani tym bardziej na boisku. Przypominał katatonika, który przesadził z neuroleptykami.

Nie był to widok zachęcający do konwersacji. Ale musiałem spróbować.

– Nie przeszkadzaj mi – powiedział Sub-Zero, zagrażając mi dostęp.

– W czym?

– Nie wiem, kurwa. W kontestowaniu.

– Chyba kontemplowaniu.

– Jeden chuj. Demon chce być sam. Jeśli tego nie kumas, to masz za daleko do łba. Umów się na audycję.

– To nie jest papież.

– Żeby się, kurwa, nie zdziwił.

Odwrócił się do Demona, aby się upewnić, że postąpił słusznie. Ten jednak zasignalizował, że może mnie przepuścić. Przez chwilę miałem wrażenie, że Sub-Zero wytrze moją głęba beton. Ale w końcu ustąpił. Uszanował wolę króla.

Usiadłem obok Demona, czekając, aż łaskawie wyjmie słuchawki z uszu. Zrobił to dopiero po kilkunastu sekundach.

– Musiałem poczekać do końca utworu – wyjaśnił. – Nie należy przerywać artystom.

– A jeśli słuchasz płyty w domu i nagle musisz wyjść?

– Nie jestem człowiekiem, którego można do czegoś zmusić. – Skarcił mnie spojrzeniem, jakbym powiedział coś skrajnie głupiego. I chyba rzeczywiście tak było. – Ale gdyby do czegoś takiego doszło, zostawiłbym włączoną wieżę. Nie należy przerywać artystom – powtórzył. – Czego chcesz?

– Rozmawiałem z Carycą. Namierzyła mnie, gdy byłem na mieście.

– No i?

– Chce się spotkać. Z tobą. Bezpośrednio. Powiedziała, że chodzi o interesy.

Kiedy piłkarze wyszli na murawę, a *Taniec Eleny* dobiegł końca, stadion tak się rozwrzeszczał, że musieliśmy zawiesić rozmowę.

– Dobrze – odparł Demon, kiedy ustał tumult. – Spotkajmy się. Pójdiesz ze mną.

– Ja?



– Ty. – Zerknął na Sub-Zero i Skorpiona. – Oni się słabo sprawdzają w rozmowach biznesowych, są zbyt narwani. Rocco chwilowo nie może. W tej sytuacji muszę sięgnąć po młodą gwardię.

Pokiwałem głową. Pomysł na spotkanie z Carycą ani trochę mi się nie podobał, ale przecież nie mogłem się sprzeciwić woli króla.

Spodziewałem się, że Demon ponownie wetknie słuchawki do uszu i wróci do swojego pokręconego świata, ale on wskazał palcem kilku najwyżej dwunastoletnich lebków, którzy stali dwa rzędy niżej i wyzywali piłkarzy Wisły.

– To dzieciaki Sub-Zero i Skorpiona – wyjaśnił. – W ciągu dnia wagarują i pomagają naszym w jakichś prostych robótkach, a wieczorami snują się po osiedlu i kroją rówieśników. Nie uważasz, że są za młodzi?

– Na co?

– Na nasz świat.

– Prędzej czy później i tak by do niego weszli. Im szybciej odkryją, z czym to się je, tym lepiej dla nich. Wówczas rzeczywistość ich nie zawiedzie.

Demon przytrzymał mnie wzrokiem. Po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że naprawdę analizuje moje słowa.

– Złudzenia są piękne. Tylko one utrzymują nas przy życiu.

Chwilę później włożył słuchawki, wbił wzrok w beton i wrócił do świata, do którego tylko on miał klucze. Przez dłuższy moment siedziałem obok, trochę obserwując kolejne erupcje agresji młodocianych gangsterów, a trochę zerkając na szefa nabożki. Wyglądał na przegranego. Coś go stłamsiło. Spowodowało, że stracił swoje właściwości. Już mnie nie przerażał do cna. Był po prostu dziwny. Pokraczny w swojej dziwności. Przerazająco groteskowy.

Caryca miała rację. Okręt demonów tonął. Dla większości chuliganów jedynym sensownym rozwiązaniem wydawało się wskoczenie do szalupy ratunkowej, którą podstawiła pod burtę. I modlenie się o to, aby ich potem nie zepchnęła do morza.

Nie macie pojęcia, jak się cieszyłem, że nie muszę się decydować na ten krok.

\* \* \*

Doskonale rozumiałem, że Caryca nie chciała się spotykać w Łodzi, ale nie miałem pojęcia, dlaczego wybrała akurat hotel Marriott w Warszawie. Nasza skromna delegacja – złożona ze mnie, Demona oraz dwóch obcinaczy palców, którzy towarzyszyli nam pod Częstochową – wyruszyła do stolicy w deszczowy wtorek, pierwszy po Wielkanocy. Niedawno oddany do użytku odcinek autostrady A2 pokonaliśmy w atmosferze sennej niepewności. Zaparkowaliśmy przy dworcu Warszawa Centralna, przeszliśmy podziemiami na drugą stronę Alei Jerozolimskich i weszliśmy do lobby Marriotta.

Powiedzieć, że pośród eleganckich mężczyzn z kabinówkami wyglądaliśmy jak słonie w składzie porcelany, to jak nic nie powiedzieć. Ignorując lękliwe spojrzenia gości, nasz dresiarSKI kwartet władował się na ruchome schody i wjechał na drugie piętro, gdzie w jednej z hotelowych restauracji miała czekać Caryca. I czekała, a razem z nią cały jej dwór, złożony z kilku rozrośniętych mutantów, dwóch adiutantów oraz mojego brata.

Mojego, kurwa, brata.

Małego Karolka. Faceta, który nie należał do nabożki, nie nadawał się do ochrony i nie mógł na nikim zrobić wrażenia.

Z wyjątkiem mnie.

– Lubię działać na terenie wroga, to mi fajnie podnosi adrenalinę – powiedziała Caryca, najwyraźniej czując potrzebę wytłumaczenia się z wyboru miejsca. – Mam cichą nadzieję, że wieści o naszym przyjeździe dotrą do legionistów. Choć wątpię, żeby mieli wystarczająco duże jaja, aby zrobić porotę w takim miejscu. – Zatoczyła ręką okrąg. – W ostateczności czeka nas bitka z psiarnią.

– Akurat po to nie musieliśmy przyjeżdżać do Warszawy – zauważył Demon, zajmując jedyne wolne miejsce przy stoliku, naprzeciwko Carycy.

– Wiem. Ale byłam ciekawa, jak bardzo jesteś zdesperowany.

Caryca próbowała dogryźć Demonowi. Upokorzyć go na oczach swoich i jego ludzi. Ale jej niewysublimowane docinki spływały po nim jak po kaczce.

– Spotkaliśmy się, bo mam dla ciebie propozycję. – Zerknęła na Karola, który z pewnym opóźnieniem zareagował na jej zainteresowanie, ponieważ gapił się na mnie równie intensywnie jak ja na niego. Nerwowo sięgnął do przewieszanej przez ramię torby i wyjął starannie złożoną mapę. Kiedy rozłożył ją na stoliku, okazało się, że to plan Łodzi. – Ponieważ ostatnio kiepsko wam się wiedzie, a nam wręcz przeciwnie, pomyślałam, że wyciągnę do was pomocną dłoń.

– W zamian za co? – spytał Demon.

– Nowy podział miasta. – Karol ponownie zajrzał do torby i po chwili wręczył Carycy czerwony flamaster. A ta powoli i dokładnie zaczęła kreślić nim po mapie. – Do nas będą należały te osiedla. A także te. I może jeszcze to. A wy weźmiecie sobie caaałą resztę.

Kiedy skończyła, Demon niechętnie pochylił się nad planem.

– Albo ci się ręka omsknęła, albo chcesz nam zostawić tylko Widzew.

– I niemal wszystkie podłódzkie pipidowy. To uczciwy podział, biorąc pod uwagę, że nie macie czym handlować, ekipa wam się wykrusza, a psy na was siedzą. Zniknięcie z radaru dobrze wam zrobi. – Caryca odłożyła flamaster, położyła dłoń na mapie i zaczęła w nią bębnić palcami, przykuwając uwagę do swoich ogniste czerwonych tipsów. – Nie musisz od razu podejmować decyzji. Ale

prawda jest taka, że lepszej propozycji nie dostaniesz, więc właściwie nie masz się nad czym zastanawiać.

Tylko trzy osoby wydawały się niezainteresowane rozgrywką przy stoliku. Jedną z nich byłem ja. Zaaferowany obecnością Karola, próbowałem zrozumieć, w co się wpakowaliśmy i jak właściwie do tego doszło. Drugą był mój brat, który sprawiał wrażenie przytłoczonego sytuacją. Nie był gangsterem, nie miał zadatków na gangstera i nie potrafił udawać gangstera, a mimo to stał pośród ludzi, którymi gardził, którzy gardzili nim i z którymi pewnie nawet w najbardziej ponionych snach nie wyobrażał sobie jakkolwiek obcować.

Trzecią osobą był Demon.

On z kolei wymownie ignorował Carycę, przyglądając się jej przydupasom. Każdemu z osobna. Na każdym przez chwilę zawieszając wzrok. Niezrażony chrząknięciami i ponagleniami liderki warriorsów, która w pewnym momencie nawet zaczęła do niego machać, robił przegląd jej wojsk. Jakby próbował każdemu z tych chamów coś powiedzieć, coś bezdźwięcznie przekazać. Jakby próbował ich omamić, oczarować, zahipnotyzować spojrzeniem. Jak jakiś guru albo Rasputin. Jak zaklinacz kiboli.

– Namyśliłeś się, marzycielu? – spytała Caryca.

Demon westchnął i wolno się podniósł.

– Nic z tego nie będzie – oznajmił.

Caryca zaśmiała się w głos.

– Nie umiesz robić interesów z ludźmi, którzy nie mają kutasa?

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– O to, że jesteś kurewsko głupia. – Demon dopiero teraz spojrzął na Carycę. Z góry, z wyższością. – Ale nie przejmuj się, bo to nie twoja wina. Po prostu od ciągnięcia druta rozłączyły ci się synapsy. Kurwom to się zdarza. Ryzyko zawodowe.

Caryca śmiała się coraz bardziej, coraz głośniej, coraz histeryczniej.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo masz przejebane. Zniszczę cię. Zniszczę cię, kurwa! Słyszysz?!

Demon ją słyszał, bo musiał słyszeć, ale z pewnością już nie słuchał. Ruszył w kierunku schodów, a ja i jego goryle razem z nim. Wszyscy byliśmy doskonale świadomi, że właśnie skończyło się koleżeńskie podszczypywanie, a zaczęła wojna. Najprawdziwsza z prawdziwych. I zapewne najbardziej krwawa ze wszystkich dotychczasowych.

## 24.

Byłem zbyt zaabsorbowany obecnością mojego brata, aby od razu załapać, co zrobił Demon. Pojąłem to dopiero dzień po spotkaniu, gdy w siedzibie nabojski przy Kilińskiego zjawili się dwaj elkaesiacy, których widzieliśmy w Marriotcie. Obaj ostro przeklinali Carycę. I obaj twardo deklarowali, że od teraz do końca świata chcą pracować dla demonów. Dla Demona. Pod Demonem.

Lider widzewskiej nabojski okazał się świetnym psychologiem. Domyślił się, że bez względu na brutalność i bezwzględność Carycy zgraja troglodytów nie będzie chciała wykonywać poleceń kobiety. Że wystarczy jeden mały impuls, impulsik, żeby pękli. Jedna maleńka sugestia, że postępują jak frajerzy. A on przekazał ją w najdobitniejszy sposób z możliwych: stawiając się na spotkaniu z minimalną, choć prawidłową obstawą, okazując tej niby groźnej babie całkowity brak szacunku i częstując elkaesiaków – i to każdego z osobna – spojrzeniem jednoznacznie sugerującym, że dla niego są tylko nieogarniętymi parówami.

Wkrótce pojawili się kolejni chuligani wątpiący w liderkę Elksy. Wprawdzie większość nie decydowała się na tak drastyczny krok, jak zostanie przetrzudem i przejście na stronę wroga, ale warriorsi zaczęli się kruszyć. Niektórzy kibole otwarcie kwestionowali decyzje szefowej, inni zakładali własne frakcje wewnątrz organizacji i planowali obalenie Carycy, a jeszcze inni – i tych było najwięcej – po prostu wycofywali się z organizacji, bojąc się wojny między przerażającym Demonem a nieobliczalną i niedoświadczoną kobietą.

Płyty tektoniczne jeszcze raz zadrżały. Układ sił w mieście ponownie zaczął się zmieniać, ale zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażała szefowa warriorsów. W Marriotcie zamiast zbudować mit założycielski swoich rządów, Caryca być może zapoczątkowała ich upadek.

Widząc, jak Demon ponownie rośnie w siłę, postanowiłem zrobić dwie rzeczy.

Po pierwsze, zamierzałem doprowadzić do jego jak najszybszego zamknięcia. Z chwilą, gdy Demon odzyskał kontrolę, taktyka na przeczekanie straciła rację bytu. Walcząc na kilku frontach – z elkaesiakami, z policją, ze sprzedajnymi chłopakami z własnej ekipy – mógł popełnić błąd, który kosztowałby go wolność. Wydać o jedno polecenie za dużo, za mało albo za głośno, zapomnieć o jakimś ważnym detalu, pospieszyć się albo zadziałać zbyt wolno.

Ale nie popełnił.

Teraz, gdy ponownie stał się niekwestionowanym samcem alfa, wydawało się to już mało prawdopodobne. Za to istniało duże prawdopodobieństwo, że będzie chciał szybko i gwałtownie zgnieść Carycę. Upokorzyć ją i zyskać pełną władzę

nad miastem. Musiałem tylko zmusić go do błędu. Wykorzystać to okienko, zanim zamknie się na dobre. Ściągnąć Demona z ulicy, a potem liczyć na to, że prokurator udupi go dowodami i zeznaniami jego obsranych po pachy giermków.

Po drugie, postanowiłem zapomnieć o bracie. Jebać go. Jebać Karolka i jego problemy. Nigdy nie byliśmy sobie szczególnie bliscy, nawet gdy za dzieciaka trzymaliśmy się razem, więc dlaczego przez całe życie miałbym brać za niego odpowiedzialność? Nie jestem pieprzoną Matką Teresą, aby z ratowania zaćpanego i zakompleksionego braciszka zrobić życiową misję. Już raz za niego nadstawiłem karku i do dziś tego żałowałem. To jego życie, jego wybory. Najwyższa pora, aby zaczął ponosić ich konsekwencje.

Musiałem poinformować Brennera o zmianie strategii. Przekonać go, że to jedyny słuszny kierunek działania. Że tylko w ten sposób możemy załatwić Demona. A przy odrobinie szczęścia jesteśmy w stanie zrobić to tak, że w mieście zapanuje bezkrólewie, co krótkotrwale najpewniej zaowocuje wielkim chaosem i niekontrolowanymi wybuchami agresji, ale długofalowo osłabi pozycję kiboli i ograniczy przestępczość. *Win-win*.

Brenner nie był zachwycony, gdy w krótkiej rozmowie telefonicznej – bez wdawania się w szczegóły, których jeszcze nie wymyśliłem – przedstawiłem mu swój plan. Powiedział tylko, żebym się wstrzymał z jakimikolwiek ruchami, dopóki nie skonsultuje mojego pomysłu ze swoim szefem. Kazał mi dalej robić swoje i nie kombinować.

Robiłem więc swoje, udając, że nic się nie wydarzyło. Jeździłem na mecze, chodziłem na siłownię i ćwiczyłem muay thai, spotykałem się z ludźmi, którzy po krótkiej przerwie znowu zapragnęli robić interesy z demonami. Randkowałem z Asią, nie dowierzając, że jeszcze się do mnie nie zraziła. Nawet odkopałem kodeksy i zacząłem poważnie rozważać powrót na studia. W końcu to gówno miało się wkrótce skończyć. Musiało. Nie wyobrażałem sobie innego scenariusza.

Cieszyłem się tą względną normalnością. Zdałem sobie z tego sprawę, gdy po jednym z poranych treningów szedłem chodnikiem wzdłuż Narutowicza i zerkałem w stronę parku imienia Stanisława Moniuszki. Nagle naszła mnie ochota, aby na chwilę przycupnąć między klombami. Pooddychać, pomyśleć. Albo wręcz odwrotnie – nie myśleć wcale. Zapomnieć, że jeszcze wiele musi się wydarzyć, zanim osiągnę spokój ducha, i poudawać, że już mam to za sobą.

Niestety nie zdążyłem.

Zanim skręciłem do parku, wyprzedził mnie samochód, najechał na krawężnik i zatrzymał się na awaryjnych. Szary opel nie wyglądał znajomo. Ale gdy go mijalem, pasażer uchylił szybę.

– Przepraszam, czy wie pan może, gdzie w tym mieście stoją kurwy? – Przez dłuższą chwilę przyglądałem się mężczyźnie, który zadał to pytanie. Nie dlatego, że go nie rozpoznałem. Po prostu nie spodziewałem się go kiedykolwiek zoba-

czyć. – Wsiadaj. Wspólnie ich poszukamy. Poruchamy, pośmiejemy się. Będzie fajnie.

Pierwsze spotkanie z tym człowiekiem odmieniło moje życie. Coś mi podpowiadało, że konsekwencje drugiego będą podobne.

\* \* \*

Zdarza nam się zapamiętywać rzeczy, które pozornie są bez znaczenia. Wpełzają pod czaszkę i ryją ślady w oponach mózgowych. Z czasem przepoczwarczają się we wrzody, w blizny, w traumy. Nie można ich zakryć ani wymazać. Można jedynie żywić nadzieję, że nigdy o sobie nie przypomną. Ale lepiej na to nie liczyć.

Z pierwszego spotkania z Brennerem zadziwiająco dobrze zapamiętałem jego milkliwego kumpla z nalaną mordą. A w szczególności tłuste paluchy, którymi wymiatał moje frytki. Przypomniałem sobie tamten dzień, kiedy zobaczyłem te paluchy na zagłówku fotela kierowcy, centralnie przed oczami. Próbowalem odwrócić wzrok, nie patrzeć na nie, nie myśleć o nich, nie myśleć w ogóle, ale one nie chciały zniknąć. Wręcz przeciwnie. Ciągle w mojej głowie pęczniały. Szeptaly o szramie na oponach, która po latach ponownie zaczęła śwędzić.

– Gdzie jedziemy? – spytałem.

– Na spotkanie z człowiekiem, który uratuje ci życie – odparł Brenner, który wyjątkowo nerwowo prowadził samochód.

– Czyli?

– Podpowiem ci. Jest stary, nosi okulary i wkłada czarną kieckę do roboty. Ale o ile mi wiadomo, nie gwałci dzieci.

– Prokurator?

– Bingo – powiedział Brenner, a grubas, którego imienia i nazwiska do dziś nie poznałem, skwitował moją odpowiedź kilkoma cichymi kłaśnięciami w dłonie. W te tłuste, obleśne łapska. – To fajny facet. Polubicie się.

W prokuratorze, który zgodził się, abym został tak instrumentalnie potraktowany w walce z nabojką, widziałem raczej człowieka, który spierdolił mi życie, zamiast je uratować. Ale być może była to tylko kwestia innego punktu siedzenia.

Brenner zawiózł nas na teren ogródków działkowych sąsiadujących z Lasem Ruda-Popioły, niedaleko południowej wylotówki z miasta. Zostawiliśmy samochód na parkingu z betonowych płyt, a następnie przeszliśmy przez zardzewiałą bramę. Minęliśmy kilka altan i dotarliśmy pod drucziane ogrodzenie. Zatrzymaliśmy się na zwirowej ścieżce, pośrodku niczego.

– To tutaj? – spytałem.

– Chyba tak. – Brenner zapalił papierosa, a następnie wyjął telefon i wybrał numer. – Jesteśmy – powiedział do aparatu.

Chwilę później usłyszeliśmy trzask. Z oddalonej o kilkanaście metrów szklarni wyłonił się mężczyzna. Granatowy sweter, sprane džinsy, szary kaszkiet. Do tego grube okulary dominujące na chudej, pomarszczonej twarzy.

– Wybaczcie, ale nie zaproszę was do altanki. – Zmierzając w naszym kierunku, ściągnął rękawice ogrodowe. – W środku jest taki bajzel, że tylko jego autor powinien go oglądać.

– Nie szkodzi. – Brenner wycelował szlugiem w szklarnię. – Warzywa przetrwały zimę?

– Jedne przetrwały, inne nie, tak to już w życiu bywa. – Mężczyzna przywitał się z policjantami, a następnie stanął przede mną. Zlustrował mnie od stóp do głów i wyciągnął przed siebie dłoń. – Wojtek Ferenc. Poznaliśmy się trzy lata temu. Tak jakby. To znaczy ja ciebie poznałem.

Niechętnie uściśniłem jego dłoń. Miękką, mokłą, ciepłą. Zapewne śmierdzącą gumą.

– Co tu robimy? – zapytałem.

– Kończymy naszą współpracę – powiedział Brenner, upuszczając peta na zwirowaną ścieżkę i krzyżując ręce na klatce piersiowej. – Rekomendujemy, żebyś wypełnił ostatnie zobowiązania wobec nabojki, o których nas informowałeś, a potem odciął się od tego środowiska i na jakiś czas zniknął z horyzontu. Później wspólnie się zastanowimy, jak wykorzystać twoją wiedzę. Najlepiej, gdybyś zeznawał jako świadek incognito. Albo koronny, jeżeli pracując dla nabojki, pozwoliłeś sobie na zbyt dużo. Ale bez obaw. Ani my, ani prokuratura nie mamy problemu z tym, żeby załatwić ci relokację i nową tożsamość. – Brenner spojrzał na Ferencę, a ten pokiwał głową. – Krótko mówiąc, jesteś wolny. Pomożesz nam formalnie domknąć kilka tematów i rozejdziemy się w swoje strony.

– Wykonałeś kawał dobrej roboty, za co jesteśmy ci ogromnie wdzięczni – dodał Ferenc.

Przez chwilę patrzyłem na jego rozweseloną gębę, po czym przeniosłem wzrok na Brennera.

– Nie mogłeś mi tego sam powiedzieć?

– Woląłem to zrobić przy najważniejszych osobach dla twojej operacji. – Wskazał ręką grubasa. – Czarka, który cię zrekrutował, oraz nadzorującego całe przedsięwzięcie prokuratora Ferencę.

Parsknąłem.

– Bałeś się, że cię oleję?

– Szczerze? – Brenner zanurkował do kieszeni, wyjął paczkę i włożył kolejnego papierosa do ust. Zapalił, po czym zaczął przekładać w palcach swoją miniaturową zapalniczkę. – Po prostu już mi się nie chce z tobą obsrywać.

Grubas uśmiechnął się pod nosem. Jeżeli to rzeczywiście on wymyślił, abym został konfidentem, miał powody do zadowolenia. Znalazł upierdliwego i nieodpuszczającego typu, który z zahukanego chłopaczka przeistoczył się w faceta gorliwie próbującego zwalczyć najbardziej przerażającego przestępcę w mieście. Ale jeśli Czarus naprawdę dobrze znał się na ludziach, powinien wiedzieć, że w tym stanie mógłbym go zatłuc jak psa.

– Dlaczego teraz? – spytałem. – Przecież właśnie wjechaliśmy na ostatnią prostą. Nabojka się reorganizuje. Demon próbuje odzyskać prymat w mieście. To idealny moment, aby go dojechać. Trzeba to tylko zrobić szybko.

– On nic nie kuma – powiedział Brenner do prokuratora, jakby mnie z nimi nie było. – Koleś spędził prawie trzy lata z małpoludami i nadal nie rozumie ich języka.

– Komisarz Brenner chce powiedzieć, że kiedy zaczyna się wojna między nabojkami, lepiej jest się wycofać – wyjaśnił prokurator.

Po nim pałeczkę przejął Czarus:

– Inaczej mówiąc, groźba wpierdolu zamienia się w poważne ryzyko utraty życia. Przy odrobinie szczęścia Pocisk i Wiewiór mogliby o tym napisać doktorat. To nie jest najlepszy moment, aby złapać Demona, tylko ostatni, żeby cię wycofać. Niech dzikusy same się powyrzynają.

Pokręciłem głową. Parokrotnie powtórzyłem w myślach, że muszę zachować spokój. Spokój. Spokój...

– Przez kilka lat babrałem się w tym gównie, starając się nie ześwirować – powiedziałem. – Nie było dnia, żebym nie drżał o swoje życie i nie żałował, że dałem się w to wrobić. I kiedy jesteśmy o włos od złapania Demona, chcecie mnie wycofać. Dlatego zapytam wprost: czy czasem was nie popierdoliło?

Nie uśmiechała mi się przeprowadzka. Nie chciałem mieszkać w obcym mieście pod fikcyjną tożsamością. Miałem swoje życie, które mogłem rozegrać na tysiące różnych sposobów. I po kilku latach niewoli postanowiłem to zrobić po swojemu, na własnych warunkach. Dlatego pójście w koronę nie wchodziło w grę. A skoro nie zamierzałem się stąd wynosić, musiałem sprawić, aby Demon na wiele lat wylądował w pierdлу, a jego organizacja przestała istnieć. Byłem przekonany, że mogę to zrobić. O ile te pieprzone gryzpiórki mi pozwolą. Dlatego postanowiłem zagrać z nimi ostro.

– Wywołałeś falę, która powoli wymiata tych gnojków z ulic – stwierdził prokurator. – Na razie łowimy głównie płotki, ale od płotek się zaczyna. Teraz musimy tylko uważnie obserwować sytuację i czekać na potknięcie Demona.

– On sam z siebie nie popełni błędu. Trzeba go sprowokować.

– Komisarz Brenner też tak uważa. I być może macie rację. Ale musisz zrozumieć, że nie zawsze chodzi o to, by złapać najgrubszą rybę w stawie. Czasem lepiej jest złowić jak najwięcej ryb. Kiedy łowisko opustoszeje, gruba ryba zacznie



wariować. Nie będzie miała się przed kim prężyć. Straci poważanie. W końcu umrze w sposób naturalny. To samo może się stać z Demonem. On bez swoich ludzi nie istnieje, a ci już niedługo przestaną mu służyć. – Ferenc spojrzął na policjantów. – Pokażcie mu.

Czarek rozchylił kurtkę i zanurkował do wewnętrznej kieszeni. Wyjął złożoną na pół kartkę. Podał mi ją, nie spuszczając ze mnie irytująco rozbawionego wzroku.

– Co to jest? – zapytałem.

– Lista ludzi, którzy wkrótce trafią do pierdła – wyjaśnił Brenner. – Na każdego z nich mamy kwity. Dowody, nagrania, zeznania innych gangusów. Nie powinniśmy ci tego pokazywać, bo to już nie twoje zmartwienie, ale najwyraźniej jest to jedyny sposób, żebyś przestał srać żarem.

Spojrzełem na listę. W pierwszej chwili żadne z nazwisk nic mi nie mówiło. Jakbym doznał pomroczości jasnej.

– Wyciągamy cię z tego szamba – powiedział prokurator. – O ile pozwolisz się wyciągnąć.

Spojrzełem na prawnika, który potakiwał własnym słowom, a potem ponownie na kartkę. Wziąłem głęboki wdech. Zmusiłem się do skupienia. Przeleciałem wzrokiem przez listę, nazwisko po nazwisku. Umysł wreszcie zaskoczył i zaczął dopasowywać je do pseudonimów. Okazało się, że kojarzę większość osób. Razem imprezowaliśmy, krzyczeliśmy na stadionie, biliśmy się za Widzew. Doświadczyliśmy tak wielu skrajnych, przegiętych emocji, że wytworzyła się między nami więź. To nie była przyjaźń ani sympatia. Raczej coś w rodzaju braterstwa. Jakiegoś metafizycznego zrozumienia.

Dziwnie się poczułem na myśl, że choć nie wszyscy faceci z tej listy są źli do szpiku kości, to każdy z nich lada dzień może trafić do pierdła. I to przeze mnie. Przez to, że miesiącami ich zwodziłem.

– Kiedy chcecie ich zawinąć? – spytałem.

– Już zawijamy – odparł Brenner. – Możesz być pewny, że na tych kilkunastu łóbkach się nie skończy.

Doszedłem do końca listy, a potem jeszcze raz przeleciałem ją wzrokiem. Nie znalazłem nazwiska, którego szukałem.

– To co, rozumiemy się? – spytał Ferenc.

Nie odpowiedziałem. Zamiast tego zwróciłem grubasowi kartkę, odwróciłem się na pięcie i ruszyłem w stronę parkingu.

\* \* \*

– Przepraszam – wymamrotałem, stawiając dwie butelki piwa na stoliku. – Niepotrzebnie wyjechałem z tą laską. Znam tę historię tylko z jednej strony, więc nie

miałem prawa robić ci wyrzutów. Zresztą nawet gdybym wiedział o was wszystko, nie powinienem był wyskakiwać z takim tekstem. Nie mój cyrk, nie moje małpy.

Ażmi rozejrzał się po mordowni, do której niegdyś regularnie przychodziliśmy na mecze, i pociągnął kilka potężnych łyków, jakby czekał na to piwo cały dzień.

– Trochę jednak twój cyrk i twoje małpy, bo zarywasz do tej drugiej. Do mądrali. Moim zdaniem to zły pomysł, ale nie zamierzam się wpierdalać. – Odstawił piwo i rozłożył ręce. – W tej kwestii masz absolutną rację.

– Czyli co? Było, minęło?

Nie odpowiedział. Zamiast tego zaczął zdrapywać odklejającą się etykietę z butelki.

– Przez telefon mówiłeś, że chcesz pogadać o bracie – przypomniał.

– Ogólnie chciałem pogadać.

– Już ci mówiłem, czym mogą się skończyć jego wygłupy.

– Wiem i wołałbym tego uniknąć. Problem w tym, że nie mam na niego żadnego przełożenia. Karol ma w dupie moje rady. Czasem odnoszę wrażenie, że gotów jest spierdolić sobie życie, byle tylko zrobić mi na złość.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Poprosić najlepszego kumpla o pomoc.

Mocniejszym pociągnięciem palca Ażmi ściągnął całą etykietę.

– Myślisz, że mnie posłucha?

– Nie wiem. Może.

Wiem, wiem, mówiłem, że dam sobie spokój z bratem. Że musi się nauczyć samodzielnie radzić sobie z problemami. Że nie ponoszę winy za to, gdzie wylądował. Ale jeśli Brenner, prokurator i ta niechlujna świnia mają rację, Karol znalazł się w oku cyklonu. Dlatego musiałem zapomnieć o swoich postanowieniach i schować dumę do kieszeni, a następnie unurzać się w wazelinie i zanurkować w anusie faceta, który przynajmniej jeszcze przez chwilę miał pozostać na wolności.

– Trochę zjechałeś – stwierdził Ażmi. – Przyszedłeś mnie przeprosić i zapytać o przysługę. W takiej sytuacji browar to zdecydowanie za mało. – Skinął brodą w kierunku baru. A właściwie w kierunku wiszącej nad nim półki z różnymi wódkami i whisky. – Jutro rano powinienem ogarnąć parę spraw, ale chuj. Braci się nie traci, nie?

Stuknęliśmy się szkłem. Chwilę później podszedłem do baru i poprosiłem o butelkę czystej.

Pół litra, dwa piwa i sto dwadzieścia minut później wyszliśmy z lokalu. Przesadziłbym, mówiąc, że znowu staliśmy się bliskimi kolegami, ale niezłe nam się rozmawiało. Mieliśmy sporo do nadrobienia i każdy chciał się wygadać. Jednocześnie obaj robiliśmy to na zaciągniętym hamulcu, nie mając odwagi w pełni się przed sobą otworzyć. Do czasu.

– Muszę ci się do czegoś przyznać. – Mówiąc to, Ażmi obsikiwał jedną z budek przy skrzyżowaniu Wojska Polskiego ze Strykowską. Stałem kilka metrów obok, patrząc to na zde gustowanych nami przechodniów, to na stróżkę moczu, która niebezpiecznie spływała w moim kierunku. – W jednej ósmej jestem Cyganem.

Odwrócił się do mnie i wyszczerzył te swoje paskudne zębiska z tej swojej paskudnej bladej gęby. Miałem wiele różnych, często zaskakujących skojarzeń z Ażmim, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że może mieć coś wspólnego z Romami.

– To, że się wychowałeś z Cyganami, nie znaczy, że jesteś z nimi spokrewniony – odparłem.

– Nie o to chodzi. – Ażmi zapiął rozporek i podszedł do mnie. – Moja prababka była Cyganką. Pradziadek, co ciekawe, wielki fan Dmowskiego, poznał ją na bazarze. Zabujał się po uszy i postanowił wyrwać ją z taboru. Ponoć i Polacy, i Cyganie grozili mu za to śmiercią, ale on był bardzo uparty i bardzo odważny. Albo po prostu głupi. W każdym razie ostatecznie wyszło na jego. Moja matka twierdzi, że Cyganie spod Zgierza mogą być naszą daleką rodziną.

– Lepiej, żebyś nikomu o tym nie mówił. Chłopak albo w to nie uwierzą, albo cię rozjadą.

– Jesteś jedyną osobą, która o tym wie. Jeśli się wyda, będę wiedział, do kogo mieć pretensje.

Ażmi odebrał ode mnie butelkę, którą chwilę wcześniej kupiliśmy w monopolowym, uderzył w denko, rozpieczętował ją i pociągnął z gwinta. Podałem mu sok grejpfrutowy, żeby zapił. Chwilę później odtrąbiłem bliźniaczy ceremoniał.

– Wiesz, co robią Cyganie na Wszystkich Świętych? – zapytał.

– Modlą się?

– Piją. A wiesz gdzie? – Ażmi wskazał palcem na drugą stronę Strykowskiej.

– Żartujesz?!

– Poważnie. Będziesz nakurwiał wóde, depcząc historię ze swoim białym cygańskim bratem.

Pomysł Ażmiego ani trochę mi się nie podobał. Ale nie mogłem nie zaśmiać się z jego słów.

Kiedy weszliśmy na teren cmentarza na Dołach, Ażmi zaczął opowiadać o cygańskich zwyczajach. Przekonywał, że romskie rodziny różnie obchodzą Wszystkich Świętych. Jedne wspominają bliskich symbolicznym napitkiem, inne robią

wielogodzinne biesiady. On znał jedynie wariant wymyślony przez swoją matkę. Pośredni. Ponoć zawsze się rozklejała, gdy dyskretnie opróżniała piersiówkę nad grobem swojej rodziny – cygańskiej babki i półkrwi cygańskiego ojca. Za każdym razem opowiadała te same historie, jakby niewiele wiedziała o bliskich albo jakby alkohol pozwalał jej wydobyć z odmętów pamięci tylko jeden zestaw anegdot. Ażmi zapamiętała, że choć nie wybrzmiewała z tych wspomnień groza życia w komunistycznej Polsce, była przy tym przeraźliwie smutna. I on też był smutny, kiedy o tym mówił.

Aż mi się zrobiło go żal.

Odniosłem wrażenie, że dopiero w trakcie popijawy na cmentarzu dobrze go poznałem. Zrozumiałem, że nie jest zły z natury. Że ukształtowało go dzieciństwo spędzone w domu pozbawionym szczęścia. W całkowitej beznadziei. W przekonaniu, że w życiu chodzi wyłącznie o minimalizowanie cierpienia. Dlatego gdy odkrył, że może być inaczej, wbił się w tę szansę zębami, tymi długimi, krzywymi, wystającymi z gęby zębiskami, i za nic w świecie nie zamierzał jej puścić.

– Pogadamy o Karolu? – zapytałem, gdy kończyliśmy butelkę.

– Jeszcze nie teraz.

– A kiedy?

– Jak już się wyprztykamy z innych tematów. Albo gdy coś mi się spierdoli na głowę.

Nie rozumiałem, dlaczego to odwleka. Ale to ja liczyłem na pomoc Ażmiego, a nie odwrotnie, więc musiałem grać według jego zasad.

Po wizycie na cmentarzu zamówiliśmy taryfę i pojechaliśmy na Pietrynę. Zjedliśmy po kebabie, a potem wstąpiliśmy do monopolowego. Kiedy uzbiliśmy się w czteropak, stało się dla mnie jasne, że zakończę ten wieczór zgonem.

– Musimy na chwilę zajrzeć na Polesie – wypalił nieoczekiwanie Ażmi.

– Po co?

– Pocą to się nogi nocą. Zobaczysz. Nie pękaj.

Nie uśmiechało mi się szwendanie po terenach, na których mogliśmy się naktnąć na elkaesiaków, ale byłem już mocno zubożniały na swój los. Nie przeszkadzało mi nawet to, że Ażmi, zapewne po to, by jeszcze podgrzać atmosferę, zaczął intonować widzewskie przyśpiewki.

– To tutaj – oznajmił, zatrzymując się przed jednym z bloków przy alei 1 Maja.

– Co?

– Burdel. Bajzel. Kurwidomek.

Popatrzyłem na pomazaną szarą ścianę i zrozumiałem, że Ażmi jednak nie był ze mną szczery. Wcale się nie pogodził z rozstaniem z Kamilą. Wręcz przeciwnie.

– Po co tu przyszliśmy?

Ażmi otworzył pierwszą z czterech puszek. Upił kilka łyków, oblewając sobie przy tym brodę. Następnie popatrzył na mnie jak na kosmitę.

– Będziemy robić to, na czym znamy się najlepiej.

– Czyli?

– Porutę.

Jak zapowiedział, tak zrobił. Zaczął śpiewać.

*Gdzieś jest, lecz nie wiadomo gdzie,  
Świat, w którym kurwy gnieźdzą się.  
Jebana Kama mieszka w nim,  
Co wśród kurewek wieździe prym.  
Tę kurwę, którą tu widzicie, zowią Kamąqąq.  
Wszystcy Kamę znają i napierdalająqąq.  
Czeego, kurwo, szukasz tuuu?  
Tylko chyba wpierdolu.  
La la la la la la la la laaaa!*

Intonowanie przerobionej na troglodycki paszkwil *Pszczołki Mai* zajmowało bardzo wysokie miejsce na liście rzeczy, na które nie miałem najmniejszej ochoty. Zwłaszcza gdy w kamienicy zapaliły się światła i straciliśmy anonimowość. Uderzyło mnie wtedy, jak jesteśmy żałośni. Ale czułem na sobie ponagląjące spojrzenie Ażmiego. I wiedziałem, że tego cholernego wieczoru muszę spełnić każdą, nawet najdurniejszą z jego prośb. Po raz pierwszy. I oby ostatni.

Wiedziałem też, że do listy przykrości, jakie zafundował mi Karolek, będę musiał doliczyć jeszcze jedną: utratę niedoszłej dziewczyny.

Po żenującym recitalu, wysikaniu się pod oknem Kamili i zostawieniu pustych puszek na parapecie odeszliśmy z miejsca hańby. Zanurzyliśmy się w jedno z podwórek na Polesiu. Przycupnęliśmy na murku. Odpaliliśmy po ostatnim piwie. A na pewno ostatnim dla mnie, bo wiedziałem, że kolejnego już nie zdołam w siebie wlać.

– Jestem zmęczony – wymamrotałem.

– Tym krótkim spacerkiem?

– Życiem.

– A co cię tak gniecie?

– Nie tak je sobie wyobrażałem. Miałem zostać prawnikiem. Ślęczęc z nosem w książkach. Martwić się egzaminami. I tym, czy w końcu kogoś zaliczę. – Za-

śmiałem się. – Nigdy, kurwa, nie myślałem, że zostanę gangusem.

Ażmi wpatrywał się we mnie zamglonym wzrokiem, równocześnie gmerając w kieszeni dresów. W końcu wyjął sfatygowaną paczkę papierosów. Zapalił.

– Moja matka często powtarzała, że każdy może przeżyć życie na dwa sposoby, całkowicie od siebie różne – stwierdził. – Długo jej nie wierzyłem. Myślałem, że zawsze będę nieudacznikiem. Frajerem. Popychadłem w szkole, popychadłem w jakiejś gównianej pracy, popychadłem na co dzień. Ale potem przyszedł do mnie pewien facet i złożył mi propozycję, dzięki której mogłem rozpocząć inne życie. To, o którego istnieniu nawet nie wiedziałem. Nieświadomie przypomniał mi o słowach matki. I dlatego dopóki żyję, będę jego dłużnikiem. – Ażmi wyciągnął do mnie rękę. Przybiliśmy piątki. – Ten facet pokazał mi świat, w którym tacy jak ja, tacy jak my, mogą być, kim tylko zechcą. Mówisz, że jesteśmy gangsterami? Może i tak. Ale moim zdaniem jesteśmy przede wszystkim wolnymi ludźmi. Panami swoich decyzji i pragnień.

Potrząsnąłem głową. Jeśli rzeczywiście byliśmy wolnymi ludźmi, to ta świadomość nigdy się nie przebiła do mojego mózgu.

– Ten świat płonie – powiedziałem.

– Wiem.

– Rozpadamy się na cząsteczki. Na jebane kawałki ludzkiego mięcha.

– Wybraliśmy życie z krótkim terminem ważności. Wiedziałem o tym, kiedy składałeś mi propozycję. I ty też musiałeś to wiedzieć. Nasz czas mija i nic tego nie zmieni. Możemy tylko spowolnić albo przyspieszyć rozkład. Tylko po jaki chuj mielibyśmy zwalniać na ostatniej prostej, skoro do tej pory tak dobrze się bawiliśmy?!

Przez senność i upojenie ledwo nadążałem za słowami Ażmiego. A może w jeszcze większym stopniu przez to, że po incydencie sprzed kilkunastu minut nie potrafiłem dostrzec w nim filozofa.

– Twój brat jest dokładnie w tym samym miejscu co my – powiedział nagle Ażmi. – Jego czas też się kończy.

– Karol nie jest gangusem.

– To bez znaczenia. Ważne, że już nie można go uratować.

– Co to, kurwa, znaczy?

Ażmi ciężko sapnął.

– Nie znam szczegółów, ale przyciął kilku naszych chłopaków na hajs. Na gruby hajs. Potem, żeby uniknąć szybkich konsekwencji, zakręcił się koło żydostwa, które z jakiegoś powodu zapewniło mu ochronę. Sprawa może i rozeszłaby się po kościach, ale Demon się o tym dowiedział.

– Kiedy?

– Z miesiąć temu, może trochę wcześniej. Myślałem, że o tym wiesz.

Pokręciłem głową, która nagle wydała mi się niewiarygodnie ciężka. Niczym worek kamieni.

– Karol to nierozgarnięty ćpun, ale nie jest złodziejem.

– Nie wiem, dlaczego to zrobił. Może z głupoty. A może stracił kontakt z bazą.

– Niemożliwe. To, kurwa, niemożliwe.

– A jednak. Nie pomogę ani tobie, ani jemu. Zresztą nawet gdybym chciał z nim pogadać, to i tak nie mam pojęcia, gdzie go szukać. Demon kazał go namierzyć, ale Karolek zniknął. Jakby rozplynął się w powietrzu.

Upiornie wolno przetwarzałem jego słowa. Jeżeli Ażmi mówił prawdę – a nie potrafiłem wskazać powodu, dlaczego miałby kłamać – Karol był w znacznie większym niebezpieczeństwie, niż przypuszczałem.

– Co z tym zrobisz? – spytał Ażmi.

Spojrzałem przed siebie. Powiodłem wzrokiem po chropowatej betonowej ścianie, jak gdyby mogła się w niej kryć odpowiedź.

– Nie wiem – odparłem, spluwając pod nogi wzbierającą w ustach śliną. – Naprawdę, kurwa, nie wiem.

## 25.

– Poważnie? Pytasz, czy wiem, gdzie jest Karol? Odkąd poszliście do gimnazjum, nie mam pojęcia, gdzie się włóczycie. – Matka udawała, że to ją bawi. Ale jej pozorne rozweselenie szybko ustąpiło trosce. – Coś się stało?

– Nie, nic – skłamałem. – Po prostu musimy się spotkać. Rozmawialiście ostatnio?

– Dzwonię do niego mniej więcej raz w tygodniu. Ale on, zresztą podobnie jak ty, zwykle nie odbiera. Różnicie się tylko tym, że ty obiecujesz w esemesach, że oddzwonisz, po czym nigdy tego nie robisz, a Karol w ogóle nie daje znaku życia.

– Matka westchnęła do słuchawki, po czym odsunęła telefon od twarzy i zwróciła się do ojca, ostrzegając, że zaraz upaprze koszulę, którą dopiero co uprała. – Ale nie przejmuj się. *I'm used to it*. O czym chcesz z nim pogadać?

– O niczym ważnym. Dasz znać, jeśli się odezwie?

– Pewnie. To miłe, że zainteresowałeś się bratem. Zawsze żałowałam, że nie jesteście ze sobą dość blisko.

Matczyne wyrzuty nie były ani potrzebne, ani sprawiedliwe, ani zaskakujące. Nie zdziwiło mnie też to, że Karolek od dawna się z nią nie kontaktował. Musiałem to jednak sprawdzić. Musiałem się upewnić. W końcu mówi się, że jak trwoga, to do matki. Albo jakoś tak.

Kac zaczął puszczać, kiedy zafundowałem sobie długi spacer na Piwną. Wszedłem na znajome podwórko, minąłem zdewastowany samochód i wdrapałem się na drugie piętro kamienicy. Zastukałem w drzwi, zza których dobiegał rockowy jazgot. Po kilku sekundach muzyka ucichła, a następnie w progu pojawił się portargany chudzielec w przykrótkiej koszulce z gitarowym nadrukiem.

– Szukam Karola – wyjaśniłem. – Wiesz, gdzie go znajdę?

– Nie mam pojęcia – odparł. – Dawno go nie widziałem.

Zerknąłem ponad jego ramieniem w głąb korytarza. A potem wejrzałem w jego złękcioną twarz.

– Jak masz na imię?

– Włodek.

– Możemy pogadać, Włodeku? W mieszkaniu? To cholernie ważne.

Nie wyglądał na zachwyconego, ale pozwolił mi wejść. A ja, choć nie podejrzewałem, aby mógł mnie oszukać, na wszelki wypadek obszedłem lokal. W zapuszczonej kawalerce nie znalazłem nic oprócz wszechogarniającego syfu, dziesiątek opróżnionych butelek, prześmiewczych dewocjonaliów, które mogły być schedą



po Karolu, i zadziwiająco dobrego sprzętu muzycznego. W łazience zauważyłem tylko jedną szczoteczkę do zębów i skromny zestaw kosmetyków. A to oznaczało, że Włodek mieszka sam.

– Kiedy się po raz ostatni widzieliście? – zapytałem.

– Jakies dwa tygodnie temu.

– Powiedział ci, co zamierza?

Włodek pokręcił głową.

– Stwierdził tylko, że musimy zrobić sobie przerwę.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Nie zapytałeś?

– I tak nic by nie powiedział. Karol zawsze żył w swoim świecie, a w ostatnim czasie zachowywał się jeszcze dziwniej niż zwykle.

– Macie jakichś wspólnych znajomych?

– Nikogo bliskiego.

Wyjąłem telefon, włączyłem notatnik i przekazałem Włodkowi smartfon.

– Potrzebuję listy miejsc, w których się spotykaliście, imprezowaliście i nocowaliście. Razem z adresami, nazwiskami lub ksywkami ludzi, którzy nimi zawiadują. Numery telefonów też są mile widziane. Muszę wiedzieć o wszystkim, co może mi pomóc w odnalezieniu brata.

– Skoro zniknął, to znaczy, że nie chce, aby ktokolwiek go znalazł.

– Prędzej czy później ktoś to zrobi. Uwierz, że wołałby, abym to był ja, a nie koleś z miasta, którzy też go szukają.

– Wierzę. – Włodek mimowolnie się skrzywił. – Wczoraj o niego pytali. Oni też chcieli listę miejsc, do których łaziliśmy.

– Kto taki?

– Dwaj koleś. Trochę podobni do ciebie. Tyle że łysi, więksi i bardziej narwani. – Chłopak podciągnął koszulkę, odsłaniając okrągły fioletowy siniak na wysokości żeber. – Chyba nawet nie wiedzieli, że jestem pedałem.

Spojrzałem mu w oczy. Kiwnąłem głową.

– Na twoje szczęście.

Nie miałem pojęcia, czy odwiedzili go ludzie Demona, czy Carycy, ale skoro tu dotarli, musieli być bardzo zdeterminowani, aby odnaleźć mojego brata. I kimkolwiek byli, mieli nade mną przewagę.

Nigdy nie rozumiałem Karola. Właściwie nawet nie próbowałem odgadnąć, co tak brzęczy i trzeszczy w jego głowie. Ale teraz musiałem myśleć jak on.

Gdybym się dowiedział, że mam przejebane, na pewno nie zgłosiłbym się po pomoc do nikogo z bliskich – wprawdzie Karol był autodestrukcyjnym bucem,

który lubił robić ludziom na złość, ale nie wystawiłby nikogo z rodziny czy przyjaciół na takie ryzyko. Na pewno nie wyjechałbym z miasta – Karol był za bardzo zżyty z Łodzią i jakimś sposobem potrafił wydrapywać piękno spod jej szaroburzego krajobrazu. Nie schowałbym się też w miejscu jakkolwiek związanym z moim obecnym życiem – Karol był na to zbyt bystry. Dlatego gdy wyszedłem z mieszkania Włodka, tylko przeskanowałem wzrokiem listę lokalizacji, którą dla mnie sporządził, a potem wyrzuciłem ją z pamięci.

Gdybym był Karolem, prawdopodobnie zrobiłbym coś niestandardowego. Coś szalonego, na co żadni gangsterzy by nie wpadli. Ukryłbym się gdzieś, gdzie nikt by mnie nie szukał. W miejscu, które zwyczajnie myślącej istocie ludzkiej nigdy nie przyszłoby do głowy.

Przycupnąłem na masce zdewastowanego samochodu na podwórku, ponownie sięgnąłem po telefon i utworzyłem nową notatkę. W dobiegającym z budynku gwarze kamienicznych rozmów zacząłem do niej wpisywać najdziwniejsze pomysły, jakie przyszły mi do głowy.

\* \* \*

Zanim wyruszyłem na dalsze poszukiwania Karola, musiałem rozwiązać inny problem. Tym razem bezpośrednio związany ze mną.

Wprawdzie nie miałem policyjnego doświadczenia, a całą wiedzę na temat działań operacyjnych czerpałem z książek i opowieści Brennera, ale bez trudu zauważyłem, że ktoś mnie śledzi. Odkąd wyszedłem od Włodka, snuli się za mną dwaj kolesie w dżinsach, białych adidasach i skórzanych kurtkach. Pewnie chcieli wyglądać neutralnie, ale nie istniał strój, który mógłby zakryć ich tępe dresiarские mordy. Oczywiście spotkanie takich gości w okolicy Limanki nie byłoby niczym nadzwyczajnym, ale ta świńska para ewidentnie okazywała mi zainteresowanie znacznie większe niż należne przypadkowo napotkanej osobie, którą po prostu chce się skroić.

Mogłem zrobić dwie rzeczy: albo od razu do nich podejść, zabijając tę farsę w zarodku, ale i narażając się na ciężki nokaut, albo udawać, że o niczym nie wiem. Pozwolić im wierzyć, że są sprytni i świetnie wywiązują się ze swojego wywiadowczego zadania. Wciągnąć ich w swoją grę, dzięki której przy odrobinie szczęścia uda mi się dowiedzieć, kto nasłał na mnie tych kutasiarzy. Wybór był prosty.

Przez dobrą godzinę snułem się po Pietrynie, chodząc od lokalu do lokalu i udając, że wypytyuję o Karolka, jednocześnie rozmyślając, jak zdekonspirować dwóch cwaniaczków. W końcu znalazłem rozwiązanie. Wykombinowałem, że pojedę na Widzew. Jeśli śledzą mnie ludzie Carycy, to na bliskość wrogiego stadionu zareagują jak wampiry na czosnek. W ten sposób ich zgubię. A jeśli łażą za

mną goście od Demona, być może doprowadzę do bezkrwawej konfrontacji. Tak czy inaczej, powinno wyjść na moje.

Dostałem się więc na aleję Piłsudskiego, wpakowałem się do tramwaju i przejechałem kilka przystanków. Wsiadłem przy skrzyżowaniu z Niciarnianą. Nie czekając na zielone światło, przeszedłem na drugą stronę jezdni, mobilizując kilku nerwowych kierowców do wciśnięcia klaksonu. Ruszyłem w kierunku stadionu. Zamierzałem wstąpić do pubu, w którym przynajmniej kilkadziesiąt razy świętowałem wygrane spotkania lub opijałem porażki. W którym nawet w niemeczowy dzień roіło się od widzewiaków. W którym nie było najmniejszej szansy na spotkanie ludzi z drugiej strony miasta.

Kiedy dotarłem pod wejście, dyskretnie obejrzałem się za siebie. Ogon zniknął. Cwaniaczki zostały w tramwaju albo skręciły w jakąś boczną uliczkę. W każdym razie nie uśmiechało im się towarzyszenie mi na widzewskich terenach.

A więc Caryca.

Ale że nie miałem stuprocentowej pewności, czy dresiarze gdzieś się nie przyczaili, postanowiłem odgrywać swoją rolę do końca. Wchodziłem już do pubu, gdy zadzwonił telefon. Spojrzałem na wyświetlacz. Nieznany numer. Odebrałem.

– Halo?

– Co ty odpierdalasz?!

– Kto mówi?

– Wujek dobra rada. – Dopiero po chwili rozpoznałem głos Brennera. – Dlaczego jeździsz po mieście jak pojebany?

– Skąd wiesz?

– Z kątowni. Miałeś zamknąć ten rozdział.

– I zamknąłem. Tylko jakiś durny chuj wysłał za mną przebierańców.

Brenner ciężko westchnął. Usłyszałem, jak zapala fajkę. I jak ciska zapalniczkę na biurko.

– Ten durny chuj bardzo się stara, żebyś nie zrobił czegoś, czego będziesz potem żałował. Ale nie ułatwiasz mu roboty.

Odsunąłem się od wejścia i ściszyłem głos.

– Próbuje uratować brata.

– Sram na twojego brata. Włożyłem w tę operację zbyt dużo czasu i energii, żeby teraz wszystko spieprzył przez jakiegoś ćpuna.

– Dajcie mi kilka dni. Potem zrobię to, czego chcecie.

– Nie ma mowy. Nie będziemy czekać, aż zmarnujesz kilka lat naszej pracy.

– Waszej? Waszej, kurwa?! – Zagotowałem się. – Kiedy wy pierdziecie w stołki, ja zbieram dla was dowody. Codziennie się narażam, jeżdżąc z tymi ciulami na

mecze, pracując dla nich i robiąc, co mi każą. W imię, kurwa, czego? Powinniście wręczyć mi medal, zamiast wysłać za mną jakichś przygłupów.

Brenner nie odpowiadał, więc zerknąłem na ekran. Rozłączył się. Nie wiem, czy usłyszał moją tyradę w całości, ale chyba był wystarczająco byстрыm facetem, aby się domyślić, co chciałem przekazać.

Odwróciłem się w stronę pubu. Zastanawiałem się, co zrobić. Ze sobą, z Karolem, z resztą tego pieprzonego dnia. Z Brennerem i tym, co powiedział. Z konsekwencjami, które zaczęły mi niemiłosiernie ciążyć. A kiedy myślałem, że sprawy nie mogą się już bardziej skomplikować, los po raz kolejny ze mnie zakpił.

Drzwi do lokalu otworzyły się i rozproszony kibolski śmiech wydostał się na zewnątrz. Chwilę później wyszli dwaj napakowani kolesie, których Demon zabrał ze sobą do Warszawy. A tuż za nimi wytoczył się Rocco. Tak, ten Rocco. Rocco, który miał siedzieć w areszcie. Pijany i nufurany Rocco. Rozrechetany i rozchełstany Rocco. Kiedy mnie zobaczył, cała ta jego euforyczna wesołość zniknęła. Ulotniła się na kilka długich sekund, w trakcie których nie spuszczał ze mnie wzroku. Jakby mnie poznał, ale nie mógł dopasować twarzy do imienia. Jakby nie do końca wiedział, kim jestem.

I nagle – ni stąd, ni zowąd – Rocco serdecznie mnie uściskał.

– Dobrze, że jesteś – powiedział. – Przydasz mi się.

– Do czego?

– Do windykacji.

Chwilę później wylądowałem z nim na tylnym siedzeniu czarnej audicy, którą pomknęliśmy w kierunku centrum.

\* \* \*

Zerkałem ukradkiem na Rocco, próbując odgadnąć, czy wizyta w areszcie go zmieniła. Fizycznie prezentował się mniej więcej tak samo. Być może odrobinę schudł, ale jednocześnie wydawał się mniej zaćpany, więc bilans był na plus. A psychicznie? Czy areszt pozostawił w nim traumę? Sprawił, że spokorniał? Wyrócił jego system wartości do góry nogami? Uczynił go kimś innym, kimś, kim nigdy nie spodziewał się stać?

Ni chuja...

– Prokurator chciał mnie wsadzić na trzy miesiące, a potem przeciągnąć areszt do roku – powiedział, zwracając się do każdej z osób w samochodzie, ale chyba w największym stopniu do mnie. – Ale mój papuga był sprytny. Urobił sędzięgo. Facet po tygodniu zaczął srać żarem, że podjął złą decyzję. W końcu zgodził się zamienić areszt na poręczenie. A wtedy potrzebowałem już tylko jednego telefonu.

– Do Demona – dopowiedziałem.

Rocco mechanicznie pokiwał głową. Sposepniał.

– Nie zapytasz, w jaki sposób wpadłem?

– Podobno zgarnęli cię z imprezy.

– Nieważne, jak mnie zawinęli. Ważne, co im się wydawało, że na mnie mają. Chujoza okazała się całkiem nieźle poinformowana. Znali każdy mój ruch z ostatnich miesięcy. Wiedzieli, co robiłem, z kim rozpracowywałem tematy, a nawet gdzie jadałem i z kim się ruchałem. Mieli moje kontakty, adresy, wszystko. Ale na szczęście nie zdobyli na mnie nic twardego. W najgorszym razie wpierdolał mi zawiasy za posiadanie dragów albo znieważenie kundla. – Rocco pstryknął palcami, jakby chciał wyczarować magiczną sztuczkę. – Areszt sam w sobie nie jest zły. Słabe są tylko jego konsekwencje. Muszę teraz przekonać chłopaków, że nie jestem sprzedajną lampucera, tylko mam sprytnego prawnika. No i muszę się dowiedzieć, przez którą kurwę tam wylądowałem.

– Ostatnio zawinęli paru naszych chłopaków – powiedziałem, czując, że powinienem coś zasugerować. – Byłoby dziwne, gdyby żaden nie puścił farby.

– Nie słuchasz mnie. – Rocco nerwowo poruszył się na kanapie. – Wiedzieli znacznie więcej, niż jakieś gównojady spod stadionu mogłyby się dowiedzieć. Ktokolwiek doniósł, musiał to być człowiek, który dobrze mnie znał. Trybisz?

Pokiwałem głową.

– Jak chcesz go znaleźć?

– To akurat proste. Daj mi swój telefon.

– Po co?

– Po jajco.

Nie przypominam sobie, żeby Rocco kiedykolwiek był tak poważny. Zdecydowanie nie wyglądał na faceta, któremu można byłoby się bez konsekwencji sprzeciwić. Wyjąłem więc telefon.

– Odblokuj – powiedział, a kiedy to zrobiłem, podarował mi fałszywie ciepły uśmiech. – Ślicznie dziękuję.

Kiedy Rocco sprawdzał moje kontakty, esemesy i ostatnie połączenia, gorączkowo się zastanawiałem, co może w nich znaleźć. Byłem pewien, że nie zostawiłem niczego, co mogłoby powiązać mnie z policją. Przestrzegałem zasad uzgodnionych z Brennerem. Nie zapisywałem żadnych podejrzanych numerów, nie wysyłałem nikomu dziwnych wiadomości. Właściwie jedynym problemem była rozmowa sprzed parunastu minut.

I dlatego zamarłem, kiedy ten zaćpany pajac podetknął mi telefon pod nos.

– Z kim przed chwilą gadałeś?

– Z telemarketerem.

– Dzwonił do ciebie z prywatnego numeru?

– Nie wiem, kurwa, z jakiego. Zresztą co cię to obchodzi?

Rocco pomachał smartfonem.

– Zadzwońię do niego. Zapytam, na chuj cię męczy. Ale jeśli to nie będzie telemarketer... – Nie dokończył. Być może sam nie wiedział, czym mogłoby to się skończyć.

Wybrał numer i ustawił tryb głośnomówiący. Czekaając na połączenie, uważnie mi się przyglądał.

Pierwszy sygnał, drugi, trzeci.

Modliłem się w duchu, aby Brenner mnie zignorował. Aby wywalił na mnie jaja, tak jak to miał w zwyczaju.

Czwarty, piąty, szósty.

Gdyby upłynęło więcej czasu, nie miałbym wątpliwości, że Brenner nie odbierze. Byłoby to zaprzeczenie naszego sposobu działania. Ale teraz, kwadrans po naszej burzliwej rozmowie, nie było to takie oczywiste.

Siódmy, ósmy, dziewiąty.

W końcu telefon zamilkł.

– Nie odbiera, kurwa jebana. Ale nie wszystko stracone. – Rocco zaczął pisać esemesa, głośno i wyraźnie wypowiadając każde wstukiwane słowo: – „Nie dzwoń więcej, ty pierdolona słuchawkowa kurwo, bo dojadę ciebie i twoją starą”. – Oddał mi telefon. – I po kłopotcie.

– Jesteś pojebany – parsknąłem. – Będziesz teraz wszystkim sprawdzał telefony?

– Nie wszystkim. Ale mam parę osób na liście.

Pierwszą był Szejk. Okazało się, że Rocco szuka go od rana. Nie znalazł go w żadnym z lokali demonów ani na stadionie, więc postanowił złożyć mu wizytę domową.

– Czy naprawdę jestem do tego potrzebny? – zapytałem, kiedy dojechaliśmy na Chojny.

– Żartujesz?! Jesteś absolutnie niezbędny. Ucieszy się na twój widok.

Zaparkowaliśmy pod klatką, poleźliśmy na górę i zadzwoniliśmy do drzwi. Szejk otworzył nam ze sporym opóźnieniem. Być może w ogóle by tego nie zrobił, udając, że nikogo nie ma w domu, ale zdradziło go płaczące dziecko.

– Co wy tu robicie?

– Świątujemy moje wyjście z ciupy. – Rocco szeroko rozłożył ręce. – Możemy wejść?

– Mam dzieci na głowie. Majka się rozchorowała, mała ciągle drze japę, a Aga musiała iść do roboty. Sorry, ale...

– To nie potrwa długo.

Rocco zerknął na jednego z prawilniaków, a ten popchnął drzwi na tyle mocno, że gospodarz musiał się cofnąć w głąb korytarza. Weszliśmy. Szejk posłał mi po trosze pytające, po trosze rozpaczliwe spojrzenie. Ale jedyne, co mogłem zrobić, to odpowiedzieć mu przepraszającym gestem.

Rocco przespacerował się po mieszkaniu jak po swoich włościach. Przywitał się z dziećmi, napił coli w kuchni, zapalił papierosa. W końcu rozsiadł się w salonie, a ja i prawilniacy razem z nim. Chwilę później dołączył do nas Szejk, przytulając córkę do piersi.

– Cieszę się, że wyszedłeś, ale to naprawdę kiepski moment – powiedział półszepsem. – Sam widzisz.

– Nie pierdol. Wcale się nie cieszysz, że wyszedłem.

– Cieszę się w chuj, ale w takich warunkach trudno to okazać. Umówmy się kiedy indziej. Zapraszam do Bezsensowności. Napijemy się wódeczki, pogadamy.

– Nie zapraszaj mnie, kurwiu, do lokalu, który sam ci podarowałem. – Rocco wskazał palcem smartfon leżący na stole. – To twój?

– Mój.

– Odblokuj.

Szejk próbował protestować, ale kiedy jeden z chamów sięgnął po telefon i wepchnął mu go w rękę, dał sobie spokój. Ponownie na mnie spojrzał w poszukiwaniu wsparcia. I ponownie nic nie dostał.

Kiedy Rocco przeglądał jego telefon, mała się rozryczała. Szejk starał się ją uspokoić, ale nie było to takie proste.

– Chyba muszę ją przewinąć – powiedział. – Albo nakarmić.

– Cycem? – zapytał jeden z chamów.

– Dupą. Aga ściągnęła mleko przed wyjściem z domu.

– Możesz nakarmić ją tutaj, tylko nie wymachuj przy mnie obsraną pieluchą – oznajmił Rocco.

– Panowie, kurwa, to nie jest śmieszne. Mam tu przejebane, a wy jeszcze utrudniacie mi życie. O co wam w ogóle chodzi?

– O dwulicowość. – Rocco odłożył smartfon na stół. – O to, żeby nie srać do własnego gniazda i nie robić kumplom koło pióra. – Podszedł do Szejka, pogłaskał po głowie rozpaczające dziecko, a potem odwrócił się do mnie. – Ty pójdziesz ze mną, a chłopaki jeszcze tu trochę posiedzą.

– Rocco, kurwa, o co ci chodzi? Przecież cię nie sprzedałem. Nie mam żadnych kontaktów w psiarni. Nawet nikt mnie o ciebie nie pytał.

– Wiem. I dlatego tylko chłopaki z tobą zostaną. – Rocco zerknął na jego córkę. – Lepiej przewiń ją teraz. Później będzie ci trudniej.

Tym razem nie miałem dla Szejka żadnego przepraszającego gestu. Nawet nie odważyłem się na niego spojrzeć.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, Rocco zatrzymał się przed samochodem i zapalił kolejnego szluga. Stałem obok, próbując zrozumieć, czego właściwie byłem świadkiem.

– To nie on – powiedział. – Ta pryszczata świnią jest za głupia, żeby mnie wjechać.

– To dlaczego zostawiłeś z nim chłopaków?

– Kiedyś nazwał mnie napaloną ciotą.

Szczerze wątpiłem, żeby Rocco mógł coś takiego usłyszeć bezpośrednio od Szejka. I szczerze wątpiłem, żeby Szejk był jedyną osobą w nabojce, która nazwałaby go w ten sposób. Ten sadystyczny zbok wcale nie szukał kreta. Po prostu mścił się na każdym, kogo nie lubił. Na każdym, kto choćby krzywo na niego spojrział.

Ale skoro nie szukał zdrajcy, całkiem możliwe, że już go znalazł.

\* \* \*

Zakończyliśmy ten dzień w Bezsensowności, gdzie Rocco najpierw zaserwował kilku chłopakom pogadankę, a potem najbardziej pyskatego z nich mianował nowym szefem klubu, mającym zastąpić zepchniętego w niebyt Szejka. W końcu usiadł na uboczu, zamówił butelkę whisky i odprawił prawilniaków. Ale nie mnie.

– Drineczka? – spytał, odmierzając sobie kolejkę.

Pokręciłem głową.

– Wczoraj się wymęczyłem.

– To może koksiku? – Ponownie odmówiłem. – To czego ty właściwie, kurwa, chcesz?

Dobre pytanie. Na pewno chciałbym się znaleźć w innym miejscu, mieć dziewczynę i wiedzieć, co będę robił za pięć lat. Ale przede wszystkim pragnąłem świętego spokoju.

– Trochę wyluzować – powiedziałem. – Nabrać dystansu do tego, co robimy.

– A nie chciałbyś uratować brata? – Rocco napił się whisky, nie spuszcżając ze mnie wzroku. – Myślałeś, że o tym nie słyszałem? Że jak człowiek musi walić konia w areszcie, to nie wie, kto z kim się dupczy za murem?

– Nie zastanawiałem się nad tym.

– A zastanawiałeś się, czy twój brat w ogóle ma jakieś szanse? Jak to sobie wyobrażasz? Co twoim zdaniem mogłoby się z nim stać, gdybyśmy go dojechali? – Rocco wyrzucał z siebie wiele pytań, ale raczej nie oczekiwał, że na któreś z nich odpowiem. Dlatego milczałem. – Ale dobra, niech ci będzie. Wyobraźmy sobie, że go znalazłeś. I co wtedy? Przekonasz chłopaczka, żeby wyjechał? Albo żeby skołował kasę z odsetkami i przyniósł ją w zębach?



– Nie wiem. Prawdę mówiąc, nawet na dobre nie zacząłem go szukać. Wiem tylko, że wywinął jakiś numer i zniknął.

Rocco wpatrywał się we mnie czujnie i z nieufnością, choć bardzo starałem się go nie oszukiwać.

– Być może jestem mało sentymentalnym gościem, ale nigdy nie rajcowała mnie moja rodzina. Miałem wrażenie, że ani ojciec, ani matka nie mają mi nic do zaferowania. Dużo pracowali, robili niezły hajs i osiągnęli sukcesy, ale przy tym byli cholernie nudnymi ludźmi. Pustymi w środku. Chciało mi się płakać, gdy myślałem, że mogę skończyć tak jak oni, z wielką dziurą zamiast serca. W efekcie przez całe życie szukałem sobie innej rodziny, skrojonej do mojej natury. I pewnie jestem jedną z niewielu osób, którym udało się ją znaleźć. Dokładnie taką, o jakiej marzyłem. Zajebicie dysfunkcyjną, ale przez to prawdziwą. Dlatego choćby ruchały mnie czarnuchy, nigdy jej nie zdradzę. – Wyzerował drinka. Zapalił papierosa. Zasepił się. Myślał. Po jakimś czasie przeniósł na mnie wzrok: ciężki, karcący, gotowy zabić. – To nie jest twoja rodzina. Nie pasujesz tutaj. Nie rozumiesz nas. Nawet, kurwa, średnio wychodzi ci udawanie, że chcesz tu być. Nie rozumiem, jak Roman może tego nie widzieć.

Roman, powtórzyłem w myślach. Rocco był jedyną znaną mi osobą, która nazywała Demona po imieniu. I zawsze właśnie tak. Roman. Nie Romek, Romiks, Romciu, tylko Roman. Z pełną powagą, z absolutnym szacunkiem wybrzmiewającym w każdej cholernej głosce.

– Wbrew temu, co myślisz, jesteśmy trochę do siebie podobni – powiedziałem. – Ja też nie akceptuję życia, które ktoś dla mnie wymyślił.

– Małuje się tylko po to, aby oszukać oczy.

– Co to znaczy?

– Że jesteś zdradziecką kurwą. – Rocco wydmuchnął przed siebie dym. – Nie mam jeszcze na to dowodów, ale jestem tego pewien. Wyczuwam to. Potrafię wywęszyć kłamliwego kurwizona. A ty cuchniesz. Śmierdzisz konfidentem. Dlatego mam dla ciebie najlepszą radę, jaką kiedykolwiek w życiu otrzymasz. – Pochylił się, jakby zamierzał mnie pocałować. – Zapomnij o braciszku i spierdalałaj. Najdalej, jak tylko potrafisz sobie wyobrazić. Jeśli tego nie zrobisz, to cię zabiję.

Zastanawiałem się, czy powinienem zareagować na jego słowa. Zaprzeczyć? Odszczeknąć się? Wdać w polemikę, w jakieś pokrętne tłumaczenia? Nie, to nie miałyby sensu. Rocco był pewny tego, co mówił. To on wpuścił mnie do nabożki i to on chciał mnie z niej wyrzucić. Byłem jego wyrzutem sumienia. Kamieniem w bucie. Błędem, który zamierzał naprawić.

Przynajmniej częściowo się z nim zgadzałem: powinienem spierdalać. Dlatego wstałem i bez słowa wyszedłem z lokalu.

**Część V**  
**ZABÓJCA**

## 26.

Tak naprawdę popełniłem w życiu tylko jeden błąd. Głupi, gówniarski błąd. Zwyczajny, najzwyczajniejszy. Błąd, który nie powinien pociągać za sobą dramatycznych konsekwencji; który nie powinien definiować człowieka.

Nie mogłem pozwolić, aby ten jeden błąd spieprzył do reszty moje życie.

Tego dnia postanowiłem wszystko naprawić.

Obudziłem się po kilku godzinach niespokojnego snu, nie snu. Usłyszałem dzwonek do drzwi i otworzyłem szeroko oczy. Podniosłem się z łóżka. W samych gaciach doczłapałem do przedpokoju. Przeciągnąłem się, po czym wyjrzałem przez wizjer. Wyłącznie dla formalności, ponieważ dobrze wiedziałem, kto się dobija. Czekałem na nich. Bardziej niż oni na mnie.

– Zbieraj się – usłyszałem od łysego policjanta w skórze i białych adidasach, tego samego, który śledził mnie poprzedniego dnia. – Zawijamy cię do bazy, zanim zrobisz sobie krzywdę.

Popatrzyłem na niego, a potem na jego kumpla, który nieelegancko żuł gumę i wpatrywał się we mnie tak, jakby zamierzał zdzielić mnie w papę. Pokiwałem głową. A potem mimowolnie ziewnąłem.

– Dajcie mi chwilę – wymamrotałem. – Muszę ogarnąć parę spraw.

– Wczoraj miałeś czas na ogarnięcie swoich tematów. Jeśli nie dałeś rady, to trudno. *Game over*.

Ponownie pokiwałem głową.

– Muszę przynajmniej wyczyścić kompa. Wywalić kilka rzeczy. Wiecie, o co chodzi.

– Przyjdzie ekipa, to go wyczyści.

– Zanim przyjdzie wasza ekipa, może się tu pojawić inna ekipa, która rozpierdoli kilka lat mojej ciężkiej pracy. – Wychyliłem się do przodu i rozejrzałem po klatce. – Nie tylko wy za mną łazicie. Jeśli teraz tego nie zrobię, za chwilę może nie być co sprzątać.

Policjanci wymienili się spojrzeniami. Przeanalizowali sytuację. Bezdźwięcznie podjęli decyzję.

– Niech ci będzie – powiedział łysy. – Ale zrób to szybko i nie kombinuj.

Pokiwałem głową. Po raz trzeci. Jakby dręczył mnie jakiś tik.

– To może potrwać z pół godziny. Chcecie wejść na kawę?

– Poczekamy w furze. Poobczajamy okolicę, a ty się streszczaj.

Zamknąłem za nimi drzwi i poszedłem do łazienki. Szczotkując zęby, zbliżyłem się do okna w salonie. Tak jak podejrzewałem, zaparkowali przy wjeździe na podwórko. Może nie pod samą klatką, ale nie dość dyskretnie, żebym nie mógł ich namierzyć. Co za jełopy. Wróciłem do łazienki, wypłułem pastę, przepłukałem usta i sięgnąłem po telefon.

Miałem za sobą źle przespaną noc, ponieważ poprzedniego wieczoru zacząłem porządkować stare sprawy. Spędziłem kilka godzin na dłubaniu w notatkach policyjnych, które miały pomóc w skazaniu Demona i Rocco, a przy okazji uchronić mnie przed pierdłem. Potem zrobiłem porządek z rzeczami, pakując do obszernej torby z Ikei wszystko, co mogłoby mi się jeszcze przydać, a także sentymentalne szpargały, których nie umiałem się pozbyć. Było już grubo po północy, kiedy zgrałem na pendrive'a policyjne materiały. A oprócz nich masę innych plików. Między innymi zdjęcia z dawnych lat. Na niektórych z nich ja i mój brat wyglądaliśmy na szczęśliwych. Zwłaszcza Karol. Wiecznie niespokojny, wiecznie w ruchu.

W ramach zamykania starych spraw musiałem także zakończyć kilka znajomości. Przynajmniej mentalnie. Większość nie sprawiała mi frajdy, więc nie miałem oporów przed wyciągnięciem wtyczki. Ale niektórych relacji było mi żal.

Ta była jedną z nich.

– Tak? – usłyszałem w słuchawce.

– Już czas – powiedziałem. – Czarna octavia. Stoi koło śmietnika. W środku są dwie osoby.

Wiedzieli, że zadzwonię, więc nie zaskoczyłem ich tak wczesnym telefonem. I wiedzieli, że gdy tylko przekażę im szczegóły, będą musieli działać szybko. Bez zastanowienia. Bez choćby szczątkowej analizy, czy to, co robią, ma sens.

Pojawili się po niespełna kwadransie. Widziałem z okna, jak się skradają, jak podnoszą ręce do góry i biorą zamach, jak ciskają kamieniami, wybijając tylną szybę w furze, w której siedzieli policjanci. Widziałem, jak uciekają, chociaż jeden z nich już od dawna szybko nie biegał, a drugi nie robił tego nigdy.

Kojiro i Papa. Dwaj niereformowalni kolesie, którzy szkodzili światu swoją głupotą, ale nie złymi intencjami czy charakterem. W końcu kto normalny zgodziłby się zaatakować policyjny samochód tylko dlatego, że poprosił ich o to facet, z którym nie rozmawiali od tygodni? Trochę żalowałem, że ich w ten sposób wykorzystuję. Ale tylko trochę.

Zgarnąłem swoje rzeczy i wybiegłem z mieszkania. Przy wtórce samochodowego alarmu i z wielką torbą przewieszoną przez ramię szybko oddalałem się od podwórka, którego już więcej miałem nie zobaczyć.

Tak rozpocząłem realizację pierwszego etapu mojego planu. Nie wiedziałem, czy jest dobry. Nie wiedziałem, czy może się powieść. Ale był jakiś. Jedyne, jaki potrafiłem wymyślić.

Dwa lata różnicy między braćmi mogą być bez znaczenia, ale równie dobrze mogą oznaczać całą wieczność. Wszystko zależy od okoliczności.

W gimnazjum byłem święcie przekonany, że katecheta Mariusz jest gejem, który utrzymuje dobre relacje z nastoletnimi chłopcami wyłącznie ku własnej uciechu, a nie z pobudek dydaktycznych. Nie miałem wątpliwości, że to jedyny powód, dla którego grywa z nami w piłkę na wuefie, udaje psychologa i stara się mówić gówniarskim językiem. Ale młodszemu o dwa lata Karolowi schlebiało to niecodzienne zainteresowanie katechety. Bardzo się obruszał, kiedy zarzucałem Mariuszowi hipokryzję. Karol żył w przekonaniu, że od faceta bije szczere, niepowodowane chucią dobro.

Jakiś czas później zgodziliśmy się co do tego, że katechetę wyrzucono z roboty z niewłaściwych powodów. Dyrektor tyknął bajeczkę dwóch kretynek, które najpierw bezskutecznie próbowały uwieść Mariusza, a potem w ramach zemsty oskarżyły go o molestowanie na wycieczce szkolnej. Choć i w tym wypadku ja i mój brat zupełnie inaczej interpretowaliśmy rzeczywistość. Wiedziałem, że dziewczyny ściemniają, ale gdyby identyczne oskarżenia padły z chłopięcych ust, nie miałbym wątpliwości co do winy katechety. Tymczasem Karol dalej wierzył w jego bezgraniczną dobroć.

Dopiero trzy lata później brat przyznał mi rację: katecheta Mariusz był gejem i miał słabość do młodych chłopców. Zrządzenie losu sprawiło, że Karol natknął się na niego w liceum. Choć nie wierzył już wtedy w Boga, specjalnie wybrał religię zamiast etyki. I, o ile mi wiadomo, Mariusz został jego pierwszym facetem. Pierwszym i jak dotąd najważniejszym. Tym, który pomógł Karolowi odkryć i zrozumieć własną seksualność. Tym, z którym przeżył pierwszy zawód miłosny. I tym, o którym w pijackim przypiływie szczerości odważył mi się opowiedzieć.

Jak już mówiłem, Karol świadomie nie naraziłby nikogo z bliskich. Ale Mariusz, choć niewątpliwie zaliczał się do najważniejszych osób w życiu mojego brata, był mu coś winien. Wykorzystując go jako nastoletniego, nierozumiejącego siebie chłopaka, zaciągnął u niego dług. I jeżeli Karol zamierzał kiedykolwiek go odzyskać, powinien to zrobić właśnie teraz.

Odnalezienie katechety kosztowało mnie dwadzieścia złotych. Tyle zapłaciłem znudzonemu dziadkowi z poźółkłym od fajek wąsem, dorabiającemu do emerytury jako szatniarz w liceum na Radogoszczu Zachodzie, za informacje na temat pracujących w szkole belfrów. Miałem szczęście. Mariusz nie tylko dalej był tam zatrudniony, ale w dodatku prowadził też tego dnia tylko jedno zajęcia, które niedługo miały się skończyć. Postanowiłem zaczekać na niego przed wejściem do budynku.

Katecheta pojawił się po mniej więcej dwudziestu minutach. Ubrany na czarno, z czarną aktówką, z ładnie przystrzyżoną czarną brodką. W ogóle się nie

zmienił. Mówiłem Karolowi, że Mariusz przypomina mi jakiegoś aktora, ale nie potrafiłem dopasować twarzy do nazwiska. To też się nie zmieniło.

– Poznajesz mnie? – zapytałem, kiedy przechodził obok.

Mariusz przystanął. Zmrużył oczy. Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Przykro mi, ale mam słabą pamięć do twarzy. Uczyłem cię kiedyś?

– To chyba za wiele powiedziane. Głównie się zgrywałeś i próbowałeś nam podlizać. Ale niewątpliwie ściągałeś na siebie uwagę. Moi koledzy nawet robili zakłady w twojej sprawie.

– Poważnie?

– Bardzo poważnie. Jedni typowali, że jesteś pedałem, a inni, że gwałcisz dzieci.

Katecheta rozejrzał się dookoła. Na jego szczęście właśnie rozpoczęła się kolejna godzina lekcyjna. Przed szkołą byliśmy tylko my.

– A według ciebie kim jestem?

– Ja nie muszę zgadywać.

Mariusz lekko przekrzywił głowę. Zmrużył oczy. Wreszcie mnie skojarzył.

– Brat Karola. Jeśli dobrze pamiętam, nazywasz się...

– Gdzie on jest?

– Karol? Nie wiem. Dawno się nie widzieliśmy.

– Gdzie on, kurwa, jest?!

Katecheta ponownie nerwowo się rozejrzał.

– Nie mam pojęcia. Naprawdę.

Zrobiłem krok w jego stronę, a gdy odruchowo się cofnął, postawiłem następny. Jakbym chciał przyprzeć go do muru. Dojechać. Zglądzić.

– W sytuacjach podbramkowych ludzie często robią rzeczy, na które normalnie by się nie odważyli – powiedziałem. – Mnie na przykład nigdy nie przyszłoby do głowy, aby zaczepić obcego faceta pod szkołą i zwyzywać go od pedofilów.

Mariusz pokiwał głową. Zrozumiał aluzję. I zrozumiał, że nie żartuję.

– Nie wiem, gdzie jest Karol – powtórzył. – Ale być może jestem w stanie to ustalić.

– Czyli jednak się widzieliście.

– Przedwczoraj. Zgłosił się do mnie po pomoc. Mogę spróbować się dowiedzieć, gdzie teraz przebywa.

– Cudownie. – Cofnąłem się. Uśmiechnąłem. Schyliłem po swoją ikeowską torbę i zarzuciłem ją na ramię. – Na nic więcej nie liczyłem.

Chwilę później ruszyliśmy spod szkoły. Nawet specjalnie nie musiałem Mariusza do tego namawiać.

– Dlaczego akurat on? – zapytałem.

– Bo to najuczciwszy i najbardziej nieugięty facet, jakiego znam – wyjaśnił Mariusz. – Wiedziałem, że jeśli zgodzi się pomóc Karolowi, to nie ulegnie żadnym naciskom, choćby wypytywała o niego ruska mafia. Dlatego też szczerze wątpię, żeby cię do niego dopuścił.

– Przecież jesteś ze mną.

– To bez znaczenia. Może uznać, że mnie zaszantażowałeś, a wtedy nic z tego nie wyjdzie. Chyba że użyjesz siły. Ale najpierw musiałbyś odpowiedzieć sobie na bardzo ważne pytanie.

– Jakie?

– Czy jesteś gotów pobić osiemdziesięcioletniego księdza.

Dojście do zlokalizowanej na sąsiednim osiedlu Parafii Najświętszego Sakramentu zajęło nam około piętnastu minut. Kompleks składał się z monumentalnego trzynawowego kościoła, zdecydowanie wyróżniającego się na tle bloków, a także ze znacznie mniejszej kancelarii parafialnej, w której mieliśmy się spotkać z proboszczem. Mariusz go poinformował, że przyjdziemy, ale z nijakiej reakcji starca nie dało się wywnioskować, co z tego spotkania wyniknie.

– Czy powinienem coś o nim wiedzieć? – spytałem.

– Na przykład co?

– Nie wiem. Może ma alergię na jakieś słowa albo zachowania. A może jest coś, czym da się zaskarbić jego sympatię.

Mariuszowi długo nic nie przychodziło do głowy. W końcu wskazał palcem pokryty bordową dachówką budynek.

– To już trzeci kościół, który zbudował. Podobno nie znosi nierówności. Gadałem z dwoma księżmi z jego parafii. Twierdzą, że u Majewskiego trzeba zapieprzać jak w chińskiej fabryce.

– W takim razie dziwne, że zgodził się pomóc Karolowi.

– Dobrze go zareklamowałem.

Zadzwoniliśmy do kancelarii. Po kilkunastu sekundach proboszcz Majewski otworzył nam drzwi. Przygarbiony, pomarszczony, błądy, z prawą ręką na temblaku. Trudno było dostrzec w nim siłę, jaką przypisywał mu katecheta.

Jeżeli ksiądz miał dobre manieri, to postanowił je skrzętnie ukryć. Nie poczęstował nas herbatą, nie podstawił niczego pod dupę, nie dał się wmanewrować w prowadzoną przez Mariusza gadkę szmatkę. Choć doskonale wiedział, po co przyszliśmy, nie zamierzał ułatwiać nam zadania. Dlatego, by nie przedłużyć pobytu w jego czyściutkiej i skromnie urządzonej kancelarii, przeszedłem do rzeczy.

– Karol to mój brat. Muszę się z nim spotkać.

Majewski zlustrował mnie spod gęstych brwi. Miał głęboko osadzone, czujne oczy, które zdawały się należeć do kogoś znacznie młodszego.

– Po co?

– Wpakował się w tarapaty i tylko ja mogę go z nich wyciągnąć.

– Takie rzeczy potrafi tylko Bóg. – Proboszcz spojrział na Mariusza. – Zmusił cię, żeby tu przyjść?

– Zostawił mi niewielki wybór – odparł zgodnie z prawdą katecheta. – Ale on naprawdę chce pomóc Karolowi.

Majewski ponownie skupił się na mnie.

– Nie wyglądasz mi na osobę, która mogłaby pomóc temu chłopakowi. Raczej na desperata. Na człowieka, który może zrobić coś bardzo głupiego.

Skubaniec może i był stary, może niedosłyszał, niedowiedział i nie nadażał za rzeczywiścieścią, ale czytał we mnie jak w otwartej księdze.

– Zostaw nas samych – zwróciłem się do Mariusza. – Pogadamy z proboszczem na osobności.

– Ale...

– Spokojnie. – Majewski leniwie machnął ręką. – Możesz wyjść. Jestem tu dobrze strzeżony.

Kiedy zostaliśmy sami, dopadł mnie paraliż. Przez parafię, pewność siebie Majewskiego albo natłok wrażeń nie potrafiłem wydusić z siebie słowa. Zamiast mówić, pochrząkiwałem, niezdarnie próbując się pozbyć z gardła niewidzialnej guli.

– Co się księdzu stało w rękę? – zagaiłem, żeby jakkolwiek przełamać milczenie.

– Pewien człowiek okazał się niewart mojej pomocy. – Ksiądz poruszył ręką na temblaku, jakby chciał mnie przekonać, że jego uraz to betka. – Wielu ludzi nie potrafi ocenić, co jest dla nich dobre, a co złe. Przez to popełniają błędy, których potem długo żałują. Niektórzy przez całe życie.

– Jeśli ksiądz chce, mogę znaleźć tego człowieka. I zadbać o to, aby nikogo więcej nie skrzywdził.

Proboszcz pokręcił głową.

– Nie jestem mściwy, a tamtemu mężczyźnie już dawno przebaczyłem. Teraz musi tylko zrozumieć, że błądzi. Siłą mu się tego nie wyjaśni. Poza tym nie będę się z tobą targował. Z takimi jak wy nie warto negocjować.

– Z takimi jak my? Przecież ksiądz nic o mnie nie wie.

– Wiem, że musisz chodzić po obcych ludziach, aby odnaleźć brata. – Proboszcz wciągnął na gębę złośliwy uśmiešek. – Czego tak naprawdę chcesz od



Karola?

Ciężko westchnąłem. Zamilkłem. W głowie znów rozpanoszyła się pustka.

– Czy ksiądz potrafi dochować tajemnicy?

– To zależy.

– Od czego?

– Jestem spowiednikiem. Jeśli chcesz się wyrzec grzechu, aby móc przyjąć pokutę i uzyskać oczyszczenie, moim obowiązkiem jest cię wysłuchać i zachować naszą rozmowę dla siebie. Ale jeśli zamierzasz wcisnąć mi jakieś brednie, żebym dopuścił cię do brata, to w ogóle nie zamierzam z tobą rozmawiać.

Wolno pokiwałem głową.

– Nie jestem zbyt religijną osobą. Prawdę mówiąc, nie za bardzo wierzę w Boga. Ale z całą pewnością odpokutowałem za swój największy grzech. I to z nawiązką. Dlatego nie uważam, żebym musiał się z czegokolwiek spowiadać.

Proboszcz oparł łokieć na stole i przyłożył palce do pomarszczonej twarzy. Sprawiał wrażenie zmęczonego naszym spotkaniem. Ale jednocześnie zaintrygowanego.

– Jeżeli nie zrobisz tego w formie spowiedzi, nie będę miał obowiązku dochowania tajemnicy – stwierdził. – Ale jeśli nie popełniłeś ciężkiego grzechu, to ta rozmowa pozostanie między nami.

Przyjrzałem się uważnie starcowi, przypomniałem sobie słowa Mariusza, a następnie po raz enty odchrząknąłem i rozpocząłem swoją opowieść.

Odsoniłem przed klechę wszystkie karty. Podzieliłem się wszystkimi, nawet najbardziej wstydliwymi szczegółami. Wyjawiłem mu wszystkie swoje przewiny. A kiedy skończyłem, poczułem się jak nowo narodzony.

\* \* \*

Sporo czasu zajęło mi zrozumienie, dlaczego ludzie tuż przed śmiercią zaczynają się modlić, nawet jeśli nie robili tego przez większość życia. My po prostu chcemy w coś wierzyć. Bo dobrze jest wierzyć. W Boga, w siebie, w swój plan, w szczęśliwe zakończenie. W cokolwiek. Wierzyć, że to jeszcze nie finał. Że na końcu tunelu coś jeszcze jest. Że wiedliśmy wystarczająco dobre życie, aby zasłużyć na jego kontynuację. Że jeśli dojdzie do ostatecznej, w pełni obiektywnej weryfikacji, nasz bilans wyjdzie na plus.

Nie wiem, czy proboszcz Majewski we mnie uwierzył. Prawdopodobnie nie. Ale uwierzył w moją opowieść. A także w to, że naprawdę chcę pomóc bratu. Dlatego niedługo po spotkaniu w parafii razem z Mariuszem pojawiliśmy się przed starym, błagającym o remont domem na Julianowie, gdzie czekała już na nas emerytowana zakonnica – siostra Urszula. Wysłuchała naszej historii, a potem

zadzwońiła do proboszcza, aby się upewnić, że nie zmyślamy. Kiedy się rozłączyła, zapaliła cienkiego papierosa i zaciągnęła się z namaszczeniem.

– To nie będzie budujący widok – oznajmiła.

– Jaki by nie był, i tak musimy się z nim zobaczyć – odparłem.

– Proboszcz Majewski chce, abym towarzyszyła wam przy rozmowie. Powiedział też, że jeśli on nie będzie chciał z wami pójść, mam dopilnować, abyście uszanowali jego wolę. – Bezradnie wzruszyła ramionami. – Nie wiem, jak ten stary dziwak to sobie wyobraża, ale nie zamierzam się z wami szarpać. Dlatego mam nadzieję, że się dogadacie.

Zakonnica zgasiła papierosa w stojącym na parapecie słoiku i wpuściła nas do środka.

Razem z Majewskim prowadzili na Julianowie coś w rodzaju przytułku. Przygromiali w nim narkomanów, ofiary przemocy domowej, ludzi, którzy przed kimś lub przed czymś uciekają, a nie mogą liczyć na wsparcie państwa. Oczywiście robili to nieoficjalnie – w domu, który niegdyś należał do rodziców proboszcza – a dzięki temu bezpiecznie dla wszelkiej maści wyrzutków. Nie zapewniali kuracjom wyżywienia, nie gwarantowali żadnych atrakcji, nie niańczyli ich i nie pouczali, jak mają żyć. Ale oferowali im największy luksus, na jaki tamci mogli liczyć – schronienie. Przed światem, przed złymi ludźmi, częściowo też przed własnymi upiorami.

Siostra Urszula weszła do jednego z kilku pokoiów, w których, jak zdążyłem się zorientować, mogło przebywać nawet kilkanaście osób. Zamieniła z kimś słowo, a po chwili dwaj poturbowani przez życie mężczyźni wyszli na korytarz. Zaraz po nich wyłoniła się zakonnica, dając nam sygnał, że możemy wejść.

Karol stał przy oknie, nerwowo obgryzając paznokcie. Dopiero po chwili wyciągnął palce z ust i wolno opuścił rękę, jakby z opóźnieniem dotarło do niego, kim jesteśmy. A byliśmy jednymi z niewielu osób w tym cholernym mieście, które nie zamierzało wyrządzić mu krzywdy.

– Co wy tu robicie? – zapytał rozedrganym głosem.

Mariusz nieco się odsunął i wskazał na mnie dłonią. To ja miałem wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi. I słusznie. W końcu zainicjowałem to szaleństwo.

– Ratujemy ci życie – powiedziałem.

Karol przez kilka długich sekund skakał między nami wzrokiem, jakby oczekiwał dalszych wyjaśnień. W końcu przestał, usiadł na skraju łóżka i opuścił głowę. Zaczął szlochać. A po chwili zupełnie się rozkleił.

Mój brat również chciał wierzyć. Chciał wierzyć, że to, co mówię, jest prawdą. Że choć nic na to nie wskazywało, może z tego wyjść cało.

I ja też chciałem w to wierzyć.

## 27.

Amfiteatr w parku Julianowskim był miejscem okazjonalnych koncertów plenerych i regularnych popijaw, ale ja i Karol postanowiliśmy uczynić go areną współczesnego dramatu. Nie chciałem dyskutować z bratem o przeszłości i przyszłości w przytułku dla przegrywów. Nie dlatego, że uważałem się za lepszego od jego lokatorów, tylko ze względu na mocno konfidencjonalny charakter naszej rozmowy. Zresztą nawet tam, w amfiteatrze, z dala od ludzi, z dala od katechety Mariusza i siostry Urszuli, którzy zostawili nam trochę przestrzeni, czułem się, jakbym nie miał na sobie majtek.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytał Karol, gdy usiedliśmy na końcu długiego rzędu ławek. – Myślałem, że nie zostawiłem żadnych śladów.

– Dla innych może nie, ale ja mimo wszystko coś tam o tobie wiem. – Spróbowałem się uśmiechnąć, ale nie za bardzo mi to wyszło. – Byłem u twojego byłego na Pawiej. Zobaczyłem tam designerski krzyż na ścianie i pomyślałem, że jest całkiem w twoim stylu. Bizantyjski w chuj. A potem, przeglądając fotki sprzed lat, przypomniałem sobie o katechecie. To był bardzo daleki strzał. Na szczęście celny. – Równocześnie zerknęliśmy w stronę Mariusza. – Benicio del Toro.

– Co?

– Mówiłem ci, że przypomina mi znanego aktora, ale nie mogłem skojarzyć którego.

Kiedy ponownie zerknęliśmy w stronę katechety, Mariusz wydawał się mocno zaniepokojony.

– Co tam masz? – spytał Karol, wskazując moją torbę.

– Wszystko.

– Czyli?

– Wszystkie rzeczy, których potrzebuję, żebyśmy wyszli z tego cało.

Karol, rozdygotany, przestraszony, ewidentnie zmagający się ze skutkami odstawienia dragów, zapalił szluga. Trzeciego albo czwartego w ciągu ostatnich dwudziestu minut.

– Rozumiem, że mam przejebane, ale dlaczego ty? Ludzie wiedzą, że nie jesteśmy ze sobą blisko. Nawet ci nieokrzesani kretyni powinni skumać, że nie masz nic wspólnego z moimi działaniami.

– To nie takie proste.

– No to mi wytłumacz. Czemu mieliby cię dojechać? Po jaką cholere mnie znalazłeś? I dlaczego, kurwa, chcesz mi pomóc?

Karol wyrzucał z siebie kolejne pytania, choć równie dobrze mogliśmy się zamienić rolami. Tylu rzeczy chciałem się o nim dowiedzieć. W jaki sposób władował się w ten syf? Dlaczego z takim uporem wykonywał polecenia Carycy? Jak poważny jest jego problem z narkotykami? Czym tak naprawdę podpadł obu nabojkom? Ale najpierw musiałem mu wyjaśnić, kim jestem ja. Opróżnić jelita. Pozbyć się guza, który zżerał mnie przez tyle lat.

Musiałem powiedzieć bratu prawdę.

– Nie jestem gangusem – wyznałem.

– Nie chcę cię martwić, ale wyparcie to jeden z podstawowych psychologicznych mechanizmów obronnych. Jako ćpun coś o tym wiem. Według Freuda...

– Nie pierdol mi teraz o Freudzie, tylko posłuchaj. – Zgromiłem go wzrokiem.

– Od kilku lat współpracuję z policją. Donoszę na demonów. To jedyny powód, dla którego jestem z nimi tak blisko. – Karol czekał, aż powiem, że to żart. Ale kiedy to nie nastąpiło, zaczął trawić moje słowa. Wolno, leniwie, bez przekonania. Niczym pyton, który połknął zbyt dużą antylopę. – Jesteś dopiero drugą osobą, której o tym mówię.

– Kto był pierwszą?

– Książdz, który uratował ci dupę.

Karol przez dłuższą chwilę przyglądał mi się z pełną powagą, po czym niespodziewanie się roześmiał. A mnie równie niespodziewanie udzielił się jego humor. Kiedy się wreszcie uspokoiiliśmy, w telegraficznym skrócie przedstawiłem mu swoje życie, zaczynając od momentu naszej gówniarskiej wtopy narkotykowej.

\* \* \*

– A nie mogłeś po prostu zostać psem?

Karol zadał mi pytanie, które sam sobie wielokrotnie stawiałem. Właściwie odkąd pojąłem, że moja praca praktycznie niczym się nie różni od roboty policyjnych przykrywkowców. Tylko tym, że wykonuję ją pod swoim nazwiskiem, najczęściej bez jakiegokolwiek zabezpieczenia i za darmo.

– Nie potrzebowali kolejnego psa, tylko gościa, który szybko się wślizgnie w strukturę nabojki i zacznie sprzedawać koleśki uważających go za kumpla. Byłem dla nich najbardziej oczywistym rozwiązaniem. Najprostszy. Najtańszy. Najmniej ryzykowny.

– Czyli ani nie jesteś psem, ani gangusem, tylko takim zbirem na pół chuja w dupie.

– Można tak powiedzieć.

– Dlaczego nie wyszedłeś, gdy Brenner dał ci taką możliwość?

– To nie takie proste. Brenner od początku miał nade mną przewagę. Wiedział o wszystkich przestępstwach, jakie popełniłem. Sam mu o nich opowiadałem, żeby zbudować swoją wiarygodność. Obiecał, że nie wykorzysta tej wiedzy przeciwko mnie. I że nawet jeśli się na czymś wyłożę, pomoże mi załatwić status świadka koronnego. Ale wątpię, by nasze ustalenia dalej obowiązywały.

– Spięliście się?

– Jakiś czas temu Brenner dał mi do zrozumienia, że albo zrobię to, czego chce, albo czeka mnie konfrontacja z nabojką. Niedługo później zaaranżował spotkanie z prokuratorem, które tylko potwierdziło, że ma głęboko w dupie moje bezpieczeństwo. A po wszystkim wysłał za mną dwóch typów mających dopilnować, abym spełnił jego wolę. Dlatego żeby mieć szansę na przeżycie, muszę stąd uciec albo posadzić Demona w pierdłu.

– Czyli Brenner to zwykły skurwiel.

– Nie taki zwykły. To bardzo sprytny skurwiel, który znalazł idealny sposób na to, aby osiągnąć swój cel.

Z amfiteatru przenieśliśmy się z Karolem do zaparkowanego na uboczu samochodu, który pożyczyłem od Mariusza. Siedzieliśmy w nim przy zgaszonym silniku i wyłączonym radiu. Poznawaliśmy się na nowo. Odkrywaliśmy przed sobą sekrety, którymi żyliśmy przez kilka ostatnich lat. Spowiadaliśmy się ze swoich błędów, z kłamstw, z półprawd, które sobie serwowaliśmy. Nie wiedziałem, że Karol ma za sobą nieudany odwyk, który zniechęcił go do kolejnych prób rzucania dragów. Nie miałem pojęcia, że dilerka wcale nie była jego najgorszym sposobem zarobkowania, bo zdarzyło mu się także być chłopakiem do towarzystwa. Nie rozumiałem, jak mógł się związać z warriorsami, wiedząc, że jestem członkiem konkurencyjnej ekipy, ale okazało się, że był wtedy w takim ciągu, że nawet nie przyszło mu to do głowy.

Ale przede wszystkim nie wiedziałem, że mój brat dwukrotnie próbował się zabić.

Po raz pierwszy tuż po rozstaniu z Mariuszem. Był wtedy rozchwiany emocjonalnie i zdezorientowany. Czuł się odrzucony i ośmieszony. Katecheta o tym wiedział. I pewnie przynajmniej częściowo czuł się za to odpowiedzialny. Dlatego gdy mój brat zgłosił się do niego po pomoc, nie mógł mu odmówić.

Kolejną próbę Karol podjął parę miesięcy temu. Uznał, że woli umrzeć we własnych rzygowinach, niż użerać się z życiem, które nie sprawia mu frajdy. Ale gdy niedługo później pojawiła się szansa na dołączenie do warriorsów, jego pokrętny, przecpany umysł uznał to za dar od losu.

– Jak chcesz z tego wybrnąć? – zapytał Karol.

– W którymś momencie uznałem, że muszę zmniejszyć przewagę Brennera. Przede wszystkim przestałem informować go o swoich przestępstwach. Ale nie tylko. – Włożyłem rękę do kieszeni spodni. Wyjąłem pendrive. – Mam tu infor-

macje obciążające kilkunastu chuliganów ze środowiska Demona. Dzięki nim niemal z marszu można wsadzić ich do pierdła.

Karol uniósł brwi.

– Zjebałem w życiu parę rzeczy, więc może nie powinienem się mądrzyć, ale czy to nie głupie, że kitrales tę wiedzę, zamiast jak najszybciej zrobić z niej pożytek?

– To dowody przeciwko nic nieznaczącym łebkom, które w żaden sposób nie mogłyby upierdolić Demona. Dla Brennera są bez znaczenia. On, tak samo jak ja, chciałby dorwać lidera nabożki. Może liczy na medal, a może chce pokazać, że ma najdłuższego w CBS. Nie wiem i gównu mnie to obchodzi. Ale Ferenc inaczej patrzy na sprawę.

– Ten prokurator?

Kiwnąłem głową.

– On chce po prostu zamknąć jak najwięcej zbójów, wierząc, że w ten sposób prędzej czy później rozprawi się także z Demonem. Nie mam pojęcia, czy to możliwe, ale przynajmniej wiem, na czym mu zależy. – Pomachałem pendrive'em. – Dostarczę mu te informacje i opowiem o toksycznej relacji z Brennerem. Ferenc wydaje się racjonalnym gościem, więc powinien to zrozumieć.

Karol nigdy nie był dobry w okazywaniu wdzięczności. Nic się w tej kwestii nie zmieniło.

– Na co czekasz? – spytał. – Jedź do typa. Jakoś sobie poradzę.

– Po pierwsze, obaj wiemy, że sobie nie poradzisz. Po drugie, nie rozwiązałem jeszcze problemu Demona. A po trzecie, nie jestem pewien, czy to wystarczy. W końcu wystawiłem Brennera, kiedy chciał zakończyć moją akcję. Kwity na paru głąbów i szczerza skrucza to może być za mało, aby udobruchać Ferencia. Przydałoby się coś ekstra.

– Być może masz rację.

Karol pokiwał głową, a następnie niespodziewanie się uśmiechnął.

– Czego się szczerzysz?

– Mam coś, co może pomóc przekonać prokuratora.

\* \* \*

Chuligani bywają skomplikowani, ale ich świat jest prosty. Rządzi nim reguła trzech „p”: pięści, pieniądze, pierdolenie. Jeżeli nie potrafisz się bić, możesz nadrobić umiejętnością zdobywania kasy. Jeżeli jesteś słaby w robieniu interesów, możesz przykryć biznesowe braki wygadaniem i łatwością nawiązywania relacji. A jeżeli ledwo sklejasz zdania i nie rozumiesz rzeczywistości, zawsze pozostaje ci siła.

Caryca była przekonana, że obstawiła każdy wycinek chuligańskiego świata. I trudno jej się dziwić. W pewnym momencie miała za sobą ludzi, którzy handlowali dragami skuteczniej od demonów. Jej chuligani wygrali kilka prestiżowych ustawek, a ona parokrotnie wykazała się większą brutalnością od swoich poprzedników. A do tego zdawała się mówić z sensem i trafiać do ludzi. Liderka doskonała. Nieskazitelna. Niestraçalna ze stanowiska.

Ale zasada trzech „p” ma jedno ważne zastrzeżenie – odnosi się wyłącznie do mężczyzn. Kobiety, które próbują zaistnieć w chuligańskich realiach, nie mogą sobie pozwolić nawet na chwilę słabości. Nie wolno im pokazać ludzkiej twarzy. Nie mogą choćby sprawić wrażenia, że w którymkolwiek z obszarów, na jakich zbudowane jest chuligańskie uniwersum, są gorsze od facetów.

Caryca nie miała problemów z pięścią i pieniędzmi. Ale kiedy Demon ją ośmieszył, a potem niektórzy warriorsi odeszli albo zaczęli budować własne frakcje wewnątrz organizacji, całe jej pierdolenie przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Karol był niespodziewanym świadkiem tego równie niespodziewanego upadku. Kiedy imperium Carycy zaczęło się kruszyć, próbowała uratować je tym, w czym wciąż czuła się mocna – jeszcze większą brutalnością, jeszcze większą zachłannością. Chciała udowodnić przyglupom wątpiącym w jej przywództwo, że tylko z nią mogą być bogaci, poważani i bezkarni. O ile bezwarunkowo poddadzą się jej woli.

– Mam nagranie, na którym Caryca torturuje Zgreda – powiedział Karol. – To jeden z ojców założycieli ŁKS Warriors. Wielu myślało, że przejmie władzę po Śledziu.

– Wiem, kim jest Zgred. Bardziej mnie zastanawia, jak zdobyłeś to nagranie.

– Zrobiłem je z ukrycia. Siedzieliśmy w takiej spelunie na obrzeżach Teoflowa, niedaleko zajezdni. Zostałem z browarem przy stoliku, podczas gdy Zgred, Caryca i jej silnoręcy poszli na zaplecze. Przez przypadek albo celowo zostawili uchylone drzwi.

Kiedy Karol wspomniał o spelunie, poczułem gorycz w ustach. Aż za dobrze pamiętałem tamtą wizytę z Wiewiórem. Myślałem, że to zwykła mordownia, w której warriorsi załatwiają interesy z dala od psów, widzewiaków i każdego, z kim mają nie po drodze. Ale być może się myliłem. Być może było to ulubione miejsce kaźni Carycy.

– Po co ją nagrałeś? – spytałem.

– Dla beki. Byłem porobiony i nie bardzo wiedziałem, co może się tam wydarzyć. Szczerze mówiąc, myślałem, że będą się ruchać. Nawet na początku filmiku to tak wygląda. Caryca podchodzi do Zgreda, dotyka jego dłoni, uśmiecha się. Ale chwilę później jeden z silnorękich zachodzi go od tyłu i zakłada mu dźwignię, a babsko wbija facetowi śrubokręt w łapę. W tym momencie przestałem nagry-

wać i wróciłem na swoje miejsce. Ale z jęków Zgreda wnioskuję, że na śrubokręcie się nie skończyło.

– Pokaż mi ten filmik.

– Nie da rady.

– Czemu?

– Na wszelki wypadek skitrałem telefon.

– Gdzie?

Karol zacisnął usta. Szukał języka w gębie.

– W mieszkaniu po dziadkach.

– Przecież teraz wynajmują go jakieś panny.

– Magda i Sandra, obie studiują kulturoznawstwo na uniwerku. – Chyba wolałem nie wiedzieć, skąd Karol je zna. Ale brat postanowił mnie oświecić. – Po śmierci dziadków wyrobiłem sobie klucz do tamtego mieszkania. Zanim starzy je wynajęli, wpadaliśmy tam z chłopakami na melanże. A kiedy parę lat później znalazłem się w czarnej dupie, wykombinowałem, że będę podpierał różne rzeczy jego lokatorom. Nic wielkiego nikomu nie zabrałem, najczęściej drobną kasę albo biżuterię. A te panny mają dzianych starych, więc mogły tego nawet nie zarejestrować.

– Kumam, zabierałeś bogatym i dawałeś biednemu. Jak jebany Robin Hood.

Jeżeli Karola zawstydziła moja uwaga, to nie dał tego po sobie poznać.

– Żeby tam wejść bez przypału, musiałem poznać ich rozkład dnia. Studiują wieczorowo, dzięki czemu po południu mieszkanie przeważnie jest puste. Wpadłem tam przedwczoraj i ukryłem telefon za kratką wentylacyjną w kiblu. Jeśli chcesz, możemy tam podjechać. Dziewczyny mają zajęcia do dwudziestej. Wyrobimy się.

Włożyłem rękę do kieszeni i wymacałem pod palcami pendrive. Pomyślałem o jego zawartości, o zawartości telefonu brata, o prokuratorze. Z jednej strony Ferenc wydawał się trzeźwo myślącym kolesiem. Z drugiej nauczyłem się już, że mam słabą intuicję do ludzi. Ale przecież nie mogłem się zawsze mylić.

– Dobra – powiedziałem. – Pojedziemy po twój telefon, a potem do prokuratora. Spróbujemy wyjść z tego cało. Razem. – Byłem pewien, że Karol nie powiedział mi o wszystkich swoich grzeszkach, ale miałem nadzieję, że nie ma na sumieniu niczego, co mogłoby przekreślić nasze szanse u prokuratora. – Masz coś jeszcze na Carycę?

– Nic konkretnego. Mogę jedynie poopowiadać o tym, co widziałem albo słyszałem.

– A wiesz może, jak zajebała Pociska, tego raperka?

– To nie ona.

– Jak to? Przecież nawet się do tego przyznała.



– Ściemniła. Zrobiła to, aby wzmocnić swój autorytet. W końcu to ona powinna ukarać zdrajcę. Ale słyszałem, jak wypytywała o Pociska w dniu, w którym rozeszła się fama, że facet nie żyje.

– To kto go zajął?

– A jak myślisz?

No tak. Jeśli nie zrobiła tego Caryca, kandydat był tylko jeden.

\* \* \*

Dąbrowa jak żadne inne łódzkie osiedle kojarzyła mi się ze starością. Ze starymi ludźmi, starymi blokami, starą mentalnością. Ze starym, komunistycznym, wielokopłytowym porządkiem świata. I czułem się naprawdę dziwnie, kiedy zaparkowaliśmy niedaleko bloku naszych dziadków przy Tatrzańskej, wysiedliśmy z auta i wkroczyliśmy w tę wszechogarniającą starość z nadzieją, że wyniesiemy z niej coś dobrego.

– Wszystko okej? – spytał Karol, gdy nieoczekiwanie przysiadłem na ławce.

Nie, nie było okej. Pomysł na włamanie nie był okej. Ratowanie niewdzięcznego brata nie było okej. Grasowanie po mieście w naszej sytuacji też nie było okej. Nic, kurwa, nie było okej. Ale musiałem wziąć się w garść, bo wiedziałem, że Karol sam tego nie udźwignie.

– Myślę – odparłem. – Szacuję ryzyko.

– Czego?

– Tego, że zostaniemy nakryci.

– Wyluzuj. Przecież powiedziałem, że znam rozkład dnia tych lasek.

– Nie mówię o nich, tylko o typach, którzy nas szukają. O psach i gangusach. – Spojrzałem na brata. – Czy ktoś wie o tym, co robiłeś w tym mieszkaniu?

– Coś ty – zachnął się Karol.

– Na pewno nikomu nie wspominałeś?

– To nie jest coś, czym można się chwalić.

– Na pewno?

Karol schował ręce do kieszeni. Ciężko westchnął.

– Wiedzą o tym jedynie moi starzy kumple z ośki, z którymi tam chlałem i paliłem hasz. Ale nikt z warriorsów. Żaden gangus.

– A czy wśród tych twoich kumpli jest ktoś, kto mógłby cię wydać? Nawet nie chcący?

– Nie bardzo potrafię to sobie wyobrazić.

Ale ja potrafiłem. Demon i Caryca mogliby wyciągnąć informacje z kumpli Karola na dziesiątki sposobów. I żaden z nich nie był przyjemny. Musieliby jednak umieć dotrzeć do ludzi, którzy wiedzą o moim bracie naprawdę dużo. Na szczę-

ście Karol zmieniał znajomych jak rękawiczki. Właściwie każdy chłopak z jego rocznika, który palił jointy albo robił coś głupiego, w jakimś momencie mógł zostać jego kolegą. Może właśnie ten nieustanny przemiał był źródłem samotności mojego brata.

Karol miał rację. Fortuna nas nie rozpieszczała, ale w tym wypadku musiałyby nam sprezentować prawdziwą kumulację gównianych zdarzeń.

– Chodźmy – powiedziałem, podrywając się z ławki. – Załatwmy to i spieprzajmy stąd.

Miałem bardzo dobre wspomnienia związane z tym miejscem, z tym blokiem, z tym podwórkiem. Nasi dziadkowie nie żyli już od kilku lat, ale gdy chodziliśmy do podstawówki, spędzaliśmy tam sporą część wakacji. Głównie bawiąc się, rozrabiając i robiąc pod wyrozumiałym okiem babci rzeczy, na które nie pozwalali nam rodzice. Nie chciałem wyprzeć tych wspomnień innymi. I nie chciałem stracić brata.

– Przepraszam – powiedziałem, kiedy weszliśmy do windy.

– Za co?

– Za wszystko. Powinienem ci od razu powiedzieć, że współpracuję z policją. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem.

– Ze wstydu. – Karol kwaśno się uśmiechnął. – Większość głupich decyzji podejmujemy dlatego, że wstydzimy się innych głupich decyzji. A potem okazujemy się za głupi, żeby to wszystko odkręcić.

Winda wjechała na szóste piętro. Metalicznym jęknięciem dała znać, że za chwilę otworzą się drzwi.

– Spróbujmy to zmienić – powiedziałem.

Dziwnie się czułem z tym, co zamierzaliśmy zrobić. Ale jeszcze dziwniej było wtedy, gdy zaczęliśmy to robić. Karol włożył klucz do zamka i go przekręcił. Nacisnął klamkę. Miał rację – mieszkanie było puste. Zaśmieczone, zagracone, pełne porozrzucanych ciuchów i kosmetyków, ale puste. A tylko na tym nam zależało.

Nie zwlekając, poszliśmy do łazienki. Wyjąłem z kieszeni śrubokręt i podałem go Karolowi, sądząc, że poradzi sobie z kratką wentylacyjną szybciej ode mnie, skoro już raz ją zdemontował. Ale jego rozdygotane dłonie były innego zdania.

– Daj mi to. – Odebrałem mu śrubokręt. – Zajmę się tym, a ty idź do salonu. Patrz, czy te dupy nie wracają.

– Mówiłem, że one...

– Idź, kurwa, do salonu.

Być może obserwacja okolicy nie była nam potrzebna, ale widok roztrzęsionego Karola dodatkowo mnie stresował. Nie potrzebowaliśmy ataku paniki. Ani jego, ani mojego.

Kiedy wyszedł, zabrałem się do roboty. Okazało się, że krzyżak, który znalazłem w aucie katechety, nie pasuje do śrubek przytrzymujących kratkę. Zacisnąłem zęby. Karol mógł zwrócić na to uwagę, kiedy wyciągałem sprzęt z samochodu. Jednak nie miałem czasu ani siły się na niego złościć. Sięgnąłem do portfela i wyjąłem pięciogroszówkę, która miała mi zastąpić śrubokręt z płaską końcówką. Przyłożyłem ją do śrubki. Pasowała. Plan, żeby szybko uporać się z kratką, przepadł, ale wciąż mogliśmy w miarę sprawnie wyciągnąć telefon i wyjść z mieszkania, zanim sytuacja się skomplikuje.

– I jak? – zawołałem. – Czysto?

– Chyba tak. Widzę samych emerytów, babę z psem i jakąś lansiańską furę.

– Jaka?

– Lansiańską. Strasznie tandetną. Jakiś typ nakleił sobie ognistą strzałę na drzwi.

Zamarłem.

– Jaka marka?

– BMW.

Upuściłem pięciogroszówkę i pognałem do pokoju. Stałem obok zaskoczono Karola, przesunąłem firankę i wyjrzałem przez okno.

Kurwa.

Ażmi. Jedyny człowiek, który mógł kojarzyć dawnych znajomych Karola. Jedyny, który mógł się dowiedzieć, gdzie jesteście. I jedyny z tego pieprzonego gangsterskiego kręgu, któremu jako tako ufałem.

– Wychodzimy – powiedziałem. – Szybko!

– A telefon?

– Jebać go.

Karol patrzył na mnie otępiałym wzrokiem. Nie rozumiał, co się dzieje, ale nie było czasu na tłumaczenia. Chwyciłem go za ramię i odciągnąłem od okna. W końcu pojął powagę sytuacji i pobiegł do wyjścia. Chwycił za klamkę. Ale zamiast wyjść na korytarz, zatrzymał się w progu mieszkania. A chwilę później runął na podłogę.

Kiedy do środka weszli ludzie, których miałem nadzieję nigdy więcej nie spotkać, sytuacja dramatycznie się skomplikowała. Dużo bardziej niż w najgorszym wariantcie mojego scenariusza.

## 28.

– Kluczyki.

– Co?

– Daj mi, kurwa, kluczyki do fury – warknął Rocco, jednocześnie, chyba nie do końca świadomie, celując do mnie z pistoletu. Ze spluwy. Z giwery. Z gnata. Z pieprzonego kopyta, które ten przećpany świr ścisnął w łapie. – No bo chyba nie przyjechaliście tu MPK.

– Nie. – Wolno sięgnąłem po kluczyki, a potem jeszcze wolniej przekazałem je Rocco. – Biała astra. Stoi przy Tatrzeńskiej. Numerów nie pamiętam.

– W dupie mam numery. Tyle nam wystarczy. – Rocco odwrócił się do goryla, który chwilę wcześniej znokautował mojego brata. – Przeparkujcie, zezłomujcie albo spalcie ten wóz. W każdym razie ma stąd zniknąć. I uważajcie, żeby się nie ubabrać pedalską spermą.

– Mamy iść we dwóch? – spytał jeden z karków.

– Możecie nawet w pięciu, jeśli czujecie taką potrzebę.

– Pomyślałem, że...

– Właśnie w tym miejscu popełniłeś błąd. Ty nie jesteś od myślenia. Ty jesteś od działania. Od robienia ludziom z ryja galarety. Od wkładania im różnych dziwnych przedmiotów w różne dziwne miejsca. Od myślenia trzymaj się z daleka, bo jeszcze zajadów dostaniesz.

Wparowali tu we czterech. Rocco, dwaj silnoręcy, którzy towarzyszyli Demonowi w Warszawie i pod Częstochową, oraz Ażmi. To dzięki niemu nas znaleźli. Nie doceniłem go. Nie doszacowałem ryzyka, jakie zagrażało nam z jego strony. Założyłem, że nie będzie w stanie dotrzeć do ludzi, którzy doprowadzą do nas gangusów. A przecież dawniej Ażmi był takim samym outsiderem jak Karol. Tacy zawsze się przyciągają. Jakby łączyło ich coś metafizycznego. Jakiś niewidzialny frajerski kod, który tylko oni potrafią odczytać.

Podejrzewałem, że nigdy się nie dowiem, w jaki sposób Ażmi nas znalazł. Wiedziałem za to, po co to zrobił. Rocco chciał wyrządzić nam krzywdę. Być może najcięższą z krzywd, skoro nie chciał mieć tych prawilniaków za świadków.

– Kto tu teraz mieszka? – zapytał.

– Studentki – odparł Karol, który nie mógł, a może i nie chciał się podnieść z podłogi. Prawdopodobnie miał złamany nos.

– O której wracają?

– Nie wiem.

– O której, kurwa, wracają?! – Rocco przystawił Karolowi pistolet do twarzy.

– O dwudziestej, czasem trochę później.

Rocco spojrzał na Aźmiego.

– Dzwon do niego.

– Nie mam numeru – odparł Aźmi.

– Jak to?

– Nikt nie ma. Poza tobą.

Rocco wyrzucił ręce w powietrze, a następnie puścił je wzdłuż tułowia, jakby machał skrzydłami.

– Niby jest taki cichociemny, a ludzie i tak robią mu koło chuja. – Wyjął z kieszeni telefon, wskazał pistoletem Karola i zwrócił się do Aźmiego: – Posadź tego kurwia na krzesło, a potem go zwiąż. Jak szynkę, żeby nie było mu zbyt wygodnie.

Kiedy Aźmi kornie wykonywał jego polecenie, Karol nawet nie protestował. Wiedział, że to bez sensu. Że pruciem japy nic nie wskóra. Że jest za słaby, zbyt mizerny, żeby walczyć. I ja też nic nie mogłem zrobić, ponieważ to Rocco trzymał broń. Patrzyłem więc, jak Aźmi sadza Karola na krzesło, jak wyciąga z plecaka sznur, jak nieudolnie wiąże supeł. I jak drży, robiąc to wszystko. Ze stresu? Ze strachu? Ze wstydu?

– Przynieś drugie krzesło – rozkazał Rocco.

Nie miałem wątpliwości, że szykuje je dla mnie. Zamierzał się ze mną rozliczyć. Za wszystko, o co mnie podejrzewał. Wreszcie dopiął swego. Wygrał. Musiał być z siebie cholernie zadowolony.

I w tym samouwielbieniu kazał nam czekać na faceta, który pozwoli mu pociągnąć za spust.

\* \* \*

Nigdy nie byłem wielce familijną osobą, ale szczerze wierzyłem, że rodzina może – choć nie musi – być dla człowieka opoką. Że jej członkowie mogą – choć nie muszą – czuć się dobrze w swoim towarzystwie. I że mogą – a nawet powinni – wspierać się w trudnych chwilach, nawet jeżeli na co dzień mają się w dupie.

Problem w tym, że moja wiara nie pociągała za sobą konkretnych działań. Swoimi czynami raczej potwierdzałem wyświechtane powiedzenie, że z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciu. Choć i to nie musi być prawdą. Bo kiedy patrzyłem na Karola, pomyślałem, że nasza ostatnia fotografia mogłaby wyjść tragicomicznie. Dwóch przegrywów na chwilę przed odjebaniem. Z beznadzieją wymalowaną na twarzach. Z żalem i niezrozumieniem w oczach. Z pretensjami do całego świata, ze szczególnym uwzględnieniem siebie samych.

– Gdzie on jest? – spytał Ażmi, który sprawiał wrażenie najbardziej zniecierpliwionego faceta w pokoju.

– Jedzie – odburknął Rocco. – A ty co się tak srasz? Spiesz się gdzieś? – Ażmi odpowiedział wzruszeniem ramion. – Jeśli nie chcesz tu być, nie musisz.

– Nigdzie się nie wybieram.

– Ale chciałbyś, co? Wolałbyś siedzieć w domu i walić konia. Brandzłować się do obrazków z telewizora. Pod dwudziestu dwóch chłopaków w krótkich spodenkach, co? – Rocco machnął bronią w kierunku Karola. – Moglibyście to robić razem. Jeden drugim. Raz ręką, raz głową.

– Spierdalaj.

Rocco spojrział na Ażmiego, jakby się przesłyszał. Ale się nie przesłyszał.

– Taki z ciebie, kurwa, kozak? – Zbliżył się do Ażmiego tak, że tamten mógł poczuć jego przyspieszony oddech. Tak, że niemal zetknęli się czołami. Lecz chwilę później się odsunął. – Jeszcze nie – mruknął.

– Co jeszcze nie?

– Zobaczysz.

Rocco odebrał telefon. Wyjaśnił, gdzie jesteśmy. Chowając smartfon do kieszeni, krzywo się uśmiechnął.

– Już niedługo. *La grande finale*, skurwysyny.

Po kilkudziesięciu sekundach gęstej jak bagno ciszy otworzyły się drzwi wejściowe. Do mieszkania wkroczył Demon. Sam, bez przydupasów, tylko z parcianą torbą szurającą o podłogę. Poczęstował każdego z obecnych szybkim spojrzeniem. Nie karcącym, nie złośliwym, nie gniewnym. Oceniającym.

– Czekacie na kogoś? – spytał, odstawiając torbę.

– Już nie – odparł Rocco. – Chyba że któryś z tych chujków zaprosił gości i nie raczył o tym powiedzieć.

Żaden z chujków nie odezwał się słowem.

– No to zaczynajmy. – Demon zbliżył się do Ażmiego. – Usiądź na krześle.

– Co?

– Słyszałeś.

Ażmi zerknął na mnie, jakby liczył, że go wyręcę. Jakby oczekiwał, że powiem: „Ej! Przecież to ja jestem konfidentem. To ja powinienem tam wylądować. To mnie należy związać!”.

– O co tu chodzi? – zapytał Ażmi, siadając obok mojego brata.

– O ten tramwaj, co nie chodzi. – Rocco wycelował we mnie broń. – Zwiąż go. – Spojrzałem na Rocco, potem na Ażmiego, później znowu na Rocco, z każdym ułamkiem sekundy coraz bardziej skonsternowany. – Potrzebujesz specjalnego zaproszenia? Łap za sznur i wiąż tego cwela!

Zrobiłem, co kazał. Schyliłem się do plecaka, wyjąłem sznur, zacząłem obwiązywać Ażmiego. Zaskoczyła mnie jego bierność. Był jak weteran wojenny, który nie wierzy w Holokaust. Jak antyszczepionkowiec. Jak religijny fundamentalista, który nawet z bronią przystawioną do skroni ufa, że Najwyższy ma na niego jakiś plan.

– Co wy, kurwa, robicie? – wymamrotał w końcu.

– Analizujemy szkody – wyjaśnił Demon.

Kiedy zrobiłem swoje, chciałem wrócić na miejsce, w którym stałem, jakby ten kawałek podłogi pokrytej rudobrazowym dywanem był mi szczególnie bliski. Ale Demon kazał mi zostać obok Ażmiego i Karola, jak na jakimś szkolnym apelu. Następnie zwrócił się do Rocco.

– Już wiesz, dlaczego tak to robimy?

– Ni chuja. Nie możemy ich po prostu odjechać? Przecież to trzy zdradzieckie kurwy. Jedna gorsza od drugiej.

– No właśnie. I każda z nich nadepnęła nam na odcisk. Jak by to wyglądało, gdybyśmy ich wszystkich odpalili?

– Co wy pieprzycie?! – wrzasnął Ażmi. – Jaka „zdradziecka kurwa”? Ja nie jestem żadną... – zamilkł, gdy Demon przyłożył palec do ust.

– Być może jesteś, być może nie. Słowo przeciwko słowu. Nie będę tego rozstrzygał. Nie chce mi się. Ale nie zamierzam ryzykować. – Odwrócił się do Rocco.

– Już rozumiesz?

– Teraz tak. Nie możemy rozwalić wszystkich. Ale dlaczego tylko jednego?

– Bo jesteśmy przyzwoitymi ludźmi. A przyzwoici ludzie dają wybór.

Demon spojrział na naszą trójkę, po czym schylił się po torbę. Położył ją na stole, pociągnął suwak. Chwilę później rozpoczął swój makabryczny występ.

– Miałem kiedyś psa...

Patrząc na rozkwaszoną gębę Aźmiego, skatowanego przez Demona przy akompaniamencie *Tańca z szablami* Arama Chaczaturiana, myślałem o różnych rodzajach śmierci. W tym o śmierci wskutek pobicia. Mówiąc wprost: o zatłuczeniu człowieka na śmierć. Nie potrafiłbym się doliczyć, ilu osobom spuściłem wpierdol. Pewnie kilkudziesięciu, może ponad stu. Jedni na to zasłużyli, inni nie. Jedni w pewnym sensie na to liczyli, skoro z własnej woli przywdziali kolorowe fatałaszkę i poszli na mecz. Inni dostali wpierdol w gratisie. Za nic. Za to, że są. Że byli. Że przecięli się ze złym człowiekiem w porze spuszczenia przez niego wpierdolu.

– Na co, kurwa, czekasz? – warknął Rocco, przekrzykując muzykę.

Oprzytomniałem. Spojrzałem w kierunku Karola i Aźmiego. Wybór był oczywisty. Przecież nie mogłem zabić brata. Musiałbym go nienawidzić. A ja go nie nienawidziłem. Nawet go nie znałem. Rozumiałem, dlaczego szłocha i skomle, dlaczego się zapluł, dlaczego obszczał krzesło, na którym siedział, ale tak naprawdę nie miałem pojęcia, co się dzieje w jego głowie. Wiedziałem jedynie, że rozpanoszył się w niej strach. Większy, niż kiedykolwiek odczuwał.

Demon musiał wiedzieć, że nie zabiję Karola. Że wybiorę Aźmiego. Tylko dlaczego, do cholery, tego chciał? Dlaczego tak to rozgrywał? Czym Aźmi mu zawinił? I czym ja mu zawiniłem? Przecież gdyby odkrył, że jestem konfidentem, to ja wylądowałbym na jednym z krzeseł. Albo rozwaliłby mnie od razu. Samodzielnie, bez gierki, bez zabaw z muzyką.

– Rusz się, do kurwy nędzy! – Rocco, choć był zdrowo nafurany, zachowywał się jak ćpun na głodzie. – Wybierz jedną z tych kurew, naślń kutangę i wyruchaj ją w dupę. No już!

Ponownie na niego spojrzałem. A właściwie nie na niego – za niego. Zerknąłem na korytarz, w którym zniknął Demon. Nie chciał oglądać tego widowiska. Nie musiał. Zostawił na miejscu wierne psisko, które mogło mu wszystko zrelekcjonować, gdyby tylko chciał. Ale dlaczego to zrobił? I czy to miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie?

Wreszcie opanowałem emocjonalną biegunkę. Zacząłem myśleć.

– Liczę do trzech, a potem rozjebię ci łeb.

Pokiwałem głową. Bardziej do swoich myśli niż do słów Rocco. Nie miałem jeszcze planu. Miałem zarys pomysłu. Kontury. Mglistą wizję czegoś, co miało sprawić, że tak szybko nie skończę w piachu.



– Masz jakieś preferencje? – spytałem.

– Co?

– Którego z nich mam zajeżdżać?

Rocco parsknął.

– To nie jest, kurwa, moja decyzja. Ale na twoim miejscu rozwalilibym obu. – Spojrzał na Aźmiego. Następnie uniósł broń. – Jeden skurwiel już wygląda tak, jakby miał zaraz kofnąć, a drugi...

Nie dokończył. Bo gdy bezmyślnie i beztrzesko mierzył do Aźmiego, ruszyłem w jego kierunku.

Pierwszy krok, drugi, skręt tułowia, sierp. Taki był plan. Powinien wypalić, jeżeli będę szybszy od Rocco. Jeżeli zdążę przeprowadzić całą sekwencję, zanim jego przećpany umysł zorientuje się w sytuacji i rozkaże mu skierować we mnie broń. Bo akurat tego, że to zrobi, byłem pewien.

Nie zdążył.

Jak na kolesia, który przez kilka ostatnich lat żył ze spuszczenia ludziom wpiędołu, zadałem wyjątkowo nędzny cios. Na szczęście wystarczył, aby zaskoczony takim obrotem spraw Rocco stracił równowagę, poleciał do tyłu i wyrzucił plecami o uchylone drzwi. Rozłożył ręce na boki, aby zamortyzować upadek. I tylko sobie znanym sposobem nie wypuścił pistoletu.

Kurwa.

Rzuciłem się na Rocco, wykonując pełen dosiad. A potem spuściłem na niego lawinę ciosów. Jedne lądowały na jego twarzy, na miękkich policzkach i twardym jak pancerz czole. Inne ześlizgiwały się po uszach i wpadały z chrzęstem w dywan. Jeszcze inne Rocco próbował blokować otwartą dłonią, w drugiej wciąż trzymając broń.

Wystarczyło delikatnie ugiąć rękę w łokciu, skierować lufę w moją stronę i pociągnąć za spust. Cała operacja zajęłaby mu najwyżej dwie sekundy. Ale zanim ten kretyn to zrozumiał, jego ciało zwiotczało. Rocco odpłynął.

Wtedy zrobiłem coś, czego nie było w moim planie.

Chwyliłem dłoń, w której ścisnął broń, i wolno, jakbym się cackał z porcelaną, przeniósłem ją na jego klatkę piersiową. A kiedy lufa pistoletu znalazła się tuż pod brodą Rocco, z całej siły nacisnąłem palec spoczywający na spuście.

Wystrzał zbiegł się w czasie z ostatnimi akordami tańca wojennego Chaczaturiana.

\* \* \*

Odkąd zaczęło się to szaleństwo, przeraźliwie się bałem, że któregoś dnia będę świadkiem zabójstwa. Że znajdę się w sytuacji, w której za mój nieukształtowany

kregosłup moralny ktoś zapłaci życiem. Że podejmę niewłaściwą decyzję w momencie, w którym nie będę miał prawa się pomylić. Ale nigdy, nawet w najczarniejszych snach nie wyobrażałem sobie, że zabiję człowieka z własnej woli. Dlatego, że nie będę mógł się powstrzymać.

Stałem nad zwłokami Rocco i nie mogłem przestać się gapić na galaretowatą substancję, która wyskoczyła z jego czaszki, oblepiając luszczące się drzwi. Było w tym coś nierealnego. Magicznego. Wyjętego z jakiejś gry albo ze spaczonej wyobraźni. Czułem się jak po niespodziewanym omdleniu, na sekundę przed odzyskaniem przytomności. I dopóki nie zostałem wyrwany z odrętwienia, było mi z tym całkiem dobrze.

– Rozwiąż nas. – Odwróciłem się i popatrzyłem na Ażmiego. Wyglądał fatalnie. Rozbite nos i łuk brwiowy, szybko puchnąca twarz, krew zaschnięta na bluzie. Zerkał na mnie spod mimowolnie drgającej powieki prawego oka. Lewe było zamknięte i dobrze ukryte pod obrastającą je bulwą. – Rozwiąż nas – powtórzył.

Odszedłem od zwłok i zrobiłem to, o co prosił. Najpierw uwolniłem Ażmiego, potem brata. Kiedy spojrzałem Karolowi w oczy, zobaczyłem w nich przeraźliwy strach. Ale równie dobrze mogło to być odbicie mojego własnego lęku.

– Co teraz? – spytał Karol.

– Spierdalamy stąd – wycharczał Ażmi, ślaniając się w stronę okna. – W każdej chwili może się tu pojawić Demon. Albo psy. Albo chuj wie kto.

Zdumiała mnie dzielność tego człowieka. Ledwo się trzymał na nogach, a gotów był spróbować zejść po balkonach z szóstego piętra. Z szóstego, kurwa, piętra.

– Wyjdziemy stąd normalnie, przez drzwi – wypaliłem. – Musimy się ruszyć, bo niedługo przyjdą studentki. Możesz chodzić?

– Gównno widzę i boli mnie łeb, ale nogi mam całe.

– A ty? – Karol wydawał się zaskoczony tym, że chwilę wcześniej mógł zginąć, a teraz ktoś z troską pytał o jego formę. Po długim zawahaniu pokiwał głową. – Dobrze. W takim razie idziemy.

Był tylko jeden problem – nie wiedziałem, co zrobił Demon. Mógł stać za drzwiami i nasłuchiwać. Czekać na nas w windzie. Czaić się na klatce schodowej z przyszykowaną garotą. Mógł nawet zamienić się w wielkiego włochatego stwora, który nawinie nas na swój lepki jęzor i połknie w całości. Minęło tyle czasu, odkąd go poznałem, i wciąż nie miałem błędnego pojęcia, kim tak naprawdę jest. Nie rozumiałem jego motywacji ani natury. Nie wiedziałem, co jest dla niego biznesem, a co zabawą. Kiedy z czegoś drwi, a kiedy jest śmiertelnie poważny. Nie byłem nawet pewien, czy naprawdę chciał, abym kogoś zabił, czy może liczył na to, że wydygam i zginę z rąk Rocco.

Zresztą w tamtej chwili wiedziałem tylko jedno: że musimy stamtąd jak najszybciej wyjść. Nie mogłem dłużej tkwić w tym cholernym mieszkaniu. Nawet je-

śli miałbym to przypłacić życiem.

Na szczęście za drzwiami nie było Demona. Nie było go także w windzie, na klatce ani przy lansjarskim samochodzie Ażmiego. Razem z Karolem pomogliśmy jego właścicielowi wsiąść do bety, po czym sami załadowaliśmy się do środka. Rozejrzałem się, szukając w ciemnościach Demona albo kogoś z jego świty, ale nikogo nie dostrzegłem.

– Co teraz? – ponownie spytał Karol, jakby to był jedyny zwrot, jaki potrafił z siebie wydusić.

Choć bardzo chciałem, nie potrafiłem mu odpowiedzieć.

\* \* \*

– Dobrze znasz tego proboszcza? – spytałem, ale nie uzyskałem odpowiedzi. – Karol!

– Co? – Brat wreszcie się ocknął.

– Pytałem, czy dobrze znasz proboszcza.

– Nie, ale to porządny człowiek. Pomoże nam.

– Nie zadzwoni na psy, gdy zobaczy nas w takim stanie?

– Zakonnica by tak zrobiła, ale nie on. *Errare humanum est*.

– Co to znaczy?

– Błądzić jest rzeczą ludzką. Seneka Starszy. To pierwsza rzecz, jaką usłyszałem od Majewskiego. Zaraz potem powiedział, że nie trawi nygusów i oszustów, ale z całą resztą tałatajstwa jakoś sobie poradzi. – Karol posłał mi pytające spojrzenie. – Myślałem, że studiowałeś prawo.

Choć nigdzie nie widziałem ludzi Demona, liczyłem się z tym, że możemy mieć ogon. Dlatego pojechaliśmy na Radogoszcz okrężną drogą, wykonując dziesiątki dziwnych manewrów. I dlatego podróż zajęła nam dziewięćdziesiąt minut zamiast trzydziestu. Karol zdążył się w tym czasie uspokoić, Ażmi przyciął komara, a natura spuentowała naszą durnotę potężnym oberwaniem chmury. Najwyraźniej popłakała się ze śmiechu, widząc, jaki zgotowaliśmy sobie los.

Zatrzymaliśmy się na parkingu niedaleko kościoła. Wyłączyłem światła, zgasiłem silnik. Miałem już wsiąść, gdy nagle poczułem na ramieniu czyjąś dłoń.

– Gdzie jesteście? – spytał zachrypniętym głosem Ażmi, który właśnie się przebudził.

– W bezpiecznym miejscu – odparłem. – Znamy faceta, u którego możemy się zatrzymać. To kłecha, ale porządny. I pewnie zna kogoś, kto mógłby cię opatrzyć.

Ażmi wolno pokręcił głową.

– Nie zostanę z wami.

– Nie ma opcji, żebyśmy cię puścili. Nie w takim stanie. Poza tym musimy obgadać kilka rzeczy.

– Pogadajmy teraz. We dwóch. – Przeniósł wzrok na Karola. – Zostawisz nas na chwilę?

Brat wskazał palcem przednią szybę.

– Mam stać w tej ulewie i czekać, aż skończycie pitolić?

– Idź do czarnego – włączyłem się. – Chwilę pogadamy, a potem do ciebie przyjdziemy.

Karol wzruszył ramionami, jakby chciał oznajmić, że od tej pory już go nic nie obchodzi, nie dziwi i nie rusza, a następnie wysiadł z auta i pobiegł w kierunku kancelarii parafialnej. Kiedy zniknął z pola widzenia, odwróciłem się do Ażmiego.

– Ktoś musi się tobą zająć. Nawet jeśli myślisz, że nie jest tak źle, jutro albo pojutrze może ci się pogorszyć. Z głową nie ma żartów. Znam historie typów napięzających się w klatkach, którzy...

– Wiesz, dlaczego Demon chce mnie rozjechać? – przerwał mi.

– Domyślam się. – Ażmi czekał, aż wyjdzie to ode mnie. – Rozprułeś się. Od kilku miesięcy donosisz na ekipę. Wszyscy myśleli, że to Wiewiór, ale facet zniknął, a chujoza dalej stwarza problemy.

– Nie jestem konfidentem.

– A kim? Psem? – Nie zaprzeczył, nie zaśmiał się, nic nie powiedział. Milczał, świdrując mnie swoim cyklopim okiem. – Kurwa. Naprawdę jesteś psem.

– Nie musisz tak mówić. Chujoza, ekipa, rozpruwanie. Nie musisz udawać. Możesz być sobą. Wiem, kim jesteś.

– Zamknij się! – warknąłem. – Przez chwilę nic, kurwa, nie mów.

Potrzebowałem czasu, aby ułożyć to sobie w głowie. Aby zrozumieć, jak bardzo błądziłem. I że to wszystko było takie... proste.

Ażmi działał jako policjant pod przykryciem. Robił mniej więcej to, co ja, tyle że z odpowiednim wsparciem i za pieniądze. Wcale nie był przymulonym burakiem, któremu od czasu do czasu zdarzało się odpiąć wrotki. On tylko chciał być tak postrzegany. Stąd jego wybuchy agresji, chamstwo, dręczenie kolesia z Lexusa, a może nawet pobicie Kamili. Wszystko było grą. Nastawioną na efekt. Na to, żeby nas oszukać.

– Jak to się stało? – spytałem.

– Zrekrutowałem się zaraz po epizodzie w woju. Pamiętasz, gdy do mnie podbiłeś, a ja powiedziałem, że chętnie ci pomogę, ale dopiero po powrocie z Anglii? Tak naprawdę byłem wtedy na szkoleniu w Szczytnie. Najpierw zostałem psem, a zaraz potem przeszkolili mnie na przykrywkwowca.

– Nie jesteś za młody?

– Za młody i niewystarczająco doświadczony. Ale gdy się dowiedzieli, że mogą sobie wychować kolesia, który naturalnie wślizgnie się w struktury nabojski, nie chcieli stracić takiej okazji. Zresztą ktoś słusznie stwierdził, że tylko gówniarz jest w stanie wejść do tego środowiska.

Czyli to ja, proponując Ażmiemu dołączenie do mojej nieistniejącej jeszcze grupy, ściągnąłem na nas problemy. To ja, ciągnąc potem Ażmiego za sobą, wypchałem go coraz głębiej w to przykrywkowe bagno. I jak tu nie wierzyć w los, przypadek albo karmę?

– A legenda? Przecież działasz pod swoim nazwiskiem.

– Już się tak nie nazywam. Miałem wstępnie nagrane nowe życie. W innym mieście, pod inną tożsamością. – Ażmi wyjął z kieszeni papierosy. Włożył fajkę między obolałe wargi. Opuścił nieznacznie szybę i zapalił. – To nie jest tak, że tego pragnąłem. Po prostu chciałem coś znaczyć. Coś móc. Być kimś. A do tego kurewsko nie chciało mi się uczyć. Stąd wojsko i policja. A przykrywki? – Wyjął szluga z ust i zapatrzył się w zakrwawiony filtr. – Pomyślałem, że to może być ciekawa robota.

– Kto jest twoim covermanem?

– Nie mogę powiedzieć. Nie powinienem...

– Kto, kurwa?!

– Brenner.

Zacisnąłem pięści. Jestem pewien, że gdybym teraz spotkał Brennera, zatłukłbym go na śmierć. Nawet gdyby był komendantem CBS. Nawet gdyby był, kurwa, prezydentem.

– Podobno prawie się posrał ze szczęścia, gdy o mnie usłyszał – powiedział Ażmi. – A to, co się przed chwilą wydarzyło, jest pokłosiem jego wieloletniego planu.

– To on kazał ci mnie wystawić?

Ażmi ostrożnie i bardzo powoli ściągnął macha.

– Rocco kazał was znaleźć. Poinformowałem o tym Brennera, a on obiecał, że zapewni nam obstawę. Miałem dać znać, jeśli zrobi się gorąco, żeby razem z kominiarzami mógł wkroczyć do akcji. Kiedy tuż przed wejściem do tego bloku zobaczyłem, że Rocco ma kłamkę, wysłałem Brennerowi esemesa. Ale jak widzisz, nic się nie wydarzyło.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Od dawna podejrzewałem, że któryś z naszych zblatował się z nabojską. Byłem bardzo ostrożny, więc Demon tylko z zewnątrz mógł się dowiedzieć, że jestem policjantem.

To by miało sens. Dlatego Brenner tak naprawdę nie chciał, abym się za bardzo zbliżył do zarządu nabojski. Dlatego tyle razy Demon wychodził cało z sytu-

acji bez wyjścia. Tylko po cholere Brenner chciał, żebym zniknął? Zapomniał wspomnieć o mnie Demonowi? Bał się, że nasz mały sekret wyjdzie na jaw? Zrozumiał, że nie załatwię Demona, więc postanowił mnie wyciągnąć? Całkiem prawdopodobne. A kiedy zobaczył, że zamiast się wycofać, próbuję uratować swojego przypałowego braciszka, wykombinował, że z pomocą Demona i jego nadpobudliwych ludzików pozbędzie się i mnie, i Ażmiego. Dwóch chłopaczków, których kilka lat wcześniej wciągnął w swoją misterną gierkę. I którzy mogli go zniszczyć.

Tyle że nie wszystko poszło po jego myśli.

– Od dawna o mnie wiesz? – zapytałem.

– Mniej więcej od roku. Nieźle się kryłeś. Ale kiedy usłyszałem od swoich, że wśród demonów jest kret, zacząłem cię szukać. A gdy wiesz, czego szukać, łatwiej to znaleźć.

Ażmi otworzył nieznacznie drzwi. Myślałem, że chce wyrzucić peta, ale on wystawił głowę na zewnątrz. Zwymiotował. A kiedy skończył, zamknął drzwi i opadł na oparcie kanapy.

– Naprawdę potrzebujesz lekarza. I to raczej prędzej niż później.

Wytarł usta i wolno pokręcił głową.

– To, co zrobiłeś, było zajebiste odważne. Wstawię się za tobą. Powiem, że działałeś w samoobronie. W sumie to była samoobrona, nawet jeśli zwłoki sugerują coś innego.

– To nic nie da. Brenner zabrnął za daleko. Zabije nas, gdy tylko się wychylimy.

– Może i jest moim covermanem, ale to niejedyny policjant, jakiego znam. Do trę do ludzi, którzy nam pomogą.

Zaśmiałem się.

– Zanim wdepnęliśmy w to gówno, chciałem się zgłosić do prokuratora Ferrenca. Miałem nadzieję, że nam pomoże. Ale teraz myślę, że coś musi być z nim nie tak, skoro od tylu lat ugania się za chuliganami i jeszcze nie zamknął Demona. Kurwa jego mać!

Przypomniałem sobie, po co poszliśmy do mieszkania po dziadkach. Powiedziałem Ażmiemu o telefonie ukrytym za otworem wentylacyjnym. A także o pendrivie, który został w samochodzie katechety. Jedno z urządzeń pewnie należało już do Brennera, a drugie musiał przejąć Demon.

– Nie martw się tym – odparł Ażmi. – Teraz to już nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze, żebym znalazł kogoś, kto nam pomoże. – Wycelował palcem w kościół. – A tym czarnym zbroczeniem nie ufam.

– To gdzie pójdziesz?

– Jeszcze nie wiem, ale coś wykombinuję. – Ażmi włożył rękę do kieszeni i wyjął telefon. – Masz. Zadzwoń do ciebie, gdy znajdę rozwiązanie.

– To twój?

– Mój, nie mój. Trzymałem go na czarną godzinę, a ta jest najczarniejszą z czarnych. Tylko ja znam numer. – Zobaczył, że się waham, więc wychylił się do przodu i rzucił telefon na fotel. – Musisz mi zaufać. Obaj mamy przesrane, ale podobno we dwóch jest różniej. – Znów poczułem jego rachityczny uścisk na ramieniu. A w nim coś na kształt wdzięczności. – Zadzwonię, gdy wymyślę, jak to rozwiązać.

Ażmi popchnął drzwi i wytoczył się na zewnątrz. Przez chwilę śledziłem jego pokraczny marsz, ale potem odwróciłem wzrok. Nie mogłem na to patrzeć. Nie mogłem dopuścić do siebie myśli, że to w jego rękach leży mój los.

\* \* \*

Proboszcz Majewski okazał się bardziej wyrozumiały, niż podejrzewałem. Wpuścił nas na plebanię, zorganizował miejsce noclegowe, nawet przyniósł jakieś ciuchy na zmianę, kiedy się zorientował, że przyjechaliśmy z niczym. Nie pytał, co się stało. Nie dociekał. Nie oceniał, a przynajmniej nie werbalnie. Rozumiał, że nie wszystko poszło tak, jak to sobie wymyśliliśmy, więc dał nam czas na spokojną reorganizację.

Wylądowaliśmy w niewielkiej salce z łóżkiem polowym i materacem. Karol całkiem szybko się w niej urządził. Gdy rozmawiałem z Ażmim, zdążył się wykąpać i przebrać w znoszone dresy oraz sweter, a kiedy skończyłem lapidarną wymianę zdań z proboszczem i wszedłem do pokoju, siedział na końcu łóżka przykryty kocem po pachy. Wreszcie wyglądał jak młodszy brat, jakiego znałem. Lekko przestraszony, lekko onieśmielony. Sprawiający wrażenie lekko pogniewanego na świat, który zafundował mu zimny okład na nosie i sińce pod oczami. I o dziwo ani trochę nie zmienił swojego oblicza, gdy półszepsem opowiedziałem o tym, co usłyszałem od Ażmiego. Widocznie Karol sam doszedł do tego wcześniej. Tak jak mówiłem, jest ode mnie znacznie bystrzejszy.

– I co zamierzasz z tym zrobić? – zapytał.

– Nie wiem. Chyba rzeczywiście warto poczekać na ruch Ażmiego. Wydaje mi się, że nie ściemniał.

– Przez kilka lat też tak myślałeś.

– Demon go skatował, a potem praktycznie kazał zabić. Ażmi musiałby być świrem, żeby coś takiego ukartować.

Karol pokiwał głową. Uwierzył mi. Albo po prostu chciał zamknąć wątek demonów. Poudawać przez chwilę, że problem nie istnieje. Że nigdy go nie było.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Jakoś.

– To znaczy?

– Trzymam się. Jakoś. – Popatrzyłem na swoje dłonie. Były mokre i zgrabiałe, ale nie drżały. Nie wyglądały jak ręce faceta, który chwilę wcześniej zabił nimi człowieka. – Majewski powiedział, że możemy zostać tu kilka dni, o ile będziemy po sobie sprzątać. Potem przeniesiemy się do schroniska. Choć, szczerze mówiąc, wolałbym, abyśmy znaleźli jakąś inną miejscówkę. Najlepiej osobno.

– Nie chcesz o tym pogadać? – Karol wynurzył się spod koca. Obejrzał mnie od stóp do głów. Dwa razy. Jak agent ubezpieczeniowy, który nie potrafi stwierdzić, czy furę da się wyklepać, czy trzeba oddać ją do kasacji. – Niektórym rozmowa o traumie dobrze robi.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Nie teraz.

– To szok. Unikasz myśli o tym, co się stało, i wydaje ci się, że jest dobrze. Ale to nie będzie trwało wiecznie. Niedługo wrócą do ciebie wspomnienia, a wraz z nimi uczucie niepokoju i lęku. Zaczyniesz przeżywać to gówno raz po raz. Zastanawiać się, czy dało się zrobić coś innego. Nie będziesz mógł spać, stracisz apetyt, pojawią się wybuchy gniewu, agresji...

– Wiem, kurwa! – wrzasnałem i natychmiast tego pożałowałem. – Wiem...

Karol nie miał złych intencji. Wręcz przeciwnie. Wzniósł się na wyżyny empatii. Sięgnął do najgłębszych pokładów inteligencji emocjonalnej, aby wyciszyć własny strach i spróbować skomunikować się z bratem, który właśnie zrobił najstraszniejszą rzecz w życiu. Który ostatecznie przekreślił swoje szanse na normalność. Który teoretycznie postąpił słusznie, a praktycznie wszystko spierdolił.

Odwrociłem się. Spojrzałem na ubrania leżące na komodzie. A potem zacząłem się przebierać. Wolno, wręcz flegmatycznie. Jakbym się nigdzie nie spieszył. Jakby nic się nie stało. Kiedy próbowałem wcisnąć się w dżinsy, okazało się, że mam za grube uda. No tak, ksiądz był ode mnie jakieś dwadzieścia centymetrów niższy i ze trzydzieści kilogramów lżejszy. Niedziwne, że nie mogłem wleźć w jego ciuchy. I właśnie wtedy jakieś cholerstwo, nad którym nie miałem żadnej kontroli, sprawiło, że szarpiąc się z przymałymi portkami, zacząłem łkać.

Zapłakany, zasmarkany, ze spodniami sięgającymi ledwo nad kolana, odwróciłem się do Karola.

– Teraz już rozumiem, dlaczego chodzą w sukienkach.

Karol zdjął okład i lekko przekrzywił głowę. Wyglądał jak zbłąkana, zatroskana panda. Z pewnością nie było mu do śmiechu, ale zdołał wsunąć na twarz atrapę radości.

– Matka zawsze powtarzała, że masz tłuste gicзки.

– Poważnie? – Pociągnąłem nosem. – Nigdy tego nie słyszałem.

– Przecież nie mówiła tego przy tobie. Podobno to po dziadku, który miał uda jak kolarz torowy. – Karol ponownie przyłożył okład do twarzy, opadł na poduszkę. – Może podskórnie czuła, czym to wszystko się skończy. Może tak musiało być.



Zrzuciłem spodnie od Majewskiego i w samych gaciach usiadłem na brzegu łóżka. Schowałem twarz w dłoniach. Myśląc o słowach Karola, o matce, o tym, co się stało i co jeszcze mogło się wydarzyć, poczułem się potwornie zmęczony. Wydrenowany. Wypruty. Pokonany. W tamtym momencie najbardziej na świecie pragnąłem usnąć. Zapaść w głęboki, regeneracyjny sen. A przy odrobieniu szczęścia już nigdy się nie obudzić.

**Część VI**  
**TCHÓRZ**

## Trzy miesiące później

– Chujowo wyglądasz – wypalił Karol, który wciąż miał problem z wykrzesaniem choćby szczątkowej empatii.

– A ty wręcz przeciwnie – odparłem. – Wyglądasz kwitnąco. Jak nowo narodzony.

– Ostatni raz tak dobrze się prowadziłem w wieku dwunastu lat. Kiedy dopalury nikomu nawet się nie śniły.

Jeśli się zastanawiacie, czy zabójstwo zmienia człowieka, to mam dla was odpowiedź. Zmienia. I to na wskroś. Również fizycznie. W trakcie pierwszych tygodni od zajścia w mieszkaniu naszych dziadków praktycznie nie mogłem jeść, a spałem tylko wtedy, gdy nokoutowało mnie zmęczenie. Zrzuciłem jakieś dwaście, może piętnaście kilogramów. Straciłem masę mięśniową, na którą tak długo pracowałem, zupełnie jakbym wyciął ją skalpelem. Czułem się słaby. Miękki. Wyszczurzony. Zapadałem się w sobie, tak jak moje oczy zapadały się w wymizerowanej gębie. A mój nędzny, niepielęgnowany zarost z daleka wyglądał jak brud na policzkach. Niektórzy brali mnie za menela i omijali szerokim łukiem.

A Karol naprawdę wyglądał kwitnąco. No ale on nikogo nie zabił.

– Jak się trzymasz? – zapytałem.

Karol zdjął plecak, usiadł na ławce i przywarł plecami do oparcia. Poprawił okulary przeciwsłoneczne na nosie, po czym rozejrzał się na boki. Wyjął papierosa. Zapalił. Wypuścił dym kącikiem ust, jednocześnie robiąc przy tym nieco cierpiętniczą minę.

– Nie potrafię ci odpowiedzieć. Z jednej strony chujowo. Nie ma dnia, żebym się nie bał o życie. Że z jakiegoś zakamarka wychyli się typ, który mnie sprzątnie. Ale z drugiej strony nigdy nie miałem tak wiele. Jakkolwiek dziwnie to zabrzmie, od jakiegoś czasu żyję jak dziewiętnastowieczny szlachcic. Jebany król klasy próżniaczej. Poznałem takiego...

– Nie chcę znać żadnych szczegółów.

Naprawdę nie chciałem. Wołałem nie wiedzieć, czym się Karol zajmuje, z kim spotyka, gdzie mieszka. Jak z tego wszystkiego wyszedł. I co musiał zrobić, aby wylądować na cztery łapy.

Zanim się rozstaliśmy, obiecaliśmy sobie, że od tej pory będziemy ze sobą szczerzy. Nie było to takie trudne, zważywszy na to, że prawie się nie widywaliśmy – schadzka na jednym z blokowisk we Wrocławiu była naszym pierwszym spotkaniem od ponad dwóch miesięcy – a rozmowy telefoniczne ograniczyliśmy do niezbędnego minimum. Wiedziałem tylko, że Karol przeprowadził się gdzieś na Śląsk, przestał ćpać i umawia się z jakimś dzianym gościem. Miałem nadzieję, że choć trochę go lubi. Że nie spotyka się z nim wyłącznie po to, aby się czuć bezpiecznie. Że na swój sposób i przy wszystkich ograniczeniach, jakie sobie narzuciliśmy, jest szczęśliwy.

– Nie mogę się przyzwyczaić do nowego imienia – powiedział Karol. – Czasem nie reaguję, gdy ktoś się nim do mnie zwraca. A czasem przereagowuję. Z boku musi to wyglądać komicznie.

– Najważniejsze, żeby nikt się nie połapał, kim naprawdę jesteś.

– Ty nie masz z tym problemu?

Zastanowiłem się.

– Chyba rzadko muszę się przedstawiać.

Wykorzystałem jedne z ostatnich niespalonych znajomości, aby załatwić nam lewe dowody osobiste. Nie miałem dojść do ludzi, którzy mogliby je magicznym sposobem wprowadzić do systemu i uwierzytelnić, ale w zupełności wystarczały w codziennych sytuacjach. Na przykład gdy chciałem kupić piwo w sklepie. Albo gdy właściciel mieszkania, w którym wynająłem pokój, zamierzał się dowiedzieć czegoś o swoim nowym lokatorze. Poza tym chodziło o efekt psychologiczny. Nowy dokument, nowe nazwisko, nowy ja.

– Gadałeś ze starymi? – spytał Karol.

– Przez wujka Staszka skontaktowałem się z ojcem. I tylko z nim. Matka nie chciała ze mną rozmawiać. Wciąż nie może w to uwierzyć.

– W twoją czy moją część historii? – Nie odpowiedziałem. Nie musiałem. – No tak. Moje losy potoczyły się mniej więcej tak, jak można było przypuszczać. Za to ty nieźle dałeś dupy.

Pokiwałem głową. Jakkolwiek trywialnie Karol to ujął, miał rację.

– Starzy nie znają szczegółów. Wiedzą tylko, że podpadłem gangsterom. No i oczywiście domyślają się, że może to mieć związek z tym, co się wydarzyło w mieszkaniu dziadków. Policjanci długo ich maglowali. Ale nawet gdyby starzy obsrali portki i chcieli nas sprzedać, to i tak nie byłiby w stanie nic im powiedzieć.

Mam wrażenie, że właśnie to było dla rodziców najbardziej dojmujące. Nie to, co zrobiliśmy, co zrobiłem, tylko zupełna niewiedza na temat życia swoich dzieci. To dlatego matka nie chciała, nie mogła ze mną rozmawiać. To dlatego z ojcem gadało mi się jak z obcym facetem, któremu zawracam dupę. Coś się w naszym domu nieodwołalnie zepsuło. Coś nieodwracalnie zepsułem.

– I co ci stary powiedział? – zapytał Karol.

– Że nie wyjadą. Bo tu jest ich miejsce, tu się urodzili, tu mają robotę i życie. Rozumiem ich. Właściwie nie spodziewałem się innej reakcji.

– Podobno oni się nie mszczą na rodzinach.

– Nie powinni. Ale to pojebani ludzie, więc kto ich tam wie. Lepiej dmuchać na zimne. Przynajmniej starzy wiedzą, że muszą uważać.

– Jak znam ojca, pewnie robi pod siebie za każdym razem, gdy wychodzi z domu. Zawsze był miękką fają.

Kilka pierwszych dni spędziłem razem, kitrając się przed gangusami i policją na działce w Brzezinach należącej do rodziców mojego kumpla z podstawówki. Obmyślaliśmy plan przetrwania. Uznaliśmy, że najlepsze są proste rozwiązania, i dlatego przyjęliśmy kilka założeń, których powinniśmy się trzymać. Po pierwsze, wyjechać z Łodzi i już nigdy tam nie wracać, bez względu na to, jak bardzo będzie nas ciągnęło. Po drugie, rozjechać się w różne strony, najlepiej na północ i na południe kraju. Po trzecie, wiedzieć o sobie jak najmniej i jak najrzadziej się kontaktować. Po czwarte, spróbować normalnie żyć. Po piąte, trzymać się z dala od piłki nożnej. Po szóste, nigdy nie wspominać o tym, co się stało. Niektóre z założeń okazały się znacznie trudniejsze do zrealizowania, niż przypuszczałem.

– Przyniosłem ci coś – powiedział Karol, gasząc peta na betonowej ramie ławki, po czym sięgnął po plecak.

– Po co?

– A musi być jakiś powód?

– Nie potrzebuję zapomogi. Jakoś sobie radzę.

– Przecież nie przytargałem pęta kielbasy. – Karol wyjął z plecaka szarą, solidnie wypchaną teczkę, przewiazaną kolorową wstążką. – Obczaj.

– Co to? – spytałem, otwierając podarunek.

– Moja książka. Mówiłem ci, że piszę?

– Wspominałeś. Ale nie sądziłem, że starczy ci zapału, by skończyć.

– Sam jestem zaskoczony, tym bardziej że musiałem napisać ją od zera. Ale ostatnio nie ćpam i rzadko wychodzę z domu, więc mam mnóstwo wolnego czasu. Spiałem pośladki i oto efekt. Jeszcze jej nie oczyściłem, więc nie przypierdałaj się do błędów stylistycznych i literówek.

– O czym jest?

– Trochę o mnie, a trochę o życiu randomowego pedała w dużym mieście.

– O tym, że ruchasz się z kim popadnie?

– Też. Ale również o tobie.

Przekartkowałem książkę, a potem wróciłem do strony tytułowej.

– *Latarnia*. To od stania pod latarnią?

– Od tego, że tam jest najciemniej. Życie polega na przeoczaniu oczywistości. Czasem tak jednoznacznych, że chce nam się śmiać z własnej nieudolności, gdy odkrywamy prawdę. – Karol podniósł się z ławki. Zarzucił plecak na ramię. – Pomyslałem, że możesz być w podobnej sytuacji do mojej. Że czasem gapisz się na ścianę, wsłuchujesz w tykanie zegara i nie masz bladego pojęcia, co zrobić z resztą życia.

Pokiwałem głową.

– Chętnie przeczytam.

Karol uważnie mi się przyjrzał, niezbyt udanie skrywając zawód tym, co zobaczył. A może wcale nie próbował go ukryć.

– Myślisz, że to już koniec? – zapytał. – Wystarczyło zamknąć mordę, schować się i tyle?

– Myślę, że jest cień szansy na to, że nam odpuścili. Ale tylko cień. Lepiej nie zachowuj się jak celebrytka.

Wyciągnąłem do niego dłoń. Uściśnął ją, posyłając mi ponury uśmiech. Wtedy pojąłem, że nawet jeśli Karol stanął na nogi, nawet jeśli jakimś cudem żyło mu się lepiej niż kiedykolwiek, to i tak nie zdoła zapomnieć o tym, co go spotkało.

On też był nieodwracalnie zepsuty.

Rozstaliśmy się. Karol ruszył w stronę dworca kolejowego, a ja trochę posnułem się po mieście, zanim poszedłem w jego ślady. Nie chciałem, żebyśmy zbyt długo byli widziani razem. A poza tym mój pociąg do Bydgoszczy odjeżdżał dopiero za dwie godziny.

\* \* \*

Ktoś mądry powiedział kiedyś, że w coraz szybciej zmieniającym się świecie jedną z najważniejszych kompetencji będzie umiejętność oduczania się. Jeśli to prawda, powinienem być w siódmym niebie, ponieważ okazało się, że w ciągu dwóch miesięcy potrafiłem się oduczyć zadziwiająco wielu rzeczy. Oduczyłem się bić, płacić kartą, spacerować dla przyjemności. Oduczyłem się snuć długofalowe plany i marzyć. Oduczyłem się wierzyć w siebie i ufać. Oduczyłem się także mówić prawdę, choć akurat to nigdy nie było moją przesadnie mocną stroną.

Oczywiście okłamałem brata. Nie było żadnych szans, żeby nam odpuścili. Nie Demon, który nigdy nie pozostawiał urwanych wątków. Nie Brenner, któremu mogłem solidnie nabruździć. Powiedziałem tak Karolowi, bo nie chciałem, żeby był jeszcze bardziej posrany. Nie potrzebował tego. Jakoś się odnalazł w nowym życiu – bez dragów i myśli samobójczych, ale za to z tajemnicami, niezabliźnionymi ranami i dziwnym rodzajem samotności. Wyciągnął z tej sytuacji więcej,

niż przypuszczałem. Znacznie więcej. I nawet jeśli ta sielanka miała potrwać tylko chwilę, nie chciałem mu jej burzyć.

Było też kilka rzeczy, których się nauczyłem. Przede wszystkim oglądać się za siebie i sprawdzać, czy nikt mnie nie śledzi. Nie zostawiać śladów, po których ktoś mógłby mnie namierzyć. Nie rozkopywać dawnego życia, a przynajmniej nie robić tego zbyt często. Mówić tylko wtedy, kiedy trzeba, a nie wtedy, gdy chcę. Być tym, kim muszę być, a nie tym, kim chciałbym być.

Nauczyłem się też... kłaść płytki. Choć nie wszyscy się z tym zgodzali.

– Nierówno – burknął facet o imieniu Mirek, który stał nade mną z kiepem zwisającym z ust i obleśnym bęcem wystającym spod koszulki. Miałem wrażenie, że chce położyć mi go na głowie.

– Co nierówno? – spytałem.

– Nierówno, kurwa, dociąłeś. Za krótko. To betonowe kurewstwo ma się połączyć z panelami. Popraw to, bo nie mamy zapasu. A jak te chuje obciążą nas kosztami zamówienia, to zgadnij, kto będzie musiał je pokryć.

Tak, zostałem budowlańcem. Chłopakiem od remontów. Bydgoskim robotem. Razem z grupą Ukraińców i naszym polskim szefem, największym bucem z ekipy, jeździliśmy od mieszkania do mieszkania, zajmując się skuwaniem ścian i wynoszeniem gruzu, robieniem wylewek, kładzeniem gładzi, płytek czy paneli, przyklejaniem tapet, malowaniem. Była to prawdopodobnie najlepsza fucha, jaką mogłem znaleźć, skoro nie zamierzałem nikomu tłumaczyć, kim jestem, co przedtem robiłem i dlaczego chcę pracować na czarno.

W gruncie rzeczy robota nie była taka zła. Nie wymagała wielkiej wiedzy, a fizycznie dało się ją znieść. W dodatku Ukraińcom nie chciało się mówić po polsku i nie kazali mi opowiadać o sobie. Jedynym minusem było to, że strasznie dużo chlałem. A że nigdy nie czułem się komfortowo w butach pijaka, nie wszystkie alkoholowe potyczki kończyłem z tarczą. Któregoś razu, po pięciu wizytach w Żabce, zdarzyło mi się zwymiotować w autobusie. Tuż po pracy. O siedemnastej.

– Dima i Olek muszą wcześniej wyjść, więc będziesz sam fugował glazurę w łazience – powiedział Mirek. – Poradzisz sobie?

– Z czym miałbym sobie nie poradzić?

– Nie wiem. – Grubas podrapał się po dziobatej twarzy. – Robieś to już kiedyś?

– Usuwasz resztki kleju, przygotowujesz zaprawę, nakładasz. Proste jak walenie konia. Co tu można spierdolić?

Majstrowi chyba spodobała się moja odpowiedź, ponieważ cicho zarechotał, pokiwał głową, włożył kolejnego peta do gęby i wyszedł z pokoju. Gdy tylko się oddalił, spojrzałem na zegarek. Piętnasta. Jeszcze godzina i fajrant.

Zabójstwo Rocco przedstawiono w mediach jako owoc kibolskich porachunków. Prokurator Ferenc i policyjni ważniacy zapewnili, że są doskonale zorientowani w sytuacji, od lat infiltrują środowiska chuligańskie i wkrótce rozwiążą sprawę. Niedługo później zatrzymali kilku członków nabojki, których mieli na widelcu między innymi dzięki mojej pracy, i odtrąbili połowiczny sukces. Dziennikarze nie mieli dość odwagi albo zapału, aby śledzić sprawę na bieżąco, więc po paru tygodniach temat zniknął z życia publicznego.

Zmartwiło mnie, że nigdzie nie pojawił się mój wizerunek, że nie wystawiono za mną listu gończego, że nikt nie traktował mnie jako potencjalnego przestępcy. Technicy kryminalistyki z pewnością znaleźli mój materiał genetyczny na miejscu zbrodni, w tym na ciuchach i ciele Rocco, a śledczy wiedzieli, że jestem wschodzącą gwiazdą nabojki i że to mieszkanie moich starych. Brenner musiał mocno pociągnąć za sznurki, aby zdjąć mnie z celownika. A skoro to zrobił, to albo miał fatalny ogląd sytuacji i w idiotyczny sposób próbował uspić moją czujność, albo chciał dopaść mnie samodzielnie.

Brenner z pewnością nie był idiotą.

Mieliśmy się trzymać jak najdalej od piłki, ale nie do końca mi się to udało, ponieważ wynająłem niewielki pokój w bloku przy ulicy Gdańskiej, tuż obok stadionu imienia Zdzisława Krzyszkowiaka, na którym na co dzień grała Zawisza Bydgoszcz. Moimi współlokatorami byli dwaj studenci ratownictwa medycznego na Collegium Medicum, którzy zdecydowanie przesadzali z mefedronem, oraz kumplujący się z nimi diler, któremu udostępnił pokój w zamian za regularne dostawy dragów. Każdego dnia przechodziłem obok pastelowego budynku, na którym wymalowany był wielki napis „ZAWISZA”. Każdego wieczoru słyszałem jakieś egzotyczne przyśpiewki meczowe, ponieważ diler złapał fazę na oglądanie kibicowskich wyczynów z różnych zakątków świata. A w weekendy myślałem o tym, co się dzieje na oddalonym o kilkaset metrów stadionie. I na tym drugim, oddalonym o ponad dwieście kilometrów stadionie Widzewa.

Zdziwiło mnie, że za tym tęsknię. Za tą atmosferą, energią, emocjami. Za tym wszystkim, co wiązało się ze sportem i kibicowaniem, a nie ze zgrają patusów, wraz z którą w tym uczestniczyłem. Mój umysł w zadziwiający sposób potrafił odseparować od siebie dobre i złe wspomnienia, stawiając między nimi niewidzialną barierę.

Oczywiście czasem ta bariera pękała. Ale wtedy, zwykle już naruszony dwiema, trzema, czasem czterema małpkami łykniętymi w czasie roboty, wlewałem w siebie kilka piw, które tuliły mnie do snu. Pozwalały zapomnieć. Wyprzeć traumy, których umysł nie był w stanie samodzielnie zablokować.

Czasem tuż przed zaśnięciem nawiedzały mnie śmiałe myśli. Nawet zbyt śmiałe. Ale na szczęście alkohol i zmęczenie gasiły moje pomysły, zanim się zebrałem, aby je urzeczywistnić. Zanim durne plany przeobraziły się w durne czyny.



A potem, po nocy zwykle pozbawionej marzeń sennych, budziłem się z kacem i ze wstydem, ale także z elementarnym poczuciem obowiązku. Brałem prysznic, popijałem kawą aspirynę, robiłem kanapki z pasztetem, pakowałem do plecaka drelichowe portki i inne robolskie szmaty, po czym szedłem na tramwaj. Ledwo pamiętałem swoje brawurowe idee. Ich szczegóły się rozmywały. A w ciągu dnia zupełnie ginął po nich ślad. Rozpuszczały się w strzępkach niezrozumiałych dla mnie ukraińskich rozmów, hałasie szlifierki i otumaniających dźwiękach disco-polowych piosenek płynących z radia.

\* \* \*

Słusznie podejrzewacie: byłem wrakiem. Fizycznym, intelektualnym, organizacyjnym, a przede wszystkim psychicznym.

Przeczytałem kiedyś autobiografię Andre Agassiego, jednego z najlepszych tenisistów w historii. Wspomina w niej, że człowiek przedziwnie reaguje na stres. Czasem ciągle chce mu się srać. Czasem ruchać. Czasem nie może przestać się śmiać. Przeżywa emocjonalny rollercoaster, nieustannie przeskakuje z wagonika do wagonika. Doświadczałem tego w pełnej rozciągłości. Z tą tylko różnicą, że moje niekontrolowane wybuchy śmiechu szybko przechodziły w płacz. Cichy, lękliwy, ledwo widoczny na zewnątrz, a mimo to potwornie smutny. Beznadziejny. Żaloszny. Mój stres był jak awaria systemu. Jak trudny do wychwycenia błąd, sprawiający, że czujniki wariują i wybuchają na ekranie kontrolnym feerią barw, których nigdy przedtem nie widziałeś.

Nigdy nie rozumiałem ludzi topiących smutki w alkoholu. Nie pojmowałem, jak mogą być aż tak krótkowzroczni. Dlaczego godzą się na tymczasowe ukojenie bólu, wiedząc, że za chwilę wróci do nich ze zdwojoną mocą, wsparty kacem i wyrzutami sumienia. A mimo to robiłem tak jak oni, bo nie znałem innego – choćby naiwnego, choćby chwilowego – sposobu na cierpienie. Zalewałem się w trupa, chociaż wcale nie miałem ochoty na alkohol. Nawet nie lubiłem wódki ani piwa. Nie czułem się też fizycznie uzależniony. Po prostu cholernie brakowało mi rozmowy z kimś, kto by mnie wysłuchał, spróbował zrozumieć. W efekcie musiałem rozmawiać sam ze sobą, a alkohol trochę w tym pomagał.

Nie wiem, czy cierpiałem z powodu Rocco. Czy żałowałem, że go zabiłem. Rocco był chorym skurwysynem. Zasłużył na śmierć. Bardziej niż na więzienie, w którym zrobiłby z siebie panisko i króla spacerniaka. Ale to nie ja powinienem wymierzyć mu sprawiedliwość. Nie jestem gangusem. Nie czułem się nim nawet przez chwilę. Nie byłem właścicielem problemu o nazwie Rocco. A jednak w następstwie dziesiątek złych decyzji postanowiłem go wydzierżawić. Sfrajerzyłem. I chyba to najbardziej mnie bolało.

Także wtedy, kiedy się dowiedziałem, że to nie ja go zabiłem.

– Słyszałeś o tej strzelaninie w Łodzi? – spytał Dima.

Odkleiliśmy się od tramwajowej szyby i spojrzaliśmy na Ukraińca, który wgapił się w telefon, przeglądając newsy na jednym z portali.

– Jakiej strzelaninie? – spytałem, próbując wybudzić umysł stępiony osmioma godzinami malowania i kilkoma małpkami cytrynówki.

– Policjanci zastrzelili jakiegoś faceta. Podobno on pierwszy otworzył ogień. – Dima spojrzął na mnie ze zdziwieniem. – Mówiłeś, że jesteś z Łodzi.

– Naprawdę tak powiedziałem?

– Czasem mówisz dziwne rzeczy. Zwykle pod koniec roboty.

W pierwszej chwili wiadomość o strzelaninie spłynęła po mnie jak po kaczce. Ot, kolejny dziwny incydent w Łodzi. *Nihil novi*. Ale potem, gdy po powrocie do mieszkania trochę wytrzeźwiałem, zajrzałem do internetu, aby sprawdzić, co się stało. I się przeraziłem.

Długimi tygodniami czekałem na telefon od Aźmiego. Nie liczyłem na to, że wyciągnie mnie z tego szamba. Nie byłem aż tak naiwny. Ale miałem nadzieję, że coś wskóra. Że znajdzie sprzymierzeńców, którzy pomogą mu w walce z Brennerem. Że stawi czoła tym ludziom. Telefon jednak ciągle milczał, choćbym nie wiadomo jak intensywnie się w niego wpatrywał. A gdy przeczytałem o tej strzelaninie, zrozumiałem, że już nigdy nie zadzwoni.

To Aźmi był facetem, który otworzył ogień do policjantów. To on zginął w strzelaninie na Kościuszki. I to on został oskarżony o zabójstwo Rocco.

Z mediów mogłem się dowiedzieć, że policja od początku uważała go za głównego podejrzanego w tej sprawie, ponieważ należał do demonów, a na miejscu zdarzenia technicy znaleźli jego DNA. Ukrywał się trzy miesiące, ale w końcu śledczym udało się wpaść na jego trop. Kiedy funkcjonariusze łódzkiego oddziału CBS i Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi pojechali sprawdzić zgłoszenie, które otrzymali od jednego z informatorów, natknęli się na Aźmiego, a on zaczął do nich strzelać. Nie mieli wyboru. Musieli odpowiedzieć w ten sam sposób.

Oczywiście nawet się nie zająknęli, że Aźmi był przykrywkowcem.

Teoretycznie powinienem się cieszyć, że to jemu przypisano moją zbrodnię. W innych okolicznościach mogłoby to stanowić moją przepustkę do wolności. Ale nie w tej sytuacji. Śmierć Aźmiego oznaczała, że Demon i Brenner są gotowi posunąć się bardzo daleko, aby osiągnąć swój cel. I że od teraz mogą się skupić tylko na mnie.

Kiedy w jednym z łódzkich portali zobaczyłem nagranie, na którym Brenner, intensywnie wpatrując się w obiektyw, oznajmia, że łódzcy policjanci nie ustaną w tropieniu stadionowych gangsterów, będą bezlitośni dla ludzi ze środowiska chuliganów, a ich poszukiwania rozciągną się na całą Polskę, poczułem się tak, jakby mówił do mnie.

Browary trochę mnie uspokoiły. Stłumiły największy lęk. Przystopowały wyrzut adrenaliny. Ululały. Miałem już wyłączyć komputer, dopić kilka ostatnich lyków i położyć się do wyra, gdy usłyszałem znajomy, choć dawno niesłyszany dźwięk. Coś jak mechaniczne bzyczenie, irytujące i wzbudzające czujność. Potrzebowałem kilku sekund, aby zrozumieć, co to jest.

Wstałem od biurka i sięgnąłem po leżącą na komodzie nokię 3310, którą dostałem od Ażmiego. To ona bzyczała. Prosto z zaświatów.

Ażmi był ostrożny. Nie zapisałby tego numeru w swoim telefonie, a już na pewno nie pod moim nazwiskiem. Mimo to te skurwysyny jakimś cudem i tak się o nim dowiedziały.

Nie odebrałem. Odrzuciłem telefon, jakbym się nim oparzył. Pozwoliłem, aby irytujące bzyczenie penetrowało mój mózg.

Tak, od tej pory Demon i Brenner mogli się skupić wyłącznie na mnie.

\* \* \*

– Co ty odpierdasz?!

Pytanie Mirka długo dźwięczało mi w uszach. Zanim skonstruowałem odpowiedź, musiałem odczepić wszystkie natrętne myśli, które się do niej kleiły. Jakby wzięty sobie za cel wypieprzenie mnie z roboty.

– Przepraszam, ale dzisiaj nie dam rady – wychrypiałem. – Rozchorowałem się.

– Nie mogłeś, kurwa, zadzwonić i powiedzieć, że cię nie będzie? Ogarnąłbym jakieś zastępstwo.

– Jeszcze wczoraj czułem się dobrze. Wezmę leki i przeleżę cały dzień. Spróbuję wydobrzeć do jutra.

Grubas dalej się pieklił, ale ja już się rozłączyłem. Usiadłem na ławce kilkadziesiąt metrów od wejścia do przedszkola, mając nadzieję, że wychowawczyni nie uznają mnie za pedofila i nie zadzwonią po psy. Na szczęście zanim moja obecność w tym miejscu wydała się komukolwiek dziwna, rodzice zaczęli zajeżdżać pod budynek i odprowadzać zaspane bachory do placówki.

Po kilku minutach zjawił się facet, na którego czekałem. Podjechał pod samo wejście, ignorując znak zakazu parkowania, którego nie dało się nie zauważyć. Jeszcze w samochodzie wydarł się na córkę, a potem w pośpiechu zaprowadził ją do przedszkola. Wychodząc z budynku, trzymał już telefon przy uchu, rozpracowując pierwsze tego dnia interesiki.

– Musimy pogadać – powiedziałem, zanim mężczyzna wsiadł z powrotem do auta.

Facet odwrócił się w moją stronę. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

– Ty kurwo jebana. – Nie było to najmilsze powitanie, z jakim się spotkałem, ale mniej więcej takiego spodziewałem się po Szejk. – Co tu robisz?

Jak to co, pomyślałem, łamię kolejne z podstawowych założeń uzgodnionych z bratem.

Tak, wróciłem do Łodzi. Nie powinienem był tego robić, ale musiałem. Musiałem się zorientować w sytuacji. A potem spróbować ocalić siebie i swoich bliźnich.

– Wejźdźmy do samochodu – zaproponowałem.

Szejk przez chwilę myślał, co zrobić. W końcu przystał na moją propozycję.

– Ledwo cię poznałem – powiedział. – Wyglądasz jak szczur. Jakbyś się urwał z kanałów. Twoja morda wreszcie dogoniła wizerunek.

– Co o mnie gadają?

– Różne rzeczy. Najczęściej, że masz przejebane. Tak jak każdy, kto ci pomoże. Podobno Demon jest na maksa wkurwiony.

– Sorry za tę akcję z Rocco. To nie był mój pomysł. Znalazłem się tam przez przypadek. A potem nie miałem jaj, żeby to przerwać.

Szejk nerwowo podrapał się po twarzy. Jakbym wybudził jakieś uśpione wspomnienie. Zauważyłem, że oprócz pryszczu na gębie przybyło mu także kilka blizn na dłoni, a jego palec wskazujący był dziwnie wygięty. Rocco zostawił mu pamiątkę na całe życie.

– Podobno to Ażmi go zjebał, ale ja w to nie wierzę – powiedział Szejk. – Ani w to, że był psem, bo takie słuchy też chodzą. – Posłał mi pytające spojrzenie. Czekał na wyjaśnienie. Na oświecenie. Na cokolwiek. Ale niczego ode mnie nie dostał. – Będziesz tak milczał, kurwiu?

– Muszę się dowiedzieć kilku rzeczy o nabojce – odparłem, zmieniając temat.

Szejk parsknął pod nosem.

– No to znalazłeś sobie chujowego informatora. Odstawili mnie na boczny tor. Zabrali mi lokal i odcięli od kasy. Próbowałem wrócić po śmierci Rocco, ale furtka bezpowrotnie się zamknęła. Demon to uparty kutas.

– Pomóż mi. Jesteś jedyną osobą, z którą mogę o tym pogadać.

– A skąd wiesz, że cię nie rozjebię? Jesteś taki chudy, że złamałbym cię wpół. Mógłbym cię rozkawałkować i rozsypać przed mieszkaniem Demona. Jak konfetti.

– Nie mamy dużo czasu, więc przestań pierdolić. Tym bardziej że zaparkowałeś jak pizda.

Szejk całym ciałem odwrócił się w moją stronę. Zaklął. Przez chwilę myślałem, że mnie uderzy. Że mnie pobije i wyrzuci z samochodu. Albo nawet posunie się o krok dalej. Ale po chwili się uspokoił. Zmądrzał. Przestał pierdolić, zaczął opowiadać.

Okazało się, że wiedział o sytuacji w nabojce znacznie więcej, niż gotów był przyznać, choć niektóre informacje przedstawiał jako plotki lub spekulacje. Najważniejsza wiadomość była taka, że Demon się wściekł po zabójstwie Rocco. Kazał swoim ludziom za wszelką cenę dorwać mnie i Ażmiego. Przedstawił nas jako konfidentów, którzy zabili członka zarządu nabojki, aby ukryć swoją współpracę z psami. Pewnie wiedział, że Ażmi był przykrywkowcem, a ja bliżej nieokreślonym policyjnym popychadłem, ale oszczędził karkom szczegółów. To naprawdę bystry facet. Wiedział, że w tym ekosystemie najlepiej sprawdzają się proste komunikaty.

Śmierć Rocco trochę podkopała pozycję Demona w światku kibolskim, ale nie zepchnęła go z piedestału i nie zaowocowała powstaniem nowych grup chuligańskich w widzewskim środowisku. Żadnych władzy jełopów odstraszyła policyjna szopka z zatrzymaniem kilku członków nabojki. Nie zdziwiłbym się, gdyby jej pomysłodawcą był sam Demon.

Natomiast w rywalizacji między łódzkimi nabojkami na nieznaczone prowadzenie ponownie wysunęli się warriorsi. Caryca jakoś zdołała stłumić wewnętrzny bunt, okrzepła w nowej roli, udowodniła, że ma nie mniejsze jaja od swojego poprzednika i potencjalnych następców. Jej rywalizacja z Demonem przebiegała sinusoidalnie. Nikt nie był w stanie wytypować, kto z niej wyjdzie zwycięsko. Ani czy komukolwiek to się uda. Ani czy Demonowi i Carycy w ogóle na tym zależy. W końcu obecność w mieście dwóch prężnych grup chuligańskich rozpraszała uwagę policji, która i tak dysponowała ograniczonymi zasobami.

Szejk nie miał bezpośredniego dostępu do Demona. Zresztą nawet gdyby był jego przybocznym, pewnie niczego by się nie dowiedział na temat jego prawdziwych planów. Ale wciąż był blisko klubu. Widział, jak przepływają pieniądze, którzy członkowie nabojki dostają pracę, jacy chuligani pojawiają się na meczach. Znał to środowisko na wylot. Tylko na podstawie stadionowej atmosfery potrafił wyczuć, czy u demonów dzieje się dobrze, czy źle. I według niego mimo śmierci Rocco i całego zamieszania, jakie z tego wynikło, nigdy nie działa się lepiej. Demon nie przejmował się ani warriorsami, ani policją, ani mną. Robił swoje: handlował dragami, organizował ustawki, odpalał kolejne szemrane interesy. Czuł się mocny i był mocny. Tylko całkowita katastrofa mogłaby to zmienić.

– Powinieneś już iść – powiedział Szejk. – Zanim ktoś nas zobaczy. Albo zanim się rozmyślę i jednak rozjebię ci łeb.

Miał rację. Wracając do Łodzi i spotykając się z nim, sporo ryzykowałem. Naraziłem i jego, i siebie. Ale musiałem wybać grunt. Nawet jeśli wiedziałem, że spotkanie z Szejkiem nie załatwi sprawy i nie da mi odpowiedzi na najważniejsze pytania.

– Będę miał do ciebie jeszcze jedną prośbę – powiedziałem, siłąc się na uśmiech.

– Kim jesteś?

– Policjantem.

– Co ty nie powiesz.

– Nie takim, jak myślisz.

– To, kurwa, jakim? Z trzema nogami?

Nie chciałem brzmieć histerycznie, ale byłem zbyt zalany, żeby ukryć swój stan. Zresztą gdybym nie był, gdybym nie zatankował pod korek, nie odważyłbym się wynająć pokoju w hotelu na kilka nocy i nie sięgnąłbym po telefon od Azmiego, by zadzwonić do człowieka, który od jakiegoś czasu próbował się ze mną skontaktować.

– Twój przyjaciel podał mi ten numer dzień przed śmiercią – wyjaśnił mężczyzna. – Powiedział, że mam z tobą pogadać, jeśli coś mu się stanie. Prawdopodobnie wiedział, go czeka.

– Po pierwsze, Azmi nie był moim przyjacielem, tylko kłamliwym skurwysynem. A po drugie, miał trzy miesiące na to, żeby się do mnie odezwać. Trzy miesiące, kurwa. I wiesz co? Nie zrobił tego. Ani razu. Mam teraz uwierzyć, że tuż po jego śmierci wydzwaniał do mnie typ, którego Azmi do tego namaścił?

– Możesz wierzyć, w co tylko chcesz. Ale byłoby miło, gdybyś ruszył łbem.

– Spierdalaj!

– Pomyśl. Twój koleżka był paranoikiem. Zanim zdecydował się cokolwiek powiedzieć, musiał obwąchać mnie z każdej strony. Prawdę mówiąc, zmęczyłem się tymi jego podchodami i już zamierzałem kazać mu spieprzać. Ale wtedy odnalazł mnie i opowiedział swoją historię. Waszą historię. Zapamiętałem numer, który mi przekazał, ale mu nie uwierzyłem. Przynajmniej nie od razu. Dopiero gdy zginął w rzekomej strzelaninie, pomyślałem, że może miał rację. I właśnie dlatego do ciebie wydzwaniam.

– Jak się nazywasz?

– To bez znaczenia. Dowiesz się, gdy się zobaczymy.

– Chyba cię pojebało.

– Jeśli usłyszysz, kim jestem, nie odważysz się na spotkanie. Musisz zaryzykować.

Parsknąłem.

– Od kilku lat ciągle ryzykuję. Właściwie nie robię nic innego. I z reguły słabo na tym wychodzę.

– Twoja sprawa. Nie zamierzam cię namawiać. I nie będę więcej dzwonił.

– Poczekaj. – Zamilkłem. Myślałem. Trzeźwiałem. – Jesteś tam?

– Jeszcze tak, ale zaczynam się nudzić.

- Spotkam się z tobą. Ale najpierw muszę coś załatwić.
- Cokolwiek to jest, postaraj się nie zginać. – Facet rzeczywiście brzmiał, jakby był znudzony. – Martwy do niczego się nie przydasz.
- Spróbuję.

\* \* \*

*Kulturalni kibice,  
kulturalni kibice,  
kulturalni kibice to my.  
Sędzia chuj!*

Wizyta na stadionie Widzewa w momencie, w którym poszukiwał mnie jego nieformalny pan i władca, pewnie nie była najmańdrzejszym pomysłem. Ale kiedy odkryłem, że Szejk może mi załatwić wejście na trybunę prasową, nie mogłem się oprzeć. Tak jak i przed krzyknięciem „Sędzia chuj!” w finale jednej z przyśpiewek, czym ściągnąłem na siebie zde gustowane spojrzenia dziennikarzy.

W moim szaleństwie była jednak metoda. Przede wszystkim wyglądałem inaczej. Miałem nie swoje nazwisko na specjalnej prasowej plakietce. Wybrałem trybunę, na której nigdy nie byłem i na której nie bywali chuligani. I choć nie zawsze mi się to udawało, czego przed chwilą dałem świadectwo, starałem się nie rzucać w oczy. Krótka mówiąc, musiałbym mieć wielkiego pecha, aby zostać rozpoznany przez Demona lub kogoś z jego świty. I choć pech to moje drugie imię, gotów byłem spróbować. Potrzebowałem tego. Musiałem się tam pojawić. Choćby na chwilę. Tylko ten jeden raz. Ostatni.

Rodzice nie byli zachwyceni, gdy zacząłem jeździć na mecze, ale nie zabronili mi tego. Wiedzieli, że ich zakaz mógłby się okazać przeciwnie skuteczny. A poza tym byli pewni, że z tego wyrosnę. Że prędzej czy później kibicowanie mi się znudzi. Że uodpornię się na stadionowy urok, a moje kubki smakowe się wyostają. Ale to tak nie działa. Kibicowanie to sport stadny i odporny na życiowe wstrząsy. Wciąga jak heroina. A jeśli wiesz, że rozstanie jest nieuniknione, to marzysz przynajmniej o kolejnym strzale. Choćby istniało uzasadnione ryzyko, że będzie to złoty strzał.

Ale nie tylko dlatego pojawiłem się na stadionie. Ja po prostu musiałem tam być. Musiałem GO zobaczyć.

Tuż przed końcem pierwszej połowy meczu, na który praktycznie nie zwracałem uwagi, wreszcie stało się to, po co przyszedłem. Zobaczyłem GO. Dzielił nas spory dystans, ale nie miałem wątpliwości, że to ON. Jak zawsze pod Zegarem, jak zawsze w otoczeniu zgrai przydupasów. ON też nie interesował się meczem ani nawet dopingiem czy kibolami drużyny przeciwnej. Był na stadionie, bo mu-

siał tam być. Bo czasem tak wypadalo. Bo to byl JEGO stadion i JEGO dusze. JEGO zasrane królestwo.

Zatrzymał się po lewej stronie Zegara, kilka metrów od stłoczonej zgrai rozwrzeszczanych kibiców. Omiótł wzrokiem pozostałe trybuny, sektor po sektorze. Na każdym na chwilę zawiesił wzrok. Tak jak wtedy, kiedy się spotkaliśmy z Carycą w Marriotcie. Gdy pokazywał chuliganom swoją wyższość. Teraz robił to samo, tyle że nie w stosunku do kilku napiętych głupków, lecz względem całego stadionu. Pokazywał, że dominuje nad blisko dziesięcioma tysiącami łodzian z najróżniejszych kręgów społecznych, od patusów po korpuludków. Nawet nad ludźmi, którzy byli formalnymi właścicielami tego miejsca. Pokazywał, że to ON tu jest szefem. Samcem alfa. Królem.

Kiedy utkwił wzrok w trybunie prasowej, odniosłem wrażenie, że patrzy bezpośrednio na mnie. Jakby miał detektor w oczach. Jakby chciał mnie przeszyć na wylot. Czułem się jak przed plutonem egzekucyjnym. Tyle że zamiast skomleć o litość, sprawdzałem, czy mam jaja.

Zaskoczyło mnie to, co odkryłem. To, że nie zacząłem się trząść, nie spanikowałem. Że wśród tych dziesiątek emocji, które lawinowo spłynęły na mnie na JEGO widok, nie było strachu.

Zrozumiałem, co muszę zrobić.

Ale najpierw poprawiłem pozycję na krzeselku, wyciągnąłem nogi i dokończyłem swój ostatni mecz.

*Oooooo, łódzki Widzew, ole!*

*Ole, ole!*

*Ole, ole!*

*Łódzki Widzew, ole!*



„Życie polega na przeoczeniu oczywistości. Czasem tak jednoznacznych, że chce nam się śmiać z własnej nieudolności, gdy odkrywamy prawdę”.

Maksyma, którą usłyszałem od Karola, otwierała pierwszy rozdział jego książki. Nie wiem, jakie były intencje mojego brata, ale według mnie w ten metaforyczny sposób mówił o nas. O długim i bolesnym odkrywaniu swojej seksualności. O równie kłopotliwym odkrywaniu prawdy o mnie. O naszych starych, którzy wychowywali dwie ciche, samozbrojące się bomby, nie mając nawet cienia szansy na usłyszenie ich tykania. O rodzinie i wszystkich ponurych konsekwencjach tego bytu.

– Co czytasz?

Podniosłem głowę. Mężczyzna, który zadał to pytanie, był dwudziestoparolatkiem w przyciasnej czarnej koszulce. Bardziej próbował wyglądać na napakowanego, niż rzeczywiście taki był. Miał postawione na sztorc włosy i wygolone boki, złoty łańcuszek z krzyżykiem, wytatuowane łapy i szyję. Nie chciałem mu się nachalnie przyglądać, ale dałbym sobie rękę uciąć, że przynajmniej jedna z jego wielu dziar jakoś nawiązywała do Widzewa.

– To debiut pisarski mojego brata – odparłem, zasłaniając palcami nazwisko Karola. – Chciał, żebym zrecenzował.

Facet się roześmiał.

– Jesteś pierwszym gościem, który przylazł tu z książką.

– Długo tutaj pracujesz?

– Kilka miesięcy. Ale mogę się założyć, że wcześniej też nie przylazili tu bilbo... bilbio... mole książkowe, kurwa. Jeśli nasi klienci w ogóle coś czytają, to raczej „To My Kibice”. – Zaśmiał się z własnego dowcipu. – Dziwne miejsce sobie znaleźleś. I dziwną porę. Dopiero co otworzyłem. Nawet barmana jeszcze nie ma.

– Mam sobie pójść?

– Jeśli coś zamówisz, to nie.

– W takim razie poproszę duże piwo.

Facet przekrzywił głowę.

– Byłeś już u nas?

– To mój pierwszy raz.

– Widać. Gdybyś był, tobyś wiedział, że mamy tylko duże piwo. Małe są dla dzieci i pedałów, a ani jednych, ani drugich nie uświadczysz w Bezsensowności.

Franciszek Smuda, były trener Widzewa, powiedział kiedyś, że potrafi ocenić piłkarza po tym, jak wchodzi po schodach. To oczywiście bzdura. Ale ze sposobu poruszania się rzeczywiście można się czegoś dowiedzieć o człowieku. Stopy rozsunięte jak u kaczkę zwykle świadczą o kiepskiej koordynacji. Szeroko rozstawione ręce, o ile nie jest to wymuszone rozrośniętymi mięśniami, najczęściej dowodzą sztucznego pompowania pewności siebie. Ślamazarność przeważnie zwiastuje wolny czas reakcji. Każda z tych obserwacji pozwala pi razy oko ocenić potencjał człowieka na okoliczność ewentualnej bójki. I dlatego bardzo, bardzo uważnie odprowadziłem chłopaka wzrokiem do baru, a potem bardzo, bardzo uważnie lustrowałem jego ruchy, gdy wrócił z piwem.

– Jesteś sam? – spytałem.

– Jak palec. – Postawił kufel na stoliku. – Urok bycia menedżerem. Zapieprasz, zanim ktokolwiek się zlezie, a potem, gdy już wszyscy najebani pójdą do domu, musisz zamknąć interes.

– Ciężka robota.

– Ale są też plusy. Darmowa woda, napiwki, a przede wszystkim znajomości. W kilka wieczorów poznałem tu paru zajebiste mocnych gości. Wiem, że jeśli kiedyś przytrafi mi się jakaś krzywa akcja, to będę miał się do kogo zwrócić po pomoc.

– W takim razie za twoich nowych kolegów!

Wzniosłem toast, a chłopak pozdrowił mnie szerokim uśmiechem i ponownie skierował się do baru. Chwyciłem kufel i upiłem niewielki łyk, a przy okazji zważyłem naczynie w dłoni. Było ciut cięższe, niż podejrzewałem. W Bezsensowności naprawdę nie żalowali piwa.

A duży browar to duży ból.

Kiedy chłopak usłyszał, że wygrzebuję się zza stolika, wolno się odwrócił. Rozdziawił usta niczym karp. Tylko tyle zdążył zrobić, zanim roztrzaskałem mu kufel na łbie.

Dawno tego nie robiłem, ale z biciem jest jak z jazdą na rowerze – tego się nie zapomina.

Kiedy upadł, ukucnąłem w kałuży piwa, szkła i krwi, aby sprawdzić, czy nie wyrządziłem mu większej szkody, niż zamierzałem. Na szczęście oddychał. Tylko tyle potrafiłem stwierdzić. I tyle musiało mi wystarczyć.

Ale mimochodem odkryłem coś jeszcze. Coś, co przeniosło mnie do czasów dzieciństwa. Wspomnienie, które dręczyło mnie latami. Miałem jedenaście lat, pierwsze zmyzy nocne i niewyparzoną gębę, gdy Jarek „Świder” Świdorski wprowadził mnie w świat pięści i wstydu. Pokazał, czym są ból i upokorzenie, oprawiając mnie na oczach szkolnego tłumu. Zabił moją niewinność. A teraz ja, wpatrując się w nieprzytomną twarz, która od początku wydawała mi się znajoma, odpłaciłem mu się z nawiązką.

Był to przemiły bonus.

Odpiąłem pęk kluczy przymocowany do jego spodni i ruszyłem w kierunku zbrojowni demonów, którą niegdyś zawiadywał Szejk. Łamiące się korytarze, brudne ściany, wreszcie metalowe drzwi. Włożyłem do zamka podłużny klucz z brelokiem w kształcie pitbulla. Wszedłem.

Potrzebowałem jedynie dwóch rzeczy – pistoletu i nabojów. Ale byłoby zbyt podejrzane, gdyby zginęło tylko to. Dlatego ściągnąłem z regału dwie parczane torby, położyłem je na podłodze i oprócz kopyta i magazynku władowałem do nich wszystko, co wpadło mi w ręce. A na koniec sięgnąłem po sprej. Nie siląc się na szukanie zmyślnych aforyzmów, stanąłem przed drzwiami i nabazgrałem na nich napis, który widnieje na setkach łódzkich bloków, murków i bram.

„JEBAC̣ RTS!”

\* \* \*

Musiałem skombinować broń. Musiałem znaleźć dupokryjkę. I musiałem załatwić samochód, najlepiej nierzucający się w oczy.

Nie sądziłem, że ostatni punkt będzie najtrudniejszy do odhaczenia. Boleśnie się o tym przekonałem, gdy przeskanowałem w pamięci listę osób, które zdołałyby mi pomóc. Nie znalazłem ani jednej, do której mógłbym się zgłosić. Ani jednej! Nie świadczyło to najlepiej o moich zdolnościach społecznych.

Ale w końcu wymyśliłem, kto mógłby mi pomóc.

W budynku Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego przy Kościuszki pojawiłem się tuż przed ósmą rano. Czekałem. Wreszcie, chwilę po dziesiątej, przeszła przez drzwi. Zziębnięta, zmulona, ze słuchawkami wetkniętymi do uszu. Nie mogła przypuszczać, że jeszcze kiedykolwiek mnie zobaczy. Że jeszcze kiedykolwiek utrudnię jej życie.

– Przyszedłeś zrobić mi porutę na uczelni? – spytała Asia, wyjąwszy słuchawki.  
– Zwyzwasz mnie od kurew? Zaśpiewasz mi *Pszczółkę Maję*?

– Przepraszam – odparłem, podnosząc dłonie w obronnym geście. – Jakkolwiek beznadziejnie to zabrzmiało, musiałem to zrobić.

– Kamila do dzisiaj wstydzi się spotkań z sąsiadami. Mają ją za nie wiadomo co. A do tego boi się, że ten kretyń wróci i znów ją pobije.

– Nie wróci. On nie żyje. I ja też umrę, jeśli mi nie pomożesz. – Asia chciała wznowić tyradę, ale ugryzła się w język. Zamilkła. Przetwarzała moje słowa. – Możesz mnie wysłuchać? Proszę.

Nie wiem, czy kupiłem ją miną zbitego psa, czy może nie chciała narobić sobie siary spotkaniem z kolesiem wyglądającym jak pół dupy z za krzaka, ale po chwili Asia zaprowadziła mnie na najwyższe piętro, do miejsca, w którym nie pałętali się studenci, i stanęła z rękoma splecionymi na piersi. Czekala na wyjaśnienia.

I raczej nie zamierzała czekać długo. Dlatego nie zwlekając, wyjawilem, kim jestem i co się stało. Bez owijania w bawełnę. Bez upiększania. Szczerze. Tak, jak na to zasłużyła.

Oczywiście nie zareagowała zbyt entuzjastycznie na te informacje, ale i nie spanikowała. Nie skłęła mnie. Może nawet poczuła coś na kształt ulgi. W końcu nie okazałem się bezmózgim barbarzyńcą, tylko trudną do zdefiniowania, połamaną kreaturą. A to już postęp.

– Powiedziałaś, że chcesz, abym ci pomogła – przypomniała zimnym, beznamiętnym tonem. – Niby jak?

– Muszę pożyczyć samochód.

– Po co?

– Tego niestety nie mogę zdradzić. Ale mogę cię zapewnić, że z furą nic złego się nie stanie. Po prostu muszę w niej posiedzieć w pewnym miejscu. Potem się ulotnię i dam ci znać. Kluczyki zostawię w środku. Zapłacę za wachę.

– Nie chcę twoich pieniędzy.

– To nie jest hajs z działalności przestępczej. Nigdy się na niej nie obłowilem. Nie umiałem. Przez kilka miesięcy pracowałem przy remontach. Dam ci tyle, ile będziesz...

– Chcesz kogoś zabić?

Ciężko westchnąłem.

– Nie wiem. Być może.

– Jak to „być może”?

– Jeśli wszystko dobrze się ułoży, nie będę musiał. – Podrapałem się po głowie, a potem nerwowo zlustrowałem korytarz. Jeszcze nie poszedłem siedzieć, a już zachowywałem się jak przecwelony frajer. Paranoja stała się nieodzownym elementem mojej codzienności. – Wolałbym nie stosować szantażu emocjonalnego, ale naprawdę jesteś moją ostatnią deską ratunku.

Asia musiała się czuć rozgoryczona, wściekła, a przede wszystkim oszukana. W końcu nie ujawniłem jej, kim jestem. Mówiłem, że nie pasuję do kibolskiego świata, że pochodzę z innej bajki, że moja historia nie jest zerojedynkowa, ale nie miałem prawa oczekiwać, że zrozumie z tego coś więcej. A mimo to gotowa była mnie wysłuchać. Wdrapać się na wyżyny współczucia. Wykrzesać z siebie tę dziecinną, ale jakże czasem potrzebną naiwność, aby dostrzec we mnie dobro, w które sam od dłuższego czasu wątpiłem.

– Zostało mniej więcej pół baku – powiedziała, wręczając mi kluczyki. – I ma być pół baku, gdy odzyskam auto.

– Zależę do pełna – odparłem. – A jeśli starczy mi czasu, podjadę jeszcze na myjnię.

– Daruj sobie. Po prostu go nie rozpiardol.

Asia uwierzyła, że nie sprzedam jej samochodu na części. Że nikogo nim nie rozjadę. Że oddam go w jednym kawalku. Uwierzyła, że nie jestem degeneratem. Że nie wszystko, co o sobie powiedziałem, jest kłamstwem. Uwierzyła we mnie.

Kiedy zbiegałem po schodach, chciało mi się wyć. A kiedy już byłem na parkingu, opanowała mnie wściekłość. Zrozumiałem, że przez tych skurwysynów mogłem stracić więcej, niż przypuszczałem. Nie tylko szansę na normalność. Może też szansę na szczęście. Na coś, czego nawet w najodważniejszych projekcjach przyszłości nie potrafiłem sobie wyobrazić.

\* \* \*

Poznałem w życiu zaledwie kilka miejsc naładowanych wyjątkowo silną energią. Czasem pozytywną, jak dom, w którym się wychowałem, czasem mieszaną, jak stadion Widzewa, a czasem mroczną i wyjątkowo podłą – jak pewien bar szybkiej obsługi na Teofilowie.

Czekając na Carycę, próbowałem zająć myśli czymś miłym, ale makabryczny urok tego miejsca, podbijany wypluwanymi z radia discopolowymi przebojami, zupełnie mnie otumanił. Sprawił, że przestałem myśleć. Przestałem odbierać pozytywne sygnały. Stałem się integralną częścią tej speluny, która musiała widzieć więcej okropności, niż przeciętny człowiek jest w stanie przyswoić przez całe życie. I najwyraźniej nie zamierzała ich trzymać dla siebie. Pragnęła się nimi dzielić.

Caryca zjawiła się mniej więcej godzinę po tym, gdy poprosiłem zdezorientowaną barmankę, aby po nią zadzwoniła. Liderka warriorsów przyjechała z obstawą w postaci dwóch karków, być może tych samych, z którymi oprawiła Wiewióra, a być może innych – jakimś cudem nie zapamiętałem twarzy tamtych koleś. Zatrzymała się kilka metrów od mojego stolika, tego samego, przy którym siedzieliśmy wtedy, i uważnie mi się przyjrzała.

– Poczekajcie na zapleczu – powiedziała. – Pobawcie się czymś. Na przykład siusiakami.

– Na pewno? – spytał jeden z goryli.

Caryca odpowiedziała mu surowym spojrzeniem, a kiedy karki się ulotniły, podeszła do mnie. Położyła torebkę na stoliku, odsunęła krzesło, usiadła. Przez cały czas nie spuszczała ze mnie wzroku. Jakby mimo wszystko nie do końca wierzyła, że przychodzę w pokojowych zamiarach.

– Namyśliłeś się? – spytała.

– Nie zamierzam dołączyć do warriorsów – odparłem.

Uśmiechnęła się.

– Chodziło mi o jedzenie. Wiesz już, co zamówisz?

Na myśl o tym, że miałbym coś zjeść w tym miejscu, zachciało mi się rzygać.

– Nie zabawię tu długo.

– To się jeszcze okaże.

Caryca wyjęła papierosa. Zapaliła. Wydmuchnęła nad siebie dym. Z każdą sekundą sprawiała wrażenie coraz bardziej wyluzowanej. To nie wróżyło nic dobrego.

– A dlaczego właściwie do mnie nie dołączysz? – zapytała. – Podobno jesteś spalony u Demona. Podobnie jak twój brat. On nawet bardziej.

– Nie wiem, czy bardziej.

– Bardziej, bardziej. Tacy jak on zawsze mają bardziej przejebane od innych.

Albo blefowała, albo nie miała pojęcia, co zrobiłem. To z kolei był dobry znak.

– Tacy jak ty też nie mają łatwo – powiedziałem. – Ludzie nieustannie próbują podważyć twoje przywództwo. I to tylko dlatego, że nie masz fiuta.

– Jestem już dużą dziewczynką. Potrafię sobie radzić z chłopakami.

– A gdybym ułatwił ci życie?

– Musiałbyś zdradzić swój Widzewek.

– To nie jest największy problem.

– Czyżbyś, chłopczyku, zamierzał narznąć do własnego gniazda?

– Więcej. Zamierzam rozwalić całe to gniazdo.

Caryca lekko przekrzywiła głowę. Zaintrygowałem ją.

– To dobrze. Nie będę ci przeszkadzać.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– Ktoś kiedyś powiedział, że jeśli jesteś w czymś dobry, nie powinieneś tego robić za darmo.

Caryca zgasiła peta. Chwilę później rozparła się na krześle, krzyżując ręce na piersi.

– Co chciałbyś w zamian?

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, potrzebna mi biała kartka.

– Dla siebie?

– Dla brata.

– Nie mam nic do twojego brata.

– Może i nie. Ale wiesz, że sporo widział i sporo wie. A ja z kolei wiem, że ludzie tacy jak ty nie lubią zostawiać pootwieranych drzwi. Dlatego muszę mieć pewność, że nic mu się nie stanie.

Caryca się zasępiła. Odpuszczenie pedałowemu, któremu najpierw pozwoliła się pogrzać blisko władzy, a potem bezkarnie oderwać od grupy, ewidentnie jej nie

leżało. Mogłaby tym podkopać swoją pozycję w nabojce. Ale do wygrania miała znacznie więcej. Dlatego w końcu niechętnie kiwnęła głową.

– A druga rzecz?

– Chciałbym zrozumieć, dlaczego nas wybrałaś.

– I tylko tyle? – Pokręciła głową. – To proste. Powiedziałam ci to podczas naszego pierwszego spotkania.

– Wtedy tylko dałaś mi do zrozumienia, że wiesz, co to znaczy dotkliwie skrzywdzić drugiego człowieka. I próbowałaś wyczuć, czy ja też to wiem. Ale to nie tłumaczy, dlaczego pofatygowałaś się na wrogie osiedle do jakiegoś dziecka. A potem jeszcze wciągnęłaś w ten bajzel jego brata. Chciałbym to zrozumieć.

Caryca otworzyła swoje napompowane usta, ale zaraz potem je zamknęła. Jakby się rozmyśliła. Jakby walczyła ze sobą. W końcu podjęła decyzję.

– Jebać to. Opowiem ci, jak to było. – Pochyliła się do przodu, opierając łokcie na stoliku. – Parę lat temu spotykałam się z takim jednym typem. Z psem. Oboje wiedzieliśmy, że to nie jest związek na całe życie, ale było między nami w chuj namiętnie. I to był ten rodzaj namiętności, którego nie da się wymazać z pamięci. Dlatego potem jeszcze co jakiś czas do siebie wracaliśmy. Także wtedy, gdy spotykałam się ze Śledziem, a ten pies rozpracowywał naszych wrogów.

– O kurwa...

– No. A najśmieszniejsze jest to, że facet bardzo późno się połapał, że działał w nabojce. – Caryca się roześmiała. – Kiedyś stukaliśmy się u niego. Gdy skończyliśmy, on jak zawsze poszedł spać, a ja przeniosłam się do salonu. Nalałam sobie wina, zapaliłam i zaczęłam grzebać w jego dokumentach. Dowiedziałam się wtedy więcej o rozpracowywaniu kiboli przez psiarnię niż przez całe życie. A przy okazji odkryłam tożsamość pewnego widzewskiego konfidenta.

Brenner. To musiał być Brenner. To nie mógł być, kurwa, Brenner. Ale przecież tylko on wiedział, kim jestem. On i ten jego tłusty przydupas.

– Ten policjant, z którym się stukałaś...

– To co?

– Jest gruby czy chudy?

– Chudy jak patyk, wydzierany i ma na nazwisko Brenner. A gdyby wiedział, że się spotykamy, pewnie kazałby cię pozdrowić.

Wstałem jak poparzony. Chciałem wyjść. Uciec. Zniknąć, zanim Brenner i jego ludzie mnie dopadną. Ale zaraz potem oprzytomniałem. Zacząłem kalkulować. Przecież Brenner nie wiedział o naszym spotkaniu. Caryca nie była z nim w zmo-wie. Oni tylko się stukali co jakiś czas.

Musiałem się uspokoić.

– Z nim chyba też masz ostatnio nie po drodze, co? – Caryca wyglądała na szczerze rozbawioną.

Usiadłem. Odetchnąłem.

– Czyli wiedziałaś, kim jestem, a mimo to chciałaś mnie wciągnąć do nabożki?

– Lubię gmatwać rzeczywistość. Powinieneś już to zauważyć.

– Donosiłaś na nas Brennerowi?

– Czasem coś mu szepnęłam, czasem coś podsłuchałam. Ale co do zasady, staram się oddzielać życie prywatne od zawodowego. – Caryca podwinęła rękaw, spojrzała na zegarek. – To co, jesteśmy dogadani? – Przytaknąłem. – Wspaniale. A teraz wróć do swojego mieszkanka, zanim zejdą się moi koledzy i zrobią ci z dupy jesień średniowiecza.

Podniosłem się, tym razem znacznie spokojniej. Korciło mnie, aby na koniec zapytać, czy Caryca nie ma przypadkiem jakiejś fiksacji analnej. Zamiast tego zapytałem o coś innego.

– A jak wkręciłaś w to Karola?

– Sam się wkręcił, kiedy zaczął ciągnąć od nas dragi. Potem wystarczyło jedynie popchnąć go w odpowiednią stronę. Dać mu odrobinę władzy i poczucie, że coś znaczy. Dowartościować go. Szefowanie fundacji, którą wszyscy w mojej organizacji mają w dupie, świetnie się do tego nadawało.

– Po co to zrobiłaś?

– Jak to „po co”? – Caryca parsknęła. – Dla zabawy. Żeby życie miało smaczek.

Raz dziewczynka, raz chłopaczek – dopowiedziałem w myślach. A potem wyszedłem z tej odstręczającej mordowni, obiecując sobie, że już nigdy, ale to, kurwa, przenigdy tam nie wrócę.

\* \* \*

Osiem kajzerek, cztery butelki wody, trzy pomidory, dwie paczki chusteczek nawilżanych. A do tego torba z pistoletami, maczetami, kastetami i paroma innymi rodzajami broni, których nawet nie potrafiłbym prawidłowo użyć. Uzbrojony po zęby, zabezpieczony logistycznie, zdeterminowany.

Byłem gotowy.

Myślałem, że jestem gotowy.

Dobłą godzinę kręciłem się po Kusocińskiego, zanim znalazłem idealne miejsce – z widokiem na klatkę schodową Demona, na wyjścia z podwórka, na wszystkie pobliskie ławki i większość samochodów. Szykowałem się do wielogodzinnej obserwacji, która miała poprzedzić coś, co jeszcze nie do końca rozumiałem. Ale skoro nie potrafiłem realizować swoich planów, całkiem skutecznie udawałem, że mi to nie przeszkadza.



Początkowo zamierzałem ukraść broń, pojechać na Retkinię i wparować do mieszkania Demona. Bez kalkulowania, bez zastanawiania się, czym to się skończy. Potem jednak uznałem, że nawet jak na mnie byłoby to wyjątkowo nieroztropne. I miałem rację. Bo niedługo po tym, jak zacząłem się w furze, odkryłem, że Demon wcale nie jest tak beztroski, jak mi się zdawało. Że wcale nie chodzi po wodzie, nie pozostawiając kólek. Wokół jego klatki kręciła się cała sfera wiernych psów, która monitorowała okolicę. Zgraja dresiarzy pełniących coś w rodzaju warty na jego podwórku. I nie wyglądali na koleśki zajmujących się tym od wielkiego dzwonu, na przykład ze względu na włamanie do Bezsenności. Raczej na takich, którzy robią to ciągle, całymi dniami przesiadując na ławkach, paląc jointy, jedząc tanie chipsy i pijąc podrabianą colę.

Być może Demon tylko pozornie był abnegatem. Udawał, że mu zwisa, jak ludzie go postrzegają, a jego jedynym marzeniem było sianie zniszczenia i strachu. Może, tak jak pewnie większość gangsterów, chciał właśnie komfortowo żyć, na własnych zasadach i z tabunem ludzi podporządkowanych jego misji. Może te wszystkie psychopatyczne zagrywki służyły wyłącznie budowie jego imperium.

A jeżeli tak, zamierzałem pozbawić go najcenniejszej rzeczy w życiu.

Zacząłem się na niego dzień przed meczem wyjazdowym. Widzew grał w Gdańsku z tamtejszą Lechią. Spotkanie startowało o piętnastej. Kibice musieli dotrzeć na stadion z kilkugodzinnym wyprzedzeniem. To oznaczało, że powinni wyruszyć z Łodzi bladym świtem. Dlatego miałem nadzieję, że nie będą się szlajać po mieście do nocy. Nie pomyliłem się. Demon dotarł do mieszkania przed dwudziestą, a parę minut później jego podwórkowi ochroniarze zawinęli się do domów. Odpaliłem silnik i zrobiłem objazd okolicy, aby się upewnić, czy gdzieś nie czają się ich następcy. Ale w żadnej z fur ani w żadnym zakątku osiedla nie dostrzegłem nikogo podejrzanego. Wróciłem więc na swoje miejsce, schowałem małą czarną zabawkę pod kurtkę, zostawiłem kluczyki w stacyjce i ruszyłem w stronę bloku.

Miałem szczęście, ponieważ jakaś kobieta właśnie wychodziła na spacer z psem. Uśmiechając się trochę do niej, a znacznie bardziej do jej yorka, przytrzymałem drzwi do klatki i wszedłem do budynku. A potem zacząłem się wspinać. Pierwsze piętro. Obmacałem kurtkę w miejscu, w którym trzymałem zabawkę. Drugie piętro. Wytarłem spocone dłonie w spodnie, wziąłem kilka głębokich wdechów. Trzecie piętro. Poczulem pierwsze ukłucie nadciągającej paniki. Tym bardziej że usłyszałem muzykę dobiegającą z jego mieszkania. Tę muzykę. Nie znałem się na klasyce, ale Chaczaturiana nie dało się pomylić z niczym innym.

Czwarte piętro.

Zatrzymałem się przed drzwiami i wyjąłem broń. Drzwi otwierały się na zewnątrz, więc ustawiłem się względem nich pod kątem czterdziestu pięciu stopni, tak aby pierwszą rzeczą, jaką Demon zobaczy po otwarciu, była wycelowana

w niego lufa pistoletu. Zapukałem. Nie, nie zapukałem. Załomotałem. Znacznie mocniej, niż zamierzałem. Ale skoro tak głośno słuchał muzyki, było to prawdopodobnie jedyne rozwiązanie, jakie mogło przynieść skutek.

Czekałem.

Pięć sekund, dziesięć, piętnaście. Żadnej reakcji. W spoconych dłoniach ledwo trzymałem broń. Szybko je wytarłem, jedną po drugiej, i poprawiłem chwyt, żeby nie wypuścić pistoletu. A kiedy po raz enty odtworzyłem w głowie potencjalny przebieg spotkania, zdałem sobie sprawę, że minęło już około trzydziestu sekund.

Załomotałem ponownie.

Wreszcie chyba usłyszałem jakiś dźwięk. Coś jakby szuranie. Jakby ktoś leniwie podnoszący nogi doczłapał do drzwi. Nagle ten odgłos ucichł. Demon nie był w stanie nic zobaczyć przez judasza, ale mimo to nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że mnie widzi. Że jestem dla niego nagi. Że stoi za tymi cholernymi drzwiami i głupkowato się uśmiecha. Że przejrzał mój plan na wylot. Że za moment jakimś magicznym sposobem mnie zapierdoli, a ja nawet nie będę wiedział, że umarłem.

W końcu usłyszałem trzask. Przekręcił zamek.

Jednak drzwi się nie poruszyły. Demon się nie wychylił.

Nie tak, kurwa. Wszystko, kurwa, nie tak.

Zastanawiałem się, co dalej. Czy powinienem załomotać ponownie? Wejść? Wyjść? Zapomnieć o całej akcji i zrobić to, co w tej sytuacji wydawało się najbardziej racjonalne, czyli wyjechać? Pogodzić się z porażką, dając sobie szansę na względnie cywilizowane życie w urokliwej Bydgoszczy?

Nie, to nie wchodziło w grę.

Ostrożnie nacisnąłem klamkę.

A potem zrobiło się bardzo dziwnie.

Demon wcale nie czekał na mnie przy drzwiach, czego się śmiertelnie bałem, tylko stał w progu kuchni. W domowym dresie, w luźnym T-shircie, w bamboszach, które mogły mieć ze sto dwadzieścia lat. Stał z dłońmi opartymi o futrynę i uważnie na mnie patrzył. Na mnie. Nie na broń, którą przytargałem, lecz na moją przestraszoną twarz. Jakby to wszystko przewidział.

– Napijesz się czaju? – zapytał, zupełnie zbijając mnie z tropu. I chyba tylko dlatego pokiwałem głową. – Rozgość się. Tylko zdejmij buty. Wczoraj odkurzałem.

\* \* \*

Nie mam pojęcia, czy Demon miał świadomość, że naprawdę mogę go zabić. Za to ja właśnie się dowiedziałem, że cholernie trudno wyrządzić krzywdę facetowi,

który uraczył cię herbatą.

– Spust jest bardzo delikatny – powiedział Demon po tym, jak odstawił szklanki na stolik, wyłączył wieżę i rozsiadł się w fotelu. – Jeśli nie chcesz wystrzelić w niewłaściwym momencie, lepiej zdejmij z niego palec.

Doznałem déjà vu. Było tak jak przed kilkoma miesiącami. On – w domowych łażkach, szykujący się raczej do snu niż na jatkę, rozwalony w fotelu, wyluzowany i dziwny. Ja – w wygodnych ciuchach i bez butów, bez szans, żeby się odnaleźć na pufie, na którym nikomu nie mogło być wygodnie, spięty, elektryczny, odrealniony. Różnica była tylko taka, że telewizor był wyłączony, a między mną a Demonem znajdowała się nabita i odbezpieczona broń.

No i miałem w kieszeni telefon z włączonym dyktafonem. Tak na wszelki wypadek.

– Jeżeli krępuje cię cisza, mogę włączyć telewizor – zasugerował Demon.

– Nie ruszaj się, kurwa! – krzyknąłem, widząc, jak Demon schyla się po herbatę. – Nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów. A najlepiej w ogóle nie oddychaj. – Demon nie cofnął ręki, ale znacząco spowolnił swój ruch. A potem ostrożnie przeniósł szklankę na podłokietnik fotela. – Zadam ci kilka pytań i oczekuję szczerych odpowiedzi.

– Uważaj, o co prosisz. Szczerłość potrafi być bolesna.

Siorbnął łyk. Skrzywił się, jakby przetykał gnój.

– Od dawna o mnie wiesz? – zapytałem.

– Od początku.

– To znaczy?

– Odkąd się dowiedziałem, że jakiś gówniarz bardzo zabiega o moją uwagę.

– Skoro wiedziałeś, że Brenner ci nie ufa, to dlaczego się z nim zblatowałeś?

– Zaufanie jest przereklamowane. Poza tym ja też mam u niego wtykę. Nie jestem palcem robiony.

– Skąd znasz Brennera?

– Z pierdła. Tak jakby.

– Co to znaczy?

– Kiedyś uchronił mnie przed odsiadką, licząc na to, że dzięki temu będzie mógł mną sterować. Ale przecież ogon nie może kręcić psem.

– Myślałem, że to był Rocco. Że dlatego został twoim przyboczny.

– Wygodne wytłumaczenie, co? – Demon pociągnął kolejny łyk. Chrząknął. – Rocco był rozpieszczonym bachorem, uzależnionym od wszystkiego, od czego można się uzależnić. Takich ludzi łatwo się kontroluje.

Czyli Brenner myślał, że dzięki Demonowi świat przestępczy stanie przed nim otworem. Z kolei Demon widział w Brennerze gwarancję pozostania na wolno-

ści, choćby się nawet bardzo zagalopował. A do tego obaj byli absolutnie przekonani, że mogą mnie dowolnie wykorzystywać.

Było coś pocieszającego w tym, że nie spełniłem ich oczekiwań. Coś zabawnego. Choć akurat w tamtym momencie nie było mi do śmiechu.

– Dlaczego mnie nie odjechałeś?

– Żartujesz? Wówczas nie mógłbym cię wykorzystać. – Demon nieznacznie się uśmiechnął. – Zrobiłem z ciebie stację przekąźnikową. Zapewniłeś mi pełną kontrolę nad przepływem informacji. No, może nie pełną, ale na pewno więcej zyskiwałem na twojej obecności w nabojuce, niż traciłem przez twoje donosicielstwo. Rachunek był prosty. A matematyce akurat ufam.

– O Ażmim też wiedziałeś?

Demon ciężko westchnął.

– Ten fiutek dobrze się ukrył. Udawał głupszego, niż był. Nie bał się brutalności. No i nie był taką ciamajdowatą pizdą jak ty. W jakimś stopniu pomogłeś mu się uchować pośród nas.

– To w jaki sposób wpadł?

– Wcale nie wpadł.

– Jak to? Przecież postanowiłeś się go pozbyć. Kazaleś mi go zająbać. Dlaczego...

– Bo nie mogłem się powstrzymać! – wrzasnął Demon, niechcący rozlewając czaj. Ale zaraz potem się uspokoił. Wziął głęboki oddech. Jego twarz wciąż była sroga, ale oczy już się śmiały. – Jeśli skończyłeś z tym przesłuchaniem, to teraz ja zadam ci pytanie. Tylko jedno. – Pochylił się w moją stronę. – Czy chciałbyś się dowiedzieć, gdzie mieszka twój brat?

Zamarłem. Nie podejrzewałem, że temat Karola wypłynie podczas tej rozmowy. A tym bardziej, że stanie się to w taki sposób.

– O czym ty mówisz?

– Dobrze wiesz, o czym mówię. Twój braciszek jest sprytny, ale nie dość sprytny.

Blefował. Musiał blefować. Przecież nawet ja nie wiedziałem, gdzie jest Karol.

– Chuja wiesz o moim bracie.

– Masz rację. Ale znam faceta, który od czasu do czasu lubi sobie włożyć w inny otwór. A on zna paru innych koleśki o podobnych upodobaniach. W dodatku lubią sobie przysyłać fotki swoich kurewek. Jakiś czas temu pokazałem facetowi zdjęcie Karolka i poprosiłem, aby mnie poinformował, jeśli się kiedyś natknie na tego chłopaczka. I nie zgadniesz, co się stało.

Demon szeroko się uśmiechnął. Tak jak wtedy, w mieszkaniu dziadków, na chwilę przed skatowaniem Ażmiego.

– Ściemniasz – rzuciłem. – Nie masz pojęcia, gdzie on jest. Nawet ja tego nie wiem.

– I tym się od siebie różnimy. A także tym, że w przeciwieństwie do ciebie wiem, czym są batki i kachlok.

Batki i kachlok? Rzeczywiście nie miałem pojęcia, o czym on bredzi. Ale gdy zacząłem się nad tym zastanawiać, przeszył mnie dreszcz.

Kurwa.

On naprawdę wiedział o Karolu. Wiedział, gdzie jest mój brat. Tylko to by tłumaczyło, dlaczego nagle wyciągnął z kapelusza dwa śląskie słowa.

– Przekazałem jego nowy adres chłopakom, których okradł – kontynuował Demon. – Ucieszyła ich perspektywa ukarania pedała, na którego zasadzają się od miesięcy. Zrobiłem to wczoraj, zaraz po tej twojej głupiej akcji w Bezsensowności, więc być może już się spotkali z Karolkiem. A może nie. Może jeszcze mógłbym ich powstrzymać.

W mieszkaniu zapadła niezręczna cisza. Demon czekał na moją reakcję. Na cokolwiek. A ja nie potrafiłem nic zrobić, nic powiedzieć. Byłem sparaliżowany. Nie wiem nawet, czy umiałbym go zastrzelić, mimo że długimi godzinami to sobie wizualizowałem.

Całkowicie mnie rozbroił. Rozegrał jak dziecko.

– Czego chcesz? – wydusiłem w końcu.

Demon nieznacznie poruszył się w fotelu. Odstawił szklanekę. Wbił we mnie wzrok.

– Po pierwsze – postukał palcem w stół – połóżysz tu ten dyktafonik, telefonik czy inne cholerstwo, na które nagrywasz tę rozmowę. Jeżeli chciałbym o czymś poinformować psiarnię, zrobiłbym to przez Brennera. – Widząc moje zakłopotanie, Demon ponownie się uśmiechnął. – Po drugie, pozwól ci odejść, ale jeśli wyjedziesz z tego kraju i już nigdy nie wrócisz. A po trzecie, masz to zrobić jeszcze dzisiaj. Sam. Bez Karolka. Twój braciszek będzie moim zabezpieczeniem, na wypadek gdybyś wymyślił coś głupiego. – Demon zerknął na pistolet. – Obaj dobrze wiemy, że mnie nie zastrzelisz, więc zrób, co powiedziałem. Wypierdaj z mojego domu.

Przez kilka wyjątkowo długich sekund masakrował mnie wzrokiem. TYM wzrokiem. Wzrokiem, którym częstował bandziorów w Marriottcie, którym oceniał swoje królestwo na stadionie. Wzrokiem pełnym dominacji i drwiny. Wzrokiem odzierającym z resztek godności, z marzeń, z nadziei. Wzrokiem faceta, który wygrał, który wie, że wygrał, i który nie ma najmniejszych wątpliwości, że będzie wygrywał zawsze. Bo tak jest skonstruowany świat, który sam sobie zbudował.

W końcu Demon przeniósł spojrzenie na telewizor. I nagle, po paru sekundach bezrefleksyjnego gapienia się na ekran, włożył rękę w zagłębienie fotela.

Zrobił to gwałtownie. Zbyt gwałtownie. Spowodował, że odruchowo zerwałem się na równe nogi, uniosłem rękę i pociągnąłem za spust.  
Jednak nie byłem całkowicie sparalizowany.

## 32.

Tak właśnie po raz drugi zostałem zabójcą. Ponownie, mogąc zabić lub zostać zabitym, wybrałem to pierwsze. A mimo wszystko czułem, że nie było to takie oczywiste. Być może nigdy nie jest, kiedy decydujesz o czyimś – również swoim – być albo nie być.

Chwilę po wystrzale ponownie wpadłem w stupor. Patrzyłem, jak z Demona, który w ułamku sekundy przeistoczył się z najbardziej przerażającego faceta w mieście w zwyczajnego kolesia z dziurą w twarzy, uchodzi życie. A kiedy już to się stało, kiedy nie było najmniejszych wątpliwości, co zrobiłem, nagle odrętwienie puściło. Wybiegłem z mieszkania. Potem wybiegłem z klatki. A później biegłem przed siebie tak długo, aż odebrało mi dech.

Do późnych godzin nocnych zastanawiałem się nad jednym: czy Demon zamierzał sięgnąć po broń, czy jedynie po pilota do telewizora?

\* \* \*

Nie kłamałem, mówiąc, że oduczyłem się planować. Mój pomysł na ten dzień, a być może także na resztę życia, kończył się w momencie spotkania z Demonem. Nie miałem pojęcia, co będzie dalej. Długimi godzinami się nad tym zastanawiałem, ale nie wymyśliłem nic przekonującego.

Oczywiście rozważyłem wariant, o którym mówił Demon. Myślałem o tym, żeby zniknąć. Zaszyć się gdzieś, gdzie mnie nie będą szukać. Zacząć nowe życie. Z dala od wszystkiego, co znałem. W pierwszym odruchu ten wariant wydawał się kuszący. Ale coś mi w nim zgrzytało. Coś mnie blokowało, choć nie potrafiłem tego wskazać ani nazwać. Innym pewnie byłoby łatwiej. Powiedzieliby, że to głupota. I to w najczystszej postaci.

Przed powrotem do hotelu zahaczyłem o monopolowy, a chwilę po wejściu do pokoju odpaliłem pierwsze piwo. Potem kolejne. I następne. Dopiero przy czwartym zorientowałem się, że nie działają, zupełnie jakby ktoś spuścił z nich moc. Usiadłem więc na łóżku, podkuliłem i objąłem nogi, po czym zacząłem się bujać w przód i w tył jak przy chorobie sierocej. Myślałem. Nie, nie myślałem. Próbowalem myśleć. Próbowalem wykombinować, czy jest choćby cień szansy na to, żebym nie spędził kolejnych dwudziestu pięciu lat w więzieniu.

Wymyśliłem dwa sposoby. Jeden zakładał konfrontację z Brennerem. Otwartą wojnę. Napierdalankę na gołe klaty. Problem w tym, że nie miałem szansy w niej wygrać. W najlepszym razie obaj skończylibyśmy za kratkami, a tam któregoś

dnia spotkałby mnie przykry wypadek. W najgorszym – zginąłbym z rąk ludzi Brennera już przy próbie zatrzymania.

Tak czy inaczej, ten sposób odpadał.

Wariant drugi był prostszy. Znacznie prostszy. Tyle że wymagał więcej odwagi.

Wyjąłem pistolet, z którego kilka godzin wcześniej zabiłem człowieka.

Jednym z ulubionych filmów mojego dzieciństwa była *Zabójcza broń*. A jedną z ulubionych scen ta, w której znajdujący się na granicy szaleństwa Martin Riggs, świetnie zagrany przez Mela Gibsona, siedzi w swoim nędznym barakozwie, trzymając na kolanach ramkę ze zdjęciem zmarłej żony. W pewnym momencie sięga po broń, czyści ją, uważnie się jej przygląda, a następnie przystawia do czoła. Zaraz potem odbezpiecza pistolet i wkłada go do ust. Wiele lat później przeczytałem, że dla podkreślenia realizmu reżyser Richard Donner poinformował Gibsona, że broń jest nabita ślepakami. Gdyby przypadkiem wystrzeliła, kiedy trzymał ją przy czole, zapewne wyrządziłby sobie solidną krzywdę. Ale gdyby wypaliła, w chwili gdy włożył kławkę do ust, najprawdopodobniej by się zabił.

Pistoletu w ustach nie było w scenariuszu filmu. W moim właśnie się pojawił.

Przez kilka długich sekund myślałem, co Martin Riggs zrobiłby na moim miejscu.

A potem podjąłem decyzję.



## EPILOG

– Nie powiesz mi, z kim mam do czynienia?

– A to coś zmieni?

– Nie wiem. Ludzie zwykle przywiązują wagę do imion. Dokleją do nich twarze. Czasem definiują ludzi przez to, jakie mają skojarzenia z ich imionami. Jeśli poznasz kolesia, który nazywa się tak jak twój największy wróg, to choćby był cukierkowo uprzejmy i uśmiechnięty od ucha do ucha, zawsze startuje u ciebie z poziomu minus jeden.

– Dla mnie imię to tylko informacja na temat rodziców. Dowód na to, że im zależało, aby ich dzieciak wiódł zwyczajne szare życie albo wyróżniał się na tle rówieśników. Drugi przypadek jest gorszy. Bachory z nietypowymi imionami często mają przerwane w szkole.

– A nazwisko?

– Prędzej czy później i tak je poznasz. Ale najpierw opowiedz, co zrobiłeś.

Facet nie wyglądał na policjanta. Był chudy, wymizerowany, potargany. Ewidentnie sporo w życiu przeszedł. A przy tym sprawiał wrażenie, jakby nie miał najmniejszej ochoty na to spotkanie. Na pierwszy rzut oka wiele nas łączyło. Być może dlatego nie potrafiłem go polubić.

Nie ufałem mu. Nie miałem ku temu żadnego powodu. Ale mimo to w telegraficznym skrócie przedstawiłem mu swoją historię. Od początku do końca, nie pomijając żadnych istotnych faktów. Na tyle dokładnie, na ile się da w ciągu kilkunastu minut.

– Ja się tu wypruwam, produkuję, opowiadam o swoim przerwaniu życia, a ty nawet nie notujesz – burknąłem, gdy policjant spuentował moją opowieść przeciągłym ziewnięciem.

– Nie muszę – odparł. – Wystarczy, że cię słucham. To i tak hojność z mojej strony.

Gość był niesamowicie irytujący. Ale jednocześnie miał w sobie coś szczerzego. Coś, czego nie widziałem u Karola, Ażmiego, Nogiego, Szejka, Rocco czy Brennera. Coś, co niepokojąco kojarzyło mi się z Demonom i Carycą. Jakąś wadę fabryczną. Błąd w oprogramowaniu. Inność.

– Przyszedłeś sam? – spytałem.

Mężczyzna zapalił szluga. Ściągnął dwa szybkie machy, po czym strząsnął drobiny popiołu.

– Poprosiłeś o coś niewykonalnego – odparł. – Nie mogłem przyjść w pojedynkę na spotkanie z facetem, który zabił dwie osoby. Byłoby to skrajnie nieodpowiedzialne.

Rozejrzałem się po lokalu.

– Kto jest z tobą?

– Dwóch funkcjonariuszy. Jeden obserwuje salę dla palaczy, a drugi sprawdza sytuację na zewnątrz. Nie zobaczysz ich, bo robią to w taki sposób, żebyś się nie zorientował.

– Tacy jesteście, kurwa, cwani?

– Na pewno cwańsi od ciebie.

Z każdą minutą nabierałem przekonania, że facet nie darzy mnie ani sympatią, ani szacunkiem. Może mi nawet nie wierzył. Być może zgodził się ze mną zobaczyć tylko dlatego, że chciał mnie po prostu wsadzić do pierdła, bez wnikania w szczegóły mojej historii. Ale skoro bez chwili wahania przystał na spotkanie w miejscu publicznym, prawdopodobnie nie zamierzał mnie zabić. A to już coś.

– Skąd mam mieć pewność, że nie jesteś jednym z nich? Że naprawdę chcesz mi pomóc, a nie tylko ustalić, jak bardzo mogę nabruździć?

– Ludzie, którzy cię ścigają, raczej wiedzą, co na nich masz. I co zamierzasz z tym zrobić. W przeciwnym razie by cię nie szukali. Darowaliby ci życie. Pozwolili odejść, zapuścić brodę i wyjechać w Bieszczady. Zresztą kto wie, może sprawdziłbyś się jako pasterz.

– Bardzo śmieszne.

– Nie przyszedłem cię zabawiać. Ani tym bardziej przekonywać, że powinieneś przyjąć moją ofertę pomocy. Ale zakładałem, że gdybyś miał inną propozycję na stole, tobyśmy teraz nie rozmawiali.

Kelner postawił przed nami dwie czarne kawy, na które musieliśmy czekać ponad dwadzieścia minut. Policjant zgasił peta, odsunął popielniczkę i przyciągnął do siebie filiżankę. Wsypał do niej cukier, a potem wskazał palcem moją szetkę.

– Słodzisz?

Potrząsnąłem głową. Nie chciałem ani cukru, ani kawy. Nie chciałem prowadzić tej rozmowy. Nie chciałem tam być. Ale spotkanie z tym człowiekiem było ostatnią punktowaną kartą w mojej talii. O jedynej alternatywie w tamtym momencie wolałem nie myśleć.

– Jak to sobie wyobrażasz? – zapytałem.

– Co?

– Dalsze kroki. Czego właściwie ode mnie oczekujesz?

– To ja powinienem cię o to zapytać.

Kiedy facet nieeleganckimi siorbnięciami opróżnił filiżankę, próbowałam na nowo ułożyć w głowie swój pomysł na przetrwanie.

– Ażmi powiedział, że znajdzie kogoś, kto nam pomoże. Uczciwego psa, który nie będzie się bał wystąpić przeciwko swoim. Ażmiego już nie ma, ale moje potrzeby się nie zmieniły.

– Wiesz, że nie dostaniesz korony. Z jedną głową na koncie to niemożliwe, a co dopiero...

– Sram na koronę. Chcę po prostu zapewnić bezpieczeństwo swojej rodzinie. A żeby to się stało, ktoś musi mieć wystarczająco duże jaja, aby dorwać tych skurwysynów. Wsadzić Brennera do pierdła. A poza tym... – zawahałem się. – Poza tym chciałbym, żeby ktoś mnie zrozumiał. Miło byłoby usłyszeć, że to, przez co spieprzyłem sobie życie, miało jakikolwiek sens.

– W takim razie powinieneś się udać do psychologa.

– Ale przyszedłem do ciebie, więc rozłóż łaskawie kozetkę i przestań wreszcie pierdolić!

Uniosłem się, ale moja złość w ogóle nie zrobiła na nim wrażenia. Facet dalej leniwie siorbał kawę. A gdy skończył, zapalił kolejnego szluga.

– Mam dobrą i złą wiadomość – powiedział, rozglądając się na boki. – Zła jest taka, że twój brat zniknął. Szukałem go razem z kilkoma zaprzyjaźnionymi policjantami ze Śląska. Sprawdzaliśmy różne tropy, nie tylko kibolskie i gejowskie.

– Może się dobrze ukrył. To bystry chłopak.

– Albo Demon powiedział prawdę. Znalazł twojego brata i wydał go ludziom, którym Karol wisiał hajs.

– Może...

– Może powinieneś się pogodzić z tym, że twój brat nie żyje. – Policjant rozejrzał się po lokalu. Zdał sobie sprawę, że powiedział to zbyt głośno. – To oznacza, że z tym zapewnieniem bezpieczeństwa twojej rodzinie może być problem. Co najwyżej mogę jakoś pomóc twoim rodzicom, o ile zechcą przyjąć ode mnie wsparcie.

Zasepiłem się. Próbowałam sobie wmówić, że nie ponoszę winy za to, co spotkało mojego brata. Że Karol przegrał życie w momencie, w którym wykiwał koleś od Demona i zaczął lizać dupę Carycy. Że wszystko, co wydarzyło się potem, było tylko swobodnym spadkiem. Ale ten spadek dało się zatrzymać. Wystarczyło trzymać nerwy na wodzy. Wystarczyło nie pociągnąć za spust.

– A jaka jest dobra wiadomość? – spytałem.

– Taka, że ci wierzę. – Policjant po raz pierwszy spojrział mi głęboko w oczy. – Twoja opowieść mniej więcej pokrywa się z tym, co sam zdołałem ustalić. Nawet jeśli w kilku miejscach próbowałeś się wybielić, to nie zniechęciłeś mnie na tyle, żebym cię olał. A to już coś. – Facet cierpko się uśmiechnął. – Ale prawdziwie do-

brą wiadomością jest to, że nigdy nie kręciła mnie policyjna solidarność. Nie rozumiem, dlaczego miałbym trzymać sztamę z ludźmi tylko dlatego, że wykonują tę samą robotę co ja. Zwłaszcza że zwykle wykonują ją chujowo.

– Czyli zajmiesz się tą sprawą?

– Pogrzebię w niej. A potem, jeśli znajdę dowody na twoje słowa, oddam ją w ręce odpowiednich ludzi z Biura Spraw Wewnętrznych. W nagrodę postaram się zapewnić ci uczciwy proces. I może jakąś szcążkową ochronę w pierdłu.

Parsknąłem.

– Czyli znowu mam być konfidentem? Najpierw Brennera, a teraz twoim?

– Dla mnie jesteś po prostu źródłem informacji. Byłoby miło, gdybyś nie okazał się także źródłem problemów. A możesz się nazywać, jak tylko chcesz. Konfidentem, współpracownikiem albo skruszonym gangusem. Wszystko mi jedno. Tak jak powiedziałem, nie przywiązuję wagi do nazw.

Pokiwałem głową. Właściwie mnie też większość nazw była obojętna. Choć niektóre zadziwiająco mocno potrafiły wryć się w pamięć.

– *Ophiocordyceps unilateralis*. Grzyb drapieżny. Słyszałeś o nim kiedyś? – Policjant zaprzeczył, więc pokrótce wyjaśniłem mu, o co chodzi. – Demon uważa... uważał, że nie warto być zbyt pazernym, ponieważ prędzej czy później sytuacja zawsze wraca do równowagi.

– No i?

– Może miał rację. Może to, co robimy, jest bez sensu, bo i tak rachunki na koniec dnia się wyrównają.

Policjant ciężko westchnął. Chyba nie miał ochoty na filozofowanie.

– Gdyby Demon naprawdę tak myślał, prowadziłby osiedlowy warzywniak, zamiast budować imperium przestępcze – powiedział. – Natura popełniła zbyt wiele błędów, żebym mógł uwierzyć w jej zdolność do samoregulacji. A ty nie powinienes wierzyć psychopatom.

– Chyba już trochę na to za późno.

– Trochę tak.

Chrząknąłem. Przez chwilę zbierałem się do zadania jeszcze jednego pytania. Tego, które chodziło mi po głowie od kilku dni. Od kilku bardzo, baaardzo długich dni.

– Oglądałeś *Dług*?

– Co?

– Taki film. Z Chyrą. O kolesiach, którzy zajebali swoich oprawców.

– Coś kojarzę.

– To opowieść oparta na faktach. O dwóch przedsiębiorcach, którzy poszli siedzieć za zabicie gangsterów. Facetów, którzy miesiącami ich prześladowali,

okradali i bili, domagając się spłaty fikcyjnego długu. Po latach prezydent ułaskawił tych gości.

Policjant parsknął pod nosem.

– Jeszcze nie poszedłeś siedzieć, a już się zastanawiasz nad ułaskawieniem?

– Zastanawiam się, czy to możliwe.

– Nie wiem. Nie jestem sędzią. Ani tym bardziej prezydentem.

– Wyobraź sobie, że jesteś. Jednym albo drugim. Co byś zrobił, gdybyś to ty miał zdecydować w mojej sprawie?

Policjant zgasił peta, jakby chciał wywiercić nim dziurę w popielniczce. Ujrzałem w jego oczach coś pomiędzy irytacją a współczuciem. Coś, co niejednokrotnie widziałem w lustrze.

– Nie wierzę w resocjalizację – zaczął policjant – ani w sprawiedliwość. Wierzę natomiast, że czasem trzeba zrobić to, co jest konieczne, a nie to, za co inni będą nam bili brawo. A ty pozbyłeś się z tego świata dwóch skurwysynów, których policja nie potrafiła albo nie chciała zdjąć z ulicy. Dlatego gdyby to ode mnie zależało, w ogóle nie poszedłbyś siedzieć.

Tym razem mnie okłamał. Powiedział dokładnie to, co chciałem usłyszeć. Wyłącznie po to, żebym się poczuł lepiej, zanim runę w przepaść.

Byłem mu za to cholernie wdzięczny.

– Chcesz jeszcze o czymś pogadać? – Mężczyzna spojrział ponad moim ramieniem. – Moi koledzy się niecierpliwią.

Właściwie tak, chciałem. Najchętniej o tym, że nie jestem jeszcze gotowy. Że jego kumple mogą klapnąć przy barze i zamówić kawkę. Że wszystko odwołuję. Ale zamiast tego pokręciłem głową. Schyliłem się do plecaka i wyjąłem pendrive, na który zgrałem feralną rozmowę z Demonem, oraz zeszyt. Na kilkudziesięciu stronach spisałem wszystko, co wiedziałem na temat Brennera i jego powiązań z chuliganami. Także z Carycą. Jebać go, jebać ją. Jebać ich wszystkich. Skoro ten policjant oferował moim starym pomoc, a Karol był martwy, już nikt nie mógł zrobić mi krzywdy.

Policjant schował pendrive, a potem przeskanował pierwszą stronę zapisków, które mu dałem. Ponownie zerknął ponad moim ramieniem. Kiwnął głową. Chwilę później wstał od stołu.

– Zaczekaj – powiedziałem. – W końcu mi nie powiedziałaś, jak się nazywasz.

Mężczyzna spojrział na mnie z góry. Ciężko wypuścił powietrze. Niechętnie włożył rękę do kieszeni i wyjął legitymację policyjną. Otworzył dokument i podstawił mi go pod nos. Najpierw spojrzałem na zdjęcie. Był na nim wyraźnie młodszy, schludniejszy, mniej poturbowany przez życie. Wydawał się szczęśliwszy, choć nie szczęśliwy. To chyba nie był typ człowieka, który potrafi się cieszyć życiem.

Następnie spojrzałem na dane.

Komisarz Tomasz Kawęcki.

A więc, komisarzu Kawęcki, bądź tak miły i nie zmarnuj reszty mojego życia.

## POSŁOWIE

Szczerze mówiąc, nie pamiętam swojego pierwszego meczu Widzewa. Nie mam pojęcia, z kim grał, na jakiej stałem trybunie, ani nawet który to był rok. Ale wiem, że po tym pierwszym meczu poszedłem na następny. A później na jeszcze jeden. I kolejny. Nie wiedzieć kiedy, stałem się zagorzałym widzewiakiem, który bywał na większości domowych spotkań i jeździł po Polsce za ukochanym klubem. Widzew stał się ważną częścią mojego życia. Kto wie, czy w pewnym momencie nie najważniejszą.

W trakcie kilku lat widzewskiej fascynacji sporo widziałem, a jeszcze więcej słyszałem. Dlatego wiele historii opowiedzianych w tej książce jest fikcyjnym odzwierciedleniem prawdziwych zdarzeń. Na szczęście zmyśliłem Demona, jakże sympatyczne nabojkowe towarzystwo, losy drużyny (futbolowi fanatycy z pewnością wyłapali nieścisłości kalendarzowe i wynikowe – chociażby utęsknione ligowe zwycięstwo Widzewa z Legią) czy – i to szczególnie pragnę podkreślić – patologiczny charakter relacji chuliganów z władzami łódzkich klubów. Ale takie rzeczy w polskiej piłce się zdarzały, zdarzają i niestety będą zdarzać. Byłem zbyt blisko chuligańskiej rzeczywistości, aby wykazywać się w tej kwestii naiwnością. A jednocześnie wystarczająco daleko, aby nie być jej częścią. Aby nigdy nie przekroczyć granicy kibolskiej brutalności.

Mój bezimienny bohater miał ode mnie zdecydowanie mniej szczęścia. Choć może to nie był przypadek? Może to pokłosie podjętych decyzji?

Lubię w to wierzyć.

Bardzo dziękuję mojej żonie Anecie, która mimo niechęci do tej futbolowo-kibicowskiej szajby zgodziła się wnikliwie przeczytać *Konfidenta* i zasugerować cenne poprawki. To cudowne, że zawsze mogę na Ciebie liczyć.

I bardzo dziękuję mojemu przyjacielowi Jackowi, jednemu z dawnych stadionowych kompanów (a przy okazji ekspolicjantowi), który zarówno zweryfikował moją wybiórczą pamięć, jak i fachowo ocenił realność opisywanych w książce zdarzeń.

Dziękuję także Widzewowi. Może nie kojarzę pierwszego ligowego meczu przy alei Piłsudskiego, ale doskonale pamiętam wiele następnych. Jak mawiają podstarzali rockandrollowcy: *it has been one hell of a ride*.

## PRZYPISY

[1] Ja jestem tym, który puka.